Świat Dysku

PRATCHETT TERRY

NIUCH

Wizję świata w rozumieniu goblinów prezentuje unggue, ich kult czy też religia. Najkrócej - jest to niezwykle złożony system wierzeń obejmujący zmartwychwstanie, a oparty na świętości wydzielin cielesnych. Centralna doktryna mówi tyle, że wszystko, co zostaje usunięte z ciała goblina, w oczywisty sposób było kiedyś jego częścią, a zatem powinno być traktowane z szacunkiem i przechowywane tak, by we właściwym czasie można było to złożyć do grobu wraz z właścicielem. Póki ta chwila nie nadejdzie, materiał jest przechowywany w urnach ungguańskich, niezwykłych tworach, o których opowiem później. Po krótkim zastanowieniu stwierdzimy z niesmakiem, że dzieła takiego nie zdoła dokonać żadna istota, chyba że los jej nie poskąpi wielkiego bogactwa, znacznej przestrzeni magazynowej i pełnych zrozumienia sąsiadów.

Dlatego też w rzeczywistości większość goblinów przestrzega reguły zwanej Unggue Had - czegoś, co można uznać za pospolitą i swobodniejszą formę unggue - obejmującej woskowinę uszną, ścinki paznokci i smarki. Woda, ogólnie biorąc, nie jest uznawana za unggue, ale za coś, co jedynie przepływa przez ciało, nie stając się jego częścią; gobliny argumentują, że nie ma widocznej różnicy w wodzie przed i po fakcie (co źle świadczy o świeżości wody, z jakiej korzystają w swych podziemnych siedzibach). Podobnie fekalia uznawane są za jedzenie, w którym nastąpiła zmiana stanu. Co zaskakujące, zęby wcale nie interesują goblinów, które uważają je za rodzaj grzyba; nie przywiązują też żadnej wagi do włosów, zresztą - trzeba zaznaczyć-zwykle mają ich niewiele.

W tym miejscu lord Vetinari, Patrycjusz Ankh-Morpork, przerwał lekturę i zapatrzył się w pustkę. Po kilku sekundach pustkę tę przesłoniła sylwetka Drumknotta, jego sekretarza (który, co należy podkreślić, przez całą swą karierę starał się zmienić w coś możliwie podobnego do pustki).

- Wydajesz się melancholijny, panie - zauważył Drumknott, dodając do tego spostrzeżenia najdelikatniejszy znak zapytania, który stopniowo się rozwiał.

- Zalewam się łzami, Drumknott, zalewam się łzami.

Drumknott przerwał odkurzanie nieskazitelnie lśniącego, czarnego, lakierowanego blatu biurka.

- Pastor Oats pisze bardzo przekonująco, prawda?

- W samej rzeczy, Drumknott, ale kluczowy problem pozostaje niezmienny, a przedstawia się tak: człowieczeństwo może pogodzić się z krasnoludami, trollami, a nawet orkami, jakkolwiek przerażający byliby w przeszłości. A wiesz, czemu tak jest, Drumknott?

Sekretarz starannie złożył ściereczkę i spojrzał w sufit.

- Zaryzykowałbym sugestię, panie, że w ich skłonności do przemocy widzimy samych siebie.

- No brawo, Drumknott, jeszcze zrobię z ciebie cynika! Drapieżcy szanują drapieżców, prawda? Może nawet szanują ofiary: lew może położyć się obok jagnięcia, choć zapewne tylko lew wstanie znowu, ale lew nie położy się przy szczurze. Szkodniki, Drumknott. Robactwo. Cały gatunek zredukowany do poziomu robactwa.

Vetinari ze smutkiem pokręcił głową, a zawsze czujny Drumknott zauważył, że jego lordowska mość już po raz trzeci tego dnia powrócił do stronicy zatytułowanej „Urny ungguańskie". Zdawało się przy tym, co niezwykłe, że mówi sam do siebie...

- „Tradycyjnie wykonywane są przez samego goblina z dowolnego materiału, od cennych minerałów przez skórę i drewno po kość. Wśród tych pierwszych spotyka się pojemniki o ścianach cienkich jak skorupka jaja, najwspanialsze na świecie. Plądrowanie osad goblinów przez łowców skarbów, poszukujących takich arcydzieł, oraz działania odwetowe goblinów aż do dziś stanowią podstawę ludzko-goblinich relacji".

Lord Vetinari odchrząknął i mówił dalej:

- Raz jeszcze zacytuję pastora Oatsa, Drumknott. „Muszę stwierdzić, że gobliny żyją na krawędzi często dlatego, że zostały tam zepchnięte. Tam, gdzie nic nie przetrwa, one przetrwają. Ich powszechnym powitaniem jest, jak się zdaje, słowo hang, co znaczy »przeżyj«. Wiem, że zarzuca się im straszne zbrodnie, jednak świat nigdy nie był wobec nich łagodny. Niech będzie tu powiedziane tyle, że ci, którzy przeżywają swe życie tam, gdzie wisi ono na mniej niż włosku, rozumieją straszliwą algebrę konieczności, która nikomu nie okazuje łaski, a kiedy konieczność przyciska najmocniej, cóż, wtedy właśnie kobiety muszą wykonać ungguańską urnę zwaną duszą łez, najpiękniejszą ze wszystkich urn, rzeźbioną w małe kwiatki i zmywaną łzami".

Drumknott, z perfekcyjnym wyczuciem czasu, postawił przed swym pracodawcą filiżankę kawy dokładnie w chwili, gdy Vetinari skończył zdanie i uniósł głowę.

- „Straszliwa algebra konieczności", Drumknott... No cóż, dobrze wiemy, co to znaczy, prawda?

- Istotnie. A przy okazji, otrzymaliśmy list od diamentowego króla trolli, który dziękuje nam za twardą postawę w kwestii narkotyków. Gratuluję, panie.

- To żadne ustępstwo. - Vetinari lekceważąco machnął ręką. - Znasz moje stanowisko, Drumknott. Nie zamierzam zbyt mocno ograniczać prawa ludzi do przyjmowania substancji, po których czują się lepiej, czy też pewniej, albo też, skoro już o tym mowa, widzą małe tańczące fioletowe wróżki, albo nawet swojego boga, jeśli już do tego dojdzie. To w końcu ich mózgi i społeczeństwo nie ma do nich żadnych praw, pod warunkiem że w danej chwili nie kierują ciężkim sprzętem. Jednakże sprzedaż trollom narkotyków, od których głowy im fizycznie eksplodują, to zwykłe morderstwo. Karane śmiercią. Z zadowoleniem stwierdzam, że w tej kwestii komendant Vimes całkowicie się ze mną zgadza.

- Istotnie, panie. Chciałbym też przypomnieć, że już wkrótce nas opuści. Czy zamierzasz go pożegnać?

Patrycjusz pokręcił głową.

- Raczej nie. Ten człowiek żyje w straszliwym zagubieniu i obawiam się, że moja obecność tylko by pogorszyła sytuację.

- Nie obwiniaj się, panie. - W głosie Drumknotta zabrzmiała nuta współczucia. - W końcu i ty, i komendant, obaj znajdujecie się w rękach siły wyższej.

Miejskiej Ankh-Morpork, nerwowo wciskał ołówek do buta, żeby się podrapać tam, gdzie swędziało. Wszystkie jego skarpety powodowały takie swędzenie. Po raz setny już pomyślał, czy nie powiedzieć żonie, iż pośród jej wspaniałych zalet - a były liczne - nie ma, niestety, umiejętności robienia na drutach. Jednak wolałby raczej odrąbać sobie stopę, niż zrobić coś takiego. Złamałby jej serce.

Były to skarpety potworne, tak grube, pełne supełków i nierówne, że musiał kupować buty półtora raza większe od stóp. A robił tak, ponieważ Samuel Vimes, który nigdy z religijnym zamiarem nie odwiedził miejsca czci, czcił lady Sybil - i co dzień zdumiewał się faktem, iż ona wydaje się traktować go tak samo. Uczynił ją swoją żoną, a ona uczyniła go milionerem; z jej wsparciem smętny, ponury, ubogi i cyniczny glina stał się bogatym i potężnym diukiem. Udało mu się jednak zachować cynizm, a nawet zaprzęg wołów na sterydach nie zdołałby wyrwać z Sama Vimesa gliniarza - trucizna przeniknęła zbyt

głęboko i owinęła się wokół kręgosłupa. I tak Sam Vimes cierpiał swędzenie i liczył swoje błogosławieństwa, aż skończyły mu się liczby.

Natomiast wśród przekleństw było to swędzenie i robota papierkowa.

Zawsze czekały jakieś papiery. Jest faktem dobrze znanym, iż wszystkie próby redukcji ilości papierów prowadzą jedynie do jej zwiększenia. Oczywiście, miał ludzi do pracy z papierami, ale prędzej czy później musiał przynajmniej je podpisać, a czasem, kiedy nie miał już innego wyjścia, nawet przeczytać. Nie było przed tym ucieczki - w ostatecznym rozrachunku, przy dowolnej policyjnej robocie istniała poważna szansa, że nawóz trafi w wiatrak. Inicjały Sama Vimesa na dokumencie były niezbędne, by poinformować świat, że to jego wiatrak, a zatem i jego nawóz.

Teraz jednak przerwał tę robotę, by przez otwarte drzwi wezwać sierżant Tyłeczek, która pełniła funkcję jego ordynansa.

- Coś już jest, Cudo? - spytał z nadzieją.

- Nie w takim sensie, o jaki chyba panu chodzi, sir, ale ucieszy pana, że dostaliśmy wiadomość sekarową od Haddocka, tymczasowo pełniącego obowiązki kapitana w Quirmie, sir. Zawiadamia, że dobrze sobie tam radzi, sir, i naprawdę smakuje mu *avec**.

Vimes westchnął.

- Coś jeszcze?

- Spokój jak w grobie, sir - odparła krasnoludka, wsuwając głowę przez drzwi. - To przez ten upał, sir. Za gorąco, żeby się bić, za lepko, żeby kraść. Czy to nie wspaniałe, sir?

Vimes prychnął niechętnie.

- Gdzie są policjanci, tam są przestępstwa, sierżancie. Pamiętajcie o tym.

- Tak jest, sir, pamiętam, choć brzmiałoby to lepiej, gdyby trochę przestawić słowa.

- Pewnie nie ma żadnej szansy, żeby się wykręcić?

Sierżant Tyłeczek zrobiła zatroskaną minę.

- Przykro mi, sir, ale to przesądzone. W południe kapitan Mar- chewa oficjalnie odbierze pańską odznakę.

Vimes walnął pięścią w stół.

- Nie zasłużyłem sobie na takie traktowanie! Całe życie poświęciłem pracy dla miasta! - wybuchnął.

- Jeśli wolno zauważyć, komendancie, zasługuje pan na wiele więcej.

Vimes oparł się na fotelu i jęknął.

- Ty też, Cudo?

- Naprawdę bardzo mi przykro, sir. Wiem, jakie to dla pana trudne.

- Żeby po tylu latach tak zwyczajnie mnie stąd wyrzucali! Błagałem, a wiesz dobrze, że takiemu człowiekowi jak ja nie przychodzi to łatwo. Błagałem!

Ktoś wchodził schodami na piętro. Cudo patrzyła, jak Vimes wyjmuje brązową kopertę, wsuwa coś do środka, liże szybko i zakleja, a potem rzuca na blat. Koperta brzęknęła.

- Proszę - wycedził przez zaciśnięte zęby. - Moja odznaka, tak jak rozkazał Vetinari. Sam oddaję. Nikt nie powie, że mi ją odebrali.

Kapitan Marchewa wkroczył do gabinetu, schylając na moment głowę, kiedy przechodził przez drzwi. W ręku trzymał jakąś paczkę,

* System wymiany kadr z quirmską żandarmerią sprawdza! się znakomicie. Tamci uczyli się pracy policyjnej à la Vimes, a jednocześnie jedzenie w stołówce w Pseudopolis Yard poprawiło się wręcz niesamowicie dzięki kapitanowi Emile, choć używał o wiele za dużo *avec*.

a za jego plecami ustawiło się kilku wyszczerzonych radośnie policjantów.

- Proszę o wybaczenie, sir, ale siła wyższa i w ogóle. Jeśli to pana pocieszy, sir, w sumie miał pan szczęście, że wykpił się pan tylko dwoma tygodniami. Początkowo mówiła o miesiącu.

Wręczył Vimesowi pakunek.

- Zrobiliśmy z chłopakami zrzutkę, komendancie - wyjaśnił z wymuszonym uśmiechem.

- Wolałbym coś skromniejszego, jak główny funkcjonariusz albo co... - Vimes chwycił prezent. - Wiecie, tak myślałem, że jeśli pozwolę sobie nadać odpowiednio dużo tytułów, w końcu dostanę jakiś, z którym da się wytrzymać.

Rozerwał papier i wyjął bardzo małe, bardzo kolorowe wiaderko i łopatkę, ku ogólnej radości dyskretnych obserwatorów.

- Wiemy, że nie jedzie pan nad morze, komendancie, ale...

- Wolałbym nad morze - poskarżył się Vimes. - Nad morzem rozbijają się statki, nad morzem siedzą przemytnicy, nad morzem trafiają się utonięcia i inne zbrodnie! Coś ciekawego!

- Lady Sybil twierdzi, że znajdzie pan tam wiele zajęć, sir - zapewnił Marchewa.

Vimes parsknął niechętnie.

- Wyjazd na wieś... Za miasto! Wiecie, Marchewa, czemu to się nazywa „za miastem"? Bo tam już nie ma miasta! Niczego nie ma! Oprócz tych przeklętych drzew, którymi podobno mamy się przejmować, ale tak naprawdę są tylko sztywnym zielskiem! Nuda! Nic, tylko taka bardzo długa niedziela! I będę musiał się spotykać z ziemiaństwem!

- Spodoba się panu, sir. Nie pamiętam, żeby choć raz wziął pan sobie wolny dzień, chyba że był pan ranny - odparł Marchewa.

- Nawet wtedy bez przerwy się zamartwiał i gderał - odezwała się lady Sybil Vimes od drzwi.

Vimes odkrył, że wcale mu się nie podoba to, jak jego ludzie się z nią liczą. Kochał lady Sybil do szaleństwa, naturalnie, ale nie mógł nie zauważyć, że ostatnio jego kanapka z bekonem, sałatą i pomidorem przestała być tradycyjną kanapką z bekonem, pomidorem i sałatą, a stała się kanapką z sałatą, pomidorem i bekonem. Oczywiście, chodziło o jego zdrowie. To przecież spisek - bo niby dlaczego nigdy nie znaleźli warzywa, które szkodzi? A niby co jest złego w sosie cebulowym? Miał w środku cebulę, tak? A człowiek miał po nim wiatry, tak? A to przecież zdrowe, prawda? Był pewien, że gdzieś o tym czytał.

Dwa tygodnie wakacji, podczas których żona będzie nadzorowała każdy posiłek... Naprawdę wolałby o tym nie myśleć, ale nie mógł się powstrzymać. W dodatku był przecież Młody Sam, który rósł jak na drożdżach i w ogóle. Wyjazd na świeże powietrze bardzo dobrze mu zrobi, jak stwierdziła jego matka. I nie warto było się z nią kłócić, bo nawet jeśli człowiek już myślał, że wygrał, okazywało się - drogą jakiejś magii, absolutnie niedostępnej mężom - że był dramatycznie niedoinformowany.

Przynajmniej pozwolili mu wyjechać z miasta w napierśniku. Ten pancerz stał się już nieodłączną częścią właściciela, równie
poobijany jak on. Tyle że w pancerzu wgniecenia dało się wyklepać.

* *

Vimes, z synem na kolanach, spoglądał na oddalające się miasto z okna powozu, który wiózł go w stronę dwóch tygodni sielankowej drzemki. Czuł się jak człowiek skazany na wygnanie. Jednak trzeba być optymistą - na pewno w mieście zdarzy się jakieś potworne morderstwo albo okropna kradzież, które z bardzo ważnych powodów - choćby w celu podtrzymania morale, jeśli już nic innego - wymagać będą obecności komendanta straży. Mógł tylko mieć nadzieję.

Samuel Vimes od dnia ślubu wiedział, że żona ma wiejską posiadłość. Wiedział między innymi dlatego, że mu ją oddała. Prawdę mówiąc, przeniosła na niego cały rodzinny majątek, przy czym rzeczona rodzina składała się w owej chwili wyłącznie z niej samej. Uczyniła to w staroświeckim i wzruszającym przekonaniu, iż na męża powinien spadać obowiązek posiadania*. Uparła się.

Okresowo, zależnie od pory roku, do ich domu przy Alei Scoone'a w Ankh-Morpork przybywał wóz załadowany owocami, warzywami, serami i

---

** I od tej chwili ów mąż z zadowoleniem przyjmie drugoplanową rolę w niemal wszystkich domowych decyzjach. Lady Sybil wyznawała pogląd, że słowo jej ukochanego małżonka jest prawem w mieście, choć w jej konkretnym przypadku stawało się tylko uprzejmą sugestią do łaskawego rozważenia.*

mięsem - wszystkimi produktami owej wiejskiej posiadłości, której Vimes nigdy nie widział. I niezbyt mu zależało, żeby ją teraz zobaczyć. Jedyne, co wiedział na temat wsi, to że chlupie pod nogami. Owszem, większość ulic w Ankh-Morpork także chlupała pod nogami, ale to był właściwy rodzaj chlupotu - chlupot, w jakim chlupotał, odkąd nauczył się chodzić i (nieodmiennie) ślizgać i przewracać.

Oficjalnie posiadłość nosiła nazwę Crundells, lecz zawsze mówiono o niej „Ramkinowy Dwór". Należało do niej chyba koło mili potoku z pstrągami oraz - o ile Vimes dobrze pamiętał dokumenty - także pub. Wiedział, że można być właścicielem pubu, ale nie miał pojęcia, jak mieć na własność potok i pstrągi - no bo gdyby to rzeczywiście był jego kawałek, to przecież właśnie spływał w dół, pluszcząc przy tym wesoło. Czyli ktoś inny łowił teraz te pstrągi w jego wodzie, drań jeden! A ten kawałek przed nim jeszcze przed chwilą należał do gościa powyżej - i ten tłuścioch, nadęty plutokra- ta, pewnie teraz jego, Sama Vimesa, uważa za kłusownika i drania! No i przecież ryby pływają sobie, gdzie chcą, prawda? Skąd wiadomo, które są czyje? Pewnie są znakowane - dla Vimesa brzmiało to bardzo wiejsko. Za miastem stale trzeba być w defensywie, całkiem inaczej niż w mieście.

* * *

Nietypowo dla siebie, lord Vetinari zaśmiał się głośno. Niemal napawając się upadkiem swego wroga, z rozmachem rzucił na biurko otwarty na stronie z krzyżówką „Puls Ankh-Morpork".

- Coś się zmienia, ale kąty zostają: konforemność! I gram pani na nosie, madame!

Drumknott, który starannie układał dokumenty, uśmiechnął się dyskretnie.

- Kolejne zwycięstwo, panie?

Wojna Vetinariego z główną układaczką krzyżówek „Pulsu Ankh-Morpork" była powszechnie znana.

-Jestem przekonany, że traci panowanie nad sobą - stwierdził Patrycjusz i oparł się wygodnie na krześle. - Co tam masz, Drumknott? - Wskazał grubą brązową kopertę.

- Odznakę komendanta Vimesa, panie, dostarczoną mi przez kapitana Marchewę.

- Zaklejona?

- Tak, panie.

- W takim razie nie ma tam odznaki Vimesa.

- Nie, panie. Staranne badanie dotykowe koperty sugeruje, że zawiera puste pudełko po tabace Podwójny Grom. Wniosek ten potwierdziło szybkie niuchnięcie.

- Ale kapitan musiał zdawać sobie z tego sprawę, Drumknott - zauważył wciąż pobudzony Vetinari.

- Oczywiście, panie.

- Naturalnie, coś takiego leży w naturze naszego komendanta - uznał Vetinari. - Ale czy chcielibyśmy, żeby się zmienił? Wygrał tę potyczkę, a człowiek, który potrafi wygrywać drobne potyczki, jest dobrze przygotowany do zwycięstwa w wielkich bitwach.

Co niezwykłe, Drumknott zawahał się chwilę, nim odpowiedział:

- Istotnie. A propos... To lady Sybil zaproponowała wyjazd na wieś, prawda?

Vetinari uniósł brew.

-Ależ oczywiście, Drumknott. Nie wyobrażam sobie nawet, kto inny mógłby to wymyślić. Dzielny komendant znany jest ze swego oddania pracy. Któż, jeśli nie kochająca żona, zdołałby go przekonać, że parę tygodni przyjemnego urlopu na wsi na pewno mu się przyda?

- Istotnie, któż? - zgodził się Drumknott i przerwał w tym miejscu, jako że nie było sensu dodawania czegokolwiek. Jego pracodawca dysponował chyba źródłami informacji, niedostępnymi nawet dla Drumknotta, choćby nie wiadomo jak się starał. A tylko niebiosa wiedziały, kim byli wszyscy ci, którzy przemykali się w ciemnościach długimi schodami w pałacu. Tak więc życie w Podłużnym Gabinecie toczyło się wśród tajemnic, rozważań i fałszywych tropów, a natura prawdy zmieniała się jak kolory tęczy. Wiedział to dobrze, gdyż sam grał nie całkiem nieznaczną rolę w jej widmie. Jednak wiedzieć to, co wiedział lord Vetinari, i dokładnie to, co lord Vetinari myślał, byłoby psychologiczną niemożliwością, a człowiek mądry potrafił to zaakceptować i zająć się segregacją dokumentów.

Yetinari wstał i wyjrzał przez okno.

- To miasto żebraków i złodziei, Drumknott, mam rację? Jestem dumny z tego, że mamy u siebie tych najlepiej wykwalifikowanych. Prawdę mówiąc, gdyby istniało coś takiego jak międzymiejski turniej

złodziejski, Ankh-Morpork wróciłoby do domu z pucharem i portfelami wszystkich obecnych. Złodziejstwo ma swój sens, Drumknott. Jednak człowiek wewnętrznie czuje, że jak są rzeczy niedostępne człowiekowi z gminu, są i takie, które nie powinny być dozwolone bogatym i potężnym.

Zrozumienie, jakie przejawiał Drumknott dla procesów myślowych swego pracodawcy, komuś z zewnątrz mogłoby się wydać magiczne. Jednak zadziwiająco wiele można było wywnioskować z obserwacji, co czyta lord Vetinari, ze słuchania jego pozornie oderwanych uwag i z łączenia tego wszystkiego, jak tylko Drumknott potrafił łączyć, z bieżącymi kłopotami i niepokojami.

- Czy chodzi teraz o przemyt, panie? - zapytał.

Owszem, Drumknott. Prawdę mówiąc, przemyt mi nie przeszkadza. Wymaga przedsiębiorczości, dyskrecji, oryginalności myślenia, jednym

- słowem atrybutów, które należy wspierać u prostych ludzi. W rzeczywistości nie wyrządza wielkich szkód, a człowiekowi z ulicy pozwala na lekkie *frisson* podniecenia. Każdy powinien od czasu do czasu złamać prawo w jakiś skromny, ale rozkoszny sposób. To dobre dla higieny mózgu.

- Jednakże, panie, podatki muszą być ściągane i płacone - stwierdził Drumknott, którego wewnątrzczaszkowa czystość nie podlegała dyskusji. - Miasto się rozwija. I trzeba za to płacić.

- Istotnie - zgodził się Vetinari. - Mogłem obłożyć podatkiem wiele rzeczy, jednak zdecydowałem się opodatkować coś, bez czego w oczywisty sposób można żyć. I prawie nie jest uzależniające, nie-prawdaż...

- Niektórzy uważają, że tak. Pojawiają się narzekania.

Vetinari zaczął przeglądać dokumenty.

- Drumknott - rzekł, nie podnosząc głowy. - Zycie jest uzależniające. Jeśli ludzie zaczną nadmiernie się skarżyć, wydaje mi się, że będę musiał zwrócić ich uwagę na ten fakt.

Uśmiechnął się znowu i złożył palce w piramidkę.

- Krótko mówiąc, Drumknott, pewna doza zdrowego rozbój- nictwa w klasach niższych może być przyjmowana z uśmiechem, jeśli nie wręcz aktywnie promowana, dla zdrowia miasta. Jak jednak powinniśmy reagować, kiedy przestępstwami zajmuje się ktoś wysoko urodzony i bogaty? Jeśli człowiek ubogi spędzi rok w więzieniu za to, że ukradnie z głodu, to jak wysoka musi być szubienica, na której zawiśnie bogacz, który łamie prawo z zachłanności?

- Chciałbym raz jeszcze zaznaczyć, panie, że sam kupuję swoje spinacze - zapewnił nerwowo Drumknott.

- Oczywiście, ale w twoim przypadku z przyjemnością stwierdzam, iż masz umysł tak nieskazitelny, że aż skrzy.

- Zachowuję paragony, panie. - Drumknott nie ustępował. - Na wypadek gdybyś chciał je obejrzeć. - Przez chwilę milczał, nim podjął: - W tej chwili komendant Vimes jest już daleko w drodze do Ramkinowego Dworu, panie. Co może się okazać szczęśliwym zbiegiem okoliczności.

Vetinari nie zmienił wyrazu twarzy.

- Rzeczywiście, Drumknott. Rzeczywiście...

* * *

Dwór był oddalony od miasta o pełny dzień drogi, co w terminologii woźniców oznaczało dwa dni, z postojem w zajeździe. Vimes spędził ten czas, nasłuchując tętentu kopyt wierzchowców posłańców z miasta, ścigających ich, by przekazać tak pożądane wieści o katastrofie. Zwykle Ankh-Morpork dostarczało ich praktycznie co godzinę, teraz jednak wyraźnie zawiodło swego zrozpaczonego syna w jego godzinie wegetacji.

Inne słońce zachodziło już, rzucając blask na tego konkretnego syna, kiedy powóz zatrzymał się przed bramą. Po sekundzie czy dwóch stary człowiek... bardzo stary człowiek... pojawił się znikąd i urządził prawdziwy pokaz otwierania wspomnianej bramy. Potem stanął na baczność, przepuszczając powóz, rozpromieniony świadomością dobrze spełnionego obowiązku.

Za bramą powóz się zatrzymał.

Sybil, która coś czytała, szturchnęła męża, nie podnosząc głowy znad książki.

- Zwyczajowo należy dać panu Coffinowi pensa. Za dawnych czasów mój dziadek miał w karocy mały węglowy piecyk, w teorii żeby było cieplej, ale głównie po to, żeby rozgrzewać pensy do czerwoności, a potem chwytać je jakimiś szczypcami i rzucać odźwiernemu. Podobno wszystkich to bawiło, tak przynajmniej twierdził mój dziadek, ale już tego nie robimy.

Vimes pogrzebał w sakiewce, szukając jakichś drobnych, otworzył drzwiczki powozu i wysiadł, ku zaskoczeniu rzeczonego pana Coffina, który cofnął się w gęste krzaki. Patrzył na Vimesa wzrokiem zapędzonego w pułapkę zwierzęcia.

- Dobrze się pan spisał, panie Coflin, znakomicie pan podniósł ten skobel, świetna robota.

Chciał wręczyć staruszkowi monetę, ale pan Coflin cofnął się jeszcze dalej, budząc wrażenie, że lada chwila rzuci się do ucieczki. Vimes cisnął monetę w powietrze, a przerażony staruszek złapał ją, splunął na nią sprawnie i rozpłynął się w roślinności. Vimesowi zdawało się, że nie był zadowolony z braku syknięcia.

-Jak dawno twoi krewni przestali rzucać służącym gorące pieniądze? - zapytał, kiedy wrócił na miejsce, a powóz ruszył dalej.

Sybil odłożyła książkę.

- Mój ojciec kazał tego zaniechać. Mama się skarżyła. Podobnie jak odźwierni.
- No myślę.
- Nie, Sam. Oni się skarżyli, że ten zwyczaj się skończył.
- Przecież to poniżające!
- Tak, Sam. Wiem. - Sybil westchnęła. - Ale rozumiesz, to także dodatkowy dochód. Za czasów mojego pradziadka, jeśli ruch był duży, odźwierny mógł zarobić nawet sześć pensów dziennie. A że staruszek był niemal permanentnie nasączony rumem i brandy, często rzucał nawet dolara. Wiesz, takiego prawdziwego, staromodnego dolara z litego złota. Za coś takiego człowiek mógł swobodnie przeżyć rok, zwłaszcza tutaj.
- No tak, ale... - zaczął Vimes, lecz żona uciszyła go uśmiechem.

Na takie okazje miała specjalny uśmiech: ciepły, przyjazny
i wykuty z kamienia. Człowiek musiał przerwać dyskusje o polityce, bo mógł się z nim zderzyć, nie powodując żadnych strat dla nikogo prócz siebie. Rozsądnie, z mądrością zyskaną na dobrze przećwiczonych lekcjach, Sam Vimes ograniczył się do wyglądania przez okno.

Kiedy brama została już daleko w tyle, w gasnącym świetle dnia Vimes zaczął się rozglądać za wielkim domem, który powinien chyba stać w samym środku tego wszystkiego. Nie znalazł go, dopóki nie przeturkotali długą aleją drzew przez coś, co jakiś nędzny poeta nazwałby pewnie „łąką szmaragdową" z białymi punktami, będącymi - jak uznał Vimes - prawie na pewno owcami, przez wymanikiurowany lasek, za którym dotarli do mostu, jaki nawet w mieście nie byłby nie na miejscu. Most spinał brzegi czegoś, co Vimes uznał początkowo za ozdobne jeziorko, a co okazało się bardzo szeroką rzeką. Kiedy przejeżdżali nad nią z godnością, zobaczył dużą łódź poruszającą się po wodzie jakimś nieznanym sposobem, który jednak - sądząc po zapachu, kiedy ich mijała - miał coś wspólnego z bydłem.

W tym momencie odezwał się Młody Sam.

- Te panie nie mają żadnych ubrań! Czy chcą sobie popływać?

Vimes z roztargnieniem kiwnął głową, ponieważ dziedzina
nagich dam nie należała do tematów, o których chciałby dyskutować z sześcioletnim chłopcem. Poza tym cały czas obserwował łódź; woda pieniła się wokół niej, a marynarze na pokładzie wykonali coś, co zapewne było tradycyjnym marynarskim gestem, w stronę lady Sybil, choć możliwe, że w stronę jednej z nagich dam.

- To rzeka, prawda? - zapytał.
- Tak, Quire - potwierdziła lady Sybil. - Zbiera wody z prawie całej krainy oktarynowych traw i wpada do morza w Quirmie. O ile jednak sobie przypominam, większość ludzi nazywają Zdradziecką Staruchą. Ma swoje humory. Ale pamiętam, że jako dziecko lubiłam te małe rzeczne stateczki. Naprawdę były ładne.

Powóz zaturkotał na drugim końcu mostu i ruszył długim podjazdem do... tak jest, do wiejskiego domu, nazywanego tak zapewne dlatego, zdaniem Vimesa, że był wielkości sporej wsi. Niewielkie stadko saren czekało na trawniku, a wielkie stado ludzi zebrało się przy tym, co najwyraźniej było frontowymi drzwiami. Ustawili się w dwa rzędy, jak na weselu. Tworzyli coś w rodzaju gwardii honorowej, a musiało się ich tu zjawić ze trzysta osób, od ogrodników do lokajów. Wszyscy próbowali się uśmiechać, choć nie wychodziło im to dobrze. Przypominali Vimesowi paradę Straży Miejskiej.

Dwaj lokaje zderzyli się ze sobą, próbując ustawić stopień przy drzwiczkach powozu, a Vimes całkiem zmarnował okazję, wysiadając po drugiej stronie i sprowadzając za sobą lady Sybil.

Pośrodku nerwowego ttumu zauważył przyjazną twarz. Należała do Willikinsa, kamerdynera i ogólnego zaufanego sługi z miasta. W jego kwestii Vimes okazał się nieugięty: skoro ma wyjechać na wieś, zabiera ze sobą Willikinsa. Przecież, jak tłumaczył żonie, Willikins nie jest policjantem, więc to jednak nie to samo co zabieranie pracy na wakacje. I to była prawda. Willikins absolutnie nie był policjantem, ponieważ większość policjantów nie ma pojęcia, jak załatwić kogoś rozbitą butelką, nie kalecząc sobie przy tym rąk, albo jak z typowych przyrządów kuchennych stworzyć broń o ograniczonym, ale specyficznym działaniu niszczącym. Willikins miał przeszłość, która ujawniała

---

**jeśli pominąć rząd artystycznie nagich dam wzdłuż parapetu. Wszystkie trzymały urny, a urny to sztuka. Oczywiście*

poznaczoną bliznami, ale znajomą twarz, przebiegł przed rzędem niepewnych służących i objął kolana kamerdynera. W odpowiedzi Willikins podniósł chłopca, przytrzymał głową w dół, a potem zakręcił nim, po czym delikatnie postawił na ziemi. Cały ten proces jak zawsze dostarczył sześciolatkowi wielkiej radości. Vimes ufał Wil- likinsowi. A mało komu potrafił zaufać. Wieloletnia praca w policji sprawia, że człowiek staje się w tej kwestii dość wybredny.

Pochylił się do żony.

- Co mam teraz robić? - szepnął, gdyż szeregi tych niespokojnych półuśmiechów zaczynały go denerwować.

- Co tylko zechcesz, skarbie - odparła. - Ty tu jesteś szefem. Przyjmujesz paradę straży, prawda?

- Tak, ale wtedy wiem, kto jest kim, jaki ma stopień i wszystko! W mieście nigdy nie byłem w takiej sytuacji!

- Owszem, kochanie, ale to dlatego, że w Ankh-Morpork wszyscy znają komendanta Vimesa.

No dobrze... Przecież to nie może być zbyt trudne...

Podszedł do mężczyzny w wystrzępionym słomkowym kapeluszu, z łopatą w ręku oraz - kiedy Vimes się zbliżył - w stanie tłumionego przerażenia, większego nawet niż u samego komendanta.

Vimes wyciągnął rękę. Mężczyzna wyglądał, jakby jeszcze nigdy w życiu niczego takiego nie widział.

- Witam, jestem Sam Vimes - zdołał powiedzieć Vimes. - A pan kim jest?

Człowiek, do którego się zwrócił, rozejrzał się przerażony, szukając pomocy, wsparcia, porady albo ucieczki, jednak bezskutecznie. W tłumie zaległa śmiertelna cisza.

- William Butler, wasza łaskawość - przedstawił się w końcu. - Jeśli wasza łaskawość nie ma nic przeciw temu.

- Miło cię poznać, Williamie.

Vimes znów wyciągnął rękę, od której William niemal się odsunął. Po chwili wahania podał jednak dłoń, podobną w dotyku do starej skórzanej rękawiczki. Nie tak źle, uznał Vimes i ruszył na nieznane terytorium.

- A czym się tutaj zajmujesz, Williamie?

- Ogrodnictwem - wykrztusił William i podniósł łopatę, trzymając ją między sobą a Vimesem jako jednocześnie osłonę i dowód rzeczowy swojej szczerości.

Ponieważ Sam Vimes także nie orientował się w tej kwestii, uznał, że wystarczy sprawdzić palcem krawędź łopaty.

- Utrzymana w należytej sprawności, jak widzę. Brawo, panie Buder.

Podskoczył, kiedy poczuł stuknięcie w ramię.

- Ty też dobrze sobie radzisz, kochanie - zapewniła go żona. - Ale naprawdę powinieneś wejść na schody i pogratulować kamerdynerowi i ochmistrzyni znakomitego przygotowania służby. Gdybyś chciał z każdym pogawędzić, nie skończysz do północy.

Po czym lady Sybil mocno chwyciła męża za rękę i między dwoma rzędami skupionych spojrzeń poprowadziła na schody.

- No dobrze - szepnął. - Widzę lokajów i kucharzy, i ogrodników, ale co to za typy w grubych kurtkach i melonikach? Komornicy nas nachodzą?

- To raczej mało prawdopodobne, kochanie. Tak naprawdę to niektórzy z naszych gajowych.

- Te kapelusze dziwnie u nich wyglądają.

- Tak sądzisz? Wymyślił je lord Melon, żeby chroniły jego gajowych przed groźnymi atakami kłusowników. Podobno są zwodniczo wytrzymałe i o wiele lepsze od stalowych hełmów, bo chronią przed nieprzyjemnym dzwonieniem w uszach.

Majordomus i ochmistrzyni wyraźnie nie potrafili ukryć niezadowolenia z faktu, że nowy pracodawca przed rozmową z nimi postanowił uścisnąć dłoń zwykłemu ogrodnikowi. Oboje charakteryzowali się tradycyjną obfitością kształtów i różowością, jakich Vimes nauczył się w takich sytuacjach oczekiwać. Widząc, że właściciel rezydencji nie podchodzi do nich, sami ruszyli do niego tak szybko, jak tylko potrafiły ich nieść krótkie nogi.

Vimes znał życie pod schodami, na bogów, znał je dobrze! Jeszcze nie tak dawno policjant wezwany do bogatego domu musiał pukać do kuchennych drzwi, gdzie dostawał polecenie, by zabrać do aresztu jakąś zapłakaną pokojówkę albo niezbyt bystrego pucy- buta, oskarżonych bez żadnych dowodów o kradzież pierścionka czy szczotki ze srebrną rączką, które pani domu zapewne znajdzie wkrótce potem, może kiedy już dokończy swój gin. Nie do tego powinni służyć policjanci, tyle że w rzeczywistości właśnie do tego służyli. Chodziło w tym wszystkim o przywileje i młody Vimes nie zdążył jeszcze przetrzeć pierwszej pary policyjnych butów, kiedy sierżant wytłumaczył mu, co to oznacza. A oznaczało prywatne prawo. W tamtych czasach człowiekowi wpływowemu bardzo wiele mogło ujść bezkarnie, jeśli tylko miał odpowiedni akcent, odpowiedni herb na krawacie albo odpowiednich kolegów. A młody policjant, który protestował, mógł skończyć bez pracy i bez referencji.

Teraz było inaczej. Zupełnie inaczej.

Ale w owych czasach młody Vimes zaczął każdego majordomu- sa traktować jak podwójnego zdrajcę - wobec obu stron. Tak więc tęgi mężczyzna we fraku został przeszyty niechętnym wzrokiem. Fakt, że skinął głową, też nie pomógł - Vimes żył w świecie, gdzie ludzie salutowali.

-Jestem Silver, majordomus, wasza łaskawość - oznajmił z lekkim wyrzutem w głosie ów człowiek.

Vimes natychmiast chwycił go za rękę i potrząsnął nią przyjaźnie.

- Miło mi poznać, panie Silver.

Majordomus skrzywił się wyraźnie.

- Silver, wasza łaskawość, nie „pan" Silver.

-Jakże mi przykro, panie Silver. Więc jak pan ma na imię?

Wyraz twarzy majordomusa stał się źródłem cichej radości Vimesa.

- Silver, panie. Zawsze tylko Silver.

- No cóż, panie Silver, osobiście twardo wierzę, że pod spodniami wszyscy ludzie są tacy sami.

Silver zesztywniał.

- To całkiem możliwe, panie, ale jestem i zawsze będę Silve- rem. Dobry wieczór, wasza łaskawość. - Odwrócił się. - Dobry wieczór, lady Sybil. Minęło już chyba siedem czy osiem lat od ostatniej bytności kogoś z rodziny. Czy możemy liczyć na kolejną wizytę? I czy wolno mi przedstawić moją żonę, panią Silver, ochmistrzynię, której jaśnie państwo chyba jeszcze nie znają?

Umysł Vimesa odruchowo tłumaczył tę krótką przemowę jako: „Zirytowałem się, że pominął mnie pan i podał rękę ogrodnikowi"... Jednak uczciwie musiał przyznać, że nie było to umyślne. Uścisnął dłoń ogrodnika z czystej, otępiającej zgrozy. Dalsze tłumaczenie brzmiało: „...i teraz obawiam się, że w najbliższej przyszłości nasze życie nie będzie takie łatwe".

-Jedną chwileczkę - zaprotestował głośno. - Moja żona także jest jej łaskawością, a to więcej niż zwykła lady. Syb... Jej łaskawość kazała mi przyjrzeć się schematom tytulatury.

Lady Sybil znała męża tak, jak ludzie żyjący obok wulkanu, którzy nauczyli się już rozpoznawać nastroje sąsiada. Najważniejsze to nie dopuścić do wybuchu.

- Sam, jeszcze jako mała dziewczynka byłam lady Sybil dla wszystkich służących w obu naszych domach. Dlatego dzisiaj uważam lady Sybil za swoje imię, przynajmniej pośród tych ludzi, których mam za przyjaciół. Wiesz dobrze!

Ponadto, dodała w myślach, wszyscy mamy swoje drobne dziwactwa, Sam, nawet ty.

I z tym unoszącym się w powietrzu perfumowanym napomnieniem lady Sybil potrząsnęła dłonią ochmistrzyni, po czym zwróciła się do syna:

- A ty, Sam, idziesz do łóżka zaraz po kolacji. I żadnych dyskusji.

Po chwili grupka przyjezdnych wkroczyła do holu, który okazał się praktycznie zbrojownią. Zawsze byłby zbrojownią w oczach dowolnego policjanta, choć dla Ramkinów, którzy wieszali na wszystkich ścianach swoje miecze, halabardy, kordelasy, maczugi, piki i tarcze, zbiór ten stanowił zapewne tylko historyczne umeblowanie. A pośrodku wisiał ogromny herb Ramkinów. Vimes znał już ich dewizę, głoszącą: „Co mamy, to nasze". Można by to uznać za sugestię.

Wkrótce potem lady Sybil wzięła się do pracy w wielkiej pralni i prasowalni, wspólnie ze służącą Purity, którą - na żądanie Vimesa - zatrudnili po narodzinach Młodego Sama i która - jak wierzyli z żoną - dobrze się rozumiała z Willikinsem, choć co dokładnie oboje rozumieli, pozostawało kwestią spekulacji. Obie kobiety zajmowały się typowo żeńską rozrywką, polegającą na wyjmowaniu ubrań z jednych pojemników i wkładaniu ich do innych pojemników. Mogło to trwać długo, a obejmowało krótką ceremonię podnoszenia niektórych elementów odzieży do światła i wzdychania ze smutkiem.

Z braku czegoś lepszego do roboty Vimes wrócił na wspaniałe schody, gdzie zapalił cygaro. Sybil twardo nie zgadzała się na palenie w domu.

- Nie musi pan tego robić, sir - usłyszał zza pleców. - Dwór dysponuje całkiem przyzwoitą palarnią, wyposażoną w nakręcany odciągacz dymu, bardzo elegancki, proszę mi wierzyć, nieczęsto się takie widuje.

Pozwolił więc Willikinsowi się tam doprowadzić.

Palarnia rzeczywiście była bardzo porządna, uznał, choć osobiste doświadczenia z palarniami miał mocno ograniczone. W pomieszczeniu znajdował się duży stół bilardowy, a pod podłogą piwniczka mieszcząca więcej alkoholu, niż dowolny zreformowany alkoholik powinien oglądać.

- Uprzedziliśmy ich, że nie piję, Willikins, prawda?

- Oczywiście, sir. Silver stwierdził, że Dwór uznaje za rozsądne... tak to chyba określił... utrzymywanie pełnej piwniczki na wypadek niespodziewanych wizyt.

- No cóż, wstyd byłoby nie skorzystać z takiej okazji, Willikins. Nie krępuj się zatem i nalej sobie.

Willikins otrząsnął się wyraźnie.

- Ależ nie, sir. W żaden sposób nie mógłbym tego zrobić, sir.

- Dlaczego nie?

- Tak się nie postępuje, sir. Byłbym pośmiewiskiem w Stowarzyszeniu Dżentelmenów Dżentelmenów, gdybym zachował się tak impertynencko, by napić się ze swoim pracodawcą. Byłoby to zachowanie powyżej mojej klasy.

Uraził tym Vimesa do głębi jego rozdygotanego, egalitarnego ducha.

- Znam twoją klasę, Willikins, i jest mniej więcej taka sama jak moja, kiedy już przejdziemy do sedna i kiedy rany się zagoją.

- Proszę mnie wysłuchać, sir - rzekł Willikins niemal błagalnym tonem. - Od czasu do czasu musimy przestrzegać pewnych reguł. Tak więc, przy tej okazji, nie napiję się z panem, jako że nie jest to Noc Strzeżenia Wiedźm ani narodziny dziedzica, co zostało uwzględnione w regułach. Zamiast tego skorzystam z dopuszczalnej alternatywy, to znaczy zaczekam, aż pójdzie pan spać, i wtedy wypiję pół butelki.

No cóż, pomyślał Vimes, wszyscy mamy swoje zabawne przyzwyczajenia, choć u Willikinsa nie wszystkie byłyby zabawne, gdyby rozgniewał się na kogoś w ciemnym zaułku. Poweselał jednak, widząc, jak kamerdyner przeszukuje dobrze wyposażony barek koktajlowy i bardzo starannie wrzuca różne składniki do szklanego shakera.

Nie powinno być możliwe uzyskanie efektów alkoholu w drinku niezawierającym alkoholu, jednak pośród talentów, które Willikins przez lata zdobył, a może ukradł, była również umiejętność wymieszania zwykłych gospodarskich substancji w koktajl dający wszelkie wrażenia, jakich człowiek oczekuje od alkoholu. Trafiały tam tabasco, ogórek, imbir i chilli, a poza nimi... lepiej było nie zadawać zbyt wielu pytań.

Z drinkiem w dłoni Vimes usiadł wygodnie i zapytał:

- Służba w porządku, Willikins?

Kamerdyner zniżył głos.

- Och, czasem podbierają to i owo, sir, ale nie więcej niż zwykle, według mojej oceny. Każdy coś tam zwija, to zwykła premia w tej pracy i tak przecież działa świat.

Vimes uśmiechnął się, widząc wręcz teatralnie nieruchomą twarz Willikinsa, i odpowiedział głośno, specjalnie dla ukrytego słuchacza.

- Więc to sumienny pracownik, tak? Ten Silver? Miło mi to słyszeć.

**Stanowisko Vimesa byto dość skomplikowane: uważat, że wszyscy ludzie są równi, ale przecież sierżant nie jest tak równy jak kapitan, a kapitan nie jest tak równy jak komendant. Co do kaprala Nobby'ego Nobbsa... cóż, nikt nie mógłby się równać z kapralem Nob- bym Nobbsem. W tych okolicznościach metal nie byłby odpowiedni... ani bezpieczny.*

- Moim zdaniem mocno trzyma się zasad. - Kamerdyner spojrzał znacząco na niewielką kratkę w ścianie, wlot legendarnego odciągacza powietrza, który niewątpliwie wymagał kogoś, kto nakręci mechanizm. A czy jakikolwiek majordomus, wart swego okazałego brzucha, zlekceważyłby możliwość poznania opinii swego nowego pracodawcy? Akurat!

To jakby premia, prawda? Ludzie tu korzystają z okazji. Nie trzeba na to dowodów, takie zachowanie leży w ludzkiej naturze. On sam regularnie sugerował Sybil - nie śmiał nalegać - by zamknąć tę rezydencję i sprzedać ją komuś, kto naprawdę chciałby mieszkać w tym - jak słyszał - zimnym i skrzypiącym budynku, i tak wielkim, że można by w nim zakwaterować cały regiment wojska. Nie chciała o tym słyszeć. Miała piękne wspomnienia ze spędzonego tutaj dzieciństwa, jak tłumaczyła, ze wspinania się na drzewa, pływania, łowienia ryb w rzece, zrywania kwiatów, pomagania ogrodnikom i innych radosnych wiejskich przedsięwzięć, dla Vimesa dalekich jak księżyc. Jego młodzieńcze zajęcia wiązały się wyłącznie z przetrwaniem. Łapanie ryb w rzece Ankh było możliwe, pod warunkiem że człowiek bardzo się pilnował, by niczego nie złapać. Właściwie to zadziwiające, co taki człowiek mógł złapać, pozwalając jedynie, by jedna kropla Ankh spłynęła mu do ust. A co do wycieczek, no cóż, w Ankh-Morpork zdarzało się, że coś z dzieciaków wyciekało. Często krew.

* * *

Vi mes miał za sobą długi dzień, a poprzednia noc w zajeździe też nie należała do spokojnych i przywracających siły. Zanim jednak położył się spać, otworzył okno i wyjrzał w noc. Wiatr mruczał coś cicho wśród drzew - Vimes nie aprobował drzew, ale Sybil je lubiła i to kończyło sprawę. Wiejskie akcesoria, których nie miał ochoty poznawać, szeleściły, pokrzykiwały, mamrotały albo nie wiedzieć czemu szalały w mroku na zewnątrz. Nie miał pojęcia, co to za jedne, i miał nadzieję nigdy się nie dowiedzieć. W ogóle do czego to podobne, żeby porządny człowiek musiał zasypiać przy takich hałasach?

Ułożył się obok żony w wielkim łożu i przewracał się trochę, zanim ją znalazł, i wreszcie mógł spokojnie zasnąć. Kazała mu zostawić otwarte okno, żeby do wnętrza napuścić rzekomo wspaniałego świeżego powietrza, więc teraz leżał smętny, wytężając uszy, by usłyszeć uspokajający głos wracającego do domu pijaka, kłótni z właścicielem lektyki o wymiociny na tapicerce, jakąś przypadkową bójkę uliczną, kłótnię domową czy nawet przenikliwy krzyk, a wszystko to urozmaicone biciem miejskich zegarów, sławnych z tego, że żadne dwa nie zgadzały się co do czasu. Zwykle towarzyszyły temu również bardziej subtelne odgłosy, takie jak turkot kół cystern Harry'ego Króla, kiedy jego zbieracze

nieczystości zajmowali się zwykłymi interesami. A najlepszy był zawsze krzyk nocnego strażnika na końcu ulicy: „Już dwunasta i wszystko jest w porządku!". Jeszcze nie tak dawno każdy, kto by tego spróbował, zanim jeszcze ucichłyby echa wołania, zostałby okradziony z dzwonka, hełmu, a pewnie i butów. Ale już nie! Absolutnie! Dzisiaj patrolowała nowoczesna straż, straż Vimesa, a każdy, kto próbowałby z wrogą intencją zaatakować strażnika na patrolu, usłyszałby gwizdek i przekonał się, że jeśli już ktoś ma być skopany na ulicy, to na pewno nie strażnik. Patrolujący zaś zawsze starali się obwieszczać północ z niemal teatralną dykcją i zadziwiającą precyzją przed rezydencją pod numerem jeden przy Alei Scoone'a - żeby komendant usłyszał. Tutaj jednak Vimes nakrył głowę ogromną poduszką i starał się nie słyszeć przeraźliwego i niepokojącego braku hałasów; ten brak potrafił obudzić człowieka, który przez lata nauczył się ignorować wszystkie te wydawane punktualnie odgłosy.

Jednak o piątej rano natura wcisnęła guzik i cały świat oszalał: każdy radosny ptaszek i zwierzę oraz - sądząc po dźwięku - aligator rywalizował z pozostałymi, by być słyszalnym. Minęło jednak trochę czasu, nim ta kakofonia dotarła do Vimesa, ponieważ ogromne łoże dysponowało niemal niewyczerpanym zasobem poduszek. Vimes, kiedy nie spał we własnym łóżku, był wielkim entuzjastą poduszek. Nie dla niego był jeden czy nawet dwa smętne worki pierza, dodane niczym spóźniona refleksja. Nie! Lubił zakopać się w poduszki, zmienić je w miękką fortecę, pozostawiając tylko niewielki otwór dla dopływu tlenu.

Dlatego ów straszliwy harmider już zamierał, kiedy Vimes powoli wypłynął na powierzchnię pościeli. No tak, przypomniał sobie, to kolejna cecha wsi: zaczyna się o wiele za wcześnie. Jako komendant był - z konieczności i wrodzonych inklinacji - stworzeniem nocnym, czasem nawet całonocnym; koncepcja dwóch godzin siódmych jednego dnia była dla niego czymś obcym. Z drugiej strony jednak wyczuwał zapach bekonu, a po chwili dwie nerwowe panienki wkroczyły do pokoju, niosąc tace na skomplikowanych metalowych konstrukcjach, które po rozłożeniu prawie - ale nie całkiem - uniemożliwiały siedzenie w łóżku i zjadanie śniadania leżącego na owych tacach.

Vimes zamrugał. Sprawy zaczynały wyglądać o wiele lepiej. Na ogół Sybil za swój małżeński obowiązek uważała pilnowanie, by jej mąż żył wiecznie. Była przekonana, że ta szczęśliwa sytuacja jest osiągalna metodą karmienia go pobudzającymi ruchy jelit orzechami, ziarnami i jogurtem, będącego dla Vimesa odmianą sera, który nie postarał się dostatecznie. Poza tym prześladowała go tą nieszczęsną podróbką kanapki z bekonem, pomidorem i sałatą. Zadziwiające, lecz prawdziwe, że w tej kwestii strażnicy skłonni byli co do słowa przestrzegać zaleceń żony szefa. A kiedy ów szef krzyczał i tupał, co jest całkowicie zrozumiałe i wybaczalne u człowieka, któremu odmawiają jego przedpołudniowego kawałka spalonej świni, odsyłali go do instrukcji otrzymanej od jego żony, całkowicie pewni, że wszelkie groźby usunięcia ze służby są puste, a gdyby zostały wykonane, podlegały natychmiastowemu odwołaniu.

Po chwili spomiędzy poduszek wynurzyła się Sybil.

-Jesteś na wakacjach, kochanie - powiedziała.

Dopuszczalny na wakacjach jadłospis obejmował też dwa smażone jajka, tak jak lubił, oraz kiełbaskę, i niestety nieprzysmażoną kromkę chleba, która nawet na urlopie najwyraźniej pozostała grzechem. Natomiast kawa była gęsta, czarna i słodka.

- Mocno spałeś - stwierdziła Sybil, gdy Vimes wpatrywał się w tę nieoczekiwaną obfitość.
- Nie, wcale nie, skarbie - zapewnił. - Słowo daję, nawet oka nie zmrużyłem.
- Sam, chrapałeś przez całą noc! Słyszałam!

Wiedza Vimesa o udanym małżeństwie powstrzymała go przed dalszymi komentarzami, z wyjątkiem:

- Naprawdę, skarbie? Chrapałem? Oj, przepraszam...

Sybil przerzuciła plik pastelowych kopert ułożony na jej tacy ze śniadaniem.

- Widzę, że wieści się rozchodzą - stwierdziła. - Księżna Keep- sake zaprosiła nas na bal. Sir Henry i lady Withering zaprosili nas na bal, a lord i lady Hangfinger zaprosili nas... tak jest! Na bal.
- Strasznie dużo tych... - zaczął Vimes.
- Nawet nie próbuj, Sam - ostrzegła go żona.
- ...zaproszeń... - dokończył niepewnie. - Wiesz przecież, kochanie, że nie umiem tańczyć. Szuram tylko nogami i nadeptuję ci na palce.

- Widzisz, to głównie dla młodych. Ludzie przyjeżdżają tutaj dla leczniczych kąpieli w Ham-na-Zytnim, kawałek stąd. Tak naprawdę chodzi o to, żeby wydać córki za odpowiednich dżentelmenów, a to oznacza bale, prawie bezustanne bale.

-Jakoś sobie poradzę z walcem - uznał Vimes. - To tylko kwestia liczenia. Ale wiesz sama, że nie znoszę skakania w kółko, jak przy ogołoceniu wdowy albo wesołych gordonach.

- Nie martw się, Sam. Większość starszych mężczyzn znajduje sobie jakiś cichy kątek, gdzie mogą usiąść i zapalić cygaro albo zażyć tabaki. Ich żony zajmują się wyszukiwaniem właściwych partii dla swoich córek. Mam nadzieję, że moja przyjaciółka Ariadna znajdzie odpowiednich mężów dla dziewcząt. Miała sześcioraczki, wielka rzadkość. Oczywiście, młoda Mavis jest bardzo pobożna, a zawsze w pobliżu trafi się jakiś młody kapłan szukający żony, a przede wszystkim posagu. Natomiast Emily jest niewysoką blondynką i świetną kucharką, choć trochę przeczuloną na punkcie swego obfitego łona.

Vimes spojrzał w sufit.

- Podejrzewam, że nie tylko ona znajdzie męża, ale i mąż ją znajdzie - oświadczył. - Możesz to nazwać męską intuicją.

-Jestjeszcze Fleur - kontynuowała lady Sybil, ignorując przynętę. - Jak rozumiem, robi całkiem ładne kapelusiki. I ta, no.. Amanda, chyba. Podobno interesuje się żabami, chociaż mogłam nie dosłyszeć, co mówiła jej matka. - Zastanowiła się i dodała: - No i Jane. Dziwna dziewczyna, według opinii matki, która nie bardzo wie, co o niej myśleć.

Jego brak zainteresowania dla cudzych dzieci nie miał granic, ale Vimes potrafił liczyć.

- Co z ostatnią?

- Hermiona... Z nią pewnie będą kłopoty. Wywołała skandal w rodzinie, przynajmniej w opinii krewnych.

-Jak?

-Jest drwalem.

Vimes zastanowił się chwilę.

- No cóż, kochanie, powszechnie wiadomo, że mężczyzna, mający dość drewna, z pewnością pragnie żony, która potrafi operować wielkim, twardym...

Lady Sybil przerwała mu gwałtownie.

- Samie Vimes, wydaje mi się, że zamierzasz wygłosić niedelikatną uwagę.

- Mam wrażenie, że dotarłaś do celu przede mną - odparł z uśmiechem Vimes. - Jak zwykle zresztą, przyznasz chyba.

- Może i masz rację, kochanie - zgodziła się. - Ale tylko dlatego, by uprzedzić cię przed wypowiedzeniem jej na głos. Jesteś przecież diukiem Ankh, powszechnie uważanym za prawą rękę Vetinariego, a to oznacza, że wypada ci przestrzegać pewnych form, nie sądzisz?

Dla kawalera byłaby to zapewne dyskretna porada, ale dla doświadczonego małżonka był to rozkaz, tym bardziej stanowczy, że wygłoszony tak delikatnie.

Dlatego, kiedy sir Samuel Vimes, komendant Vimes i jego łaskawość diuk Ankh wyszli razem po śniadaniu, zachowywali się wzorowo. Okazało się niestety, że inni niekoniecznie.

Któraś ze służących zamiatała korytarz niedaleko drzwi sypialni. Raz tylko spojrzała na Vimesa, który maszerował w jej stronę, odwróciła się do niego plecami i znieruchomiała, wpatrzona w ścianę. Wydawało się, że dygocze z przerażenia. Vimes już dawno się przekonał, że w takich okolicznościach mężczyzna na pewno nie powinien zadawać żadnych pytań, a tym bardziej oferować pomocy. Rezultatem mógłby wtedy być wrzask. Pewnie dziewczyna jest zwyczajnie wstydliwa, powiedział sobie.

Zdawało się jednak, że ta wstydliwość jest zaraźliwa. Idąc, spotykał służące ścierające kurze, zamiatające podłogi czy przenoszące jakieś tace. I za

---

**Nie wspominając już o dyżurnym klasowym Vimesie, postaci znaczącej w społeczności krasnoludów.*

każdym razem, kiedy się zbliżył, odwracały się plecami i patrzyły nieruchomo w ścianę, jakby od tego zależało ich życie. Zanim dotarł do długiej galerii obwieszonej portretami przodków jego żony, miał tego serdecznie dość. Kiedy więc młoda dziewczyna, niosąca tacę z herbatą, wykonała piruet niczym tancerka na wieku pozytywki, stanął przy niej.

- Przepraszam, panienko, ale czy jestem aż tak brzydki? - zapytał.

Na pewno było to lepsze niż pytanie, czemu jest taka niegrzeczna. Dlaczego więc, w imię dowolnych trzech bogów, rzuciła się do ucieczki, aż dzwonił herbaciany serwis?

Spośród rozmaitych Vimesów kontrolę przejął komendant. Diuk byłby zbyt przerażający, a klasowy dyżurny zwyczajnie by nie dał rady.

- Stój! Nie ruszaj się! A teraz odłóż tacę i odwróć się powoli!

Zahamowała tak ostro, że pośliznęła się, odwracając z gracją
i nie wypuszczając tacy. Stanęła, drżąc ze strachu, i czekała, aż Vimes ją dogoni.

-Jak się nazywasz, panienko? - zapytał.

Odpowiedziała, cały czas odwracając twarz:

- Hodges, wasza łaskawość, bardzo przepraszam waszą łaskawość.

Serwis nadal podzwaniał.

- Nie potrafię się skupić przy tym brzęczeniu, więc odłóż ostrożnie tę tacę, dobrze? Nic złego ci się nie stanie, ale chciałbym wiedzieć, z kim rozmawiam, jeśli można, bardzo dziękuję.

Z wahaniem zwróciła się w jego stronę.

- No właśnie. Panno, eee... Hodges, o co tu chodzi? Przecież z pewnością nie musisz przede mną uciekać?

- Proszę, jaśnie panie...

Dziewczyna podeszła do najbliższych obitych zielonym suknem drzwi i zniknęła za nimi. W tym momencie Vimes spostrzegł trochę z tyłu drugą pokojówkę, niemal doskonale zamaskowaną w swoim ciemnym uniformie, zwróconą twarzą do ściany i drżącą wyraźnie. Z pewnością widziała wszystko, co zaszło.

Podszedł do niej wolno.

- Nic nie mów - powiedział cicho. - Tylko kiwnij albo pokręć głową, kiedy zadam ci pytanie. Rozumiesz?

Ledwie dostrzegalnie skinęła głową.

- Dobrze, robimy postępy. Będziesz miała kłopoty, jeśli się do mnie odezwiesz?

I znowu mikroskopijne skinienie.

- A czy możesz mieć kłopoty, ponieważ ja się do ciebie odezwałem?

Pokojówka, całkiem pomysłowo, wzruszyła ramionami.

- A tamta dziewczyna?

Wciąż odwrócona plecami i prawie niewidoczna, służąca wysunęła lewą dłoń ze znacząco zwróconym w dół kciukiem.

- Dziękuję ci - powiedział Vimes. - Bardzo mi pomogłaś.

Zamyślony wrócił na górę aleją zwróconych ku sobie pleców.
Był wdzięczny losowi za spotkanie w pralni Willikinsa. Kamerdyner nie odwrócił się tyłem, co Vimes przyjął z ulgą.

Willikins składał koszule ze starannością i uwagą, jaką w innej sytuacji mógłby przywołać dla równego ucięcia ucha pokonanego przeciwnika. Kiedy mankiety jego nieskazitelnie czystej koszuli przesuwały się nieco w górę, można było zauważyć fragmenty tatuaży na ramionach, choć szczęśliwie nie dało się odczytać, co mówiły.

- Willikins - rzekł Vimes. - O co chodzi z tymi odwracającymi się służącymi?

Kamerdyner się uśmiechnął.

- Stary zwyczaj, sir. Jego przyczyna, oczywiście... często istnieje, nawet jeśli wydaje się kompletną głupotą. Bez urazy, komendancie, ale sugeruję, żeby tym odwracającym się pokojówkom pozwolić się odwracać, dopóki nie rozejrzy się pan po okolicy, że tak powiem. Poza tym lady Sybil i Młody Sam są w pokoju dziecinnym.

Kilka minut później Vimes, po kilkakrotnym zastosowaniu metody prób i błędów, wkroczył do czegoś, co w pewnym staroświeckim stylu było rajem.

**Willikins był znakomitym pokojowcem i dżentelmenem dżentelmena, gdy wymagała tego sytuacja, ale w swej długiej karierze bywał też entuzjastycznym uczestnikiem walk ulicznych, dostatecznie rozsądnym, by wiedzieć, że nigdy nie należy odwracać się plecami do kogoś, kto może mieć przy sobie broń.*

Nie miał licznych krewnych. Niewielu ludzi skłonnych było przyznać, że ich daleki przodek to królobójca. Oczywiście, to już była historia i nowy diuk Ankh zdumiewał się tym, jak książki historyczne czciły teraz pamięć starej Kamiennej Gęby, strażnika, który ściął głowę temu odrażającemu draniowi na tronie, zadając cios w imię wolności i sprawiedliwości. Historia jest tym, czym się ją uczyni, jak się przekonał, a lord Vetinari był człowiekiem posiadającym dostęp do całego zakresu mechanizmów przekonywania, pozostałych - jak chciał szczęśliwy los - właśnie z czasów królobójstwa i obecnie wciąż dobrze naoliwionych w piwnicy. Tak, historia rzeczywiście jest tym, czym się ją uczyni, a Vetinari potrafił ją uczynić tym, czym zechciał. I tak przerażający zabójca królów w cudowny sposób zniknął - nigdy go nie było, to jakaś pomyłka, kto o nim słyszał, taka osoba nie istniała - zastąpiony heroicznym, choć tragicznie niezrozumianym Pogromcą Tyranów, Kamienną Gębą Vimesem, sławnym przodkiem powszechnie szanowanego jego łaskawości diuka Ankh, komendanta sir Samuela Vimesa. Historia to cudowna rzecz - zmienna jak morze, a fala odpływu porwała Vimesa.

Jego rodzina żyła z pokolenia na pokolenie. Nigdy nie było pamiątek, rodowych klejnotów, makatek haftowanych przez dawno zmarłą ciotkę, żadnych interesujących starych urn na strychu u babci, co do których istniała nadzieja, że jakiś wykształcony młody człowiek, znający się na antykach, uzna je za warte tysiąc dolarów i można będzie aż puchnąć z dumy. No i nie było absolutnie żadnych pieniędzy, jedynie pewna kwota niespłaconych długów. Ale tutaj, w pokoju dziecinnym, leżały równo poukładane całe generacje zabawek i gier, niektóre trochę wytarte od długiego użytkowania, w szczególności koń na biegunach niemal naturalnej wielkości, z prawdziwym skórzanym siodłem i rzędem nabijanym szczerym srebrem (co Vimes odkrył ze zdumieniem, pocierając elementy palcem). Był fort, dostatecznie duży, żeby chłopiec mógł stanąć w środku i go bronić, oraz zestaw dziecięcych rozmiarów machin oblężniczych, żeby ów fort atakować, być może z pomocą licznych pudełek ołowianych żołnierzyków, wszystkie pomalowane we właściwe kolory regimentów i ze wszystkimi szczegółami. Niewiele brakowało, a Vimes uklęknąłby na podłodze, żeby się nimi pobawić. Stały tu modele jachtów, pluszowy miś tak ogromny, że przez jeden straszliwy moment Vimes zastanawiał się, czy to może prawdziwy, wypchany. Były tu proce, bumerangi, szybowce... a pośrodku tego wszystkiego stał Młody Sam, jak sparaliżowany i niemal we łzach, świadomy faktu, że choćby nie wiadomo jak się starał, nie jest w stanie bawić się wszystkim naraz. Zupełnie to nie przypominało dzieciństwa Vimesa i zabaw w patysie-kupisie prawdziwymi kupkami.

Kiedy źrenica ich oczu niepewnie dosiadła konia na biegunach, który miał przeraźliwie wielkie zęby, Vimes opowiedział żonie o irytująco wirujących służących. Sybil tylko wzruszyła ramionami.

- Tak właśnie się zachowują, kochanie - powiedziała. - Do tego są przyzwyczajone.

-Jak możesz tak mówić?! To przecież poniżające!

W rozmowach z mężem lady Sybil używała absolutnie spokojnego, pełnego zrozumienia tonu.

- To dlatego, że technicznie biorąc, stoją nisko. Bardzo wiele czasu poświęcają na obsługiwanie ludzi o wiele od siebie ważniejszych. A ty, skarbie, jesteś na samym szczycie listy.

- Wcale nie uważam, żebym był od nich ważniejszy - zaprotestował Vimes.

- Chyba wiem, co chcesz powiedzieć, i przynosi ci to zaszczyt, przyznaję. Ale to, co naprawdę powiedziałeś, to bzdura. Jesteś diukiem, komendantem Straży Miejskiej i... - Urwała.

- Klasowym dyżurnym - dokończył odruchowo Vimes.

-Takjest, Sam, najwyższy honor, jaki uznaje król krasnoludów.

- Oczy Sybil zamigotały. - Klasowy dyżurny Vimes, który może usuwać napisy, może zetrzeć to, co istnieje. To właśnie ty, Sam. Gdybyś został zabity, dwory tego świata ogarnąłby zamęt, a niestety, śmierć pokojówki by nimi nie wstrząsnęła. - Uniosła dłoń, widząc, że mąż otwiera usta. - Wiem, że tobą tak, Sam. Ale choć jestem przekonana, że to wspaniałe dziewczyny, obawiam się też, że gdyby zmarły, tylko ich rodziny i może jakiś młody człowiek byliby niepocieszeni, natomiast reszta świata by tego nie zauważyła. Gdybyś jednak ty został zamordowany, choć to przerażająca myśl i rzeczywiście jestem przerażona za każdym razem, kiedy wychodzisz na służbę, nie tylko Ankh-Morpork, ale cały świat dowie się o tym natychmiast. Mogą wybuchnąć wojny i obawiam się, że pozycja Vetinariego będzie nieco zagrożona. Jesteś ważniejszy niż te pokojówki. Jesteś ważniejszy niż ktokolwiek inny w straży. Sądzę, że mylisz znaczenie i wartość. - Pocałowała go lekko w policzek. - Kimkolwiek w swojej opinii byłeś kiedyś, Sam, wypłynąłeś i zasługiwałeś na to. Wiesz dobrze, że na wierzch wypływa sama śmietanka.

- Albo szumowiny - odparł Vimes i natychmiast tego pożałował.

-Jak śmiesz tak mówić, Samie Vimes?! Mogłeś być surowym diamentem, ale sam się wypolerowałeś. I jakkolwiek to ujmiesz, mój mężu, nie jesteś już człowiekiem z ludu. Natomiast z pewnością stałeś się człowiekiem dla ludu i moim zdaniem lud o wiele lepiej na tym wyszedł. Rozumiesz?

Młody Sam z podziwem patrzył na ojca, z grzbietu konia na biegunach, rozhuśtanego do galopu. Pomiędzy synem a żoną Yimes nie miał żadnych szans. Wydawał się tak załamany, że lady Sybil -jak to żona - spróbowała trochę go pocieszyć.

- Pomyśl, Sam, przecież oczekujesz od swoich ludzi, że wypełnią swoje obowiązki. Ochmistrzyni oczekuje tego samego od swoich dziewcząt.

- To całkiem co innego, naprawdę. Gliny pilnują ludzi, a ja nigdy im nie mówiłem, że nie mogą z kimś rozmawiać. W końcu ten ktoś może dostarczyć użytecznej informacji.

Zdawał sobie sprawę, że technicznie jest to prawda, jednak na większości ulic ktokolwiek, kto jest widziany, jak daje policjantowi cokolwiek bardziej użytecznego niż wolna chwila, wkrótce się przekona, że przy jedzeniu niezbędnym narzędziem będzie dla niego słomka. Lecz analogia była poprawna, pomyślał, a w każdym razie pomyślałby, gdyby był człowiekiem, któremu słowo „analogia" przychodzi łatwo. To, że jest się czyjąś służącą, to jeszcze nie powód, żeby się zachowywać jak nakręcana zabawka.

- Wyjaśnić ci przyczynę tych wirujących służących, Sam? - zaproponowała Sybil, gdy Młody Sam przytulił wielkiego pluszowego misia, który go wystraszył, warcząc nagle. - Obyczaj ten został wprowadzony w czasach mojego dziadka na prośbę mojej babci. W tamtych latach prowadziliśmy dom otwarty i w niektóre weekendy przyjmowaliśmy dziesiątki gości. Oczywiście, pewna ich liczba była młodymi ludźmi z bardzo dobrych rodzin w mieście, nieźle wykształconymi i pełnymi... tak to określę... energii i wigoru.

Sybil zerknęła na Młodego Sama i z ulgą odkryła, że ustawia żołnierzyki w szereg.

- Służące natomiast z samej natury rzeczy na ogół nie są dobrze wykształcone, a także, wstyd powiedzieć, mogły też być odrobinę nazbyt uległe wobec ludzi, których przyzwyczaiły się uważać za lepszych od siebie.

Zaczęła się rumienić. Wskazała Młodego Sama, który szczęśliwie nadal nie zwracał uwagi na rodziców.

-Jestem pewna, że widzisz już ogólny obraz, Sam? No więc moja babka, której z pewnością byś nienawidził, miała przyzwoite instynkty i nakazała, by wszystkie służące nie tylko powstrzymały się od rozmów z gośćmi płci męskiej, ale też powinny unikać kontaktu wzrokowego z nimi, pod karą utraty pracy. Mógłbyś uznać, że była zbyt okrutna, by być dobrą osobą, ale nie aż tak okrutna, jeśli się chwilę zastanowisz. Kiedy nadszedł czas, służące odchodziły z Dworu z dobrymi referencjami i nie krępowały się, nosząc w dniu ślubu białą suknię.

- Ale ja przecież jestem szczęśliwym mężem - zaprotestował Vimes. - I nie wyobrażam sobie, żeby Willikins chciał się narażać na gniew Purity!

- Istotnie, kochanie. Dlatego zamienię kilka słów z panią Silver. Ale jesteśmy na wsi, Sam. Tutaj załatwiamy sprawy trochę wolniej. A teraz może weź Młodego Sama nad rzekę? I zabierz ze sobą Willikinsa. Zna okolicę.

* * *

Młody Sam nie potrzebował specjalnych rozrywek. Właściwie sam tworzył sobie rozrywki, konstruując je w dużej liczbie z obserwacji pejzażu, bajek opowiadanych mu do snu zeszłego wieczoru czy jakiejś ulotnej myśli, jaka przemknęła mu przez głowę. Coraz częściej wspominał o panu Świstku, który mieszkał w domku na drzewie, ale czasem był smokiem. Miał też wielki bucior i nie lubił śród, bo dziwnie pachną. Miał też deszczosol.

Tak więc wiejska okolica nie budziła w Młodym Samie niepokoju. Biegł przed Vimesem i Willikinsem, wskazywał drzewa, owce, kwiaty, ptaki, ważki, dziwne chmury i ludzką czaszkę. To znalezisko zrobiło na nim wrażenie i pognał pędem, żeby pokazać je tatusiowi, który wpatrywał się w nie, jakby zobaczył... no, ludzką czaszkę. Jednak wyraźnie była ludzką czaszką już od bardzo dawna i wydawała się zadbana, a przynajmniej wypolerowana.

Kiedy Vimes obracał ją w dłoniach, szukając jakichkolwiek kryminalistycznych sugestii zbrodni, zza krzaków usłyszał klapanie sandałów akompaniujące wokalnemu tłumaczeniu, co niezidentyfikowany osobnik zrobi z ludźmi, którzy podkradają mu czaszki. Po chwili rozsunęły się gałęzie i wzmiankowany niezidentyfikowany osobnik okazał się mężczyzną o nieokreślonym wieku i liczbie zębów, ubranym w brudną brązową szatę i noszącym brodę tak długą, jakiej Vimes w życiu nie oglądał, a był człowiekiem, który często odwiedzał Niewidoczny Uniwersytet, gdzie magowie uważali, iż dowodem mądrości jest wyhodowanie brody, która ogrzewa kolana. W tym przypadku broda powiewała za właścicielem niczym ogon komety. Zaczęła go doganiać, kiedy wielkie stopy w sandałach wyhamowały gwałtownie, ale wskutek własnego pędu zaczęła zwalać mu się na głowę. Mogła zawierać w sobie mądrość, gdyż właściciel okazał dość rozumu, by stanąć jak wryty, kiedy zobaczył groźny wzrok Vimesa.

Zapadła cisza, zakłócana jedynie śmiechem Młodego Sama, gdy obdarzona własnym życiem broda osiadała na mężczyźnie niczym śnieg zimą.

Willikins odchrząknął.

- Myślę, że to pustelnik, komendancie.

- A co pustelnik robi tutaj? Myślałem, że tacy mieszkają na słupach na pustyni!

Vimes zmierzył wzrokiem człowieka w łachmanach, który najwyraźniej uznał, że potrzebne jest wyjaśnienie, i miał zamiar je przedstawić niezależnie od tego, czy istotnie było potrzebne, czy jednak nie.

- Tak, panie, wiem, panie, to taki dość powszechny przesąd i osobiście nigdy w niego specjalnie nie wierzyłem, a to z powodu kłopotów w załatwianiu tego, co można określić jako potrzeby toaletowe i tym podobne. Rozumiesz, panie, takie rzeczy mogą być dopuszczalne daleko za granicą, gdzie zawsze świeci słońce i leży dużo piasku, ale mnie to nie wystarczy, panie, na pewno nie.

Osobnik wyciągnął dłoń, składającą się głównie z paznokci.

- Głąb - przedstawił się dumnie. - Bo często zapuszczam się w myślową głąb, cha, cha, to taki mały żarcik.

- Tak, rzeczywiście - zgodził się Vimes z nieruchomą twarzą.

- W samej rzeczy, to żart, panie - zapewnił Głąb. - Jedyny, jaki znam. Już prawie pięćdziesiąt siedem lat zajmuję się tu szlachetną profesją pustelniczą, praktykując pobożność, trzeźwość, celibat i poszukiwanie prawdziwej mądrości, zgodnie z tradycją mojego ojca, dziada i pradziada. Właśnie pradziada trzymasz, panie - poinformował uprzejmie. - Pięknie błyszczy, nieprawdaż?

Vimesowi udało się nie upuścić czaszki.

- Zapewne pański synek zabłądził do mojej groty, panie - ciągnął Głąb. - Bez urazy, ale chłopcy ze wsi czasem lubią psoty i ledwie dwa tygodnie temu musiałem ściągać pradziadka z drzewa.

Willikins pierwszy zdołał się odezwać.

- Trzymasz w grocie czaszkę własnego pradziada? - wykrzusił.

- Ależ tak, panowie. Mojego ojca również. To rodzinna tradycja, rozumiecie. Dziadka też. Pustelniczymy tu nieprzerwanie już od trzystu lat, ucząc pobożnego myślenia i wiedzy, że wszystkie drogi wiodą jedynie do grobu, a także innych posępnych rozważań. Uczymy wszystkich, którzy chcą ich u nas szukać, a bardzo niewielu ich jest w dzisiejszych czasach, muszę przyznać. Mam nadzieję, że także mój syn będzie mógł włożyć moje sandały, kiedy tylko dorośnie. Jego matka twierdzi, że wyrasta na bardzo poważnego młodego człowieka, więc żyję z nadzieją, że pewnego dnia porządnie mnie wypoleruje. Nie brakuje miejsca na półce czaszek w grocie.

- Twój syn? - zdziwił się Vimes. - Wspominałeś o celibacie...

- Bardzo celna uwaga, wasza łaskawość. Raz w roku dostajemy tydzień wakacji. Człowiek nie może przecież żyć tylko ślimakami i ziołami z brzegu rzeki...

Vimes delikatnie zasugerował, że mają jeszcze spory kawałek do przejścia, więc zostawili pustelnika, ostrożnie niosącego rodzinną relikwię do groty, czymkolwiek była. Kiedy uznał, że są już bezpiecznie poza zasięgiem słuchu, zamachał bezradnie rękami.

- Dlaczego? - spytał. - To znaczy... dlaczego?

- Och, całkiem sporo starych rodowych rezydencji ma na wyposażeniu pustelnika, sir. Uważa się, że grota z pustelnikiem w środku jest romantyczna.

- Trochę był uciążliwy dla nosa...

- Nie wolno im się kąpać, sir. Powinien pan również wiedzieć, że otrzymuje wsparcie w wysokości dwóch funtów ziemniaków, trzech półkwaterek słabego piwa albo cydru, trzech bochenków chleba i jednego funta smalcu tygodniowo. Zapewne także wszystkie ślimaki i zioła z brzegu rzeki, jakie tylko zdoła przełknąć. Sprawdziłem w księgach obrachunkowych, sir. Nie taka zła dieta jak na ozdobny element ogrodu.

- Nie taka zła, jeśli dorzucić trochę owoców i czasem jakiś środek przeczyszczający - zgodził się Vimes. - A więc przodkowie Sybil przychodzili tu i rozmawiali z pustelnikiem, kiedy stawali wobec filozoficznych problemów, tak?

Willikins zdumiał się wyraźnie.

- Wielkie nieba, sir, skądże! Nie wyobrażam sobie nawet, by któremuś przyszło do głowy coś takiego. Nigdy w życiu nie mieli najmniejszych skłonności do rozważania problemów ontologii czy epistemologii. Byli przecież arystokratami, sir. Arystokraci nie zauważają problemów filozoficznych. Ignorują je. Filozofia zawsze dopuszcza możliwość, że człowiek się myli, sir, a prawdziwy arystokrata wie, że zawsze ma rację. Tu nie chodzi o próżność, sir, ale
0 wrodzoną absolutną pewność. Czasami mogą być obłąkani jak cały kapelusz łyżeczek, ale w takim wypadku zawsze są obłąkani stanowczo i niewątpliwie.

Vimes słuchał z podziwem.

- Obserwowałem ich, sir. Za dawnych dni dziad lady Sybil zawsze pilnował, by na lato cała służba z Alei Scoone'a przyjeżdżała tutaj razem z państwem. Jak pan wie, sir, nie jestem naukowcem, a prawdę mówiąc, pan też nie. Ale kiedy człowiek dorasta na ulicy, uczy się szybko, bo kto nie uczy się szybko, ten jest trupem.

Szli właśnie ozdobnym mostkiem nad czymś, co zapewne było strumieniem z pstrągami, a także dopływem Zdradzieckiej Staruchy -

---

** Trochę później Vimes zastanowi! się, skąd Willikins zna główne działy filozofii, ale właściwie to proste: gdy człowiek kręci się po domach, w których jest dużo książek, wiedza jakoś w niego wsiąka. Jeśli chwilę pomyśleć, można zauważyć, że podobnie wsiąkła w Vimesa.*

pochodzenie tej nazwy Vimes dopiero miał zrozumieć. Dwaj mężczyźni i chłopiec na moście, który mógłby unieść tłumy razem z wozami i końmi. Świat wydawał się niezrównoważony.

- Widzi pan, sir - ciągnął Willikins - właśnie ta stanowczość dała im pieniądze i posiadłości. Czasami wskutek niej wszystko tracili, oczywiście. Jeden z wujów lady Sybil stracił kiedyś rezydencję
1 półtora tysiąca morgów żyznej ziemi wskutek stanowczego przekonania, że kwit z szatni pobije trójkę asów. Zginął w pojedynku, jaki odbył się wskutek tego, ale przynajmniej był bardzo stanowczo martwy.

- To snobizm i wcale mi się nie podoba - oświadczył Vimes.

Willikins potarł nos.

- Nie, komendancie, to wcale nie snobizm. Z tego, co widziałem, u prawdziwych arystokratów nie spotyka się go zbyt często. Zdarza się, że... że się nie przejmują, co myślą sąsiedzi, albo że chodzą w starych ubraniach. Są pewni siebie, sir. Kiedy lady Sybil była młodsza, cała rodzina przyjeżdżała tu na strzyżenie owiec. Jej ojciec babrał się w gnoju tak jak wszyscy, z podwiniętymi rękawami i w ogóle, i zawsze pilnował, żeby po wszystkim chłopcy dostali piwo, które pił razem z nimi, kufel w kufel. Oczywiście, zwykle pijał brandy, więc trochę piwa nie zwalało go na ziemię. Nigdy nie przejmował się tym, kim jest. Porządny chłop był z jej ojca... i dziada też. Byli pewni siebie, rozumie pan. Nigdy się niczym nie przejmowali.

Przez chwilę szli w milczeniu kasztanową aleją. Wreszcie Vimes odezwał się ponuro:

- Chcesz powiedzieć, że ja nie wiem, kim jestem?

Willikins spojrzał na gałęzie.

- Wygląda na to, że w tym roku będzie mnóstwo kasztanów - stwierdził zamyślony. -1 jeśli wybaczy pan tę sugestię, komendancie, proszę pomyśleć o sprowadzeniu tu syna, kiedy zaczną spadać. Jako dzieciak przez parę lat byłem mistrzem w grze w kasztany. Graliśmy zdechłymi szczurami i dopiero potem odkryłem, że te naprawdę służące do gry rosną na drzewach i nie rozgniatają się tak łatwo. Co do pańskiego pytania - ciągnął - sądzę, że Sam Vimes czuje się najlepiej, kiedy ma pewność, że jest Samem Vimesem. Na bogów, wcześnie w tym roku owocują.

Kasztanowa aleja skończyła się i przed nimi wyrósł jabłoniowy sad.

- Owoce nie są najlepsze jak na jabłka - stwierdził Willikins, kiedy z Vimesem i Młodym Samem szli w tamtą stronę, unosząc pył z kredowej drogi.

Vimesowi uwaga wydała się całkiem oderwana, jednak Willikins chyba uważał sad za bardzo ważny.

- Chłopak powinien to zobaczyć - tłumaczył entuzjastycznie. - Sam widziałem, kiedy jeszcze byłem pucybutem. Całkiem to zmieniło mój sposób myślenia o świecie. Otóż trzeci hrabia Ramkin, Jack zwany Szalonym, miał brata zwanego Woolsthorpe, pewnie za jakieś grzechy. Ów Woolsthorpe był kimś w rodzaju naukowca i pewnie posłaliby go na uniwersytet, żeby się kształcił na maga, jednak jego brat oświadczył, że każdy męski bliski krewny, który podejmie profesję wymagającą noszenia sukni, zostanie wydziedziczony tasakiem. Mimo to młody Woolsthorpe kontynuował swe studia nad filozofią naturalną w sposób, jaki przystoi dżentelmenom: rozkopując wszystkie podejrzane kurhany w okolicy, prasując tyle rzadkich gatunków jaszczurek, ile zdołał zebrać, i susząc wszystkie możliwe kwiaty, zanim staną się wymarłe. Historia mówi, że pewnego letniego dnia zasnął pod jabłonią i zbudził się, kiedy jabłko spadło mu na głowę. Człowiek o skromniejszym umyśle, jak to ujął jego biograf, nie dostrzegłby w tym niczego niezwykłego, Woolsthorpe jednak wysunął hipotezę, że skoro jabłka i praktycznie wszystko inne zawsze spada w dół, świat musiałby się stać groźnie niezrównoważony... chyba że działa tu jakiś inny czynnik, którego filozofia naturalna jeszcze nie odkryła. Nie tracąc czasu, wezwał do sadu któregoś z lokajów i grożąc usunięciem ze służby, skłonił, by ten leżał pod drzewem i czekał, aż jabłko uderzy go w głowę. Szansę tego wydarzenia zwiększał drugi lokaj, któremu Woolsthorpe nakazał energicznie potrząsać drzewem, dopóki wymagane jabłko nie spadnie. Sam Woolsthorpe przygotował się, by obserwować wszystko z pewnej odległości. Trudno sobie wyobrazić jego radość, kiedy nieuniknione jabłko istotnie spadło, ale dostrzegł i drugie, unoszące się z czubka drzewa i znikające w skarbcu niebios. Ten fakt wykazał jego hipotezę, że co się wznosi, musi upaść, o ile to, co upada, się wzniesie, tym samym chroniąc równowagę wszechświata. Niestety, działa to tylko dla jabłek, a co więcej, tylko jabłek z tego konkretnego drzewa, *Malus equilibria*. Ktoś podobno odkrył, że jabłka w górnej części wypełniają się gazem i odlatują, kiedy zatrzęsą się gałęzie. Dzięki temu mogą zrzucić nasiona w większej odległości od drzewa macierzystego. Natura jest cudowna. Szkoda tylko, że owoc smakuje jak psie odchody... - dodał, kiedy Młody Sam wypluł kęs. - Prawdę mówiąc, komendancie, złamanego pensa bym nie dał za całe te klasy wyższe, jakie udało mi się poznać, zwłaszcza w mieście. Ale niektórzy z tych starych wiejskich posiadłości rzeczywiście zmienili świat na lepszy. Taki na przykład Rzepa Ramkin, który zrewolucjonizował rolnictwo...

- Chyba o nim słyszałem - przypomniał sobie Vimes. - Miał coś wspólnego z uprawą roślin okopowych... Czy nie dlatego tak go nazywali?

- Prawie dobrze, sir - pochwalił Willikins. - W rzeczywistości wynalazł siewnik, czym umożliwił zwiększenie plonów i oszczędne wykorzystanie ziarna. Tylko wyglądał jak rzepa. Ludzie bywają okrutni,

sir. Miał brata, Gumowego Ramkina, który wymyślił nie tylko gumowe buty, ale i podgumowany materiał, jeszcze przed krasnoludami. W ogóle bardzo się interesował gumą, jak słyszałem, ale różnych ludzi trzeba, by stworzyć różnorodny świat. Zresztą świat byłby zabawny, gdybyśmy wszyscy byli podobni, a zwłaszcza gdybyśmy byli podobni do Gumowego Ramkina. Suche stopy i suchy grzbiet... o to modli się każdy farmer. Którejś zimy dorabiałem przy cięciu kapusty, sir. Pogoda chłodna jak dobroczynność, a deszcz padał tak gęsty, że krople ustawiały się w kolejce, by uderzyć o ziemię. Błogosławiłem wtedy Gumowego Ramkina z całego serca, nawet jeśli to prawda, co mówią o młodych damach, którym podobno bardzo się podobało...

- Wszystko to bardzo ładne - przyznał Vimes. - Ale nie równoważy głupich, aroganckich...

Tym razem Willi kins przerwał swojemu pracodawcy.

-Jestjeszcze machina latająca, oczywiście. Zmarły brat lady Sybil włożył w ten projekt mnóstwo pracy, ale jakoś nie zdołał wystartować. Jego celem było latanie bez miotły i magicznych zaklęć. Niestety, biedak padł ofiarą epidemii kryzmów. Model jego machiny wisi w pokoju dziecinnym. Jest napędzany gumowymi taśmami.

- Nie wątpię, że nie brakowało materiału... Chyba że Gumowy Ramkin sprzątał po sobie - mruknął Vimes.

Mijając porośnięte zbożem pola, szli dalej przez łąki z czymś, co Vimes postanowił uznać za krowy. Starannie okrążyli ha-ha, zachowali dystans od ho-ho i całkiem zignorowali he-he, po czym wspięli się łagodną ścieżką na wzgórze, gdzie rósł bukowy zagajnik i skąd można było zobaczyć praktycznie wszystko, a już na pewno koniec wszechświata, tyle że należałoby wtedy patrzeć prosto w górę, by żaden buk nie zasłaniał. Dało się nawet dostrzec wysoki pióropusz dymu i oparów wznoszący się nad Ankh-Morpork.

- To Szubieniczne Wzgórze - poinformował Willikins, kiedy Vimes uspokoił oddech. - I może nie zechce pan już iść dalej - dodał, kiedy zbliżyli się do szczytu. - Chyba że ma pan ochotę tłumaczyć chłopcu, do czego służy szubienica.

Yimes spojrzał na niego pytająco.

- Naprawdę?

-Już wspomniałem, to Szubieniczne Wzgórze. Jak pan myśli, sir, czemu je tak nazwali? Ale to niejedyna historia o nim. Czarny Jack Ramkin mylił się niestety, kiedy po pijanemu zakładał się ze swoim równie pijanym towarzyszem od kieliszka, że ze swej posiadłości może zobaczyć dymy miasta. Mierniczy, który miał sprawdzić tę hipotezę, powiedział mu, że wzgórze jest o trzydzieści stóp za niskie. Zatrzymując się tylko na moment, by spróbować przekupić mierniczego, a kiedy się nie udało, by wychłostać go szpicrutą, Czarny Jack zebrał wszystkich robotników ze swojej posiadłości i okolic i nakazał im podwyższyć wzgórze o wzmiankowane już trzydzieści stóp. Bardzo ambitny projekt. Kosztował fortunę, oczywiście, ale każda rodzina w regionie miała dzięki temu ciepłe ubranie na zimę i nowe buty. Jack Ramkin zyskał ogromną popularność i naturalnie wygrał zakład.

Vimes westchnął.

- Podejrzewam, że znam odpowiedź, ale zapytam mimo wszystko: o co się założyli?

- O dwa garnce brandy! - odparł tryumfalnie Willikins. - Które zresztą Czarny Jack wypił od razu, stojąc w tym właśnie miejscu, wśród wiwatów siły roboczej. Potem, według legendy, stoczył się na sam dół, wśród kolejnych wiwatów.

- Nawet kiedy jeszcze piłem, chyba nie dałbym rady dwóm garncom brandy. - Vimes zastanowił się chwilę. - Przecież to dwanaście butelek!

- No cóż, przypuszczam, że pod koniec większość polała mu się do spodni, w taki czy inny sposób. Ale i tak było wielu podobnych...

- Polał się na spodnie! - zapiszczał Młody Sam i wybuchnął tym dziwacznym rechotem sześciolatka, któremu się wydaje, że usłyszał coś nieprzyzwoitego.

Vimes uznał, że robotnicy, którzy oklaskiwali starego pijaka, myśleli podobnie. Jak można wiwatować na cześć człowieka, który za jednym zamachem przepija czyjąś roczną wypłatę?

Willikins chyba czytał mu w myślach.

- Wieś nie jest tak subtelna jak miasto, komendancie. Sympatię budzi to, co wielkie i nieskomplikowane, a Czarny Jack był tak wielki i nieskomplikowany, jak tylko można sobie wyobrazić. Dla- tego go lubili. Przy nim wiedzieli, na czym stoją, nawet jeśli on sam się przewracał. Założę się, że

chwalili się nim na całych Włościach. Wyobrażam to sobie: Nasz pijany jaśnie pan może wypić tyle więcej od waszego pijanego jaśnie pana, że tamten nawet nie mrugnie... I byli z niego dumni. Na pewno sądził pan, sir, że słusznie postępuje, podając rękę ogrodnikowi, ale tylko wszystkich pan zaniepokoił. Nie wiedzą, co o panu myśleć. Jest pan zwykłym człowiekiem czy jaśnie panem? Arystokratą czy jednym z nich? Ponieważ z ich punktu widzenia nie może pan być jednym i drugim. To by było wbrew naturze. A wieś nie lubi zagadek.

- Wielkozagadkowe spodnie! - zawołał Sam i padł na trawę, nie mogąc ustać ze śmiechu.

-Ja też nie wiem, co o sobie myśleć - mruknął Vimes. Podniósł syna i ruszył za Willikinsem w dół zbocza. - Ale Sybil wie. Według niej nadaję się na bale, tańce, przyjęcia i te... no, *soirees* - dokończył tonem człowieka, genetycznie zaprogramowanego, by nie ufać żadnemu słowu zawierającemu ostry akcent. - Znaczy, w mieście jakoś się z tym pogodziłem. Kiedy przewiduję, że będzie absolutnie strasznie, staram się, żeby w połowie wezwali mnie do nagłego przypadku. To znaczy tak robiłem, dopóki Sybil się nie połapała. To okropne, kiedy podwładni człowieka zaczynają słuchać rozkazów jego żony, wiesz?

- Tak, komendancie. Obsłudze kuchni zakazała przyrządzać kanapek z bekonem, chyba że osobiście wyda pozwolenie.

Vimes się skrzywił.

- Zabrałeś ten mały zestaw kuchenny, mam nadzieję?

- Niestety, lady Sybil wie o naszym małym zestawie kuchennym, komendancie. W kuchni zakazała wydawania mi bekonu, chyba że na jej bezpośrednie polecenie.

- Słowo daję, jest całkiem jak Vetinari! Jak ona to wykrywa?

- Szczerze mówiąc, komendancie, chyba nie wykrywa, przynajmniej nie dosłownie. Po prostu zna pana, sir. Może powinien pan o tym myśleć jak o przyjaznej podejrzliwości. No, już wracajmy, komendancie. Jak wiem, na lunch będzie sałatka z kurczaka.

- A ja lubię sałatkę z kurczaka?

- Tak, komendancie, lady Sybil poinformowała mnie, że tak.

Vimes skapitulował.

- A więc lubię...

* * *

W domu przy Alei Scoone'a Vimes i Sybil zwykle jedli wspólnie tylko jeden posiłek, w kuchni, która wtedy była już przyjemnie ciepła. Siedzieli naprzeciw siebie przy stole dostatecznie długim, by pomieścił wielką Vimesową kolekcję butelek sosów, słoików musztardy, marynat i oczywiście past. Vimes wyznawał popularną teorię, że żaden słoik nie jest naprawdę pusty, jeśli tylko dostatecznie długo dzwoni się w nim łyżeczką.

We Dworze wyglądało to inaczej. Przede wszystkim było o wiele za dużo jedzenia. Vimes nie urodził się wczoraj, ani nawet przedwczoraj, więc powstrzymał się od komentarzy.

Obsługiwał ich Willikins. Ściśle mówiąc, nie do niego należała ta praca, kiedy jedli poza domem, jednak mówiąc równie ściśle, większość dżentelmenów dżentelmenów nie nosi też kastetu w kieszeni swej świetnie skrojonej marynarki.

- I co robiliście, chłopcy, cały ranek? - zapytała wesoło Sybil, kiedy talerze były już puste.

- Widzieliśmy śmierdzącego człowieka z kości! - oznajmił Młody Sam. - Wyglądał, jakby był z samej brody, tylko śmierdział! I jeszcze znaleźliśmy taką śmierdzącą jabłoń z jabłkami jak kupka!

Spokojna twarz lady Sybil nawet nie drgnęła.

- A potem zeszliście z tego nadbudowanego pagórka, prawda? A co z ha-ha, ho-ho i he-he?

-Tak, ale tam wszędzie były krowie kupki. Wdepnąłem w jedną!

Młody Sam czekał na dorosłą reakcję.

- Ale miałeś na nogach swoje nowe wiejskie buty, prawda? One właśnie służą do wdeptywania w krowie kupki.

Sam Vimes patrzył, jak twarz syna rozpromienia się niewyobrażalną radością. Matka mówiła dalej:

- Twój dziadek zawsze mi tłumaczył, że jeśli znajdę na polu duży stos gnoju, powinnam kopnąć go trochę na boki, żeby równo rozrzucić, bo wtedy cała trawa będzie pięknie rosła. - Uśmiechnęła się, widząc minę Vimesa. - To prawda, kochanie. Rolnictwo w dużej części polega na rozrzucaniu nawozu.

- O ile tylko Młody Sam zapamięta, że kiedy wróci do miasta, nie powinien kopać rynsztoków - oświadczył Vimes. - Niektóre rzeczy tam mogłyby oddać.

- Powinien się uczyć o tym, co się dzieje na wsi. Powinien wiedzieć, skąd się bierze jedzenie i jak je zdobywamy. To ważne, Sam.

- Oczywiście, moja droga.

Lady Sybil rzuciła mu spojrzenie, do jakiego tylko żona jest zdolna.

- To był twój udręczony, ale potulny głos, Sam.

- No tak, ale nie rozumiem...

- Młody Sam odziedziczy kiedyś to wszystko - przerwała mu Sybil. - Chcę, żeby zorientował się tutaj, tak samo jak mi zależy, żebyś ty wypoczął i dobrze się czuł na urlopie. Później chcę zabrać Młodego Sama do Farmy Domowej, żeby zobaczył dojenie krów i zebrał parę jajek. - Wstała. - Ale najpierw zaprowadzę go do krypty, żeby poznał swoich przodków. - Dostrzegła wyraz paniki na twarzy męża i dodała szybko: - Nie denerwuj się, Sam, nie spacerują po domu. Prawdę mówiąc, są pozamykani w bardzo kosztownych
skrzyniach. Może pójdziesz z nami?

* *

Śmierć nie była dla Sama Vimesa zjawiskiem obcym - i vice versa. Tylko samobójstwa psuły mu nastrój. W większości były to powieszenia, ponieważ człowiek musiałby być samobójcą ekstremalnym, żeby skoczyć do rzeki Ankh - również dlatego, że odbiłby się kilka razy, zanimby przełamał skorupę. I we wszystkich takich sprawach należało przeprowadzić dochodzenie, na wypadek gdyby samobójstwo okazało się zamaskowanym morderstwem*. A chociaż pan Trooper, aktualny miejski kat, potrafił strącić kogoś do wieczności tak szybko i gładko, że zainteresowany pewnie nawet tego nie zauważał, aż nazbyt często Vimes musiał oglądać, do czego są zdolni amatorzy.

Rodzinna krypta Ramkinów kojarzyła mu się z miejską kostnicą po godzinach pracy. Była pełna - niektóre trumny stały bokiem, właśnie jak w kostnicy, i Vimes miał tylko nadzieję, że się nie wysuwają. Obserwował czujnie, jak żona prowadzi syna od tabliczki do tabliczki, odczytuje imiona i opowiada krótko o każdym z tutejszych mieszkańców. Czuł wokół siebie zimne, bezdenne głębiny czasu zionące chłodem ze ścian. Co odczuwał Młody Sam, kiedy poznawał imiona swych dziadków i babek sprzed stuleci? Vimes nie znał swojego ojca. Mama mówiła, że wóz go przejechał, ale Vimes podejrzewał, że jeśli w ogóle to prawda, chodzi pewnie o wóz browaru, którzy „przejeżdżał go" po trochu przez lata. Och, oczywiście, był też Kamienna Gęba, królobójca, ostatnio zrehabilitowany i z własnym pomnikiem w mieście. Pomnik nigdy nie był pomazany graffiti, ponieważ Vimes jasno dał do zrozumienia, co się stanie ze sprawcą.

Ale stary Kamienna Gęba był tylko punktem w czasie, czymś w rodzaju prawdziwego mitu. Nie istniała linia łącząca go z Samem Vimesem, jedynie bolesna otchłań.

Mimo wszystko Młody Sam pewnego dnia zostanie diukiem i warto było o tym pamiętać. I nie będzie dorastał, martwiąc się, kim właściwie jest, ponieważ będzie wiedział - a wpływ matki może przeważyć to straszne obciążenie, jakim jest Sam Vîmes jako ojciec. Młody Sam z pewnością kiedyś zdoła potrząsnąć

**Niejeden raz strażnicy znajdowali ręcznie pisane listy pożegnalne, które po starannym zbadaniu okazywały się pisane niewłaściwą ręką.*

światem jak należy. Do tego niezbędna jest pewność siebie, a posiadanie bandy (najwyraźniej) pomylonych, ale interesujących przodków może tylko zaimponować człowiekowi z ulicy - Vimes znał bardzo wiele ulic i bardzo wielu ludzi.

Willikins częściowo się mylił. Nawet ludzie w mieście lubili niezwykłe postacie, zwłaszcza takie o czarnych sercach albo też dostatecznie interesujące, by włączyć się aktywnie w ten nieskończony zwariowany cyrk, jakim było uliczne życie w Ankh-Morpork. Wprawdzie ojciec pijak stanowił towarzyskie faux pas, jednak pra- pradziadek, który potrafi wypić tyle brandy, że pewnie jego mocz był już łatwopalny, a potem - jeśli wierzyć Willikinsowi - wrócić do domu, zjeść kawał turbota i pieczoną gęś (z odpowiednimi winami), po czym do świtu grać z kumplami w świńskie siodło, odzyskując wcześniejsze przegrane... Tak, ludzie kochali takich typów, którzy kopali życie w tyłek i wrzeszczeli na nie. Z takiego przodka można chyba być dumnym, prawda?

- Myślę... Chciałbym się przespacerować. Sam - rzekł Vimes. - No wiesz, porozglądać się trochę, pogrzebać tu czy tam, jakoś się połapać w tych wiejskich historiach, ale we własnym tempie.

- Willikins powinien iść z tobą, kochanie - stwierdziła lady Sybil. - Na wszelki wypadek.

- Na wypadek czego, moja droga? Co noc chodzę po ulicach miasta, prawda? Niepotrzebny mi przewodnik podczas krótkiego spaceru po okolicy. Postaram się wyczuć ducha tego wszystkiego. Popatrzę na żonkile i sprawdzę, jak napełniają mnie radością, czy co tam powinny robić. Będę miał oczy otwarte na rzadkiego per- koza i oglądał krety zrywające się do ucieczki. Od tygodni pilnie czytam w azecie wiadomości o naturze. Chyba wiem, jak się to robi, moja droga. Jestem komendantem straży i pot nie zrosi mi czoła na widok rosiczki.

Lady Sybil z doświadczenia wiedziała, że w takich sytuacjach lepiej się nie spierać. Ograniczyła się do prośby:

- Postaraj się tylko nikogo nie denerwować, kochanie. Dobrze?

* * *

Po dziesięciu minutach marszu Vimes się zgubił. Nie fizycznie, ale metaforycznie, duchowo i perypatetycznie. Aromaty żywopłotów wydawały się jakby bezcielesne w porównaniu z dojrzałymi odorami miasta. Nie miał najmniejszego pojęcia, co szeleści w trawie. Rozpoznawał woły i jałówki, bo często przechodził przez dzielnicę rzeźni, jednak tutaj nie były otępiałe ze

---

* Świńskie siodło zostało wymyślone mniej więcej w Roku Gronostaja przez wielebnego Josepha „Przyczynowość" Robsona, proboszcza Wszystkich Świętych i Trzech Grzeszników w parafii w Nawisie Niższym. O ile da się to określić na podstawie notatek pozostawionych przez jego współczesnych, grę można uznać za połączenie bierek, halmy i brandy. Nie przetrwały żadne reguły, o ile w ogóle jakieś istniały.

strachu, a gdy je mijał, przyglądały mu się uważnie, jakby robiły notatki. Tak - to było to! Świat stanął na głowie! Vimes był gliną, zawsze był gliną i umrze jako glina, na pewno. I jako glina chodził po mieście praktycznie niewidzialny dla nikogo - z wyjątkiem tych ludzi, których funkcją było zauważanie policjantów i których zarobki zależały od tego, czy zauważą policjantów, zanim policjanci zauważą ich. Zwykle człowiek był elementem pejzażu - do chwili kiedy krzyk, brzęk tłuczonego szkła lub odgłos przestępczych kroków nie stawiały go w centrum uwagi.

Natomiast tutaj wszystko obserwowało jego. Jakieś istoty śmigały za żywopłotem, wzlatywały w panice albo tylko szeleściły podejrzanie w zaroślach. Vimes był intruzem, natrętem, kimś niechcianym.

Pokonał kolejny zakręt i zobaczył wioskę. Widział już w oddali jej kominy, ale drogi i dróżki przecinały się w prawdziwej plątaninie, powtarzanej przez wybujałe żywopłoty i drzewa tworzące tunele cienia - co go cieszyło - oraz bawiące się w berka z jego wyczuciem kierunku - co nie.

Nie wiedział, gdzie jest, był zgrzany i zirytowany, zanim dotarł do długiej, pylistej alei z chatami krytymi strzechą po obu stronach, a mniej więcej w połowie z dużym budynkiem, którego funkcja była tak oczywista, jakby miał ze wszystkich stron wypisane na ścianach „pub". Ważną wskazówką było też trzech staruszków siedzących na ławie przed wejściem; obserwowali nadchodzącego Vimesa z nadzieją, na wypadek gdyby okazał się takim człowiekiem, co to postawi innemu człowiekowi kufelek. Nosili ubrania wyglądające, jakby się z nimi zrośli. Po chwili, kiedy się zbliżył, jeden powiedział coś do pozostałych dwóch i wszyscy wstali, gdy ich mijał. Palcami wskazującymi dotknęli rond kapeluszy.

- Ndoberek, wasza łaskość - rzucił jeden z nich, a Vimes po chwili namysłu przetłumaczył sobie tę frazę.

Nastąpił także szybki, ale znaczący rzut oka na puste kufle, wskazujący, że są to istotnie puste kufle - anomalia wymagająca korekty.

Vimes wiedział, czego się od niego oczekuje. W Ankh-Morpork nie było chyba pubu, który nie miałby odpowiednika trzech staruszków siedzących na słońcu przed wejściem i zawsze gotowych porozmawiać z przybyszami o dawnych dobrych czasach, to znaczy takich, kiedy kufle zawierały jeszcze piwo. Formy wymagały, żeby napełnić je ponownie tanim ale, dostać w zamian „O, dziękuję, szanowny panie" oraz niekiedy drobne bąbelki informacji o tym, kto był widziany i gdzie, robiąc co i z kim, i kiedy - woda na policyjny młyn.

Ale miny tych tutaj zmieniły się nagle, kiedy inny z trójki szepnął coś pospiesznie do kolegów. Natychmiast usiedli z powrotem na drewnianej ławie, jakby próbowali nie rzucać się w oczy, równocześnie wciąż ściskając puste kufle, no bo przecież nigdy nie wiadomo... Szyld nad drzwiami głosił, że pub nazywa się „Pod Głową Goblina".

Naprzeciw pubu rozciągał się spory otwarty teren, porośnięty trawą. Skubało ją kilka owiec, a na drugim końcu leżał duży zapas drewna i wiklinowych płotków, których zastosowania Vimes się nie domyślał. Znane było mu określenie „gminna łąka", choć nigdy takiej nie widział - Ankh-Morpork nie miało zbyt wiele zieleni.

Pub cuchnął zwietrzałym piwem. To pomagało jako osłona przed pokusą, choć Vimes był czysty od lat i podczas oficjalnych przyjęć mógł sobie niekiedy pozwolić na sherry, ponieważ i tak nie cierpiał tego smaku. Zapach starego piwa miał podobny skutek. W nędznym świetle wpadającym przez malutkie okna spostrzegł starszego mężczyznę, pracowicie wycierającego kufel. Mężczyzna uniósł głowę i skinął na powitanie - typowe skinienie, rozumiane wszędzie jako „Widzę cię, ty widzisz mnie, od ciebie zależy, co będzie dalej". Niektórzy oberżyści potrafią takiemu skinieniu nadać pewien szczególny akcent, który przekazuje dodatkową informację, że pod ladą może leżeć dwie stopy ołowianej rurki, gdyby druga osoba coś planowała.

- Podajecie tu coś bez alkoholu? - zapytał Vimes.

Barman bardzo starannie powiesił kufel na haku nad ladą, po czym spojrzał na Vimesa.

- Widzi pan, sir, to jest miejsce, które nazywamy pubem - stwierdził bez irytacji. - Ludzie mają mi za złe, jeśli eliminuję alkohol. - Zabębnił palcami o bar i dodał niepewnie: - Moja żona robi piwo korzenne, jeśli ma pan taki kaprys.

- A jakie to korzenie?

- Buraki, sir. Dobrze robi na regularność.

- Właściwie zawsze uważałem siebie za człowieka uregulowanego - stwierdził Vimes. - Niech pan da kufel... Nie, może taki mały. Dziękuję.

Barman znów skinął głową, zniknął na moment na zapleczu, po czym pojawił się znowu, niosąc dużą szklankę ociekającą czerwoną pianą.

- Proszę bardzo - powiedział, stawiając ją ostrożnie na ladzie. - Nie lejemy tego do cynowych, bo coś robi z metalem. Ten pierwszy na koszt firmy, sir. Jestem Jiminy, właściciel Głowy Goblina. I chyba wiem, jak się pan nazywa. Moja córka pracuje jako pokojówka we dworze. Osobiście traktuję wszystkich tak samo, bo właściciel pubu jest przyjacielem każdego, kto ma pieniądze w kieszeni. A może i tych, którym zdarza się paść jak bela, choć w tej chwili nie obejmuje to tych trzech wałkoni przed wejściem. Właściciel pubu widzi wszystkich po paru kuflach, więc nie widzi też żadnych powodów, by kogoś wyróżniać.

Jiminy mrugnął porozumiewawczo, a Vimes wyciągnął rękę.

- Właściciel pubu jest więc republikaninem, a ja z przyjemnością uścisnę dłoń każdego republikanina.

Dobrze znał tę bezsensowną litanię. Każdy pracujący za barem uważał się zawsze za wybitnego myśliciela i rozsądek nakazywał tak właśnie go traktować.

- Ten sok jest całkiem niezły - stwierdził po chwili. - Dość ostry.

- Tak, sir, żona dodaje do niego chili i nasiona selera, by człowiek czuł, że pije coś mocniejszego.

Vimes, dziwnie uspokojony, oparł się o ladę. Ścianę za barem zdobiły głowy martwych zwierząt, zwłaszcza takich z kłami albo rogami, ale trochę go zaszokowała głowa goblina. Jestem na wakacjach, przypomniał sobie, a to pewnie stało się bardzo dawno temu. Starożytność...

I przestał o tym myśleć.

Jiminy zajął się dziesiątkami drobnych czynności, jakie barman zawsze ma do wykonania; od czasu do czasu zerkał dyskretnie na swego jedynego klienta.

Po chwili zastanowienia Vimes rzekł:

- Czy zechce pan podać po kuflu tym dżentelmenom na zewnątrz, panie Jiminy? I niech pan do każdego doleje brandy, by wiedzieli, że coś piją.

- To Duży Tom, Mały Tom i Tom Tom - mruknął Jiminy, sięgając po kufle. - Porządne chłopaki. Trojaczki, jak się zdarzyło. Jakoś zarabiają na życie, ale można powiedzieć, że mają jeden mózg na trzech, a i to niezbyt lotny. Ale dobrze się sprawdzają przy straszeniu wron.

- I wszystkich nazwali Tom? - zdziwił się Vimes.

- Zgadza się. To u nich rodzinne imię, ich ojciec też był Tomem. Może nie chcieli, żeby im się mieszało, bo łatwo im się miesza. Teraz trochę im nie idzie, naturalnie, ale jeśli da im pan robotę, którą potrafią wykonać, to wykonają ją dobrze i nie przestaną, póki im pan nie powie. Na wsi nie ma żebraków, rozumie pan. Zawsze znajdą się jakieś drobne prace. Za pozwoleniem, sir, domieszam im tylko po kropli brandy. Nie chcemy przecież, żeby za bardzo mieszali, jeśli pan łapie, o co mi chodzi.

Barman postawił kufle na tacy i zniknął w jasnym świetle dnia. Vimes przeszedł szybko za ladę i z powrotem, nie zatrzymując się nawet. Po kilku sekundach opierał się nonszalancko o bar, gdy przez otwarte drzwi zajrzały do środka trzy nieco zalęknione twarze. Na moment pojawiły się wyciągnięte w jego stronę trzy dłonie z wystawionymi w górę kciukami, a potem twarze zniknęły szybko, jakby właściciele bali się, że Vimes nagle wybuchnie albo wyrosną mu rogi.

Jiminy wrócił z pustą tacą i uśmiechnął się do Yimesa.

- Zyskał pan nowych przyjaciół, sir. Ale nie chciałbym pana zatrzymywać. Na pewno ma pan dużo zajęć.

Gliniarz, pomyślał Vimes. Potrafię rozpoznać policyjną pałkę. To przecież marzenie każdego gliniarza - zostawić ulice za sobą i poprowadzić mały pub gdzieś za miastem. A że jest się gliniarzem, a gliniarstwo nigdy człowieka nie opuszcza, to wie się, co słychać w okolicy. Znam pana, a pan o tym nie wie, panie Jiminy. A z mojego punktu widzenia to niezły wynik. Niech pan tylko poczeka, panie Jiminy. Wiem, gdzie pan mieszka.

Po chwili Vimes usłyszał na zewnątrz powolne, ciężkie kroki, coraz bliższe. To miejscowi przybywali w roboczych ubraniach, niosąc to, co większość ludzi nazwałaby narzędziami rolniczymi, ale co on zanotował w pamięci jako broń ofensywną. Cała grupa zatrzymała się przed drzwiami i zabrzmiały gorączkowe szepty - zapewne trzech Tomów przekazywało dzisiejsze wieści i zdawało się, że są przyjmowane z niedowierzaniem albo lekceważeniem. Zapewne wyciągnięto jakieś wnioski, niezbyt radosne.

A potem przybysze weszli do wnętrza, a umysł Vimesa katalogował ich dla łatwiejszego zapamiętania. Eksponatem numer jeden był starszy mężczyzna z obfitą siwą brodą, ubrany - wielkie nieba! - w długą białą koszulę. Ludzie jeszcze je noszą? Jakkolwiek miał na imię, pozostali zapewne nazywali go Dziadkiem. Z zakłopotaniem dotknął palcem czoła, jakby salutował, po czym, zadowolony z wykonania obowiązku, podszedł do baru. Niósł wielki hak - nieprzyjemna broń. Eksponat drugi miał szpadel, mogący posłużyć za topór albo maczugę, jeśli tylko właściciel potrafił go używać. Także miał na sobie długą koszulę, unikał wzroku Vimesa, a jego salut przypominał raczej urażone machnięcie ręki. Eksponat trzeci, trzymający skrzynkę z narzędziami (straszna broń, jeśli dobrze się nią zamachnąć), przeszedł pospiesznie i ledwie zerknął w stronę Vimesa. Wydawał się młodszy i dość chudy, ale wszystko jedno, takiej skrzynce można nadać niezły rozpęd. Po nim wszedł kolejny starszy człowiek w skórzanym kowalskim fartuchu, ale miał niewłaściwą budowę, więc pewnie tylko podkuwał. Tak, chyba tak - niski i żylasty, powinien łatwo wchodzić pod konia. Zaprezentował rozsądną próbę salutu do czoła, a Vimes nie dostrzegł pod jego fartuchem żadnych podejrzanych wypukłości. Nie potrafił się powstrzymać od takiej analizy; to w jego fachu konieczność. Nawet kiedy człowiek nie spodziewa się kłopotów, to tak jakby... no, spodziewa się kłopotów.

I nagle sala zamarła.

Trwała jakaś zdawkowa rozmowa w pobliżu Jiminy'ego, ale ucichła, kiedy wszedł prawdziwy kowal. Niech to szlag... Wszystkie dzwonki alarmowe Vimesa odezwały się jednocześnie, a nie były to jakieś blaszane dzwoneczki i huczały potężnie. Kowal omiótł salę niechętnym wzrokiem, po czym ruszył do baru po kursie, który powinien go poprowadzić tuż obok, a może raczej poprzez Sama Vimesa. Jednakże Vimes szybko odsunął mu z drogi swoją szklanicę, więc niezamaskowana próba „przypadkowego" rozlania zawartości spełzła na niczym.

- Panie Jiminy! - zawołał Vimes. - Po kuflu dla tych dżentelmenów, poproszę!

Wzbudziło to pewną radość wśród nowo przybyłych, jednak kowal walnął o blat dłonią jak łopata, aż podskoczyły naczynia.

- Nie mam ochoty pić z tymi, którzy uciskają ubogich!

Vimes wytrzymał jego spojrzenie.

- Przykro mi, nie zabrałem dzisiaj swojej uciskarki - powiedział.

To było nierozsądne, gdyż chichoty ze strony pełnych nadziei
na drinka klientów pubu jedynie mocniej roznieciły te ognie, których kowal zapomniał zostawić w pracy. I rozgniewały go.

-A kim ty jesteś, że uważasz się za lepszego ode mnie?

Vimes wzruszył ramionami.

- Nie wiem, czy jestem lepszy od ciebie.

I jednocześnie myślał: wyglądasz mi na potężnego gościa w małej społeczności; wydaje ci się, że jesteś twardy, bo jesteś silny, a metal nie próbuje zakraść się od tyłu i kopnąć cię w tyłek. Na bogów, nie umiesz choćby dobrze stanąć! Nawet kapral Nobbs zwaliłby cię na ziemię i zaczął pracowicie kopać w rozkrok, zanimbyś zrozumiał, co się dzieje.

Jak każdy człowiek wystraszony, że stłucze się coś cennego, Jiminy wysunął się zza baru i chwycił kowala za ramię.

- Daj spokój, Jethro - powiedział. - Nie rób kłopotów. Jego łaskawość wpadł, żeby się napić, do czego przecież każdy ma prawo...

To chyba podziałało, choć agresja nadal tliła się na twarzy Jethro, a także w powietrzu wokół niego. Sądząc po minach innych klientów, nie pierwszy raz widzieli takie przedstawienie. Marny to policjant, który nie umie czytać nastrojów gości pubu, a Vimes potrafiłby pewnie napisać o nich całą historię z przypisami. Każda społeczność ma swojego podżegacza, szaleńca albo polityka samouka. Na ogół są tolerowani, gdyż zwiększają poziom wesołości narodów; ludzie mówią coś w stylu „On już taki jest", atmosfera się oczyszcza i życie płynie dalej. Jednak Jethro, siedzący teraz w dalszym kącie sali i obejmujący swój kufel niczym lew skulony nad gazelą, otóż Jethro - w Vimesowym słowniku zagrożeń - był człowiekiem bliskim eksplozji. Oczywiście, świat potrzebuje czasem wybuchu, byle tylko nie tam, gdzie akurat Vimes chce się napić.

Vimes zdawał sobie sprawę, że pub się wypełnia - głównie synami roli, ale również ludźmi, którzy - czy byli dżentelmenami, czy nie - oczekiwali, że tak będą nazywani. Nosili barwne czapki, białe spodnie i bez przerwy mówili. Coś zaczęło się też dziać na zewnątrz: konie i powozy ustawiały się w alei. Słychać było stukanie młotka, a żona Jiminy'ego obsadziła - a raczej obstawiła - bar, podczas gdy jej mąż biegał tam i z powrotem z tacą. Jethro tkwił w swoim kącie jak człowiek czekający na odpowiedni moment, od czasu do czasu rzucał wzrokiem sztylety - a pewnie także pięści, z dodatkową opcją butów, gdyby Vimes choćby na niego zerknął.

Vimes postanowił wyjrzeć przez zakurzone okienko. Niestety, budynek pubu był czymś straszliwym - to znaczy był malowniczy, a więc okno składało się z małych okrągłych szklanych płytek połączonych ołowiem. Służyły wpuszczaniu światła do wnętrza, a nie wyglądaniu na zewnątrz, ponieważ załamywały je tak nieregularnie, że niemal pękało. Jedna z płytek pokazywała coś, co było zapewne owcą, ale wyglądało jak biały wieloryb, dopóki się nie poruszyło, a wtedy stało się grzybem. Przeszedł jakiś człowiek bez głowy, dopóki nie dotarł do następnej płytki i wtedy miał jedno ogromne oko. Młody Sam byłby zachwycony, jednak jego ojciec postanowił zrezygnować z nieuchronnej ślepoty i wyszedł na słońce.

Aha, pomyślał, chodzi o jakąś grę.

No tak...

Nie przepadał za grami zespołowymi, bo prowadziły one do tłumów, a tłumy prowadziły do dodatkowej pracy gliniarzy. Ale przecież tutaj nie był gliniarzem, prawda? Wrażenie było tak dziwaczne, że wyszedł z pubu i stał się... przypadkowym przechodniem. Nie pamiętał już, czy kiedykolwiek nim był. Czuł się... odsłonięty.

Podszedł do człowieka, który wbijał w trawę jakieś paliki.

- Co się tu dzieje? - zapytał. I uświadamiając sobie, że przemówił raczej po gliniarsku niż w zwykłym obywatelskim, dodał szybko: -Jeśli wolno spytać.

Mężczyzna się wyprostował. Był jednym z tych w kolorowych czapkach.

- Czy nigdy nie oglądał pan gry w krykieta? To gra, która ma wszystkie inne pod sobą!

Pan cywil Vimes postarał się wyglądać, jakby bardzo mu zależało na dalszych smakowitych informacjach. A sądząc po entuzjastycznym uśmiechu rozmówcy, miał tutaj poznać zasady krykieta, czy tego chciał, czy nie. No trudno, pomyślał, sam spytałem...

- Na pierwszy rzut oka, drogi panie, krykiet może się wydawać zwykłą grą, w której dwie strony walczą przeciwko sobie, starając się doprowadzić piłkę ręką, kijem czy innym urządzeniem do jakiegoś celu należącego do przeciwników. Krykiet jednakże został wynaleziony podczas gry w krokieta w Kolegium Teologicznym świętego Onana w Ham-na-Zytnim, kiedy nowicjusz Jackson Fieldfair, obecnie biskup Quirmu, chwycił młotek oburącz i zamiast delikatnie stuknąć piłkę...

W tym miejscu Vimes zrezygnował, nie tylko dlatego, że zasady gry same w sobie były niezrozumiałe, ale też nadzwyczaj entuzjastyczny młody człowiek pozwalał, by jego entuzjazm tryumfował nad potrzebą tłumaczenia spraw w jakimkolwiek sensownym porządku. W rezultacie zalew informacji był przerywany przepraszającymi uwagami w stylu:

- Proszę wybaczyć, powinienem wcześniej wyjaśnić, że drugi rożek dozwolony jest tylko raz na partię, a w normalnej grze jest tylko jeden wzgórek, chyba że mówimy o królewskim krykiecie, oczywiście...

Vimes umarł... Słońce spadło z nieba, gigantyczne jaszczury opanowały świat, gwiazdy wybuchły i zgasły, wszelka nadzieja spłynęła z bulgotem do ścieku zatracenia, a gaz wypełnił firmament, zapalił się i oto stały się nowe niebiosa, jeden ich staranny właściciel i nowy dysk, a oto... a możliwe, że zaprawdę... życie wypełzło z morza, a może i nie wypełzło, ponieważ zostało stworzone przezbogów - to naprawdę zależy od patrzącego, gady zmieniły się w nie tak łuskowate gady, albo i nie, te zmieniły się w ptaki, robaki zmieniły się w motyle, a pewna odmiana jabłka stała się bananem, możliwe też, że małpa pewnego gatunku spadła z drzewa i odkryła, że żyje jej się lepiej, jeśli nie musi się cały czas czegoś trzymać, więc po zaledwie kilku milionach lat wyewoluowała spodnie, ozdobne pasiaste kapelusze, a w końcu grę w krykieta i oto magicznie zrein- karnowany Vimes stał na wiejskiej łące i z lekkim zawrotem głowy patrzył na uśmiechnięte oblicze entuzjasty.

- To niezwykłe - zdołał wykrztusić. - Bardzo dziękuję. Na pewno z radością obejrzę rozgrywkę.

W tym momencie uważał, że najlepszym wyjściem będzie raźny marsz w stronę domu, jednak na przeszkodzie stanął mu niestety dobrze znany głos za plecami.

- Ty, do ciebie mówię, tak, ty! Jesteś Vimes, co?

Był to lord Rust, niegdyś z Ankh-Morpork, niezłomny weteran, bez którego zaiste niezwykłego opanowania taktyki i strategii kilka wojen nie zostałoby tak krwawo wygranych. Teraz siedział w fotelu na kółkach, a dokładniej w jego nowomodnej odmianie, popychanej przez służącego, którego życie - znając jego lordowską mość - było najprawdopodobniej nie do zniesienia.

Jednak nienawiść zwykle ma niedługi okres połowicznego rozpadu i w ostatnich latach Vimes uważał lorda jedynie za utytułowanego idiotę, z racji wieku niegroźnego, choć wciąż posiadającego, ten irytująco koński głos, który po rozsądnym okiełznaniu mógłby ścinać drzewa. Tak, lord Rust bardzo się uspokoił i pewnie za kilka lat spocznie w pokoju. Natomiast gdzieś w swej rogatej duszy Vimes nadal zachował pewien podziw dla swarliwego starego rzeźnika, z jego zawsze rozbuchanym poczuciem własnej wartości i wieczną gotowością, by nie zmieniać zdania w żadnej sprawie. Fakt, że Vimes, znienawidzony policjant, stał się teraz diukiem, a zatem był o wiele bardziej arystokratyczny od Rusta, według staruszka po prostu nie mógł się zdarzyć - a zatem należy go całkowicie ignorować. W książce Vimesa lord Rust został skatalogowany jako niebezpieczny bufon, ale - i to był ten trudny fragment - niesamowicie, choć często samobójczo odważny. I wszystko byłoby zupełnie w porządku, gdyby nie samobójstwa tych nieszczęsnych głupców, którzy szli za nim do bitwy.

Świadkowie twierdzili, że był to niesamowity widok: lord Rust na czele swych ludzi pędził prosto w paszczę śmierci i nigdy nawet się nie uchylił, a jednak strzały i morgensterny zawsze go mijały, nieodmiennie trafiając pędzących za nim żołnierzy. Przypadkowi obserwatorzy - czyli ludzie przyglądający się bitwie zza dogodnie wielkich głazów - potwierdzali to jednogłośnie. Być może potrafił też ignorować przeznaczone dla siebie pociski... Jednak wieku nie da się tak łatwo zlekceważyć i starzec, choć nadal arogancki, wyglądał, jakby zapadał się w sobie.

Co niezwykłe, uśmiechnął się do Yimesa.

- Pierwszy raz cię tu widzę, Vimes - oświadczył. - Sybil chce wrócić do korzeni? Co?

- Chce, żeby Młody Sam ubłocił trochę buty, Rust.

- Dobry pomysł, co? Przyda się chłopakowi i zrobi z niego mężczyznę. Co?

Vimes nigdy nie mógł zrozumieć, skąd się biorą te wybuchowe „co". Jaki jest sens, zastanawiał się, wrzeszczeć takie „co" bez żadnego sensownego powodu? Albo takie „Co, co?" - o co w tym chodzi? Dlaczego co? Te „co" sprawiały wrażenie kołków mocujących, wbitych mocno w konwersację, ale do wszystkich demonów, po co, co?

- Czyli nie zjawiłeś się tu w sprawach służbowych? Co?

Umysł Vimesa zawirował w takim tempie, że uszy Rusta powinny wychwycić stukot obracających się trybików. Analizował ton głosu, wyraz twarzy, delikatny, bardzo delikatny, ale jednak wyczuwalny cień nadziei, że odpowiedź będzie brzmiała „nie". I hamując w końcu, zaprezentował Vimesowi sugestię, że dobrze będzie wpuścić jakiegoś kociaka między gołębie.

- Wiesz, Rust, Sybil męczyła mnie, żeby tu przyjechać, chyba odkąd Młody Sam się urodził. W tym roku postawiła na swoim, a podejrzewam, że rozkaz żony musi być uznany za sprawę bardzo służbową, kiedy.

Zauważył, że człowiek popychający wielki fotel inwalidzki próbuje ukryć uśmiech, zwłaszcza gdy Rust odpowiedział zdziwionym:

-Co?

Vimes postanowił nie przechodzić do „gdzie".

- Wie pan, jako to bywa, lordzie Rust - odparł swobodnie. - Policjant wszędzie znajdzie przestępstwo, jeśli tylko dostatecznie pilnie poszuka.

Uśmiech Rusta pozostał na twarzy, choć stężał odrobinę.

- Powinieneś słuchać rad swojej damy, Vimes. Nie sądzę, żebyś znalazł tu cokolwiek wartego twojego czasu.

Tym razem nie było „co" na końcu i ten brak sam w sobie był akcentem.

* * *

Vimes sam się przekonał, że zwykle warto dać różnym nieistotnym częściom mózgu jakieś zajęcie, by nie przeszkadzały tym ważnym, mającym do wykonania właściwe zadanie. Dlatego przez pełne pół godziny oglądał swój pierwszy mecz krykieta, nim wewnętrzny alarm przypomniał mu, że niedługo powinien być we Dworze, żeby poczytać Młodemu Samowi coś, co może nie będzie wspominało na każdej stronie o kupkach, i ułożyć go do łóżka przed kolacją dorosłych.

Punktualne przybycie zyskało mu aprobujące skinienie Sybil, która delikatnie wręczyła mężowi nową książkę do czytania Młodemu Samowi. Vimes spojrzał na okładkę - tytuł brzmiał „Świat kupek". Kiedy żona zniknęła, ostrożnie przekartkował zawartość. No tak, trudno, trzeba pogodzić się z faktem, że świat poszedł naprzód i dzisiaj bajki prawdopodobnie nie mówią o małych skrzących się istotkach ze skrzydłami. Przewracając kartkę po kartce, odkrył nagle, że ten, kto napisał tę książkę, z pewnością wiedział, jak sprawić, by takie dzieciaki jak Młody Sam śmiały się do bólu brzucha. Ten kawałek o spływaniu rzeką nawet u niego wywołał uśmiech. Ale, choć rozdzielany skatologią, znajdował się tam całkiem ciekawy materiał o zbiornikach szamba, szambonurkach i ase- nizatorach, i w jaki sposób psie odchody pomagają najlepiej wygarbować skórę oraz inne rzeczy, co do których człowiek nie sądził, by kiedykolwiek ich potrzebował, ale raz poznane jakoś blokują się w umyśle.

Najwyraźniej napisała ją ta sama autorka co „Siusiu" - książki, na którą oddałby głos Młody Sam, gdyby doszło do wyboru najwybitniejszego dzieła literackiego w historii. Jego entuzjazm był może podsycany faktem, że rzadki element psotności u Vimesa skłonił go do wydawania wszystkich niezbędnych wytężonych odgłosów.

Później, przy kolacji, Sybil spytała go, jak spędził popołudnie. Zainteresowała się mocniej, kiedy wspomniał, że zatrzymał się, by obejrzeć krykieta.

- Och, wciąż w to grają? To cudownie! I jak poszło?

Vimes odłożył sztućce i w zadumie popatrzył na sufit.

- No więc... - zaczął. - Przez chwilę rozmawiałem z lordem Rustem, a potem musiałem wracać z powodu Młodego Sama, ale szczęście sprzyjało kapłanom, kiedy ich atakujący zdołał, dzięki chytremu zastosowaniu kosza, przeciągnąć dwójkę farmerów. Kilku z nich zgłosiło protesty u kapelusznika, ponieważ podczas manewru złamał swój młotek, ale moim zdaniem decyzja kapelusznika była całkiem prawidłowa, zwłaszcza że farmerzy rozegrali manewr jastrzębia. - Nabrał tchu. - Kiedy wznowiono grę, farmerzy wciąż nie złapali swojego rytmu, choć zyskali chwilę oddechu, gdy na pole gry wbiegła owca i kapłani, zakładając, że przerwie to grę, odpuścili zbyt szybko; wtedy Higgins J. puścił piękną piłkę pod nieproszonym zwierzęciem...

Sybil przerwała mu w końcu, kiedy spostrzegła, że jedzenie bardzo wystygło.

- Sam! - zawołała. - Jakim cudem stałeś się ekspertem szlachet- nej gry w krykieta?

Vimes podniósł nóż i widelec.

- Proszę cię, nie pytaj - odparł z westchnieniem.

A tymczasem we wnętrzu umysłu jakiś cichy głos powiedział: Lord Rust twierdzi, że nie ma tu niczego dla mnie. W tej sytuacji lepiej sprawdzę, co to takiego, co?

- Sybil, czy przejrzałaś tę książeczkę, którą czytam Młodemu Samowi?

- Oczywiście, kochanie. Felicity Beedle to najsłynniejsza pisarka dla dzieci na świecie. Tworzy od lat. Napisała „Melwina i czyraka giganta", „Geoffreya i magiczną poszewkę", „Małe kaczątko, które myślało, że jest słoniem"...

-A napisała o słoniu, który myślał, że jest kaczątkiem?

- Nie, Sam, bo to by było niemądre. Aha, napisała też „Daph- ne i dłubacze w nosie", a za „Ogromny problem Gastona" dostała nagrodę Gladys J. Ferguson, już po raz piąty. Dzięki niej dzieci interesują się czytaniem, rozumiesz.

- Tak - zgodził się Vimes. - Ale czytają o kupkach i bezmózgich kaczątkach.

- Sam, to przecież u ludzi pospolite, więc nie bądź pruderyjny. Młody Sam jest teraz wiejskim chłopcem i jestem z niego dumna, i lubi książki. To jest kluczowe! Panna Beedle ufundowała także stypendium w Quirmskiej Pensji dla Młodych Panien. Musi być teraz całkiem zamożna. Słyszałam, że zajmuje Jabłoniową Chatę, praktycznie widać ją od nas. I uważam, że należy... o ile nie masz nic przeciw temu, naturalnie... zaprosić ją do Dworu.

- Oczywiście - zgodził się Vimes, choć jego nierrianienicprze- ciwtemu wynikało przede wszystkim ze sposobu sformułowania pytania oraz z subtelnych tonacji sugerujących, że wizyta panny Beedle jest już przesądzona.

* * *

Tej nocy spał o wiele lepiej, w części z powodu uczucia, że gdzieś w pobliskim wszechświecie jest trop, który tylko czeka, żeby go podjąć. Już świerzbiały go palce.

Rankiem, tak jak obiecał, zabrał Młodego Sama na konną przejażdżkę. Vimes potrafił jeździć konno, ale tego nie znosił. Niewątpliwie jednak sztuka spadania z kucyka na głowę jest umiejętnością, którą każdy młody człowiek powinien opanować, choćby po to, by postanowić nie robić tego nigdy więcej.

Pozostała część dnia nie ułożyła się jednak zbyt dobrze. Pełen podejrzeń Vimes został metaforycznie, ale niemalże dosłownie zawleczony przez Sybil do jej przyjaciółki Ariadny, damy pobłogosławionej sześcioma córkami. W rzeczywistości zobaczył tylko pięć w skromnym saloniku, gdzie go razem z Sybil wprowadzono. Został powitany jako „Nasz drogi dzielny komendant Vimes" - nie cier- piał takich bzdur, ale pod życzliwym, lecz czujnym wzrokiem Sybil powstrzymał się przed powiedzeniem tego głośno, a przynajmniej nie tymi słowami. Dlatego zniósł te słowa mężnie i z uśmiechem, a dama i panienki trzepotały wokół niego jak wielkie ćmy, on zaś grzecznie odmawiał

kolejnych herbatników i porcji herbaty, którą chętnie by wypił, gdyby nie fakt, że wyglądała i smakowała jak coś, w co prawdziwa herbata zmienia się wkrótce po wypiciu. Osobiście lubił herbatę, jednak herbata nie jest herbatą, jeśli jeszcze przed pierwszym łykiem można zobaczyć dno filiżanki.

Dużo gorsza od tego, co mu proponowano, była rozmowa skłaniająca się w stronę damskich kapeluszy - temat, w którym swoją ignorancję nie tylko cenił, ale i głęboko szanował. Poza tym bryczesy go obcierały, przeklęte portki, jednak Sybil upierała się przy twierdzeniu, że wygląda w nich bardzo elegancko, całkiem jak wiejski dżentelmen. Musiał zatem przypuszczać, że wiejscy dżentelmeni różnią się od niego konstrukcyjnie w dziale krocza.

Oprócz niego i lady Sybil w saloniku gościł młody omniański wikary, rozsądnie odziany w obfitą czarną sutannę, zapewne nie- powodującą w kroczu żadnych problemów. Vimes nie miał pojęcia, czemu ten młody człowiek się tu znalazł; zapewne damy potrzebowały kogoś do napełniania słabą herbatą, podejrzanymi ciasteczkami i bezrozumną, szczebiotliwą rozmową, jeśli akurat nie zjawił się ktoś taki jak Vimes.

Zdawało się również, że kiedy temat kapeluszy utracił swój urok, jedynymi innymi przedmiotami dyskusji stały się spadki i perspektywy zbliżających się balów. A zatem, biorąc pod uwagę jego zwykłą nerwowość w damskim towarzystwie, narastającą niechęć do herbaty barwy moczu i konwersacji o absolutnie niczym, nieuchronnie musiał się odezwać.

- Przepraszam, że pytam, drogie panie, ale co tak naprawdę... no, czym się naprawdę zajmujecie... jako źródłem utrzymania, znaczy?

Pytanie ściągnęło na niego pięć absolutnie pustych spojrzeń. Nie potrafił rozróżnić córek lady Ariadny, z wyjątkiem tej o imieniu Emily, która z całą pewnością mogła utkwić w pamięci, a możliwe, że również i w drzwiach, a która teraz powiedziała tonem osoby tracącej grunt pod nogami:

- Proszę o wybaczenie, komendancie, ale chyba nie całkiem zrozumiałyśmy, co zechciał pan wyrazić.

- Chodziło mi o to, no... Jak zarabiacie na życie? Czy któraś z was ma posadę? Za co kupujecie wasz chleb powszedni? Jaką wykonujecie pracę? - Nie odbierał od Sybil żadnych sygnałów, ponieważ nie widział jej twarzy, za to matka dziewcząt wpatrywała się w niego z radosną fascynacją. - Chcę się dowiedzieć, drogie panie - tłumaczył -jak sobie radzicie w tym świecie. Jak się utrzymujecie? Jeśli pominąć kapelusze, czy macie jakieś umiejętności? Gotowanie, na przykład?

Inna córka, możliwe, że Mavis, ale tylko zgadywał, odrzekła wzburzona:

- Na szczęście, komendancie, mamy od tego służbę. Jesteśmy dobrze urodzone, rozumie pan? Byłoby to całkiem, ale to całkiem nie do pomyślenia, żebyśmy zajęły się jakimś rzemiosłem czy handlem. Skandal! Tego się nie robi.

Wynikło chyba pewne współzawodnictwo: kto potrafi śmiertelnie zdziwić kogo, czy może którą. Vimes zdołał jednak spytać:

- Czy siostra pani nie pracuje w produkcji drewna?

Niesamowite, myślał, że ani ich matka, ani Sybil jak dotąd nie
włączyły się do rozmowy. Kolejna siostra (być może Amanda) wyglądała, jakby chciała zabrać głos. Dlaczego, na bogów, wszystkie noszą te bezsensowne zwiewne sukienki? Jak można porządnie pracować w czymś tak delikatnym?

- Obawiam się, że nasza siostra jest źródłem pewnego zakłopotania dla rodziny, wasza łaskawość - oświadczyła Amanda (być może).

- Dlatego, że ma pracę? Czemu?

Odpowiedziała kolejna z dziewcząt, a w tej chwili Vimesowi naprawdę zaczęły się mylić.

- Widzi pan, komendancie, ona nie może już liczyć na dobrego męża... no, nie na dżentelmena.

Cała sprawa plątała się coraz bardziej.

- Wytłumaczcie mi, drogie panie, kim jest dżentelmen.

Po krótkiej, prowadzonej szeptem wymianie zdań odpowiedziała mu córka ofiarna:

- Naszym zdaniem dżentelmen to człowiek, który nie musi kalać sobie rąk pracą.

Podobno najtwardszym metalem jest adamantium, ale i ono wygięłoby się na cierpliwości Sama Vimesa. Bardzo starannie wytapiając kolejne sylaby, powiedział:

-Aha... Czyli nierób. A jak zamierzacie schwytać takiego dżentelmena, jeśli wolno?

Zdawało się, że procesy myślowe dziewcząt dramatycznie zwolniły.

- Widzi pan, komendancie - zdołała w końcu wykrztusić jedna z nich - nasz ukochany zmarły ojciec nie miał szczęścia na rynku finansowym. Obawiam się zatem, że aż do śmierci naszej ciotki Marigold, co do której żywimy nadzieje, niestety żadna z nas nie ma pieniędzy na posag.

Niebiosa wstrzymały oddech, gdy Vimes próbował zrozumieć koncepcję posagu; potem szron osiadł na szybach, gdy siedział pogrążony w dławionych z trudem myślach.

- Moje panie - rzekł w końcu - według mnie istnieje proste rozwiązanie waszego problemu. Powinnyście podnieść swoje całkiem atrakcyjne siedzenia, wyjść z domu i zacząć sobie radzić. Posag? Chcecie powiedzieć, że jakiemuś typowi trzeba płacić za poślubienie którejś z was? Myślicie, że w jakim stuleciu żyjemy? Czy tylko mnie się tak wydaje, czy to naprawdę najgłupsza rzecz, jaką sobie można wyobrazić?

Zerknął na śliczną Emily. Na bogów, pomyślał, przecież mężczyźni będą się ustawiać w kolejce na trawniku, żeby bić się o ciebie, moja droga. Jak to możliwe, że nikt ci o tym nie powiedział? Wyrafinowanie i maniery są godne pochwały, ale i praktyczność ma swoje zastosowania. Wyjdź na świat, niech świat cię zobaczy, a może znaleźć w słowniku nowe słowo, takie jak na przykład „Łau!".

- Muszę zaznaczyć - mówił dalej - że nie brakuje pracy dla bystrych młodych dam. Na przykład Darmowy Szpital Lady Sybil zawsze szuka inteligentnych dziewcząt, które szkoli jako pielęgniarki. Niezła płaca, bardzo atrakcyjne uniformy, spora szansa złapania utalentowanego młodego lekarza zmierzającego na szczyty, zwłaszcza jeśli pchnie go tam wasz bucik. Dodatkowo, jako pielęgniarki, poznacie zadziwiająco wiele zabawnych i krępujących historyjek o tym, co ludzie wtykają... Może to nie jest najlepsza chwila, w każdym razie jest też możliwość zostania przełożoną, jeśli osiągnie się odpowiednią wagę. To bardzo odpowiedzialna praca, pożyteczna dla społeczeństwa, a pod koniec długiego dnia dająca satysfakcję, bo człowiek zrobił coś dobrego.

Przyjrzał się zaróżowionym twarzom panien rozważających skok w nieznane.

- Oczywiście, jeśli nadal chcecie pozostać przy kapeluszach, to Sybil i ja mamy całkiem przyzwoity dom przy Starej Szewskiej, w wielkim mieście. W tej chwili stoi pusty. Kiedyś była to niebezpieczna dzielnica, ale w tej chwili wprowadzają się tam robiące kariery trolle i wampiry, a ciężkie pieniądze i ciemne pieniądze są czymś nie do pogardzenia, zwłaszcza że zawsze płacą duże pieniądze za to, czego chcą. Robi się tam całkiem elegancko. Ludzie wystawiają na chodniki stoliki i krzesła, i naprawdę nie zawsze wszystkie zostają skradzione! Możecie tam zamieszkać za darmo przez trzy miesiące, żebyście się przekonały, jak sobie dajecie radę, a może też poznały koncepcję czynszu, choćby dla poczucia własnej godności. Wierzcie mi, moje panie, poczucie godności to coś, co się zyskuje, kiedy nie trzeba marnować życia na czekaniu, aż jakaś bogata staruszka wyciągnie nogi. Są chętne?

Uznał to za dobry znak, że dziewczęta osłupiały na samą myśl o możliwości bycia kimś więcej niż bezużyteczną ozdobą.

- I cokolwiek postanowicie - dodał - przestańcie czytać te głupie romansowe powieści!

Pozostała jednak niewielka strefa - czy raczej gniazdko - oporu wobec rewolucji. Jedna z dziewcząt stanęła przy wikarym, jakby był jej własnością. Spojrzała na Vimesa wyzywająco.

- Mam nadzieję, że nie uzna pan tego za impertynencję, komendancie, aleja wolę raczej wyjść za Jeremy'ego i pomagać mu w duszpasterstwie.

- Dobrze, bardzo dobrze - stwierdził Vimes. - Rozumiem, że go kochasz, a on kocha ciebie? No, mówcie śmiało!

Oboje przytaknęli, zaczerwienieni z zakłopotania, zerkając przy tym na matkę dziewczyny, której szeroki uśmiech mówił, że będzie to dla nich z korzyścią.

- No i świetnie. Sugeruję, żebyście wzięli się do rzeczy, a ty, młody człowieku, żebyś poszukał sobie lepiej płatnej pracy. Nie mogę ci w tym pomóc, ale ostatnio jest całe mnóstwo religii; na twoim miejscu spróbowałbym na jakimś biskupie zrobić wrażenie swoim zdrowym rozsądkiem, bo to coś, czego duchowny potrzebuje przede wszystkim... no, przed prawie wszystkim. I pamiętaj, że dla ambitnych zawsze znajdzie się miejsce na szczycie... Chociaż w przypadku religii raczej nie na samym szczycie, co?

Vimes zastanawiał się dłuższą chwilę.

- Może najlepsze rozwiązanie - uznał - to jeśli rozejrzycie się trochę, drogie panie, aż znajdziecie jakiegoś chłopca, który ma w sobie zadatki na człowieka sukcesu, a jeśli się wam spodoba, stańcie przy nim, wspierajcie w miarę potrzeby, pomagajcie w trudnych chwilach i ogólnie bądźcie blisko, kiedy

będzie was szukał, no i dopilnujcie, żeby i on był blisko, kiedy wy będziecie szukały. I jeśli oboje się przyłożycie, może z tego wyjść coś dobrego. Z całą pewnością już raz się to udało, prawda, Sybil?

Sybil wybuchnęła śmiechem, a oszołomione dziewczęta posłusznie pokiwały głowami, jakby rzeczywiście coś zrozumiały. Vimes z ulgą poczuł delikatne szturchnięcie lady Sybil, dające nadzieję, że nie zapłaci zbyt wysokiej ceny za wygarnięcie tym pięknym kwiatuszkom, co myśli.

Rozejrzał się, jakby sprawdzał, czy coś jeszcze powinien uporządkować.

- To już chyba wszystko, prawda?

- Przepraszam, komendancie...

Vimes potrzebował kilku sekund, żeby się zorientować, skąd dobiega głos. Ta córka przez cały czas nie odezwała się ani słowem. Teraz przyglądała mu się wzrokiem nieco bystrzejszym niż u jej sióstr.

- Mogę w czymś pomóc, panienko? Może zechcesz zdradzić, jak ci na imię.

- Jane, komendancie. Próbuję zostać pisarką. Wolno spytać, czy ma pan jakąś opinię o tym jako akceptowalnej karierze dla młodej damy?

Jane, myślał Vimes. Ta dziwna...

I rzeczywiście taka była. Wydawała się równie skromna jak jej siostry, ale miał wrażenie, że wzrokiem przenika go na wylot, widzi jego myśli i wszystko.

Oparł się w fotelu, by zyskać na czasie.

- No cóż, to chyba nie jest trudne zajęcie, skoro wszystkie słowa zostały już wymyślone, więc nie trzeba tracić na to czasu. Wystarczy tylko poukładać je razem w innej kolejności. - To była granica jego wiedzy o sztuce literackiej. - A na jaki temat zamierzasz pisać, Jane?

Dziewczyna była nieco skrępowana.

- No więc, komendancie, w tej chwili pracuję nad czymś, co można nazwać powieścią o złożonościach osobistych relacji, ze wszystkimi ich nadziejami, marzeniami i nieporozumieniami.

Chrząknęła nerwowo, jakby przepraszając. Vimes ściągnął wargi.

- Wydaje się, że to dobry pomysł, panienko, lecz w tej kwestii raczej nie mogę pomóc. Choć na twoim miejscu, ale mówię to bez głębszego zastanowienia, dodałbym też sporo walki, trupy wypadające z szaf... i jakąś wojnę, może, jako tło dla akcji.

Jane bez przekonania pokiwała głową.

- Interesująca sugestia, komendancie, i wiele za nią przemawia, ale czy te relacje między bohaterami nie znajdą się wtedy na dalszym planie?

Vimes przemyślał to.

- Tak, możesz mieć rację - przyznał.

I wtedy, jakby znikąd - możliwe, że z jakiegoś ciemnego zakamarka - uderzyła go pewna myśl, jak uderzała wiele razy już przedtem, czasami w sennych koszmarach.

- Chciałbym wiedzieć, czy jakiś pisarz pomyślał kiedyś o relacji między łowcą i ściganym, policjantem i tajemniczym zabójcą, przedstawicielem prawa, który czasami, by wykonać swoją pracę, musi myśleć jak przestępca i może być nieprzyjemnie zaskoczony tym, że tak dobrze mu to wychodzi. To tylko pomysł... - zakończył niepewnie, nie wiedząc, skąd się właściwie wziął. Może ta dziwna Jane wydobyła jakoś z niego to pytanie, a może nawet mogłaby na nie odpowiedzieć.

- Ktoś ma ochotę jeszcze na filiżankę herbaty? - zaproponowała wesoło Ariadna.

* * *

Kiedy ich powóz odjeżdżał, lady Sybil była dziwnie milcząca. Vimes postanowił więc chwycić byka za rogi i załatwić sprawę od razu. Zona sprawiała wrażenie zamyślonej, a to zawsze był zły znak.

- Będę miał kłopoty, Sybil?

Przez chwilę patrzyła na niego, nie rozumiejąc.

- Ach - powiedziała w końcu. - Bo zaproponowałeś tej wiązance delikatnych kwiatów, żeby przestały tęsknić za prawdziwym życiem, a wzięły się do niego? Wielkie nieba, nie! Postąpiłeś właśnie tak, jak się po tobie spodziewałam, Sam. Jak zawsze. Powiedziałam Ariadnie, że jej nie zawiedziesz. Ma dość skromne przychody i gdybyś nie przemówił im do rozumu, pewnie w końcu wypędziłaby je łopatą. Nie, Sam. Zastanawiałam się tylko, co się dzieje w twojej głowie. To wszystko. To znaczy... Niektórym z

pewnością się wydaje, że być policjantem to tylko praca, ale nie tobie, Sam, prawda? Jestem z ciebie bardzo dumna i nie chciałabym, żebyś się zmienił, ale czasem trochę się martwię. W każdym razie dobrze im powiedziałeś.
Ciekawa jestem, jaką powieść napisze ta młoda Jane.

* * *

Następnego dnia Vimes zabrał syna na ryby, choć trochę krępował go absolutny brak znajomości sztuki wędkarskiej. Młodemu Samowi wcale to nie przeszkadzało. W obfitości pokoju dziecinnego znalazł siatkę na krewetki i brodził po płyciźnie, płosząc raki, a czasem sztywniejąc w bezruchu, by się czemuś przyjrzeć. Kiedy już minął pierwszy szok, Vimes przekonał się, że Młody Sam robi to z dużą uciechą; w pewnym momencie pokazał nawet troskliwemu ojcu jakieś stwory w rzece „jak owady w wodzie, tylko że mają pancerz zrobiony z takich małych kamyków", co Vimes musiał zbadać i przekonał się, że to szczera prawda. A to zdziwiło go jeszcze bardziej niż syna.

Kiedy wracali do domu na drugie śniadanie, Młody Sam zdradził ojcu, że tak naprawdę chciał sprawdzić, czy ryby robią kupkę - ten problem nie dręczył Sama Vimesa ani przez jeden moment życia, natomiast jego synowi wydawał się niezwykle istotny. Tak bardzo, że w drodze do domu trzeba było go powstrzymywać, żeby nie zawrócił na brzeg, by sprawdzić, czy wychodzą z wody, żeby to robić, bo jeśli nie, to tego... fuj!

Po południu Sybil obiecała Młodemu Samowi kolejną wyprawę na farmę, dzięki czemu Sam Vimes mógł zająć się sobą - albo takimi zajęciami, jakie potrafi sobie zorganizować policjant wśród tych spokojnych pól. Vimes był człowiekiem z miasta; nie wiedział, co charakteryzuje człowieka z pól. Może powinien się znać na łapaniu łasic i wiedzieć, czy to coś, co właśnie powiedziało „muu", jest krową czy bykiem - i żeby nie musiał się w tym celu schylać i sprawdzać.

I kiedy szedł tak wśród pól na obolałych nogach, żałując, że nie czuje pod nimi bruku, po raz kolejny przebiegł go dreszcz - ten dreszcz, który podnosi włosy na karku gliniarza, gdy jego dobrze wyostrzone zmysły ostrzegają, że w pobliżu dzieje się coś, co dziać się nie powinno, i krzyczą, żeby jakoś zareagować.

Ale przecież był tu jeszcze jeden gliniarz, prawdziwy stary krawężnik leżący odłogiem, tylko że bycie gliną przenika człowieka aż do kości. Nie da się tego usunąć.

Vimes się uśmiechnął. Pora już chyba na przyjacielskiego drinka z panem Jiminym.

Głowa Goblina o tej porze nie miała klientów, jeśli nie liczyć zawsze obecnego tria na ławce przed wejściem. Vimes usiadł przy barze ze szklanką piwa korzennego pani Jiminy i pochylił się do barmana.

- No więc, panie Jiminy, co tu jest ciekawego dla starego gliny?

Jiminy rozdziawił usta, ale Vimes mówił dalej:

- Palisandrowa pałka, Straż Miejska Pseudopolis? Wiem, że mam rację. To przecież nie zbrodnia. Ma pan tu spełnione marzenie policjanta, ale nic dziwnego, że zabrał pan swoją wierną pałkę, by mieć przyjaciela, na którym można polegać, kiedy klient nie potrafi zapanować nad alkoholem i nie rozumie sugestii. - Vimes oparł się łokciem o ladę i bazgrał palcem w małej kałuży rozlanego piwa. - Ale trudno rzucić robotę, nie? A jak się ma pub, to jest nawet gorzej, bo słyszy się to i owo i nic się z tym nie robi, bo przecież nie jest się już gliną, ale przecież wiadomo, że się jest, i gdzieś w głębi duszy człowieka gryzie, że dzieją się tutaj złe rzeczy. A dzieją się, nawet ja to czuję. Nos gliniarza. Czuję coś w powietrzu. Coś przenika przez podeszwy. Sekrety i kłamstwa, panie Jiminy. Sekrety i kłamstwa.

Jiminy starannie wytarł z lady kałużę piwa.

- Wie pan, komendancie, sprawy na wsi wyglądają inaczej - rzucił jakby z roztargnieniem. - Ludziom się wydaje, że można się tutaj ukryć, ale to nieprawda. W mieście człowiek jest tylko twarzą w tłumie. Na wsi miejscowi gapią się na niego, póki nie zniknie z oczu, bo to dla nich jakaś rozrywka. Tak jak pan powiedział, nie jestem już gliną. Nie mam legitymacji ani chęci. A teraz, jeśli pan pozwoli, ja tu pracuję. Niedługo zjawią się inni klienci. Proszę uważać, gdzie pan stawia kroki, wasza łaskawość.

Ale Vimes nie dał mu się zerwać z haczyka.

- Taka ciekawostka, panie Jiminy. Wiem, że ma pan wieczystą dzierżawę tego pubu, jednak, co zabawne, nadal jestem pańskim gospodarzem. Przykro mi. Zanim tu przyjechaliśmy, obejrzałem sobie mapę i znalazłem pub na naszej ziemi. Co za strata, pomyślałem... ale to czyni mnie pańskim

gospodarzem. Niezbyt to republikańskie z mojej strony, wiem. I tak sobie myślę, panie Jiminy, że może nie każdemu w tej okolicy zależy, żeby mieć komendanta Straży Miejskiej tutaj, w tej cichej kryjówce, hm?

W pamięci pojawiła się wizja nieszczęsnego lorda Rusta, który prostodusznie tłumaczył, że nie ma tu niczego interesującego.

Twarz Jiminy'emu stężała, ale Vimes, który znał tę grę, dostrzegł niewielki tik, który po odszyfrowaniu oznaczał: „Tak, ale niczego nie powiedziałem i nikt mi nic nie udowodni. Nawet ty, przyjacielu".

Dalszą dyskusję w tej kwestii przerwało przybycie synów roli, którzy wchodzili jeden po drugim, by uczcić zakończenie dnia pracy. Tym razem patrzyli nie tak podejrzliwie, kiedy kiwali Vime- sowi głową, mijając go w drodze do baru. A on siedział, ściskając szklankę przyprawionego soku z buraków, i rozkoszował się chwilą.

Chwila okazała się bardzo krótka, a kiedy dobiegła końca, do sali wkroczył kowal i ciężkim krokiem podszedł do Vimesa.

- Siedzisz pan na moim miejscu!

Vimes rozejrzał się. Siedział na ławie nieodróżnialnej od wszystkich innych w sali, uznał jednak możliwość, że jest coś mistycznego w tej, którą akurat zajął. Wziął więc szklankę i przeszedł do innej, całkiem wolnej. I ledwie zdążył usiąść, gdy znowu usłyszał kowala:

- To też jest moje miejsce, jasne?

No ładnie... To wyraźnie uwertura do bójki, ale Vimes nie był początkującym, a oczy kowala miały wyraź człowieka, który postanowił komuś dzisiaj przyłożyć i najprawdopodobniej uznał, że znalazł idealnego kandydata.

Vimes czuł w kieszeni delikatny ucisk swojego kastetu. Dość oszczędnie gospodarował prawdą, kiedy obiecał żonie, że nie zabierze na wakacje żadnej broni. Jednakże, jak sobie tłumaczył, taki kastet nie tyle jest bronią, ile raczej sposobem zagwarantowania sobie dalszego życia. Można było go nazwać narzędziem obronnym, rodzajem tarczy tak naprawdę, zwłaszcza jeśli człowiek musiał podjąć działania obronne, zanim jeszcze został zaatakowany.

Wstał.

- Panie Jethro, byłbym szczerze zobowiązany, gdyby zechciał pan uprzejmie wskazać, które miejsce jest pańskie na dzisiejszy wieczór, abym mógł dopić swojego drinka w spokoju.

Ktokolwiek stwierdził, że uprzejma odpowiedź łagodzi gniew, wyraźnie nigdy nie pracował w barze. Złość kowala osiągnęła chyba tę samą temperaturę co jego palenisko.

- Nie jestem dla pana żadnym Jethro, o nie! Możesz mnie pan nazywać panem Jeffersonem, zrozumiano?

-A pan może mnie nazywać Samem Vimesem.

Patrzył, jak Jefferson bardzo starannie odstawia kufel na ladę, po czym zbliża się do niego.

- Wiem, jak mógłbym pana nazwać, panie...

Vimes czuł gładki mosiądz protezy kostek, wypolerowany przez lata ocierania się o jego spodnie oraz - nie warto chyba wspominać - o ten czy inny podbródek. Kiedy sięgnął do kieszeni, kastet sam wskoczył mu w dłoń.

- Przepraszam za to, wasza łaskawość - wtrącił Jiminy, delikatnie odsuwając Vimesa z drogi. - Daj spokój, Jethro - zwrócił się do kowala. - O co ci znowu chodzi?

- Wasza łaskawość? - prychnął drwiąco Jethro. - Na pewno pana tak nie nazwę! Nie mam zamiaru lizać pańskich butów jak cała reszta! Wracasz pan tutaj i się rządzisz, jakbyś pan był właścicielem całej okolicy! Bo o to właśnie chodzi, co? Jesteś pan właścicielem! Jeden człowiek i tyle ziemi! Tak nie powinno być! Wytłumacz pan, jak do tego doszło! No dalej, mów pan!

Vimes wzruszył ramionami.

- Nie jestem specjalistą, ale jak rozumiem, przodkowie mojej żony walczyli z kimś o te tereny.

Kowal rozpromienił się ze złośliwej radości. Zdjął skórzany fartuch.

- No to w porządku. Żaden problem. Tak się to załatwia, tak? No jasne. Powiem panu, co zrobimy. Będę walczył z panem o tę ziemię, tu i teraz. I wiesz pan co? Będę walczył z jedną ręką przywiązaną za plecami, bo żeś pan jest niższy ode mnie.

Vimes usłyszał zza pleców cichy chrobot drewna - odgłos dwu- stopowej palisandrowej pałki wyciąganej dyskretnie przez barmana z jej zwykłego miejsca pod ladą.

Jethro także musiał to usłyszeć.

- Nie próbuj żadnych sztuczek z tą zabawką, Jim. Wiesz, że ci ją odbiorę, nim zauważysz, że coś się dzieje, ale tym razem wcisnę ci ją tam, gdzie słońce nie dochodzi.

Vimes zmierzył wzrokiem pozostałych klientów, którzy bardzo sprawnie udawali kamienne posągi.

- Posłuchaj - rzekł. - Naprawdę nie chcesz się ze mną bić.

- Ależ chcę, bardzo chcę! Sam pan powiedziałeś. Jakiś przodek zdobył to wszystko, bo o to walczył, tak? A kto powiedział, że to już nie czas na walki?

- Burleigh i Wręcemocny, drogi panie - odezwał się uprzejmy, choć zimny głos zza pleców potężnego kowala. Ku zdumieniu Vimesa należał do Willikinsa. - Nie jestem okrutny, drogi panie. Nie strzelę panu w brzuch, ale postaram się panu uświadomić, jak bardzo nie doceniał pan faktu posiadania palców u stóp. Nie, proszę nie wykonywać żadnych gwałtownych ruchów. Kusze Burleigha i Wręcemocnego znane są z bardzo delikatnych spustów.

Vimes znów zaczął oddychać, kiedy Jethro wolno podniósł ręce. Gdzieś w całej tej wściekłości musiała przetrwać niewielka, warta może pół pensa drobina instynktu przetrwania. Mimo to kowal rzucił mu wrogie spojrzenie.

- Potrzebujesz pan ochrony wynajętego zabójcy, tak?

- Absolutnie, drogi panie - zapewnił spokojnie Willikins. - Jestem zatrudniony przez komendanta Vimesa jako dżentelmen dżentelmena. Kusza jest mi niezbędna, niekiedy bowiem jego skarpety stawiają opór. - Zerknął na Vimesa. - Czy ma pan jakieś instrukcje, komendancie? - Po czym krzyknął nagle: - Nie ruszaj się pan, bo o ile wiem, kowal potrzebuje do pracy obu rąk! - Znów zwrócił się do Vimesa: - Proszę wybaczyć ten wybuch, komendancie, ale znam ludzi tego rodzaju.

- Willikins, wydawało mi się, że sam jesteś tego rodzaju...

- Istotnie, sir, bardzo dziękuję, sir, i nie zaufałbym sobie ani odrobiny. Na pierwszy rzut oka potrafię rozpoznać złych typów. Mam lustro.

- Przede wszystkim, Willikins, odłóż tę piekielną kuszę! Możesz komuś zrobić krzywdę!

- Rzeczywiście, sir, taką właśnie miałem intencję. Nie mógłbym stanąć przed lady Sybil, gdyby cokolwiek się panu przytrafiło.

Vimes przyglądał się na zmianę kamerdynerowi i Jethro. Sytuacja była niczym nabrzmiały pęcherz, który należało przekłuć. Ale trudno mieć pretensje. Przecież sam myślał podobnie, i to wiele razy.

- Willikins - powiedział. - Odłóż ostrożnie tę zabawkę i wyjmij notes. Dziękuję. A teraz pisz: „Ja, Samuel Vimes, z pewnymi oporami diuk Ankh, zamierzam bez zbędnego dukania, cha, cha, stoczyć z moim przyjacielem Jethro"... Zapomniałem, jak się nazywasz, Jethro.

- Chwileczkę...

- Pytałem o twoje nazwisko, do demona! Jiminy, jak on się nazywa?

- Jefferson - odparł oberżysta, ściskając pałkę jak talizman. - Ale, wasza łaskawość, przecież...

Vimes go zignorował.

- Na czym stanęliśmy? Ach tak... „...z moim przyjacielem Jethro Jeffersonem przyjacielski pojedynek na pięści, którego stawką jest rezydencja i okolice, jakiekolwiek by były, a staną się własnością tego z nas, który nie krzyknie pierwszy »wuju«, a gdybym to ja wymówił to słowo, reperkusje żadnego rodzaju nie spotkają mojego przyjaciela Jethro ani też mojego człowieka Willikinsa, który usilnie mnie prosił, bym nie przystępował do wspomnianego przyjacielskiego pojedynku na pięści". Zapisałeś wszystko, Willikins? Dam ci nawet list żelazny do pokazania mojej żonie, gdybym wyszedł z tego posiniaczony. Daj, podpiszę.

Kamerdyner z wahaniem podał mu notes.

- Nie sądzę, żeby to coś pomogło u lady Sybil, sir. Przecież diukowie nie powinni tak sobie chodzić i... - Umilkł, widząc uśmiech Vimesa.

- Chciałeś powiedzieć, że diukowie nie powinni walczyć, Willikins? A jeśli tak, to muszę ci przypomnieć, że słowo „diuk" oznaczało wodza, co oczywiście oznacza, że należy walczyć.

- No, jak pan chce, sir - ustąpił Willikins. - Ale może trzeba go ostrzec...?

Przerwali mu klienci pubu przeciskający się do drzwi, by co sił w nogach pobiec do wioski. Jethro został sam, wyraźnie oszołomiony. Idący ku niemu Vimes zatrzymał się nagle i obejrzał.

- Może ci się wydawać, Willikins, że widzisz, jak zapalam cygaro, ale przy tej okazji zapewne wzrok cię myli. Rozumiesz?

- Tak, a prawdę mówiąc, całkiem też ogłuchłem.

- Dobry chłopak. A teraz wyjdźmy na zewnątrz, gdzie jest mniej szkła i lepszy widok.

Jethro wyglądał jak człowiek, który nagle stracił grunt pod nogami, ale nie wie, jak upaść.

Vimes zapalił cygaro i przez chwilę rozkoszował się smakiem zakazanego owocu. Potem podsunął paczkę kowalowi, ale on bez słowa machnął ręką.

- Bardzo rozsądnie - pochwalił Vimes. - Do rzeczy. Lepiej cię uprzedzę, że co najmniej raz w tygodniu, nawet w ostatnich latach, muszę walczyć z ludźmi, którzy próbują mnie zabić wszystkim, od mieczy do krzeseł, w jednym przypadku również bardzo dużym łososiem. Prawdopodobnie wcale nie chcą mnie zabijać, ale usiłują nie dopuścić, żebym ich aresztował. Widzisz... - Skinieniem ręki wskazał ogólny pejzaż. - To... to wszystko jakoś się przytrafiło, czy tego chciałem, czy nie. Z zawodu jestem po prostu gliną.

-Tak... - Jethro patrzył na niego gniewnie. - Wdeptujesz pan w błoto protestujące masy!

Vimes był przyzwyczajony do takich wypowiedzi.

- Ostatnio wdeptywanie przychodzi mi z trudem, bo uciskarka przeszkadza - odparł łagodnie. - No dobrze, niezbyt to zabawne, przyznaję.

Zauważył, że drogą nadchodzą ludzie, także kobiety i dzieci. Wyglądało na to, że klienci pubu zwołali tu wszystkich sąsiadów.

Zwrócił się do kowala.

- Załatwimy to zgodnie z zasadami markiza Fantailera?

- A co to takiego? - zdziwił się Jethro, machając na powitanie zbliżającej się hordy.

- Reguły sportowej walki, które spisał markiz Fantailer - wyjaśnił Vimes.

-Jeśli spisał je markiz, to nie chcę mieć z nimi nic wspólnego!

Vimes pokiwał głową.

- Willikins!

- Słyszałem, komendancie, i już zanotowałem: „Odmówił Fantailera".

- No cóż, panie Jefferson - rzekł Vimes. - Sugeruję, żebyśmy poprosili pana Jiminy'ego, by zaczął przedstawienie.

- Chcę, żeby ten pański sługus zapisał w tej książeczce, że cokolwiek się stanie, nie usuniecie z domu mojej mamy. Zgoda?

- Układ stoi. Willikins, zanotuj polecenie, że matki pana Jeffersona nie wolno usuwać z jej domu, wypędzać na grzyby, zakuwać w dyby, bić ani w żaden sposób postępować wobec niej brutalnie. Zrozumiałeś?

Bezskutecznie próbując ukryć uśmiech, Willikins polizał ołówek i zaczął pracowicie notować. Vimes o wiele ciszej zanotował w myślach coś takiego: „Waleczność spływa z faceta w oczach. Zaczyna się zastanawiać, czy może rzeczywiście zginąć. Nie wyprowadziłem jeszcze ciosu, nawet go nie tknąłem, a on już szykuje się na najgorsze. Tymczasem oczywiście właściwym podejściem jest szykować się na najlepsze".

Tłum gęstniał z każdą sekundą. Vimes patrzył, jak dwóch ludzi niesie na materacu jakiegoś staruszka, który ich popędzał, bijąc laską po nogach. Matki w tylnych rzędach podnosiły dzieci, żeby mogły wszystko zobaczyć. I każdy z całkiem nieświadomie mężczyzn trzymał broń. Wyglądało to jak chłopska rewolta, tyle że bez rewolty i z bardzo uprzejmą klasą chłopską. Mężczyźni unosili palce do czoła, kiedy Vimes na nich spojrzał, kobiety dygały, a przynajmniej falowały lekko w dół i w górę w sposób niepokojąco nieuporządkowany, jak klapki piszczałek w katarynce.

Jiminy podszedł do Vimesa i kowala ostrożnie i - sądząc po błyszczącej od potu twarzy - pełen obaw.

- No więc tego... Panowie, chcę uważać to zajście za drobny pokaz sztuki walki, sportową próbę siły i sprawności, jaka może się trafić w dowolny letni wieczór, tak naprawdę wszyscy tu jesteśmy przyjaciółmi, jasne? - Spojrzał błagalnie i mówił dalej: - A kiedy już obaj wyładujecie nadmiar energii, w barze będzie czekał na was kufelek. Proszę, tylko niczego nie połamcie. - Z kieszeni kamizelki wyjął mocno używaną chusteczkę i uniósł ją w górę. - Kiedy dotknie ziemi, panowie... - powiedział i cofnął się bardzo szybko.

Skrawek płótna zdawał się przez moment rzucać wyzwanie grawitacji, lecz w końcu opadł na ziemię i w tej samej chwili Vimes oburącz chwycił sunący już ku niemu but kowala.

- Trochę za wcześnie, prawda? - rzucił cicho do wyrywającego się przeciwnika. - I co ci z tego przyszło? Słyszysz, jak chichoczą? Tym razem ci odpuszczę.

Nim puścił stopę, pchnął lekko i Jethro zatoczył się do tyłu. Vimes poczuł satysfakcję, widząc, że tamten tak wcześnie traci równowagę. Kowal jednak opanował się szybko, skoczył na niego i znieruchomiał nagle, być może dlatego, że Yimes się uśmiechał.

- Słuszna decyzja, mój chłopcze - pochwalił go diuk. - Właśnie zaoszczędziłeś sobie straszliwego bólu niewymownych.

Zacisnął dłonie i sugestywnie skinął głową, spoglądając nad lewą pięścią na zdumionego przeciwnika. Jethro zaatakował, biorąc szeroki zamach, i dostał kopniaka w kolano, który go powalił. Vimes pomógł mu wstać, czym metaforycznie powalił go po raz drugi.

- Skąd ci przyszło do głowy, że chcę się boksować? To coś, co my, zawodowcy, nazywamy zmyłką. Chciałbyś przejść do zwarcia? Też bym chciał, gdybym był takim wielkim facetem jak ty, ale raczej nie będziesz miał szansy. - Ze współczuciem potrząsnął głową.

- Trzeba było się zgodzić na markiza Fantailera. Mam wrażenie, że te słowa wyryte są na wielu nagrobkach.

Zaciągnął się cygarem, którego popiół nie zdążył jeszcze opaść.

Rozwścieczony do granic wytrzymałości Jethro rzucił się na Vimesa, dostał cios z ukosa w głowę i prawie równocześnie kolano wbite w brzuch odebrało mu oddech. Przewrócili się obaj, a Vimes - jako dyrygent tej orkiestry - dopilnował, żeby wylądować na górze. Pochylił wtedy głowę i szepnął kowalowi do ucha:

- Zobaczymy, jaki jesteś sprytny, co? Czy potrafisz nad sobą zapanować? Bo jak nie, to załatwię ci nos taki szeroki, że będziesz musiał chusteczkę trzymać na kiju. I nie myśl nawet, że nie dam rady. Ale wydaje mi się, że kowal wie, kiedy ostudzić metal. Dlatego daję ci szansę, byś mógł powiedzieć, że przynajmniej ściągnąłeś diuka do parteru przy wszystkich swoich kumplach, a teraz wstaniemy, podamy sobie ręce jak dżentelmeni, którymi obaj nie jesteśmy, a wszyscy będą klaskać i pójdą do pubu, żeby nażłopać się piwa, za które zapłacę. Czy jesteśmy zgodni?

Usłyszał zduszone:

-Tak.

Wtedy powstał, chwycił dłoń kowala i uniósł ją wysoko, co wzbudziło pewne niezrozumienie. Potem jednak ogłosił:

- Sam Yimes zaprasza wszystkich, żeby napili się z nim w instytucji pana Jiminy'ego!

Wszyscy wtedy strząsnęli z siebie to niezrozumienie, by zrobić miejsce na piwo. Cały tłum rzucił się do pubu, pozostawiając kowala i Vimesa samych - jeśli nie liczyć Willikinsa, który, gdy tylko zechciał, potrafił naprawdę nie zwracać na siebie uwagi.

- Kowale powinni panować nie tylko nad temperaturą, ale i temperamentem - stwierdził Vimes, kiedy publiczność zmierzała pospiesznie w stronę drzwi. - Czasami chłód jest lepszy niż gorąco. Nic o panu nie wiem, panie Jefferson, ale Straż Miejska potrzebuje ludzi, którzy łatwo się uczą, i sądzę, że szybko dosłużyłby się pan stopnia sierżanta. Przydałby się pan też jako kowal. Trudno uwierzyć, jak uciskanie biedaków może powgniatać stare pancerze.

Jethro wpatrywał się w czubki własnych butów.

- No dobra, mógł mnie pan pokonać w walce, ale to przecież nie znaczy, że to jest słuszne. Bo nie zna pan nawet połowy prawdy.

Z wnętrza pubu dobiegały odgłosy wesołości. Vimes pomyślał, jak wieść gminna przedstawi to starcie.

Zwrócił się do kowala, który nie ruszył się z miejsca.

- Posłuchaj mnie uważnie, ty młody durniu. Nie urodziłem się ze srebrną łyżeczką w ustach! Kiedy byłem mały, jedyne łyżki, jakie widywałem, były drewniane i człowiek miał szczęście, jeśli na ich końcu znalazło się coś jadalnego. Chowałem się na ulicy, rozumiesz? Gdybym trafił tutaj, uznałbym, że jestem w raju, gdzie spod każdego żywopłotu wyskakuje jedzenie! Ale zostałem gliną, bo regularnie płacili, i nauczyłem się, jak być jednym z tych porządnych glin, bo możesz mi wierzyć, budzę się każdej nocy, wiedząc, że mogłem się stać kimś całkiem innym. A później trafiłem na dobrą kobietę i na twoim

miejscu, mały, miałbym nadzieję, że też na taką trafię. No więc doprowadziłem się do porządku, aż pewnego dnia lord Vetinari... słyszałeś o nim, mały, na pewno... No więc potrzebował człowieka, który potrafi działać, a tytuł otwiera większość drzwi, dzięki czemu nie muszę ich wywalać kopniakami. I wiesz co? Przez lata moje buty widziały tyle przestępstw, że teraz prowadzą mnie do nich same z siebie. I wiem, że jest tu coś, co należy skopać... Ty też wiesz. Czuję to. Więc powiedz mi, co to takiego.

Jethro nadal patrzył na własne buty i milczał.

Willikins odchrząknął.

- Tak sobie myślę, komendancie, że mógłbym pomóc, gdybym pogadał chwilę z tym młodym człowiekiem z pozycji, można to nazwać, mniej wyniosłej. Może tymczasem chciałby pan przez chwilę zająć się podziwianiem piękna okolicy?

Vimes kiwnął głową.

- Proszę cię bardzo, jeśli uważasz, że to pomoże.

Odszedł na bok i zaczął z wyraźnym zaciekawieniem oglądać żywopłot z kapryfolium. Tymczasem Willikins, w swoich błyszczących butach dżentelmena dżentelmena, w swojej nieskazitelnej marynarce, podszedł do Jethro i objął go ramieniem.

- Wiesz, co trzymam przy twoim gardle? Sztylet. I nie żadną tam damską zabawkę, ale klingę ostrą jak brzytwa. Ty jesteś młodym durniem, a ja nie jestem komendantem i rozetnę ci szyję do kości, jak tylko się ruszysz. Jasne? Nie kiwaj głową! Dobrze, uczymy się, co? A teraz, mój chłopcze, komendant cieszy się zaufaniem diamentowego króla trolli i dolnego króla krasnoludów, któremu wystarczy rzucić jedno słowo, a twoje nędzne zwłoki doznają pieszczoty dużej liczby rozmaitych toporów. A także lady Margolotty, która ufa bardzo nielicznym, i lorda Vetinariego z Ankh-Morpork, który nie ufa absolutnie nikomu. Zrozumiałeś? Nie kiwaj głową! A ty, mały człowieczku, miałeś czelność wątpić w jego słowo. Osobiście jestem dość spokojnym gościem, ale naprawdę mnie wkurzyłeś. Mówię ci to całkiem szczerze. Zrozumiałeś? Zrozumiałeś? A tak, teraz możesz przytaknąć. A przy okazji, młody człowieku, uważaj, kogo nazywasz sługusem, co? Niektórzy mogą się poczuć dotknięci i zareagować gwałtownie. I jeszcze jedno słowo: dobrze znam komendanta, a ty zatroszczyłeś się o starą matkę i o to, co może ją spotkać, więc tak sobie myślę, że właśnie dlatego wychodzisz z tego cały. Bo on ma miękkie serce.

Nóż zniknął tak nagle, jak się pojawił. Drugą ręką Willikins wyjął małą szczoteczkę i oczyścił kołnierzyk kowala.

- Willikins! - zawołał Vimes z oddali. - Może wybierzesz się na krótki spacer?

Po chwili kamerdyner krążył pod drzewem kawałek dalej, a diuk zbliżył się do kowala.

- Przepraszam - powiedział - ale każdy ma swoją godność. Zawsze o tym pamiętam. Ty też powinieneś. Jestem gliną, policjantem, a tutaj coś do mnie woła. Takie mam wrażenie, że jest coś takiego, co chciałbyś mi powiedzieć, i nie chodzi tylko o to, kto siedzi we Dworze. Mam rację? Zdarzyło się coś złego, a ty praktycznie pocisz się tą świadomością. No więc?

Jethro pochylił się do niego.

- Zagajnik Trupa, na wzgórzu - rzucił. - O północy. Nie będę czekał.

Po czym odwrócił się i odszedł, nie patrząc za siebie.

***

Vimes zapalił następne cygaro i spacerkiem ruszył do drzewa, pod którym Willikins zdawał się podziwiać krajobraz.

- Lepiej już ruszajmy, sir - odezwał się kamerdyner. - Kolacja jest o ósmej, a lady Sybil chciałaby, żeby wyglądał pan elegancko. Bardzo liczy na pańską elegancję, sir.

Vimes jęknął.

- Ale nie oficjalne rajtuzy?

- Na szczęście nie, sir, nie na wsi. Lady Sybil osobiście dopilnowała, żebym zabrał pański wieczorowy strój w kolorze śliwkowym, sir.

- Uważa, że wyglądam w nim olśniewająco - mruknął posępnie Vimes. - Myślisz, że wyglądam olśniewająco? Czy twoim zdaniem w ogóle jestem olśniewającym typem człowieka?

Na dolnej gałęzi drzewa zaczęły śpiewać ptaki.

- Klasyfikuję pana jako osobę raczej błyskotliwą, sir - odparł Willikins.

Wracali do domu w ciszy, to znaczy: obaj milczeli, ale natura wokół śpiewała, dźwięczała i skrzeczała. W końcu Vimes nie wytrzymał.

- Do licha, chciałbym wiedzieć, co to za zwierzaki.

Willikins przechylił głowę i po chwili odpowiedział:

- Ćwierkacz Parkinsona, sir, żabojad głębokogardzielny i wyznawca pospolity.

- Znasz się na tym?

- Oczywiście, sir. Uczęszczam do musie halli, sir, a tam zawsze mają w programie naśladowcę ptasich albo zwierzęcych głosów. Takie rzeczy zostają w pamięci. Znam też siedemdziesiąt trzy odgłosy farmy, sir. Mój ulubiony to głos wydawany przez farmera z jednym butem wessanym przez gnojówkę, którą starał się ominąć, i teraz nie ma gdzie postawić stopy w skarpetce, jak tylko we wspomnianej gnojówce. Niezwykle zabawne, sir.

Dotarli na podjazd do Dworu i pod stopami zachrzęścił im żwir.

- Umówiłem się z panem Jeffersonem o północy w Zagajniku Trupa - rzucił cicho Vimes. - Chce mi przekazać coś ważnego. Przypomnij mi, Willikins, co dokładnie oznacza zagajnik?

- Cokolwiek pomiędzy kępą drzew a niedużym lasem. Technicznie, sir, ten na Szubienicznym Wzgórzu to buczyna. Czyli bukowy lasek na wzgórzu. Pamięta pan tego zwariowanego Czarnego Jacka Ramkina, który ogromnym kosztem podwyższył wzgórze o trzydzieści stóp? Kazał na szczycie posadzić buki.

Vimes lubił chrzęst żwiru - zagłuszał ich rozmowę.

- Przysiągłbym, że kiedy rozmawiałem z kowalem, w zasięgu słuchu nie było nikogo. Ale tutaj, na wsi... Tak, Willikins?

- Jakiś człowiek zastawiał sidła na króliki w żywopłocie za panem - poinformował Willikins. - Absolutnie normalne zajęcie, choć moim zdaniem trochę długo to trwało.

Przez chwilę chrzęścili dalej.

- Poradź mi coś, Willikins - rzekł Vimes. - Jeśli jakiś człowiek umawia się na spotkanie z innym człowiekiem w miejscu zwanym Zagajnikiem Trupa, na Szubienicznym Wzgórzu, jakie postępowanie uznałbyś za rozsądne, skoro jego żona zakazała mu zabierać broń do wiejskiej rezydencji?

Willikins pokiwał głową.

- No cóż, sir, to przecież pańska maksyma, że wszystko jest bronią, jeśli człowiek zechce widzieć to w taki sposób. W tej sytuacji radziłbym temu człowiekowi sprawdzić, czy nie ma przy sobie krajana, który, na przykład, zdobył klucze do szafki zawierającej pewną liczbę znakomicie wyostrzonych noży do mięsa, idealnych do walki wręcz. Osobiście dodałbym też kawałek drutu, wygodny do przygotowania garoty, sir, albowiem według mojej opinii jedyne, co jest ważne w walce na śmierć i życie, to żeby śmierć nie była moja.

- Człowieku, przecież nie mogę nosić garoty! Jestem komendantem Straży Miejskiej!

- W samej rzeczy, komendancie, a zatem radziłbym pański kastet jako alternatywę godną dżentelmena. Wiem, że nigdzie się pan bez niego nie rusza. W okolicy kręcą się groźni ludzie i jestem pewien, że należy być wśród nich.

- Słuchaj no, Willikins. Nie chcę ciebie w to wciągać, w końcu to tylko przeczucie.

Willikins machnął ręką.

- Za wszystkie zegary świata mnie pan nie powstrzyma, sir, ponieważ mnie też pociąga ta historia. Przygotuję panu wybór dobrych ostrzy w garderobie, sir, a ja wybiorę się do zagajnika pół godziny przed pańskim umówionym spotkaniem, ze swoją wierną kuszą i zestawem ulubionych zabawek. Dziś prawie pełnia, niebo jest bezchmurne, wszędzie będą cienie, a ja stanę w najciemniejszym z nich.

Vimes przyglądał mu się przez moment.

- Czy mógłbym wprowadzić pewną poprawkę do tego planu? Stań w drugim z kolei najciemniejszym cieniu i godzinę przed północą, żeby zobaczyć, kto ukryje się w najciemniejszym.

- No tak, dlatego właśnie jest pan komendantem straży, sir - westchnął Willikins i ku swemu zdumieniu Vimes wyczuł w jego głosie nutkę wzruszenia. - Nasłuchuje pan ulicy, sir, prawda?

Vimes wzruszył ramionami.

- Nie ma tutaj ulic, Willikins.

Kamerdyner pokręcił głową.

- Kto raz był chłopakiem z ulicy, zawsze nim zostanie, sir. Ona przychodzi z nami, najkrócej mówiąc. Matki odchodzą, ojcowie odchodzą, jeśli w ogóle ich znaliśmy, ale ulica... tak, ulica dba o nas. To ona utrzymuje nas przy życiu.

Willikins przyspieszył kroku i wyprzedził Vimesa. Pociągnął za sznur dzwonka, by służący zdążył otworzyć, nim Vimes wejdzie po schodach.

- Ma pan akurat tyle czasu, by posłuchać, jak Młody Sam panu czyta, sir - uprzedził. - Wspaniała rzecz, takie czytanie. Żałuję, że nie nauczyłem się go w dzieciństwie. Lady Sybil jest teraz w garderobie, a goście zaczną się zjawiać za jakieś pół godziny. Muszę iść, sir. Muszę nauczyć dobrych manier tę tłustą ropuchę, tutejszego majordomusa.

Vimes się skrzywił.

- Nie wolno ci dusić służby, Willikins. Jestem pewien, że czytałem o tym w jakimś podręczniku etykiety.

Kamerdyner rzucił mu spojrzenie pełne udawanej urazy.

- Użycie garoty nie wchodzi w grę, sir - zapewnił, otwierając przed Vimesem drzwi garderoby. - Ale to przecież snob najwyższej próby. Nigdy nie spotkałem lokaja, który by nim nie był. Chcę udzielić mu lekcji orientacji.

- No cóż, jest majordomusem i to jest jego dom.

- Nie, sir, to pański dom, a ja jestem pańskim kamerdynerem. A zatem, zgodnie z nienaruszalnymi prawami kwater dla służby, przewyższam rangą każdego z tutejszych leniwych łobuzów. Pokażę im, jak się załatwia sprawy w prawdziwym świecie, sir, nie ma obawy...

Przerwało mu stukanie do drzwi, a potem intensywne szarpanie klamki. Willikins otworzył i do pokoju wkroczył Młody Sam.

- Czytanie! - oznajmił.

Vimes podniósł syna i usadowił na krześle.

- Co robiłeś po południu, mój chłopcze?

- Wiesz... - zaczął Młody Sam takim tonem, jakby przekazywał wyniki ścisłych badań. - Krowy robią takie duże i rzadkie kupki, ale owce całkiem małe, podobne do czekoladek.

Vimes starał się nie patrzeć na Willikinsa, który trząsł się od tłumionego śmiechu. Na szczęście jemu udało się zachować powagę.

- No oczywiście, owce są mniejsze.

Młody Sam rozważył tę hipotezę.

- Krowia kupka robi plask - powiedział. - Nic o tym nie było w „Gdzie jest moja krówka". - Ton Młodego Sama zdradzał pewną irytację faktem pominięcia tak ważnej informacji. - Panna Felicity Beedle na pewno by tego nie opuściła.

Vimes westchnął.

- Na pewno nie.

Willikins otworzył drzwi.

- Pozostawiam zatem panów tym kwestiom. I do zobaczenia później, sir.

- Willikins! - zawołał jeszcze Vimes, gdy kamerdyner położył już dłoń na klamce. - Uważasz, jak się wydaje, że twój kastet jest lepszy od mojego. Czemu?

- Pan nigdy nie godził się na te z kolcami, prawda, sir? - Willikins uśmiechnął się lekko i starannie zamknął za sobą drzwi.

* * *

Młody Sam umiał już czytać samodzielnie, co rodzicom niosło wielką ulgę. Na szczęście dzieła panny Felicity Beedle nie składały się wyłącznie z ekscytujących odwołań do kupek we wszystkich ich przejawach; regularnie wydawane przez tę autorkę niewielkie tomiki zyskiwały ogromną popularność, przynajmniej wśród dzieci. To dlatego, że starannie badała potrzeby swoich odbiorców. Młody Sam śmiał się przez całych „Siuś Ludzi", „Wojnę ze Smarkowymi Goblinami" oraz „Geoffreya i Krainę Kupek". Dla chłopców w pewnym wieku te książki trafiały w czuły punkt. W tej chwili chichotał i krztusił się nad „Chłopcem, który nie potrafił dłubać we własnym nosie", absolutny przebój dla chłopca, który właśnie zaczął szósty rok życia. Sybil podkreślała, że książeczki rozbudowują słownictwo Młodego

Sama, i to nie tylko w tematyce toaletowej. Rzeczywiście, przy pewnej zachęcie zaczynał już czytać książki, w których w ogóle nikt nie doznawał ruchów jelit, co samo w sobie było tajemnicze.

Po dziesięciu minutach przyjemnego słuchania Vimes zaniósł syna do łóżka. Zdążył jeszcze się ogolić i włożyć na siebie przerażający strój wieczorowy, a chwilę później jego żona zapukała do drzwi. Osobne garderoby i łazienki, myślał Vimes. Jeśli kogoś na to stać, to nie ma lepszego sposobu, by szczęśliwe małżeństwo pozostało szczęśliwym. I aby zadbać o szczęście szczęśliwego małżeństwa, pozwolił Sybil - w sukni z turniurą - wejść, poprawić sobie koszulę, wygładzić kołnierzyk i dopilnować, by mąż nadawał się do towarzystwa.

Kiedy już skończyła, rzekła:

- Jak słyszałam, skarbie, udzieliłeś kowalowi krótkiej lekcji walki wręcz...

Przerwa zawisła w powietrzu niczym jedwabna pętla.

- Dzieje się tu coś niedobrego - wykrztusił Vimes zamiast odpowiedzi. - Czuję to.

- Też tak uważam - zgodziła się Sybil.

- Naprawdę?

** Sybil wyjaśniła Vimesowi, że na wsi człowiek ubiera się co najmniej o dziesięć lat wcześniej niż w mieście. Stąd turniura, a dla Vimesa para bryczesów, takich staroświeckich, z klapą z przodu i z tyłu oraz dość niepokojącym zapachem w całości.*

- Tak, Sam, ale teraz nie jest właściwy moment. Lada chwila zaczną przychodzić goście. Gdybyś między pierwszym daniem a drugim zdołał się powstrzymać od przerzucania kogokolwiek z nich przez ramię, byłabym wdzięczna.

Była to straszliwa przygana jak na zwykłe delikatne standardy Sybil. Vimes zareagował tak jak każdy rozsądny mąż, to znaczy dynamicznie nie zrobił nic.

Nagle na dole rozległy się głosy i chrzęst żwiru pod kołami bryczek. Sybil zwinęła żagle i zbiegła po schodach, by stać się czarującą gospodynią.

Mimo tego, co lubiła sugerować jego żona, Vimes był nieźle zaprawiony w przyjęciach, jako że w Ankh-Morpork musiał uczestniczyć w niezliczonych oficjalnych bankietach. Sztuka polegała na tym, żeby pozwolić mówić innym gościom i od czasu do czasu im przytakiwać, dając sobie czas, by myśleć o innych sprawach.

Sybil zadbała, by dzisiejsze spotkanie było raczej swobodne. Zaprosiła głównie osoby o pewnej klasie, które mieszkały na wsi, ale nie były ze wsi, jak to mówią. Żołnierze w stanie spoczynku, kapłan Oma, panna Pickings, stara panna, oraz jej towarzyszka, surowa dama z krótkimi włosami, męską koszulą i kieszonkowym zegarkiem oraz - tak! - panna Felicity Beedle. Vimes myślał już, że wdepnął w kłopoty, kiedy powiedział:

- A tak, pani od kupek...

Ona jednak wybuchnęła śmiechem i podała mu dłoń.

- Proszę się nie obawiać, wasza łaskawość, starannie myję ręce po pisaniu.

Śmiech brzmiał szczerze. Panna Beedle była drobnej budowy i miała pewną szczególną, rzadko spotykaną cechę - ludzie obdarzeni nią wydają się delikatnie wibrować, nawet jeśli stoją w absolutnym bezruchu. Patrzący ma wrażenie, że gdyby nagle pękła jakaś wewnętrzna blokada, spiętrzona energia po uwolnieniu wyniosłaby taką osobę przez najbliższe okno.

Panna Beedle ukłuła go palcem w brzuch.

- A pan jest słynnym komendantem Vimesem? Przyjechał pan tu nas wszystkich aresztować?

Oczywiście, takie zaczepki trafiały się bez przerwy, by ich uniknąć, musiałby zabronić Sybil przyjmowania zaproszeń na kolejne spotkania osób z towarzystwa. Ale choć panna Beedle się śmiała, milczenie opadło na pozostałych gości jak żelazny sejf. Spoglądali niechętnie na pannę Beedle, a panna Beedle wpatrywała się w skupieniu w komendanta Vimesa. Vimes znał ten wyraz twarzy: był to wyraz

twarzy kogoś, kto ma coś do opowiedzenia. Chwila z pewnością nie była odpowiednia, by zająć się tą kwestią, więc zanotował ją w pamięci z etykietą „interesujące".

Mimo obaw Vimesa Ramkinowy Dwór wydał naprawdę doskonałe przyjęcie, a w dodatku - i to było ważne - normy stosunków towarzyskich zmuszały Sybil do uznania w menu licznych potraw, które normalnie nie byłyby dozwolone, gdyby o nie poprosił. Łatwo jest być arbitrem gustów kulinarnych własnego męża, jednak byłoby źle przyjęte, gdyby ktoś próbował tak samo postępować z gośćmi. Naprzeciw Vimesa przy stole jakiś emerytowany wojskowy był zapewniany przez swoją żonę, że wbrew swoim przekonaniom wcale nie lubi zapiekanych krewetek. Na próżno protestował słabo, iż naprawdę uważa, że je lubi. Otrzymał jedynie spokojną odpowiedź:

- Ty może i lubisz zapiekane krewetki, Charles, ale one ciebie nie lubią.

Vimes współczuł temu człowiekowi, który wydawał się naprawdę zdziwiony, że ma wrogów wśród prymitywnych skorupiaków.

- Ehm... A czy homar mnie lubi, moja droga? - zapytał ten emerytowany wojskowy, choć bez wielkiej nadziei.

- Nie, kochanie, zupełnie się z tobą nie zgadza. Pamiętasz, co się stało u Parsleyów, kiedy poszedłeś na wista?

Spojrzał na uginające się stoły i spróbował jeszcze raz.

- A małże? Może wytrzymałyby ze mną chociaż pięć minut?

- Wielkie nieba, Charles, skąd!

Raz jeszcze przyjrzał się półmiskom.

- Podejrzewam, że zielona sałata jest moją serdeczną przyjaciółką, prawda?

- Absolutnie, mój drogi.

- Tak właśnie myślałem.

Popatrzył na Vimesa nad stołem i rzucił mu smętny uśmiech.

-Jak zrozumiałem - rzekł - wasza łaskawość jest policjantem. To prawda?

Vimes po raz pierwszy przyjrzał mu się uważnie: wąsaty stary żołnierz, na emeryturze porastający mchem - i pewnie to jedyne, co żona pozwala mu jeść bez kłótni. Na dłoniach i twarzy miał blizny od oparzeń i akcent Pseudopolis. Łatwe...

- Służył pan w lekkich dragonach, sir?

Staruszek był wyraźnie zadowolony.

- Brawo, chłopie! Niewielu nas pamięta. Niestety, tylko ja już zostałem. Pułkownik Charles Augustus Makepeace... Dziwne nazwisko jak na wojskowego, a może i nie, sam nie wiem. - Pociągnął nosem. - Jesteśmy tylko nadpaloną kartką w historii wojskowości. Zapewne nie czytał pan moich pamiętników, „Dwadzieścia cztery lata bez brwi"? Nie? No cóż, nie jest pan osamotniony. Poznałem wtedy pańską żonę. Przekonywała nas, że absolutnie niemożliwe jest wyhodowanie smoków dostatecznie stabilnych, by używać ich w działaniach bojowych. Miała rację, trudno zaprzeczyć. Oczywiście próbowaliśmy nadal, bo tak funkcjonuje armia.

- Znaczy, rzuca jedną tragiczną pomyłkę na drugą?

Pułkownik się roześmiał.

- Wie pan, czasami to działa. Zresztą ja sam trzymam jeszcze parę smoków. Nie potrafiłbym już bez nich żyć. Dzień bez przypalenia to jak dzień bez słońca. Pozwalają zaoszczędzić na zapałkach, no i oczywiście trzymają z daleka elementy niepożądane.

Vimes zareagował jak wędkarz, który drzemał od jakiegoś czasu, ale nagle wyczuł, że ryba blisko.

- Och, z pewnością nie ma tu ich zbyt wiele, prawda?

-Tak pan myśli? Nawet nie ma pan pojęcia, młody człowieku. Mógłbym opowiedzieć panu kilka historii...

Przerwał nagle, a doświadczenie małżeńskie podpowiedziało Vimesowi, że pułkownik został właśnie pod stołem kopnięty przez żonę, która nie wyglądała na zadowoloną, a sądząc po liniach zmarszczek na twarzy, nigdy taką nie była. Pochyliła się obok męża, który właśnie przyjmował od lokaja kolejne brandy.

- Czy pańska jurysdykcja jako policjanta, wasza łaskawość, obejmuje też Włości? - zapytała lodowatym tonem.

Kolejne kręgi na wodzie, pomyślał wędkarz w głowie Vimesa.

- Nie, madame. Mój teren to Ankh-Morpork i część najbliższych okolic. Tradycyjnie jednak policjant rozciąga za sobą jurysdykcję, jeśli prowadzi pościg w związku z przestępstwem popełnionym na jego terenie. Ale Ankh-Morpork leży daleko stąd i wątpię, czy zdołałbym biec tak długo.

Wzbudziło to śmiechy wokół stołu i wymuszony uśmiech pani pułkownikowej.

Podciągaj, nie pozwól rybie się zerwać...

- Mimo to jednak - mówił dalej Vimes - gdybym tutaj i teraz był świadkiem poważnego występku, miałbym prawo dokonać aresztowania. To jakby areszt obywatelski, tyle że bardziej profesjonalny. Potem oczywiście musiałbym przekazać podejrzanego miejscowym służbom porządkowym lub innym odpowiednim władzom, wedle własnego uznania.

Kapłan, jak Vimes zauważył kątem oka, wyraźnie zainteresował się rozmową. Pochylił się nad stołem.

- Wedle uznania waszej łaskawości? - zapytał.

- Moja łaskawość nie ma tu nic do rzeczy, drogi panie. Jestem zaprzysiężonym funkcjonariuszem Straży Miejskiej Ankh-Morpork i moim świętym obowiązkiem byłoby zapewnienie zatrzymanemu bezpieczeństwa. Najlepiej w jakiejś celi. Mamy je w mieście na komendzie, ale wiem, że i tutaj się zdarzają, choć służą głównie do zamykania w nich pijaków i zagubionych świń.

Znowu zabrzmiały śmiechy.

- We wsi mamy policjanta, wasza łaskawość. I rzeczywiście trzyma świnie w celi koło starego mostu.

Kapłan popatrzył wesoło na Vimesa, on jednak zachował kamienną twarz.

- Czy zamyka tam czasem ludzi? Czy ma legitymację? Czy ma odznakę?

- Wie pan, czasem wrzuca tam jakiegoś pijaka, żeby wytrzeźwiał. Mówi, że świniom to nie przeszkadza. Ale nie wiem, o jaką legitymizującą legitymację może chodzić.

I znowu zabrzmiały śmiechy, ale ucichły natychmiast, wessane w nicość przez niewzruszone milczenie Vimesa, który odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

- Nie uważałbym go za policjanta. Dopóki się nie przekonam, że działa w ramach właściwego porządku egzekucji prawa, będzie dla mnie nie policjantem według moich standardów, tylko nieco apodyktycznym sprzątaczem. Użyteczny w pewnym zakresie, ale jednak nie policjant.

- Pańskich standardów, wasza łaskawość? - upewnił się kapłan.

- Tak, mój panie, moich standardów. Moja decyzja. Moja odpowiedzialność. Moje doświadczenie. I mój tyłek, jeśli coś pójdzie nie tak.

- Ależ wasza łaskawość, sam pan stwierdził, że znalazł się pan poza granicami swojej jurysdykcji - przypomniała delikatnie pani pułkownikowa.

Vimes wyczuwał u jej męża zdenerwowanie, które nie było skutkiem doboru potraw. Pułkownik wyraźnie marzył o tym, by być gdzie indziej. To zabawne, że ludzie zawsze chcą rozmawiać z policjantami o przestępstwach i nie zdają sobie sprawy, jakie sygnały przekazują swoimi niepokojami.

Z uśmiechem zwrócił się do żony pułkownika.

- Mówiłem także, madame, że jeśli policjant natrafi na rażący występek, jurysdykcja sięga ku niemu jak stara przyjaciółka. Ale jeśli to państwu nie przeszkadza, może zmienimy temat. Zauważyłem, że przy takich niezobowiązujących okazjach bankierzy, wojskowi czy kupcy mogą swobodnie jeść kolację, natomiast biedni starzy policjanci opowiadają o swojej pracy, która na ogół jest dość nudna. - Uśmiechnął się znowu, by podtrzymać przyjazny nastrój. - A wyobrażam sobie, że w tych okolicach wręcz nieznośnie nudna. Z mojego punktu widzenia panuje tu spokój... jak w grobie.

Wynik: jeden grymas twarzy drogiego starego pułkownika i kapłan patrzący na swój talerz, choć tego nie należy chyba traktować zbyt poważnie, uznał Vimes, bo rzadko można spotkać kogoś z kleru, kto nie potrafi krzesać iskier nożem i widelcem.

Sybil, używając swego głosu gospodyni, roztrzaskała ciszę niby lodołamacz.

- Pora na główne danie - oznajmiła. - Będzie to doskonała baranina *avec* i żadnych rozmów o pracy w policji. Słowo daję, jeśli nie dacie Samowi spokoju, zacznie cytować prawa i przepisy porządkowe Ankh-Morpork oraz regulaminy służby, i nie skończy, dopóki ktoś nie rzuci w niego poduszką.

Brawo, pomyślał Vimes. Teraz przynajmniej mogę spokojnie zjeść kolację. Odprężył się, gdy rozmowy wokół stały się mniej poważne i powróciły do zwykłych codziennych plotek i narzekań na

innych ludzi mieszkających w tej okolicy, na trudności ze służbą, perspektywy tegorocznych plonów i jeszcze, no tak, kłopoty z goblinami.

W tym momencie Vimes znowu zaczął uważać. Gobliny. W Straży Miejskiej służył chyba co najmniej jeden przedstawiciel każdego ze znanych dwunogich świadomych gatunków, plus jeden Nobby Nobbs. Stało się to tradycją: jeśli ktoś radził sobie jako glina, to poradzi sobie jako gatunek. Jednak nikt nigdy nie sugerował, że Vimes powinien zatrudnić goblina, a to z tego prostego powodu, że gobliny były powszechnie znane jako śmierdzące, kanibalistyczne, złośliwe i zdradzieckie dranie. Oczywiście każdy wiedział, że krasnoludy to chciwa banda i oszukają człowieka, jeśli tylko zdołają, że trolle to ktoś odrobinę tylko lepszy od zwykłych bandytów, że jedyna rezydująca w mieście meduza nikomu nie spojrzy w oczy, a wampirom nie można ufać, choćby nie wiadomo jak się uśmiechały. Natomiast wilkołaki, kiedy się zastanowić, to właściwie wampiry, tyle że nie potrafią latać, no i ten gość z sąsiedztwa to prawdziwy drań, który przerzuca śmieci przez twój płot, a jego żona też wcale nie jest lepsza. Z drugiej strony dla każdego znajdzie się miejsce na tym świecie. Człowiek nie ma przecież uprzedzeń, bo w końcu taki jeden ork pracował na uniwersytecie, ale lubił grać w piłkę, słowo daję, a wszystko można wybaczyć komuś, kto strzela gola ze środka boiska, no i trzeba brać ich takich, jacy są... Ale nie te przeklęte gobliny, to już przesada. Ludzie przepędzali je, kiedy trafiały do miasta, i zwykle kończyły w dole rzeki, pracując dla takich jak Harry Król, przy mieleniu kości, garbowaniu skór czy zbieraniu złomu. Spory kawałek drogi od bram miasta, a zatem poza prawem.

Okazuje się, że żyły jakieś w pobliżu Dworu, czego dowodziły znikające koty, kury i tym podobne. No, prawdopodobnie, choć Vimes pamiętał czasy, kiedy ludzie powtarzali, że trolle kradną kury. W kurze nie było dla trolla nic ciekawego. To jakby człowiek jadł gips.

Nie wspomniał o tym.

Owszem, nikt nie miał dla goblinów dobrego słowa, ale panna Beedle w ogóle nie wymówiła żadnego. Nie spuszczała wzroku z twarzy Vimesa.

Człowiek mógł czytać w gościach przy stole, jeśli opanował tę sztukę, a jeśli był policjantem, mógł stworzyć wyraźny obraz tego, co każdy z obecnych myśli o pozostałych. Wszystko kryło się w spojrzeniach, w słowach wypowiedzianych i niewypowiedzianych. Pewni ludzie należeli do magicznego kręgu, inni nie. Panna Beedle była obca, tolerowana, bo przecież istnieje coś takiego jak dobre maniery, ale nie do końca akceptowana. O takich mówi się: Nie jest jedną z nas.

Vimes zauważył, że przygląda się pannie Beedle tak samo jak ona jemu. Uśmiechnęli się oboje, a on pomyślał, że człowiek ciekawy powinien się wybrać na rozmowę z autorką książki, przy której jego syn tak dobrze się bawi, wcale nie dlatego, że wyglądała jak ktoś gotów uruchomić na alarm więcej dzwonków, niż mają wszystkie świątynie Ankh-Morpork.

Panna Beedle często marszczyła czoło, kiedy rozmowa dotyczyła goblinów. Od czasu do czasu inni ludzie - zwłaszcza ludzie, których przypisał do kategorii pani pułkownikowej - spoglądali na nią jak na dziecko, które robi coś źle.

Przez dłuższy czas zachowywał uprzejme pozory uwagi, równocześnie przesiewając w myślach zdarzenia minionego dnia. Proces ten zakłóciła pani pułkownikowa.

- Przy okazji, wasza łaskawość, z prawdziwą satysfakcją usłyszeliśmy, że po południu spuścił pan baty Jeffersonowi. Ten typ jest nieznośny! Podburza ludzi!

- Owszem, zauważyłem, że nie boi się głosić swoich poglądów - przyznał Vimes. - Ale my również, prawda?

Kapłan uniósł głowę.

- Och, z pewnością wasza łaskawość nie wierzy, że człowiek z gminu jest równy swemu panu!

- Zależy od człowieka. Zależy od pana. Zależy, co rozumiemy jako „równy". Ja byłem z gminu, ale jeśli idzie o Straż Miejską Ankh-Morpork, jestem panem.

Pani pułkownikowa chciała coś odpowiedzieć, ale wtrąciła się Sybil.

- A skoro o tym mowa, Sam - rzuciła wesoło - to dostałam list od pani Wainwright, w którym bardzo dobrze się o tobie wyraża. Przypomnij mi później, żebym ci pokazała.

Wieloletnie małżeństwa mają swój kod. Klasycznie - istnieje hasło, jakiego żona może użyć w uprzejmej rozmowie, by ostrzec męża, iż wskutek pośpiechu czy roztargnienia stał się odsłonięty w rejonie krocza.

U Vimesa i lady Sybil dowolne wspomnienie o pani Wainwright stanowiło frazę kodową oznaczającą: „Samie Vimes, jeśli natychmiast nie przestaniesz denerwować ludzi, to później wieczorem czekają cię pewne małżeńskie dysonanse".

Tym razem jednak Sam Vimes chciał mieć ostatnie słowo.

- Prawdę mówiąc, kiedy o tym myślę, to znam całkiem sporo ludzi z gminu, którzy awansowali tu i tam, a teraz są o wiele lepszymi panami niż kiedykolwiek ich wcześniejsi panowie. Musieli tylko dostać szansę.

- Koniecznie musisz przeczytać ten list, Sam!

Vimes skapitulował, a podanie lodowego deseru nieco obniżyło temperaturę, zwłaszcza że lady Sybil pilnowała, by wszyscy mieli pełne kieliszki - a w przypadku pułkownika oznaczało to wyjątkowo regularne dolewki. Vimes chętnie by dłużej z nim porozmawiał, lecz staruszek był zbyt zastraszony przez żonę. Wyraźnie jednak dręczyło go coś, co sprawiało, że w towarzystwie policjanta robił się bardzo nerwowy. I ta nerwowość chyba stawała się zaraźliwa.

Nie był to wystawny bankiet, w żadnym razie. Sybil zorganizowała to przyjęcie, zanim będzie gotowa do czegoś bardziej wytwornego. Dlatego przyjazne pożegnania zaczęły się jeszcze przed jedenastą. Vimes nasłuchiwał uważnie rozmowy pułkownika z żoną, kiedy szli - on dość chwiejnie - do powozu. Usłyszał jednak niewiele.

- Cały wieczór miałeś otwarte drzwi do stajni - syknęła gniewnie pani pułkownikowa.

Na co pułkownik odpowiedział:

- Ale mój ogier spał mocno, moja droga.

* * *

** Por.: Dr Bentley Purchase, „Pastor przychodzi na herbatę i sto dwadzieścia siedem innych ostrzeżeń przed towarzyską kompromitacją" (Wyd. Niewidocznego Uniwersytetu).*

Kiedy pomachali na pożegnanie ostatniej bryczce i drzwi frontowe wreszcie się zatrzasnęły, Sybil westchnęła ciężko.

- Sam, ja rozumiem, naprawdę. Ale to przecież byli nasi goście.

- Ja wiem... Ale to tak, jakby w ogóle nie myśleli. Chciałem trochę nimi potrząsnąć.

Lady Sybil nalała sobie sherry.

- Chyba nie uważasz na poważnie, że kowal faktycznie miał prawo bić się z tobą o ten dom?

W tej chwili Sam pożałował, że sam nie może się napić.

- Nie, oczywiście, że nie. Znaczy, wtedy nigdy by się to nie skończyło. Ludzie od tysięcy lat wygrywali i przegrywali na ruletce losu. Lecz dobrze wiesz, że moim zdaniem, jeśli chcemy zatrzymać koło, musimy czasem pomyśleć o tych biedakach, którzy siedzą na zerze.

Sybil delikatnie ujęła jego dłoń.

- Przecież utrzymujemy szpital, Sam. Wiesz, że to kosztowne. Doktor Lawn chętnie uczy każdego, kto zdradza jakieś zdolności do medycyny, nawet jeśli zjawia się, jak to określił, z tyłkiem wystającym z portek. Szkoli także dziewczęta! Na lekarzy! Zatrudnia Igo- riny! Zmieniamy świat, Sam, krok za krokiem, pomagając ludziom sobie pomóc. A popatrz na straż! Dzisiaj chłopak jest dumny, kiedy może powiedzieć, że jego ojciec albo nawet matka jest strażnikiem. Ludzie potrzebują dumy.

Vimes ścisnął jej rękę.

- Dziękuję, że byłaś łaskawa dla chłopaka z Kogudziobnej...

Roześmiała się.

- Długo czekałam, aż się pojawisz, Samuelu Vimes, i nie pozwolę, żebyś się zmarnował.

Vimes uznał, że chwila jest odpowiednia, by poruszyć naglący temat.

- Nie będzie ci przeszkadzać, jeśli przed snem wybiorę się jeszcze z Willikinsem na spacer do Zagajnika Trupa?

Lady Sybil rzuciła mu uśmiech, jaki kobiety mają specjalnie dla swoich mężów i małych chłopców.

- Wiesz, trudno byłoby odmówić. Panuje dziwna atmosfera... Ale cieszę się, że zabierasz Willikinsa. Poza tym na wzgórzu jest bardzo przyjemnie. Może usłyszycie słowika.

Vimes pocałował ją lekko, nim odszedł, by się przebrać.

- Nie wiem, czy słowik, kochanie, ale mam nadzieję, że ktoś zacznie śpiewać.

Prawdopodobnie żaden diuk ani nawet komendant straży nie znalazł w swoim pokoju czegoś takiego jak to, co leżało teraz na łóżku Sama Vimesa. Poczesne miejsce należało się sierpakowi - ciężkiemu zakrzywionemu nożowi do wycinania krzaków, bardzo użytecznemu jako narzędzie ogrodnicze. Dzisiaj przed pubem widział kilka takich... Musiał sam sobie przypomnieć, że „narzędzie ogrodnicze" nie oznacza „nie broń". Sierpaki pojawiały się niekiedy w rękach ulicznych gangów i były równie niebezpieczne co trolle z migreną.

Obok leżała pałka, własna pałka Vimesa, którą kamerdyner przewidująco zapakował. Oczywiście, była inkrustowana srebrem, jako ceremonialna pałka komendanta straży i wcale nie broń, skąd, na bogów, nigdy w życiu!

Z drugiej strony Vimes zdawał sobie sprawę, że nie jest sero- warem, a zatem trudno byłoby mu wytłumaczyć, dlaczego ma przy sobie długą na stopę drucianą garotę, której pokojowo używano tylko do cięcia serów... Zatem garota musiała tu zostać, ale weźmie sierpak. Źle by to wyglądało, gdyby spacerujący po swojej ziemi człowiek nie mógł przy okazji przyciąć jakiejś gałęzi. Ale co zrobić z tym stosem bambusów, który po rozwinięciu okazał się napierśnikiem z połączonych przegubowo płytek oraz wybitnie mało twarzowym bambusowym hełmem?

Na łóżku leżała karteczka z informacją od Willikinsa: „Przyjaciele gajowych, komendancie. Pańscy także".

Vimes mruknął coś niechętnie i uderzył napierśnik pałką. Bambus wygiął się jak żywa istota, pałka odbiła się i przeleciała przez pokój.

No cóż, uczymy się przez całe życie, pomyślał, czy raczej uczymy się, więc jeszcze żyjemy.

Zszedł cicho na dół i wyszedł w noc... która okazała się szachownicą czerni i bieli. Zdążył zapomnieć, że poza miastem - gdzie dymy, opary i mgła malowały świat w tysięcznych odcieniach szarości - w takich okolicach jak tutaj wszystko jest czarne albo białe, a gdyby szukać odpowiedniej metafory, ta była idealna.

Znał drogę na wzgórze, zresztą nie można było go przeoczyć. Księżyc oświetlał teren, jakby chciał ułatwić marsz. Pola uprawne ustąpiły miejsca zaroślom janowca, a te z kolei murawie skubanej regularnie przez króliki, aż przypominała sukno na bilardowym stole... Chociaż biorąc pod uwagę, że oprócz jedzenia trawy króliki robią też inne rzeczy, musiałby tu grać w bilard bardzo licznymi i malutkimi kulkami.

Króliki rozbiegały się wokół, kiedy szedł w górę, więc zmartwił się, że robi za dużo hałasu. Ale w końcu szedł po swojej ziemi, czyli ta wyprawa była raczej jak spacer po parku. Ruszył więc bardziej energicznie, podążając jedyną chyba ścieżką na szczyt, aż w blasku księżyca zobaczył szubienicę.

No tak, pomyślał, w końcu na mapie stoi wyraźnie: Zagajnik Trupa, prawda? Za dawnych czasów często używali takich konstrukcji, prawda? A żelazna klatka służy tylko do utrzymywania trupów w pionie, żeby kruki nie musiały przyklękać. Porządna, staroświecka policyjna robota, można powiedzieć, gdyby człowiek chciał wzbudzić u słuchaczy dreszcz czy dwa. Stos pokruszonych starych kości pod szubienicą był świadectwem staroświeckich metod działania.

Nagle poczuł delikatne przesunięcie noża po włoskach na karku.

Chwilę później Willikins podniósł się z ziemi i starannie otrzepał ubranie.- Brawo, sir - pochwalił, sapiąc trochę ze względu na swój krótki oddech. - Widzę, że nie zdołam pana zaskoczyć. - Urwał nagle, podniósł rękę do nosa i powąchał. - Niech mnie demon porwie, komendancie! Całe ubranie mam we krwi! Nie dźgnął mnie pan, sir, prawda? Pan tylko odwrócił się i kopnął mnie w klejnoty, i muszę zaznaczyć, sir, że było to niezwykle fachowe kopnięcie.

Vimes pociągnął nosem. Z czasem człowiek uczy się wyczuwać zapach krwi. Pachnie jak metal. Niektórzy twierdzą, że metal nie ma zapachu, ale ma - pachnie jak krew.

- Byłeś tu na czas? - zapytał.

- Oczywiście, sir. I nie widziałem żywego ducha. - Willikins przyklęknął. - Nic nie widziałem. Nie odkryłbym nawet tej krwi, gdyby nie kopnął mnie pan w jej kałużę. Wszędzie pełno krwi.

Chciałbym mieć tu Igora, pomyślał Vimes. Dzisiaj takie sprawy należy powierzać ekspertom... Z drugiej strony człowiek przyswajał pewne umiejętności z zakresu medycyny sądowej - i oprócz zapachu krwi wyczuwał tutaj rzeź oraz nieprawdopodobny zbieg okoliczności. Na wsi wszyscy wszystko wiedzą. Jefferson miał się tu spotkać z Vimesem, tymczasem na wzgórzu dał się zaobserwować wyraźny brak Jeffersona i obfitość krwi, przy jednoczesnym znaczącym niedostatku zwłok.

Mózg Vimesa metodycznie analizował fakty.

Można przyjąć za oczywiste, że jeśli obywatel zamierza dyskretnie zdradzić policjantowi jakiś sekret, prawdopodobnie ktoś sobie nie życzy, aby rzeczony obywatel wyjawił rzeczony sekret. A jeśli rzeczony obywatel został znaleziony bez życia, to rzeczony policjant, który całkiem niedawno stoczył z nim bójkę, mógłby być uznany za w pewnym zakresie winnego, kiedy się dobrze zastanowić. Ale kiedy już się naprawdę dobrze zastanowić, to ktoś, kto rzeczywiście chciałby wpakować Vimesa w kłopoty, zostawiłby tutaj ciało kowala, prawda?

- Coś znalazłem, sir - oznajmił Willikins, prostując się.
- Co takiego?
- Znalazłem coś, sir. Obmacałem ziemię, można powiedzieć.
- Przecież tu jest pełno krwi!

Ten fakt nie zrobił na Willikinsie wrażenia.

- Mniejsza o krew, komendancie, skoro nie jest moja.

Coś zgrzytnęło i pojawiło się światło - to Willikins otworzył klapę ślepej latarni. Podał ją Vimesowi, a potem przysunął coś małego.

- To pierścień, sir. Wygląda, jakby był zrobiony z kamienia.
- Co takiego? - zdziwił się Vimes. - Masz na myśli kamień z dziurką w środku?

Usłyszał westchnienie Willikinsa.

- Nie, sir. Jest wypolerowany na gładko. I tkwi w nim palec ze szponem. Wygląda na goblini.

Mnóstwo krwi, myślał Vimes. Odcięty palec. Gobliny nie są takie duże. Ktoś pofatygował się na to wzgórze, by zabić goblina. Ale gdzie jest reszta ciała?

W teorii blask księżyca powinien pomagać w szukaniu, ale blask księżyca jest zdradziecki: tworzy cienie tam, gdzie ich być nie powinno. Wiatr się wzmagał.

Z latarnią czy bez, niewiele już mogli tutaj zrobić.

* * *

Kotary były zaciągnięte i tylko kilka świateł paliło się jeszcze Pod Głową Goblina. Najwyraźniej działały ograniczenia czasu wyszynku, ale dobry gliniarz zawsze powinien być gotów, by wypróbować ich siłę. Vimes poprowadził Willikinsa na tyły pubu i zastukał w mały odsuwany panel w kuchennych drzwiach. Po kilku chwilach wyjrzał tamtędy Jiminy, a Vimes wsunął palec do otworu, zanim panel zdążył się znów zasunąć.

- Proszę, tylko nie pan, wasza łaskawość. W magistracie zrobią sobie szelki z moich flaków!
- Byłyby bardzo dekoracyjne - przyznał Vimes. - Ale to się nie zdarzy, ponieważ nie przeszkadza mi, że około jednej trzeciej pańskich zwykłych klientów spożywa napoje alkoholowe o tej porze, a wśród nich jest co najmniej jeden urzędnik magistratu... Nie, cofam ostatnią sugestię. Urzędnicy piją w domach, gdzie ograniczenia wyszynku nie obowiązują. Nie powiem ani słowa, ale marny byłby to dzień, gdyby spragniony glina nie mógł nocą wyprosić jakiegoś drinka od byłego kolegi. - Położył kilka monet na małej półeczce za panelem. - To powinno wystarczyć na podwójne brandy dla mojego człowieka, a dla mnie adres pana Jeffersona, kowala.
- Nie może mnie pan tak traktować, wie pan...

Vimes obejrzał się na Willikinsa.

- Mogę?

Kamerdyner odchrząknął.

- Znaleźliśmy się w świecie praw feudalnych, komendancie. Jest pan właścicielem gruntu, na którym stoi ten pub, ale ten człowiek też ma pewne prawa, nie mniejsze od pańskich. Jeśli zapłacił czynsz, nie może pan nawet wejść tam bez jego zgody.
- Skąd ty to wszystko wiesz?

-Jak pan wie, komendancie, swego czasu zdarzało mi się spędzać wakacje w Tantach, a jedno, co można o więzieniu powiedzieć, to że zawsze leży tam dużo książek prawniczych. Kryminaliści bardzo starannie czytają wszystkie przepisy i komentarze drobnym drukiem, bo zawsze może się okazać, że sprawienie członkowi wrogiego gangu cementowych butów i wrzucenie go do rzeki jednak było legalne. A taka nauka zostaje w pamięci.

- Prowadzę śledztwo w sprawie tajemniczego zniknięcia - rzekł Vimes do Jiminy'ego. - Kowalowi bardzo zależało na spotkaniu ze mną na wzgórzu, lecz kiedy tam dotarłem, znalazłem tylko wszędzie mnóstwo krwi. Jefferson chciał mi coś powiedzieć i na pewno pan wie, czym to pachnie dla gliniarza. - Chociaż ja sam nie jestem pewien, dodał Vimes w myślach. - Bardzo podejrzana sprawa, nie ma wątpliwości.

- Nie mój interes, szefie. - Oberżysta wzruszył ramionami.

Vimes zacisnął palce na jego przegubie i szarpnął tak mocno,
że twarz Jiminy'ego znalazła się przy panelu.

- Odpuść sobie tego szefa. Coś się tu dzieje, coś niedobrego. Czuję to przez podeszwy, a możesz mi wierzyć, mam najczulsze buty na świecie. Człowiek, który prowadzi wiejski pub, słyszy o wszystkim. Ja to wiem, i ty też. Jeśli nie jesteś po mojej stronie, to stoisz mi na drodze. I coś możesz mi powiedzieć, poznaję to po oczach. Jeżeli się okaże, że wiedziałeś coś ważnego o kowalu, to na własną prośbę staniesz się wspólnikiem po fakcie. Zawsze też pozostaje ci otwarta opcja... jeśli tylko złapię w zęby jakiś trop... bycia wspólnikiem przed faktem. A to stawia cię w samym środku, co jest faktem!

Jiminy szarpnął się, ale Vimes ściskał jego rękę w żelaznym uchwycie.

- Pańska odznaka tutaj nie działa, panie Vimes, i dobrze pan o tym wie!

Vimes usłyszał delikatny ton lęku w głosie oberżysty... ale starzy gliniarze są twardzi. Jeśli ktoś nie jest twardy, nie staje się starym gliniarzem.

- Teraz puszczę pańską rękę - powiedział Vimes. - Sir... - dodał, co w policyjnym kodzie znaczy „trzęsący się dupku". - Sądzi pan, że formalnie nie mam żadnych podstaw do działania tutaj. To może być prawda, ale nie musi. A mój człowiek, ten tutaj, nie jest policjantem. Nie jest też przyzwyczajony do załatwiania spraw delikatnie, jak my to robimy w naszym fachu. Może się okazać, że i pan nie ma podstaw, gdyż na przykład brakuje panu nogi. Mówię to jak przyjaciel. Obaj znamy tę grę, prawda? I pewnie pracował pan przy barze, kiedy zabito goblina?

- Nie wiedziałem, że zabito jakiegoś goblina, więc skąd miałbym wiedzieć, kiedy to się zdarzyło albo i nie zdarzyło? Moja rada, sir...
- Jiminy użył tej samej kodowej intonacji, jak przed chwilą Vimes - .. .najlepiej z samego rana poinformować o tej sprawie odpowiednie władze. To będzie młody Upshot, który uważa się za policjanta.

Uspokoił się.

- Posłuchaj, Vimes, przyjechałem tu, żeby spokojnie przeżyć lata emerytury. A w tym celu muszę też przeżyć. Nie wtykam nosa w to, co mnie nie dotyczy. Wiem, że bardzo wiele mógłbyś zrobić, i wiem, że tego nie zrobisz, ale żebyś nie wracał z pustymi rękami: Jethro mieszka tam, gdzie zwykle kowale, w samym środku wioski, przy łąkach. Mieszka ze swoją starą matką, więc raczej nie zrywałbym jej z łóżka o tej porze. A teraz, panowie, zamknę mój lokal. Nie chcę łamać prawa.

Panel zasunął się i usłyszeli zgrzyt skobla. Po chwili rozległ się uświęcony tradycją okrzyk:

- Nie macie domów, żeby wracać tam na noc?

Otworzyły się frontowe drzwi i na drogę wyszli ludzie próbujący skłonić swe mózgi do poruszania się tam, gdzie nogi, albo odwrotnie.

W mroku na podwórzu, pachnącym starymi beczkami, odezwał się Willikins.

- Chciałby się pan założyć, sir, czy nasz kowal śpi spokojnie w łóżku?

- Nie - odparł Vimes. - Ale ta sprawa mi śmierdzi. Myślę, że mamy morderstwo, tyle że nie mamy ciała. W każdym razie większej jego części - dodał, widząc, że kamerdyner już otwiera usta.
- Żeby mieć do czynienia z niewątpliwym morderstwem, Willikins, ofierze musi brakować jakiejś istotnej części, ewidentnie niezbędnej do życia, na przykład głowy. No dobrze, albo krwi, ale po ciemku trudno ją zebrać, prawda?
Ruszyli drogą.

-Jedno, co z pewnością wiadomo o martwych, to że pozostają martwi - stwierdził Vimes. - Przynajmniej na ogół. A więc... Mamy za sobą męczący dzień, spacer był długi, a ja się już starzeję... Jasne?

- Trudno to z zewnątrz zauważyć, komendancie - zapewnił lojalnie Willikins.

Drzwi otworzył im ziewający lokaj, a kiedy tylko się oddalił, Willikins wydobył z kieszeni marynarki cuchnący odcięty palec goblina. Położył go na stole w holu.

- Niewiele jest goblina w goblinie, jak to mówią, kiedy zejdzie się poniżej głowy. Proszę spojrzeć, sir, na tym palcu jest pierścień. Stanowczo wygląda na kamienny. Widzi pan ten mały niebieski paciorek, sir? Niezła robota jak na goblina.

- Zwierzęta nie noszą biżuterii - oświadczył Vimes. - Wiesz, Willikins, mówiłem ci już kiedyś: byłby z ciebie świetny glina, gdyby nie to, że byłby z ciebie świetny skrytobójca.

Willikins uśmiechnął się szeroko.

- Jako chłopak myślałem nawet o skrytobójcach, sir. Niestety, nie pochodziłem z odpowiedniej klasy, a poza tym oni mają zasady. - Pomógł Vimesowi zdjąć surdut i mówił dalej: - Ulica nie uznaje żadnych zasad oprócz jednej, to znaczy „Przeżyj". A mój drogi stary ojciec przewróciłby się w grobie, gdybym choć pomyślał o karierze w policji.

- Słyszałem, że nie znałeś swojego ojca.

- Istotnie, sir, to szczera prawda, ale należy brać pod uwagę element dziedziczności. - Willikins wyjął małą szczoteczkę i nim powiesił surdut na wieszaku, zmiótł z niego drobinkę kurzu. - Chociaż niekiedy odczuwam brak rodzica. Myślałem nawet, że warto wybrać się na cmentarz, krzyknąć głośno „Tato, zostanę gliną!" i patrzeć, który nagrobek się przekręci.

Nadal się uśmiechał. Vimes już nie po raz pierwszy pomyślał, że trafił mu się bardzo dziwny dżentelmen jak na dżentelmena dżentelmena, zwłaszcza że przecież żaden z nich nie był naprawdę dżentelmenem.

- Wiesz, Willikins... a mówię to całkiem szczerze... na twoim miejscu poszedłbym na Tanty i wykrzyczał to do dołu z wapnem obok szafotu.

Willikins uśmiechnął się szerzej.

- Dziękuję, sir. Nie muszę chyba tłumaczyć, jakie to dla mnie ważne. A teraz, jeśli pan wybaczy, pójdę wrzucić swoją marynarkę do spalarni, po czym udam się na spoczynek.

Kiedy Vimes położył się do łóżka, Sybil przewróciła się na drugi bok i wydała z siebie ciepły pomruk. Dzień był męczący, więc Vimes zapadł w to różowe, półświadome oszołomienie, które jest nawet lepsze od snu. Budził się na moment co godzinę, kiedy nikt na ulicy nie dzwonił dzwonkiem i nie krzyczał, że wszystko jest w porządku.

Jeszcze raz obudził się, słysząc turkot kół ciężkiego wozu na kamieniach. Był już na wpół przytomny, gdy podejrzliwość kazała mu ocknąć się całkowicie. Na kamieniach? Przecież dookoła domu wszędzie leżał ten przeklęty żwir... Otworzył okno i wyjrzał w rozjaśnioną księżycem noc; hałas okazał się echem odbitym od wzgórz. Nieliczne komórki mózgowe, pracujące na nocnej zmianie, zastanowiły się, jaki rodzaj prac rolniczych należy wykonywać nocą. Czy hodują tam grzyby? Może trzeba chronić rzepy przed chłodem? Czy to właśnie nazywają płodozmianem? Takie myśli rozpływały się w sennym mózgu jak kryształki cukru w filiżance herbaty, ściekając i kapiąc z neuronów do synaps, potem do neuroprzekaźników, aż trafiały do receptorów oznaczonych „Podejrzenia". Gdyby obejrzeć diagram medyczny mózgu policjanta, byłby to całkiem spory obszar, trochę większy od obszaru oznaczonego jako „Zdolność rozumienia długich wyrazów".

Ach, kontrabanda, pomyślał. Pełen radosnej nadziei na przyszłość delikatnie zamknął okno i wrócił do łóżka.

* * *

Jedzenie we Dworze było obfite, smakowite i prawdopodobnie można je było określić jeszcze wieloma zaletami kończącymi się na -ite. Vimes nie był dzieckiem i wiedział, że wyższy personel ma prawo zjadać resztki, a zatem dba o to, by zostawały odpowiednie. Pamiętając o tym, cztery razy brał dokładkę risotta z rybą i zjadł wszystkie cztery plastry bekonu. Sybil nie była zachwycona, ale
Vimes jej przypomniał, że jest przecież na wakacjach, a na wakacjach człowiek robi to, czego nie robi normalnie. Sybil z chirurgiczną precyzją wskazała, że zasada ta powinna również dotyczyć pracy policyjnej, prawda? Jednak Vimes był przygotowany i zapewnił, że doskonale to rozumie i właśnie dlatego planuje wybrać się z Młodym Samem na spacer do wioski, by przekazać swoje podejrzenia i zostawić dalsze działania w rękach miejscowego policjanta. Sybil stwierdziła krótko, choć z demonstracyjnym niedowierzaniem: „Aha, no to dobrze", i przypomniała, żeby koniecznie zabrali ze sobą Willikinsa.

To była kolejna cecha żony, która nie przestawała go zadziwiać. Tak samo jak uważała, że Nobby Nobbs, choć to nieoszlifowany diament, jest jednak dobrym strażnikiem, podobnie była przekonana, że mąż będzie bezpieczniejszy w towarzystwie człowieka, który nigdy nie wybierał się gdzieś daleko bez uzbrojenia typowego dla ludzi ulicy i który kiedyś otworzył butelkę piwa cudzymi zębami. Była to oczywiście prawda, ale w pewien sposób żenująca.

Vimes usłyszał dzwonek do drzwi, potem stłumioną rozmowę i chrzęst kroków kogoś, kto po żwirowej ścieżce okrąża budynek. Nie było to ważne, zwykły szum tła; odgłos lokaja wchodzącego do pokoju i szepczącego coś lady Sybil mieścił się w tej samej kategorii.

- Co takiego? - zdziwiła się żona. - Lepiej go wprowadź.

Vimes ocknął się z zamyślenia, kiedy zwróciła się do niego.

- To miejscowy policjant. Czy możesz go przyjąć w gabinecie? Policjanci nigdy porządnie nie wycierają nóg, zwłaszcza ty, Sam.

Vimes nie widział jeszcze gabinetu, ale Dwór miał chyba nieograniczoną liczbę pomieszczeń. Wirująca pokojówka wskazała mu drogę i zjawił się na miejscu kilka sekund przed lokalnym gliną, wprowadzonym tu przez lokaja, który robił miny jak człowiek niosący zdechłego szczura.

W każdym razie jego towarzysz prawdopodobnie był lokalnym gliną, bo wyglądał raczej jak syn lokalnego gliny. Miał siedemnaście lat, zdaniem Vimesa, i pachniał świniami. Stał tam, gdzie ustawił go lokaj, i wytrzeszczał oczy.

- W czym mogę pomóc, funkcjonariuszu? - zapytał po chwili Vimes.

Młody człowiek zamrugał.

- Ehm, czy rozmawiam z sir Samuelem Yimesem?

Willikins uśmiechnął się szerzej.

- Dziękuję, sir. Nie muszę chyba tłumaczyć, jakie to dla mnie ważne. A teraz, jeśli pan wybaczy, pójdę wrzucić swoją marynarkę
do spalarni, po czym udam się na spoczynek.

* * *

Kiedy Vimes położył się do łóżka, Sybil przewróciła się na drugi bok i wydała z siebie ciepły pomruk. Dzień był męczący, więc Vimes zapadł w to różowe, półświadome oszołomienie, które jest nawet lepsze od snu. Budził się na moment co godzinę, kiedy nikt na ulicy nie dzwonił dzwonkiem i nie krzyczał, że wszystko jest w porządku.

Jeszcze raz obudził się, słysząc turkot kół ciężkiego wozu na kamieniach. Był już na wpół przytomny, gdy podejrzliwość kazała mu ocknąć się całkowicie. Na kamieniach? Przecież dookoła domu wszędzie leżał ten przeklęty żwir... Otworzył okno i wyjrzał w rozjaśnioną księżycem noc; hałas okazał się echem odbitym od wzgórz. Nieliczne komórki mózgowe, pracujące na nocnej zmianie, zastanowiły się, jaki rodzaj prac rolniczych należy wykonywać nocą. Czy hodują tam grzyby? Może trzeba chronić rzepy przed chłodem? Czy to właśnie nazywają płodozmianem? Takie myśli rozpływały się w sennym mózgu jak kryształki cukru w filiżance herbaty, ściekając i kapiąc z neuronów do synaps, potem do neuroprzekaźników, aż trafiały do receptorów oznaczonych „Podejrzenia". Gdyby obejrzeć diagram

medyczny mózgu policjanta, byłby to całkiem spory obszar, trochę większy od obszaru oznaczonego jako „Zdolność rozumienia długich wyrazów".

Ach, kontrabanda, pomyślał. Pełen radosnej nadziei na przyszłość delikatnie zamknął okno i wrócił do łóżka.

* * *

Jedzenie we Dworze było obfite, smakowite i prawdopodobnie można je było określić jeszcze wieloma zaletami kończącymi się na -ite. Vimes nie był dzieckiem i wiedział, że wyższy personel ma prawo zjadać resztki, a zatem dba o to, by zostawały odpowiednie. Pamiętając o tym, cztery razy brał dokładkę risotta z rybą i zjadł wszystkie cztery plastry bekonu. Sybil nie była zachwycona, ale
Vimes jej przypomniał, że jest przecież na wakacjach, a na wakacjach człowiek robi to, czego nie robi normalnie. Sybil z chirurgiczną precyzją wskazała, że zasada ta powinna również dotyczyć pracy policyjnej, prawda? Jednak Vimes był przygotowany i zapewnił, że doskonale to rozumie i właśnie dlatego planuje wybrać się z Młodym Samem na spacer do wioski, by przekazać swoje podejrzenia i zostawić dalsze działania w rękach miejscowego policjanta. Sybil stwierdziła krótko, choć z demonstracyjnym niedowierzaniem: „Aha, no to dobrze", i przypomniała, żeby koniecznie zabrali ze sobą Willikinsa.

To była kolejna cecha żony, która nie przestawała go zadziwiać. Tak samo jak uważała, że Nobby Nobbs, choć to nieoszlifowany diament, jest jednak dobrym strażnikiem, podobnie była przekonana, że mąż będzie bezpieczniejszy w towarzystwie człowieka, który nigdy nie wybierał się gdzieś daleko bez uzbrojenia typowego dla ludzi ulicy i który kiedyś otworzył butelkę piwa cudzymi zębami. Była to oczywiście prawda, ale w pewien sposób żenująca.

Vimes usłyszał dzwonek do drzwi, potem stłumioną rozmowę i chrzęst kroków kogoś, kto po żwirowej ścieżce okrąża budynek. Nie było to ważne, zwykły szum tła; odgłos lokaja wchodzącego do pokoju i szepczącego coś lady Sybil mieścił się w tej samej kategorii.

- Co takiego? - zdziwiła się żona. - Lepiej go wprowadź.

Vimes ocknął się z zamyślenia, kiedy zwróciła się do niego.

- To miejscowy policjant. Czy możesz go przyjąć w gabinecie? Policjanci nigdy porządnie nie wycierają nóg, zwłaszcza ty, Sam.

Vimes nie widział jeszcze gabinetu, ale Dwór miał chyba nieograniczoną liczbę pomieszczeń. Wirująca pokojówka wskazała mu drogę i zjawił się na miejscu kilka sekund przed lokalnym gliną, wprowadzonym tu przez lokaja, który robił miny jak człowiek niosący zdechłego szczura.

W każdym razie jego towarzysz prawdopodobnie był lokalnym gliną, bo wyglądał raczej jak syn lokalnego gliny. Miał siedemnaście lat, zdaniem Vimesa, i pachniał świniami. Stał tam, gdzie ustawił go lokaj, i wytrzeszczał oczy.

- W czym mogę pomóc, funkcjonariuszu? - zapytał po chwili Vimes.

Młody człowiek zamrugał.

- Ehm, czy rozmawiam z sir Samuelem Yimesem?

- Kim jesteś?

Pytanie wyraźnie zaskoczyło młodzieńca. Po krótkiej chwili Vimes zlitował się nad nim.

- Posłuchaj mnie, synu. Poprawna procedura wymaga, żebyś najpierw się przedstawił, a dopiero potem mnie pytał, czy jestem mną, że tak powiem. Nie nosisz munduru, który bym rozpoznawał, nie pokazałeś mi legitymacji ani odznaki, nie masz hełmu. Mimo to skłonny jestem założyć, w celu zakończenia naszej rozmowy przed obiadem, że jesteś starszym funkcjonariuszem policji w tej okolicy. Jak się nazywasz?

- Eee... Upshot, sir, Feeney Upshot... No, starszy funkcjonariusz Upshot...

Vimes trochę się zawstydził, ale w końcu dzieciak przedstawiał się jako funkcjonariusz policji i nawet Nobby Nobbs by go wyśmiał.

- No cóż, rzeczywiście, starszy funkcjonariuszu Upshot, jestem sir Samuelem Vimesem, między innymi, i właśnie myślałem, że powinienem z wami porozmawiać.

- Ehm... To dobrze, sir, boja właśnie myślałem, że należy pana aresztować jako podejrzanego o spowodowanie śmierci Jethro Jeffersona, kowala.

Vimes nawet nie drgnął. Co mam teraz zrobić? Nic, to najlepsze wyjście. Masz prawo zachować milczenie, sam to powtarzałem setkom ludzi, wiedząc, jaka to bzdura. Jestem też absolutnie pewny, że nie tknąłem tego przeklętego kowala inaczej niż w celach edukacyjnych, a zatem to bardzo ciekawe, czemu ten młody dureń uważa, że powinien mnie za to przymknąć.

Gliniarz zawsze powinien korzystać z okazji do nauki, a Vimes nauczył się od lorda Vetinariego, że człowiek nigdy nie powinien reagować na żaden komentarz czy sytuację, dopóki dokładnie nie rozważy, co zamierza zrobić. Ma to podwójną zaletę: powstrzymuje przed powiedzeniem czy zrobieniem tego, czego nie należy, a równocześnie znakomicie wyprowadza z równowagi innych.

- Bardzo przepraszam, sir - mówił starszy funkcjonariusz Feeney Upshot - ale prawie godzinę zajęło mi usunięcie świń i przygotowanie celi, sir. Cały czas pachnie tam jeszcze środkami czyszczącymi, i świniami oczywiście też, ale wybieliłem ściany, jest tam też dla pana krzesło i posłanie, żeby się wyciągnąć. Aha, i jeszcze żeby się pan nie nudził, sir, przyniosłem magazyn.

stężała. Jednak po odpowiednio długim milczeniu Vimes zapytał:

-Jaki magazyn?

- Sir? Nie wiedziałem, że jest więcej niż jeden. Zawsze go mieliśmy. Jest o świniach. Trochę już wytarty, ale świnie to zawsze świnie.

Vimes wstał.

- Idę się przejść, starszy funkcjonariuszu. Jeśli chcecie, możecie mi towarzyszyć.

- Przepraszam, sir, ale właśnie pana aresztowałem.

- Nie, synu, wcale nie. - Vimes ruszył do frontowych drzwi.

-Ale przecież wyraźnie powiedziałem, że jest pan aresztowany, sir! - Głos młodego człowieka brzmiał niemal błagalnie.

Vimes szedł już schodami w dół; Feeney truchtał za nim. Dwaj ogrodnicy, którzy w innej sytuacji pewnie by się odwrócili, teraz patrzyli oparci na miotłach, spodziewając się kabaretu.

- A cóż takiego masz ze sobą, co mnie przekona, że jesteś policjantem? - rzucił Vimes przez ramię.

- Mam oficjalną pałkę, sir. To rodzinna pamiątka!

Vimes się zatrzymał.

- No cóż, mój chłopcze, jeżeli jest oficjalna, to daj mi ją obejrzeć, co? No już, daj!

Feeney posłuchał.

Była to całkiem zwyczajna drewniana pałka, dość spora, z wypalonym na niej nierówno, pewnie pogrzebaczem, słowem PRAWO. Ale nieźle wyważona... Vimes uderzył nią w dłoń.

- Jeśli dobrze zrozumiałem, wierzysz, że mogę być mordercą, a właśnie oddałeś mi swoją broń. Sądzisz, że to rozsądne?

Zobaczył, jak pejzaż przesuwa się wokół, kiedy wzleciał nad trawnikiem i wylądował na plecach w kwietniku, wpatrzony w niebo. Po chwili w polu widzenia pojawiła się zatroskana twarz Feeneya, nieco powiększona.

- Proszę o wybaczenie, sir. Osobiście nigdy bym pana nie skrzywdził, ale nie chciałem, żeby odniósł pan niewłaściwe wrażenie. Nazwa tego ruchu tłumaczy się na „Jeden Człowiek On Góra Dół Bardzo Przykro".

Vimes w stanie niewytłumaczalnego spokoju obserwował fragment nieba nad sobą.

- Widzi pan, sir - mówił dalej chłopak - kiedy mój dziadek był młody, pływał na wielkich żaglowcach i podróżował do Bhang- bhangduc i wszystkich tych dalekich krain, gdzie żyją tacy dziwaczni ludzie. A kiedy wrócił, przywiózł moją babcię, Ming Chang, a ona nauczyła tego mojego tatę i mnie. - Pociągnął nosem. - Umarła parę miesięcy temu, ale przynajmniej nauczyła moją mamę gotowania. Bung Ming Ssak Psiak wciąż jest popularny w tych okolicach, no i oczywiście w miarę łatwo zdobyć wszystkie składniki, bo mieszkamy niedaleko morza. Bong Kan Bang Keng nie rośnie tu dobrze, ale Pa Kiet Sklep Ciach Bag Dik udaje się całkiem nieźle. Widzę, że odzyskuje pan kolory, sir, miło to widzieć.

Czując ból we wszystkich stawach, Vimes usiadł z wysiłkiem.

- Nie rób tego więcej, zrozumiano?

- Postaram się, sir, ale jest pan aresztowany, sir.

- Już ci tłumaczyłem, młody człowieku, że nie aresztowałeś mnie jak należy. - Vimes wstał, rzężąc nieco. - Aby dokonać formalnego aresztowania, funkcjonariusz aresztujący musi fizycznie dotykać osoby aresztowanej, jednocześnie wypowiadając słowa „Aresztuję pana" lub „Aresztuję panią", o tak, chociaż w tym momencie nie musisz konkretnie opisywać przestępstwa, o które twój podejrzany jest podejrzany. Podczas wykonywania tych czynności... - w tym momencie Vimes tak mocno walnął Upshota w splot słoneczny, że chłopak aż się zwinął - ...opłaca się uważać. I to musisz zrobić, mój chłopcze, jeśli chcesz mnie aresztować, bo przypominam, wciąż tego nie zrobiłeś, a szkoda, bo gdyby tak, to miałbyś okazję oskarżyć mnie o stawianie oporu oraz napaść na policjanta podczas wykonywania czynności służbowych. Z dodatkowym zastrzeżeniem, że jak dotąd nic mnie nie przekonało, że naprawdę jesteś policjantem.

Usiadł na pobliskim kamieniu i patrzył, jak Feeney zaczyna się odwijać.

-Jestem Sam Vimes, młody człowieku, więc nie próbuj ze mną takich numerów.

Głos Feeneya był teraz rodzajem zduszonego rzężenia.

-A pewnego dnia ktoś powie wam: „Wiecie, kim jestem, funkcjonariuszu?", na co odpowiecie: „Tak jest, sir, czy też madame, zależnie od sytuacji, osobą, którą przesłuchuję w związku ze wspomnianym przestępstwem" lub podobnym sformułowaniem, które nie powinno obejmować takich wyrażeń jak „Już po tobie, koleś" ani „Teraz zapłacisz za wszystko, nie ma co". Ignorujcie, ale pamiętajcie wszystkie rzucane groźby. Prawo jest jedno i działa niezmiennie. Nie dba o to, kto kim jest, a w owym momencie wy będziecie nim w bardzo realnym sensie, a zatem wy również nie.

Vimes usiadł z rozdziawionymi ustami, a Feeney mówił dalej:

- Nieczęsto trafia do nas „Puls", ale rok temu kupiłem dużo leków dla świń i dostałem je owinięte w „Puls". Zobaczyłem pańskie nazwisko, sir, kiedy mówił pan, co to znaczy być policjantem. I byłem wtedy bardzo dumny, sir.

Vimes pamiętał to przemówienie. Musiał je napisać na pasowanie i paradę absolwentów Szkoły Straży. Układał je przez długie godziny, a pracę utrudniał mu fakt, że każdy rodzaj literatury byl dla niego - w każdym sensie tego słowa - zamkniętą księgą.

Pokazał swoje dzieło Sybil i zapytał, czy jej zdaniem powinien poprosić kogoś o pomoc. Pogłaskała go po głowie i powiedziała: „Nie, kochanie, bo wtedy wyglądałoby to jak coś, co ktoś napisał dla kogoś innego, podczas gdy teraz czysty Vimes przebija się przez tekst jak promienna latarnia morska". To go pocieszyło, ponieważ nigdy jeszcze nie był promienną latarnią morską.

Teraz jednak serce w nim zamarło, kiedy ciąg myśli został zakłócony bardzo grzecznym chrząknięciem i głosem Willikinsa.

- Bardzo przepraszam, komendancie, ale pomyślałem, że chwila jest odpowiednia, by przedstawić tego młodego dżentelmena moim przyjaciołom, panu Burleighowi i panu Wręcemocnemu. Lady Sybil nie będzie zadowolona z pańskiego aresztowania, sir. Obawiam się, że znajdzie ją pan... nieco cierpką, sir.

Vimes odzyskał głos.

- Nie bądź durniem, człowieku! Odłóż to draństwo! Ma spust lekki jak piórko! Odłóż to natychmiast!

Willikins bez słowa położył lśniącą kuszę na balustradzie schodów, delikatnie jak matka kładąca niemowlę do łóżeczka. Coś brzęk- nęło i osiem sążni dalej geranium zostało zdekapitowane. Nikt nie zwrócił na to uwagi oprócz geranium i obdartej postaci ukrywającej się w rododendronach. Postać mruknęła pod nosem „Szlag!", ale nadal pilnie przyglądała się Vimesowi.

Scenę oszołomienia na schodach zakłóciła lady Sybil, która potrafiła chodzić bardzo cicho jak na tak mocno zbudowaną kobietę.

- Co się tu dzieje, panowie?

- Ten młody człowiek, moja droga, rzekomo tutejszy policjant, zamierza aresztować mnie jako podejrzanego o morderstwo.

Między mężem a żoną nastąpiła wymiana spojrzeń, która zasługiwała na status telepatii. Potem Sybil zwróciła się do Feeneya.

- Ach, ty pewnie jesteś młodym Upshotem, jak sądzę. Przykro mi z powodu śmierci twojego ojca i mam nadzieję, że matka dobrze się czuje. Pamiętam, odwiedzałam ją jako młoda dziewczyna. I chcesz aresztować mojego męża, tak?

Feeney wytrzeszczył oczy i zdołał wykrztusić nieprofesjonalne:

- Tak, psze pani.

Sybil westchnęła.

- No trudno - rzekła surowo. - Mam nadzieję, że przynajmniej tyle zdołacie zrobić bez dalszej ogrodowej masakry. - Zerknęła na Vimesa. - Zabiera cię do więzienia?

Po czym znów spojrzała na Feeneya, który stanął nagle przed armatą nabitą tysiącem lat pewności siebie klas wyższych.

- Będzie potrzebował zmiany ubrania, funkcjonariuszu. Jeśli powiecie mi, gdzie go zabieracie, a powiecie mi, gdzie go zabieracie, osobiście dostarczę tam odpowiednią odzież. Czy muszę na wszystkim ponaszywać pasy, czy nastąpi to automatycznie? I będę wdzięczna, jeśli dostarczycie go z powrotem na herbatę, bo spodziewamy się gości.

Lady Sybil postąpiła krok naprzód, a Feeney cofnął się o krok, by uciec przed furią nadciągającego łona. ,

- Życzę szczęścia w twoim przedsięwzięciu, młody człowieku. Będzie ci potrzebne. A teraz przepraszam, muszę porozmawiać z kucharką.

Po czym majestatycznie odeszła, pozostawiając Feeneya całkiem oszołomionego. Po chwili jednak drzwi, które ledwie się za nią zamknęły, otworzyły się znowu.

-Jesteśjeszcze kawalerem, młody człowieku? - spytała.

- Tak... - wykrztusił Feeney.

- W takim razie jesteś zaproszony na herbatkę - oświadczyła pogodnie. - Przyjdzie kilka panien na wydaniu i na pewno będą podekscytowane, mogąc poznać młodzieńca skłonnego tańczyć na samej krawędzi piekła. Pamiętaj, żeby nosić hełm, Sam, na wypadek brutalności policji. Willikins, proszę ze mną. Chcę z tobą porozmawiać.

Vimes pozwolił, by milczenie się zwarzyło.

- Pańska żona jest niezwykłą kobietą - stwierdził Feeney, kiedy trwało już za długo.

- Nie masz nawet pojęcia. - Vimes pokiwał głową. - Co teraz zamierzacie, starszy funkcjonariuszu?

Chłopak się zawahał. To właśnie cała Sybil. Wystarczy, że przemówi spokojnie i pewnie, a człowiek ma wrażenie, że świat odwrócił się do góry nogami i spadł mu na głowę.

- No więc, sir, muszę chyba doprowadzić pana przed rajców?

Vimes zauważył mały znak zapytania na końcu.

- Kto jest twoim zwierzchnikiem, Feeney?

- Wspomniani wyżej rajcy, sir.

Vimes ruszył schodami w dół, a Feeney pobiegł za nim. Vimes odczekał, aż chłopak się rozpędzi, a potem stanął w miejscu i Feeney wpadł na niego.

- Waszym zwierzchnikiem jest prawo, starszy funkcjonariuszu, lepiej o tym nie zapominajcie. Właściwie jednym z zadań rzeczonych rajców jest pilnowanie, żebyście nie zapomnieli. Składaliście kiedyś przysięgę? Co w niej było? Komu ją składaliście?

- Och, pamiętam ją bardzo dobrze, sir. Składałem ją wspomnianym już rajcom.

- Składaliście... co takiego?! Złożyłeś przysięgę, że będziesz posłuszny rajcom?! Nie mogą tego wymagać! - Vimes urwał. Przypomniał sobie, że na wsi zawsze ktoś na człowieka patrzy. I pewnie też słucha.

Feeney wydawał się wstrząśnięty.

- Zabierz mnie do tej swojej celi, chłopcze - zaproponował Vimes. - I zamknij. A skoro już się tym zajmiesz, to zamknij się razem ze mną. Nie spiesz się, o nic nie pytaj i staraj się mówić bardzo cicho, poza może takimi zdaniami jak „Teraz za wszystko zapłacisz, zbrodniarzu" i innych bzdur podobnej natury. A to dlatego, młodzieńcze, że moim zdaniem kogoś tu czekają poważne kłopoty i odnoszę wrażenie, że tą osobą jesteś ty. Jeśli masz dość rozsądku, bądź cicho i prowadź mnie do celi. Jasne?

Szeroko otwierając oczy, Feeney kiwnął głową.

***

Spacer do celi okazał się całkiem przyjemny. Dotarli do wąskiego nabrzeża nad rzeką, gdzie leżało sporo żeglarskich śmieci, jakich właściwie można było się spodziewać. Rzekę przecinał most - obrotowy, pewnie by przepuszczać większe statki. Świeciło słońce i nic się nie działo - powoli i bez pośpiechu. No i stała tam ta wielokrotnie zapowiadana cela. Wyglądała jak gigantyczna solniczka z kamienia, jakieś pnące kwiaty oplatały ściany, a niedaleko drzwi, na łańcuchu, kręciła się ogromna świnia. Kiedy zobaczyła, że się zbliżają, stanęła na tylnych nogach i chwiejąc się trochę, próbowała służyć.

- To jest Zacier - przedstawił świnię Feeney. - Jego ojcem był dzik, jego matka była zaskoczona. Widzi pan te kły? Nikt nie sprawia mi kłopotów, kiedy pogrożę, że spuszczę go z łańcucha. Prawda, Zacier?

Zniknął za celą i wrócił natychmiast, niosąc wiadro pomyj, w którym Zacier usiłował się zanurzyć, wydając przy tym głośne kwiki zadowolenia tak wielkiego jak jego kły. Vimes przyglądał się im, kiedy miła kobieta w fartuchu wyszła przed kryty strzechą domek, spostrzegła Vimesa i znieruchomiała. Po chwili dygnęła niepewnie i zerknęła pytająco na Feeneya.

- Kim jest ten szlachetny dżentelmen, synu?

- To komendant Vimes, mamo... No wiesz, diuk.

Nastąpiła chwila ciszy, podczas której kobieta wyraźnie żałowała, że nie ma na sobie lepszej sukienki, fryzury i butów, że nie sprzątnęła wygódki, kuchni, spiżarni, nie uporządkowała ogródka, nie pomalowała drzwi i nie wyczyściła wewnętrznej powierzchni dachu.

Vimes spróbował nie dopuścić, by od zawrotu głowy wywierciła otwór w ziemi. Wyciągnął dłoń.

-Jestem Sam Vimes, droga pani - przedstawił się. - Bardzo mi miło panią poznać.

To jednak sprawiło jedynie, że w panice umknęła do domku.

- Mama bardzo jest czuła na punkcie arystokracji - zwierzył się Feeney, otwierając drzwi celi nieporęcznie wielkim kluczem.

- Dlaczego? - zdumiał się Vimes.Cela była w miarę wygodna. Owszem, świnie pozostawiły zapachowe wspomnienie, ale dla chłopaka z Ankh-Morpork liczyło się to jako świeże powietrze. Feeney usiadł przy diuku na porządnie wyszorowanej ławie.

- No więc, sir, kiedy mój dziadek był jeszcze młody, lord Ram- kin dał mu całe pół dolara za otwarcie bramy, żeby przepuścić polowanie. Według tego, co opowiadał mi tato, dziadek mawiał potem: „Żaden obłudny hipokryta, co to stale gada o prawach człowieka, nie dał mi nigdy nawet ćwiartki ćwierćpensówki, a tutaj mam lorda Ramkina, który dał mi całe pół dolara, kiedy był pijany jak bela, i nie zażądał zwrotu, kiedy wytrzeźwiał. To jest prawdziwy dżentelmen".

Vimes wił się w myślach, wiedząc, że ten jakoby hojny arystokrata miał więcej pieniędzy, niż można sobie wyobrazić, a uczciwie pracujący człowiek był bezsensownie wdzięczny za jałmużnę od starego pijaka. W głębi serca wściekał się na dawno zmarłego lorda, ale ta jego część, która od wielu lat była mężem Sybil, szeptała: „Przecież niczego nie musiał dawać, a w tamtych czasach pół dolara to prawdopodobnie było więcej pieniędzy, niż ten biedak mógł sobie wyobrazić". Kiedyś Sybil, podczas jednej z ich bardzo rzadkich kłótni, zaskoczyła go, oświadczając: „Otóż, Sam, moja rodzina zaczęła karierę, zdobyła fortunę, jeśli wolisz, drogą piractwa; to ci się powinno podobać, Sam, uczciwa fizyczna praca! I patrz, co nią osiągnęli! Kłopot z tobą, Samie Vimes, polega na tym, że postanowiłeś być własnym wrogiem klasowym!".

- Coś się stało, komendancie? - spytał Feeney.

- Wszystko. Żaden policjant nie przysięga posłuszeństwa władzy, przysięga posłuszeństwo wobec prawa. Pewnie, politycy mogą zmienić prawo, a jak mu się to nie podoba, może odejść, ale póki pracuje, musi działać zgodnie z prawem takim, jakie jest zapisane. - Vimes oparł się o kamienną ścianę. - Nie możesz przysięgać posłuszeństwa rajcom! Chciałbym zobaczyć, co podpisywałeś...

Przerwał, bo metalowa płytka na drzwiach celi się odsunęła, ukazując twarz bardzo zdenerwowanej matki starszego funkcjonariusza.

- Przygotowałam Bang Ssak Psiak, Feeney, z brukwią i frytkami, i wystarczy też dla diuka, jeśli okaże się tak łaskawy, by przyjąć zaproszenie.

- Ona wie, że mnie aresztowałeś? - szepnął Vimes.

Feeney zadrżał.

- Nie, sir, i proszę, bardzo proszę, żeby jej pan nie mówił, bo chyba już nigdy nie wpuściłaby mnie do domu.

Vimes podszedł do drzwi i powiedział do szczeliny:

- Będę zaszczycony, korzystając z pani zaproszenia, pani Upshot.

Z drugiej strony odpowiedział mu nerwowy chichot i matka Feeneya odpowiedziała drżącym głosem:

- Bardzo żałuję, że nie mamy srebrnych talerzy, wasza wysokość.

W domu Vimes i Sybil używali nakryć ceramicznych, tanich,

praktycznych i łatwych do mycia.

- Mnie też jest przykro, że nie ma pani srebrnych talerzy, pani Upshot. Jak najszybciej każę przysłać pani komplet.

Zza drzwi dobiegło głuche uderzenie, a równocześnie odezwał się Feeney.

- Co pan powiedział, sir? Czy pan stracił rozum?

To by naprawdę pomogło, pomyślał Vimes.

- We Dworze mamy setki tych nieszczęsnych srebrnych talerzy, mój chłopcze. Zupełnie bezużyteczne. Jedzenie na nich stygnie, wystarczy się odwrócić, a od razu czernieją... Wydaje się też, że jest tam mnóstwo srebrnych łyżek.

- Nie może pan tego zrobić, sir! Ona jest przerażona, jeśli tylko mamy w domu coś cennego!

- Często trafiają się tu kradzieże, starszy funkcjonariuszu? - zapytał Vimes, akcentując dwa ostatnie słowa.

Feeney otworzył drzwi celi i podniósł matkę, która najwyraźniej zasłabła na myśl o posiadaniu srebrnych talerzy, otrzepał ją lekko i odpowiedział ponad jej ramieniem:

- Nie, sir, a to z takiej przyczyny, że nikt nie ma niczego, co warto ukraść. Mama zawsze mi powtarza, że pieniądze szczęścia nie dają.

Tak, pomyślał Vimes, moja też tak mówiła, ale ucieszyła się, kiedy oddałem jej pierwszą pensję, bo dzięki temu mogliśmy zjeść obiad z mięsem, chociaż nie wiedzieliśmy, jakie to mięso. To jest szczęście, prawda? Lubimy sobie powtarzać jakieś kłamstwa...

Kiedy zarumieniona pani Upshot odeszła, by przynieść posiłek, Vimes zwrócił się do jej syna.

- Tak między nami, starszy funkcjonariuszu, wierzycie, że jestem winny, popełniłem morderstwo?- Nie, sir! - zapewnił Feeney natychmiast.

- Bardzo szybko to powiedziałeś, młody człowieku. Będziesz tłumaczył, że to policyjny instynkt? Bo odniosłem wrażenie, że nie jesteś gliną zbyt długo i nie masz za wiele do roboty. Nie jestem specjalistą, ale nie sądzę, żeby świnie próbowały cię okłamywać.

Feeney odetchnął głęboko.

- Widzi pan, sir - rzekł spokojnie - mój dziadek był starym wróblem, bardzo przebiegłym. Czytał w ludziach jak w książce. Chodził ze mną po okolicy i przedstawiał tutejszym, a potem, kiedy tak spacerowaliśmy, opowiadał mi ich historie. Jak tę o człowieku przyłapanym *in flagrante delicto* ze zwykłą podwórkową kurą...

Vimes z otwartymi ustami patrzył na zaróżowioną twarz młodego człowieka, który opowiadał o tej łagodnej, spokojnej krainie, jakby była zamieszkana przez demony z najbardziej nienawistnej otchłani. Feeney rozwijał przed nim listę brudów, które bardzo wymagały pralni: żadnych zabójstw, ale złośliwość, bezmyślność i wszystkie zbrodnie ludzkiej ignorancji i głupoty. Oczywiście, gdzie żyją ludzie, tam istnieją przestępstwa. Po prostu wydawały się nie na miejscu w tym powolnym świecie otwartych przestrzeni i śpiewających ptaków. A jednak wyczuł je, kiedy tylko się tutaj znalazł, a teraz znalazł się w samym środku.

- Poczujesz dreszcz - opowiadał Feeney. - Tak mi tłumaczył ojciec. Patrz, mówił, słuchaj i obserwuj każdego. Nigdy nie istniał dobry policjant, który nie miał gdzieś w sobie odrobiny przestępcy. I ta odrobina do ciebie zawoła. Powie ci „Ten człowiek ma coś do ukrycia", „Ten człowiek jest za bardzo wystraszony" albo „Ten człowiek jest zbyt pewny siebie, bo gdzieś pod spodem jest kłębkiem nerwów". Na pewno zawoła...

Vimes zdecydował się raczej na wyrażenie podziwu niż zaszokowania, ale niezbyt wielkiego podziwu.

- No cóż, panie Upshot, uważam, że pański dziadek i ojciec mieli rację. Czyli ja wysyłam właściwe sygnały, tak?

- Nie, sir. W ogóle żadnych, sir. Mój dziadek i mój tato czasami też tacy byli. Totalna pustka. To ludzi denerwuje. - Feeney przechylił głowę. - Jedną chwileczkę, sir - powiedział. - Mamy chyba drobny problem...Stuknęły otwierane drzwi celi i starszy funkcjonariusz Upshot pognał dookoła, na tyły małego budyneczku. Coś wrzasnęło, zapiszczało, a potem siedzący spokojnie na ławie Vimes nagle miał na kolanach gobliny. Prawdę mówiąc, tylko jednego goblina, ale z tak bliska jeden zupełnie wystarczy. Przede wszystkim był jego zapach, ale na tym nie koniec, bo ten zapach przesycał cały świat. Jednakże nie był to smród - choć niebiosa świadkiem, że gobliny cuchnęły wszystkimi możliwymi smrodami, jakie

potrafi wygenerować istota organiczna. Nie; każdy, kto chodził po ulicach Ankh-Mor- pork, był mniej lub bardziej odporny na smród, co więcej, wśród licznych hobby rozkwitało (jeśli to właściwe słowo) kolekcjonowanie smrodów, a Dave - z Centrum Znaczków i Szpilek u Dave'a
- znowu powiększał szyld nad swoim sklepem. Nie można było zabutelkować (czy co tam robili kolekcjonerzy) przyrodzonego zapachu goblina, ponieważ nie był to właściwie smród, raczej wrażenie, że odparowuje szkliwo z zębów, a dowolny pancerz, jaki człowiek miałby na sobie, w szybkim tempie rdzewieje.

Stwór nie dawał się zepchnąć z kolan, trzymał się, splatając ręce i nogi, i wrzeszczał czymś, co teoretycznie było głosem, ale brzmiało, jakby ktoś skakał po worku orzechów. Jednak nie atakował - chyba że uwzględni się broń biologiczną. Czepiał się nogami, wymachiwał rękami, a Vimes ledwie zdążył powstrzymać Feeneya przed rozwaleniem gobliniej głowy za pomocą oficjalnej pałki. A to dlatego, że kiedy już się skupił, odkrył, że goblin używa słów. A te słowa brzmiały:

- Ości! Ości! Chcemy jedli ości! Żądamy! Spraw jedli ości!

Feeney natomiast krzyczał:

- Smrodek, ty mały draniu, uprzedzałem, co z tobą zrobię, jeśli znów cię przyłapię na podkradaniu świńskich pomyj! - Spojrzał na Vimesa, jakby szukał wsparcia. - One roznoszą okropne choroby, sir.

- Przestań skakać w kółko z tą nieszczęsną pałką, mój chłopcze.

- Vimes przyjrzał się goblinowi, który szarpał się w jego chwycie, i dodał: - A ty, mały łobuzie, skończ z tymi wrzaskami!

**Wszystko to było dla Vimesa całkiem niezrozumiałe. Był absolutnie przekonany, że nie da się wykryć różnicy między kurzym i indyczym pierdnięciem, jednak pewni ludzie twierdzili, że to potrafią. Był więc zadowolony, że tacy ludzie znaleźli takie ujście dla swych dziwacznych skłonności, zamiast na przykład napełniać zlew zbieranymi na ulicach ludzkimi głowami.*

W małym pomieszczeniu zapanował spokój, jeśli nie liczyć cichnącego echa „Zjadają własne dzieci" Feeneya i „Spraw jedli ości" goblina, krótko i adekwatnie zwanego Smrodek.

Kiedy goblin przestał panikować, pazurem dotknął lewej ręki Vimesa i spojrzał mu w twarz.

- Spraw jedli ości? - To była prośba. Pazur lekko pociągnął Vimesa za nogawkę. - Spraw jedli ości?

Stwór pokuśtykał do drzwi, spojrzał na rozzłoszczonego starszego funkcjonariusza, a potem na Vimesa wzrokiem, który zdawał się wiercić otwór w umyśle.

- Spraw jedli ości - powiedział wolno. - Panie poo-lis-jant?

Vimes sięgnął po tabakierę. Brązowy proszek miał istotną zaletę: cała ceremonia, jaką trzeba wykonać, nim człowiek weźmie niucha, daje więcej czasu do namysłu niż zwykłe zapalenie cygara. A także przyciąga uwagę.

- A więc, starszy funkcjonariuszu - powiedział - mamy tu kogoś, kto chce sprawiedliwości. Co zamierzacie z tym zrobić?

Feeney zrobił niepewną minę i poszukał ucieczki w tym, co pewne.

- To cuchnący goblin!

- Często je widujecie w pobliżu tej celi? - zapytał Vimes łagodnie.

- Tylko Smrodka - odparł Feeney. Popatrzył gniewnie na goblina, który wystawił cienki ruchliwy język. - Zawsze gdzieś się tu kręci. Reszta wie, co się stanie, jeśli przyłapię je na kradzieży.

Vimes przyjrzał się goblinowi i rozpoznał źle złożoną złamaną nogę. Nie patrząc na młodego człowieka, obracał w palcach tabakierę.

- Ale policjant z pewnością się zastanawia, co skłoniło tego nieszczęsnego stwora, by stanąć przed przedstawicielami prawa, ryzykując, że zostanie okaleczony... znowu?

To był strzał w absolutnej ciemności, ale Vimes często tak strzelał, jakby ta ciemność była tarczą.

Ręka go zaswędziała. Starał się to ignorować, ale przez jeden moment zobaczył przed sobą wilgotną jaskinię i potrafił myśleć tylko o straszliwej, nieskończonej zemście.

Zamrugał. Goblin wrócił i ciągnął go za rękaw, a Feeney zaczynał się złościć.- Nie zrobiłem tego! Nie widziałem, jak to się stało!

- Ale wiesz, że tak się dzieje, prawda?

I znowu Vimes przypomniał sobie ciemność i pragnienie zemsty, więcej nawet, samą zemstę, myślącą i wygłodniałą. A ten mały pokurcz dotknął tej właśnie ręki... Wtedy wszystko wróciło, a wolałby, żeby nie, bo chociaż każdy glina ma w sobie trochę przestępcy, to jednak żaden nie powinien chodzić z kawałkiem demona jako tatuażem.

Feeney zapomniał o gniewie, teraz był wystraszony.

- Biskup Scour twierdzi, że to zuchwałe, demoniczne kreatury, stworzone jako drwina z ludzkości - powiedział.

- Nie wiem o żadnych biskupach - odparł Vimes - ale coś się tu dzieje i czuję ten dreszcz. Poczułem go pierwszego dnia, jak tylko przyjechałem, a ten dreszcz przebiega mnie na mojej ziemi. Posłuchajcie, starszy funkcjonariuszu. Kiedy zatrzymujecie podejrzanego, powinniście zadać sobie trud i zapytać go, czy to zrobił, a jeśli powie, że nie, to czy potrafi dowieść swojej niewinności. Jasne? Należy zapytać. A moje odpowiedzi, w tej samej kolejności, brzmią: nie, do demona, i tak, do demona!

Mała dłoń znowu poskrobała koszulę Vimesa.

- Spraw jedli ość?

No tak, pomyślał Vimes, byłem chyba zbyt łagodny dla chłopaka. Aż do teraz.

- Starszy funkcjonariuszu, dzieje się coś złego i wiecie, że się dzieje, a wy jesteście całkiem sam, więc lepiej zapewnijcie sobie pomoc każdego, komu z pewnością możecie zaufać. Na przykład moją. W tym wypadku będę podejrzanym, który został zwolniony za kaucją, ustaloną według mojego uznania na jednego pensa... - Tu wręczył oszołomionemu Feeneyowi niewielki, zaśniedziały miedziany krążek. - Następnie został poproszony o pomoc w waszym dochodzeniu, wszystko jedno jakim, i tak będzie pięknie i elegancko, w zgodzie z procedurą standardowych działań policyjnych, którą, mój chłopcze, sam pisałem, możesz mi wierzyć. Nie jestem prawem, żaden policjant nie jest prawem. Policjant jest tylko człowiekiem, ale kiedy rano otwiera oczy, to prawo jest jego budzikiem. Jak dotąd byłem dla ciebie miły i uprzejmy, ale czy naprawdę sądziłeś, że spędzę noc w chlewiku? Pora stać się prawdziwym policjantem, mój mały. Zrobić to, co należy, a potem bawić się z papierami.

Tak jak ja. - Spojrzał z góry na upartego goblina. - No dobra, Smrodek, prowadź.

- Ale mama właśnie idzie tutaj z obiadem, komendancie! - Głos Feeneya brzmiał jak jęk rozpaczy.

Vimes się zawahał. Nie należy denerwować czyjejś mamy.

Pora zatem wypuścić diuka. Vimes normalnie nie kłaniał się nikomu, ale skłonił się nisko przed panią Upshot, która w radosnej ekstazie niemal upuściła tacę.

-Jestem zrozpaczony, pani Upshot, ale muszę prosić, by odłożyła pani swoje Man Psiak Ssak Po w jakieś ciepłe miejsce, gdyż syn pani... duma munduru, który nosi, i duma rodziców... prosił mnie, bym zechciał mu pomóc w pewnym ważnym zadaniu, które można powierzyć tylko młodemu człowiekowi o nieskazitelnym charakterze, takim jak pani chłopak.

- Sir, przygotowałam Bang Ssak Psiak Kwak. Man Psiak Ssak Po gotuję tylko w niedziele. Z tartą marchewką.

Vimes z powagą uścisnął jej dłoń.

- Z radością skosztuję go później, droga pani Upshot, ale teraz musi nam pani wybaczyć. Pani syn aż się pali do policyjnej roboty, jak pani z pewnością wie.

* * *

Pułkownik Charles Augustus Makepeace już bardzo dawno

- kierując się wieloletnim doświadczeniem zawodowego stratega

- postanowił ustępować Letycji we wszystkim. Oszczędzało to kłopotów i pozwalało spacerować po ogrodzie, opiekować się smokami, a czasem wyruszać z wędką na pstrągi, co uwielbiał. Dzierżawił pół mili strumienia, ale ze smutkiem odkrywał, że ostatnio coraz częściej brakuje mu sił. Dlatego sporo czasu spędzał w bibliotece, pracował nad drugim tomem swoich wspomnień, nie wchodził żonie pod nogi i starał się do niczego nie mieszać.Aż do dzisiaj był całkiem zadowolony, że Letycja pełni funkcję przewodniczącej magistratu, ponieważ dzięki temu często na długie godziny wychodziła z domu. Nigdy

nie był zbyt sprawny w myśleniu o tym, czy coś jest dobre, czy złe, a ktoś winny czy niewinny. Nauczył się raczej dzielić ludzi na naszych i obcych, zabitych i żywych. Dlatego też niezbyt uważnie słuchał grupy siedzącej przy długim stole na drugim końcu biblioteki i rozmawiającej ze wzburzeniem - ale też nie mógł ich nie słyszeć.

Podpisała ten nieszczęsny dokument! Powinien starać się ją przekonać, ale wiedział, jak by się to skończyło. Komendant Vimes! Owszem, wszyscy wiedzą, że jest raczej porywczy, i może faktycznie trochę się posprzeczali z tym jak mu tam kowalem, który zresztą wcale nie był taki zły, trochę w gorącej wodzie kąpany, jasna sprawa, ale nie dalej niż parę dni temu zrobił wściekle porządny smoczy zaganiacz, i to za bardzo przyzwoitą cenę. Vimes? Nie, Vimes z pewnością nie jest mordercą. To jedna z tych rzeczy, których człowiek uczy się w wojsku: morderca długo nie przetrwa. Zabijanie w ramach obowiązku wymaga całkiem innych cech charakteru. Letycja wysłuchała tego obrzydliwego prawnika i wszyscy się zgodzili, że trzeba to podpisać, tylko dlatego, że ten nędznik Rust tak sobie życzy.

Pułkownik otworzył ostatni numer miesięcznika „Kieł i Płomień". Od czasu do czasu ktoś zniżał głos, co - jeśli się zastanowić - było mocno obraźliwe, skoro siedzi się w czyjejś bibliotece i jeszcze się właściciela nie pytało o zgodę. Nie protestował jednak. Już dawno nauczył się nie protestować, więc w skupieniu oglądał opisane na rozkładówce ognioodporne inkubatory, trzymając pismo przed sobą, jakby chciał osłonić się od zła.

Jednakże wśród słów, których nie słuchał, były i takie:

- Oczywiście, ożenił się z nią tylko dla pieniędzy.

To był głos jego żony. I potem:

-A ja słyszałam, że już rozpaczliwie szukała męża.

Ten dziwnie ostry ton głosu wskazywał, że jego właścicielką jest panna Pickings, która - pułkownik nie mógł nie zauważyć, wpatrując się nieruchomo w reklamę azbestowych zagród - najwyraźniej sama nie spieszyła się z szukaniem męża.

Makepeace był z natury człowiekiem tolerancyjnym. W końcu jeśli dziewczyna chce iść przez życie z inną, która nosi koszule i krawaty, ujeżdża konie i ma twarz jak buldog, który zlizuje ocet z ostu, to przecież wyłącznie jej sprawa. W końcu, myślał pułkownik, taki Muskuł Jackson, na przykład. Co wieczór przychodził na stołówkę ubrany w suknię i jak na faceta używał trochę zbyt kwiatowego płynu po goleniu, ale w bitwie walczył jak sam demon. Zabawny jest ten świat...

Usiłował znaleźć na stronie miejsce, gdzie przerwał lekturę, ale przerwał mu bardzo wielebny Mouser. Pułkownik nigdy jakoś nie dogadywał się z kapłanami - nie widział sensu.

- Uważam to za bardzo podejrzane, że rodzina Ramkinów zjawia się tutaj po tylu latach, nieprawdaż. Ciągle czytam o Vimesie w azetach i nie jest osobą, którą można sobie wyobrazić na wakacjach.

- Według Gravida nazywają go terierem Vetinariego - wtrąciła Letycja.

Na drugim końcu pokoju jej mąż głębiej wsunął nos w magazyn, żeby nie parsknąć śmiechem. Gravid! Kto nazwałby swoje dziecko Gravidem? Nikt, kto hodował smoki albo rybki, to pewne. Oczywiście, istniały słowniki, ale lord Rust nie należał do ludzi, którzy zaglądają do książki, jeśli tylko mogą tego uniknąć. Pułkownik spróbował się skupić na artykule o leczeniu zygzakowatego gardła u starszych samców, natomiast wybranka jego serca mówiła dalej:

- No więc nie chcemy tutaj żadnych nonsensów Vetinariego. Jak się zdaje, jego lordowska mość bawi się, pozwalając Vimesowi puszczać wiatry na salonach możnych. Jak się zdaje, Vimes nie ma respektu dla niczyjego stanu. A nawet wręcz przeciwnie. I rzeczywiście wydaje się, że skłonny jest zwabić w pułapkę uczciwego człowieka pracy.

Zabawne, pomyślał pułkownik. Pierwszy raz słyszę, że nazywa kowala inaczej niż przeklętym podżegaczem. Miał jednak wrażenie, że wymiana zdań przy stole jest banalna i sztuczna jak rozmowy nowych rekrutów w przededniu bitwy. Myślał więc: wydano nakaz aresztowania komendanta Vimesa, bohatera z doliny Koom - a wściekle piękny dał tam pokaz! Pokój za naszego życia między bratem trollem i bratem krasnoludem i takie tam rzeczy. Świetna robota! W swoim czasie za wiele widziałem zabijania. A teraz chcecie pozbawić go pracy i reputacji tylko dlatego, że przekonał was ten fałszywy chłopaczek z imieniem jak ciężarna żaba.

- Jak słyszałem, ma bardzo gwałtowny charakter - stwierdził... och, jakże się nazywa? Trochę intrygant. Kupił dużą rezydencję niedaleko Nawisu... jeden z popleczników Rusta. Chyba nigdy nie

zajmuje się żadną pracą. Jakże mu było? A tak, Edgehill, nie z tych, którym można zaufać i odwrócić się do nich plecami, zresztą przodem też nie, ale zaprzysięgli go mimo wszystko.

- Był tylko urwisem z ulicy i pijakiem! - oburzyła się Letycja.

- Co na to powiecie?

Pułkownik pilnie czytał swój magazyn, gdy jego niewypowiedziane myśli mówiły: dla mnie brzmi to całkiem dobrze, moja droga. Wszystko, co dostałem, żeniąc się z tobą, to obietnica połowy straganu z rybą i frytkami, kiedy odejdę ze służby, a i tego nie zobaczyłem.

- Powszechnie wiadomo, że jego przodek zabił króla, więc nie wyobrażam sobie, by Vimes zawahał się przed zabiciem kowala

- oświadczył czcigodny Ambrose.

Ten stanowił pewien sekret. Miał jakieś związki z transportem morskim. Przysłali go tu z miasta, żeby na jakiś czas zniknął z oczu, a powodem było jakieś zajście z dziewczyną. Pułkownik, który wiele czasu poświęcał na myślenie, zastanowił się, jak w dzisiejszych czasach można zostać wydalonym z miasta z powodu dziewczyny; instynkt podpowiedział mu, że możliwe, iż miało to pewien związek z wiekiem tej dziewczyny... Przez jakiś czas pozwolił tej myśli dojrzewać, a potem napisał do swojego starego kumpla Koszara Robinsona, który zawsze wiedział to i owo o jednym czy drugim, co mówią tu i tam, a teraz był jakąś polityczną grubą rybą w pałacu. Zapytał o to wprost, jak można spytać przyjaciela, którego kiedyś wywiózł w bezpieczne miejsce, przerzuconego przez łęk siodła, zanim dosię- gnął go klatchiański scimitar... I dostał krótki liścik, a w nim tylko „Rzeczywiście, nieletnia, zatuszowane wielkim kosztem". Potem pułkownik bardzo się starał, żeby nigdy już nie podać sukinsynowi ręki.

Beztrosko nieświadom myśli pułkownika czcigodny Ambrose - który zawsze wydawał się trochę bardziej obszerny od swoich ubrań, przy czym rzeczone ubrania prezentowały styl bardziej odpowiedni dla kogoś o dwadzieścia lat młodszego - mówił dalej:

- Ogólnie biorąc, uważam, że wyświadczamy światu przysługę. On podobno popiera krasnoludy i wszelkie typy istot niższych. Po takim człowieku wszystkiego można się spodziewać.

Rzeczywiście można, zgodził się w duchu pułkownik.

- Ale nie zrobiliśmy nic złego - odezwała się panna Pickings.

- Prawda?

---

* Ponieważ nie mógł poświęcać czasu na mówienie.

Pułkownik odwrócił stronę i wygładził ją z wojskową precyzją. No tak, myślał, wszyscy godzicie się na przemyt, jeśli zajmują się nim właściwe osoby, ponieważ są z towarzystwa, bo jeśli nie, to trzeba je surowo ukarać. Stosujecie inne prawo dla bogatych, a inne dla ubogich, tak jest, droga pani, bo przecież biedni to prawdziwe utrapienie...

Nagle poczuł na sobie podejrzliwy wzrok - skutek małżeńskiej telepatii - będącej strasznym zjawiskiem.

- To przecież żadna zbrodnia, wszyscy to robią - oświadczyła jego żona.

Odwróciła głowę, gdy jej mąż przewrócił kartkę, wpatrzony nieruchomo w druk. I myślał tak bezgłośnie, jak tylko mózg potrafił: ...no i oczywiście był też ten... incydent sprzed kilku lat. Niedobry incydent. Bardzo niedobry. To niedobrze, kiedy małe dzieci - dowolnego rodzaju - odrywa się od matek. To bardzo źle. Wszyscy o tym wiecie i dlatego was to gryzie. Bo powinno.

Przez chwilę w bibliotece panowała cisza, nim pani pułkownikowa podjęła:

- Nie będzie żadnych kłopotów. Młody lord Rust obiecał. Mamy w końcu swoje prawa.

- Uważam, że to przez tego przeklętego kowala - stwierdziła panna Pickings. - On cały czas ludziom o tym przypomina. On i ta okropna pisarka.

Pani pułkownikowa zjeżyła się cała.

- Nie mam pojęcia, o czym pani mówi, panno Pickings. W sensie prawnym nie zdarzyło się tu nic niewłaściwego. - Znowu spojrzała na męża. - Dobrze się czujesz, mój drogi? - spytała groźnym tonem.

Przez chwilę wyglądał, jakby czuł się źle. Zaraz jednak się opanował.

- Świetnie, moja droga. Zdrów jak rydz. Zdrów jak rydz.

Ale myśli kontynuowały: Wszyscy wzięliście udział w czymś, co osobiście uważam za cyniczną próbę zniszczenia kariery bardzo dobrego człowieka.

- Słyszałam, że zakaszlałeś...

Zabrzmiało to jak oskarżenie.

- Och, to jakiś paproch, nic więcej. Nic mi nie dolega, jestem zdrów jak rydz, rydzyk po deszczu. - I nagle trzasnął magazynem o blat stołu. - Kiedy byłem jeszcze skromnym porucznikiem, moja droga, jedną z pierwszych rzeczy, jakich się nauczyłem, to że nie należy nerwową strzelaniną zdradzać swojej pozycji. I sądzę, że znam takich ludzi jak wasz komendant Vimes. Miody Rust będzie pewnie bezpieczny przy swoim majątku i kontaktach, ale bardzo wątpię, czy wy również. Kto wie, co by się zdarzyło, gdybyście się tak nie spieszyli? Kto by się zainteresował jakimś drobnym przemytem? A wy szarpnęliście smoka za ogon tak, że się rozgniewał.

-Jak śmiesz tak mówić, Charles! - wybuchnęłajego żona, kiedy tylko odzyskała mowę.

- Całkiem łatwo, jak się okazuje, moja droga - odparł pułkownik z radosnym uśmiechem. - Niewielki przemyt można uznać za drobny grzeszek, ale nie wtedy, kiedy ktoś ma strzec prawa. Zdumiewa mnie, że żadne z was jakoś na to nie wpadło. Jeśli macie trochę rozsądku, panie i panowie, to jak najszybciej wyjaśnicie jego łaskawości cały ten nieszczęśliwy goblini incydent. W końcu to wasz przyjaciel Gravid wszystko zorganizował. Jedyny niewielki problem to fakt, że mu pozwoliliście, o ile pamiętam, i nawet nie mrugnęliście okiem.

- To nie było niezgodne z prawem - przypomniała lodowatym tonem jego żona.

Pułkownik nie drgnął nawet, ale w jakiś niewytłumaczalny sposób nagle stał się wyższy.

- Sądzę, że sprawy są nieco poplątane, widzicie. Myśleliście jedynie, czy coś jest zgodne z prawem albo niezgodne. No więc jestem tylko żołnierzem i nigdy nie byłem zbyt dobrym, ale moim zdaniem tak bardzo się skupiliście nad tym, co jest legalne, a co nie, że w ogóle przestaliście się zastanawiać, co jest słuszne, a co nie jest. A teraz wybaczcie, ale wybieram się do pubu.

- Nie, mój drogi - odpowiedziała odruchowo jego żona. - Wiesz przecież, że drinki się z tobą nie zgadzają.

Pułkownik rozpływał się w uśmiechach.

- Dziś wieczorem zamierzam wyjaśnić sobie wszystkie sporne sprawy z drinkami i zaprzyjaźnić się z nimi serdecznie.

Pozostali rajcy patrzyli na panią pułkownikową, która spoglądała wściekle na męża.

- Później z tobą o tym porozmawiam, Charles - warknęła.

Ku jej zaskoczeniu nadal się uśmiechał.

- Rzeczywiście, moja droga, myślę, że tak zrobisz, ale prawdopodobnie odkryjesz, że ja nie słucham. Zegnam państwa.

Drzwi zamknęły się za nim z cichym szczęknięciem. Powinny trzasnąć, ale niektóre drzwi nigdy nie rozumieją sytuacji.

* * *

Goblin poruszał się całkiem szybko, utykając wyraźnie, co wywoływało zwodnicze wrażenie powolności. Vimes ze zdziwieniem odkrył, że Feeney ze sporym trudem wytrzymuje tę niewielką przebieżkę w stronę - mógł się tego spodziewać - Szubienicznego Wzgórza. Słyszał, że chłopak już się trochę zasapał. Jasne, nie trzeba być specjalnie szybkim, żeby złapać zbłąkaną świnię, ale trzeba być bardzo szybkim, żeby dogonić młodego trolla naćpanego skibą po oczy; potrzebna też jest spora wytrzymałość, żeby go utrzymać i zatrzasnąć mu kajdanki, zanim dojdzie do siebie na tyle, by spróbował człowiekowi ukręcić głowę. Najwyraźniej robota policyjna na wsi jest zupełnie inna.

Na wsi zawsze ktoś się przygląda, myślał Vimes, idąc szybkim krokiem. No owszem, w mieście też stale ktoś się człowiekowi przygląda, ale raczej z nadzieją, że przedmiot obserwacji padnie trupem i będzie można uciec z jego portfelem. Patrzący nigdy nie jest zainteresowany... Ale tutaj miał wrażenie, że czuje na sobie spojrzenia licznych oczu. Może oczu wiewiórek, borsuków czy co to było takiego, co słyszał w nocy... goryle na przykład.

Nie miał pojęcia, co zobaczy, ale z pewnością się nie spodziewał, że cały szczyt wzgórza będzie aż jasny od porozciąganych, zafarbowanych na żółto linek. Jednakże zerknął na nie tylko przelotnie, tuż obok bowiem, oparte plecami o drzewo i wyraźnie mocno przestraszone, siedziały trzy gobliny. Jeden z

nich powstał, przez co jego głowa - a zatem i oczy - znalazła się na poziomie zbliżonym do krocza Vimesa. Wyciągnął pomarszczoną dłoń.

- Vimes? Wiś - powiedział.

Vimes popatrzył na niego z góry i zwrócił się do Feeneya.

- O co chodzi z tym „wiś"?

- Nigdy nie dowiedziałem się na pewno - odparł chłopak. - Ale to coś w rodzaju „miłego dnia", tylko po gobliniemu.

- Vimes - podjął goblin. - Się mówi, ty poo-lis-jant. Ty wielki poo-lis-jant! Jak poo-lis-jant, to spraw jedli ości. Ale spraw jedli ości być nie! A kiedy ciemność w ciemności! Ciemność się rusza! Ciemność musi przyjść, Yimes! Ciemność wzbiera! Spraw jedli ości!

Vimes nie potrafił odgadnąć płci mówiącego czy nawet jego wieku. Ubranie niczego nie sugerowało - te stwory wyraźnie nosiły wszystko, co da się przyczepić do ciała. Pozostałe gobliny obserwowały go bez mrugnięcia okiem. Miały kamienne topory - z krzemienia, paskudna broń, tyle że ostrze tępi się po kilku ciosach, co jednak nie jest wielkim pocieszeniem, kiedy człowiek sika krwią z szyi. Słyszał też, że walczą jak szalone. Aha, co jeszcze mówili ludzie? A tak: cokolwiek się zdarzy, nie pozwól im się zadrapać...

- Chcecie sprawiedliwości, tak? Sprawiedliwości w jakiej sprawie?

- Chodź ze mną, poo-lis-jant.

Słowa te zabrzmiały jak przekleństwo, a co najmniej jak groźba. Mówiący odwrócił się i statecznie zaczął schodzić przeciwległym do wsi zboczem. Pozostałe trzy gobliny, w tym również Smrodek, nie drgnęły.

- To może być pułapka, sir - szepnął Feeney.

Vimes przewrócił oczami.

-Tak sądzisz, co? Bo mnie się wydawało, że to pewnie zaproszenie na magiczne przedstawienie, w którym występują Zadziwiający Bonko i Doris, Bracia na Połamanym Unicyklu oraz Kot Fido. Co to za żółte sznurki, panie Upshot?

- Kordon policyjny, sir. Mama zrobiła je dla mnie na drutach.

- A tak, widzę, że parę razy udało jej się nawet wrobić słowo PLICJA czarnymi literami.

- Tak, sir, przepraszam za pisownię, sir - tłumaczył Feeney, wyraźnie przestraszony spojrzeniami goblinów. - Na ziemi było pełno krwi, sir, więc zeskrobałem trochę do czystego słoika od dżemu... na wszelki wypadek.

Vimes nie zwracał na niego uwagi, ponieważ dwóch goblinich strażników wyprostowało się teraz i czekało. Smrodek machał na niego, żeby szedł przodem. Vimes pokręcił głową, skrzyżował ręce na piersi i zwrócił się do Feeneya.- Może powiem, co pan sobie myślał, panie Upshot. Działał pan na podstawie otrzymanego donosu, tak? Usłyszał pan, że wczoraj koło pubu kowal i ja stoczyliśmy pojedynek na pięści, co jest prawdą. Bez wątpienia dowiedział się pan również, że ktoś podsłuchał naszą rozmowę, w której kowal umówił się ze mną na spotkanie w tym właśnie miejscu, tak? Nie musi pan odpowiadać, ma pan to wypisane na twarzy... nie opanował pan jeszcze kamiennej miny policjanta. Czy pan Jefferson zaginął?

Feeney skapitulował.

- Tak, panie Vimes.

Nie zasłużył sobie... a może jednak zasłużył na gwałtowną reakcję Vimesa.

- Nie zwracaj się do mnie „panie Vimes", chłopcze, nie zapracowałeś sobie na to! Masz do mnie mówić „sir", „komendancie" czy nawet „wasza łaskawość", jeśli jesteś tak głupi, żeby to robić. Zrozumiałeś? Gdybym wczoraj miał ochotę, mogłem załatwić kowala tak, że wracałby do domu bardzo dziwacznym krokiem. To potężnie zbudowany mężczyzna, ale żaden uliczny bohater. Ale pozwoliłem mu upuścić trochę pary i uspokoić się, nie tracąc przy tym twarzy. Tak, rzeczywiście zaproponował, że spotka się tu ze mną wczorajszej nocy. Kiedy się zjawiłem, ze świadkiem, na ziemi była krew, co do której zaświadczę, że należała do goblina, i z całą pewnością ani śladu żadnego kowala. Miałeś idiotyczne zarzuty przeciwko mnie, kiedy przyszedłeś do mojego domu, i one dalej są idiotyczne. Jakieś pytania?

Feeney spuścił głowę.

- Nie, sir. Przepraszam, sir.

- Dobrze. Cieszę się. Myśl o tym jak o szkoleniu, chłopcze, które nie będzie cię kosztować ani pensa. Do rzeczy. Te gobliny chcą chyba, żebyśmy poszli za nimi, i taki też mam zamiar. Co więcej, chcę również, żebyś tam poszedł razem ze mną. Jasne?

Zerknął na Smrodka i dwóch goblinich strażników. Jeden z nich bez przekonania skinął toporem, sugerując, że istotnie powinni ruszyć. Pomaszerował zatem; za sobą słyszał posępnego Feeneya, który starał się być dzielny, ale promieniował obawą.

- Nie tkną nas, chłopcze, po pierwsze dlatego, że gdyby taki mieli zamiar, już by to zrobili, a po drugie dlatego, że czegoś ode mnie chcą.

- Czego, sir?

- Sprawiedliwości - odparł Vimes. - I mam przeczucie, co to może oznaczać...

* *

** Czwarty Sprytel, prowadzący skład tytoniowy i młyn tabaki, uznał, że jego nazwisko jest zbyt mało prestiżowe. Z jakichś powodów zdecydował się na imię Bewilderforce - które faktycznie zyskało znaczny prestiż dzięki sukcesom jego tytoniowego przedsięwzięcia, nieodmiennie cieszącego się znakomitą opinią w klasie wyższej i nie tylko. A zatem w każdym pokoleniu rodu Spryteli zawsze był przynajmniej jeden Bewilderforce (chociaż dziewczętom zwykle nadawano imię Bewildred).*

Ludzie pytali czasem komendanta Vimesa, dlaczego sierżant Colon i kapral Nobbs nadal pozostają w szeregach nowoczesnej Straży Miejskiej Ankh-Morpork. Nobby'ego trzeba było niekiedy podnieść za nogi i potrząsnąć, żeby odzyskać drobne przedmioty należące do innych osób, natomiast Fred Colon wyćwiczył zdolność patrolowania ulic z zamkniętymi oczami i trafiał do Pseudopolis Yard, wciąż chrapiąc, niekiedy z graffiti na pancerzu.

Lordowi Vetinariemu Vimes przedstawił trzy ważne powody. Pierwszy był taki, że obaj dysponowali godną pozazdroszczenia wiedzą o mieście i jego mieszkańcach, oficjalną i niekoniecznie, czasem przewyższającą nawet wiedzę komendanta.

Drugim był tradycyjny argument urynalny: lepiej trzymać ich w środku, żeby sikali na zewnątrz, niż na zewnątrz, by sikali do środka. W ten sposób przynajmniej łatwo mieć na nich oko.

I po trzecie - co nie najmniej ważne, słowo daję, wcale nie najmniej - mieli szczęście. Wiele tajemniczych zbrodni znalazło rozwiązanie dzięki dowodom, które na nich spadły, które próbowały ich zabić, o które się potknęli, które znaleźli pływające w swoim obiedzie czy też - w jednym przypadku - które próbowały złożyć jaja w nosie Nobby'ego.

Tak więc dzisiaj zapewne jakiś bóg czy inna siła, która akurat uznała ich za swoje pionki, skierowała ich kroki na róg Taniochy i Szronowej, do aromatycznego Składu Bewilderforce'a Sprytela*.

Sierżant Colon i kapral Nobbs, zgodnie z policyjnym obyczajem, weszli do budynku tylnymi drzwiami, za którymi pan Sprytel powitał ich tym radosnym, choć nieco wymuszonym uśmiechem, jakim kupiec wita starego znajomego, o którym wie, że w końcu zakupi jego towary z rabatem wysokości stu procent.

- Coś takiego! To ty, Fred! Jak miło cię znowu widzieć! - zawołał, jednocześnie rozwierając swe tajemnicze trzecie oko, jakie pojawia się u wszystkich sklepikarzy, zwłaszcza takich, którzy widzą wchodzącego Nobby'ego Nobbsa.

- Patrolowaliśmy tu, w pobliżu, Bewilderforce, więc pomyślałem sobie, że zajrzę po tytoń i sprawdzę, jak sobie radzisz przy całym tym zamieszaniu z podatkami i w ogóle.

Sierżant musiał podnosić głos, by dać się słyszeć mimo łoskotu młyna mielącego tabakę i wózków przejeżdżających jeden za drugim. Rzędy kobiet przy stołach pakowały tabakę, a także - wychylił się w bok, żeby lepiej widzieć - linia produkcyjna papierosów była w pełnym ruchu.

Sierżant Colon się rozglądał. Policjanci zawsze się rozglądają, zgodnie z zasadą, że zawsze jest coś do zobaczenia. Oczywiście, niekiedy uznają za rozsądne, by zapomnieć, że cokolwiek widzieli, przynajmniej oficjalnie. Pan Sprytel miał nową szpilkę do krawata, w której błyszczał brylant. Buty także były nowe - szyte na miarę,

0 ile Fred Colon mógł to ocenić - a ledwie dostrzegalne niuchnięcie sugerowało, że używał... zaraz, zaraz... tak, Cedar Fragrance Pour Hommes z Quirmu, po 15 AM$ za butelkę.

- Jak tam interesy? - zapytał Colon. - Ten nowy podatek w ogóle ci dolega?

Twarz pana Sprytela przybrała wyraz człowieka ciężkiej pracy uciskanego przez machinacje polityków i losu.

- Ledwie wiążemy koniec z końcem, Fred. Mamy szczęście, jeśli pod koniec dnia wyjdziemy na swoje.

Aha, jeszcze złoty ząb, pomyślał Colon. O mało co bym przeoczył.

- Przykro mi to słyszeć, Bewilderforce, naprawdę przykro - powiedział głośno. - Pozwól, że zwiększę twoje przychody, wydając dwa dolary w celu zakupu moich zwykłych trzech uncji prasowanego tytoniu.

Fred Colon wyjął portfel, a pan Sprytel ze wzgardliwym prych- nięciem tylko machnął ręką. Był to rytuał stary jak kupcy i policjanci, i pozwalał, by świat kręcił się bez zgrzytów. Sprytel odciął na marmurowej ladzie kawałek bloku tytoniu, zapakował go szybko

1 fachowo, a potem, jakby po namyśle, schylił się i wyjął grube cygaro. Wręczył je sierżantowi.

- Spróbuj czegoś takiego, Fred, bardzo porządne. Nic miejscowego, robione na plantacji dla jednego z naszych cenionych klientów. Nie, nie, to prezent, będę nalegał - dodał, kiedy Colon pochrząkiwał z wdzięcznością. - Zawsze miło mi widzieć tu straż, wiesz dobrze.

Właściwie to tanio wyszło, myślał pan Sprytel, spoglądając za odchodzącymi strażnikami. Nobbs, ta kreatura, jedynie się gapił.

- Chyba sami biją pieniądze - stwierdził Nobby Nobbs, kiedy oddalali się swobodnym krokiem. - Widziałeś kartkę „Przyjmiemy pracowników" na oknie? A on wypisywał na ladzie nową listę cen. Obniżał je! Musi mieć dobry układ z tymi ludźmi z plantacji, tyle powiem.

Colon powąchał wielkie i grube cygaro, najgrubsze, jakie w życiu oglądał. Zapach był tak wspaniały, że chyba nielegalny. Sierżant poczuł lekki dreszcz, wrażenie, że trafił na coś znacznie większego, niż się wydaje, że jeśli pociągnie za nitkę, zacznie się pruć coś poważnego. Przetoczył cygaro w palcach, jak to widział u koneserów. W rzeczywistości, jeśli chodzi o produkty tytoniowe, nie był wybredny; liczyła się głównie cena, więc procedury palenia cygar były mu całkiem obce. On z wielką przyjemnością lubił pożuć ładny kawałek tytoniu. Co jeszcze widział u tych eleganckich typów? A tak, trzeba kręcić cygaro w palcach i jednocześnie przysunąć je do ucha. Nie miał pojęcia, po co to wszystko, ale tak zrobił...

I zaklął.

I upuścił cygaro na ziemię...

Ścieżka ze szczytu Szubienicznego Wzgórza prowadziła poza drzewa i w dół, pomiędzy krzewami janowca i kawałkami skał, od czasu do czasu mijając spłachetek nagiej i bezużytecznej gleby, z której erozja usunęła wszelką żyzność. Dzika natura, pustkowie, mieszkanie wychudłych królików, beznadziejnych myszy, z rzadka poszkodowanego na umyśle szczura i goblinów.

A tam, między krzakami, otwierało się wejście do jaskini. Człowiek musiałby zgiąć się wpół, żeby wejść do tej cuchnącej dziury, i byłby wtedy łatwym celem. Ale Vimes wiedział, wsuwając się w mrok, że jest bezpieczny. Podejrzewał to w świetle dnia, a tutaj, w ciemności, już wiedział. Ta wiedza była niemal tak fizyczna, jak rozpostarte nad nim skrzydła czerni; słyszał odgłosy tych jaskiń, każdy szmer w mroku.

I nagle znał je, aż do samego dołu, do miejsca, gdzie można znaleźć wodę, ogrody grzybów, żałośnie puste magazyny i kuchnię. To oczywiście były ludzkie tłumaczenia terminów. Gobliny na ogół jadły, co tylko mogły, i spały tam, gdzie zmorzył je sen; nie znały pojęcia pomieszczenia przeznaczonego dla jednego konkretnego celu. Wiedział o tym teraz, tak jakby wiedział przez całe życie, chociaż jeszcze nigdy nie przebywał w żadnym miejscu, które goblin nazywałby domem.

Ale było tu ciemno, a Vimes i ciemność mieli... porozumienie, prawda? A przynajmniej tak uważała ciemność. Natomiast Vimes myślał, niezbyt literacko: Niech to szlag, znowu się zaczyna!

Coś ukłuło go w kark i usłyszał nerwowe sapnięcie Feeneya. Odwrócił się do uśmiechniętego goblina i powiedział:

- Spróbuj tego jeszcze raz, słoneczko, a trzepnę cię po łbie, zrozumiałeś?

Tak właśnie powiedział i to właśnie słyszał, jak mówi... Tyle że coś innego, nie tak do końca inny głos, wił się wokół jego słów jak wąż okręcający się na drzewie, i obaj strażnicy rzucili broń i wyskoczyli z powrotem na światło dnia. Nie krzyczeli i nie jęczeli - woleli oszczędzać oddech na ucieczkę.

- Na wszystkie demony, komendancie! To było jak magia! - zawołał Feeney.

I schylił się, po omacku szukając na ziemi upuszczonych toporków. Vimes przyglądał się sunącym w gęstej ciemności dłoniom chłopaka, czystym przypadkiem trafiającym na broń.

- Rzuć je! Powiedziałem: rzuć! Natychmiast!
- Ale jesteśmy bezbronni!
- Nie kłóć się ze mną, chłopcze!

Rozległy się dwa głuche stuknięcia, kiedy topory upadły na ziemię.

Vimes odetchnął.

-A teraz porozmawiamy sobie z tym miłym starszym goblinem, rozumiesz, i będziemy rozmawiać bez lęku, ponieważ to my jesteśmy prawem, rozumiesz? A w ramach prowadzonego dochodzenia prawo może wkroczyć wszędzie.

W miarę jak szli dalej, mieli więcej przestrzeni nad głowami, aż wreszcie Vimes mógł się całkiem wyprostować. Feeney za to wyraźnie miał z tym kłopoty. Za plecami Vimesa rozlegał się ciąg stuknięć, trzasków i słów, których kochane stare matki nie powinny znać, a co dopiero słyszeć. Vimes musiał się zatrzymać i poczekać, aż chłopak go dogoni, potykając się o łatwe do ominięcia kamienie czy obijając głowę w miejscach, gdzie strop na moment opadał.

- No szybciej, starszy funkcjonariuszu! - zawołał Vimes. - Gliniarz musi widzieć w ciemności! Powinniście jeść więcej marchewki w tym waszym Bang Sung Ssak Psiaku czy czym tam jeszcze!

-Jest ciemno choć oko wykol, sir! Nie widzę własnej ręki przed własnym nosem... Auć!

Feeney wpadł na Vimesa - którego nagle olśniło. Niestety, Feeneya nie.

Rozejrzał się po pełnej zakamarków jaskini. Była jasna, jakby panował tu dzień. Nie widział pochodni ani świec, tylko wszechobecne, niezbyt jaskrawe światło - światło, jakie już kiedyś poznał, lata temu, w jaskini, ogromnej jaskini daleko stąd, a teraz wiedział, co oznacza: widział ciemność, prawdopodobnie lepiej niż gobliny. Ciemność stała się niewiarygodnie jasna tamtego dnia, kiedy Vimes pod ziemią walczył z istotami - chodzącymi, mówiącymi istotami - które zamieszkały z dala od światła i snuły mroczne plany. Ale on zmierzył się z nimi i zwyciężył, a dzięki temu stworzono i podpisano Traktat z Doliny Koom. Najstarsza wojna na świecie zakończyła się jeśli nie pokojem, to przynajmniej obszarem, gdzie można z nadzieją posadzić nasiona pokoju. Dobrze było o tym pamiętać, ponieważ w tej ciemności Vimes zyskał... towarzysza. Krasnoludy miały dla niego imię: Przyzywająca Ciemność. Miały też całkiem liczne wytłumaczenia, czym właściwie była: demonem, zapomnianym bóstwem, klątwą, błogosławieństwem, zemstą ucieleśnioną - tyle że nie miała żadnego ciała prócz tego, które pożyczyła; była prawem samym w sobie, zabójcą, ale czasem opiekunem, a może czymś, na co nikt nie znalazł właściwego określenia. Mogła wędrować poprzez skałę, wodę, powietrze, ciało, a także - o ile Vimes się orientował - przez czas. W końcu co może ograniczać istotę zbudowaną z niczego? Owszem, spotkali się, a przy rozstaniu dla zabawy, żartu, psoty czy po prostu w nagrodę Przyzywająca Ciemność pozostawiła na nim swój znak - przepłynęła przez niego i zaznaczyła swą obecność niewielkim lśniącym tatuażem.

Vimes podwinął rękaw i był tam, jak zawsze - tyle że wydawał się jaśniejszy. Z rzadka spotykali się w snach, gdzie z szacunkiem wymieniali skinienia głową i odchodzili swoimi drogami. Miesiące, niekiedy lata mijały między takimi spotkaniami i mógłby nawet uwierzyć, że Przyzywająca Ciemność opuściła go na dobre - gdyby nie ten znak na przedramieniu. Czasem swędział. W efekcie Vimes czuł się tak, jakby trzymał na smyczy koszmar.

Ale zaraz, to przecież nora goblinów, nie grota krasnoludów! I jego własne myśli odpowiedziały natychmiast, z delikatnym pogłosem, jakby brzmiały w duecie: Tak, ale gobliny kradną wszystko, komendancie.

Tu i teraz zdawało się raczej, że gobliny wykradły się z bezpośredniego sąsiedztwa Vimesa. Całe podłoże jaskini pokrywały śmieci, odpadki i rzeczy, które gobliny uważały za ważne, czyli zapewne wszystkie, bo trzeba wziąć pod uwagę, że z przyczyn religijnych kolekcjonowały własne smarki.

Zauważył starego goblina, który skinieniem kazał mu iść za sobą, po czym zniknął. Przed sobą widział drzwi, wyraźnie gobli- niej konstrukcji, o czym świadczyło ogólne spróchnienie oraz fakt, że wisiały na jednym zawiasie, który zresztą zerwał się, kiedy Vimes je popchnął.

- Co to było? - zapytał Feeney nerwowo. - Proszę, sir, nic nie widzę!

Vimes klepnął go w ramię, aż chłopak podskoczył.

- Panie Upshot, zaprowadzę pana do wejścia, żeby mógł pan iść do domu. Zgoda?

Poczuł, że chłopak zadygotał.

- Nie, sir. Wolę raczej zostać z panem, jeśli to nie kłopot... Proszę!

- Przecież nic nie widzisz w tej ciemności, chłopcze!

- Wiem, sir. Mam w kieszeni sznurek. Dziadek zawsze powtarzał, że dobry glina zawsze powinien nosić kawałek sznurka. - Feeneyowi głos drżał.

- Rzeczywiście, często się przydaje. - Vimes ostrożnie wyjął go z kieszeni chłopca. - Zadziwiające, jak bezradny jest podejrzany, kiedy zwiąże mu się razem kciuki. Jesteś pewien, że nie wolałbyś wyjść na świeże powietrze?

- Przepraszam, sir, ale jeśli nie ma pan nic przeciw temu, to moim zdaniem najbezpieczniejsze miejsce znajduje się zaraz za panem, sir.

- Naprawdę nic nie widzisz, synu?

-Absolutnie nic, sir. Całkiem jakbym oślepł.

Według Vimesa ten młody człowiek miał za chwilę stracić rozum, więc może lepiej przywiązać go do siebie, niż pozwolić, żeby rozbił sobie głowę, próbując uciekać.

- Nie oślepłeś, chłopcze. Tyle że wszystkie te nocne patrole, jakie wykonywałem... hm, wygląda na to, że lepiej widzę po ciemku, niż mi się wydawało.

Feeney znowu się zatrząsł, ale wspólnie udało im się przywiązać starszego funkcjonariusza Upshota do komendanta Vimesa sześcioma stopami włochatego sznurka, który pachniał chlewikiem.

Za wyłamanymi drzwiami nie było żadnych goblinów, ale płonął niewielki ogień, a na rożnie obracał się kawał na szczęście nierozpoznawalnego mięsa. Można było się domyślać, że z jakichś powodów gobliny opuściły to miejsce w pośpiechu. Gdyby były ludźmi, pewnie by zostawiły niedopitą herbatę... Zresztą istotnie, blaszany imbryk, to znaczy zardzewiała puszka, bulgotał w żarze paleniska. Vimes powąchał zawartość i ze zdziwieniem odkrył, że pachnie bergamot- ką; w jakiś sposób myśl o tym, że gobliny piją modną zapachową herbatę, pewnie jeszcze elegancko odsuwając przy tym mały palec, zdołała chwilowo stłumić jego funkcje wyczuwania niespójności. No więc... to przecież roślina, prawda? Sama rośnie. A gobliny pewnie też bywają spragnione. Nie ma się czym przejmować.

Chociaż gdyby znalazł tacę delikatnych ciasteczek, stanowczo musiałby usiąść na chwilę i odpocząć.

Szedł dalej, światło nie przygasało, gobliny się nie zjawiały. Cały kompleks jaskiń wyraźnie się obniżał, wszędzie były ślady goblinów, ale samych goblinów ani śladu, co teoretycznie powinno być dobrym znakiem, jako że na ogół pierwszym śladem obecności goblina jest on sam, lądujący człowiekowi na głowie i próbujący ją zamienić w kulę do kręgli.I nagle w tym smętnym podziemnym pejzażu szarości i brązów rozjarzył się błysk koloru: bukiet kwiatów, a raczej coś, co było bukietem, zanim zostało upuszczone. Vimes nie był ekspertem od kwiatów. Kiedy kupował je dla Sybil, w małżeńsko właściwych odstępach czasu, na ogół decydował się na bukiet róż albo akceptowalny odpowiednik, czyli jedną orchideę. Był niejasno świadom istnienia innych kwiatów: pięknie ubarwiały świat, ale nazwy jakoś się go nie trzymały.

Te tutaj nie były różami. Orchideami też nie. Zostały zerwane pod żywopłotami i na łąkach, a wśród nich znalazły się też smętne rośliny, które jakoś wytrzymują i kwitną w tych pustkowiach na górze. Ktoś je tu przyniósł. Ktoś je upuścił. Ktoś się spieszył... Vimes odczytał to z kwiatów. Wysypały się z czyjejś otwartej dłoni, tak że zaznaczyły drogę tego kogoś niczym ogon komety. A potem więcej niż jedna osoba nadepnęła na nie, choć prawdopodobnie nie dlatego, że ścigały wspomnianego wyżej nosiciela bukietu, ale - sądząc z wyglądu - dlatego, że chciały podążyć tą samą drogą, co on czy ona, może nawet szybciej niż on czy ona.

Prawdę mówiąc, nastąpił tu wybuch paniki. Przerażeni ludzie uciekali na oślep. Przed czym uciekali?

- Przed tobą, komendancie Vimes, tobą, majestatem prawa. Widzisz, jak ci pomagam, komendancie? - Rozpoznawalność tego głosu zirytowała go; za bardzo przypominał jego własny.

- Ale przecież jestem tutaj, bo chcieli, żebym przyszedł - przypomniał, zwracając się do jaskini w ogólności. - Nie zamierzałem z nikim walczyć!

A w głowie jego własny głos odpowiedział:

- Och, moi nędzni, śmietnikowi ludzie, którzy nie ufają i im nikt nie ufa! Stąpaj ostrożnie, panie policjancie. Znienawidzeni nie mają powodów, by kochać! Och, to dziwny i tajemniczy lud, i ostatni, i najgorsi, zrodzeni z odpadków, bez nadziei, pozbawieni boga. Życzę ci szczęścia, bracie... mój bracie w mroku... Zrób dla nich, ile zdołasz, panie poo-lis-jancie.

A na przedramieniu Vimesa na moment rozjarzył się symbol Przyzywającej Ciemności.

- Nie jestem twoim bratem! - krzyknął Vimes. - Nie jestem zabójcą!

Słowa odbiły się echem w jaskiniach, a Vimes miał wrażenie, że czuje, jak coś odpełza. Czy coś pozbawionego ciała może pełzać? Niech bogowie przeklną krasnoludów i ten ich podziemny folklor!

- Czy... eee, czy dobrze się pan czuje, sir? - zabrzmiał z tyłu nerwowy głos Feeneya. - Bo pan krzyczał, sir.

- Zakląłem tylko, bo walnąłem głową o sufit, chłopcze - skłamał Vimes. Musiał go szybko uspokoić, zanim chłopak tak się zdenerwuje, że ogarnięty paniką pogna do wyjścia. - Świetnie sobie radzicie, starszy funkcjonariuszu!

- Tylko że nie lubię ciemności, sir, nigdy nie lubiłem, sir... eee... Myśli pan, sir, że komuś będzie przeszkadzać, jeśli wysiusiam się pod ścianą?

- Na twoim miejscu bym się nie przejmował, chłopcze. Gorzej tu już pachnieć nie będzie.

Vimes usłyszał za sobą niewyraźne dźwięki, a potem zawstydzony, niepewny głos Feeneya:

- Ehm... sir, natura podążyła swoim torem... Przepraszam, sir.

Vimes uśmiechnął się do siebie.

- Nie martw się, synu. Nie jesteś pierwszym gliniarzem, który musi wyżymać skarpety, i na pewno nie ostatnim. Pamiętam, jak pierwszy raz miałem aresztować trolla. Wielki gość, paskudny charakter. Sam byłem wtedy trochę wilgotny przy skarpetach i nie wstydzę się do tego przyznać. Myśl o tym jak o swego rodzaju chrzcie. - Zachowaj wesołość, myślał, żartuj sobie z tego. Nie pozwól, by zaczął analizować fakt, że właśnie wkracza na miejsce przestępstwa, którego nie widzi. - Zabawna historia, ten troll jest teraz moim najlepszym sierżantem i niejeden raz zdarzyło mi się powierzyć mu własne życie. To tylko dowodzi, że nigdy nic nie wiadomo, chociaż czego właściwie nie wiadomo, tego się raczej nie dowiemy.

Skręcił za róg i tam czekały gobliny. Cieszył się, że młody Feeney ich nie widzi. Prawdę mówiąc, sam też wolałby nie widzieć. Musiało się ich zebrać koło setki i wielu trzymało broń. Prymitywną broń, oczywiście, ale kamienny toporek trafiający człowieka w głowę nie potrzebuje dyplomu z fizyki.

- Dotarliśmy gdzieś, sir? - zapytał Feeney. - Bo się pan zatrzymał.

One tylko stoją, myślał Vimes. Jakby przyszły na paradę. Patrzą w milczeniu i czekają, aż coś przerwie ciszę.

- W tej grocie jest kilka goblinów, chłopcze. Przyglądają się nam.

- Może mi pan dokładnie wyjaśnić, sir, ile to jest kilka?

Dziesiątki, wiele dziesiątków pozbawionych wyrazu twarzy spoglądało nieruchomo na Vimesa. Jeśli milczenie miało być przerwane przez komendę „Na nich!", to po nim i Feeneyu zostaną tylko mokre plamy na podłożu, i tak już bardzo poplamionym. Dlaczego tu przyszedłem? Dlaczego uznałem, że to dobry pomysł? Co tam, chłopak jest w końcu policjantem i już teraz ma problemy odzieżowe...

- Wydaje się, że jest ich około setki, synu, wszystkie uzbrojone, o ile mogę to ocenić, może z wyjątkiem paru całkiem zgarbionych z przodu, pewnie to wodzowie. Mają brody, w których można ukryć królika, i chyba tego próbowały. Wyglądają, jakby na coś czekały.

Po długiej chwili Feeney rzekł:

- Praca z panem wiele mnie nauczyła, sir.

- Posłuchaj - odparł Vimes. - Jeśli odwrócę się i pobiegnę, trzymaj się za mną. Jasne? Ucieczka to jedna z umiejętności czasami dla policjanta przydatnych.

Odwrócił się do tłumu nieruchomych goblinów.

-Jestem komendant Vimes ze Straży Miejskiej Ankh-Morpork! W czym mógłbym wam pomóc?

- Spraw jedli ości!

Okrzyk sprawił, że ze stropu posypały się odłamki. Odbijał się echem wokół jaskini, potem jeszcze raz, kiedy jedna komora po drugiej przejmowała to wołanie, zakręcała i odbijała z powrotem. Pojaśniało, bo zapalono pochodnie. Vimes potrzebował dłuższej chwili, żeby to sobie uświadomić, ponieważ światło,

które widział - to dziwaczne sztuczne światło, istniejące prawdopodobnie w jego głowie - stało się bardziej jaskrawe i zmieszane z przydymionym pomarańczowym blaskiem, wypełniającym teraz komorę.

- No więc, sir, to wygląda, jakby się cieszyli na nasz widok, prawda?

Ulgę i nadzieję Feeneya powinno się butelkować i sprzedawać zrozpaczonym na całym Dysku. Vimes kiwnął tylko głową, gdyż szeregi goblinów rozstępowały się powoli, tworząc drogę, na której końcu leżało coś, co bez wątpienia było zwłokami. Z pewną ulgą przyjął odkrycie, że to zwłoki goblina. Co prawda żadne zwłoki nie są dobrą wiadomością, zwłaszcza widziane w tym ponurym, słabym świetle, a już szczególnie nie są dobrą wiadomością dla zwłok. Mimo to coś w Vimesie radośnie wykrzyknęło „Alleluja!", ponieważ miał przed sobą zwłoki, a był gliną, czyli popełniono zbrodnię. Znalazł się w miejscu zadymionym, brudnym i pełnym podejrzanych goblinów i ktoś dokonał zbrodni. Jego świat. Tak, to był jego świat...

W laboratorium Straży Miejskiej Ankh-Morpork Igor parzył kawę przy akompaniamencie dalekich grzmotów, niezwykłych rozbłysków światła i zapachu elektryczności. W końcu szarpnął za dużą czerwoną dźwignię i spieniona brązowa ciecz z bulgotem spłynęła do dzbanka, skąd została przelana do dwóch kubków. Na jednym wypisano hasło „Igory cię poffywają", drugi ozdobiono słowami „Krasnoludy robią to trochę niżej". Ten drugi wręczył sierżant Cudo Tyłeczek, która z racji wcześniej zdobytego doświadczenia zawodowego jako alchemik niekiedy pełniła służbę w laboratorium. Tym razem jednak przytulny spokój porannej kawy został naruszony przez kaprala Nobby'ego Nobbsa ciągnącego za sobą sierżanta Colona.

- Sierżant doznał chyba jakiegoś szoku, Igorze, to sobie pomyślałem, że może dasz radę mu pomóc.

- No, mógłbym mu załatwić następny - zaproponował Igor, gdy Fred Colon osunął się na krzesło, które zatrzeszczało groźnie pod jego ciężarem.

Krzesło było wyposażone w pasy.

- Posłuchaj no - rzekł Nobby. - Nic tu nie kombinuję! Słyszałeś kiedy o tytoniu, który się liczy na rynku? No więc on dostał cygaro, które się skarży na ucho. I płacze! Włożyłem je do tej oto torebki na dowody rzeczowe, zgodnie z obowiązującą instrukcją.

Cudo odebrała mu torebkę i zajrzała do środka.

- Tam są kanapki z pastą jajeczną, Nobby! Naprawdę, nikt ci nie tłumaczył, na czym polega kryminalistyka?

Uznając, że prawdopodobnie nie może jeszcze bardziej pogorszyć sytuacji, Cudo wytrząsnęła kanapki na stół, gdzie dołączyło do nich cygaro w majonezie. Wytarła je ostrożnie i obejrzała.

- No i co, Nobby? Nie palę i nie znam się na cygarach, ale to mi wygląda na całkiem zadowolone z siebie.

- Trzeba je przyłożyć do ucha - poradził Nobby.

Cudo tak uczyniła.

- Słyszę tylko szelest suchego tytoniu, który, jak podejrzewam, nie był odpowiednio składowany.

Nagle krasnoludka odsunęła od siebie cygaro i przyjrzała mu się zaskoczona, po czym bez słowa wręczyła je Igorowi. Ten przysunął je do swojego ucha, a przynajmniej do tego, którego aktualnie używał, bo u Igorów nigdy nic nie wiadomo.

Przez chwilę spoglądali na siebie nawzajem, aż Igor przerwał milczenie.

- Istnieją chyba takie pasożyty jak wołki tytoniowe?

- Och, na pewno - potwierdziła Cudo. - Ale bardzo wątpię, czy... chichoczą?

- Chichoczą? Dla mnie to brzmiało, jakby ktoś płakał - stwierdził Igor, spojrzał z ukosa na cygaro i dodał: - Powinniśmy spłukać blat, wyczyścić skalpel, użyć pęsety numer dwa i dwóch, nie, lepiej czterech sterylizowanych masek chirurgicznych plus rękawiczki. Może się tam schował jakiś bardzo nietypowy insekt.

- Przytknąłem to cygaro do ucha. - Colon się wystraszył. -
0 jakim insekcie tu mowa?

- Nie jestem pewien - odparł Igor. - Ale tak ogólnie, te miejsca na świecie, gdzie uprawia się tytoń, znane są z gatunków wyjątkowo niebezpiecznych. Na przykład żółty ryjkowiec trawiasty z Howon- dalandu przedostaje się do czaszki przez ucho, składa jaja w mózgu
1 wywołuje u nieszczęsnej ofiary nieprzerwane halucynacje, do chwili kiedy wyjdzie przez nozdrza. Skutkiem nieodmiennie jest śmierć. Mój kuzyn Igor ma cały zbiornik takich ryjkowców. Doskonale się nadają do idealnego oczyszczania czaszek. - Urwał na chwilę. - Tak słyszałem, bo osobiście nie mogę tego potwierdzić. - Urwał znowu i dodał: - Oczywiście.

Nobby Nobbs skierował się do drzwi, ale sierżant Colon, co niezwykłe, nie podążył za przyjacielem.

- Może jednak zostanę i zatkam uszy palcami - powiedział. - Jeśli to wam nie przeszkadza.

Wyciągnął szyję, patrząc, jak Igor ostrożnie rozcina cygaro, mówiąc przy tym swobodnym tonem:

- Podobno cygara wytwarzane w obcych krajach są rolowane na udach młodych kobiet. Osobiście uważam to za obrzydliwe.

Coś brzdęknęło i zaiskrzyło*, a potem upadło na blat. Cudo pochyliła się ostrożnie. To coś wyglądało jak malutka i kosztow-

---

Zaiskrzenie to tak naprawdę wizualny brzdęk na fiolka dla najdelikatniejszych eksperymentów alchemicznych. A przy tym, jak pomyśl

ała później, zdawało się, że wewnątrz dostrzega jakiś ruch - ruch, chociaż trwający w bezruchu.

- Och - mruknął Igor, zaglądając jej przez ramię.

Przyglądali się fiolce w milczeniu - milczeniu, które po chwili
przerwał sierżant Colon.

- Błyszczy - stwierdził. - Jest to coś warte?

Cudo Tyłeczek uniosła brew, zerkając na Igora, który wzruszył ramionami.

- Bezcenne, moim zdaniem - oświadczył. - O ile znajdzie pan nabywcę mającego dość pieniędzy i, jak to określić, odpowiedni gust w kwestii zdobnictwa.

- To urna ungguańska - wyjaśniła delikatnie Cudo. - Ceremonialne naczynie goblinów, sierżancie.

Jutrzenka zrozumienia przepłynęła przez gazowego olbrzyma twarzy Colona.

- To są te słoiki, co one w nich zbierają swoje siki i kupy? - zapytał, cofając się o krok.

Igor odchrząknął, zerknął na Cudo i odpowiedział lodowatym tonem:

- Nie ten rodzaj, jeśli się nie mylę, a przynajmniej nie tutaj, na równinach. Ci, którzy uważają się za dobrze ukrytych, w wysokich górach, wytwarzają dzbany, a także ungguańskie szczotki, no i oczywiście maski.

Spojrzał na sierżanta wyczekująco, choć bez wielkiej nadziei. Cudo, która dłużej znała Colona, wyjaśniła:

- O ile wiem, sierżancie, gobliny z równin uważają te górskie za dziwaczne. A co do tej urny... - Zawahała się. - Właściwie to się obawiam, że jest szczególnie wyjątkowa.

- No więc wygląda na to, że te małe paskudy tym razem zrobiły coś porządnego - uznał z satysfakcją Fred i ku przerażeniu Cudo porwał maleńką urnę. - Jest moja, właśnie dlatego. O wiele za dobra dla śmierdzącego goblina, ale jakim cudem wydaje dźwięki?

Sierżant Tyłeczek dostrzegła minę Igora i aby uniknąć kłopotów w Dziale Medycyny Sądowej, chwyciła Freda za ramię, wyciągnęła na korytarz i zatrzasnęła za nim drzwi.

- Przepraszam za to, sierżancie, ale zauważyłam, że Igor zaczyna się trochę unosić.

Sierżant Colon otrzepał się z godnością, na jaką było go stać.

- Jeśli to cenna rzecz, to ją chcę, będę wdzięczny - rzekł. - W końcu podarowano mi ją w dobrej wierze. Zgadza się?

- No tak, sierżancie, rzeczywiście, ale widzi pan, ta urna należy do goblina.

Colon wybuchnął śmiechem.

- Gobliny? A co one mogą posiadać poza stosami śmieci?

Cudo się zawahała. Choć Fred Colon był leniwy i zadufany,
jego akta sugerowały, że wbrew wszelkim pozorom jest funkcjonariuszem użytecznym i skutecznym. Musiała być taktowna.

- Sierżancie, chciałabym podkreślić, że bardzo jestem wdzięczna za pomoc, jakiej mi pan udzielał, odkąd zaczęłam pracować w Pseudopolis Yard. Zawsze będę pamiętała, że to pan wskazał mi te wszystkie miejsca, gdzie strażnik może się schować przed wiatrem i najgorszą ulewą, i z pewnością zanotowałam w głowie listę pubów, które łaskawie potraktują spragnionego glinę po godzinach. I dobrze sobie przypominam, jak mi pan mówił, że glina nigdy nie powinien przyjmować łapówki i dlaczego posiłek nie jest łapówką. Cenię pańską akceptację, sierżancie, ponieważ wiem, że z racji wychowania nie jest pan zachwycony, widząc w straży kobiety, zwłaszcza jeśli jedna z tych kobiet jest krasnoludziej proweniencji. Zdaję sobie sprawę, że w czasie swej długiej kariery musiał pan zmieniać sposób myślenia, by dostosować się do nowych okoliczności. Dlatego też jestem dumna, mogąc być pańską koleżanką, sierżancie Colon, i mam nadzieję, że mi pan wybaczy, gdy powiem, że są takie chwile, kiedy powinien się pan zamknąć i wpuścić do tego swojego tłustego łba jakieś nowe idee, zamiast bez przerwy odgrzewać stare. Znalazł pan błyskotkę, sierżancie, i teraz jest naprawdę pańska, bardziej pańska, niż może pan sobie wyobrazić. Chciałabym powiedzieć więcej, ale wiem o goblinach tyle, ile przeciętny krasnolud, a bardzo niewiele na temat tego rodzaju urn ungguańskich. Jednak widziałam kwiatowe motywy zdobnicze i niewielkie rozmiary, więc myślę, że mamy tu do czynienia z czymś, co nazywają duszą łez. Mam wrażenie, że pańskie życie stało się teraz bardzo interesujące, ponieważ... Mogłabym prosić, żeby pan ją na chwilę odłożył? Obiecuję, że jej panu nie zabiorę.

Colon świńskimi oczkami patrzył na Cudo podejrzliwie.

- No dobrze - powiedział jednak. - Jeśli ci to sprawi przyjemność.

Odsunął się, by położyć urnę na najbliższym parapecie. Zobaczyła, jak potrząsa dłonią.

- Chyba się przy kleiła...

Czyli to prawda, pomyślała Cudo.

- Przykro mi to słyszeć, sierżancie. Bo widzi pan, w tej urnie znajduje się żyjąca dusza gobliniego dziecka, i teraz należy ona do pana. Gratuluję!

Naprawdę starała się powstrzymać ton narastającego sarkazmu.

* * *

Tej nocy sierżant Colon śnił, że znalazł się w jaskini razem z potworami, które klekotały na niego w swojej paskudnej mowie. Uznał, że powodem jest piwo. Ale to zabawne, że nie mógł wypuścić tej małej połysku jącej urny. Palce jakoś nie dawały sobie rady, choć próbował.

* * *

Matka Sama Vimesa potrafiła - tylko niebiosa wiedzą, w jaki sposób - odłożyć pensa dziennie, niezbędnego na opłatę w szkole prowadzonej przez panią Slightly.

Pani Slightly miała wszystko, co powinna mieć prawdziwa nauczycielka. Była tęga, wyglądała jak zrobiona ze słodkiej pianki, posiadła delikatne zrozumienie faktu, że pęcherze małych chłopców są niemal tak zdradliwe jak pęcherze starców, i ogólnie uczyła podstaw alfabetu z minimum okrucieństwa i maksimum pianki.

Hodowała gęsi, jak wypada każdej szanującej się damie. W późniejszym okresie życia starszy Vimes zastanawiał się, czy pod niezliczonymi warstwami halek nosiła białe reformy w czerwone grochy. Na

pewno natomiast miała czepek i śmiech jak spływająca do ścieku deszczówka. Podczas lekcji nieodmiennie obierała ziemniaki albo skubała gęsi.

Kiedyś się zdarzyło, że miała w kieszeni miętówkę dla chłopca, który znał alfabet i potrafił go wyrecytować od tyłu. Vimes wciąż zachował ją w swym sercu, bo należy być wdzięcznym komuś, kto nauczył człowieka, jak się nie bać.W swoim malutkim saloniku miała książkę i kiedy pierwszy raz dała ją młodemu Samowi Yimesowi do czytania, dotarł aż do strony siódmej, gdzie zamarł. Na stronie narysowany był goblin - wesoły goblin, według tekstu. Czy się śmiał, czy marszczył brwi, czy był głodny, czy zamierzał odgryźć głowę? Młody Sam Vimes nie czekał, żeby się przekonać, i pozostałą część poranka spędził pod krzesłem. Obecnie usprawiedliwiał się wspomnieniem, że większość dzieci reagowała tak samo. Dorośli często nie rozumieją, na czym polega niewinność dzieciństwa. W każdym razie po lekcjach pani Slightly usadziła go na zawsze trochę wilgotnym kolanie i skłoniła, żeby naprawdę dobrze się przyjrzał goblinowi. Był zbudowany z mnóstwa kropek! Malutkich kropek, jeśli popatrzeć z bliska. I im bliżej się przyglądał, tym bardziej goblina nie było. Jeśli się wytrzymało to spojrzenie, tracił całą moc przerażania.

- Słyszałam, że to nędzne, marnie wykonane stworzenia - wyjaśniła nauczycielka ze smutkiem. - Niedokończona rasa, jak mówią. To prawdziwe błogosławieństwo, że ten akurat ma powody do wesołości.

Później, ponieważ był grzecznym chłopcem, zrobiła go dyżurnym klasowym - pierwszy raz ktoś powierzył mu cokolwiek. Dobra stara pani Slightly, myślał Vimes, stojąc w mrocznej jaskini, otoczony rzędami milczących, poważnych goblinów. Zaniosę jej na grób torbę miętówek, jeśli tylko wyjdę stąd żywy.

Odchrząknął.

- No więc, mój chłopcze, wydaje się, że mamy tu goblina, który brał udział w walce. - Spojrzał na zwłoki, a potem na Feeneya. - Może sam zechcesz mi opowiedzieć, co widzisz?

Feeneya tylko krok dzielił od drżenia.

- No więc, sir, domyślam się, że jest martwy, sir.
- A z czego to dedukujesz, jeśli można spytać?
- Eee... Głowa nie jest umocowana do ciała, sir.
- Tak, zwykle traktujemy to jako wskazówkę, że ciało istotnie jest martwe. A przy okazji, chłopcze, możesz odczepić ten sznurek. Nie nazwałbym tego najlepszym oświetleniem, jakie w życiu widziałem, ale powinno wystarczyć. Zauważyliście coś jeszcze, starszy funkcjonariuszu?

Vimes starał się zachować spokojny ton głosu.

- No tak, sir, jest mocno pocięty.

Vimes uśmiechnął się zachęcająco.

- Zauważyłeś w tym coś znaczącego, chłopcze?

Feeney nie radził sobie najlepiej, ale rekrutom często się to zdarza: tak bardzo się przyglądają, że zapominają widzieć.

- Nieźle ci idzie, chłopcze. Spróbujesz ekstrapolować?
- Sir? Ekstrapolować?
- Dlaczego ktoś ma tyle ciętych ran na rękach? Zastanów się.

Feeney poruszał ustami, myśląc. Po chwili rozpromienił się uśmiechem.

- On się bronił. Zasłaniał się rękami, sir.
- Bardzo dobrze. A ludzie, którzy zasłaniają się rękami, postępują tak, ponieważ nie mają tarczy ani broni. Mógłbym też się założyć, że głowę odcięto, kiedy leżał na ziemi. Trudno dokładnie wskazać powód, ale wygląda mi to na świadome działanie, a nie jakieś przypadkowe cięcie. Wszędzie są rany, ale widać też, że brzuch został rozcięty, chociaż wypłynęło mało krwi. - Teraz on także dał się zaskoczyć. - A z powodu tej rany brzucha dowiedziałem się o nim czegoś jeszcze, czego wolałbym nie wiedzieć.
- Co to takiego, sir?
- Ze jest nią, że wpadła w zasadzkę, może była uwięziona.

No i brakuje palca, pomyślał.

Po jakimś czasie zwłoki stają się zagadką, pomyślał Vimes, przyklękając. Niestety, nigdy dostatecznie szybko i nigdy na długo.

- Spójrz na ślady na jej nodze, chłopcze - powiedział głośno. - Zgaduję, że wdepnęła w sidła na króliki, prawdopodobnie dlatego, że uciekała... przed kimś.

Wyprostował się tak szybko, że obserwujące go gobliny cofnęły się nerwowo.

- Wielkie nieba, chłopcze, nie powinniśmy robić takich rzeczy, nawet na wsi! Czy nie ma czegoś w rodzaju kodeksu? Zabija się kozły, ale nie łanie. Mam rację? I to nie było dokonane w afekcie! Ktoś chciał wylać z tej damy jak najwięcej krwi! Powiedz mi dlaczego. - Vimes nie był pewien, co Feeney by opowiedział, gdyby nie otaczały ich gobliny. - To jest morderstwo, mój chłopcze, przestępstwo zagrożone karą główną! I wiesz, czemu zostało popełnione? Postawię, co zechcesz, że to dlatego, by funkcjonariusz Upshot, działając na podstawie otrzymanych informacji, znalazł dużo krwi w Zagajniku Trupa, gdzie komendant Vimes miał się jakoby spotkać z pewnym bardzo irytującym kowalem, a że obaj są ludźmi wybuchowymi, całkiem możliwe, że dokonano przestępstwa. Tak?

- To była całkiem uprawniona dedukcja, sir, musi pan przyznać.

- Oczywiście, przyznaję. A teraz masz tu nielegalną dedukcję, ale też musisz to przyznać!

- Tak jest, sir, przyznaję, sir, i przepraszam. Jednakże chciałbym obejrzeć tę nieruchomość w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów pana Jeffersona. - Feeney wydawał się trochę zawstydzony, a trochę wyzywający.

- A czemu chcecie to zrobić, starszy funkcjonariuszu?

Feeney wysunął podbródek.

- Ponieważ już raz okazałem się nieszczęsnym durniem, sir, i nie mam zamiaru zostać nim po raz drugi. Poza tym, sir, może się pan mylić. Ta biedna kobieta mogła wdać się w bójkę z kowalem. Nie wiem tego, ale wiem, że jeśli w tych okolicznościach nie dokonam przeszukania, ktoś ważny na pewno mnie spyta dlaczego. I tą osobą będzie pan, prawda, komendancie?

- Dobra odpowiedź, młody człowieku. A muszę przyznać, że sam wyszedłem na durnia więcej razy, niż potrafię zliczyć, dlatego dobrze cię rozumiem.

Vimes znowu spojrzał na ciało i nagle sprawą bardzo ważną stało się sprawdzenie, co Willikins zrobił z tym palcem z pierścieniem, który znaleźli zeszłej nocy. Trochę zakłopotany zwrócił się do goblinów.

- Sądzę, że znalazłem element biżuterii należący do tej młodej damy. Oczywiście wam go dostarczę.

Nie doczekał się żadnej reakcji ze strony niewzruszonej hordy... Zastanowił się nad tą myślą. Hordy nadciągają, by zabijać i rabować. Ci tutaj wyglądali jak grupa zmartwionych ludzi.

- Chciałbym dokładniej obejrzeć to miejsce, sir - powiedział do posiwiałego starego goblina. Mógł to być ten sam, którego tysiąc lat temu widział na powierzchni. - Przykro mi z powodu śmierci tej damy. Doprowadzę zabójców przed oblicze sprawiedliwości.

- Spraw jedli ości! - odbiło się echem od ścian jaskini.

Stary goblin wystąpił o krok i dotknął rękawa Vimesa.

- Ciemność jest pana przyjaciel, panie poo-lis-jant. Ja pana słyszę, pan mnie słyszy. W ciemności może pan iść, gdzie chce. Panie poo-lis-jant, proszę nas nie zabijaj.

Vimes spojrzał na gobliny, w większości chude jak patyki. I ten, no, pewnie ich wódz, który wyglądał, jakby rozsypywał się na stojąco, prosi mnie, żebym ich nie krzywdził? Przypomniał sobie rozrzucone kwiaty, zapomnianą bergamotową herbatę, niedojedzo- ny posiłek...

Próbowali się przede mną ukryć?

Pokiwał głową.

- Nie atakuję nikogo, kto mnie nie atakuje, sir, i nie zacznę od dzisiaj. Może mi pan wyjaśnić, w jaki sposób ta dama... została zabita?

- Nocą wrzucili ją do naszej groty, panie poo-lis-jant. Wyszła sprawdzić sidła na króliki. Wrzucili ją jak stare kości, panie poo-lis- -jant, jak stare kości. Nie miała w sobie krwi. Jak kości...

-Jak się nazywała?

Stary goblin spojrzał na Vimesa, jakby był zaszokowany. Odpowiedział dopiero po chwili.

- Jej imię to Przyjemny Kontrast Żółtych i Pomarańczowych Płatków Kwiatu Janowca. Dziękuję, panie poo-lis-jant z ciemności.

- Obawiam się, że dopiero zacząłem dochodzenie w sprawie tej zbrodni - odparł Vimes, czując nietypowe zakłopotanie.

- Chodziło mi, panie poo-lis-jant, dziękuję za pana wiarę, że gobliny mają imiona. Moje to Odgłos Deszczu na Twardej Ziemi. Ona była moją drugą żoną.

Vimes wpatrywał się w tę szorstką twarz, jaką tylko matka mogłaby tolerować, a może i kochać. Szukał na niej śladów gniewu czy cierpienia, ale widział tylko smutek i bezradną rezygnację wobec faktu, że świat jest, jaki jest, zawsze taki będzie i nic w tej sprawie nie da się zrobić. Goblin był jak westchnienie na nogach. Przygnębiony, spojrzał na Vimesa.

- Kiedyś posyłali do jaskiń głodne psy, panie poo-lis-jant. To były piękne dni; jedliśmy obficie.

- To moja ziemia - oświadczył Vimes. - I mogę chyba zadbać o to, żeby nikt was tu nie prześladował.

Coś jakby suchy śmiech przecisnęło się przez splątaną brodę goblina.- Wiemy, co to jest prawo, panie poo-lis-jant. Prawo do ziemi. Mówisz „To moja ziemia", ale nie zrobiłeś ziemi. Nie zrobiłeś owiec, nie zrobiłeś królików, którymi się żywimy, nie zrobiłeś krów ani koni. A jednak mówisz „Tu wszystko jest moje". To nie może być prawda. Ja robię swój topór, swoje urny, i one są moje. Co mam na sobie, jest moje. Trochę miłości było kiedyś moje. Teraz zniknęło. Myślę, że jesteś dobry człowiek, panie Poo-lis-jant, ale widzimy, jak mija czas. Może sto albo dwieście lat temu było na świecie coś, co ludzie nazywają pustkowiem, ziemią niczyją, odludziem. Mieszkaliśmy w takich miejscach, z dala od ludzi. Była rasa trolli, rasa krasnoludów i rasa ludzi, i żal mi rasy goblinów, bo przegrała w tym wyścigu.

Ktoś pociągnął Vimesa za koszulę. To był Feeney.

- Lepiej niech pan już idzie, sir.

Vimes odwrócił się zdziwiony.

- Dlaczego?

- Przykro mi, sir, ale lady Sybil poleciła panu wrócić na herbatę.

- Prowadzimy tu dochodzenie w sprawie morderstwa, starszy funkcjonariuszu! Nie chcę być niegrzeczny, ale jestem pewien, że pan Deszcz na Twardej Ziemi zrozumie. Musimy sami się przekonać, że nie ma tutaj zaginionego kowala.

Feeney nerwowo przestępował z nogi na nogę.

- Trudno nie zauważyć, sir, że lady Sybil była bardzo stanowcza w tej kwestii, sir.

Vimes skinął głową staremu goblinowi.

- Odkryjemy, kto zabił pańską żonę, sir, i zostaną sprawiedliwie ukarani... - Przerwał na chwilę, gdyż chóralne „Spraw jedli ości" raz jeszcze odbiło się echem w jaskiniach. - Ale najpierw musimy, ze względu na prowadzone śledztwo, przeszukać pozostałą część... tego lokalu, jeśli nie ma pan nic przeciw temu.

Goblin przyjrzał mu się błyszczącymi oczami.

- A jeśli będę miał, panie poo-lis-jant?

Vimes odpowiedział spokojnym spojrzeniem.

- To ciekawe pytanie. Jeśli zagrozi nam pan użyciem przemocy, odejdę. Co więcej, jeśli zakaże nam pan przeszukania, odejdę również, ale, sir, najgorsze będzie to, że już nie wrócę. Sir, z całym szacunkiem proszę, bym dla dobra śledztwa został oprowadzony po mieszkaniu.

Czy na twarzy starego goblina pojawił się uśmiech?

- Oczywiście, panie poo-lis-jant.

Reszta goblinów za plecami starca zaczęła się rozchodzić, zapewne aby robić urny albo je napełniać. Deszcz na Twardej Ziemi, który - należy tak założyć, ponieważ nie powiedziano nic, co by temu przeczyło - był albo wodzem (tak jak Vimes to rozumiał), albo po prostu goblinem, któremu powierzono rozmowy z głupimi ludźmi, odezwał się znowu.

- Szukasz kowala? Odwiedza nas czasem. Tu, w dole, jest żelazo, niewiele, ale jemu się przydaje. Nie nadaje się na urny, wymieniamy je na żywność. Wydaje mi się, że nie widziałem go już od kilku dni. Ale naturalnie, proszę go szukać bez żadnych przeszkód. Masz w sobie ciemność. Nie ośmieliłbym się stanąć ci na drodze, panie poo-lis-jant. Te jaskinie należą do ciebie.

Po czym stary goblin skinął na kilka młodych, by podniosły to, co zostało z jego żony, i zniknął w otworze kolejnej jaskini.

- Dużo zwłok pan oglądał, komendancie? - spytał Feeney głosem, który prawie nie drżał.

- O tak, chłopcze. I kilku z nich pomogłem zostać zwłokami.

- Zabijał pan ludzi?

Vimes spojrzał na strop, żeby nie widzieć twarzy Feeneya.

- Chcę wierzyć, że starałem się, by do tego nie doszło. I tak ogólnie całkiem dobrze mi to wychodziło, tylko że prędzej czy później trafia się ktoś, kto postanowił cię wykończyć, więc musisz go załatwić już na dobre, bo jest za głupi, żeby się poddać. To nie staje się łatwiejsze z czasem i nigdy jeszcze nie widziałem zwłok, które by dobrze wyglądały.

Grupa pogrzebowa zniknęła za jakąś ścianą i dwaj policjanci zostali sami; wyczuwali jednak, że dookoła różne osoby zajmują się swoimi sprawami, życie toczy się dalej.

Ten stary goblin wspomniał, że kobieta była jego żoną, jakby to był fakt bez znaczenia. Nawet nie podniósł głosu. Vimes nie mógłby zachowywać takiego spokoju, gdyby ciało Sybil leżało na ziemi, a już na pewno nie byłby uprzejmy wobec jakichkolwiek goblinów w pobliżu. W jaki sposób życie może tak człowieka złamać?

Ulica zawsze pozostaje w człowieku, mówił Willikins. I teraz Vimes przypomniał sobie kobiety, które szorowały. Ulica Kogu- dziobna była szorowana tak często, że aż dziwne, że nie znajdowała się teraz na poziomie niższym niż otaczający ją teren. Próg był szorowany i bielony; czerwone kafelki na podłodze były szorowane i polerowane czerwonym ołowiem; czarne piece kuchenne stawały się jeszcze czarniejsze od pracowitego nacierania czarnym ołowiem. Kobiety w tamtych czasach miały łokcie pracujące jak tłoki. I cały czas chodziło o przetrwanie, a w przetrwaniu chodziło o dumę.

Człowiek nie miał wielkiej kontroli nad własnym życiem, ale na bogów, mógł przynajmniej zadbać o czystość, pokazać światu, że jest godny szacunku, choć ubogi. To budziło lęk: strach przed upadkiem, przed utratą poziomu, przed zostaniem kimś nie lepszym od tych ludzi, którzy mnożyli się, bili i okradali w tej dzikiej i chaotycznej melinie znanej jako Mroki.

Gobliny ustąpiły, prawda? Teraz tylko podtrzymywały rutynę, gdy świat wypychał je łagodnie; rezygnowały, poddawały się... ale morderstwo to morderstwo, w każdym systemie prawnym - albo to nie jest prawo.

Vimes związał te myśli w supeł, chwycił dwie dymiące pochodnie i powiedział:

- Chodźmy, starszy funkcjonariuszu! Idziemy zwalczać przestępczość!
- Tak jest, sir - zgodził się Feeney. - Ale mogę zadać jeszcze jedno pytanie?
- Oczywiście... - Vimes skierował się do tunelu, który wyraźnie prowadził w dół.
- Co się tu właściwie dzieje, jeśli mógłby mi pan wyjaśnić, sir? Znaczy, rozumiem, że popełniono morderstwo i może jakiś drań chciał, żebym pana podejrzewał, sir, ale jak to możliwe, że pan rozumie ten ich pogański język? Znaczy, słyszę, jak pan do nich mówi, sir, a one muszą rozumieć, bo odpowiadają, sir, ale gadają, jakby kto orzechy łupał pod butem, sir, a ja nie mogę zrozumieć nawet jednego pieprzonego słowa, proszę wybaczyć mój klatchiański, ani słóweczka. I chciałbym poznać odpowiedź, sir, bo i tak czuję się jak nieszczęsny dureń i nie chciałbym czuć się jeszcze większym.

W zaciszu własnej głowy Vimes wypróbował oświadczenie: „No więc, skoro już pytacie, starszy funkcjonariuszu, to pewien śmiertelnie groźny demon dzieli ze mną umysł i czasem mi pomaga z jakichś sobie znanych powodów. Dzięki niemu widzę w tych ciemnościach, pozwala mi też jakoś się porozumiewać z goblinami. Nazywają go Przyzywającą Ciemnością. Nie wiem, czemu interesuje się goblinami, ale krasnoludy wierzą, że sprowadza zgubę na złoczyńców. A skoro popełniono morderstwo, to skorzystam z każdej pomocy, jaką znajdę". Nie powiedział tego głośno, uznając, że większość ludzi oddaliłaby się bardzo pospiesznie, nim jeszcze doszedłby do końca. Ograniczył się więc do krótkiego:

- Mam wsparcie sit wyższych, starszy funkcjonariuszu. A teraz rozejrzyjmy się tutaj.

Feeney nie byt usatysfakcjonowany odpowiedzią, ale chyba zrozumiał, że na więcej nie ma co liczyć.

To była niesamowita wyprawa. Całe wzgórze okazało się podziurawione grotami połączonymi przez naturalne, a czasem sztuczne z wyglądu tunele. Przypominało to małe miasto. Miało wysypiska śmieci, prymitywne klatki, obecnie puste i bez śladów tego, co w nich przebywało, a tu i tam całkiem spore pola grzybów, w kilku przypadkach zbieranych bardzo, bardzo powoli przez gobliny, które ledwie zerknęły na policjantów. W jednym miejscu minęli otwór, który chyba prowadził do żłobka, sądząc po odgłosach - jeśli tak, to małe gobliny ćwierkały jak ptaszki. Vimes nie mógł się zmusić, żeby zajrzeć głębiej.

Schodząc coraz niżej, natrafili na wyciekający ze ściany bardzo wąski strumyczek. Gobliny wyryły prymitywny i płytki kanał, więc w dalszej drodze Vimesowi i Feeneyowi towarzyszył plusk płynącej wody. Wszędzie dookoła były gobliny, a gobliny robiły urny. Vimes był na to przygotowany, ale okazało się, że źle przygotowany. Spodziewał się czegoś w rodzaju krasnoludzich warsztatów, jakie widział w Uberwaldzie - hałaśliwych, ruchliwych, wypełnionych celową krzątaniną. Ale styl goblinów był inny. Zdawało się, że kiedy goblin chciał zacząć pracę nad urną, potrzebował tylko miejsca, żeby przykucnąć, przeszukiwał wszystko, co znalazł w kieszeniach, i brał się do dzieła tak powoli, że trudno było zauważyć, czy cokolwiek się dzieje. Kilka razy Vimes miał wrażenie, że słyszy trzask kamienia o kamień, odgłos drapania czy coś, co mogło być piłowaniem, lecz ile razy zbliżał się do siedzącego w kucki goblina, ten grzecznie się odwracał i pochylał nad swoim dziełem jak dziecko próbujące zachować coś w sekrecie.

Ile smarków, myślał, ile obciętych paznokci, ile woskowiny mógł zebrać goblin w ciągu roku? Czy taka roczna urna smarków byłaby czymś w rodzaju delikatnej tabakierki damy z wyższych sfer, czy raczej wielkim, przelewającym się wiadrem?

A dlaczego... no właśnie, dlaczego nie zęby? Nawet ludzie zachowywali ostrożność, jeśli chodziło o wypadające zęby. A przecież istnieli tacy - zwłaszcza magowie - którzy pilnowali, by nawet ścinki paznokci u nóg nie nadawały się już do użytku. Uśmiechnął się pod nosem. Może gobliny nie są aż takie głupie, tylko głupsze od ludzi, co - jeśli się chwilę zastanowić - wymaga sporego wysiłku.

I nagle, kiedy dyskretnie wymijali siedzącego ze skrzyżowanymi nogami goblina, ten wyprostował się i podniósł... światło. Vimes widywał wiele klejnotów - całe generacje pierścieni, broszek, naszyjników i diademów, które spływały przez stulecia i spadały na kolana lady Sybil, chociaż ostatnio większość trzymali w skarbcu. Zawsze go to bawiło.

Ale mógłby przysiąc, że żaden z klejnotów Sybil nie wypełniał przestrzeni blaskiem tak jak ta mała urna, kiedy twórca podniósł ją w górę i oglądał ją krytycznie. Goblin patrzył na swe dzieło ze wszystkich stron, jak ktoś, kto zamierza kupić konia od kogoś nazywanego Rzetelny Robert. Białe i żółte promienie migotały w ruchu, wypełniając smętną komorę czymś, co Vimes mógł określić tylko jako echa światła. Feeney gapił się jak dziecko na swoim pierwszym w życiu przyjęciu. Goblin jednak wyraźnie nie był zadowolony ze swego dzieła i cisnął je przez ramię za siebie, aż roztrzaskało się o skałę.

- Czemu to zrobiłeś?! - wykrzyknął Vimes tak głośno, że goblin zgarbił się i wyglądał, jakby czekał na cios.

- Zła urna! Zła praca! - zdołał wykrztusić. - Wstyd przynosi! Zrobię lepiej drugi raz! Zacznę już!

Rzucił Vimesowi przerażone spojrzenie i odszedł pospiesznie w głąb jaskini.

- Rozbił to! Wziął i rozbił! - powtarzał Feeney. - Tylko raz popatrzył i rozbił! A to było cudowne! To przecież zbrodnia! Nie można niszczyć czegoś tak pięknego!

Vimes położył mu dłoń na ramieniu.

- Myślę, że można, jeśli właśnie się to samemu zrobiło i uznało, że powinno być lepsze. W końcu nawet najwięksi mistrzowie czasem się mylą, prawda?

- Myśli pan, że to była pomyłka? - Feeney podbiegł do miejsca, gdzie upadły na ziemię odłamki byłej urny, i zgarnął w dłoń migotliwe szczątki. - Sir, on przecież to wyrzucił, sir?

Vimes otworzył usta, by odpowiedzieć, ale z dłoni Feeneya dobiegł delikatny szum: pył przesypywał mu się między palcami niczym piaski czasu. Feeney nerwowo wyszczerzył zęby.

- Może faktycznie trochę spartolił, sir...

Vimes przykucnął i wsunął palec w szary stosik i znalazł jedynie pył, zwykły kamienny pył, nie bardziej barwny czy świecący niż zwykły kamyk znaleziony przy drodze. Nie pozostał nawet ślad po tej skrzącej się, opalizującej tęczy, którą widział przed chwilą. Za to po drugiej stronie groty inny goblin starał się jak najmniej rzucać w oczy, pracując nad czymś, co prawdopodobnie miało być urną. Zbliżyli się do niego ostrożnie, ponieważ trzymał tę niedokończoną urnę, jakby zamierzał się nią bronić.

Swobodnie, by pokazać, że nie ma złych zamiarów, Vimes założył ręce na plecy i odezwał się tonem, którego nauczył się od żony:

- Słowo daję, to mi wygląda na bardzo dobrą urnę. Czy zechce mi pan wytłumaczyć, jak pan robi taką urnę? Opowie pan?

Goblin spojrzał na przedmiot trzymany w dłoniach - albo przedmiot trzymany w szponach, jeśli ktoś chciałby być niemiły, za to może odrobinę dokładniejszy.

- Robię urnę - powiedział, unosząc niedokończone dzieło.

Vimes nie znał się na kamieniach, jeśli nie były elementem bruku albo muru, ten jednak wydawał się lekko żółtawy i błyszczący.

- Tak, to widzę - przyznał. - Ale jak dokładnie robi pan urnę?

Raz jeszcze goblin poszukał oświecenia we wszechświecie, patrząc w górę, w dół i wszędzie, gdzie nie było Vimesa. Wreszcie spłynęło na niego natchnienie.

- Robię urnę.

Vimes z powagą pokiwał głową.

- Dziękuję, że zechciał się pan podzielić sekretem pańskich sukcesów - rzekł i obejrzał się na Feeneya. - Idziemy dalej.

Okazało się, że grota goblinów - albo leże, albo nora, zależnie od tego, jakie wrażenie chciałby wywołać mówiący - nie była taką piekielną dziurą, jakiej można by się spodziewać. Była po prostu, no... dziurą, duszną od dymu niezliczonych małych ognisk, jakie gobliny uważały chyba za niezbędne, oraz z małymi stosikami gnijących gałązek i zwykłych odpadków.

Starsze i młodsze gobliny obserwowały ich uważnie, jakby czekały na jakieś przedstawienie. Wśród nich były także goblinie dzieci. Vimes musiał przyznać, że - jako jedyne pośród znających mowę gatunków - są zwyczajnie brzydkie; wyglądały jak mniejsze wersje rodziców, którzy też nie przypominali obrazów olejnych, ani nawet akwareli. Tłumaczył sobie, że to przecież nie ich wina. Jakiś niekompetentny bóg znalazł dużo resztek i uznał, że świat potrzebuje istoty przypominającej skrzyżowanie wilka i małpy. Dał tym istotom chyba najbardziej bezsensowny zestaw dogmatów religijnych, nawet jak na zwykłe standardy niebiańskiego idiotyzmu. Oni tu wyglądali na złych facetów, a bez interwencji Przyzywającej Ciemności tak też brzmieli. Gdyby orzech krzyczał, kiedy jest rozłupywany, ludzie mówiliby: „Czy nie przypomina ci to goblina?". I jakby wciąż niezadowolony, ów dowcipny bóg dał im najgorszy z darów, samoświadomość, przez co pozostali tak absolutnie przekonani, że są chodzącym śmieciem, aż

- metaforycznie - nie znajdowali w sobie energii, by zamieść schody.

- Niech to licho! Depczę po czymś... w czymś - oznajmił Feeney.

- Widzi pan tutaj o wiele lepiej ode mnie, sir.

- Zdrowy tryb życia, marchewki i co tam jeszcze.

-Jefferson może gdzieś tu być. Na pewno ominęliśmy niektóre komory.

- Wiem, że go tu nie ma, chłopcze, tylko nie pytaj mnie, skąd wiem, bo musiałbym cię okłamać. Przechodzę całą tę rutynę, żeby dać sobie czas na myślenie.

- Tak jest, sir, chociaż moim zdaniem raczej depcze pan rutynę.

Vimes uśmiechnął się w półmroku.

- Bardzo dobrze, synu. Poczucie humoru jest przyjacielem gliniarza. Zawsze powtarzam, że dzień nie jest udany bez chwili śmiechu.. . - Przerwał, bo coś brzęknęło o jego hełm. - Dotarliśmy chyba do miejsca, gdzie pan Jefferson wydobywał swoje żelazo. Znalazłem lampę naftową, a z pewnością nie widziałem takich wyżej.

Sięgnął do kieszeni po zapałki i po chwili lampa zaświeciła. No cóż, pomyślał, nie jest to właściwie kopalnia, ale pewnie i tak bardziej się opłaca, niż płacić ceny krasnoludów.

- Nie widzę żadnej drogi - oświadczył Feeney. - Przypuszczam, że wyciąga rudę przez główne wejście.

- Nie wierzę, by gobliny były tak głupie i mieszkały w systemie jaskiń mających tylko jedno wejście. Pewnie jest też takie, którego w ogóle z zewnątrz nie widać. Popatrz, tu są ślady, że ktoś wlókł ciężary po kamieniach...

Vimes urwał. W jaskini był jeszcze jeden człowiek. No tak... Dziękuję ci, ciemności, pomyślał. Pewnie teraz należałoby spytać, kto to taki...

- Sir, tu chyba nie tylko się wydobywa rudę - odezwał się Feeney za jego plecami. - Niech pan spojrzy...

Trzymał w ręku kilka książek. Dziecięcych książek, z wyglądu sądząc. Były brudne - w końcu znajdowały się w jaskini goblinów - ale kiedy Vimes otworzył jedną, bez zaskoczenia zobaczył nieprawdopodobnie duże czerwone jabłko, obecnie trochę poszarzałe od dotyku licznych brudnych rąk.

W mroku zabrzmiał głos - kobiecy:

- Nie wszystkie kwestie znajdują odpowiedź, komendancie, ale na szczęście niektóre odpowiedzi są kwestionowane. Próbuję uczyć małe gobliny. Naturalnie, musiałam tu przynieść jabłko, żeby pokazać je tym najmłodszym - tłumaczyła kobieta z cienia. - Niewiele z nich wiedziało, co to takiego, a już na pewno nie jak się nazywa. Język trolli jest niewyobrażalnie bogaty w porównaniu z tym, co mają ci biedacy. Witam pana, panie Upshot. Nie chowa się pan przed prawdą w tej swojej celi?

Vimes odwrócił się gwałtownie, kiedy usłyszał ten głos, a teraz patrzył z rozdziawionymi ustami.

-To pani? Czy pani jest, ehm...

- Panią od kupek? Tak, komendancie Vimes. Zadziwiające, nieprawdaż, jak ludzie pamiętają.

- Musi pani przyznać, że to... jak by to określić... przykleja się w pamięci, panno Beedle.

- Brawo, komendancie, zwłaszcza że tylko raz się spotkaliśmy.

Dopiero teraz Vimes zauważył, że pannie Beedle towarzyszy
goblin. Młody, sądząc po wzroście, ale niezwykły, ponieważ patrzył wprost na niego, uważnie i z zaciekawieniem, całkiem inaczej niż gobliny, jakie spotykali do tej pory, nie licząc nieszczęsnego Smrodka. Za to Feeney bardzo się starał, żeby unikać wzroku panny Beedle.

- Droga pani, muszę wyznać, że przynajmniej raz dziennie widzę pani nazwisko - rzekł Vimes z uśmiechem. - Kiedy wczoraj układałem mojego chłopaka do snu, usłyszałem od niego: „Tato, czy wiesz, czemu krowy robią takie mokre, maziate kupki, a konie takie ładne, miękkie i pachnące trawą? Bo to dziwne, nie? Całkiem różne kupki, chociaż krowy i konie są mniej więcej tak samo duże i jedzą taką samą trawę. No dziwne, prawda, tato? No więc pani od kupek mówi, że krowy mają miejsce z przodu brzucha i ten przód im pomaga tak jakby dostać więcej jedzenia z ich jedzenia, ale konie nie mają takiego miejsca, więc nie żują tak mocno i dlatego ich kupka jest jeszcze całkiem podobna do trawy i tak bardzo nie śmierdzi".

Zauważył, że panna Beedle się uśmiecha, więc mówił dalej.

- Podejrzewam, że jutro zapyta matkę, czy może swój obiad przeżuwać jednego dnia bardzo mocno, a następnego tylko pobieżnie, by sprawdzić, czy uzyska różne zapachy. Co pani o tym sądzi, madame?

Panna Beedle roześmiała się głośno. Był to całkiem miły śmiech.

- Widzę, komendancie, że syn łączy w sobie pańskie analityczne myślenie z typową dla Ramkinów skłonnością do eksperymentów. Musi pan być z niego dumny.

- O to może pani być spokojna, madame.

Dziecko stojące w cieniu panny Beedle także się uśmiechało - pierwszy raz Vimes zobaczył goblina uśmiechniętego.

Panna Beedle skierowała pełne dezaprobaty spojrzenie na Feeneya.

- Żałuję tylko, że nie spotykam pana w lepszym towarzystwie, komendancie. Może wie pan, gdzie się podział mój przyjaciel Jeth- ro, panie władzo?

Nawet w słabym świetle lampy Feeney wyglądał na wściekłego, ale jeśli ktoś potrafił czytać w ludziach - a Vimes był namiętnym czytelnikiem - widział wyraźnie, że ta wściekłość doprawiona jest wstydem i lękiem.

Spojrzał na niewielki pulpit, gdzie leżało kilka narzędzi i kilka książek w kolorowych okładkach. Ulica nauczyła go, że czasami najlepiej pozwolić, by osobnik zdenerwowany naprawdę się zdenerwował, więc jak gdyby nigdy nic sięgnął po książkę.

- Och, „Gdzie jest moja krówka?". Młody Sam ją uwielbia. Z niej też uczy pani gobliny, panno Beedle?

Kobieta nie spuszczała wzroku z poirytowanego Feeneya.

- Tak, i mam nadzieję, jest to coś warte. To ciężka praca. A przy okazji, formalnie jestem panią Beedle. Mój mąż zginął w wojnie klatchiańskiej. Wróciłam do „panny", bo to... wie pan... bardziej pisarskie, a poza tym nie miałam zbyt wiele czasu, żeby się przyzwyczaić do „pani".

- Bardzo mi przykro, madame. Gdybym wiedział, byłbym mniej nonszalancki.

Panna Beedle uśmiechnęła się blado.

- Proszę się nie przejmować, nonszalancja czasem bardzo się przydaje.

- Non-szalancja - powtórzył mały goblin. - To znaczy, że nie szaleje?

- Łzy Grzybów to moja najlepsza uczennica. Jesteś wspaniała, Łzy Grzybów, prawda?

- Wspaniała jest dobre - oświadczyła goblinia dziewczynka, jakby smakowała każde słowo. - Łagodna jest dobre, grzyby są dobre. Łzy są miękkie. Jestem Łzy Grzybów, tyle teraz powiem.

Była to dziwna przemowa: dziewczynka mówiła, jakby wyciągała słowa z półki, a potem starannie odkładała na miejsce, kiedy tylko zostały wypowiedziane. Brzmiały poważnie, a padały z dziwnej, płaskiej i bladej twarzy. W pewien sposób Łzy Grzybów ubrana w zapinany fartuch wyglądała całkiem dobrze, jeśli już nie ładnie. Vimes zastanowił się, ile ma lat. Trzynaście? Może czternaście? Ciekawe, czy wszystkie gobliny wyglądałyby tak porządnie, gdyby dostały jakieś przyzwoite ubrania i zrobiły coś z tymi straszliwymi włosami. Ta dziewczynka miała włosy długie, splecione w warkocze i całkiem białe. Dziwne, ale w tym miejscu przywodziła na myśl kruchą figurkę z porcelany.

Nie wiedząc, co powiedzieć, powiedział to jednak:

- Miło mi cię poznać, Łzy Grzybów.

Wyciągnął rękę. Goblinia dziewczynka przyjrzała się jej, potem jemu, a potem obejrzała się na pannę Beedle.

- Nie podają rąk, komendancie - wyjaśniła autorka bajek. - Jak na lud, który wydaje się tak prosty, są zdumiewająco skomplikowani.

Zastanowiła się.

- Wydaje się, że sama opatrzność sprowadziła tu pana akurat na czas, by rozwiązać zagadkę morderstwa Przyjemnego Kontrastu, która była świetną uczennicą. Przybiegłam tutaj, jak tylko o tym usłyszałam, ale gobliny są przyzwyczajone do niezasłużonej i przypadkowej śmierci. Odprowadzę pana do wyjścia, a potem mam lekcje.

Vimes dał znak Feeneyowi, żeby szedł za nim, i ruszył za panną Beedle oraz jej podopieczną w stronę powierzchni i błogosławionego świeżego powietrza. Zastanawiał się, co się stało z ciałem. Co oni robili ze zmarłymi? Zakopywali ich, zjadali, wyrzucali na śmietnik? A może on sam nie myślał normalnie - ta myśl już od pewnego czasu dobijała się do jego mózgu.

- Czego jeszcze ich pani uczy? - zapytał bez zastanowienia. - Żeby byli lepszymi obywatelami?

Uderzenie trafiło go w podbródek - panna Beedle, nawet rozgniewana, pamiętała, że Vimes ma na głowie stalowy hełm. Mimo to cios był solidny i kątem oka Vimes widział nad piekącym policzkiem, że Feeney cofa się o krok. Chłopak zachował rozsądek...

- Jest pan durniem, komendancie Vimes! Nie, nie uczę ich, jak być udawanymi ludźmi! Uczę ich, jak być goblinami, mądrymi goblinami! Wie pan, że znają tylko pięć nazw kolorów? Nawet trolle znają około sześćdziesięciu, a o wiele więcej, jeśli trafią na sprzedawcę farb. Czy to znaczy, że gobliny są głupie? Nie, znają ogromną liczbę określeń, jakich nie wymyślili nawet poeci, na to, jak kolory przesuwają się i zmieniają, jak przepływają z jednego w drugi. Mają pojedyncze słowa na nazwanie najbardziej skomplikowanych uczuć. Znam takich chyba ze dwieście i jestem przekonana, że istnieje więcej. To, co uważa pan za warknięcia, stęknięcia i chrapnięcia, w rzeczywistości przekazuje ogromną ilość informacji! Oni są jak góra lodowa, komendancie: większej części nie można zobaczyć ani zrozumieć, aja uczę Łzy Grzybów i kilkoro jej przyjaciół, żeby mogli rozmawiać z takimi ludźmi jak pan, którzy uważają, że gobliny są głupie. I wie pan co, komendancie? Nie zostało już wiele czasu. Bo one są wyrzynane. Oczywiście, nazywa się to inaczej, ale kończy się rzezią, bo przecież tylko przeszkadzają! Może zapyta pan pana Upshota, co się stało z resztą goblinów trzy lata temu, komendancie Vimes?

Po czym panna Beedle odwróciła się na pięcie i zniknęła w mroku jaskiń, a Łzy Grzybów poszła za nią. Vimes sam musiał przejść z Feeneyem ostatnie kilka kroków do cudownego słonecznego światła.

* * *

Uczucie, kiedy wyszedł na jaskrawe światło dnia, było takie, jakby od długiej chwili ktoś przebijał mu ciało żelaznym drutem i nagle, w jednej chwili go wyciągnął. Yimes ledwie zdołał utrzymać równowagę, a i to dzięki chłopakowi, który przytrzymał go za ramię. No i brawo, pomyślał, Feeney jest inteligentny i zrozumiał, co się dzieje, a w dodatku nie rzucił się biegiem do światła.

Vimes usiadł na murawie, rozkoszując się lekkim wiatrem dmuchającym przez krzaki janowca i wciągając do płuc czyste świeże powietrze. Cokolwiek człowiek myślał o goblinach, ich jaskinie miały taką atmosferę, o której ludzie mówili „Lepiej parę minut zaczekaj, zanim tam wejdziesz".

- Chciałbym z wami porozmawiać, starszy funkcjonariuszu - powiedział. - Jak glina z gliną. O przyszłości.

- Właściwie to chciałem panu podziękować, sir, że uważa mnie pan za policjanta.

- Twój ojciec też był tutaj policjantem. Trzy lata temu, tak?

Feeney patrzył prosto przed siebie.

-Tak.

- No więc co się stało z goblinami, Feeney?

- Eee... tato kazał mnie i mamie nie wychodzić z domu. Powiedział, że mamy nie patrzeć, ale nie mógł nam zabronić słuchać, i było mnóstwo krzyków, co zdenerwowało mamę. Bardzo. Słyszałem potem, że wyciągali spod wzgórza gobliny, ale tato nigdy

0 tym nie mówił, dopiero dużo później. Myślę, że go to załamało, sir, naprawdę. Mówił, że widział, jak banda ludzi, głównie gajowych

1 różnych opryszków, wychodzi z jaskiń i wlecze za sobą gobliny, sir. Dużo goblinów. Mówił, że okropne było to, jak te gobliny się zachowywały, tak jakby potulnie, wie pan... Jakby nie wiedziały, co robić.

Vimes zmiękł trochę, kiedy zobaczył twarz Feeneya.

- Mów dalej, chłopcze.

- Opowiadał mi też, sir, że ludzie wychodzili z domów, było dużo bieganiny, a potem zaczął zadawać pytania, no i w magistracie mu powiedzieli, że nic się nie stało, bo to przecież właściwie robactwo, i że mają je zabrać do doków, gdzie dla odmiany będą mogły zarabiać na życie i nie denerwować innych. Wszystko w porządku, mówił tato. Miały popłynąć do jakiegoś słonecznego miejsca daleko stąd.

- Tak z czystej ciekawości, panie Upshot, skąd pański ojciec to wiedział?

- Mówił, że rajcy byli bardzo stanowczy w tej kwestii, sir. Gobliny miały pracować na swoje utrzymanie. Powiedział, że właściwie to dla ich dobra. Przecież to nie tak, że mieli je pozabijać.

Vimes starał się zachować nieruchomą twarz. Westchnął tylko.

-Jeżeli nastąpiło to bez ich zgody, mamy do czynienia z niewolnictwem, a jeśli niewolnik nie potrafi zapracować na utrzymanie, jest trupem. Rozumiesz to?

Feeney wpatrywał się we własne buty. Gdyby we wzroku miał pastę, buty błyszczałyby jak lustro.

- Kiedy mi to wszystko wytłumaczył, powiedział, że teraz ja jestem gliną i że mam się troszczyć o mamę, i oddał mi swoją pałkę i odznakę. A potem ręce zaczęły mu się trząść i po paru dniach już nie żył, sir. Myślę sobie, że coś go dopadło, sir, w głowie, znaczy. I go pokonało.

- Słyszałeś kiedyś o lordzie Vetinarim, Feeney? Trudno powiedzieć, żebym go bardzo lubił, ale czasami trafia idealnie. No i zdarzyło się zakłócenie spokoju, jak to nazywamy: okazało się, że pewien typ miał psa, na wpół ślepego ze starości, i próbował go skłonić, żeby nie szarpał za smycz, a kiedy pies na niego warknął, złapał tasak ze straganu rzeźnika obok, rzucił psa na ziemię i odrąbał mu tylne łapy, tak po prostu. Ludzie by powiedzieli: „Paskudny typ, ale to przecież jego pies", jednak lord Vetinari wezwał mnie i rzekł: „Na kogoś, kto robi coś takiego psu, prawo powinno zwracać baczną uwagę. Przeszukajcie zaraz jego dom". Ten człowiek zawisł tydzień później, nie z powodu psa... choć osobiście nie uroniłbym po nim łzy, gdyby tak było... ale z powodu tego, co znaleźliśmy w jego piwnicy. Jej zawartością nie będę cię obciążał. A ten przeklęty Vetinari znowu miał rację: gdzie są drobne przestępstwa, tam wielkie też znajdą się niedaleko.

Vimes spojrzał na falujące pola rozciągające się w dole. Jego pola, jego drzewa, jego łany zbóż... Wszystko jego, choć nigdy w życiu nic nie zasiał z wyjątkiem tego przypadku, kiedy jako dziecko próbował wyhodować rzeżuchę na flanelowej szmatce, którą potem wyrzucił, bo nikt mu nie powiedział, że najpierw powinien tę flanelę porządnie wypłukać, by usunąć z niej całe mydło. Nie najlepsze doświadczenie jak na właściciela ziemskiego. Ale... jego ziemia, tak? I był pewien, że ani on, ani Sybil nie zgadzali się, żeby wyciągnąć tłum smętnych goblinów z tego śmietnika, który chętnie nazywali domem, i powlec je nie wiadomo dokąd.

- Nikt nam nie powiedział!

Feeney odchylił się, by uniknąć tego konkretnego grona gniewu.

- Nic mi o tym nie wiadomo, sir.

Vimes wstał i rozprostował ramiona.

- Usłyszałem już dosyć, mój chłopcze. I mam tego również dosyć. Pora odwołać się do władzy wyższej.

- Myślę, że trzeba co najmniej półtora dnia, by kurier dotarł do miasta, o ile będzie miał szczęście z końmi.

Sam Vimes energicznie pomaszerował zboczem w dół.

- Mówiłem o lady Sybil, chłopcze.

* * *

Sybil siedziała w saloniku pełnym filiżanek i dam, gdy Vimes dotarł do Dworu niemal biegiem, z ledwie nadążającym Feeneyem za plecami. Raz tylko obrzuciła go wzrokiem i powiedziała, trochę bardziej wesoło, niż to wynikało z sytuacji:

- Och, widzę, że chcesz coś ze mną przedyskutować. - Po czym z uśmiechem zwróciła się do dam: - Przepraszam na chwilę, drogie panie. Muszę zamienić z mężem kilka słów.

Po czym chwyciła Vimesa za rękę i w sposób daleki od delikatności wyciągnęła go na korytarz. Otworzyła usta, by wygłosić małżeński wykład o wadze punktualności, pociągnęła nosem i odsunęła się gwałtownie.

- Samie Vimes, ty śmierdzisz! Wpadłeś w coś... rolniczego? Prawie cię nie widziałam od śniadania! I po co ciągniesz za sobą tego młodego policjanta? Na pewno ma ważniejsze sprawy! Czy on nie chciał cię aresztować? Ma zamiar przyjść na herbatę? Mam nadzieję, że najpierw się wykąpie.

Słowa były skierowane do Vimesa, ale wymierzone w Feeneya, który utrzymywał bezpieczny dystans.

- To było nieporozumienie - wyjaśnił pospiesznie Vimes. - I jestem pewien, że jeśli kiedyś znajdę swoją tarczę herbową, nie będzie splamiona nawet w najmniejszym stopniu. Natomiast pan Upshot łaskawie i z własnej woli przekazał mi informacje.

A gdy już małżeńska konwersacja nabrała pędu, obejmując dramatyczne szepty w stylu „To chyba niemożliwe!" i „Myślę, że mówi prawdę", Feeney wyglądał, jakby miał poderwać się do biegu.

- I one się nie broniły?

Młody policjant próbował unikać jej wzroku, jednak Sybil miała taki jego rodzaj, który podążał w krąg za człowiekiem.

- Nie, łaskawa pani - wykrztusił.

Lady Sybil spojrzała na męża i wzruszyła ramionami.

- Na pewno wybuchłaby wściekła walka, gdyby ktoś próbował mnie zabrać gdzieś, gdzie bym nie chciała trafić - oświadczyła. - Wydawało mi się też, że gobliny są uzbrojone. Straszne w walce, tak słyszałam. A to, co mówisz, brzmi, jakby chodzili we śnie. A może głodują? Nie zauważyłam tu zbyt wielu królików w porównaniu z czasami, kiedy byłam małą dziewczynką. No i po co zostawili część na miejscu? Wszystko to wygląda dość zagadkowo, Sam. Prawie każdy w tej okolicy jest przyjacielem rodziny... - Pospiesznie uniosła dłoń. - Nawet mi przez myśl nie przeszło, by prosić cię o naruszenie twoich obowiązków, Sam, musisz o tym pamiętać, ale bądź ostrożny i upewnij się przed każdym krokiem. I proszę cię, Sam... a znam cię... nie ruszaj do ataku jak byk na wrota. Ludzie w okolicy mogą źle to zrozumieć.

Vimes był przekonany, że on sam źle coś rozumie. Zmarszczył czoło.

- A jak byk atakuje bramę, Sybil? Zatrzymuje się przed nią i zastanawia?

- Nie, kochanie, rozwala wszystko na kawałki. - Sybil uśmiechnęła się ostrzegawczo i wyprostowała z godnością. - Nie wydaje mi się, żebyśmy musieli zatrzymywać pana dłużej, panie Upshot - zwróciła się do wdzięcznego Feeneya. - Proszę pozdrowić ode mnie swoją szanowną matkę. Jeśli się zgodzi, chciałabym się z nią spotkać, póki tu jesteśmy, i porozmawiać o dawnych czasach. Tymczasem jednak sugeruję, żeby wyszedł pan przez kuchnię, cokolwiek mój mąż myśli o policjantach korzystających z wejścia dla służby. Niech pan powie kucharce, żeby zaopatrzyła pana w... no, we wszystko, co przyda się pańskiej mamie.

Obejrzała się na męża.

- Może go odprowadzisz, Sam? A skoro lubisz świeże powietrze, może poszukasz Młodego Sama? Powinien być na podwórzu z Willikinsem.

Feeney milczał, kiedy szli razem długimi korytarzami, ale Vimes wyczuwał, że umysł chłopaka pracuje nad jakimś problemem, co się zaraz potwierdziło.

- Lady Sybil jest bardzo miła i łagodna, sir, prawda?

- Nie trzeba mi o tym przypominać - odparł Vimes. - I chciałbym cię zapewnić, że pozostaje w ostrym kontraście do mnie. Ja robię się drażliwy, jeśli widzę nierozwiązaną sprawę. Nierozwiązana sprawa jest wbrew naturze.

- Ciągle myślę o tej gobliniej dziewczynce, sir. Wyglądała jak posąg, a to, jak mówiła... nie wiem, co powiedzieć. Bo przecież oni są paskudnymi szkodnikami... ukradliby panu sznurówki z butów, gdyby nie szedł pan dość szybko... ale kiedy widzi się ich w tej jaskini, człowiek zdaje sobie sprawę, że tam są, no... dzieci, stare gobliny dziadkowie i...

- Stare goblinie matki? - dokończył Vimes.

I znowu ukochany synek pani Upshot szarpał się w obcym sobie i przerażającym uścisku filozofii. W końcu rzekł:

- No więc, sir, wiadomo, że krowy też są dobrymi matkami, ale jak przyjdzie co do czego, cielę jest tylko cielęciną na kopytkach, prawda?

- Możliwe. Ale gdyby cielę podeszło do ciebie i powiedziało „Dzień dobry, mam na imię Łzy Grzybów"?

Twarz Feeneya znów wyrażała mękę nieznanych refleksji.

- Myślę, że zjadłbym sałatę, sir.

Vimes się uśmiechnął.

- Znalazłeś się w trudnej sytuacji, mój chłopcze. I wiesz, co ci powiem? Ja też. To się nazywa: być policjantem. Właśnie dlatego najbardziej lubię, kiedy uciekają. Wtedy wszystko jest proste. Oni uciekają, ja gonię. Nie wiem, może to coś metafizycznego. Ale tam było ciało. Widziałeś je, ja też widziałem, i panna Beedle również. Nie zapominaj o tym.

* * *

Młody Sam siedział na beli siana na podwórzu i przyglądał się koniom. Podbiegł do ojca, najwyraźniej bardzo z siebie zadowolony.

- Tato! - zawołał. - Wiesz o kurach?

Vimes wziął syna na ręce.

- Owszem, słyszałem o nich.

Młody Sam wyśliznął się z uścisku, jak gdyby bycie podnoszonym i kręconym w kółko nie było działalnością odpowiednią dla ambitnego badacza kwestii skatologicznych. Zrobił poważną minę.

-A wiesz, tato, że kiedy kura robi kupkę, na wierzchu jest takie coś białe i to jest siusiu? Czasami wygląda jak lukier na babeczce.

- Dziękuję, że mnie zawiadomiłeś. Będę o tym pamiętał, kiedy następnym razem dostanę babeczkę. - I za każdym kolejnym też, dodał Vimes w myślach. - Przypuszczam, że o kupkach wiesz już wszystko - powiedział z nadzieją i zauważył uśmiech Willikinsa.

Młody Sam oglądał stos kurzych odchodów przez małe szkło powiększające. Pokręcił głową, nie oglądając się nawet.

- Nie, tato, skąd. Pan... - przerwał i spojrzał pytająco na Willikinsa, który odchrząknął.

- Pan Pstrąg, jeden z gajowych, był tu przed godziną, a pański chłopak z każdym próbuje porozmawiać i wynik jest taki, że Młody Sam, jak się okazało, sir, chciałby zebrać kolekcję odchodów licznych zwierząt leśnych.

Gajowi, pomyślał Vimes. Sprawdził to w pamięci i zastanowił się, kto z nich naprawdę uczestniczył w porwaniu goblinów trzy lata temu. A potem uznał, że nie jest to tak ważne jak pytanie: kto im kazał?

Myślę, że zacząłem już łapać ogólny zapach tych okolic. Ludzie robią to, co im każą, ponieważ zawsze robili to, co im kazano. Ale gajowi to sprytni osobnicy, nie tylko ludzi muszą przechytrzyć. No i trzeba pamiętać, że to jest wieś, gdzie każdy zna każdego i obserwuje wszystkich. Nie sądzę, żeby Feeney kłamał, a zatem inni też wiedzą, co się tu wydarzyło pewnej nocy trzy lata temu. Nie powinienem reagować jak byk przy bramie, mówiła Sybil i miała rację. Muszę uważać, gdzie stawiam stopy. To się stało przed trzema laty. Nie muszę się spieszyć.

-Jak daleko mogę to pociągnąć? - mruknął.

- Miał pan pracowity dzień, sir - zauważył Willikins. - Rano udał się pan do celi w towarzystwie pewnego młodego durnia, który uważa się za policjanta. Następnie, w towarzystwie gobli- na, pan i rzeczony dureń poszliście do Zagajnika Trupa, pozostaliście tam przez dłuższy czas, aż pan i wspomniany już dureń zeszliście, a pan, minus jeden dureń, zjawił się tutaj przed chwilą. - Willikins wyszczerzył zęby. - Ludzie bez przerwy przychodzą i wychodzą z kuchni, sir, a plotki to za zielonymi drzwiami rodzaj waluty. Musi pan pamiętać, sir, że niezależnie od ponurych spojrzeń pana Silvera, pod schodami to ja jestem głównym bossem, mogę chodzić, gdzie chcę, i robić, co chcę, a oni mogą się najwyżej udławić. Całe wzgórze można zobaczyć z tego czy innego okna, a pokojówki są chętne do współpracy, sir. Mam wrażenie, że wszystkie dziewczęta marzą o pracy w rezydencji przy Alei Scoo- ne'a. Tęsknią do świateł wielkiego miasta, sir. Więc pomagają. Ponadto znalazłem w gabinecie całkiem niezły teleskop. Znakomity do oglądania Szubienicznego Wzgórza. Praktycznie mógłbym czytać panu z ruchu warg. A Młodemu Samowi bardzo się podobała zabawa w szukanie tatusia.

W Vimesie odezwały się wyrzuty sumienia. To przecież miały być rodzinne wakacje, tak? Ale...

- Ktoś zabił goblinią dziewczynę przy Zagajniku Trupa - oświadczył zduszonym głosem. - Zadbali o to, żeby było mnóstwo krwi, więc nasz gorliwy młody policjant uznał to za ślad prowadzący do mnie. Trochę się plącze; nie sądzę, żeby kiedyś już widział zwłoki.

Willikins wyglądał na szczerze zdumionego.

-Jak to? Nigdy? Może zamieszkałbym tutaj na emeryturze... Tylko że chyba umarłbym z nudów.

Nowa myśl przyszła Vimesowi do głowy.

- Kiedy patrzyliście przez teleskop, widzieliście, czy jeszcze ktoś wchodził na wzgórze?

- Nie, sir. - Willikins pokręcił głową. - Tylko pan.

Obaj odwrócili się i spojrzeli na Młodego Sama, który starannie rysował w swoim zeszycie kurzą kupkę.

- Ma pan mądrego syna, sir. Bardzo bystry. Niech pan korzysta z każdej chwili, sir.

Vimes pokręcił głową.

- Bogowie świadkami, że masz rację, ale widzisz, ona była pocięta, pocięta stalą, z całą pewnością to stal. A oni mają tylko kamienne ostrza. Ktoś ją pociął, żeby uzyskać tyle krwi, by nawet taki tępy gliniarz na pewno ją zauważył. A miała imię jak kolory kwiatu.

Willikins syknął z dezaprobatą.

- Gliniarze nie powinni ulegać sentymentom, to źle wpływa na osąd. Sam pan to mówił, sir. Trafia pan na jakąś paskudną awanturę domową i uznaje pan, że sytuacja się poprawi, jeśli się komuś porządnie skopie tyłek, tylko że skąd wiadomo, kiedy przestać? Tak pan mówił. Ze przyłożenie komuś w walce to jedna sprawa, ale kiedy już jest skuty, to nie można.Ku zaskoczeniu Vimesa Willikins przyjaźnie poklepał go po ramieniu (człowiek natychmiast by wiedział, gdyby Willikins poklepał go nieprzyjaźnie).

- Niech pan posłucha mojej rady, komendancie, i jutro zrobi sobie wolne. Nad jeziorem są łódki, a potem może pan zabrać chłopaka do lasu, gdzie zapewne chodzi się po kolana w różnego rodzaju kupkach. Będzie w kupkowym raju! Aha, mówił mi też, że chciałby znowu spotkać śmierdzącego człowieka od czaszek. Wie pan, sir, z takim umysłem jeszcze przed sześćdziesiątką będzie nadrektorem Niewidocznego Uniwersytetu!

Musiał zauważyć niechętny grymas Vimesa, gdyż mówił dalej:

- Skąd to zdziwienie, sir? Może przecież zostać alchemikiem, prawda? Bo chyba nie chce pan, żeby był policjantem? Nie, na pewno nie. Kiedy się jest magiem, przynajmniej nikt nie próbuje kopnąć człowieka w rozkrok. Oczywiście, trzeba się mierzyć ze straszliwymi potworami z piekielnych wymiarów, ale one nie noszą noży, a człowiek zostaje przeszkolony. Warto się nad tym zastanowić, komendancie, bo on rośnie jak na drożdżach i trzeba będzie pchnąć go na właściwą ścieżkę życia. A teraz proszę wybaczyć, komendancie, idę denerwować służbę.

Willikins odszedł na kilka kroków, ale zatrzymał się jeszcze.

- Proszę spojrzeć na to inaczej, sir. Jeśli zrobi pan sobie wolne, to winni nie staną się mniej winni, martwi nie będą ani trochę mniej martwi, a jej łaskawość nie będzie próbowała pozbawić pana głowy wieszakiem.

* * *

Goście z herbatki u lady Sybil już wychodzili, kiedy Vimes wrócił do Dworu. Zeskrobał z butów rolnictwo i ruszył do głównej łazienki.

Oczywiście, Dwór dysponował bardzo licznymi łazienkami - miał ich pewnie więcej niż większość ulic w mieście, gdzie balia, miednica i dzbanek, albo w ogóle nic, stanowiły cały dostępny zestaw higieniczny - z wyboru albo z konieczności. Jednak ta łazienka powstała według projektu Szalonego Jacka Ramkina i przypominała słynną łazienkę z Niewidocznego Uniwersytetu, chociaż gdyby ją Szalony Jack projektował, uczelnię nazywano by raczej Obscenicznym Uniwersytetem, Szalony Jack bowiem przejawiał zdrowe (a może niezdrowe) zainteresowanie damami i w jego łazience było to widoczne, na bogów, bardzo widoczne. Oczywiście, ślicznotki z białego marmuru uszlachetniono urnami, kiściami marmurowych winogron i zawsze popularnymi skrawkami gazy, które szczęśliwym przypadkiem zawsze lądowały akurat we właściwym miejscu, by nie dopuścić do przemiany sztuki w pornografię. Była to również prawdopodobnie jedyna łazienka wyposażona w krany oznaczone „gorąca", „zimna" i „brandy".

Oprócz tego były jeszcze freski, takie, że człowiek łatwo ulegający emocjom powinien się cieszyć, iż jest tam kurek z zimną wodą, ponieważ - żeby nie wchodzić w szczegóły - była na nich spora liczba szczegółów, oj tak, a damy stanowiły zaledwie początek problemu. Byli również marmurowi dżentelmeni, tak jest, stanowczo dżentelmeni, nawet ci z koźlimi nogami. Aż dziw, że woda w wannie nie wrzała sama z siebie.

Vimes pytał Sybil o tę łazienkę, a ona mu wyjaśniła, że to ważny element Dworu i że wielu dżentelmenów interesujących się antykami często tu przyjeżdżało, by ją obejrzeć. Odparł na to, że mógł się tego spodziewać, o tak, w samej rzeczy. Na to Sybil stwierdziła, że doprawdy nie widzi powodu dla takiego tonu, ponieważ ona sama także od czasu do czasu brała kąpiel w tej łazience, odkąd skończyła dwanaście lat, i szczerze mówiąc, nie widziała w tym niczego niewłaściwego. Owszem, dzięki tym kąpielom uniknęła zaskoczeń w późniejszych latach.

A teraz Vimes leżał w obszernej wannie, czując się tak, jakby próbował poukładać sobie wszystkie kawałki mózgu. Niewyraźnie słyszał otwierające się drzwi i głos Sybil:

- Położyłam Młodego Sama do łóżka i śpi już mocno, choć nie wyobrażam sobie, co może mu się śnić.

Vimes znów dryfował w ciepłej, parnej atmosferze i był tylko marginalnie świadom szelestu opadającego na podłogę ubrania. Lady Sybil wsunęła się obok niego. Woda się uniosła, a wraz z nią - zgodnie z fizyką takich zagadnień - także nastrój Sama Vimesa.

* * *

Kilka godzin później, niemal tonąc w poduszkach na wielkim łożu, unoszony w ciepłym różowym lśnieniu tuż powyżej nieświadomości, Sam Yimes był pewien, że słyszy własny szept.

- Myśl o tym, co nie pasuje. Dlaczego taka miła dama z towarzystwa odwiedza jaskinię goblinów, jakby to było całkiem naturalne?

- No... Sybil w domu prawie cały czas chodzi w odzieży ochronnej i ognioodpornym hełmie - odpowiedział. - Bo zwyczajnie lubi smoki. To coś takiego, co damy z towarzystwa często robią.

Zastanowił się, co na to odpowiedzieć.

- No tak, ale smoki można uznać za towarzysko akceptowalne. A gobliny stanowczo nie. Nikt nie powie o nich dobrego słowa, z wyjątkiem panny Beedle. Może by zabrać Młodego Sama i jutro ją odwiedzić? W końcu to ona zainteresowała go kupkami i jest pisarką, więc pewnie będzie zadowolona z jakiejś odmiany. Tak, to dobry pomysł; wyprawa powinna być kształcąca dla Młodego Sama, a przy tym wcale nie będzie dochodzeniem, skąd...

Zadowolony, czekał na nadejście snu, mimo chóru wycia, wrzasków, tajemniczych dalekich uderzeń, ukradkowych szelestów, pisków, niepokojących tykań, okropnych skrzypień, strasznego trzepotu skrzydeł gdzieś całkiem blisko oraz całej reszty tej demonicznej orkiestry, znanej jako wieś spokojna.

Wcześniej rozegrał z Willikinsem nocną partyjkę bilardu, żeby ręka nie wyszła z wprawy. I z roztargnieniem nasłuchując tej pozamiejskiej kakofonii, zastanawiał się, czy rozwiązywanie skomplikowanej zagadki zbrodni, takiej, która wymaga pewnej ostrożności, można porównać do bilardu. Pewnie, było sporo czerwonych kul, które należy eliminować, ale celem - ostatecznym celem - jest ta czarna.

We Włościach mieszkali ludzie wpływowi, więc należy poruszać się ostrożnie. Gdzieś we własnym umyśle, metaforycznie, Sam Vimes podjął trop.

Teraz leżał w łóżku, rozkoszując się cudownym uczuciem bycia stopniowo pochłanianym przez poduszki.

- Czy rodzina Rustów ma tutaj posiadłość? - zwrócił się do Sybil.

Zbyt późno sobie uświadomił, że mógł to być błędny ruch, ponieważ całkiem możliwe, że opowiedziała mu o tym podczas jednej z tych okazji, kiedy - jakże nietypowo dla żonatego mężczyzny - niespecjalnie zwracał uwagę na słowa żony. Jego pytanie mogło się zatem stać przyczyną pogorszenia nastroju w tych bezcennych, ciepłych minutach przed zaśnięciem.

Widział teraz jedynie sam czubek jej nosa, gdyż poduszki wciągnęły ją w głąb. Wymamrotała jednak sennie:

- Tak, kupili Rezydencję Hangnailów jakieś dziesięć lat temu, kiedy markiz Fantailer zamordował swoją żonę nożem do przycinania w ananasiarni. Nie pamiętasz? Przez całe tygodnie szukałeś go w całym mieście. W końcu wszyscy podejrzewali chyba, że popłynął do Czte- riksów i tam się ukrywa, nie przedstawiając się jako markiz Fantailer.

- Rzeczywiście - przyznał Vimes. - I pamiętam, że sporo jego kumpli było oburzonych tym dochodzeniem! Tłumaczyli, że to przecież tylko jedno morderstwo, a poza tym to jego żona nie umiała się zachować i umarła po jednym lekkim dźgnięciu.

Lady Sybil odwróciła się, co oznaczało - jako że była kobietą grawitacyjnie pociągającą - że poduszka przy Vimesie, działając jak jedno kółko zębate w rzędzie, przekręciła się w przeciwną stronę, a Sam Vimes odkrył, że w efekcie leży twarzą w dół. Szarpnął się w stronę powierzchni.

- Czyli Rust kupił po nim posiadłość, tak? To niezwykłe, że ten stary dupek wydał choćby o pensa więcej, niż musiał.

- To nie on, kochanie. To Gravid.

Vimes rozbudził się bardziej.

- Syn? Ten przestępca?

- Wydaje mi się, Sam, że właściwe określenie brzmi: człowiek przedsiębiorczy. A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym już spać.

Vimes wiedział, że najlepsze, co może odpowiedzieć, to nic. Zapadł się znowu w poduszkowe głębiny, myśląc o takich określeniach jak „kanciarz", „szuler", „chytrze wciskający łom pomiędzy to, co słusznie i niesłuszne albo moje i twoje", „ciemny typ", „finansista" i „nietykalny".

Odpływając do koszmarnego świata, gdzie ci dobrzy i ci źli tak często bez ostrzeżenia zamieniali się miejscami, Vimes powalił swoją bezsenność na ziemię i dopilnował, żeby dostać swoje należne osiem godzin.

Następnego dnia, ręka w rękę z synem, szedł niepewnie w stronę domu panny Beedle. Nie wiedział, czego może się tam spodziewać. Niewielkie miał doświadczenie ze światem literackim, preferując raczej realny, słyszał natomiast, że pisarze przez całe dnie siedzą w szlafrokach i popijają szampana. Kiedy wąską alejką zbliżali się do celu, nastąpiła pewna rewizja jego przekonań. Przede wszystkim przy „domku" znajdował się ogród, jakiego nie powstydziłaby się farma. Za ogrodzeniem zobaczył rzędy warzyw i krzewów owocowych, był też sad, coś służącego prawdopodobnie jako chlewik, a także, trochę dalej, zewnętrzna wygódka, bardzo profesjonalnie wykonana, z wyciętym w drzwiach niemal obowiązkowym półksiężycem i sągiem drewna tuż obok, żeby jak najlepiej wykorzystać każdą wyprawę w te okolice. Wszystko sprawiało tu wrażenie praktycznego i sensownego, zupełnie nie takiego, jakiego można by oczekiwać po kimś, kto codziennie tylko paprze się ze słowami.

Panna Beedle otworzyła drzwi ułamek sekundy po tym, jak zapukał. Nie wydawała się zaskoczona.

Właściwie to spodziewałam się waszej łaskawości - powiedziała. - Czy może dzisiaj to pan policjant? Choć, jak słyszałam, tak czy inaczej to zawsze

To oczywiście absolutnie szczera prawda.

- pan policjant. - Spojrzała niżej. - A to pewnie Młody Sam? - Znowu uniosła głowę. - Bywają trochę onieśmieleni, prawda?

- Zebrałem bardzo dużo kupek, wie pani? - oświadczył z dumą Młody Sam. - Trzymam je w słoikach i mam laboratorium w ubikacji. Ma pani kupkę słonia? On robi... - Przerwał na chwilę dla lepszego efektu. - Łajno!

Przez moment oczy panny Beedle zaszkliły się i zaszły lekką mgiełką, jak to się często zdarzało ludziom, którzy spotykali Młodego Sama po raz pierwszy.

- Musi pan być z niego dumny - zwróciła się do Vimesa.

Na co dumny ojciec odparł:

- Trudno czasem za nim nadążyć, to wiem.

Panna Beedle przeszła z korytarza do pokoju, w którego wyposażeniu dużą rolę odgrywał perkal, i poprowadziła Młodego Sama do wielkiego biurka. Otworzyła szufladę i wręczyła chłopcu coś, co wyglądało jak nieduża książka.

- To jest oprawiony egzemplarz redakcyjny „Radości woskowi- ny". Jeśli chcesz, to ci go podpiszę.

Młody Sam przyjął książkę, jakby wręczono mu świętą relikwię. Natomiast jego ojciec przejął chwilowo rolę matki.

- Co się mówi?

Na co Młody Sam zareagował promiennym uśmiechem, podziękowaniem oraz:

- Proszę po niej nie bazgrać. Mnie nie wolno bazgrać po książkach.

I kiedy radośnie przewracał kartki prezentu, jego ojciec został zaprezentowany wyścielanemu fotelowi. Panna Beedle wybiegła do kuchni. Vimes nie miał zbyt wiele do oglądania poza pokojem pełnym regałów z książkami, tapicerowanych mebli, z pełno- wymiarową koncertową harfą i zegarem ściennym, który wyglądał jak sowa; oczy poruszały się tam i z powrotem w rytm tykania - zapewne człowiek jakoś to znosił do momentu, kiedy albo popełniał samobójstwo, albo chwytał pogrzebacz z kominka i tłukł nieszczęsny zegar, aż popękały sprężyny.

I kiedy Vimes z satysfakcją rozważał to rozwiązanie, nagle uświadomił sobie, że jest obserwowany. Obejrzał się więc i zobaczył niespokojną buzię i wystającą szczękę goblina o imieniu Łzy Grzybów. Odruchowo zerknął na Młodego Sama i nagle największą rodzynką w placku jego niepokoju okazało się pytanie: Co zrobi Młody Sam? Ile książek przeczytał? Nie opowiadali mu chyba okropnych historii o goblinach ani nie czytali zbyt wielu tych kolorowych książeczek z bajkami, zawierających zawsze gotowe wyskoczyć koszmary albo niepotrzebne strachy, które pewnego dnia spowodują kłopoty?

A Młody Sam podszedł do dziewczynki i oznajmił:

- Wiem dużo o kupkach. Są bardzo ciekawe.

Łzy Grzybów rozglądała się gorączkowo za panną Beedle, gdy tymczasem chłopiec zaczął krótki wykład o kupkach owiec. W odpowiedzi, słowami składającymi się razem jak klocki, goblinka spytała:

- Po co jest... „kupka"?

Młody Sam zmarszczył czoło, jakby ktoś starał się zakwestionować dzieło jego życia. A potem się rozpromienił.

- Bez kupki byś zrobiła bum!

I zamilkł z dumą - zagadka sensu życia została całkowicie rozwiązana.

Łzy Grzybów się roześmiała. Był to śmiech staccato, przypominający Yimesowi śmiech pewnego rodzaju kobiet po pewnego rodzaju nadmiarze ginu. Jednak był to śmiech - zwyczajny, szczery, naturalny. Młody Sam zawtórował, chichocząc głośno, a po nim również Sam Vimes, czując, że pot stygnie mu na karku.

- Chciałbym mieć takie duże ręce jak ty - stwierdził Młody Sam. - Jak ci na imię?

-Jestem Łzy Grzybów - odpowiedziała w tym urywanym stylu, jaki Vimes nauczył się już rozpoznawać.

Młody Sam natychmiast wyciągnął ręce i objął tyle dziewczynki, ile zdołał.

- Grzyby nie powinny płakać! - zawołał.

Spojrzenie, jakie rzuciła Vimesowi, nie różniło się od tych, jakie oglądał już wiele razy na twarzach tych, którzy byli obiektami uścisków Młodego Sama: wyrażało mieszaninę zaskoczenia i czegoś, co musiał uznać za zażenowanie.

W tej właśnie chwili do pokoju wróciła panna Beedle. Niosła tacę, którą wręczyła Łzom Grzybów.

- Bądź tak miła i poczęstuj naszych gości, moja droga.

Łzy Grzybów wzięła tacę i niepewnie podsunęła ją Vimesowi. Powiedziała przy tym coś, co brzmiało jak toczące się po schodach pół tuzina orzechów kokosowych, jakoś jednak zdołało zawrzeć w sobie słowa „ty", „jeść" i „zrobiłam". Na jej twarzy pojawił się błagalny wyraz, jakby prosiła, by zrozumiał.

Vimes przyglądał się jej przez chwilę. Przecież mógłbym rozumieć, pomyślał. Prawda? Na pewno warto spróbować, uznał i zamknął oczy, co było pociągnięciem wątpliwym, skoro znalazł się twarzą w dłuższą twarz, w dodatku z taką szczęką. Z zaciśniętymi powiekami zasłonił je dodatkowo ręką, by odciąć ostatnie resztki światła.

- Czy zechcesz to powtórzyć, młoda... damo?

A w ciemności swej czaszki usłyszał bardzo wyraźnie:

- Upiekłam dzisiaj ciasteczka, panie poo-lis-jant. Przedtem umyłam ręce - dodała nerwowo. - Ciastka są czyste i smaczne. To powiedziałam i ta rzecz jest pewna.

Upieczone przez goblina, pomyślał Vimes, gdy otworzył oczy i wziął z tacy niekształtne, lecz apetycznie wyglądające ciasteczko. Potem znów zamknął oczy.

- Dlaczego grzyby płaczą? - zapytał.

W mroku usłyszał, że dziewczyna syknęła.

- Płaczą, żeby powstało bardzo dużo nowych grzybów - odparła. - Ta rzecz jest pewna.

Za nim cicho brzęknęły sztućce, ale kiedy cofnął dłonie od twarzy, odezwała się panna Beedle.

- Nie, proszę zostać w ciemności, komendancie. A więc to prawda, co o panu mówią krasnoludy.

- Nie mam pojęcia. A co mówią o mnie krasnoludy, panno Beedle?

Otworzył oczy. Panna Beedle siedziała na krześle prawie naprzeciwko, natomiast Łzy Grzybów czekała wyraźnie na dalszą ciasteczkową aktywność w pozie kogoś, kto będzie tak czekał bez końca albo do chwili, kiedy powiedzą mu, żeby przestał. Zerkała badawczo to na Vimesa, to na Młodego Sama. Chłopiec obserwował Łzy Grzybów z zaciekawieniem, choć znając go, zaciekawienie wiązało się głównie z tacą ciasteczek.

- No dobrze, synu - rzekł Vimes. - Możesz poprosić tę panią o ciasteczko, ale grzecznie.

- Mówią, że ciemność jest w panu, komendancie, ale że trzyma ją pan w klatce. Pamiątka z doliny Koom, mówią.

Vimes zamrugał, oślepiony światłem dnia.

- Krasnoludzie przesądy w goblinich jaskiniach? Dużo pani wie o krasnoludach?

- Sporo - potwierdziła panna Beedle. - Ale jeszcze więcej o goblinach, a one wierzą w Przyzywającą Ciemność tak samo jak krasnoludy. W końcu jedni i drudzy są istotami z jaskiń, komendancie, a Przyzywająca Ciemność jest realna. Nie cała tkwi w pańskiej głowie. Niezależnie od tego, co pan słyszy, ja także niekiedy ją słyszę. Na bogów, przecież pan na pewno umie rozpoznać przedbobon, kiedy jest pan przez niego opętany? To przeciwieństwo zabobonu: jest rzeczywisty, nawet jeśli pan nie wierzy. Moja matka mnie tego nauczyła. Była goblinem.

Vimes przyjrzał się siedzącej przed nim sympatycznej kobiecie
0 kasztanowych włosach.

- Nie - stwierdził uprzejmie.

- No dobrze, ale pozwoli mi pan chyba na pewną teatralność
1brak precyzji dla lepszego efektu? W rzeczywistości moja matka została znaleziona przez gobliny w Uberwaldzie, gdy miała jakieś trzy lata. Wychowały ją. Kiedy miała już mniej więcej jedenaście lat... a mówię „mniej więcej", ponieważ nigdy nie była pewna co do upływu czasu... myślała i zachowywała się jak goblin. Opanowała ich język, który jest szaleńczo trudny do nauki, jeśli ktoś nie używa go od dzieciństwa. Jadła z nimi, miała własny zagon na grzybowej farmie, była wysoko ceniona za opiekę nad hodowlą szczurów. Powiedziała mi kiedyś, że dopóki nie spotkała mojego ojca, jej najpiękniejsze wspomnienia pochodziły z lat spędzonych w goblinich jaskiniach.

Panna Beedle zamieszała swoją kawę.

- Opowiedziała mi też o swoich najgorszych wspomnieniach, tych, które prześladowały ją w sennych koszmarach, i mogę uczciwie stwierdzić, że teraz prześladują mnie: o dniu, kiedy ktoś z mieszkających niedaleko ludzi odkrył, że jakaś złotowłosa i rumiana ludzka dziewczynka biega sobie pod ziemią ze złymi, zdradzieckimi bestiami, które, jak wszyscy wiedzą, pożerają dzieci. Cóż, krzyczała i wyrywała się, kiedy próbowali ją zabrać, zwłaszcza że ci, których uważała za rodzinę, byli właśnie mordowani wokół niej.

Zamilkła. Vimes nieco lękliwie zerknął na Młodego Sama, który szczęśliwie wrócił do „Radości woskowiny", a zatem wszystko inne przestało dla niego istnieć.

- Nie tknął pan swojej kawy, komendancie. Trzymają pan tylko i patrzy na mnie.

Vimes wypił duży łyk bardzo gorącej kawy.

- To prawda? - upewnił się. - Nie wiem, co powiedzieć.

Łzy Grzybów obserwowała go czujnie i w gotowości, na wypadek gdyby poczuł nadchodzący ciasteczkowy atak. Prawdę mówiąc, ciasteczka były całkiem dobre, więc aby ukryć zmieszanie, podziękował jej i poczęstował się jeszcze jednym.

- W takim razie lepiej nic nie mówić - odparła panna Beedle. - Zabito je wszystkie, bez żadnego powodu. Zdarza się. Wszyscy wiedzą, że to istoty całkiem bezwartościowe, prawda? Wielu najgorszych czynów na świecie dokonują ludzie, którzy wierzą, szczerze wierzą, że robią to, co najlepsze; zwłaszcza kiedy w sprawę wmieszany jest jakiś bóg. Cóż, trzeba było wielu takich czynów i całkiem sporo czasu, by przekonać dziewczynkę, że nie jest jednym z paskudnych goblinów, ale jedną z istot ludzkich, wcale nie paskudnych, skądże. Oni zwyczajnie byli pewni, że dziewczynka pewnego dnia zrozumie, iż te straszne historie z wiadrem zimnej wody, z biciem za każdym razem, kiedy odezwała się w języku goblinów albo zaczynała odruchowo śpiewać goblinią pieśń, to przecież dla jej dobra. Na szczęście... chociaż wtedy prawdopodobnie tak nie uważała... była silna, rozsądna i łatwo się uczyła. Tak więc uczyła się, jak być grzeczną dziewczynką, uczyła się nosić odpowiednie sukienki, jeść nożem i widelcem, i klękać, żeby się pomodlić i podziękować za wszystko, co dostaje, w tym bicie. Wreszcie nauczyła się nie być goblinem tak doskonale, że pozwolili jej pracować w ogrodzie, a tam przeskoczyła przez parkan i uciekła. Nigdy jej nie złamali. Mówiła mi, że zawsze będzie w niej cząstka goblina. Ojca nie znałam. Według mamy był porządnym i ciężko pracującym człowiekiem. Także delikatnym i pełnym zrozumienia, jak podejrzewam.

Panna Beedle wstała i otrzepała suknię, jakby chciała strząs- nąć z niej okruchy historii. I stojąc tak, w tym perkalowym pokoju z harfą, oświadczyła:

- Nie wiem, kim byli ludzie, którzy wymordowali gobliny i bili moją matkę. Ale gdybym ich kiedykolwiek odnalazła, zabiłabym bez wahania, ponieważ dobrzy ludzie nie mają powodów, żeby czynić tyle zła. Dobroć jest w tym, co robimy, nie w tym, do czego się modlimy. W każdym razie potem jakoś się ułożyło - podjęła spokojniej. - Ojciec był jubilerem i szybko odkrył, że mama jest w tej dziedzinie wybitnie utalentowana. Prawdopodobnie goblinie wychowanie sprawiło, że miała wyczucie kamieni. Na pewno wynagrodziło mu to posiadanie żony, która w chwilach irytacji klęła po gobliniemu, a muszę zaznaczyć, że taka goblinia wiązanka może trwać co najmniej kwadrans. Mama nie przepadała za książkami, jak może się pan domyślać, ale ojciec tak, a ja pewnego dnia pomyślałam: jak trudne może być pisanie? W końcu większość słów to różne i, z, na, że, już i tak dalej, a jest ich bardzo dużo do wyboru, więc połowa roboty jest już wykonana. To było pięćdziesiąt siedem książek temu. Chyba się udało.

Panna Beedle poprawiła się na krześle.- Mają najbardziej złożony język, jaki może pan sobie wyobrazić. Znaczenie każdego słowa jest uzależnione od słów obok niego, od mówiącego, od słuchacza, pory roku, pogody i och, jakże wielu innych kwestii. Mają odpowiednik tego, co my uważamy za poezję. Używają ognia... A mniej więcej trzy lata temu niemal wszystkie żyjące w tej okolicy zostały schwytane i wywiezione, ponieważ przeszkadzały. Czy nie dlatego się pan tutaj znalazł?

Vimes odetchnął głęboko.

- Prawdę mówiąc, panno Beedle, przyjechałem, żeby zobaczyć posiadłość żony i pokazać synowi życie na wsi. W trakcie tego urlopu zostałem już aresztowany jako podejrzany o zabicie kowala oraz zobaczyłem ciało brutalnie zamordowanej gobliniej kobiety. Na dodatek nie mam pojęcia, gdzie przebywa wspomniany kowal, i bardzo bym chciał, panno Beedle, by ktoś mnie oświecił, najlepiej pani.

- Tak, widziałam to biedactwo, i przykro mi, nie mogę panu powiedzieć, gdzie jest Jethro.

Wygląda na to, że mówi prawdę, uznał Vimes. Popatrzył na nią.

- Nie ukrywa się w jakimś zakątku tych jaskiń?

- Nie. Szukałam. Wszędzie szukałam. Żadnego listu, nic. Jego matka też nic nie wie. On był trochę niezależnym duchem, ale nie wyjechałby nigdzie, nic mi nie mówiąc.

Spuściła wzrok, wyraźnie zakłopotana.

Milczenie mówiło wiele. Przerwał je Vimes.

- Zabójstwo tej biednej dziewczyny nie ujdzie bez kary, sprawcy nie ukryją się, póki żyję. Może pani uznać, że traktuję to jak sprawę osobistą. Uważam, że ktoś próbował mnie wrobić, a błoto się przykleja. - Zastanowił się. - Mam pytanie... Te urny... Czy gobliny zawsze noszą je ze sobą?

- No tak, oczywiście, ale tylko te, które w danej chwili napełniają. To chyba jasne - odparła panna Beedle ze śladem irytacji w głosie. - Czemu pan pyta?

- No cóż, policjant, można tak to określić, myśli w języku gobli- nów. Wszystko jakoś zależy od wszystkiego innego. A przy okazji, ile jeszcze osób wie, że ma pani tunel prowadzący pod wzgórze?

- Skąd panu przyszło do głowy, że mam tunel prowadzący pod wzgórze?

- Pomyślmy... Ten dom stoi praktycznie u stóp wzgórza, a gdybym tu mieszkał, pewnie wykopałbym sobie porządną piwnicę na wino. To jeden powód. Drugi to ten błysk w pani oku, kiedy zadałem pytanie. Czy chciałaby pani, bym zadał je po raz drugi?

Otworzyła usta, by zaprotestować, ale Vimes uniósł dłoń.

-Jeszcze nie skończyłem. Poważniejszym argumentem jest fakt, że zjawiła się pani w jaskini, choć nikt nie widział, by wchodziła pani na szczyt. Wszyscy mi powtarzają, że na wsi zawsze obserwują człowieka czyjeś oczy, a ja miałem szczęście i kilka z nich pracowało wczoraj dla mnie. Proszę nie marnować mojego czasu. Nie popełniła pani żadnego wykroczenia, przynajmniej ja nic o tym nie wiem... bo chyba rozumie pani, że pomaganie goblinom to nie przestępstwo? - Zastanowił się chwilę. - Chociaż niektórzy ludzie w tej okolicy mogą myśleć inaczej. Aleja nie i nie jestem głupi, panno Beedle. Widziałem tę głowę goblina w pubie. Wygląda, jakby wisiała tam od lat. No więc chciałbym teraz wrócić do jaskini, lecz tak, żeby nikt mnie nie widział, jeśli pani pozwoli, bo muszę zadać kilka pytań.

- Chce pan przesłuchiwać gobliny?!

- Pani ton sugeruje, że chcę je zastraszać. Nie, muszę tylko uzyskać niezbędne informacje, zanim zacznę śledztwo w sprawie zabójstwa tej dziewczyny. Jeśli nie chce mi pani pomóc, no cóż... wybór należy do pani.

* *

Następnego dnia sierżant Colon nie zjawił się w pracy. Pani Colon przysłała chłopca z wiadomością, jak tylko sama wróciła z pracy*.

Kiedy już była w domu, przekonała się, że we Fredzie Colonie nie ma nic romantycznego. Dlatego, kiedy już pozamiatała podłogę, zrobiła pranie, pościerała kurze i spędziła nieco czasu na wydłubywaniu grudek błota, które utknęły w wycieraczce, pospieszyła do Pseudopolis Yard - po drodze odwiedziwszy swoją przyjaciółkę Mildred, posiadającą całkiem ładny porcelanowy komplet miednicy i dzbana, który chciała sprzedać. Kiedy pani Colon wreszcie dotarła na komendę, opowiedziała, że Fred czuje się fatalnie, poci się mocno i paple coś o królikach.

Sierżant Tyłeczek została wysłana, by zbadać sprawę, a gdy wróciła, z posępną miną wspięła się na schody do gabinetu Vimesa, zajmowanego obecnie przez kapitana Marchewę. Od razu dało się poznać, że teraz to jego gabinet - nie tylko dlatego, że siedział w fotelu, co było istotną wskazówką, ale też dlatego, że wszystkie papiery zostały posortowane i ułożone. Ta umiejętność Marche- wy zawsze robiła wielkie wrażenie na inspektorze A.E. Pesymalu, małym człowieczku o sercu lwa i sile kotka oraz twarzy, charakterze i ogólnym nastroju, które nawet twardym, doświadczonym buchalterom kazały mówić: „No spójrzcie na niego! Czy on nie wygląda jak typowy księgowy?".

To jednak nie niepokoiło lwiego serca A.E. Pesymala. Był tajną bronią Straży Miejskiej Ankh-Morpork. W całym mieście nie było księgowego, który cieszyłby się z wizyty A.E. Pesymala, chyba że - oczywiście - byłby całkowicie niewinny, to jednak można spokojnie wykluczyć, gdyż duma państwa Pesymalów potrafił prześledzić drogę błędu przez cały rejestr aż do piwnicy, gdzie były ukryte prawdziwe księgi obrachunkowe. A wszystko, czego oczekiwał za swój geniusz, to drobiazgowo

wyliczona pensja oraz szansa, by raz na jakiś czas wyjść na patrol z prawdziwym policjantem, machać pałką i patrzeć groźnie na trolle.

**Colonowie przetrwali w długim i szczęśliwym związku, mając ze sobą tak mało kontaktów, jak to tylko możliwe. Osiągnęli to dzięki temu, że on pracował na nocnej zmianie, kiedy ona pracowała w dzień, i odwrotnie. Godzili się na to, ponieważ uznali, że każdy inny układ mógłby zniszczyć to, co romantyczne.*

Marchewa oparł się w fotelu.

- No i co tam u Freda, Cudo?

- Niewiele można powiedzieć, hm...

- To „hm" bardzo poważnie zabrzmiało, Cudo...

Kłopot z kapitanem Marchewą polegał na tym, że miał przyjazną i szczerą twarz, człowiek zwyczajnie chciał mu wszystko powiedzieć. Nie pomagało też, że w sercu sierżant Tyłeczek wciąż jarzyły się płomienie afektu do kapitana, chociaż był przecież trwale i całkowicie zajęty - no ale był krasnoludem, przynajmniej formalnie, a nikt nic nie poradzi na to, co ona widzi w sennych marzeniach.

- No więc... - zaczęła z wahaniem.

Marchewa pochylił się nad biurkiem.

- Tak, Cudo?

Skapitulowała.

- To unggue, sir. Pochodzi pan z Miedzianki... Spotykał pan tam jakieś gobliny?

- Nie, ale wiem, że unggue to ich religia, jeśli można to tak określić.

Sierżant Tyłeczek potrząsnęła głową, starając się wypchnąć z umysłu pewne spekulacje na temat roli, jaką mógłby w związku odgrywać dostatecznie wysoki stołek. Przekonywała samą siebie, że sierżant Złoty Młot z posterunku przy Siostrach Dolly przyciąga jej uwagę za każdym razem, gdy ona pilnie się stara przyciągnąć jego, kiedy przypadkiem spotkają się na patrolu, i że stanowiłby całkiem niezły połów, gdyby zdołała zebrać się na odwagę i zapytać go, czy jest płci męskiej.

- Unggue nie jest religią, to zabobon. Gobliny nie wierzą w Taka**, sir, to dzikusy i śmieciarze. Ale... - Zawahała się znowu. - Słyszałam kiedyś coś, co jest całkiem nieprawdopodobne... ale podobno one czasem zjadają własne dzieci, sir, a przynajmniej matka zjada własne dziecko, jej nowo narodzone dziecko, jeśli panuje głód. Potrafi pan w to uwierzyć?

Marchewa na moment rozdziawił usta, a potem jakiś cichy głos oznajmił:

- Tak, chyba mogę, sierżancie, jeśli wolno mi wtrącić.

A.E. Pesymal popatrzył na nich wyzywająco i spróbował się wyprostować.

---

* Ściśle mówiąc, płeć dowolnego krasnoluda pozostaje tajemnicą między nim - czy też nią, jak może się zdarzyć - i jego - czy też, jak może się zdarzyć, jej - matką, do chwili kiedy zdecyduje się zdradzić ją komuś jeszcze. Na ogół można to jednak odgadnąć, obserwując, które krasnoludy piją sherry albo lekkie białe wino. Niestety, metoda ta nie zawsze jest skuteczna wobec krasnoludów w policji, ponieważ - jak wszyscy policjanci w całym wszechświecie - ci wypiją cokolwiek dostatecznie mocnego, co pozwoli im zapomnieć, z czym mieli do czynienia w pracy.

- To kwestia logiki, rozumiecie. Nie ma żywności? Ale matka może przeżyć, rekonsumując dziecko, że tak powiem, podczas gdy po wyczerpaniu wszystkich innych rezerw dziecko umrze. Właściwie

dziecko jest martwe od chwili, kiedy taki problem zostaje postawiony. Matka zaś, czyniąc tak, może przetrwać, a gdy znajdzie więcej żywności, w odpowiednim czasie urodzi następne dziecko.

- Wiecie, to bardzo... bardzo księgowe podejście - stwierdziła Cudo.

A.E. Pesymal zachował spokój.

- Bardzo dziękuję, pani sierżant, przyjmuję to jako komplement, ponieważ logika rozumowania jest niewzruszona. Można ją określić jako straszliwą logikę konieczności. Mam spore doświadczenie w logice sytuacji przetrwania.Fotel zatrzeszczał, kiedy kapitan Marchewa pochylił się zdziwiony.

- Bez urazy, inspektorze, ale czy wolno spytać, jakież to kwestie przetrwania mogą wyniknąć w czasie prowadzenia podwójnej księgowości?

A.E. Pesymal westchnął.

- Bywa niebezpiecznie, kapitanie, kiedy zbliża się koniec roku finansowego. Jednak rozumiem, o co panu chodzi, i chciałbym oświadczyć, że przeczytałem wszystkie obecnie dostępne pamiętniki, podręczniki, zapiski i wiadomości w butelkach... to znaczy, oczywiście, po ich wyjęciu z butelek... I zapewniam, że byłby pan zdumiony, jak straszne decyzje musi czasem podejmować grupa ludzi, aby niektórzy, jeśli nie wszyscy jej członkowie, mogli przeżyć. Klasycznym przykładem są rozbitkowie dryfujący w otwartej łodzi na oceanie, przy czym ratunek wydaje się bardzo mało prawdopodobny. Zwykle procedura polega na tym, by zjadać nawzajem swoje nogi, choć prędzej czy później zapas kończyn musi się skończyć, że tak powiem. Wtedy rodzi się pytanie, kto ma zginąć, by inni przeżyli. Straszliwa algebra, kapitanie. - Dopiero wtedy A.E. Pesymal się zarumienił. - Przepraszam. Wiem, że jestem słaby, ale zgromadziłem dużą bibliotekę. Marzę o niebezpiecznych przygodach.

- Powinien pan przespacerować się po Mrokach, inspektorze - poradził Marchewa. - Nie musiałby pan marzyć. Ale mów dalej, Cudo.

Cudo Tyłeczek pokręciła głową.

- Ale zjedzenie własnego dziecka? To przecież nie może być słuszne!

- No cóż, pani sierżant, czytałem o takich sytuacjach - rzekł A.E. Pesymal. - I jeśli uwzględni się możliwe rezultaty, to znaczy śmierć i matki, i dziecka, albo też śmierć dziecka i możliwe życie matki, musimy uznać, że jej decyzja jest właściwa. W swojej książce „Bankiet robaków", pułkownik F.J. Massingham istotnie wspomina

0 takich zdarzeniach wśród goblinów. Okazuje się, według gobliniej wizji świata, że skonsumowane dziecko, które w oczywisty sposób wynurzyło się z wnętrza matki, powróciło do miejsca pochodzenia

1 istnieje nadzieja, że odrodzi się w przyszłości, w bardziej sprzyjających okolicznościach, czyli nikt nie poniesie szkody. Można uznać, że pogląd taki nie wytrzymuje analizy, ale kiedy staje się wobec straszliwej algebry, świat zupełnie się zmienia.

Przez chwilę wszyscy rozważali to w milczeniu.

- Wiesz, Cudo, czasem zdarza się coś takiego w ulicznej bójce - odezwał się Marchewa. - Sytuacja robi się gorąca i pojmujesz, że teraz już albo ty, albo oni. Wtedy zaczyna działać straszna algebra.

Cudo wzruszyła ramionami i wróciła do głównego tematu.

- W każdym razie Fred chyba nie wie, gdzie jest - powiedziała. - Nie miał temperatury, a w jego sypialni nie jest specjalnie ciepło, ale on zachowuje się, jakby panował upał. Nie chce oddać tej nieszczęsnej małej urny. Krzyczy nawet, kiedy ktoś próbuje się do niej zbliżyć. Nawrzeszczał na mnie! I jeszcze coś: głos mu się zmienił; teraz Fred mówi jak człowiek, który grzechocze kamieniami w ustach. Rozmawiałam z Myślakiem Stibbonśem na uniwersytecie, ale nie mają tam chyba nikogo, kto by się znał na goblinach.

Kapitan Marchewa uniósł brwi.

- Jesteś pewna? Wiem z całą pewnością, że jest tam profesor Kurzu, Rozmaitych Cząstek i Włókienek, a ty mi mówisz, że nie ma eksperta od całego gatunku mówiących humanoidów?

- Właśnie tak, sir. Udało nam się tylko znaleźć materiały na temat tego, jakimi są szkodnikami. Zna pan ten typ.

- Nikt nie wie niczego o goblinach? To znaczy czegoś, co warto wiedzieć?

A.E. Pesymal aż zasalutował.

- Harry Król wie, kapitanie. Kilku pracuje dla niego. Ale nieczęsto pokazują się w mieście. Może pan pamięta, jak lord Vetinari zechciał prosić o oddelegowanie mnie do urzędu podatkowego, by sprawdzić księgi pana Króla, jako że pozostali urzędnicy podatkowi bali się postawić stopę na jego terenie. Natomiast ja, sir, wcale nie czułem lęku - oznajmił A.E. Pesymal z dumą - ponieważ chroni mnie moja odznaka i majestat prawa. Harry Król może wyrzucić z budynku poborcę podatków, ale ma dość rozumu, by nie próbować tego z człowiekiem komendanta Vimesa, o nie!

Całe miasto można by oświetlić blaskiem dumy lśniącej na twarzy A.E. Pesymala, który starał się wypiąć pierś, zwykle raczej zapadłą. Ale wypięła się jeszcze bardziej, kiedy odezwał się Marchewa.

- Brawo, inspektorze. Twardy z was człowiek z dymiącym liczydłem w dłoni... Myślę, że jutro z samego rana złożę wizytę naszemu staremu przyjacielowi, Harry'emu Królowi.

* * *

Vimes zastanawiał się przez chwilę, czy może zabrać Młodego Sama na miejsce zbrodni, ale chłopak pokazywał, że niestraszna mu żadna wyprawa. Zresztą przecież każdy chłopiec chce zobaczyć, gdzie pracuje tata.

- Nie przestraszysz się długiej drogi po ciemku, synu? Ze mną i tymi paniami?

Młody Sam przez chwilę myślał z poważną miną.

- Chyba pozwolę panu Świstkowi, żeby się przestraszył, to ja nie będę już o tym myślał.

Drzwi do tajnego tunelu - jeśli istotnie był tajny - znajdowały się w piwnicy panny Beedle, dobrze zaopatrzonej w wino oraz ogólny, nie nieprzyjemny zapach... no, piwnicy. Ale za drzwiami unosił się już zapach dalekich goblinów.

Rzeczywiście, droga w ciemności była długa, zwłaszcza że musieli wspinać się stromo pod górę, praktycznie na czworakach. Zapach goblinów po chwili stał się silniejszy, ale w czasie tej chwili człowiek jakby się przyzwyczajał. Tu i tam światło wpadało w mrok przez otwory do zewnętrznego świata. Vimes uznał, że to rozsądna konstrukcja, dopóki nie zdał sobie sprawy z faktu, że króliki także korzystały z tego tunelu i na dowód zostawiły mnóstwo swoich odchodów. Zastanowił się, czy nie powinien wziąć kilku próbek dla Młodego Sama, a nawet zaproponował to sunącemu mężnie za nim chłopcu.

- Nie, tato - odparł Młody Sam. - Króliki już mam. Chcę słonia, jakbyśmy go znaleźli.

Królicze kupki, jak zauważył Vimes, były rozmiaru rodzynek w czekoladzie, która to myśl sprawiła, że na moment wrócił do swej młodości. Kiedy jakimś sposobem, niekoniecznie legalnym, udawało mu się zdobyć trochę gotówki, wydawał ją na bilet do nędznego musie hallu, a resztę na paczkę rodzynek w czekoladzie. Nikt nie wiedział ani nie próbował zgadywać, co biega i skrobie pod siedzeniami, jednak człowiek szybko uczył się bardzo ważnej zasady: jeśli upuścił swoje rodzynki, bardzo istotne było, żeby ich już nie podnosić!

Zatrzymał się, przez co panna Beedle zderzyła się z workiem jabłek, który niósł na jej prośbę. Opanował się dostatecznie, by powiedzieć:

- Muszę odpocząć, panno Beedle, żeby odzyskać oddech. Przepraszam, nie jestem już taki młody i w ogóle. Dogonię was. A po co dźwigamy te worki?

- To owoce i warzywa, komendancie.

- Dla goblinów? Myślałem, że same zdobywają pożywienie.

Panna Beedle przecisnęła się obok niego i ruszyła dalej, wspinając się w ciemności.

- Owszem, zdobywają - rzuciła przez ramię.

Vimes usiadł razem z Młodym Samem. Po chwili poczuł się lepiej.

-Jak się czujesz, synu? - zapytał.

Cienki głos w ciemności odpowiedział:

- Tłumaczę panu Świstkowi, żeby się nie martwił, tato. Bo on jest trochę głuptas.

Tak jak twój ojciec, pomyślał Vimes. Ale prowadził pościg. W ten czy inny sposób, prowadził pościg. Pytanie, kogo ściga, mogło zaczekać. Kluczowy był pościg jako taki.

Gniew pomógł Vimesowi pokonać ostatni etap wspinaczki: gniew na samego siebie i na tego kogoś, kto zepsuł mu urlop. Ale też trochę gryzło go sumienie: chciał, żeby coś się wydarzyło, i się wydarzyło. Ktoś zginął.

Czasami człowiek musi spojrzeć na siebie, a potem odwrócić wzrok.

Pannę Beedle i Łzy Grzybów znalazł w towarzystwie kilkunastu innych... pań. Zgadywał tylko, ponieważ nie znalazł jeszcze pewnego sposobu odróżniania jednego goblina od drugiego - tyle że, oczywiście, Łzy Grzybów miała na sobie fartuch z kieszeniami, którego jeszcze nie widział, i najwyraźniej inne damy również nie. Łzy Grzybów stała się bowiem przebojem sezonu, przynajmniej w opinii swych sióstr, które w tej chwili nosiły śmiałe kostiumy ze starych worków, plecionek z trawy i króliczych futerek. Otaczały ją i chórem powtarzały coś, co prawdopodobnie było goblinim odpowiednikiem „Kochana, wyglądasz oszałamia- jąco!".
Panna Beedle zbliżyła się do Vimesa.

** Jakkolwiek da się oddać taką treść w języku, który nawet w najlepszej sytuacji brzmi, jakby człowiek podskakiwał energicznie na paczce chrupek.*

- Wiem, co pan myśli - powiedziała - ale to dopiero początek. Nosić rzeczy, przydatne rzeczy, nie zajmując sobie rąk, to krok w dobrym kierunku.

Odciągnęła Vimesa na bok od gobliniej sekcji kobiecej grupy wpływu, która tymczasem wzbudziła zainteresowanie Młodego Sama; jego radosna niechęć, by dać się zastraszyć czemukolwiek, podbiła serca dziewcząt i w rezultacie chłopiec znalazł się tam, gdzie zawsze uważał, że powinien być, to znaczy w centrum uwagi.

Panna Beedle mówiła dalej:

-Jeśli chce się zmienić cały lud, należy zaczynać od dziewcząt. To rozsądne: uczą się szybciej, a to, czego się nauczyły, przekazują dzieciom. Pewnie się pan zastanawiał, po co wędrowaliśmy aż tutaj z tymi workami?

Za nimi fartuch był przymierzany przez kolejne dziewczęta; w tym roku będzie niezbędnym elementem odzieży każdej modnej damy.

Vimes odwrócił się plecami do panny Beedle.

- No cóż, zgaduję tylko, ale widzę tutaj pełno króliczych kości, a słyszałem, że można umrzeć, jeśli ktoś żywi się tylko królikami. Ale nie wiem, czemu tak jest.

Panna Beedle się rozpromieniła.

- Komendancie Vimes, zapewniam, że wiele pan zyskał w mojej ocenie. Owszem, króliki to plaga ludu goblinów. Jak rozumiem, pozbawiają organizm jakiegoś ważnego elementu, o ile nie je się również innych rzeczy. Właściwie wystarczą dowolne jarzyny, lecz goblini mężczyźni uważają, że właściwy posiłek to królik z rożna. - Westchnęła. - Krasnoludy wręcz fanatycznie dbają o jedzenie, tak jak powinien każdy, kto żyje głównie pod ziemią. Nikt jednak nie powiedział o tym goblinom, zresztą i tak by nie słuchały. Dlatego ich los to słabe zdrowie i przedwczesna śmierć. Niektóre przeżywają, oczywiście, głównie te, które preferują szczury albo zjadają całego królika, nie tylko te co wyraźniej jadalne części. Albo też te, które jedzą warzywa.

Zaczęła odwiązywać worek z kapustą.

- Dobrze się rozumiałam z żoną głównego tutejszego gobli- na, bo zachorował, a ja dopilnowałam, żeby dostał kilka zdrowych posiłków. On oczywiście przysięga, że poprawiło mu się, ponieważ odprawił jakieś magiczne rytuały, ale żona była wyjątkowo rozsądna.

Inni mężczyźni nie przejmują się tym, co robią dziewczęta, więc one dodają do ich potraw owoce i jarzyny, tłumacząc, że są magiczne, a w efekcie rodzą się dzieci, które przeżywają. I tak zmieniamy

świat, posiłek za posiłkiem. O ile gobliny w ogóle będą miały szansę przetrwać. - Ze smutkiem przyjrzała się rozgadanym dziewczętom. - Tak naprawdę potrzebny im pierwszej klasy teolog, bo widzi pan, one zgadzają się w tym z resztą świata: wierzą, że są śmieciem. Uważają, że dawno temu zrobiły coś bardzo złego i z tego powodu żyją, jak żyły. Sądzą, że im się to należy, można powiedzieć.

Vimes zmarszczył brwi. Nie pamiętał, żeby kiedyś odwiedzał kościół, świątynię czy któreś z licznych innych miejsc mniej więcej duchowych z jakichkolwiek innych powodów niż konieczność zawodowa. Ostatnimi czasy bywał tam z powodu Sybil, to znaczy żona zaciągała go tam, by był widziany, a jeśli to możliwe, by był widziany przytomny.

Nie, świat tamtych światów, żywotów po życiu i czyśćcowych przeznaczeń zwyczajnie mu się nie mieścił w głowie. Czy człowiek chciał tego, czy nie, rodził się, starał jak najlepiej, a potem, wciąż niezależnie od swych chęci, umierał. Jedynie to było pewne, a gliniarz powinien raczej pilnować swojej pracy. I nadszedł chyba czas, by Sam Vimes znowu się tym zajął.

Tymczasem Młody Sam znudził się damskim towarzystwem. Podszedł do starego goblina tworzącego urnę i obserwował go z niezwykłą fascynacją, ku wyraźnemu zadowoleniu - o ile Vimes mógł to ocenić - starego goblina. Jest w tym lekcja dla nas wszystkich, pomyślał. Nie wiem, jaka dokładnie lekcja, ale jest.

Odczekał, aż panna Beedle skończy omawiać z dziewczętami najnowsze trendy mody. Dopiero wtedy zapytał:

- Czy ofiara miała ze sobą jakieś urny ungguańskie?

- Zdziwiłabym się, gdyby nie miała. Co najmniej jedną czy dwie, ale prawdopodobnie całkiem małe, do użytku podczas dnia.

- Rozumiem. Ale czy znaleziono je przy niej po... no, potem, znaczy, kiedy złożyli ciało... - Nie wiedział, jaki jest protokół pogrzebowy, więc nie dokończył zdania. - Panno Beedle, czy jest możliwe, że miała przy sobie ungguańską urnę, której teraz brakuje? Wiem, że są cenne, oczywiście. Błyszczące.

- Nie mam pojęcia, ale zapytam Zimną Kość Rozbudzoną. Jest tu głównym goblinem. Będzie wiedział.Co przypomniało Vimesowi... Z pewnym zakłopotaniem sięgnął do kieszeni i wyjął mały, bardzo, ale to bardzo starannie zawinięty pakiecik. Z błagalną miną wręczył go pannie Beedle.

- Sądzę, że to należało do tej zabitej dziewczyny. Kamienny pierścionek z małym niebieskim oczkiem? Czy może pani się postarać, by trafił do kogoś, dla kogo ma wartość?

Jedyne, co miała, to kamienny pierścionek, a i ten jej odebrano... Są takie chwile, kiedy świat nie potrzebuje policjantów, tylko kogoś, kto zna się na tym, co robi, potrafi zamknąć wszystko i wystartować od nowa, żeby tym razem działało, jak należy...

Zanim jednak zniechęcenie ogarnęło go bez reszty, wróciła podniecona panna Beedle.

-Jakże trafnie zadał pan to pytanie, komendancie! Rzeczywiście, jedna zaginęła. Kot ungguański!

Jak każdy urodzony glina Vimes potrafił niemo wyrazić absolutne, tępe niezrozumienie, którym promieniował niczym latarnia ignorancji. To nawet dobrze, ponieważ panna Beedle była gotowa zostać źródłem informacji.

- Na pewno wie pan to co wszyscy, komendancie, to znaczy, że gobliny z powodów, można powiedzieć, religijnych magazynują pewne wydzieliny w urnach; wierzą, że należy je na powrót połączyć z ciałem w chwili pogrzebu. Ten obowiązek nazywany jest ung- gue. Wszystkie gobliny muszą, według tradycji bardzo silnej pośród goblinów, zachować Ungguański Had, trójcę smarków, paznokci i woskowiny. Zaginiona urna to urna kot, zawierająca obcinane paznokcie. Niech pana nie zmyli słowo „kot", komendancie, koty nie mają z tym nic wspólnego. Po prostu istnieje skończona liczba sylab.

- I pierwszy raz słyszy pani, że ta urna zginęła, panno Beedle?

- Wie pan, pierwszy raz tu jestem od wczoraj, a wczoraj trudno byłoby rozmawiać z jej rodziną, jak się pan zapewne domyśla.

- Rozumiem - zapewnił Vimes, chociaż nie rozumiał, w każdym razie nie za bardzo, ale w mroku swego umysłu wyczuwał już maleńki punkcik światła. Zerknął na Młodego Sama, który z zaciekawieniem prawdziwego badacza przyglądał się twórcy urny. Zuch chłopak, pomyślał i podjął: - Szukali tej urny?

- Wszędzie szukali, komendancie, nawet na zewnątrz. Widzi pan, każdy goblin wytwarza zestaw urn, które trzyma głęboko w jaskini. Nie wiem gdzie, choć w innych sprawach na ogół mi ufają. To dlatego, że ludzie kradną im te urny. Z tego powodu większość goblinów wykonuje inne, stosunkowo

małe urny dla codziennego użytkowania poza jaskinią, i potem w tajemnicy wypróżniają je do większych. - Spróbowała się uśmiechnąć. - Z pewnością brzmi to dla pana całkiem obco, komendancie, ale wytwarzanie i utrzymywanie urn samo w sobie jest dla nich religią.

Vimesowi nie zależało specjalnie, by wygłosić swoje poglądy na temat urn. Ograniczył się więc do dwóch krótkich pytań:

- Czy to możliwe, że jakiś inny goblin ukradł urnę? A poza tym jaki to rozmiar „stosunkowo małe"?

Panna Beedle spojrzała na niego zaskoczona.

-Jeśli w ogóle mi pan wierzy, w tej kwestii może pan uwierzyć bez wahania. Żadnemu goblinowi nawet by się nie śniła kradzież urny innego goblina. Sama myśl o tym jest dla nich niewyobrażalna, zapewniam pana. A co do rozmiaru... mniej więcej takie jak puderniczka albo może tabakiera. Takie urny połyskują jak opale.

- Tak, wiem... - Vimes pomyślał o lśnieniu barw w ciemności. - Nie chcę sprawiać kłopotu, ale czy mógłbym wypożyczyć jedną z pozostałych urn tej biednej dziewczyny? Byłaby mi potrzebna, żeby pokazywać ludziom, czego szukam.

Panna Beedle znów się zdumiała.

- To niemożliwe, komendancie. Porozmawiam ze Łzami Grzybów, ona może się zgodzi i pożyczy panu jedną z własnych, a w tym przypadku okaże się pan osobą bardzo wyjątkową. Urna zwykle przechodzi z rąk do rąk jedynie w chwili zagrożenia, ale Łzy Grzybów spędza ze mną wiele czasu i nauczyła się... jak by to określić... zalet elastycznego myślenia. W dodatku, jak się zdaje, chyba pana lubi.

Odeszła, pozostawiając zdziwionego Vimesa i Młodego Sama własnym zajęciom. Tu i tam gobliny robiły to, co zwykle robią: podtrzymywały niewielkie ogniska, spały, wielu majstrowało przy urnach. Kilka po prostu siedziało i wpatrywało się tępo w pustkę jak policjant, który myśli, jak się pisze wstrzemięźliwość.

Nowa wizja wynurzyła się ze wspomnień Vimesa - tłumu niebieskich ludzików wrzeszczących „Łojzicku!". A tak, Nac Mac Feegle... Oni też mieszkali w ziemnych jamach. Owszem, podobno w porządniejszych niż ten system zaśmieconych jaskiń, ale byli w tej samej sytuacji co gobliny. Też żyli na krawędzi, tyle że... tyle że oni tańczyli na krawędzi, skakali po niej, robili do niej miny i grali jej na zasmarkanych nosach. Nie chcieli uznać zagrożenia, w jakim się znajdowali, i przejawiali ogromny apetyt na życie, przygody i alkohol. Jako policjant nie powinien tego mówić, bo potrafili narobić strasznych kłopotów, lecz było coś godnego podziwu w tym radosnym i przebojowym stylu, z jakim mierzyli się... właściwie ze wszystkim.

Ktoś pociągnął go za rękaw i Vimes spojrzał w dół na Łzy Grzybów, nad którą panna Beedle stała jak niańka. Inne goblinie dziewczęta ustawiły się za tą dwójką niby efebiański chór.

Łzy Grzybów oświadczyła z powagą:

- Serca muszą dać, panie poo-lis-jant.

Z fatalnym wyczuciem czasu panna Beedle wtrąciła się jak przesadnie aktywna nauczycielka, a Vimes prywatnie się ucieszył, widząc przelotny grymas irytacji na twarzy Łez Grzybów.

- Chodzi jej o to, że jeśli ma panu powierzyć urnę, pan powinien jej powierzyć coś równie cennego. Przypuszczam, że nazwałby pan to braniem zakładników.

Nie, nie nazwałbym, pomyślał Vimes, patrząc w ciemne oczy gobliniej dziewczyny. Dziwne - jeśli pominąć rysy twarzy, które w najlepszym razie można by nazwać pospolitymi, zależnie od tego, co kto uznawał za pospolite, to oczy były tak ludzkie, jak tylko można sobie wyobrazić. Miały w sobie głębię, jakiej nie zna nawet najbardziej inteligentne zwierzę.

Sięgnął po portfel.

- Pieniądze nie wystarczą - rzuciła ostro panna Beedle.

Nie zwracając na nią uwagi, wyjął obrazek Młodego Sama, który wszędzie ze sobą nosił, i ostrożnie przekazał go Łzom Grzybów; dziewczyna wzięła obrazek, jakby był to cenny i delikatny obiekt - taki z pewnością był z punktu widzenia Vimesa. Przyjrzała się, po czym zerknęła na chłopca, który uśmiechnął się szeroko, jej oczy zaś potwierdziły, że grymas na twarzy to uśmiech, jakim odpowiedziała. Dla Młodego Sama jaskinia goblinów była interesującą krainą baśni. Nie można było nie podziwiać jego zdolności, by nie dać się przestraszyć.

Łzy Grzybów raz jeszcze przyjrzała się obrazkowi, potem znów Młodemu Samowi, aż wreszcie popatrzyła na Yimesa. Ostrożnie wsunęła obrazek do kieszeni fartucha i wyjęła małą opalizującą urnę.

Wręczyła ją Vimesowi; ręka drżała jej lekko. Delikatnie ujął urnę w obie dłonie. Wtedy Łzy Grzybów powiedziała tym swoim dziwnym głosem żywej szafki katalogowej:

- Serca dały.

Te słowa niemal powaliły Vimesa na kolana.

Pomyślał: To przecież jej głowa mogłaby szczerzyć się na ścianie w pubie! Ktoś za to zapłaci!

A gdzieś w głębi umysłu odezwał się ucieszony głos:

- Brawo, komendancie, w końcu śpiewa pan według moich nut!

Vimes zignorował go i zbadał małą urnę. Była gładka jak skóra. Cokolwiek zawierała - a nie miał zamiaru o to pytać - zawartość maskowała filigranowa siateczka rzeźbionych kwiatów i grzybów.

* * *

W chłodnej głębi swojej piwnicy oberżysta Jiminy szykował się do wieczornej fali klientów, kiedy nagle usłyszał jakiś szelest w ciemności między beczkami. Uznał, że to jeszcze jeden szczur, i uważał tak do chwili, kiedy jakaś dłoń zasłoniła mu usta.

- Przepraszam bardzo, sir, ale mam powody wierzyć, że może mi pan udzielić pomocy w śledztwie. - Jiminy się wyrywał, ale Vimes znał każdą sztuczkę przydatną przy zatrzymywaniu podejrzanego. - Wiesz pan, kim jestem - syknął. - I ja wiem, kim ty jesteś. Obaj jesteśmy glinami i bywaliśmy tu i tam. Powiedziałeś, że barman widzi wszystko, słyszy wszystko i nic nie mówi, a ja jestem człowiekiem zgodnym, panie Jiminy. Ale prowadzę dochodzenie w sprawie morderstwa. Morderstwa, drogi panie, ciężkiej zbrodni, a może też czegoś o wiele, wiele gorszego. Proszę zatem wybaczyć mój pogląd, że kto nie stoi za mną, ten stoi mi na drodze, ze wszystkim, co z tego wynika.

Jiminy zaczynał się dusić i szarpał się słabo.

- Aha, za dużo alkoholu, za mało patroli, zgaduję - stwierdził Vimes. - Oczywiście, od nikogo nie oczekuję, żeby łamał barmań- skie zasady, więc kiedy już cofnę rękę, usiądziemy sobie obaj spokojnie i zagramy w miłe szarady. Więc puszczam... już.

Barman wychrypiał jakieś przekleństwo i dodał:- Nie musiał pan tego robić, komendancie! Mam słabe płuca!

- Nie aż tak słabe, jak mogłyby być, panie Jiminy. A teraz słówko na temat bycia za sprytnym. Jestem porządnym gliną. Nie zabijam ludzi, jeśli oni nie próbują mnie zabić. Zapewne wie pan, że mam kamerdynera, pana Willikinsa. Widział go pan przedwczoraj. Niestety, jest on człowiekiem bardziej bezpośrednim, a także wyjątkowo wręcz lojalnym. Kilka lat temu, aby ratować moją rodzinę, zwykłym szpikulcem do lodu zabił uzbrojonego krasnoluda. Ma też inne talenty, wśród nich, muszę zaznaczyć, także prasowanie koszuli tak gładko, jak chyba nikt inny spośród znanych mi osób. No i, jak wspomniałem, jest bardzo lojalny. Ale do rzeczy, Jiminy. Ja jestem gliną i ty jesteś gliną. Bo jesteś, cokolwiek byś mówił: tej skazy nie da się wyczyścić. Wiem, co możesz zrobić, i ty wiesz, co ja mogę zrobić, a masz dość rozsądku, by stanąć po właściwej stronie.

- No dobra, nie musi mi pan stale przypominać - burknął Jiminy. - Obaj wiemy, na czym to polega. - Jego głos stał się nagle niemal teatralnie usłużny. - Jak mogę pomóc, panie władzo, jako dobry obywatel, którym jestem?

Vimes bardzo ostrożnie wyjął z kieszeni małą urnę. Rzeczywiście, miała mniej więcej rozmiar tabakiery. Nie mógł nie pomyśleć o tym zbiegu okoliczności: w jednej kieszeni trzymał ten wspaniały klejnot, całkiem możliwe, że pojemnik na smarki goblina, w drugiej własną małą tabakierkę. Jakże byłoby śmiesznie, gdyby je pomylił...

Jiminy wyraźnie zareagował, kiedy zobaczył urnę, choć pewnie uważał, że nic po sobie nie dał poznać. Istnieje subtelna różnica między ukrywaniem swej reakcji i pokazywaniem, że się ukrywa swoją reakcję.

- Dobrze już, dobrze, panie Vimes, ma pan rację. Tacy starzy gliniarze jak my nie muszą się bawić w podobne gierki. Poddaję się. Wiem, co to jest. Prawdę mówiąc, widziałem niedawno całkiem podobne.

-I...?

- Mogę podać nazwisko, Vimes, bo czemu nie? Bo ten gość to wariat i opryszek, i nie pochodzi z tej okolicy. Nazywa się Stratford, a przynajmniej tak na niego mówią. Groźny typ, takich człowiek woli nie widzieć w drzwiach swojego pubu, przyznaję to całkiem szczerze. Na szczęście nieczęsto tu bywa. Przedwczoraj widziałem go pierwszy raz od miesięcy. Nie wiem, gdzie ma melinę, ale ten zasmarkany dureń, który się z nim kręcił, nazywa się Ted Flutter, pracuje dla młodego lorda Rusta w Hangnails. Jego lordowska mość robi wielkie interesy na tytoniu, tak słyszałem...

Jiminy przerwał.

Vimes zrozumiał to dokładnie tak, jak chciał Jiminy, co do tego nie miał wątpliwości. Lord Rust coś kombinował i sugerując to, Jiminy rzucał Vimesowi kość, żeby zyskać spokój. Niektórzy uznaliby to za podłe, ale w końcu typ był ekspolicjantem.

Tymczasem Jiminy chrząknął lekko, próbując znaleźć dla Vime- sa kolejną ofiarę.

- Ten Flutter, wie pan, to trochę ciemny typ. Jeśli ktoś potrzebuje pomocy przy tym czy owym, on jest takim facetem, który będzie stał na czujce albo któremu każą sprzątnąć kości. Kiedy nic nie kombinuje, chyba podpiera ściany. Prowadzi farmę indyków przy drodze do Nawisu. Nie można jej przeoczyć, bo cuchnie. On nie dba o ptaki, często nie ma go w domu, moim zdaniem.

Vimes skorzystał z oferty.

- Tytoń, co? Rzeczywiście, panie Jiminy, tak mi się wydawało, że czuję tu więcej tytoniu, niż mógłbym się spodziewać. Oczywiście, jako policjant, przyjrzę się może tej sprawie, jeśli czas pozwoli.

Mrugnął, a Jiminy porozumiewawczo skinął głową. Atmosfera nieco się poprawiła.

- Czasem przywożą tu nocą parę beczek i odbierają, kiedy im wypadnie - rzekł Jiminy. - Jasne, wiem, że podatki i tak dalej, ale nie widzę, jak mogłoby to komukolwiek zaszkodzić. A skoro już tak dobrze się rozumiemy, komendancie, to muszę poinformować, że mieszkam tu dopiero od trzech lat. Słyszałem, że coś działo się wcześniej, może załatwili parę goblinów, ale nie wiem, nie moja sprawa. Nie wiem po co, nie wiem kto, jeśli pan rozumie, co mam na myśli.

Vimes zauważył, że Jiminy zaczął się pocić. Są jednak sytuacje, kiedy reakcja, jakiej wymaga zwykła ludzka przyzwoitość, nie służy wyższym celom, więc tylko powiedział:

- Któregoś dnia, panie Jiminy, przyprowadzę tutaj damę. Chętnie obejrzy pański lokal.

Jiminy zdziwił się, ale odrzekł uprzejmie:

- Będę niecierpliwie czekał na tę okazję, komendancie.

- Chcę przez to powiedzieć - rzekł Vimes - że jeśli nad barem nadal będzie wisiała głowa goblina, to po mojej kolejnej wizycie zdarzy się tajemniczy pożar. Rozumiemy się? Nie wątpię, że woli pan dbać o dobre kontakty z lordem Rustem i jego kumplami, ponieważ trzymanie z potężnymi zawsze się opłaca. Wiem to dobrze. Przekona się pan, że jestem przyjacielem, panie Jiminy, a chciałbym przy tym zasugerować, że nie leży w pańskim interesie, by komendant Vimes był pańskim wrogiem. To taka dobra rada, wie pan, między nami gliniarzami...

- Nikt nigdy nie powie, że funkcjonariusz Jiminy nie wiedział, skąd wieje wiatr. - Głos Jiminy'ego wręcz ociekał słodyczą. - A że zechciał pan łaskawie odwiedzić mój pub, skłonny jestem uznać pogląd, że zaczął wiać z Vimesem.

Vimes zaczął zbierać się do wyjścia. Otworzył klapę piwnicy.

- Och, ja tak samo, panie Jiminy, ja tak samo. I jeśli kiedykolwiek kurek na dachu wskaże wiatr z innej strony, odgryzę mu ten głupi łeb!

Jiminy uśmiechnął się niepewnie.

- Czy pańska jurysdykcja sięga aż tutaj, komendancie?

I został szarpnięty za koszulę, aż jego nos znalazł się o cal od twarzy Vimesa, oko w oko.

- Spróbuj się przekonać - warknął Vimes.

* * *

Czując się przyjemnie ożywiony po tym interludium, Vimes ruszył truchtem aleją prowadzącą do wzgórza; pannę Beedle i Łzy Grzybów znalazł przed domkiem pisarki. Na oko sądząc, zbierały jabłka - z boku stało kilka pełnych koszy. Sądził, że Łzy Grzybów uśmiechnęła się na jego widok, chociaż tak naprawdę kto mógłby zgadnąć? Trudno jest coś wyczytać z twarzy goblina.

Urna została sumiennie wymieniona na obrazek, a Vimes nie mógł nie zauważyć - bo zawsze starał się zauważać - że i on, i dziewczyna próbują dyskretnie obejrzeć cenne obiekty, tak by nie urazić drugiej strony. Był pewien, że słyszy, jak panna Beedle stara się ukryć westchnienie ulgi.

- Znalazł pan mordercę? - spytała niespokojnie. Zwróciła się do dziewczyny. - Zaczekaj w domu, kochanie, a ja porozmawiam z komendantem Vimesem, dobrze?

- Tak, panno Beedle. Pójdę teraz do domu, tak jak pani prosiła.

I znów to samo: mowa z małych pudełek, otwierających się i zamykających wedle potrzeby.

Dziewczyna zniknęła za drzwiami.

- Uzyskałem informację - powiedział Vimes - że dwaj mężczyźni byli w pubie w noc zabójstwa i jeden z nich z całą pewnością miał urnę. Żaden z nich, jak zrozumiałem, nie jest filarem społeczeństwa.

Panna Beedle klasnęła w dłonie.

- To świetnie, prawda? Teraz mają prawnie przerąbane!

Vimes zawsze czuł się trochę zakłopotany, kiedy cywile usiłowali
mówić do niego tym, co uważali za język „policyjny". Zresztą, jeśli już o to chodzi, nie cierpiał myślenia o nich „cywile". Kim bowiem jest policjant, jeśli nie cywilem w mundurze i z odznaką? Ale ostatnio przyjęło się tak określać ludzi, którzy nie są policjantami. To niebezpieczny zwyczaj, bo kiedy już policjanci przestaną być cywilami, muszą się stać żołnierzami.

Westchnął.

- O ile wiem, droga pani, posiadanie gobliniej urny nie jest nielegalne. Podobnie jak bycie uznawanym za niefilar społeczeństwa. Czy gobliny jakoś podpisują swoje urny?

- O tak, komendancie, naturalnie. Urny goblinów zawsze się odróżniają. Czy ci przestępcy mają jakiś modus operandi?

Vimesowi zamarło serce.

- Nie, i nie sądzę, żeby go rozpoznali, nawet gdyby się trafił.

Starał się mówić stanowczym tonem, gdyż panna Beedle wyglądała, jakby zaraz miała pobiec do domu po szkło powiększające i psa gończego.

I nagle, padając na świat niczym tęcza dźwięku, napłynęła muzyka z otwartego okna domku. Vimes słuchał z rozdziawionymi ustami, całkiem zapominając o rozmowie.Jego łaskawość diuk Ankh, komendant sir Samuel Vimes nie należał do ludzi, którzy starają się bywać na koncertach muzyki klasycznej, a nawet dowolnej muzyki, jeśli nie można jej sobie gwizdać po drodze do domu. Najwyraźniej jednak przynależność do arystokracji łączyła się z wymaganiem bywania w operze, na balecie i tylu muzycznych wydarzeniach, na ile Sybil zdołała go zawlec. Na szczęście zwykle zajmowali tam lożę, a Sybil, skoro już doprowadziła go na przedstawienie, uznawała, że nie musi go doprowadzać do przytomności. Coś jednak przesączało się do umysłu i to wystarczało, by wiedział, że to, co w tej chwili słyszy, to prawdziwa sztuka, wybitna - nie można było zanucić melodii i w żadnym momencie nikt nie wołał „Brawo! Dać im banana!". To była sama kwintesencja muzyki, dźwięki, które sprawiały niemal, że miało się ochotę paść na kolana i obiecać, że będzie się lepszym człowiekiem.

Bez słowa spojrzał na pannę Beedle.

- Jest bardzo dobra, prawda? - powiedziała.

- To harfa, tak? Goblin gra na harfie?

Panna Beedle robiła wrażenie nieco zakłopotanej tym zamieszaniem.

- Oczywiście, a dlaczego by nie? Zabawne, ale te jej duże dłonie doskonale sobie radzą z instrumentem. Nie wydaje mi się, żeby rozumiała już koncepcję zapisu nutowego, a czasem muszę jej pomagać przy strojeniu, lecz gra rzeczywiście dobrze. Niebiosa wiedzą, skąd się bierze ta muzyka...

- Z niebios? - odparł Vimes i dodał niecierpliwie: - Jak długo ona będzie grała? Zdążę sprowadzić tu Sybil?

Nie czekał na odpowiedź, tylko pobiegł drogą, wspiął się na bramę, skłonił stadko owiec do rozbiegnięcia się na wszystkie strony, zaklął na furtkę, przeskoczył nad ha-ha, zupełnie zignorował he-he i całkowicie ominął ho-ho. Popędził podjazdem, wbiegł pędem na schody i szczęśliwie przekroczył frontowe drzwi dokładnie w chwili, kiedy lokaj je otworzył.

Sybil popijała herbatę z grupką pań, co wydawało się obowiązkową popołudniową procedurą. Vimes oparł się o ścianę.

- Musisz przyjść i posłuchać tej muzyki - wysapał. - Weź Młodego Sama! Zabierz te damy, jeśli zechcą pójść, ale cokolwiek zrobisz, chodź zaraz! W życiu nie słyszałem czegoś tak znakomitego!

Sybil rozejrzała się po paniach przy stole.

- No wiesz, Sam, właśnie się rozchodziłyśmy. Wyglądasz na zmęczonego... Czy coś się stało? - Patrzyła błagalnie na przyjaciółki, które wstawały już z miejsc. - Mam nadzieję, że panie wybaczą. Tak trudno jest być żoną ważnego człowieka... - W ostatnich słowach ukryta była niewielka szpilka. - Jestem pewna, Sam, że cokolwiek to jest, może zaczekać, aż pożegnam się z gośćmi, prawda?

Tak więc Sam Vimes ściskał dłonie, uśmiechał się i denerwował, aż zaszczebiotała ostatnia szczebiotka i drzwi zamknęły się za ostatnią z dam.

Kiedy Sybil już pomachała ostatniej karocy, wróciła do środka, opadła na fotel przed Samem i wysłuchała jego nieskładnej opowieści.

- Chodzi o tę młodą goblinią dziewczynę, którą panna Beedle uczy mówić?

Vimes był cały rozgorączkowany.

- Tak! I ona gra cudowną muzykę! Cudowną!

- Samie Vimes, kiedy zabieram cię na koncert, zasypiasz po dziesięciu minutach. Wiesz o tym? Przekonałeś mnie. No to chodźmy.

- Dokąd? - zapytał Vimes, przepełniony mężowską konfuzją.

Sybil udała zdziwienie.

- No jak to? Posłuchać, jak ta młoda dama gra na harfie, oczywiście. Zdawało mi się, że tego właśnie chciałeś. Pójdę po płaszcz, a ty przyprowadź Młodego Sama, dobrze? Jest w laboratorium.

Zdumienie Vimesa tylko się akumulowało.

- W czym?

- W laboratorium, Sam! Wiesz, że miałam wśród przodków słynnych majsterkowiczów, prawda? Willikins jest tam z nim i o ile mi wiadomo, przeprowadzają analizę jakiegoś... powiedzmy, ekskrementu. Dopilnuj, żeby obaj umyli ręce, bardzo dokładnie - dodała, wychodząc już z pokoju. - Powiedz im też, że byłam bardzo dobitna, i wytłumacz Samowi, co to znaczy dobitna.

Powóz został pusty na drodze. Nie ośmielili się stukać do drzwi, nie wtedy, kiedy z okna domku płynęła ta niebiańska muzyka. Sybil była we łzach, choć często podnosiła głowę i mówiła coś w stylu:

- To nie powinno być możliwe na harfie!

Nawet Młody Sam stał jak skamieniały, z otwartą buzią, a muzyka płynęła i przez jedną chwilę na świecie wznosiła wszystkie serca i wybaczała wszystkie grzechy. Nie musiała się namęczyć w przypadku Młodego Sama, jak zdołał mało przytomnie pomyśleć Vimes, lecz wykonywała wspaniałą i ciężką robotę na jego ojcu.

W końcu ucichła.

- Jeszcze - zażądał Młody Sam i rodzice zgodzili się z nim całkowicie.

Stali tak, spoglądając na siebie nawzajem, aż drzwi domku się otworzyły i wyszła panna Beedle.

- Zauważyłam was, oczywiście. Proszę, wejdźcie, ale cicho. Zrobiłam lemoniadę.

Poprowadziła ich przez korytarz do salonu.

Musiała wcześniej uprzedzić Łzy Grzybów. Dziewczyna siedziała na krześle obok harfy, skromnie złożywszy na fartuchu swe duże dłonie. Młody Sam bez słowa podszedł i objął ją za nogę. Dziewczyna wydawała się przerażona, więc Vimes uznał, że należy ją uspokoić.

- Nie obawiaj się, on tylko chce pokazać, że cię kocha.

I pomyślał: Właśnie powiedziałem goblince, żeby się nie bała mojego syna, bo on ją kocha, a świat odwrócił się do góry nogami
i wszystkie grzechy zostały darowane, oprócz być może moich.

* * *

Kiedy powóz turkotał wolno w stronę Ramkinowego Dworu, lady Sybil zwróciła się do Vimesa.

- Jak rozumiem, ta młoda goblinia dama, która została... zamordowana, umiała grać na harfie tak dobrze jak panna Grzyby.

Vimes ocknął się z zamyślenia.

- Nie wiedziałem - przyznał.

- Ależ tak - zapewniła Sybil dziwnie gawędziarskim tonem. - Najwyraźniej panna Beedle chce dać goblinim dziewczętom coś, z czego mogą być dumne. - Odchrząknęła i po krótkiej chwili spytała: - Masz jakichś podejrzanych, Sam?

- O tak, dwóch. Mam zeznanie godnego zaufania świadka, że byli w tej okolicy, i zaczynam już rozważać ciąg wydarzeń, który może mnie doprowadzić do miejsca pobytu pana Jeffersona, kowala. To przecież wieś. Wszyscy widzą, gdzie kto idzie, a nigdy nie wiadomo, kto stoi za żywopłotem. Wydaje mi się, że słyszeli, jak zaprasza mnie do Zagajnika Trupa w to, co „Puls" nazwałby „pamiętną nocą".

Sybil zerknęła na Młodego Sama, który drzemał między nimi.

- Wiesz, gdzie mieszkają? - spytała.

- Tak, w każdym razie jeden z nich. Podejrzewam, że drugi się tu kręci, jak to mówią.

Chrzęst żwiru pod kołami zdradził, że znaleźli się na podjeździe.

Sybil znów odkaszlnęła.

- Obawiam się, że mogłeś odnieść wrażenie - rzekła cichym głosem - iż jestem wobec ciebie nieco zgryźliwa, Sam, kiedy zdarzało się, że twoje zawodowe problemy komplikowały nam wakacje. W pewnych sytuacjach mogłam być nieco... bezceremonialna.

- Ależ skąd, Sybil. W pełni rozumiem twoje obawy.

Zdawało się, że lady Sybil przydałyby się krople na kaszel, jednak mężnie mówiła dalej:

- Sam, byłabym bardzo zobowiązana, gdybyś zdecydował się może zabrać Willikinsa do tego miejsca, gdzie ci parszywcy zatruwają świat swoim istnieniem, i postawić ich przed obliczem sprawiedliwości, gdybyś był tak uprzejmy.

Wyczuwał, że żona trzęsie się ze złości.

- Planowałem uczynić to jak najszybciej, kochanie, ale muszę cię ostrzec, że nie będzie to w pełni zgodne z przepisami. W końcu jestem tu poza granicami swojej jurysdykcji.

- Zawsze trzymasz się przepisów i podziwiam to, Sam, lecz jurysdykcja dobrego człowieka rozciąga się aż do końca świata. Tylko że do kogo ich zaprowadzisz? Havelock by ich powiesił, wiesz dobrze. Ale jest daleko stąd. Mimo to, Sam, jednego jestem pewna: najgorsze, co możesz zrobić, to nic. Załatw ich, Sam!

- Właściwie, Sybil, myślałem, żeby postawić ich przed lokalnymi władzami...

- Co takiego?! To okropna banda, najwyraźniej wykorzystująca prawo do własnych celów! Podniesie się straszliwy smród!

- Tak, skarbie? - Vimes się uśmiechnął. - Naprawdę tak uważasz?

* * *

Nie warto jeszcze iść do łóżka, uznał Vimes późnym wieczorem, więc pocałował żonę na dobranoc i poszedł do pokoju bilardowego, gdzie Willikins z roztargnieniem ćwiczył jedną z bardziej akceptowalnych społecznie umiejętności, które zdobył w okresie swej burzliwej młodości. Wyprostował się, kiedy wszedł Vimes.

- Dobry wieczór, komendancie - powiedział. - Ma pan ochotę na drinka dla podtrzymania sił?

Vimes zapalił też cygaro, ponieważ... ponieważ co komu z pokoju bilardowego bez dymu snującego się między lampami i barwiącego powietrze smętnym błękitem, kolorem umarłych nadziei i utraconych szans?

Willikins, który znał protokół, odczekał, aż Vimes wykona uderzenie. Dopiero wtedy zakaszlał dyskretnie.

- Brawo, sir. Jak rozumiem, lady Sybil jest nieco poirytowana sytuacją z goblinami, sir. Moją opinię opieram na tym, że spotkałem ją niedawno na korytarzu i użyła języka, jakiego nie słyszałem z ust kobiety od śmierci mojej ukochanej matki, niech bogowie mają w opiece jej duszę, o ile zdołają ją znaleźć. Ale raz jeszcze muszę pogratulować, sir.

Vimes odłożył kij.

- Chcę dorwać ich wszystkich, Willikins. Nie ma sensu przymykać jakiegoś miejscowego opryszka.

- W samej rzeczy, komendancie. Chodzi przecież o to, żeby wbić czarną.

Vimes spojrzał ponad swym ognistym drinkiem.

- Domyślam się, Willikins, że w swoim czasie musiałeś dużo grać. Widziałeś kiedyś Biodrowego Williamsa? Bardzo religijny, na swój sposób, mieszkał niedaleko Podwórca Kwoki i Kurczaków razem z siostrą i grał, jak jeszcze nie widziałem przedtem ani potem. Przysiągłbym, że po jego uderzeniu bila wyskakiwała nad stół, przetaczała się po krawędzi i spadała na sukno dokładnie tam, gdzie chciał, żeby od razu potoczyć się do łuzy. - Mruknął coś z satysfakcją. - Oczywiście, wszyscy powtarzali, że to oszustwo, ale on stał tylko, pokorny jak owca, i powtarzał: „Bila wpadła". Prawdę mówiąc, chyba nigdy go nie pobili, bo przyglądanie się jego grze to była czysta edukacja. Kiedyś trafił w łuzę z odbicia o lampę i kufel piwa. Ale, jak powiedział, bila wpadła. - Rozluźnił się. - Kłopot polega na tym, niestety, że w prawdziwym życiu zasady są bardziej rygorystyczne.

- W samej rzeczy, komendancie - zgodził się Willikins. - Tam, gdzie ja grywałem, jedyna reguła mówiła tyle, że jeśli się walnie przeciwnika kijem w głowę, trzeba umieć bardzo szybko uciekać.

Jak zrozumiałem informacje lady Sybil, dziś w nocy będzie pan potrzebował mojej pomocy?

- Tak, bardzo proszę. Wyruszamy do wioski Hangnails, jakieś dwadzieścia mil w górę rzeki.

Willikins kiwnął głową.

- Oczywiście, sir. Kiedyś była to posiadłość rodu Hangnailów, w szczególności sędziego Hangnaila, który znany był z tego, że nigdy nie wierzył w niczyje zapewnienie o niewinności, zakładał bowiem, że przestępcy zawsze kłamią. Zupełnym przypadkiem był też czcigodnym mistrzem Kompanii Powroźników i Splataczy. Przy odrobinie szczęścia nie zobaczymy już podobnych do niego.

- Doskonale, Willikins. A po drodze zatrzymamy się jeszcze, żeby zabrać naszego dzielnego młodego funkcjonariusza, który zagwarantuje, że wszystko dzieje się zgodnie z zasadami. Zamierzam bardzo tego pilnować.

- Miło mi to słyszeć, sir - zapewnił Willikins. - Ale proszę pamiętać: jakie to będzie mieć znaczenie, kiedy już bila wpadnie?

Pani Upshot otworzyła drzwi domku, krzyknęła krótko, zatrzasnęła drzwi, otworzyła drzwi, żeby przeprosić za trzaśnięcie, a potem zamknęła drzwi ostrożnie, pozostawiając Vimesa na progu. Trzydzieści sekund później drzwi otworzył Feeney, w nocnej koszuli na wpół wciśniętej do spodni.

- Komendant Vimes! Czy coś jest nie w porządku? - zapytał, mężnie próbując wcisnąć za pasek resztę nocnej koszuli.

Vimes energicznie zatarł ręce.

- Tak, starszy funkcjonariuszu Upshot, prawie wszystko, ale pewną część tego z waszą pomocą da się naprawić. W sprawie zabójstwa tej gobliniej dziewczyny uzyskałem dostateczne informacje, by dawały podstawy do zatrzymania i przesłuchania dwóch mężczyzn. To wasz teren, więc mówiąc jako profesjonalista, uważam za właściwe i słuszne, byście współpracowali ze mną podczas aresztowania. - Zrobił krok do wnętrza domku, tak że młody człowiek zobaczył twarz kamerdynera. - Znacie chyba Willikinsa. Zgłosił się na ochotnika, by poprowadzić powóz i oczywiście zaopatrzyć mnie w czystą białą koszulę, gdyby była potrzebna.

- Jassne - zasyczał Willikins i mrugnął do Vimesa porozumiewawczo.

- Starszy funkcjonariuszu Upshot, będę zobowiązany, jeśli uzbroicie się w to, co uważacie za przydatne, a że nie macie tu pary kajdanek wartych złamanego szeląga, choć przykro mi to mówić, to czy przynajmniej potraficie zdobyć jakiś sznur?

Na twarzy Feeneya Upshota pojawiła się cała paleta sprzecznych emocji. Będę pracował ze sławnym komendantem Vimesem - hurra! Ale to duża i poważna sprawa - ojoj... Ale to jakbym został prawdziwym policjantem - hurra! Za to w łóżku czeka już termofor z gorącą wodą - ojoj... Jeśli coś pójdzie nie tak, to przecież diuk Ankh jest właścicielem prawie całej okolicy, więc będzie musiał wziąć wszystko na siebie - hurra! I może jeśli się zasłużę, dostanę robotę w mieście i mama będzie mogła zamieszkać w domu, gdzie nie trzeba leżeć bezsennie przez pół nocy i słuchać, jak myszy walczą z karaluchami* - hurra!

Obserwowanie twarzy Feeneya w blasku świecy było prawdziwą radością dla Vimesa, zwłaszcza że chłopak poruszał ustami przy myśleniu.

-Jestem przekonany, starszy funkcjonariuszu Upshot, że wasza pomoc w tej akcji będzie miała znaczący wpływ na waszą przyszłą karierę.

Ostatnia uwaga sprawiła, że pani Upshot, wyglądająca zza ramienia syna, zarumieniła się z dumy.

- Słuchaj, co mówi jego łaskawość, Feeney! Może coś wreszcie z ciebie wyrośnie, zawsze ci to powtarzam! Żadnych dyskusji! Ruszaj, byle szybko!

Ta matczyna porada została zaakcentowana przez podskoki pani Upshot - tak szybkie, że można by ją wykorzystać jako napęd maszyny do szycia. Dzięki niebiosom za stare matki, myślał Vimes, kiedy Feeney wsiadł w końcu do powozu z butelką gorącej herbaty, zapasową parą czystych gatek i połówką szarlotki.

Koła się zakręciły. Gdy Feeney skończył już machać matce przez okno, Vimes - starając się utrzymać równowagę - ostrożnie zapalił spirytusową lampkę, jedyne oświetlenie powozu.

* Niestety, funkcjonariusz Upshot żywit zbyt wielkie nadzieje; w Ankh-Morpork myszy i karaluchy postanowiły zapomnieć o dzielących je różnicach i zjednoczyć siły przeciwko ludziom.

- Będę wdzięczny, mój chłopcze - powiedział - jeśli skupisz się i zapiszesz w notesie wszystko, co mówiłem, odkąd zjawiłem się dziś wieczorem. Może to być przydatne dla nas obu. - Feeney praktycznie zasalutował, a Vimes mówił dalej: - Kiedy wcześniej zobaczyliśmy tę zamordowaną goblinią dziewczynę, Feeney, zapisałeś to w notesie?

- Tak jest, sir! - Feeney prawie zasalutował po raz drugi. - Dziadek zawsze powtarzał, żeby zapisywać w notesie wszystko!

Podskoczyli na siedzeniach, kiedy koło powozu trafiło na kamień. Vimes odezwał się znowu cichym głosem:

- A czy ci mówił, żebyś czasem przypadkiem odwrócił dwie kartki naraz, żeby tu i tam pojawiła się czysta strona?

- Nie, sir, nie mówił. A powinienem?

Znowu podskoczyli.

- Formalnie biorąc, chłopcze, odpowiedź brzmi: nie, zwłaszcza jeśli nie pracujesz ze mną. Teraz zanotuj to wszystko, tak jak prosiłem. A że nie jestem już taki młody jak ty, spróbuję się trochę zdrzemnąć.

- Tak jest, sir. Rozumiem, sir. Tylko jedna sprawa, sir. Pan Sto- ner, sekretarz magistratu, odwiedził mnie dziś przed wieczorem, żeby pogawędzić, i mówił, żebym się tak nie przejmował tą goblin- ką, bo gobliny są oficjalnie szkodnikami i robactwem. Był bardzo grzeczny, przyniósł trochę brandy dla mamy i powiedział jeszcze, że jest pan eleganckim dżentelmenem, ale czasem popada pan w obsesje, a to z powodu tego, że należy pan do klas wyższych i traci pan kontakt, sir. Sir? Zasnął pan, sir?

Vimes odwrócił głowę.

- Zapisałeś to w notesie, chłopcze? - zapytał słodkim głosem.

- Tak jest, sir.

-A jednak wsiadłeś ze mną do tego powozu? Dlaczego, Feeney?

Kamienie grzechotały za nimi i minęła dłuższa chwila, zanim Feeney Upshot uporządkował myśli w sposób dostateczny.- No więc, komendancie, pomyślałem sobie, że owszem, pan Stoner to ważny człowiek, mniej więcej, ale komendant Vimes też, tylko że jest jeszcze diukiem, a zatem bardzo, bardzo ważnym człowiekiem, a jak się trafi między dwóch ważnych ludzi, lepiej wybrać tego ważniejszego, żeby stanąć po jego stronie. - Usłyszał burknięcie Yimesa. - A potem, sir, pomyślałem jeszcze, no, że przecież byłem tam i widziałem tę nieszczęsną dziewczynę i co z nią zrobili, i przypomniałem sobie, jak Stoner próbował zrobić ze mnie durnia, każąc aresztować pana osobiście, sir, i myślałem o goblinach, sir, tak sobie myślałem, że są brudne i cuchną, ale ten stary goblin płakał, a zwierzęta nie płaczą, prawda, i jeszcze robią różne rzeczy, bardzo piękne rzeczy, no a jeśli chodzi o podkradanie naszych resztek i bycie ogólnie upapranym, to nie brak w okolicy ludzi pod tym względem nie do pobicia, niejedno mógłbym opowiedzieć, no to pomyślałem jeszcze trochę, i... tego... pomyślałem, że pan Stoner musiał chyba coś pokręcić.

Zadudniło, gdy powóz przetoczył się przez most, a potem znowu zachrzęściły pod kołami ubite kamienie.

- Dobrze, sir? - upewnił się Feeney nerwowo.

Czekał niespokojnie, aż zabrzmiał głos Vimesa, tym razem tonem zamyślenia.

- Wiesz, chłopcze, jak się nazywa ta przemowa, którą właśnie wygłosiłeś?

- Nie wiem, sir. To tylko to, co sobie myślałem.

- Nazywa się odkupienie, Feeney. I tego się trzymaj.

* * *

Vimes ocknął się z drzemki, w której śnił o Młodym Samie grającym na harfie. Zanim się zorientował, że to tylko sen, turkot kół powozu zmienił się wyraźnie i przycichł, kiedy zwolnili i się zatrzymali.

Willikins otworzył okienko służące do rozmów między woźnicą i pasażerami.

- Proszę się zbudzić, sir, jesteśmy jakieś ćwierć mili od Hangna- ils, liczba mieszkańców trzydzieści siedem i wszyscy głupi. Indyki czuje się nawet tutaj, a wolałbym nie, do demona, proszę wybaczyć mój klatchiański. Uznałem, że lepiej będzie resztę drogi przejść cicho i na piechotę, sir.

Vimes wysiadł i tupnął kilka razy, żeby pobudzić mięśnie. W powietrzu unosił się dziwnie przenikliwy odór ptaków; gobliny nawet w połowie tak nie dręczyły zatok. Ale była to tylko drobna niedogodność wobec dreszczu podniecenia, tak jest, podniecenia. Kiedy ostatnio prowadził taką akcję o świcie? Zbyt dawno, ot co;

teraz taką robotę załatwiali kapitanowie i starsi sierżanci, a on siedział w gabinecie, choć to przecież on był Strażą Miejską Ankh- -Morpork.

Ale nie dzisiaj.

Ruszyli przez sięgające kolan opary.

- Wy, starszy funkcjonariuszu Upshot - polecił szeptem - na mój sygnał zaczniecie dobijać się do drzwi frontowych. Ja się ustawię przy drzwiach kuchennych, na wypadek gdyby ten dżentelmen próbował dać drapaka. Jasne?

Zbliżyli się do obejścia i rzeczywiście, okazało się, że ich dwóch z pewnością wystarczy. Dom wydawał się ledwie dość duży na dwoje drzwi, a o trzech nie mogło być mowy.

- Co mam powiedzieć, komendancie? - syknął Feeney.

- Do licha, jesteś synem i wnukiem gliniarzy, mój chłopcze. Nie wiesz, co należy krzyknąć, do demona?! Dam ci wskazówkę: to nie powinno zawierać słowa „proszę". Gwizdnę, kiedy już zajmę pozycję, zrozumiano? Dobrze.

Przeszli ostrożnie przez cuchnące podwórze, a Vimes zajął stanowisko na tyłach, kawałek od kuchennych drzwi. Zażył szczyptę tabaki, żeby oczyścić powietrze z indyków, i gwizdnął cicho.

- Otwierać w imieniu prawa! Jesteś otoczony! Masz minutę, żeby otworzyć! Mówię poważnie! Otwórz drzwi! Tu policja!

Oparty swobodnie o ścianę Vimes niechętnie ocenił okrzyk jako całkiem niezły jak na początkującego; odjął jeden punkt za „Mówię poważnie", a potem wysunął nogę, kiedy przez drzwi wybiegł jakiś mężczyzna.

- Dzień dobry, drogi panie. Jestem komendant Vimes i mam nadzieję, że pan jest w stanie przypomnieć sobie swoje nazwisko.

Indyki w szopach dostawały szału, powodując lekkie wzmocnienie odoru. Mężczyzna podniósł się z trudem i rozejrzał nerwowo.

- O tak, może pan uciekać, na pewno - rzekł Vimes konwersa- cyjnym tonem. - Jednakże inni mogliby wtedy uznać, iż sugeruje to istnienie powodu do ucieczki. Co prawda osobiście skłonny jestem się zgodzić, że ktoś zatrzymany przez policję powinien wiać ile sił, winny czy nie, dla samej zasady. Poza tym ostatnio obrastamy tłuszczem i przyda się nam trochę ruchu. Więc niech pan ucieka, jeśli ma pan ochotę, panie Flutter, boja też potrafię biegać, i to bardzo szybko...

Teraz jednak Flutter uśmiechał się już jak człowiek, który uważa, że glina nie jest zbyt mądry.

- Założę się, że nie masz pan nakazu od magistratu, co?

- No, no, panie Flutter, a czemuż to tak pan uważa? Może pan myśli, że w magistracie nie mogą wystawić nakazu aresztowania pana? A przy okazji, dziękuję za wskazanie, gdzie są przechowywane beczki z tytoniem. Pańska pomoc zostanie wzięta pod uwagę.

Zdarzają się złe dni, jak wtedy, kiedy trzeba patrzeć na okaleczone ciało młodej kobiety. Ale zdarzają się też dobre dni, kiedy podejrzany rzuca nerwowo wzrokiem na koniec podwórza, pokazując dokładnie, gdzie ukrył towar.

- Oczywiście opowiem władzom o pańskiej współpracy. I na pewno wspomnę o niej w miejscowym pubie.

Flutter zaczął sobie wyobrażać skutki uznania za kogoś w rodzaju kapusia, więc dość nierozsądnie spróbował zaprzeczenia.

- Nic ci nie powiedziałem o żadnym tytoniu, glino!

W tej właśnie chwili, wznosząc swą straszliwą pałkę, zza rogu wyłonił się Feeney z niemal komicznie agresywnym wyrazem twarzy.

- Jeśli pan chce, komendancie, żebym dał mu szybką lekcję, wystarczy słowo!

Vimes przewrócił oczami z udawanym zdziwieniem.

- Nie ma potrzeby, Feeney, naprawdę nie ma potrzeby. Pan Flutter nie może się doczekać, żeby zacząć mówić. Rozumiecie?

Flutter uznał, że dobrym rozwiązaniem będzie zaapelować do Feeneya.

- Posłuchaj, Feeney, przecież mnie znasz...

Więcej powiedzieć nie zdążył, gdyż Feeney mu przerwał:

- Dla ciebie funkcjonariusz Upshot! Mój tato ze dwadzieścia razy stawiał cię przed sędzią. Nazywał cię muchą plujką, bo gdzie tylko zaczynało coś śmierdzieć, tam na pewno można było znaleźć cię w pobliżu! Kazał mi na ciebie uważać i właśnie to robię!

Zerknął na Vimesa, który z aprobatą kiwnął głową.

- Mój problem polega na tym, panie Flutter - powiedział - że nie przyszliśmy tu na rozmowę o przemycie tytoniu, jasne? Nigdy nie uważałem się za poborcę podatków, to nie jest popularne zajęcie. Jestem gliną, prostym i skutecznym, nieprawdaż, i trzymam w garści człowieka, który wyświadczył swojemu pracodawcy przysługę, przechowując w szopie parę beczek tytoniu. Z drugiej strony jednak, gdybym w tę drugą garść złapał mordercę, to bogowie z panem, mógłbym całkiem zapomnieć o tej pierwszej... I nie będę opisywał tego dokładniej, bo obie ręce mam zajęte.

Flutter przeraził się wyraźnie.

- Chodzi o tego goblina, tak? To nie ja! No dobra, nie jestem grzecznym chłopcem, sam przyznaję, ale przecież nie jestem taki jak on! Opryszek ze mnie, ale nie morderca!

O niektórych ludziach można powiedzieć, że wyglądają, jakby cali byli w skowronkach. Feeney wyglądał, jakby był cały w skowronkach, słowikach, drozdach i kosach, a nawet indykach, wszystkich jednocześnie. Vimes spojrzał na niego i pytająco uniósł brew.

- Wierzę mu, komendancie - zapewnił chłopak. - On nie byłby do tego zdolny. Najgorsze, na co go stać, to przewrócić jakąś staruszkę i wyrwać jej torebkę, a i tak chyba musiałaby być ślepa!

- No właśnie! - wykrzyknął tryumfalnie Flutter. - Tak naprawdę nie jestem złym człowiekiem!

- Nie, rzeczywiście - zgodził się Vimes. - Mógłbyś śpiewać w świątynnym chórze. Ja też jestem raczej religijny i lubię dokładnie poznać i księgę, i werset. Czy zatem skłonny jesteś przysiąc, że osobnik znany jako Stratford zakłuł nożem na śmierć goblinią dziewczynę na Szubienicznym Wzgórzu w pobliżu Ramkinowego Dworu trzy noce temu?

Flutter uniósł palec.

- Czy mogę zaznaczyć, że mówiłem mu, żeby dał spokój, a on się śmiał... No i nie wiedziałem przecież, że to dziewczyna... jak miałem poznać?

Twarz Vimesa była całkowicie nieruchoma.

- Powiedz mi, Ted, co byś zrobił, gdybyś wiedział? Bo mnie zaintrygowałeś.

Flutter zaczął oglądać własne buty.

- No więc ja... więc... to znaczy... nie dziewczynę, znaczy... no, nie dziewczynę... bo to, znaczy, tak nie można, wie pan, o co mi chodzi...

Właściwie w każdej okolicy znajdzie się taki niebezpieczny błazen, pomyślał Vimes.

- Jak widzę, rycerskość jeszcze nie umarła, panie Flutter - powiedział głośno. - No dobrze, Feeney, wracamy do pracy. Panie Flutter, skąd się pan wziął tamtej nocy na Szubienicznym Wzgórzu?- Poszliśmy na spacer - odparł Flutter.

- Oczywiście, panie Flutter - rzekł Vimes z kamienną twarzą, tak nieruchomą, że aż przerażającą. - Głupie pytanie zadałem, naprawdę... Funkcjonariuszu Upshot, chyba widzę tam Willikinsa, który pali papierosa... - Otworzył drzwi i pchnął więźnia do środka.

- Czy ten budynek ma piwnicę?

Fluttera i tak już tylko krok dzielił od konieczności odwiedzenia toalety, ale że był durniem tego rodzaju, który zawsze wkopuje się głębiej, zdołał parsknąć lekceważąco:

- Może i ma. Co z tego?

- Panie Flutter, powiedziałem już panu, że jestem człowiekiem religijnym, ale pan wystawiłby na próbę nawet świętą cierpliwość, więc muszę teraz poświęcić kilka chwil na ciche kontemplacje. Rozumie pan? Wie pan również, jestem tego pewien, że zawsze istnieje łatwy sposób, podobnie jak zawsze istnieje sposób trudny. Obecnie to właśnie jest łatwym sposobem, ale ten trudny sposób także jest całkiem łatwy, że tak to określę. Zanim znów z panem porozmawiam, chcę na chwilę zostać sam na sam ze swymi myślami. Przyszło mi jednak do głowy, że pańskie myśli, panie Flutter, mogą dotyczyć ucieczki, a zatem mój kolega, starszy funkcjonariusz Upshot, będzie pilnował drzwi. Poślę też mojego kamerdynera, pana Willikinsa, żeby dotrzymał panu towarzystwa.

Zanim jeszcze Vimes zdążył zastukać w okno, drzwi się otworzyły i Willikins, nieskazitelny jak zawsze, wkroczył do brudnego pomieszczenia, elegancki i czysty, w błyszczących butach i sugestią pomady na włosach. Potem Vimes pociągnął za odpowiedni z wyglądu pierścień na podłodze; odchylił klapę, odsłaniając drabinę prowadzącą do ciemnej piwnicy.

- Funkcjonariuszu Upshot, muszę pomyśleć chwilę w ciemności

- poinformował. - To długo nie potrwa.

Zszedł po drabinie i opuścił za sobą klapę.

- Ach, komendancie - odezwała się ciemność. - Nareszcie. Podejrzewam, że zjawił się pan tutaj, żeby odebrać zeznanie świadka.

To niewłaściwe, pomyślał Vimes. Jak można odebrać zeznanie od demona, zwłaszcza kiedy nie ma stałego miejsca pobytu? Jednak z drugiej strony komu potrzebne zeznanie świadka, jeśli będzie miał przyznanie się do winy?

Na górze Ted Flutter przesuwał wzrok tu i tam, analizując swoją sytuację. Popatrzmy: jeden młody dureń, który bawi się w policjanta, i jeden nadęty typ, kamerdyner, cały różowiutki i błyszczący. To znaczy, że ukochany synek pani Flutter zaraz stąd zniknie...

W tym momencie, ale dokładnie w tym momencie, Willikins, nie patrząc nawet na Fluttera, sięgnął do marynarki, po czym z trzaskiem położył przed sobą na stole stalowy grzebień. Ten grzebień lśnił. A jeszcze mocniej lśnił w wyobraźni Fluttera, któremu jeden rzut oka na minę Willikinsa wystarczył, by zdecydować, że synek pani Flutter będzie siedział bardzo grzecznie, dopóki nie wróci ten miły komendant Vimes. Tymczasem z drugiej kieszeni Willikins wyjął najostrzejszy nóż, jaki Flutter w życiu oglądał, i nie zwracając na Fluttera najmniejszej uwagi, zaczął czyścić sobie paznokcie.

Na szczęście już po kilku sekundach klapa się uniosła i wynurzył się Vimes. Skinął Willikinsowi, który bez słowa schował grzebień i wyszedł. Vimes zajął krzesło.

- Panie Flutter, mam zeznanie świadka, które potwierdza, że był pan owej nocy na Szubienicznym Wzgórzu w towarzystwie niejakiego Stratforda. Świadek twierdzi, że powiedział pan rzeczonemu Stratfordowi, że mógł pan przygotować trochę krwi indyczej, na co on odparł, że na wzgórzu jest pełno królików, a on nigdy nie pudłuje z procy. Wtedy, według zeznań świadka, młoda goblinka wyszła z krzaków, a pański towarzysz zaatakował ją, choć błagała o życie. Uderzał ją tak wściekle, że pan sam powiedział mu, zgodnie z pańskimi słowami, żeby dał spokój, na co on zwrócił się ku panu, wciąż trzymając nóż, opisany mi jako maczeta, tak szybko, że oddał pan mocz do własnych butów. Nie, proszę nic nie mówić, jeszcze nie skończyłem. Mimo to, jak mnie poinformowano, powiedział pan swemu towarzyszowi, że mieliście zostawić tylko krew, a nie, jak pan to określił, „flaki wszędzie dookoła", na co on zmusił pana do włożenia ich z powrotem do ciała i ukrycia rzeczonego ciała trochę niżej, między krzakami janowca. Nie; powiedziałem: proszę nic nie mówić! W kieszeni miał pan pasztecik przyniesiony z domu oraz trzy dolary będące zapłatą za to drobne zlecenie.

Yimes zastanowił się szybko.

- A tak. Potem pan i Stratford przeszliście pieszo do waszych koni, które zostawiliście na ten czas w zrujnowanej stodole na drugim końcu wsi. Te konie to kasztanowa klacz i szary wałach, oba wyniszczone

przez zbyt ciężką pracę. Wałach zgubił podkowę, kiedy odjeżdżaliście, a pan musiał powstrzymać swego towarzysza przed zabiciem go na miejscu. Aha, świadek zeznał również, że był pan wtedy nagi do pasa, gdyż pańska koszula całkiem przesiąkła krwią i zostawił ją pan w stodole, po kłótni ze Stratfordem. Odszukam ją, kiedy wrócimy. Pański przyjaciel sugerował też, żeby zdjął pan jeszcze spodnie, pan jednak odmówił. Już wcześniej zauważyłem na nich plamy krwi. Nie chcę ponosić kosztów wysyłania gońca do miasta, gdzie mój Igor by sprawdził, czy jest to krew ludzka, goblinia czy indycza. Powiedziałem chyba, żeby pan nic nie mówił, prawda? Nie wspomniałem tu o innych rozmowach między panem a panem Stratfordem, ponieważ słucha nas ten oto Feeney. Powinien pan być wdzięczny, gdyż plotki bywają okrutne.

Westchnął.

- A teraz, panie Flutter, zamierzam przestać mówić, po czym pierwsze słowa, jakie od pana usłyszę, powinny brzmieć... proszę dobrze uważać... „Proszę o status świadka koronnego". Owszem, zdaję sobie sprawę, że od dawna już nikt nie nosi korony, ale też nikt nie zmienił prawa. Jest pan drobnym opryszkiem, lecz z pewnym wahaniem uznaję, że został pan wciągnięty w coś poza pańską kontrolą i gorszego, niż pan sobie wyobrażał. Dobra wiadomość jest taka, że lord Vetinari prawie na pewno wysłucha mojej rady i zostawi pana przy życiu. Przypominam: „Proszę o status świadka koronnego". To właśnie chcę usłyszeć, panie Flutter, bo w przeciwnym razie wyjdę na przechadzkę, a pan Willikins uczesze sobie włosy.

Flutter, który słuchał z zaciśniętymi powiekami, wyrzucił z siebie żądaną formułę tak szybko, że Vimes musiał go poprosić, by powtórzył, ale wolniej. Kiedy skończył, pozwolono mu iść do wychodka, przy czym Willikins czekał na zewnątrz i czyścił nożem paznokcie, a Feeney został wysłany do nakarmienia szalejących indyków.

Sam Vimes zajrzał do jednej z cuchnących szop i pokłuł kijem brudną słomę w poszukiwaniu tego, o czym wiedział, że tam jest. Nie rozczarował się. Z bliska zapach tytoniu był wyczuwalny nawet wśród duszącego smrodu indyków.Vimes wytoczył beczkę i zawołał Feeneya.

- Sądzę, że ta beczka jest pełna tytoniu, a więc zamierzam ją zabrać jako dowód - oznajmił. - Twoja robota na teraz to znaleźć mi jakiś łom oraz kogoś, kogo znasz jako praworządnego obywatela,
0 ile w ogóle jest taki w tej okolicy.

- No, jest na przykład Dave, który prowadzi gospodę Pod Psem
1Borsukiem - stwierdził Feeney.

- To praworządny obywatel?

- Zdarzało mu się próbować rządzić prawem po swojemu, ale zna stawki, jeśli pan rozumie, co mam na myśli, sir.

Vimes kiwnął głową.

Po kilkunastu minutach Feeney wrócił z łomem w ręku, w towarzystwie krzywonogiego mężczyzny oraz niewielkiej gromadki ludzi, którzy mieścili się w ogólnej kategorii „przypadkowych przechodniów", a zatem chwilowo należało ich uznać za niewinnych.

Stanęli dookoła, patrząc, jak Vimes szykuje się do otwarcia beczki.

- Proszę uważać, panowie - rzekł. - Moim zdaniem ta beczka zawiera przemycane przedmioty. - Podwinął rękawy. - Jak widzicie, niczego nie ukryłem w rękawach i mam tylko ten oto łom w dłoni.

Wieko odskoczyło z pewnymi oporami i rozszedł się przemożny zapach tytoniu. A niektórzy z przechodniów uznali, że chwila jest odpowiednia, by wykorzystać cudowną okazję do nonszalanckiej przechadzki.

Vimes tymczasem jedną po drugiej wyciągał bele owiniętych w bawełnę brązowych liści.

- Nie możemy wszystkiego zapakować do powozu - stwierdził. - Ale jeśli obecny tu pan Dave zechce, jako praworządny członek społeczności, podpisać, że widział, jak wyciągałem te bele z zamkniętej wcześniej beczki, to pan, funkcjonariuszu Upshot, przyjmie od niego krótkie oświadczenie i wszyscy możemy wrócić do swoich spraw.

Feeney się rozpromienił.

- Doskonale pan to zauważył, komendancie! Tak sobie myślę, że w tym smrodzie można by ukryć cokolwiek. - Po chwili spojrzał na Vimesa pytająco. - Komendancie?

Zdawało się, że Vimes patrzy przez niego na wylot.

- Daleko zajdziecie, starszy funkcjonariuszu Upshot. Może jednak opróżnimy całą beczkę, dobrze?

Sam nie wiedział, skąd ta myśl przyszła mu do głowy. Może pochodziła z podstawowych reguł. Jeśli człowiek chciał się zająć przemytem, to jak daleko by się posunął? Wjaki rynek by celował? W jaki sposób uzyskałby najlepszy przelicznik zysku do wagi przemycanych towarów?

Wyciągał kolejne paczki, aż jedna z nich, przy samym dnie beczki, wydała się o wiele cięższa od wcześniejszych. Starając się zachować obojętny wyraz twarzy, wręczył ją Feeneyowi.

- Będę wdzięczny, jeśli z panem Dave'em rozwiniecie ten pakiet i powiecie, co widzicie wewnątrz.

Usiadł na beczce i zażył tabaki. Za sobą słyszał głośny szelest, a potem odezwał się Feeney:

- No więc, komendancie, wygląda to...

Vimes uniósł dłoń.

- Czy wygląda to jak skalny pył, Feeney?

- Tak, ale...

Vimes znów uniósł dłoń.

- Czy wydaje się, jakby były w nim małe czerwone i niebieskie plamki, kiedy spojrzeć pod światło?

Czasami odziedziczona po przodkach dusza gliniarza w Feeneyu rozpalała się entuzjazmem.

-Takjest, komendancie Vimes!

- A zatem dobrze się składa dla ciebie i twojego przyjaciela Dave'a... - Vimes raz jeszcze przyjrzał się Dave'owi i pozwolił, by wątpliwości przemówiły na jego korzyść - ...że nie jesteście trollami, bo bylibyście już obaj martwi jak kamienie. Ten proszek, który widzicie, to krystaliczny smecz, mogę postawić na to własną odznakę. Trollowe dzieciaki używają tego jako narkotyku, wiedzieliście? Biorą działkę tak małą jak wasz mały palec i wydaje im się, że mogą przechodzić przez ściany, co nieodmiennie czynią; a kiedy spróbują go jeszcze parę razy, padają trupem. Jest nielegalny na całym świecie i bardzo trudny w przygotowaniu ze względu na niemożliwy do pomylenia zapach podczas produkcji. Jest też dużo iskier. Jego sprzedaż karana jest szubienicą w Ankh-Morpork, Uberwaidzie i wszystkich miastach trolli. Diamentowy król trolli oferuje bardzo

dużą nagrodę każdemu, kto przedstawi mu dowód wytwarzania tego proszku.

Vimes zerknął z nadzieją na wspomnianego Dave'a, na wypadek gdyby chwycił przynętę. Ale nie, pomyślał, nie zrobi tego tutaj. Cały ten tytoń pochodzi z jakiejś gorącej okolicy, a to znaczy, że z bardzo daleka.

Starannie sprawdzili pozostałe beczki. Znaleźli dużo tytoniu i kilka pakietów cygar bardzo wysokiej klasy, z których jedno czy dwa Vimes schował do kieszeni na piersi w celu późniejszego przeprowadzenia bardzo dokładnej analizy. I gdzieś przy dnie każdej z beczek leżały paczki z krystalicznym smeczem, spławem, slabem, skibą i strzepem, wszystkie bardzo groźne - choć strzęp uważany był raczej za narkotyk rekreacyjny, przynajmniej przez tych, dla których pomysłem na rekreację było budzenie się w rynsztoku i zastanawianie, czyją głowę mają na karku.

Do powozu przeniesiono możliwie dużo próbek, a Yimes kazał przerwać załadunek, dopiero kiedy osie zaczęły trzeszczeć. Pozostałe beczki ustawiono w stos, po czym bardzo dumny starszy funkcjonariusz Upshot je podpalił. Gdy przechwycone narkotyki zajęły się ogniem, nastąpił krótki pokaz pirotechniki, a Vimes uznał, że to najlepsza metoda zaczynania fajerwerków.

Przybiegli sąsiedzi, żeby sprawdzić, co się dzieje, a Vimes zapewnił ich o swoich dobrych intencjach i wyjaśnił, że pan Flutter będzie przez jakiś czas nieobecny, więc czy ktoś mógłby się zająć jego indykami, jeśli można prosić... Reakcje, jakie dostrzegł, wyraźnie świadczyły, że sąsiedzi uważali świat bez pana Fluttera i jego cuchnących indyków za świat o wiele lepszy. Dlatego otworzył wszystkie szopy, by dać nieszczęsnym ptakom uczciwą szansę.

Ostatni pomysł kazał mu przywołać zdenerwowanego Dave'a.

- Diamentowy król trolli z pewnością doceni dzisiejszą pracę. Oczywiście, jako funkcjonariusze na służbie, nie możemy przyjmować żadnego wynagrodzenia...

- Nie możemy? - zmartwił się Feeney.

Vimes go zignorował.

Dopilnuję jednak, żeby pańska pomoc doczekała się odpowiedniej nagrody.

Twarz oberżysty się rozjaśniła. Jest coś takiego w słowach „diamentowy" i „nagroda" wypowiadanych jedno po drugim, co robi takie rzeczy z twarzami.

* * *

Podróżowali z zamkniętymi drzwiczkami skrzypiącego powozu, ale z uchylonym oknem, ponieważ pan Flutter w tej chwili nie należał do osób, z którymi człowiek chciałby przebywać w dowolnej zamkniętej przestrzeni. Zdawało się, że poci się indykami.

Świadek koronny! To niezły rezultat. Flutter nawet nie pomyślał, żeby się spierać, a Vimes widział jego minę, kiedy prezentował mu zeznania Przyzywającej Ciemności. Vimes zauważał każde skrzywienie, każde drgnienie, które razem składały się na uczciwe prawne przerąbanie. Świadek koronny! Każdy by wykorzystał tę szansę, by ocalić skórę albo może trafić do lepszej celi. Człowiek zostawał świadkiem koronnym, żeby ratować swoją nędzną skórę i rzeczywiście mogło mu się to udać, jednak za pewną cenę, a ceną tą była śmierć przez powieszenie, jeśli skłamał. To jedna z prawd absolutnych: kłamstwo świadka koronnego to kłamstwo kłamstw. Taki człowiek oszukiwał sędziego, oszukiwał Koronę, oszukiwał społeczeństwo, oszukiwał świat, a zatem czarujący pan Trooper witał go na szafocie, ściskał dłoń, by pokazać, że nie ma mowy o pretensjach, po czym szarpał dźwignię, a człowiek spadał ze świata, który zdradził, by zatrzymać się... w połowie drogi.

Poza tym oczywiście, były też trollowe narkotyki. Dowody ich istnienia tak zaniepokoiły Fluttera, że wymyślił całkiem nowych bogów, by na nich przysięgać, że o narkotykach nie miał pojęcia. Vimes mu wierzył. Według wiedzy Fluttera beczki nie zawierały niczego prócz tytoniu. Dobry, porządny tytoń, nic w nim szkodliwego, a przemyt to przecież... no, właściwie to rodzaj gry, wszyscy to wiedzą. To w końcu nic złego, jeśli się przechytrzy urząd podatkowy, przecież on po to jest!

Zawsze powtarzam, że tak to właśnie działa, myślał Vîmes. Drobne przestępstwa rodzą wielkie przestępstwa. Człowiek śmieje się z tych drobnych, a potem te wielkie zdmuchują mu głowę z karku.

Flutter siedział smętnie naprzeciwko niego, być może przerażony, że trolle skopią go na śmierć. Z drugiej strony jednak, zdaniem Vimesa, Flutter pewnie bał się każdego. Dlatego z dobrego serca podsunął mu nie tyle okruch, ile raczej kanapkę z bekonem dobrych wieści.

- Byłeś w towarzystwie człowieka skłonnego do przemocy, Ted. Myślałeś, że trochę utrudnisz życie jakiemuś glinie, a nagle stałeś się wspólnikiem pierwszego stopnia w morderstwie oraz... co prawda nieświadomie... wplątałeś się w bardzo poważną sprawę przemytu trollowych narkotyków, najgorszych, jakie istnieją. Ale wpadłeś w złe towarzystwo, Ted, i tak też powiem w sądzie.

W zaczerwienionych oczach Fluttera błysnęła nadzieja.

- To bardzo uprzejme z pana strony, sir.

I tyle. Żadnych przechwałek, żadnych błagań, jedynie wdzięczność za miłosierdzie okazane i gorączkowo wyglądane.

Vimes pochylił się i zaproponował oszołomionemu więźniowi tabakę. Flutter wziął dużą szczyptę i wciągnął ją tak głęboko, że nieuniknione kichnięcie próbowało wylecieć przez uszy. Vimes oparł się wygodniej.

- Może pogadam z klawiszami w Tantach, zawsze są mi coś winni...

Spojrzał na twarz pełną nadziei i pomyślał: Niech to szlag! Wiem, że mają teraz tłok. Taki dupek jak on i tak ma przerąbane, cokolwiek zrobię. A co tam...

- Albo nie, panie Flutter; powiem panu, co zrobię. Zamkniemy pana w celi w Pseudopolis Yard. Co pan na to? Może się pan nudzić, siedząc tam tak całkiem samotnie, ale niektórzy uznaliby to za błogosławieństwo, zwłaszcza po piętnastu minutach w niektórych częściach Tant. Zresztą moi chłopcy lubią sobie pogawędzić, kiedy niewiele się dzieje. Mamy też szczury lepszej klasy, świeżą słomę, nie plujemy do zupy... A jeśli będzie pan spokojny i pozwoli strażnikom wyspać się w nocy, wszystko będzie dobrze.

- Nikomu nie sprawię żadnych kłopotów, komendancie!

Słowa padły szybko, rozpaczliwie pragnąc być usłyszane.

- Miło mi to słyszeć, Ted - zapewnił Vimes jowialnie. - Lubię takich, co to dokonują właściwych wyborów. A przy okazji, Ted, kto zaproponował, żebyście zorganizowali tę imprezę na wzgórzu?

- Słowo daję, sir, to naprawdę był Stratford. Powiedział, że to będzie taki drobny żarcik. I wiem, o co pan teraz zapyta, sir, i rzeczywiście go spytałem, kto za tym stoi, bo trochę mnie to zaniepokoiło, w końcu normalnie tylko hoduję indyki i przetaczam beczki, rozumie pan... - Flutter starał się wyglądać jak prosty człowiek ciężkiej pracy. - A on powiedział, że gdyby mi to zdradził, musiałby mnie zabić. Więc mu na to mówię: „Uprzejmie dziękuję, panie Stratford, ale nie chcę sprawiać kłopotu". I trzymałem gębę na kłódkę, bo miał taki dziwny błysk w oku. - Flutter zastanowił się. - On zawsze ma taki dziwny błysk w oku.

Vimes starał się udawać, że go to specjalnie nie interesuje. Jak człowiek z siatką na motyle, słoikiem eteru i pasją, by do korkowej tablicy przypiąć ostatniego z bardzo rzadkich błękitnych motyli lancrańskich, który właśnie przysiadł na pobliskiej kępie ostu, starał się nie robić nic, co mogłoby spłoszyć zdobycz.

- Ale ty przecież wiesz, Ted, prawda? - rzucił obojętnie. - Bo przecież jesteś sprytny, Ted, choć na takiego nie wyglądasz. Wielu by powiedziało, że dwie deski są bystrzejsze od ciebie, ale szczerze powiem, że nie odniesiesz sukcesu na tym świecie, nie trzymając oczu otwartych, i uszu też, co?

Ale oczywiście, kto powiedziałby coś ważnego takiemu ćwokowi jak Flutter? Nie był nawet żołnierzem, jak takich nazywają, bo żołnierka wymaga pewnej umiejętności taktycznego myślenia. Ale żołnierze kręcą się w pobliżu, a kiedy są z kimś tak tępym jak Flutter, nie zawsze pilnują języków.

- To wstyd, że właśnie ciebie, Ted, zamkną jako jedynego, chociaż tak naprawdę tylko pomogłeś kumplowi za parę dolarów i piwo, nie sądzisz? Straszna sprawa, że zawsze ci porządni ludzie obrywają, co? Zwłaszcza jeśli mają solidnie oberwać.

Vimes zamilkł i obserwował twarz Fluttera.

- Noo... - Flutter pokiwał głową. - Któregoś dnia, kiedy trochę był pobudzony, faktycznie powiedział, że lord Rust na nim polega, ufa mu i dba o to, by zawsze coś mu dźwięczało w kieszeni, ale pomyślałem sobie, że tylko się chwali.

Vimes był zdziwiony własną cierpliwością.

- Posłuchaj mnie, Ted... Słyszałeś może, czy któryś z nich mówił o gobliniej dziewczynie?

Okropny uśmiech wykrzywił twarz Fluttera.

- Mógłbym, gdyby panu zależało, komendancie.

Vimes przyglądał mu się przez chwilę.

- Ted, chcę się dowiedzieć, co słyszałeś albo widziałeś. Nie tego, co sobie wyobraziłeś ani... i to jest bardzo ważne, Ted... co wymyśliłeś, żeby mi zrobić przyjemność. Jasne? W przeciwnym razie nie będę już twoim przyjacielem. - Zastanowił się. - Czy kiedykolwiek słyszałeś, żeby Stratford albo lord Rust mówili coś o kowalu?

Obserwacja, jak więzień przekopuje pamięć, była niezwykle kształcąca. Wyglądał jak pies, który żuje toffi. I najwyraźniej coś znalazł, gdyż jego następne słowa brzmiały:

- O kowalu? Nie wiedziałem, że tu idzie o kowala. Ale kiedy układaliśmy beczki na podwórzu, młody lord Rust podszedł do Stratforda i powiedział coś w rodzaju „Jakieś wieści o naszym przyjacielu?", a wtedy Stratford odpowiedział „Proszę się nie martwić, sir, niedługo zobaczy królową". I obaj się roześmiali, sir. - Odczekał chwilę. - Dobrze się pan czuje, sir?

Vimes nie zwrócił uwagi na pytanie.

- Domyślasz się, o co im chodziło?

- Nie, sir.

- Czy jest tu w pobliżu coś, co nazywa się królową? Może jakiś pub? Może statek rzeczny?

Tak, myślał Vimes, one wszystkie mają dziwaczne nazwy, na pewno jest wśród nich jakaś „Królowa".

Pies znowu zaczął przeżuwać toffi.

- Przykro mi, komendancie, nic nie wiem. Żadna łajba na rzece nie nazywa się „Królowa".

Vimes zostawił tę sprawę. Miał już rezultat. Nie najlepszy rezultat. Nic, co by zadowoliło Vetinariego, ale przynajmniej jakaś sugestia niewielkiej intrygi, by wysłać Jethro gdzieś, gdzie nie chciałby trafić. I Vimes musiał się tym zadowolić.

Zauważył, że Flutter podnosi rękę ostrożnie jak dziecko, które boi się reprymendy nauczyciela.

- Słucham, Ted - mruknął nieufnie.

- Czy uda mi się znaleźć boga, sir?

- Co? Znaleźć boga?

Flutter był trochę zakłopotany, ale opanował się mężnie.

- No więc, sir, słyszałem o ludziach, którzy idą do więzienia i tam znajdują boga, sir, a jak kto znajdzie boga, to go lepiej traktują i czasem wychodzi wcześniej z powodu tego, że się modli, no więc sobie pomyślałem, czy na komendzie będzie mniejsza czy większa szansa jakiejś dostępnej bożej łaski, jeśli pan rozumie, co mam na myśli, sir. Nie chciałbym sprawiać kłopotów, oczywiście.

- No cóż, Ted, gdyby w ogóle była jakaś sprawiedliwość we wszechświecie, to paru bogów na pewno by siedziało w Tantach. Ale na twoim miejscu, gdybym miał wybór między niebiańską interwencją a pewnymi trzema posiłkami dziennie, do których nikt ci nie napluł, żadnymi wielkimi typami chrapiącymi ci w ucho przez całą noc oraz pewnością, że kiedy klękasz, to tylko po to, by się pomodlić, wówczas bym uznał, że niebiosa mogą zaczekać.

Słońce stało już wysoko, a Willikins utrzymywał dobre tempo. Vimes to zauważył. Ulica przemawiała do niego, nawet jeśli była jedynie szeroką aleją między drzewami.

Szturchnięciem zbudził Feeneya.

- Niedługo będziemy w domu, chłopcze. Myślę, że pan Flutter może trafić do twojej pięknej celi. Prawda?

Flutter zdziwił się wyraźnie.

- Wielkie nieba! - obruszył się Vimes. - Człowieku, nie myślałeś chyba, że dowiozę cię do samego Ankh-Morpork jednym ciągiem? Prawdę mówiąc, muszę kogoś posłać, żeby ktoś inny przyjechał aż tutaj wozem aresztanckim. Ale nie martw się, cela jest solidna, przytulna i zbudowana z kamienia. Plus... a rozumiem, że to wielki plus... pani Upshot prawdopodobnie przygotuje ci przepyszne Bang Ssak Mak Mak Psiak, z marchewką i zielonym groszkiem. Spécialité de la Maisonette.

* * *

Ranga daje pewne przywileje, pomyślał Vimes, kiedy trochę później wysiadł przy starej celi.

- Starszy funkcjonariuszu Upshot, wprowadźcie tam naszego więźnia, dopilnujcie, żeby został nakarmiony, napojony i tak dalej, i tym podobnie, no i oczywiście załatwcie całą dokumentację.

- Co takiego, sir?

Vimes zamrugał.

- Czy to możliwe, panie Upshot, że nie wie pan, co to jest dokumentacja?

Feeney był zakłopotany.

- No tak, sir, oczywiście, ale normalnie tylko zapisuję w moim notesie nazwisko, sir. Znaczy, przecież wiem, kim on jest, wiem, gdzie jest i co zrobił. A tak, jeszcze od tych kłopotów, jakich nam narobił starszy pan Parsley, kiedy się nawalił, sprawdzam też, czy nie są uczuleni na któryś ze składników bhangbhangduckiej kuchni. Przez cały dzień czyściłem celę, bo było tam trochę watzka. - Dostrzegł minę Vimesa i wyjaśnił szybko: - Bardzo popularne zioło, sir.

- *Habeas corpus,* chłopcze! Przecież chcesz tu być policjantem, tak? W takim razie pan Flutter jest twoim, właśnie twoim więźniem! Odpowiadasz za niego! Jeśli zachoruje, to jest twój problem, jeśli umrze, to będą twoje zwłoki, a jeśli wydostanie się i ucieknie, to znajdziesz się w sytuacji tak problematycznej, że słowo „problem" zwyczajnie przestanie pasować. Staram się pomagać, naprawdę się staram, ale przecież równie łatwo mógłbym go zabrać do Dworu. Mamy tam duże piwnice i spokojnie moglibyśmy go gdzieś ułożyć, żaden kłopot. Tylko że gdybym musiał tak zrobić, to co ty miałbyś tu do roboty?

Feeney był oszołomiony. Wyprostował się.

- Nie chcę nawet o tym słyszeć, sir, i moi przodkowie też by nie chcieli. Przecież nigdy nie mieliśmy tu nikogo, kto choćby przebywał w pobliżu morderstwa.

- Bardzo dobrze. Wypisz mi pokwitowanie odbioru więźnia, co jest bardzo ważne, a potem pójdę do Dworu i się zdrzemnę.

Vimes cofnął się trochę, kiedy w polu widzenia pojawił się rzeczny stateczek i bardzo mała fala mętnej wody plusnęła cicho

0 nabrzeże. Stateczek miał boczne koła łopatkowe - Sybil wytłumaczyła mu, jak działają. Wół cierpliwie człapał w kołowrocie na dnie statku, a sprytny układ trybów sprawiał, że koła się obracały.

Pilot statku pomachał ręką. Kiedy przepływali, Vimes zobaczył na rufie kobietę, która wieszała pranie, obserwowana przez kota. To dobre życie, toczące się z prędkością wołu. Pewnie nikt nigdy nie próbuje człowieka zabić... I tylko przez jeden moment Vimes czuł zazdrość, patrząc, jak długi ciąg barek sunie za statkiem, mijając flotyllę kaczek.

Westchnął i wrócił do powozu. Willikins dowiózł go do Dworu, gdzie po bardzo szybkim prysznicu Vimes zapadł się w poduszki

1 osunął w ciemność.

* * *

Ludzie mawiali, że ostatnio cale Ankh-Morpork jest w ruchu. Inni powtarzali, że owszem, ale tak jak dostatecznie wiekowy ser. I podobnie jak ów hipotetyczny ser, wyrywało się z formy, w tym przypadku z pierścienia zewnętrznych murów, będących -jak to określił lord Vetinari - „gorsetem, który powinno się roz- sznurować". Jednym z pierwszych, którzy sięgnęli na zewnątrz, był Harry Król, teraz oczywiście znany jako sir Harold Król. Był opryszkiem pozbawionym skrupułów, bezlitosnym i niebezpiecznym specjalistą od interesów przekraczających ograniczenie prędkości. Ponieważ wszystkie te określenia były trochę za długie, nazywano go sprawnym biznesmenem, co oznacza mniej więcej to samo. Miał talent zmieniania śmieci w pieniądze. Kiedy kapitanowie Marchewa i Angua szli dróżką holowniczą w kierunku porośniętych trzciną mokradeł w dole rzeki, przed nimi płonęły ognie Harry'ego Króla. Wszystko stanowiło wodę na młyn Króla Śmieci. Armie jego pracowników zamiatały ulice, opróżniały szamba, czyściły kominy, wywoziły odpadki z dzielnicy rzeźni i wynosiły z tychże rzeźni wszystkie fragmenty niegdyś żywej materii, której z poczucia przyzwoitości nie dało się umieścić w kiełbasie. Mówiło się, że Harry Król wyssałby nawet dym z powietrza, gdyby wiedział, że dostanie za niego dobrą cenę. A jeśli ktoś szukał pracy, Harry Król mu ją oferował za płacę niewiele mniejszą, niż mógłby dostać w innych częściach miasta, natomiast gdyby ktoś próbował okraść Harry'ego Króla, wtedy dostawał to, co mu się należało. Zakłady Harry'ego Króla cuchnęły, oczywiście, ale dzięki niemu samo miasto nie cuchnęło, a przynajmniej nie tak paskudnie jak kiedyś; niektórzy narzekali nawet na utratę tego słynnego zapachu Ankh-Morpork, który podobno był tak mocny, że chronił przed chorobami i wszelkimi dolegliwościami, a co więcej, włosy od niego rosły na piersi i ogólnie pomagał na wszystko.

A że Ankh-Morpork było, jakie było, powstało już Stowarzyszenie Ochrony Zapachu.

Kiedy para strażników zbliżyła się do źródeł dymu i oparów, zaczęła oddychać mniej głęboko. Zakłady otaczało niewielkie miasteczko, slumsy postawione tu przez samych robotników, z błogosławieństwem Harry'ego - ponieważ to oznaczało, że nie będą się spóźniać do pracy.

Pracownik ochrony przy bramie wpuścił ich natychmiast. Harry prawdopodobnie nie był uczciwy, ale jeśli popełniał nieuczciwości, zdarzały się one w miejscach i czasie poza polem działań straży, i znikały z pamięci zainteresowanych, gdy tylko wygładzały się zmarszczki po plusku i odpływała fala. Podobnie odpływał - gdy Marchewa z Anguą wspinali się po zewnętrznych schodach prowadzących do dużego gabinetu, skąd Harry Król zarządzał swym królestwem - pewien mężczyzna, poruszający się poziomo i z dużą prędkością, a wielkie dłonie Harry'ego Króla trzymały go za kołnierz i siedzenie spodni, aż rzuciły go schodami w dół.

- Jesteś zwolniony! - taki okrzyk temu towarzyszył. Strażnicy odsunęli się na bok, gdy mężczyzna toczył się w dół ze stopnia na stopień. - A jeśli cię znowu zobaczę, to psy zawsze są głodne! Och, witam, kapitanie Marchewa... - Głos Harry'ego nagle stał się przyjazny. - I czarująca panna Angua! Słowo daję, cóż za radosna niespodzianka, proszę wejść, pomoc dla straży to zawsze przyjemność!

- Sir Harry, naprawdę nie powinien pan w ten sposób zrzucać ludzi ze schodów - zauważył Marchewa.

Harry Król zrobił minę niewiniątka i rozłożył ręce.

- Co takiego? Te przeklęte schody ciągle tam są? Przecież kazałem je usunąć! Dziękuję za tę radę, kapitanie, aleja widzę to inaczej. Przyłapałem go, jak próbował ukraść mi pieniądze, więc jeśli on nadal żyje, to moim zdaniem jesteśmy na remis. Kawy? Herbaty? Może coś mocniejszego? Nie, tak myślałem, że nie, ale proszę usiąść, przynajmniej w tym nie ma nic złego.

Usiedli.

- Chcemy porozmawiać o goblinach - oznajmił Marchewa.

Harry Król zdziwił się wyraźnie.

- Mam tu paru. Pracują dla mnie, jeśli to może w czymś pomóc... Porządni robotnicy, co może was zaskoczyć. Mają trochę dziwaczne obyczaje, nie są zbyt bystrzy, ale jak już raz złapią, czego się od nich wymaga, to można ich zostawić. Będą robić swoje, dopóki im się nie powie, żeby przestali. Płacę im połowę tego co ludziom, a pracują dwa razy więcej, i to lepiej od ludzi. Chętnie bym zatrudnił jeszcze setkę, gdyby się zjawili.

- Ale płaci im pan o wiele mniej niż ludziom? - upewniła się Angua.

Harry spojrzał na nią z politowaniem.

- A kto jeszcze zapłaciłby im cokolwiek, kochana? Co zrobić, biznes to biznes. Przecież nie trzymam ich tu na łańcuchu. Pewnie, mało kto przyjąłby gobliny do pracy z powodu smrodu, ale poznaję po marszczeniu pani ślicznego noska, pani kapitan, że ja także śmierdzę. Taka praca. A poza tym pozwalam im mieszkać na mojej ziemi, te swoje małe dzbanuszki robią w wolnym czasie, a ja pilnuję, żeby nie mieli go za wiele. Kiedy już zarobią dość pieniędzy na to, czego tam chcą, wtedy wracają, skąd przyszli. Jedynie młody Ślizg ze swoją babką zawsze zostają. Ten goblin daleko zajdzie, nie ma co.

- Chcielibyśmy pogadać z goblinami o tych dzbanuszkach, o których wspomniałeś, Harry - oświadczył Marchewa. - Jeśli nie masz nic przeciw temu.

Harry Król uśmiechnął się i pogroził mu palcem.

- No, niech wam będzie, wszyscy tu jesteśmy ludźmi światowymi i wiemy, co jest czym, ale poza tym gabinetem jestem sir Harrym. Jasne? Osobiście niespecjalnie mi zależy, ale moja lady lubi tytuły, oj, lubi! Zadziera nosa tak wysoko, że strąca wróble z nieba, szczerze mówię. Chociaż nikomu tym krzywdy nie robi. - Harry Król, czy też sir Harry, zastanowił się przez chwilę. - A tak z ciekawości, czemu was interesują te goblinie dzbanuszki?

Angua się zawahała, ale Marchewa odpowiedział szybko:

- Oboje bardzo się interesujemy folklorem goblinów, sir Harry.

Harry Król parsknął śmiechem.

- A wie pan, kapitanie, nigdy nie potrafiłem odczytać pańskiej twarzy. Nie chciałbym grać z panem w pokera. No dobrze, to nie moja sprawa. Zejdziecie schodami, potem znajdziecie taśmociągi sortownicze, odszukacie Billy'ego Ślizga i powiecie, że Harry Król uzna to za przysługę, jeśli okaże uprzejmość i zaprowadzi was do swojej babci staruszki. Jasne? Nie musicie dziękować. Podejrzewam, że stary Vimes szepnął o mnie słówko Vetinariemu, kiedy wręczali medale, jeśli rozumiecie, co mam na myśli. Ręka rękę myje, jak to mówią, ale założę się, że w przypadku Harry'ego Króla musi szorować.terry pratchett

* * *

Billy Ślizg ładował na wózek stare egzemplarze „Pulsu Ankh- -Morpork". Zawsze da się rozpoznać goblina, chociaż ten tutaj, w brudnym kombinezonie, wyglądał jak każdy inny człowiek pracy w tym miejscu - różnica polegała na tym, że był goblinim człowiekiem pracy.

Marchewa delikatnie poklepał go po ramieniu, a Billy się obejrzał.

-Oj, gliny...

- Przychodzimy od Harry'ego Króla, Billy - wyjaśnił Marchewa. I dodał szybko: - Nie zrobiłeś nic złego. Chcemy tylko dowiedzieć się czegoś o urnach ungguańskich.

- Chcecie się dowiedzieć o unggue? Wy? - Billy przyjrzał się Marchewie. - I wiem, żem nie zrobił nic złego, szefie, nie musisz mi tego tłumaczyć. I nie tknąłbym tych nieszczęsnych urn, choćby mi to miało życie uratować. Pracuję i zarabiam, ot co. Nie mam czasu na jakieś bajki.

Angua wystąpiła przed Marchewę.

- Panie Ślizg, to bardzo ważne. Musimy znaleźć kogoś, kto nam opowie o urnach ungguańskich. Zna pan kogoś, kto mógłby pomóc?

Goblin przyjrzał się jej z wyższością.

-Jesteś wilkołakiem, nie? Na milę was wyczuwam. A co zrobicie, jak powiem, że nikogo nie znam?

- Wtedy - odparł Marchewa - z żalem będziemy musieli zająć się innymi sprawami.

- Czy chodzi o sprawę porządnego skopania mi tyłka?

Poranne słońce błysnęło na entuzjastycznie wypolerowanym pancerzu Marchewy.

- Nie, panie Ślizg, nic podobnego.

Billy zmierzył go wzrokiem.

- No dobra, tam jest moja babcia. Może z wami pogada, a może nie. I mówię wam to tylko ze względu na pana Króla. Ona bardzo uważa, z kim rozmawia, możecie na to własne hełmy postawić. A właściwie czemu chcecie rozmawiać o urnach? Ona ostatnio prawie nie wstaje. Nie myślę, żeby mogła coś ukraść.

- My jej o nic nie podejrzewamy, Billy. Zależy nam na informacji o urnach.

- No to przyszliście do odpowiedniej damulki, jest ekspertem. Tak uważam, bo stale wydziwia nad tymi błyskotkami. A macie ze sobą jakąś flaszkę brandy? Babcia nie lubi gadać z obcymi, ale ktoś z flaszką brandy nie jest obcy, przynajmniej dopóki nie skończy się zawartość.

- Harry ma w gabinecie duży barek - szepnęła Angua Marche- wie do ucha. - To przecież żadna łapówka. Warto spróbować.

Po chwili została sama z Billym, a Marchewa odszedł załatwić sprawę.

- Billy Ślizg nie brzmi jak imię goblina - zauważyła z braku lepszego tematu.

Billy skrzywił się niechętnie.

- Racja! Babcia nazywa mnie Z Wiatru Niestety Wiejącego. Co to w ogóle za imię, pytam? Kto mnie poważnie potraktuje z takim imieniem?

Popatrzył na nią wyzywająco, a ona myślała: I tak oto pewnego dnia wszyscy stajemy się ludzcy - ludzkie wilkołaki, ludzkie trolle, ludzkie krasnoludy... W tyglu wszystko topnieje tylko w jedną stronę, i tak dokonuje się postęp.

- Nie jesteś dumny ze swojego gobliniego imienia? - spytała.

Patrzył na nią z rozdziawionymi ustami, ukazując szpiczaste
zęby.

- Niby jak? Dumny? Czemu, do de... licha, ktokolwiek miałby być dumny z bycia goblinem? Oprócz mojej babci, oczywiście. Chodźmy do środka; mam tylko nadzieję, że brandy dotrze szybko. Trochę jest drażliwa bez brandy.

* * *

Billy Ślizg i jego babcia mieszkali w swego rodzaju budynku w miasteczku szałasów. Wierzba i inne pędy zostały uwolnione z mokradeł i wykorzystane do zbudowania sporej półkuli, rozmiarów niewielkiej chaty. Angua miała wrażenie, że konstrukcja wymagała pewnego przemyślenia i umiejętności: cieńsze gałązki i pędy zostały wplecione w całą strukturę, a niektóre - jak to jest w zwyczaju wierzby - zapuściły korzenie i zaczęły rosnąć, po czym ktoś, zapewne Billy Ślizg, gęściej wplótł te nowe pędy między stare. Latem dawało to całkiem przyzwoite mieszkanie, zwłaszczaże ktoś skrupulatnie zakrył większość szczelin mniejszymi plecionkami. Wnętrze przypominało zadymioną grotę, ale przyzwyczajone do ciemności oczy wilkołaka spostrzegły, że od środka ściany przykryto starymi plandekami i wszelkimi innymi odpadkami, które dało się przekonać do ugięcia, co chroniło od przeciągów. Pewnie, budowa zajęła ze dwa dni i nic nie kosztowała, jednak w mieście nie brakowało ludzi, którzy byliby uszczęśliwieni, mogąc tu zamieszkać.

- Przepraszam za to - powiedział Billy. - Nie mogę nazwać Harry'ego hojnym płatnikiem, ale przymyka oko, jeśli czasem zwiniemy jakieś kawałki czy resztki, byle nie robić tego zbyt bezczelnie.

- Przecież macie tu nawet piecyk! - stwierdziła zdumiona Angua.

Billy spuścił głowę.

- Trochę przepuszcza. Czeka, aż przylutuję parę łat, to wszystko. Proszę zaczekać, sprawdzę, czy jest na was gotowa. Wiem, że zawsze jest gotowa na brandy.

Grzeczne pukanie do drzwi okazało się znakiem, że kapitan Marchewa wrócił z wyprawy po brandy. Ostrożnie otworzył poobijane, wiele razy malowane drzwi wejściowe i wpuścił do wnętrza trochę światła. Rozejrzał się.

- Bardzo przytulnie - oświadczył.

Angua tupnęła nogą.

- Popatrz, wypiłował nawet i dopasował połamane kawałki dachówek, żeby mieć porządną podłogę. Mamy tu bardzo przemyślaną konstrukcję... - Pochyliła się i szepnęła: - Ajest goblinem. Nie tego spodziewałbyś się po...

- Mamy też wściekle dobry słuch, panienko - rzekł Billy, wracając do pomieszczenia. - Niesamowite, prawda, jakich sztuczek mogą się nauczyć gobliny. Słowo daję, można by prawie pomyśleć, że to ludzie. - Wskazał zasłonę z czegoś w rodzaju filcu, odgradzającą koniec pokoju. - Macie brandy? No to idziemy. Trzymajcie flaszkę przed sobą, to zwykle załatwia sprawę. Państwo strażnicy, ta dama nie jest właściwie moją babcią. Jest moją prababcią, ale jak dla mnie, było z tym za dużo paplania, kiedy jeszcze byłem mały, no więc została babcią. Lepiej ja będę mówił, bo jeśli nie jesteście jakimiś pieprzonymi geniuszami, nie zrozumiecie ani słowa z tego, co ona gada. No, wchodźcie szybko, za pół godziny muszę jej przygotować jedzenie. Jak mówiłem, mamy czas, dopóki nie skończy się butelka.

- Nic nie widzę - poskarżył się Marchewa, czując, że za nimi opada coś ciężkiego.

-Ja widzę - oświadczyła Angua. Zwróciła się do goblina. - Bądź tak miły i przedstaw nas swojej babci, Billy.

Marchewa wciąż usiłował cokolwiek zobaczyć, gdy usłyszał coś, co uznał za goblinią mowę, choć brzmiało to, jakby ktoś przeżuwał żwir. Potem w ciemności pojawiło się wrażenie ruchu i odpowiedział inny głos, trzeszczący jak lód.

- Żałość Opadającego Liścia wita was, strażnicy - rzekł całkiem wyraźnie Billy. - I prosi, żebyście oddali jej tę przeklętą brandy natychmiast.

Marchewa wysunął butelkę w stronę głosu Billy'ego, skąd została szybko przekazana kształtowi, który zaczął się formować, kiedy wzrok stopniowo odzyskiwał sprawność.

Kształt powiedział, według Billy'ego:

- Dlaczego przyszliście do mnie, poo-lis-janty? Po co wam pomoc umierającej damy? Czym jest dla ciebie unggue, panie poo- -lis-jant? Unggue jest nasze, nasze! Nic dobrego tu dla ciebie, panie poo-lis-jant!

- Czym jest unggue, proszę pani? - spytał Marchewa.

- Nie religią, nie dzwonami bijącymi, nie kolanami zgiętymi, nie chórem, nie alleluja, nie jeśli wolno, ale unggue, czystym unggue! Tylko unggue, które przychodzi, kiedy trzeba. Małe unggue! Kiedy bogowie umywają ręce i odwracają się, jest unggue, które podwija rękawy! Unggue uderza w mroku! Jeśli unggue nie przyjdzie samo, przysyła! Unggue jest wszędzie!

Marchewa odchrząknął.

- Żałości Opadającego Liścia, mamy u siebie człowieka, policjanta, dobrego człowieka, który umiera od unggue. Nie rozumiemy tego. Proszę pomóc nam zrozumieć. W ręku ściska urnę ung-guańską.

Skrzek musiał się odbić echem w całej okolicy; z pewnością sprawił, że zakołysał się szałas.

- Złodziej unggue! Rabuś urn! Nie powinien żyć! - tłumaczył Billy, zdradzając zakłopotanie. Goblinia staruszka spróbowała wstać, ale opadła na posłanie, mrucząc gniewnie pod nosem.

- Mylisz się, stara kobieto - próbowała dumaczyć Angua. - Ta urna trafiła do niego przypadkiem. Znalazł ją. To urna zwana duszą łez.

218

219Żałość Opadającego Liścia wypełniała świat hałasem. Teraz zdawało się, że opróżnia go milczeniem. Dopiero po chwili staruszka odezwała się z goryczą i nawet interesująco, biorąc pod uwagę fakt, że według jej prawnuka nie znała ankhmorporskiego.

- Znalazł w jaskini goblinów, o tak! Znalazł na czubku łopaty, tak! Zguba mu!

- Nie! - Marchewa znalazł się nagle twarzą w twarz ze staruszką. - Dostał ją przypadkowo, jak klątwę. Nie chciał jej i nie wiedział, co to takiego. Znalazł ją w cygarze.

Nastąpiła przerwa, podczas której staruszka zajmowała się zapewne intensywnym myśleniem, gdyż powiedziała:

- Zapłacisz moją cenę, panie poo-lis-jant?

- Daliśmy pani brandy - przypomniała Angua.

- Rzeczywiście, wilcze szczenię, ale to było tylko za konsultację. Teraz mówię o cenie za diagnozę i lekarstwo, a to coś z Tabacznego Młyna: dwa funty słodkiej malinowej, funt towarzysza wędkarza i funt leczniczej mikstury wzmacniającej doktora Variesa, dobrej na zimowe dni. - Coś jakby śmiech wyrwało

się z jej ust. - Lubię świeże powietrze. Mój chłopak kręci się tu i tam, i mówi, że można wam wierzyć, ale gobliny nauczyły się nie polegać tylko na słowach, więc przypieczętujemy umowę starym sposobem, który wszyscy rozumieliśmy, odkąd czas jest czasem.

Zaskoczony Billy odstąpił, a w stronę Marchewy wysunęła się długa ręka z długimi paznokciami. Marchewa splunął na dłoń i uderzył nią - zupełnie nie dbając o bezpieczeństwo i higienę - w dłoń Żałości Opadającego Liścia, która znowu zarechotała.

- Nie można złamać takiej umowy, nie można. Nigdy. - A po chwili wahania dodała jakby z roztargnieniem: - Umyj rękę po użyciu.

Zabulgotała brandy w butelce.

- Urna łez, powiadacie? - burknęła babcia Billy'ego Ślizga.

Angua przytaknęła.

- Jak tak, to tylko jedna możliwość - stwierdziła staruszka. - Nieszczęsna kobieta goblinów, głodująca kobieta, musiała zjeść swoje nowo narodzone dziecko, bo nie mogła go nakarmić. Słyszę, że na chwilę przestaliście oddychać. Że takie rzeczy się zdarzają? Straszna prawda, o tak. Często straszna prawda w złej krainie, kiedy czasy ciężkie i nic do jedzenia. 1 tak, płacząc, wyrzeźbiła małą urnę unggue na duszę swego dziecka i wpłakała w nią życie, i odesłała ją aż do lepszych czasów, kiedy dziecko wróci.

- Może pani powiedzieć nam coś więcej? - poprosił cicho Mar- chewa.

Stara goblinka zamilkła na moment.

- W środku cygara, mówicie? Owinięta w tytoń? Spytajcie człowieka, który sprzedaje tytoń!

Billy odwrócił babciną butelkę do góry dnem i nie wypłynęła nawet kropelka brandy.

-Jeszczejedno pytanie, madame. Jak możemy pomóc naszemu przyjacielowi? Sądząc po jego majaczeniach, wydaje mu się, że jest goblinem.

Błysnęły małe czarne oczka na gobliniej twarzy.

- Ufając wam z tytoniem. Teraz ufając wam z następną butelką brandy. Znajdźcie jaskinię goblinów! Znajdźcie goblinią pannę! Tylko ona może chwycić urnę, z nadziei urodzenia kiedyś dziecka! Tak to idzie, nie ma innego sposobu! A wielki kłopot dla was, panie poo-lis-jant, bo w tych czasach trudno o dziewczęta goblinów! Nie ma tutaj. Może nie ma już nigdzie. Więdniemy i znikamy jak stare liście. Do widzenia, kiedy będzie więcej brandy. Albo nie! Niech to będzie koniak z Quirmu, Special Reserve. Sześćdziesiąt dolarów, jak kupować u Horridsa na Broad-Wayu, albo w promocji dwa-za-jedną w sklepie z drinkami Twistera Boote'a na Mrokach. Lekko smakuje anchois, ale żadnych pytań i żadnych odpowiedzi.

Skrzypiący głos zamilkł i strażnicy z wolna zaczęli sobie uświadamiać otaczającą ich rzeczywistość. Niepokojące wizje bladły, osiadając w pamięci.

- Przykro mi, że muszę pytać - powiedział Marchewa - ale czy to zaszkodzi mojemu sierżantowi? Zdaje się, że bez przerwy ma koszmary, a my nie możemy wyrwać mu tej urny z ręki.

- Trzy butelki brandy, panie poo-lis-jant - przetłumaczył Billy.

- Zgoda. - Marchewa kiwnął głową.

-Jak długo urna go trzyma?

Marchewa zerknął na Anguę.

-Jakieś dwa dni, proszę pani.

- No to zabierzcie waszego człowieka do jaskini goblinów jak najszybciej, panie poo-lis-jant! Może będzie żywy. Może umrze. Tak czy tak, trzy butelki brandy, panie poo-lis-jant. - Małe czarne oczka mrugnęły do Marchewy. - Tak miło spotkać prawdziwego dżentelmena. Spiesz się, panie poo-lis-jant!

Staruszka opadła na stos poduszek i koców. Audiencja się skończyła, podobnie jak brandy.

- Babcia was lubi - stwierdził z podziwem Billy. - Poznałem. Niczym w was nie rzuciła. Lepiej zdobądźcie dla niej tę tabakę i brandy, byle szybko, bo może się zirytować w takim okultystycznym stylu, jeśli słuchacie, co mówię, a raczej czego nie mówię, oczywiście. Miło było was poznać, ale nasz stary Król nie lubi widzieć ludzi, którzy nie pracują.

-Jeszcze chwila, Billy! - Marchewa chwycił go za ramię. - Są tu w okolicy jakieś jaskinie goblinów?

- Dostał pan, po co pan przyszedł, panie władzo. Nie ma, o ile mi wiadomo. Nie dbam o to. Możecie spróbować dalej od miasta, tak bym radził, ale właściwie nic mnie to nie obchodzi. Jak znajdziecie jaskinie goblinów na mapie, możecie własne zęby postawić, że nie będzie tam żadnych goblinów. W każdym razie żywych.

- Dziękuję za cenną pomoc, panie Ślizg. Chcę panu pogratulować babci, tak doskonale znającej współczesne słownictwo - rzekł Marchewa.

Od strony kopuły, której ściany były naprawdę bardzo cienkie, dobiegł zachwycony pisk:

- Zgadza się! Babcia Ślizgowa to mądra głowa!

- Może coś uzyskaliśmy - uznał Marchewa, kiedy wracali już w stronę miasta. - Ale... Widzisz, ja rozumiem, że Ankh-Morpork jest prawdziwym tyglem, lecz to smutne, kiedy ludzie przybywają tutaj i zapominają o swoim pochodzeniu. Jak sądzisz?

- Tak - zgodziła się Angua, nie patrząc na niego. - Smutne.

Kiedy wrócili do Pseudopolis Yard, Marchewa zawołał Cudo.

- Chciałbym, żebyś odwiedziła tego handlarza, który dał Fredowi cygaro. Zapytaj, skąd pochodzi jego tytoń. Wiemy, że przemyt jest powszechny, więc na pewno się zaniepokoi. Byłoby dobrze, gdybyś wzięła ze sobą funkcjonariusza, którego sama obecność wzbudzi niepokój trochę większy. Ciut Szalony Artur wrócił z urlopu.

Cudo uśmiechnęła się szeroko.

- W takim razie wezmę jego. On każdego potrafi zaniepokoić.

* * *

Jak dotąd dzień pana Bewilderforce'a Gumptiona układał się znakomicie. Bewilderforce odwiedził bank, żeby zdeponować utarg, a potem kupił dwa bilety do opery. Pani Gumption będzie z tego bardzo zadowolona, z pewnością bardziej niż z nazwiska Gumption. Zawsze go zachęcała, by spróbował wejść do wyższych sfer, przynajmniej trochę wyższych, ale nazwisko Gumption jakoś przeszkadzało. A teraz otworzył drzwi do swego magazynu i zobaczył siedzącego cierpliwie w fotelu policjanta.

Cudo Tyłeczek wstała.

- Pan Bewilderforce Gumption?

Spróbował się uśmiechnąć.

- Zwykle odwiedza mnie Fred Colon, funkcjonariuszu.

- Owszem. Jestem sierżant Tyłeczek. Zabawne, ale odwiedzam pana właśnie w sprawie Freda Colona. Pamięta pan, że podarował mu pan cygaro?

Pan Gumption cierpiał na iluzję, typową u wielu osób: wydawało mu się, że policjanci nie spotykają ciągle ludzi, którzy próbują kłamać. Dlatego oświadczył:

- Nie przypominam sobie.

- Panie Gumption - podpowiedziała Cudo. - Jest faktem powszechnie znanym, że sierżant Colon kupuje lub w inny sposób zaspokaja swoje tytoniowe potrzeby w pańskim znakomitym przedsiębiorstwie.

I znowu Bewilderforce zareagował niewłaściwie.

- Chcę porozmawiać z moim prawnikiem.

- Ja też chętnie się spotkam z pańskim prawnikiem, panie Gumption. Może pośle pan kogoś po niego, a ja z kolegą zaczekamy?

Bewilderforce rozejrzał się zdziwiony.

-Jakim kolegą?

- Ano tak, to bym był ja, jak nic - odezwał się funkcjonariusz znany, niekiedy krótko, jako Ciut Szalony Artur, który do tej chwili czaił się za paczką papierosów.

Dwaj funkcjonariusze policji są bardziej niż dwa razy gorsi od jednego, a Cudo Tyłeczek wykorzystała nagły atak paniki, by zaznaczyć:- Chodzi o odpowiedź na bardzo proste pytanie, panie Gump- tion. Skąd pochodziło to cygaro?

Cudo dobrze wiedziała, że komendant Vimes nie lubi zdania „Niewinni nie mają się czego obawiać". Uważał, że niewinni jak najbardziej mają się czego obawiać, głównie ze strony winnych, ale na dłuższą metę bardziej nawet ze strony tych, którzy powtarzają: „Niewinni nie mają się czego obawiać". Bewilderforce jednak był przerażony - Cudo widziała, jak się poci.

- Wiemy, że jest pan przemytnikiem, panie Gumption, czy może należałoby powiedzieć, że wykorzystuje pan bardzo dobre okazje, kiedy są panu przedstawiane. Teraz jednak oczekuję od pana tylko tego, że powie nam pan, skąd się tu wzięło to cygaro. Kiedy już uprzejmie przekaże mi pan tę informację, wyjdziemy z tego budynku zadowoleni i wdzięczni za współpracę.

Twarz Bewilderforce'a rozjaśniła się nieco.

- Oczywiście - mówiła dalej Cudo - inne wydziały straży zechcą może odwiedzić pana w późniejszym okresie. Teraz jednak, drogi panie, wystarczy, że porozmawia pan ze mną. Wie pan, skąd pochodziła ta dostawa cygar?

Bewilderforce mężnie próbował się bronić.

- Kupuję od różnych dostawców - rzekł. - Całe wieki potrwa, zanim sprawdzę księgi.

Cudo nadal się uśmiechała.

- To żaden problem, panie Gumption. Zaraz wezwę tu mojego kolegę, pana A.E. Pesymala. Nie wiem, czy pan o nim słyszał. To prawdziwy ekspert. Zdumiewające doprawdy, w jakim tempie potrafi badać dokumenty, i jestem pewna, że w swoim napiętym planie znajdzie chwilę, by panu pomóc, bez żadnych kosztów z pana strony.

Pięć minut później Bewilderforce, z poszarzałą twarzą, wręczył Cudo niedużą karteczkę.

Cudo spojrzała zdziwiona.

- Howondaland? Wydawało mi się, że tytoń pochodzi przede wszystkim z Klatchu...

Bewilderforce wzruszył ramionami.

- Ostatnio zakładają plantacje w Howondalandzie. I mają dobry towar. - Nabrał nieco śmiałości. - I wszystko jest zapłacone jak należy, słowo daję. Pewnie, wiem, że sporo tytoniu się przemyca, ale my nie mamy z tym nic wspólnego. Nie warto, skoro można dostać bardzo dobrą cenę, kupując hurtowo. Wszystko jest spisane w księgach obrachunkowych. Każdy rachunek. Każda wplata. Wszystko podliczone.

Cudo ustąpiła. A.E. Pesymal pewnie znalazłby coś ekscytującego gdzieś w księgach Gumptiona, w końcu interes to interes. Ale są interesy i są złe interesy. Nie warto spraw komplikować.

Wstała.

- Bardzo dziękuję za pomoc, panie Gumption. Nie będziemy dłużej zajmować pańskiego czasu.

Bewilderforce się zawahał.

- Co się dzieje z Fredem Colonem? - zapytał. - Trochę z niego naciągacz, powiem szczerze, ale nie chciałbym, żeby coś mu się stało. To... to nie była trucizna ani nic?

- Nie, panie Gumption. Cygaro zaczęło do niego śpiewać.

- Hm... Zwykle tego nie robią. Będę musiał sprawdzić swoje zapasy.

- Proszę to zrobić. A przy okazji, może rzuci pan okiem na tę krótką listę produktów z gatunku tabaki?

Handlowiec ostrożnie wziął od niej kartkę papieru. Poruszył wargami.

- To całkiem dużo tabaki - zauważył.

- Istotnie - zgodziła się Cudo. - Mam upoważnienie, by zapłacić za wszystko gotówką.

Bewilderforce wydawał się niebotycznie zdumiony.

- Co takiego?! Policjant płaci?

* * *

Chodzenie po ulicach w towarzystwie Ciut Szalonego Artura łączyło się z pewnymi trudnościami, nawet dla krasnoludów takich jak Cudo Tyłeczek. Miał około sześciu cali wzrostu, więc mówiący do niego w czasie marszu wyglądał na wariata. A Ciut Szalony Artur serdecznie nie cierpiał noszenia. Trzeba było po prostu się z tym godzić. Zresztą większość przechodniów na jego widok i tak skręcała lekko na bok.

Wrócili na komendę i zameldowali się u Marchewy. Pierwsze jego pytanie brzmiało:

- Nie wiesz, Cudo, gdzie można znaleźć jaskinie goblinów?

- Nie, sir. A czemu pan pyta?

- Później wyjaśnię - odparł Marchewa. - To wręcz niewiarygodne. Dowiedzieliście się czegoś od starego Gumptiona?

- Tak jest, sir. Nawiedzone cygaro sierżanta Colona pochodzi z Howondalandu. Nie ma wątpliwości.

Marchewa spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Nie wiedziałem, że w Howondalandzie żyją jakieś gobli- ny. Rodzina Cała Jolsona stamtąd pochodzi. - Pstryknął palcami. - Zaczekaj chwilę.

Pobiegł korytarzem do bufetu i wrócił w towarzystwie Klejnot Jolson, damy, dla której określenie „wielka" zwyczajnie nie wystarczało. Wszystko u niej było, najprościej mówiąc, rozmiarów rodzinnych. Obejmowało to również jej dobry charakter. Wszyscy lubili Klejnot. Wydawała się źródłem radości i zawsze miała dobre słowo dla każdego, nawet kiedy zatrzymywała jakichś pijaków i wrzucała ich do aresztanckiego powozu.

Po wysłuchaniu krótkich wyjaśnień powiedziała:

Pamiętam, że tato wysłał mnie tam w zeszłym roku. Chciał, żebym odnalazła swoje korzenie. Nie powiem, żeby mnie to wciągnęło. Ładna pogoda. Mało do - roboty. Prawdę mówiąc, nic ciekawego, chyba że spróbuje się pogłaskać któregoś kota, bardzo się wtedy irytują. Nie słyszałam, żeby były tam jakieś gobliny, podejrzewam, że to nie jest dla nich odpowiednie miejsce. A teraz przepraszam, kapitanie, mogę wracać do swojej herbaty?

Ciszę, jaka zapadła, przerwał Marchewa.

- Droga statkiem do Howondalandu zajmuje parę miesięcy, a miotły nie działają dobrze nad wodą, nawet gdybyśmy przekonali magów, żeby nam jakąś pożyczyli. Jakieś propozycje?

- Łojzicku! - rzekł Ciut Szalony Artur. - No problemo! Se myślę, wicie, ze mogę tam dolecieć w niecały dzionek.

Spojrzeli na niego. Ciut Szalony Artur był tak mały, że mógł latać na grzbiecie dowolnego ptaka większego niż średnich rozmiarów jastrząb. Jego powietrzne, nadawane z nieba informacje na temat zatorów w ruchu drogowym były regularnym elementem ulicznego życia Ankh-Morpork. Ale przelot na inny kontynent?

Uśmiechnął się.

- Jak wicie, zem wyjeżdżał ostatnio na ciut chwilkę, coby sie zapoznać z moimi braćmi, Nac Mac Feeglami. No i one cęsto se latają na ptaskach, i mają takie cosik, wicie, co się nazywa cołkrok. I se myślę, ze juz chybabym mógł go uzyć, wicie.

- To trzy „wicie" w jednej wypowiedzi, Ciut Szalony Arturze - zauważyła Angua, budząc śmiech pozostałych strażników. - Rzeczywiście wciągasz się w to feeglostwo, co?

- Ha, możecie się podśmiwać, ale ino ja ze syćkich was chłystków wim, cemu tyle wielkich ptasków lata nad miastem o tej pozę roku. Ankh-Morpork jest gorące! Żeście widzieli ten wielgachny pióropus dymu i syćkich łoparów? Są ciepłe. Podnosom wysoko... To darmowa jazda, to wiater, co sam sie wsuwa pod sksydła. A sły- selizeście o tajnym albatrosie? Nie, bo ino ja i profesor łornitologii z uniwersytetu o nim wimy, a łon ino temu, ze sam chłystkowi o nim łopowiedziałem. Poza łokresem godowym tajny albatros nigdy nie tyka gruntu. Ale nie tylko to jest w nim dziwne. Tak naprawdę to orzeł, co ino udaje pewien rodzaj albatrosa. Taki rekin nieba, można by pedzieć. Uważam, ze świetnie sie dla mnie nada. Łone lubią miasto. Unosom sie tam, gdzie nikt ich nie łobacy, chyba ze naprawdę wie, jako sukać. Zawse jakiś jest w pobliżu i mógłbym wylecieć jeszcze dzisiaj. Co wy na to?

- Ale, funkcjonariuszu - odezwał się Marchewa - zamarzniecie tak wysoko na niebie, zgadza się?

- Ano, wim, co moje termiczne gatki nie wystarcą, i dlatego w konwersacji pojawia sie terozki słowo „brandy". Możecie mi wieżyc, kapitanie. Myślę sobie, ze dam radę wrócić za parę dzionków.

- To znaczy kiedy? - spytała Angua.

Ciut Szalony Artur przewrócił oczami.

- Dla takich jak pani: za dwa dni, pani kapitan.

**Które właściwie i tak są zjawiskiem permanentnym.*

W rzeczywistości Ciut Szalony Artur potrzebował zaledwie godziny, by zidentyfikować pokojowo wyglądającego ptaka, szybującego z zadowoleniem ponad miastem z posiłkiem spożytym dzięki uprzejmości mewy, której pióra opadały powoli w stronę miejskiego pejzażu w dole. Tajny albatros nie miał wrogów, których nie potrafiłby bez trudu strawić, więc prawie nie zwracał uwagi na niepozornego i stosunkowo nieszkodliwego jastrzębia, który wznosił się ku niemu - do chwili, kiedy poczuł lądującego mu na grzbiecie Ciut Szalonego Artura. Walczył, ale nie potrafił dosięgnąć Feegla, gdyż ten siedział

sobie wygodnie i zaciskał palce na szyi ptaka - Ciut Szalony Artur preferował szybkie metody udomowiania.

Jakiś czas później tajny albatros walczył o wysokość, krążąc po spirali w potężnym i szerokim kominie darmowego wznoszenia - jak widziała i rozumiała Ankh-Morpork powietrzna społeczność - a Ciut Szalony Artur wykorzystywał wolną chwilę, by zapamiętać malutką, wyrysowaną ołówkiem mapę świata. Nie było to nic trudnego. Ogólnie biorąc, kontynent łatwo jest odnaleźć, podobnie jak brzegi kontynentów, gdzie - według powszechnej zgody - tradycyjnie spotyka się zacumowane statki. Ciut Szalony Artur był światowej klasy ekspertem, jeśli chodzi o szukanie rzeczy z góry, co wydawało mu się zabawne, gdyż większość ludzi, jeśli chciała go zobaczyć, musiała patrzeć w dół.

No dobra, pomyślał, czas w drogę.

Nazywało się to czołkrokiem i Nac Mac Feeglowie z krainy kredy dokładnie pokazali swemu bratu, jak go wykonać, kiedy siedzi się na grzbiecie wielkiego ptaka.

Mieszkańcy Ankh-Morpork unieśli głowy, słysząc z góry głośne „bang!", a potem, ponieważ niebo wciąż było czyste, stracili zainteresowanie.

Tymczasem na pewnym bardzo oszołomionym tajnym albatrosie siedział pewien bardzo zadowolony Feegle, który umo- ścił się wygodnie w piórach i zaczął jeść jajko na twardo i dwu- calowy kawałek chleba, stanowiące jego zapasy na całą podróż*. Wszechświat pędził wokół nich, wydając przy tym dźwięk podobny do „uuiiiiiiiiiiiiiiiiii!".

* * *

Ciemność trwała jakieś cztery godziny, kiedy Vimesa obudził mały chłopiec skaczący energicznie po łóżku - a zatem i po Vimesie.

* Ciut Szalony Artur, jako Feegle, był niezwykle ekonomicznym strażnikiem, jako że w ciągu roku zjadał tyle, ile ludzki strażnik w tydzień. Trzeba jednak przyznać, że mógł w ciągu tygodnia wypić więcej alkoholu niż dowolny ludzki strażnik w rok.

- Tato! - wołał. - Willikins znalazł ptaka, który właśnie umarł. Tato! Mama mówi, że mogę zrobić... to znaczy jemu zrobić tę, no... sekcję, jeśli się zgodzisz! Tato!

Vimes zdołał wymamrotać:

- No dobrze, jeśli mama się zgadza...

I znowu zapadł w czerń. A czerń rozlała się wokół niego. Słyszał własne myśli: Przyzywająca Ciemność może mi zdradzić wszystko, co chcę wiedzieć, i taka jest prawda. Ale czy prawda, którą mi zdradzi, będzie prawdziwą prawdą? I jak mam się o tym przekonać? Jeśli będę na Ciemności polegał, to w pewien sposób stanę się nią. A może ona stanie się mną? Może wiąże nas przymierze? Pomogła mi pod doliną Koom i dzięki temu świat stał się lepszy. Przecież ciemność nie ma powodu, by kłamać. Zawsze lubiłem noc, sam środek nocy, i te noce, które są czystą czernią, kiedy psy się denerwują, a owce ze zgrozy przeskakują ogrodzenia. Ciemność zawsze była moją przyjaciółką, ale nie mogę pozwolić, by stała się moją panią, choć prędzej czy później będę musiał złożyć przysięgę, a jeśli skłamię ja, pierwszy policjant, to jakie będę miał prawo, by kiedykolwiek zganić gliniarza, który przymknął oko?

Przewrócił się między poduszkami.

A przecież to w dobrej sprawie... Tak, cel był słuszny. Ten człowiek, Stratford, rzeczywiście zabił goblinią dziewczynę, potwierdza to zeznanie jego wspólnika oraz słowa istoty, której współpraca była przydatna dla społeczeństwa. Owszem, wzbudziłem w nim strach, ale przecież tacy ludzie jak Flutter zawsze żyją w strachu, a lepiej, żeby bał się mnie niż Stratforda, boja przynajmniej wiem, kiedy się zatrzymać. On jest tylko kolejną czerwoną bilą na suknie, i przypuszczam, że Stratford też. Na pewno ma szefa. Tacy zawsze mają szefa z wyższych sfer, bo tutaj prawie każdy jest albo robotnikiem, albo z wyższych sfer, a o ile wiem, nikt nie powie dobrego słowa o goblinach. To okolica bogata w cele, a w takich bogatych w cele okolicach problem polega na tym, że nie wiadomo, do którego z nich mierzyć.

Vimes znów zapadł w głęboki sen, z którego niemal natychmiast wyrwały go wysiłki syna, pracowicie potrząsającego nieforem- nym stosem, który był śpiącym Vimesem.

- Mama mówi, żebyś przyszedł, tato! Mówi, że jest ktoś.Vimes nie należał do zwolenników szlafroków, więc ubrał się szybko i przygotował tak, jak to możliwe dla człowieka, który powinien się ogolić, ale wygląda, jakby zabrakło mu czasu.

W salonie siedział mężczyzna noszący trójgraniasty kapelusz, bryczesy i nerwowy uśmiech - trzy elementy, które lekko Vime- sa zirytowały. Nerwowy uśmiech zwykle oznaczał, że ktoś próbuje zdobyć coś, czego mieć nie powinien; Vimes prywatnie uważał, że trójgraniasty kapelusz wygląda głupio, a co do bryczesów, to żaden człowiek nie powinien spotkać strażnika w spodniach, które budzą wrażenie, jakby właśnie włamał się do domu pełnego sreber i wszystkie wcisnął pospiesznie do kieszeni. Prawdę mówiąc, Vime- sowi zdawało się, że dostrzega zarys imbryka, ale pewnie wzrok płatał mu figle.

Nosiciel tych zapewne z własnej woli ściągniętych na siebie nieszczęść wstał, widząc wchodzącego Vimesa.

- Wasza łaskawość?

- Czasami - odparł Vimes. - Co mogę dla pana zrobić?

Mężczyzna zerknął lękliwie na lady Sybil, która siedziała wygodnie w kącie, z lekkim uśmieszkiem na twarzy.

- Wasza łaskawość, obawiam się, że w imieniu ławy rajców tego okręgu muszę przekazać panu ten oto rozkaz zaprzestania i zaniechania. Bardzo mi przykro z tego powodu, wasza łaskawość, i mam nadzieję, że wasza łaskawość zrozumie, iż jest to wbrew tradycji, by wydawać takie zalecenie dżentelmenowi, jednakże nikt nie stoi ponad prawem i prawo musi być przestrzegane. Nazywam się William Stoner i jestem sekretarzem wspomnianego ciała...

Pan Stoner zająknął się, ponieważ Vimes podszedł do drzwi i przekręcił klucz.

- Chcę tylko mieć pewność, że nie wyjdzie pan w pośpiechu. Niech pan siada, panie Stoner. Jest pan właśnie człowiekiem, z którym chciałem porozmawiać.

Sekretarz usiadł, wyraźnie nie chcąc być tym człowiekiem. Trzymał przed sobą zwój z umocowaną pieczęcią w czerwonym wosku, taką, jaka rzekomo czyni dokument oficjalnym - a przynajmniej kosztownym i trudnym do zrozumienia, co na jedno wychodzi.

I nagle Vimes uświadomił sobie, że lata rozmów z lordem Veti- narim były w rzeczywistości klasą mistrzowską, choć nie zdawał sobie z tego sprawy. No cóż, nadszedł czas końcowych egzaminów.

Wrócił na fotel, usiadł wygodnie, złożył palce przed twarzą i ponad ich czubkami patrzył na sekretarza przez pełne dziesięć sekund - zawsze go to irytowało, za każdym razem, więc powinno działać na tego dupka.

Wreszcie przełamał milczenie.

- Panie Stoner, trzy noce temu na mojej ziemi popełniono morderstwo. Własność ziemska ma tu znaczenie, nieprawdaż? Jak się wydaje, czyn ten popełniono, by zasugerować mój związek ze zniknięciem niejakiego Jethro Jeffersona, kowala. Może pan wierzyć, że byłem nieco urażony, ale to drobiazg w porównaniu z poziomem urazy, jakiej doświadczyłem, kiedy spotkałem funkcjonariusza Feeneya Upshota, naszego miejscowego glinę, porządnego chłopaka, dobrego dla matki, który jednak z jakiegoś powodu uważał, że odpowiada przed tajemniczymi rajcami magistratu, a nie przed prawem. Cóż to za magistrat? Jakaś lokalna rada? Jak się zdaje, nikt ich nie nadzoruje, nie ma żadnego okręgowego sędziego ani... Jeszcze nie skończyłem!

Poszarzały na twarzy pan Stoner opadł na siedzenie. Podobnie Vimes, który starał się nie pochwycić wzroku Sybil z obawy, że parsknie śmiechem. Przywdział na twarz maskę absolutnego spokoju.

- Mam też wrażenie, panie Stoner, że w tej okolicy gobliny są oficjalnie uznawane za szkodniki. Szczury to szkodniki, podobnie jak myszy; przypuszczam, że można za takie uznać również gołębie i wrony. Ale one nie grają na harfie, panie Stoner, nie tworzą wspaniale zdobionych urn oraz, panie Stoner, nie błagają o litość, choć muszę przyznać, że widywałem niekiedy myszy, które próbowały, ujmująco marszcząc nosek, co rzeczywiście skłaniało mnie, by odłożyć narzędzie. Ale to dygresja. Gobliny są może paskudne, niehigieniczne i źle odżywione, w czym bardzo przypominają większą część ludzkości. Gdzie pański magistrat nakreśli granicę, panie Stoner? W Ankh-Morpork nie wytyczamy takich granic, bo jeśli raz uznamy gobliny za robactwo, to biedacy będą robactwem, krasnoludy będą robactwem i trolle będą robactwem. Ona nie była robactwem i błagała o życie.

Oparł się wygodnie i czekał, aż pan Stoner uświadomi sobie, że posiada jednak dar wymowy. Kiedy to nastąpiło, sekretarz podszedł do sytuacji w klasycznie urzędniczy sposób, to znaczy zignorował ją.

- Mimo to, panie Vimes, jest pan tutaj poza granicami pańskiej jurysdykcji. I muszę zaznaczyć, że zachęcanie funkcjonariusza Upshota do sposobu myślenia oraz, muszę zaznaczyć, także zachowania źle wróżących jego przyszłej karierze...

Nie zdążył powiedzieć nic więcej, gdyż Vimes mu przerwał.

-Jakiej karierze? Nie ma tu żadnej kariery. Jest gliną całkiem sam, jeśli nie liczyć paru świń. W głębi duszy to dobry chłopak, nie da się łatwo przestraszyć, pisze wyraźnie i ładnie, w dodatku zna ortografię, co według mnie automatycznie czyni go materiałem na sierżanta. Co do tej nieszczęsnej jurysdykcji, morderstwo jest najcięższą zbrodnią. Według omnian to trzecie przestępstwo popełnione przez człowieka. Nie znam na świecie społeczności, w której morderstwo nie jest ścigane z całą mocą! A co do prawa, niech pan nawet nie próbuje opowiadać mi o prawie. Bo ja nie stoję ponad prawem, stoję pod nim i podtrzymuję je! W tej chwili pracuję z panem Upshotem, mamy w celi wspólnika morderstwa i zadbamy o to, by zwyciężyła sprawiedliwość, nie wygoda.

- Brawo, Sam - wtrąciła lojalnie Sybil i energicznie klasnęła w dłonie, jak to czynią ludzie, kiedy chcą, by inni się przyłączyli.

Pan Stoner jednak pozostał niewzruszony.

Brawo, sir, jednakże otrzymałem instrukcje, by pana aresztować. Magistrat zaprzysiągł mnie jako policjanta, rozumie pan, natomiast młody Upshot został

**Pierwsze dwa to kradzież pospolita i obraza moralności publicznej.*

- zwolniony ze służby. - Skrzywił się nagle, bo wyczuł gwałtowne ochłodzenie atmosfery.

Vimes wstał.

- Nie sądzę, bym dzisiaj pozwolił panu się aresztować, panie Stoner. Podejrzewam, że Sybil pozwoli panu napić się herbaty, gdyby miał pan ochotę, ale ja zamierzam udać się na spotkanie ze starszym funkcjonariuszem Upshotem.

Otworzył drzwi i wyszedł z pokoju, potem z Dworu, po czym, w rozsądnym tempie, pomaszerował do celi.

W połowie drogi dogonił go Willikins.

- Nie mogłem nie słyszeć tych jego bzdur, komendancie, z powodu tego, że podsłuchiwałem pod drzwiami zgodnie z paragrafem piątym kodeksu dżentelmena dżentelmena. Co za bezczelność! Będę panu potrzebny, żeby osłaniać pańskie plecy.

Vimes pokręcił głową.

- Nie wydaje mi się, żeby należało wplątywać w tę sprawę cywilów.

Willikins musiał podbiegać, gdyż Vimes wyraźnie przyspieszał.

Choć trochę zdyszany, odpowiedział jednak:

- To paskudna rzecz, jaką mi pan teraz powiedział, komendancie.

Ale biegł za nim mimo to.

* * *

Coś się działo przed celą - dla Vimesa wyglądało to jak zakłócenie spokoju, zamieszanie, możliwe, że burda, a nawet rozruchy, co oznaczało, że niektórzy na jakiś czas przestaną się ruszać. Przyszło mu jednak do głowy, że może to awantura, zawsze użyteczne słowo, bo nikt nie wiedział, co dokładnie i ściśle oznacza, ale brzmiało wystarczająco groźnie.

Jednak na widok tego, co się wydarzyło, parsknął śmiechem.

Feeney stał przed drzwiami celi, z twarzą czerwoną jak burak i dziedziczną pałką w ręku. Całkiem możliwe, że zdążył jej użyć na niewielkiej grupie próbującej szturmować celę, ponieważ jakiś człowiek leżał na ziemi, trzymał się za krocze i jęczał. Jednak długie doświadczenie Vimesa podpowiedziało mu, że owo precyzyjnie zlokalizowane cierpienie miało wiele wspólnego z panią Upshot, która stała otoczona półokręgiem mężczyzn gotowych do odskoku, gdy tylko machnie w ich stronę miotłą.

- Nawet nie gadajcie, że mój chłopak Feeney nie jest policjantem! Jest policjantem, tak samo jak jego ojciec, a przed nim dziadek i pradziadek! -Urwała na chwilę, po czym przyznała niechętnie:

- Przepraszam, skłamałam. Ten był przestępcą, ale to i tak prawie jak policjant! - Miotła zaświszczała, przesuwając się w przód i w tył.
- Znam was wszystkich! Niektórzy to gajowi, niektórzy to przemytnicy, a niektórzy zwykłe dranie, wybaczcie mój klatchiański.

W tym momencie dostrzegła Vimesa; zamilkła tylko na moment, by niczym młotek opuścić miotłę na stopę mężczyzny, który wykonał krok w niewłaściwym kierunku. Potem wskazała Vimesa palcem i krzyknęła:

- Widzicie go? To jest prawdziwy dżentelmen, a do tego wielki glina! Od razu poznacie prawdziwego glinę, takiego jak mójHenry, niech bogowie błogosławią jego duszę, i takiego jak komendant Vimes też, bo mają porządne odznaki, co to nimi tysiące razy otwierali butelki z piwem, i możecie mi wierzyć, mocno by wam taka zaszkodziła, gdyby wetknęli ją wam do nosa! A te nędzne kartoniki, którymi do mnie machacie, chłopcy, tylko mnie śmieszą! Podejdź no trochę bliżej, Davy Hacketcie... - zwróciła się do najbliższego mężczyzny - ...to kij od miotły wepchnę ci prosto do ucha, możesz mi wierzyć!

Vimes badał wzrokiem ludzi w tłumie, próbując odróżnić podstępnych i niebezpiecznych od głupich i naiwnych. Już miał machnąć ręką i przegnać muchę znad głowy, kiedy usłyszał chóralny jęk napastników, zobaczył bełt na kamieniach i panią Upshot, wpatrzoną w miotłę, która rozpadła się na dwie części.

W teorii pani Upshot powinna krzyknąć, ale zbyt długo żyła obok gliniarzy. Zatem, z twarzą czerwoną ze złości, wskazała złamaną miotłę i rzuciła takim tonem, do jakiego zdolna jest tylko matka:

- Kosztowała pół dolara! One nie rosną na drzewach, jak wiecie! Trzeba za nią zapłacić!

Nerwowe dłonie natychmiast wsunęły się do kieszeni i zabrzęczały monety. Jeden z ludzi wykazał się wielką przytomnością umysłu i zdjął kapelusz, a monety posypały się do środka jak deszcz. Ponieważ wiele z nich było pochwyconymi w pośpiechu dolarów- kami i półdolarówkami, pani Upshot najwyraźniej miało do końca życia nie zabraknąć mioteł.

Jednak Feeney, który gotował się z wściekłości, zrzucił kapelusz na ziemię, gdy tylko został podsunięty jego matce.

- Nie! To jak łapówka, mamo! Ktoś do ciebie strzelił. Widziałem strzałę, wyleciała z tej grupy, z samego środka! Schowaj się, mamo, nie chcę cię stracić jak tatę, rozumiesz? Wracaj do domu, a jak tylko zamkniesz za sobą drzwi, udzielę tym panom lekcji dobrych manier!

Feeney aż się gotował. Gdyby w tej chwili na głowę upadła mu szyszka, toby wybuchł. Jego gniew - czysty, sprawiedliwy gniew, furia, w której człowiek znajduje pomysł i chęć, a przede wszystkim siłę, by zatłuc na śmierć wszystkich wokół siebie - stał się powodem moczącej spodnie troski oszołomionych obywateli, przeważającej nad faktem, że więcej niż sześć dolarów niczyich pieniędzy leżało obecnie na ziemi i ile z tego mogliby odzyskać bez ryzyka?

Vimes nie odzywał się nawet słowem. Nie było tu już miejsca na słowa. Słowo mogłoby wybić hamulce, jeszcze powstrzymujące zasłużoną karę. Dziedziczna pałka Feeneya wyglądała jak ostrzeżenie od bogów. W jego rękach mogła oznaczać nagłą śmierć. Nikt nie ośmielił się uciekać, pewien, że ucieczka uczyniłaby go kandydatem do spotkania z miażdżącym dębowym drewnem.

Może teraz nadeszła odpowiednia chwila?

- Starszy funkcjonariuszu Upshot, możemy zamienić kilka słów jak policjant z policjantem?

Feeney spojrzał na niego przekrwionymi oczami niczym człowiek, który usiłuje skupić wzrok na drugim końcu wszechświata. Jeden z mężczyzn na obrzeżu grupy uznał to za sygnał do ucieczki, po czym z tyłu rozległo się głuche uderzenie i głos Willikinsa:

- Och, proszę o wybaczenie, wasza łaskawość, ale ten dżentelmen potknął się o moją stopę. Niestety, mam bardzo duże stopy.

I jako ilustrację tych przeprosin podniósł za kołnierz człowieka, którego nos miał prawdopodobnie wyglądać o wiele lepiej pod koniec przyszłego tygodnia.

Wszystkie oczy skierowały się na Willikinsa, wszystkie oprócz należących do Vimesa - ponieważ w cieniu, zachowując dystans od tłumu, stał ten przeklęty prawnik. Nie razem z tłumem, oczywiście, szanujący się prawnik nie mógł być elementem takiego motło- chu, ale po prostu stał tam i patrzył.

Feeney przyjrzał się otaczającej go grupie, ponieważ każdy łatwo może się potknąć.

- Dziękuję za pomoc pańskiego człowieka, komendancie, ale to mój teren, jeśli wie pan, o czym mówię. I to ja decyduję.

Feeney oddychał ciężko, ale pilnie się rozglądał, szukając pierwszego, który się poruszy, czy choćby wyglądającego, jakby miał się poruszyć w przyszłości.

-Jestem policjantem! Nie zawsze dobrym albo sprytnym, ale policjantem i człowiek w tej celi jest moim więźniem. Będę go bronił do śmierci, a jeśli to będzie śmierć jakichś sukinsynów, którzy stanęli przed moją mamą z kuszami, co to ich nie umieją używać, no to trudno! - Zniżył głos do nieco mniej niż wrzasku. - Przecież znam was, tak jak znał mój tato i dziadek, przynajmniej niektórych. Wiem, że nie jesteście tacy źli i w ogóle...

Przerwał na moment i spojrzał uważnie.

- Co pan tu robi, panie Stoner? Stoi pan obok tłumu? Czyżby wsuwał pan do niektórych kieszeni coś brzęczącego?

- To stwierdzenie nadaje się do zaskarżenia, młody człowieku - odparł Stoner.

Vimes ostrożnie podszedł do niego.

- Nie powiem, że nadużywa pan szczęścia, panie Stoner - szepnął. - Pańskie szczęście skończyło się w chwili, kiedy mnie pan dzisiaj zobaczył. - Stuknął palcem w boczną część nosa. - I delikatna sugestia: ja też mam duże stopy.

Nie mając pojęcia o tej wymianie zdań, Feeney mówił dalej:

- Chcę, abyście wiedzieli, że parę dni temu, nocą, ktoś zadźgał na wzgórzu młodą goblinkę, chociaż błagała o życie. To źle. To bardzo źle. A jeden z powodów jest ten, że człowiek, który potrafi tak zarżnąć goblinkę, pewnego dnia zarżnie też waszą siostrę. Pomogę jednak mojemu... - Feeney zawahał się, nim dokończył: - ...koledze, komendantowi Vimesowi, w postawieniu winnych przed obliczem sprawiedliwości. Ale to nie wszystko, daleko nie wszystko! Bo rozumiecie, ja wiem, tak samo jak wy, że trzy lata temu cała grupa goblinów została wyłapana nocą, uwięziona i wysłana gdzieś w dół rzeki. Mój biedny ojciec zrobił, co mu kazali, i przymknął na to oko, aleja tak nie postąpię. Nie wiem, czy któryś z was w tym pomagał, i w tej chwili niespecjalnie mnie to obchodzi, bo ludzie w tej okolicy zwykle robią, co im się każe, chociaż może niektórzy robią to trochę bardziej niż inni. - Kolejno mierzył ich wzrokiem, by każdy wiedział, że jego też to dotyczy. - I wiem coś jeszcze. Wiem, że wczoraj wieczorem, kiedy byliśmy w drodze do Hangnailsów, grupa goblinów z Nawisu została uwięziona i załadowana na wołowy statek płynący do...

- Co?! Czemu wcześniej nic mi nie powiedziałeś?! - krzyknął Vimes.

Feeney nie spojrzał na niego, wciąż obserwując tłum.

- Jakie wcześniej? Przepraszam, komendancie, ale dużo się działo, więc odkryłem to tuż przed przybyciem tych tutaj, a wtedy byłem raczej zajęty. Statek przepłynął tędy, kiedy my jeszcze otwieraliśmy beczki w Hangnailsach. Ta banda chciała, żeby im przekazać mojego... pańskiego... naszego więźnia, a potem oczywiście wtrąciła się moja mama, no i sam pan wie, że zawsze jest ciężko, kiedy mama się wtrąca. Nie powiedziałem, że można się ruszać, prawda?!

Ostatnie słowa skierowane były do mężczyzny, który zgiął się wpół, przyciskając dłońmi dół brzucha.

- Bardzo przepraszam, eee, Feeney, eee, funkcjonariuszu, eee, starszy funkcjonariuszu Upshot, ale naprawdę muszę do wygódki, jeśli to nie przeszkadza, bardzo proszę, będę wdzięczny...

Vimes mu się przyjrzał.

- A niech mnie, to przecież pan, panie Stoner! Willikins, zaprowadź go gdzieś, gdzie będzie mógł załatwić tę sprawę, dobrze? Tylko koniecznie przyprowadź go z powrotem. A gdyby się okazało, że nie ma nic do załatwiania, postaraj się, żeby miał.

Chciałby powiedzieć o wiele więcej, ale to naprawdę był teren Feeneya, a chłopak radził sobie zaskakująco dobrze, kiedy przychodziło do grożenia ludziom grożącym starym matkom. Zresztą jeszcze nie skończył, tyle że jego nastrój zmienił się z płynnej stali w zimne, twarde żelazo.

- Zanim powiem wam, panowie, co będzie dalej, chcę zwrócić waszą uwagę na goblina siedzącego o tam, na drzewie i obserwującego was uważnie. Wszyscy miejscowi na pewno znają Smrodka i czasami dajecie mu kopniaka, czasami wyprosi od was papierosa, a czasami wykona jakąś pracę. Tak?

W powietrzu dało się poczuć wysychający pot i ulgę - obecni uznali, że najgorsze już za nimi. W rzeczywistości dopiero się zaczynało.

- Komendant Vimes chciałby wam przekazać, podobnie zresztą jak ja, że prawo stosuje się do wszystkich, a to znaczy, że stosuje się również do goblinów.

Kilka osób pokiwało głowami.

-Alejeśli prawo stosuje się do goblinów, to gobliny mają swoje prawa, a jeśli gobliny mają prawa, to poprawnie będzie mieć goblina w siłach porządkowych Włości.

Vimes popatrzył na Feeneya ze zdziwieniem i nie tak małą dawką podziwu. Chłopak ich trafił: wszyscy kiwali głowami, a on prowadził ich kiwnięcie za kiwnięciem, aż zaczęli potakiwać na wiadomość o strażniku goblinie.

- Tak więc, panowie, zamierzam na okres próbny mianować tego oto Smrodka funkcjonariuszem specjalnym, żeby mnie informował, co się dzieje na wzgórzu. Dostanie odznakę i każdy, kto zechce go kopnąć, teraz będzie naruszał nietykalność funkcjonariusza policji w czasie pełnienia obowiązków służbowych. Wydaje mi się, że karą za to jest nie tylko powieszenie, ale też pozwolenie, by skazany poskakał przy tym chwilę w górę i w dół. Jednocześnie jest to wewnętrzna decyzja służbowa i nie wymaga zatwierdzenia przez żaden magistrat. Mam rację, komendancie Vimes?

Vimes był zdumiony tym, w jaki sposób jego usta zareagowały bez żadnego odwołania do mózgu.

- Tak, starszy funkcjonariuszu Upshot, zgodnie z paragrafem 12 część trzecia Praw i Przepisów Porządkowych Ankh-Morpork, powszechnie uznawanych za wzorzec procedur policyjnych - dodał z satysfakcją, wiedząc, że nikt z obecnych nie widział ich nigdy na oczy i nie potrafiłby przeczytać, nawet gdyby zobaczył.

W myślach jednak skrzywił się trochę. Uszło mu jakoś przyjmowanie do straży krasnoludów, trolli, a w końcu nawet wilkołaków i wampirów, choć pod pewnymi oczywistymi warunkami, jednakże było to rezultatem pewnego wywieranego przez lata nacisku. Veti- nari zawsze powtarzał: „Co jest normalne? Normalne to wczoraj, zeszły tydzień i zeszły miesiąc razem wzięte". Vimes przypuszczał, że starał się dodawać pewne elementy po jednym, by to normalne stopniowo ewoluowało... Chociaż w tej chwili naprawdę byłoby lepiej, gdyby pan Smrodek, a raczej funkcjonariusz specjalny Smrodek w okresie próbnym, ograniczył swoją działalność do jaskini. Tak, to nawet niezły pomysł. Gdyby udało mu się skłonić gobliny, żeby nie podkradały kurczaków, może to nowe normalne miałoby szansę. Ludzie przecież bez oporów godzą się, by prawa i wolności odbierali im ci, których szanują albo podziwiają, niekiedy jednak miejsce w szeregu jest niczym policzek - i tak się je traktuje.

A teraz Feeney, trochę już zdyszany, dotarł niemal do końca.

- Nie mogę nikogo z was zmusić, żeby mi cokolwiek powiedział, ale może jest ktoś, kto chciałby pomóc w śledztwie?

Vimes starał się nikomu nie pokazać swojej miny, a już zwłaszcza Feeneyowi. Oczywiście, kapitan Marchewa był kiedyś taki sam, a nawet - czy to możliwe? - młody Sam Vimes był taki, ale przecież to chyba oczywiste, że nie oczekuje się od ludzi w tłumie, by któryś podniósł rękę i zawołał radośnie: „Tak, panie funkcjonariuszu! Będę zachwycony, mogąc opowiedzieć panu wszystko, co wiem, i chciałbym, aby ci godni dżentelmeni byli moimi świadkami!".

Nie. Po takim spektaklu, jak ten przed chwilą, trzeba czekać, czekać, aż ktoś podejdzie dyskretnie i szepnie coś, kiedy zostaną sami, albo tylko pochyli głowę we właściwym kierunku, czy też -jak to się kiedyś zdarzyło Vimesowi - palcem wypisze inicjały w piwie rozlanym na kontuarze, by dwie sekundy później wytrzeć je starannie. Bo ktoś bardziej błyskotliwy może przecież pomyśleć: Nie wiadomo, co się przydarzy; taki Feeney może przecież zrobić karierę, a wtedy dobre układy z nim naprawdę się przydadzą.

Vimes zdmuchnął ten różowy obłok zakłopotania.

- No cóż, panowie, jako komendant Straży Miejskiej Ankh- -Morpork muszę zauważyć, że tutejszy funkcjonariusz policji jest dla was niezwykle wyrozumiały. Ja bym taki nie był, więc bądźcie mu wdzięczni. Jak wielu z tych... - tu parsknął pogardliwie - ...dżentelmenów naprawdę znacie, starszy funkcjonariuszu Upshot?

- Mniej więcej połowę, komendancie; znaczy, ich nazwiska, rodziny, gdzie mieszkają i podobne. Reszta nie jest stąd. Nie powiem, że to anioły, ale na ogół dość przyzwoici.

Ta rozsądna wypowiedź w tych okolicznościach zyskała Feene- yowi kilka kpiących uśmieszków oraz liczne pełne ulgi spojrzenia. Dała też punkt zaczepienia Vimesowi.

- A zatem który z nich miał bełt założony na cięciwę kuszy? Jak pan sądzi, panie Upshot?

Zanim jednak Feeney zdążył otworzyć usta, Vimes odwrócił się gwałtownie i stanął twarzą w twarz z powracającym panem Stone- rem. Willikins, którego instynkt nie zawodził prawie nigdy, wciąż miał go na oku.

- Widzę, że wrócił mój dobry przyjaciel, pan Stoner - rzekł Vimes. - On jest prawnikiem, a ja policjantem, więc wiemy, jak ze sobą rozmawiać. Proszę tutaj, panie Stoner.

Delikatnie, ale stanowczo chwycił opierającego się prawnika za ramię i odciągnął kawałek od reszty grupy. Ludzie ich obserwowali, jak z satysfakcją stwierdził Vimes, z instynktowną głęboką podejrzliwością.

-Jest pan prawnikiem, panie Stoner? Nie od spraw kryminalnych przypadkiem?

- Nie, wasza łaskawość. Specjalizuję się głównie w nieruchomościach i własności ziemskiej.-

Och, to o wiele mniej niebezpieczne - przyznał Vimes. - Przypuszczam, że jest pan członkiem ankhmorporskiej palestry, której przewodniczy mój dobry znajomy, pan Slant?

Powiedział to dobrodusznie, ale wiedział, że nazwisko starego zombi budzi grozę w sercu każdego prawnika... choć to, czy pan Slant miał jeszcze własne serce, było kwestią otwartą. Za to pan Stoner zapewne myślał teraz bardzo szybko. Jeżeli miał swój rozum i czytał między wierszami w swoim egzemplarzu „Magazynu Prawniczego", był świadom, że pan Slant kłania się (dość sztywno) ludziom bogatym i wpływowym, nie lubi błędów i nie lubi patrzeć, jak prawo jest kompromitowane przez niekompetentnych prawników i laików; uważa bowiem, że to konkretne zadanie należy pozostawić wyłącznie prawnikom doświadczonym, takim jak pan Slant, którzy potrafią to załatwić starannie, elegancko i licząc sobie 300 AM$ za godzinę. Pan Stoner powinien więc myśleć, że skoro okoliczni posiadacze ziemscy przerobili prawo tak, by im odpowiadało - co jest prerogatywą profesji prawniczej jako takiej - pan Slant nie będzie zapewne szczęśliwym zombi. Obyczaj i praktyka nie nakazywały już, by pan Slant stękał, chodząc rozkołysanym krokiem, wyciągając przed siebie obie ręce (dla lepszego efektu w jednej dodatkowo trzymając odciętą głowę), dlatego też wyładowywał swój zły humor na zadzierających nosa młodych prawnikach, którym w głowie się poprzewracało, rozmawiając z nimi spokojnym i cichym głosem. Później uważali zwykle, że w porównaniu z tym odcięta głowa stanowiła opcję wegetariańską.

Vimes przyglądał się, jak młody człowiek analizuje swe skromne możliwości i odkrywa, że nie istnieje liczba mnoga.

- W samej rzeczy, starałem się doradzać miejscowemu wymiarowi sprawiedliwości co do sytuacji - powiedział tonem człowieka, który ćwiczy mowę obrończą. - Z przykrością muszę jednak przyznać, iż przedstawiciele władz reprezentowali pogląd, że skoro są właścicielami ziemi w tej okolicy, to decydują o prawie obowiązującym na wzmiankowanej ziemi. Zapewniam przy tym, że sami w sobie są całkiem miłymi ludźmi.

Vimes zdziwił się, jak doskonale ostatnio nad sobą panuje.

- Ziemia... Lubię ziemię - powiedział. - Lubię na niej stać, chodzić po niej. Ale ziemia, posiadacze ziemscy i prawo... Człowiek naprawdę może się pogubić, prawda? Zwłaszcza w obecności solidnego honorarium, prawda? No i całkiem łatwo im być miłymi ludźmi, skoro mogą sobie pozwolić na wynajęcie ludzi bardzo niemiłych, takich, którzy nawet nie potrzebują rozkazów, wystarczy im mrugnąć i skinąć głową.

W tym momencie zahuczał grom, nie całkiem odpowiedni do ostatniego komentarza, a zatem pozbawiony okultystycznego znaczenia. Niemniej jednak był to potężny huk, przetaczał się po niebie i zrzucał bloki dźwięku. Vimes uniósł wzrok i stwierdził, że niebo nad horyzontem ma kolor sińca, natomiast w pobliżu powietrze jest ciepłe i nieruchome, a owady i inne stworzenia, których tożsamości nawet nie próbował zgadywać, brzęczą swobodnie wśród traw. Uspokojony, że nie musi jeszcze szukać schronienia, zwrócił się znowu do wijącego się Stonera.

- Jeśli wolno zasugerować, panie Stoner, niech pan znajdzie bardzo ważny powód, by pilnie wyjechać do miasta i może porozmawiać tam z jakimś doświadczonym prawnikiem. Najlepiej będzie, jeśli zaprezentuje się pan jako ktoś bardzo niemądry, a kiedy zobaczą pańskie zmoczone spodnie, będzie to istotnym potwierdzeniem, może mi pan wierzyć. W razie konieczności mogę ewentualnie przekazać opinię na pański temat, stwierdzając, że był pan raczej uległym głupcem niż przestępcą.

Wyraz wdzięczności na twarzy Stonera Vimes uznał za dobry znak, więc dodał:

- Czemu nie spróbuje pan prawa karnego? Ostatnio się zajmuje głównie sprawcami ciężkich uszkodzeń ciała i mordercami. Mogłoby to posłużyć za balsam dla duszy. Ale jeszcze dwie sprawy. Co pan wie o goblinach wysłanych na wybrzeże? I co pan wie
0 zniknięciu kowala Jeffersona?

Nigdy nie jest przyjemnie stanąć wobec trudnych pytań w chwili, kiedy człowiek myśli o wskakiwaniu na konia i szybkim pokonywaniu dużych odległości.

- Zapewniam, wasza łaskawość - odparł prawnik - że o zniknięciu kowala nie wiem nic, o ile w ogóle nie poszedł sobie pracować gdzie indziej. A gobliny? Tak, wiem, że pewną ich liczbę odesłano gdzieś kilka lat temu, ale sprawuję to stanowisko dopiero dwa lata
1 nie mogę komentować tamtych wydarzeń. - Po czym dodał z godnością: - Nie posiadam żadnej wiedzy o jakichkolwiek goblinach, które usunięto ostatnio z ich miejsca zamieszkania, w co wydaje się wierzyć starszy funkcjonariusz.

Vimes odwrócił się tyłem do pozostałych, by ludzie w tłumie nie mogli łatwo zobaczyć, co się dzieje. Spojrzał groźnie na prawnika.

- Gratuluję pańskiej starannej ignorancji, panie Stoner. - Chwycił go za klapy. - Posłuchaj no, mały dupku! To, co mówisz, może być w ścisłym sensie prawdą, ale byłbyś bardzo głupim prawnikiem, gdybyś nie rozumiał, że banda posiadaczy nie może tak sama zdecydować, że cokolwiek zechcą zrobić, jest prawem. I jeśli chcesz trzymać się obu stron, a uważam, że chcesz, Stoner, to może w swoim napiętym rozkładzie zajęć znajdziesz wolną chwilę, żeby przekazać swoim byłym pracodawcom pewną wiadomość? Powiedz, że komendant Vimes wie o nich wszystko. I że komendant Vimes wie, co z nimi zrobić. I wiem, kim oni są, Stoner, bo starszy funkcjonariusz Upshot dostarczył mi listę nazwisk.

Delikatnie zmniejszył ucisk.

- Bardzo niedługo ta okolica stanie się dla pana pechowa, panie Stoner - rzekł cicho.

Po czym odwrócił się znowu, żeby tłum go zobaczył. Chwycił zaskoczonego prawnika za rękę i zaczął nią wylewnie potrząsać.

- Bardzo panu dziękuję za te cenne informacje - powiedział głośno. - Zapewniam, że bardzo mi ułatwią dochodzenie. Jestem pewien, że starszy funkcjonariusz Upshot zgodzi się ze mną. Nasze życie stałoby się o wiele prostsze, gdyby praworządni obywatele tak chętnie pomagali w działaniach policji.

Przyjrzał się oszołomionemu prawnikowi.

- Nie chcę osądzać, ale niektórzy z tych ludzi zrobili szczególne miny... Znam ten typ, pewnie mają więcej zębów niż komórek w mózgu. A teraz, panie prawniku, właśnie się zastanawiają, ile pan wiedział i ile mi pan zdradził. Na pańskim miejscu nie traciłbym czasu na pakowanie. I mam nadzieję, że znajdzie pan szybkiego konia.

Stoner oddalił się pospiesznie, a po znaczącym skinieniu głową Feeneya tłum także szybko rozpłynął się w pejzażu.

Kolejny bilardowy strzał, pomyślał Vimes. Trzeba załatwić czerwone, trzeba kolorowe, ale prędzej czy później człowiek musi się zająć czarną.

Pozostał na miejscu w towarzystwie jedynie Willikinsa i starszego funkcjonariusza, który rozglądał się z miną kogoś, kto właśnie sobie uświadomił, że nie tylko ugryzł więcej, niż potrafi przełknąć, ale więcej, niż potrafi unieść. Wyprostował się, kiedy spostrzegł, że Vimes mu się przygląda. Wyraźnie potrzebował jakiejś otuchy, więc Vimes podszedł i klepnął go w ramię.

- Nie do wiary! Brawo, starszy funkcjonariuszu, i tym razem nie naśmiewam się z ciebie, Feeney, nie próbuję kpić, nie robię sobie żartów i nie mogę uwierzyć, że jesteś tym samym chłopakiem, którego poznałem ledwie dwa dni temu! Postawiłeś im się, nie ma co! Banda niebezpiecznych idiotów! Z prawnikiem!

- Strzelili z kuszy do mojej mamy! Pewnie, mówili, że nie, bo liczyli, że nas nastraszą! Mówili, że nie mieli strzał! A ja im na to, a nawet nie mrugnąłem, więc powiadam: Pewno, że teraz już nie macie, kiedy już je wystrzeliliście do mojej mamy, prawda? To najlepszy dowód, tak im mówię, a oni nie wiedzieli, co mi na to odpowiedzieć!

- Wiesz, mnie też brakuje słów, Feeney, bo mam wrażenie, że wspominałeś coś o goblinach, które wczoraj wysłali w dół rzeki. Jak się tego dowiedziałeś?

Feeney wskazał kciukiem drzwi celi i wyszczerzył zęby.

- Tu jest klucz, sir, niech pan tam wejdzie i porozmawia z więźniem. Spodoba się panu, sir. Wychodził z siebie, kiedy się dowiedział, że mają przyjść po niego. Śpiewał jak słowik, słowo daję!

- Zwykle mówimy, że śpiewają jak kanarki - rzucił Vimes i ruszył w stronę niskiego budynku.

- Tak, sir, ale to wiejski komisariat. Znam tutejsze ptaki i on śpiewał jak słowik, nie ma co. Piękna kadencja kląskania, sir, moim zdaniem ustępująca jedynie trelom drozda, być może spowodowana tym, że był bardzo, ale to bardzo przestraszony. Będę musiał za chwilę zanieść tam wiadro...

- Znowu świetna robota, Feeney! Sugeruję, żebyś poszedł teraz do domu i zajął się mamą. Na pewno martwi się o ciebie. Wiesz, mamy zwykle się martwią.

* * *

Ciut Szalony Artur był zachwycony. Czemu nikt mu wcześniej nie mówił o czołkroku? No ale przecież dopiero niedawno odkrył, że z urodzenia jest Nac Mac Feeglem, a nie dzieckiem spokojnej, szewskiej rodziny gnomów, w co do tej pory wierzył. Feeglowie nie noszą butów i nie są spokojni. Jak wielu ludzi przed nim i po nim, Ciut Szalony Artur zawsze uważał, że prowadzi niewłaściwe życie.

Kiedy prawda przypadkowo wyszła na jaw, wszystko nagle jakoś nabrało sensu. Już mógł być dumny, że jest Nac Mac Feeglem, aczkolwiek takim, który lubi od czasu do czasu obejrzeć balet i potrafi przeczytać menu po quirmsku, czy też, ściślej mówiąc, w ogóle czytać.

Teraz krążył pod wielkim, ciepłym, błękitnym niebem Howon- dalandu, wybitnie z siebie zadowolony. Cały kontynent! Jak rozumiał, gdzieś tam mieszkali ludzie, ale z powietrza widział głównie pustynię albo góry, albo - tej było najwięcej - zieloną dżunglę. Pozwolił albatrosowi dryfować w prądach termicznych, a sam szukał wzrokiem czegoś, co podejrzewał, że mogło się tam znajdować. Nie chodziło mu o jakiś przedmiot, ale o koncepcję: kąt prosty. Ludzie, którzy siali i sadzili, lubili kąty proste. Były uporządkowane. Ułatwiały pracę.

I tam je zobaczył! Na samym brzegu! Wyraźne kąty proste i całkiem ich dużo.

Po szybkim posiłku złożonym z jajka na twardo przekonał ptaka, by usiadł na gałęzi drzewa. Potem skoczył na ziemię, co nie było przedsięwzięciem budzącym lęk u kogoś pochodzącego z Nac Mac Feeglów.

O zmierzchu mijał rząd za rzędem pachnących tytoniowych krzewów. Jednakże wyraźnie prostokątne - w tej krainie rzadko spotykanej geometrii - były też widoczne niedaleko szopy.

Od początku starał się skradać, ale skradał się coraz bardziej, kiedy zobaczył stos, biały i nierówny. To była biel kości. Małych kości, nie feeglowych, ale o wiele za drobnych na ludzkie. Potem, kiedy zbadał stos dokładniej, zobaczył zwłoki. Jedne jeszcze się trochę poruszały, mniej więcej.

Ciut Szalony Artur potrafił rozpoznać goblina. Dostatecznie wielu ludzi nie lubiło Feeglów, by Feeglowie nie traktowali gobli- nów z pogardą. Owszem, były nieznośne, lecz Feeglowie chętnie przyznawali, że oni także to potrafią. Ale przecież nie umiera się na bycie nieznośnym. Krótko mówiąc, Ciut Szalony Artur uznał sytuację za bardzo niedobrą.

Przyjrzał się temu, który jeszcze się ruszał. Całe ciało pokrywały rany i ropiejące blizny, a jedna noga była skręcona i wygięta. CiutSzalony Artur wiedział, co to śmierć - i ta śmierć unosiła się teraz w powietrzu. Raz tylko spojrzał w błagalnie otwarte jedyne pozostałe oko goblina, po czym wyjął nóż i skrócił jego cierpienia.

I kiedy stał tam nieruchomo, za jego plecami ktoś zapytał:

- A skąd się tu wziąłeś, do demona?

Ciut Szalony Artur wskazał swoją odznakę, która na nim miała rozmiar tarczy.

- Straż Miejska Ankh-Morpork - oznajmił.

Krępy mężczyzna patrzył na niego z wyższością.

- Tutaj nie obowiązuje prawo, czymkolwiek byś był, mały dupku!

Jak zawsze powtarzał komendant Vimes w okazjonalnych przemowach do swoich ludzi, cechą dobrego funkcjonariusza jest zdolność do improwizacji w nietypowych okolicznościach. Ciut Szalony Artur dobrze zapamiętał jego słowa. „Nikt nie oczekuje od was, że będziecie wybitnymi prawnikami - mówił Vimes - ale jeśli macie dowody sugerujące, że wasze planowane działania są, według wszelkich oznak, usprawiedliwione, powinniście je podjąć".

Ciut Szalony Artur myślał więc, odkreślając w pamięci kolejne punkty: niewolnictwo jest nielegalne. Wiem, że kiedyś się zdarzało, ale nie znam nikogo, kto jeszcze by je praktykował. Krasnoludy nie mają niewolników, trolle też nie, a wiem, że lord Vetinari jest absolutnie przeciwny. Sprawdził wszystko jeszcze raz, by mieć pewność, że niczego nie pomylił, po czym spojrzał na ponurego mężczyznę.

- Przepraszam, sir, ale co pan przed chwilą powiedział?

Mężczyzna uśmiechnął się drapieżnie i ścisnął rękojeść pejcza.

- Powiedziałem, że tu nie obowiązuje prawo, ty paskudny mały śmierdzielu!

Na moment zapadła cisza, kiedy Ciut Szalony Artur zerknął na martwego goblina na cuchnącym stosie odpadków i kości.

- I tu się mylisz - mruknął.

Jak na bitwy, ta była wyjątkowo jednostronna, a ta strona należała do Ciut Szalonego Artura. Na plantacji było tylko kilkunastu dozorców, ponieważ wygłodzone istoty w łańcuchach generalnie nie stawiają oporu. I ci dozorcy nie zorientowali się nawet, z kim właściwie walczą. Była to jakaś nieznana siła, która przemykała tam i z powrotem po ziemi, wspinała się do nogawki i odbierała człowiekowi wszelką ochotę do walki, a także do czegokolwiek innego. Ciosy padały znikąd. Ci, którzy próbowali uciekać, przewracali się. Ci, którzy nie próbowali, padali nieprzytomni. Oczywiście, to nie była równa walka. Zwykle nie jest, jeśli ktoś walczy z choćby jednym Nac Mac Feeglem, nawet gdyby był plutonem.

Potem Ciut Szalony Artur w jednej z chat znalazł łańcuchy i starannie zakuł leżących dozorców. Dopiero wtedy otworzył pozostałe chaty.

* * *

Żelazne drzwi celi zadźwięczały o kamień, kiedy Vimes wchodził, mimo to uważał, gdzie stawia stopy. A pan Flutter rzeczywiście śpiewał, bez żadnych wątpliwości. Vimes nie znał się na ornitologii dostatecznie, by oceniać ten śpiew w porównaniu ze słowiczymi albo drozdowymi odpowiednikami, ale nawet gdyby śpiewał jak żaba, nie miałoby to znaczenia. Tematem jego pieśni bowiem był lump Beznosy Benny, który kręcił się przy takich ludziach, jak to lump, w nadziei na zebranie jakichś zapomnianych drobiazgów, a poza tym przehandlował parę butów - „Nie wiem, skąd się wzięły, i ty też nie, jasne?" - za indyka tego właśnie wieczoru, kiedy dla Teda Fluttera zaczął się koszmar.

- No więc, proszę pana - tłumaczył - pytał mnie pan, co się działo lata temu, a jak przyszło co do czego, to coś, co się mogło zdarzyć wczoraj, wie pan, jakoś mi uleciało, jeśli pan rozumie, co mam na myśli, proszę pana. Wszystko się stało tak nagle. No, w każdym razie powiedział mi, że właśnie tego popołudnia podpięli barkę za dwuwołowym statkiem na rzece, a ona cuchnęła mu jakoś gobli- nami, bo mieszka niedaleko ich jaskini w Nawisie, a tego smrodu się nie zapomina, tak w każdym razie powiedział bosmanowi, człowiekowi znanemu wszystkim i każdemu z osobna jako Kiwak Bezimienny, a to dlatego, że śmiesznie chodzi, kiedy wleje w siebie parę drinków, a tamten mu na to: „Fakt, posyłają ich z prądem, póki woda jest wysoka, ale nigdy ich nie widziałeś i ja też nie, zrozumiano?". Ktoś musiał uznać, że to ważne, bo na statku jest Stratford. I ktoś musiał tupnąć nogą w tej sprawie, bo Stratford, no, on nie lubi statków. W ogóle wody nie lubi, prawdę mówiąc. Nie popłynie łodzią, jeśli tylko może coś na to poradzić.

Vimes nie krzyknął z radości. Nie uśmiechnął się nawet, miał nadzieję - człowiek pilnował się, żeby tego nie robić - ale przyznał sobie punkt za bycie uprzejmym dla Fluttera. Oskarżony o udzielenie pomocy w zabójstwie nie mógł skończyć wolny jak Feegle, lecz istniały różne sposoby odsiadywania wyroku; jeśli wszystko pójdzie tak, jak miał nadzieję, Flutter może się przekonać, że czas mija mu stosunkowo przyjemnie, a może nawet szybciej niż zwykle.

- Dziękuję ci, Ted - powiedział. - Zajmę się tym. A tymczasem zostawię cię w pewnych rękach starszego funkcjonariusza Upshota, dla którego więzień jest tak samo święty jak matka staruszka, możesz mi wierzyć. - Wyjął klucz, żeby otworzyć sobie drzwi, i nagle znieruchomiał, jakby właśnie przypadkiem trafiła mu do głowy ważna myśl. - Dwuwołowy statek? Czy płynie dwa razy szybciej?

Flutter stał się nagle ekspertem żeglugi śródlądowej.

- Właściwie to nie, ale może pociągnąć więcej ładunku, nawet nocą, rozumie pan. Taki jednowołowy statek musi się na noc zatrzymać przy bydlęcym pomoście, żeby zwierzak mógł coś zjeść, przeżuć porządnie i przymknąć oko przed świtem, no a to kosztuje czas i pieniądze, jasna sprawa.

Więzień czy nie, Ted Flutter stał się samozwańczym wykładowcą niosącym wiedzę pechowym ignorantom.

-Ale z dwoma wołami to inna sprawa: jeden może odpoczywać, kiedy drugi pilnuje napędu. Mam wrażenie, że za tamtym przyczepili trzy albo cztery barki, nie za dużo na jednego wołu w dół rzeki o tej porze roku. - Pociągnął nosem. - Chciałem kiedyś zostać pilotem wołowych statków, ale oczywiście ci przeklęci Zoonowie zablokowali cały fach. Przesłużyłem na pokładzie jeden sezon, czyściłem oborę i karmiłem zwierzaki, ale wolę indyki.

- A jak się nazywa ten statek? - spytał czujnie Vimes.

- Och, wszyscy go znają! Jest największy na rzece. Każdy słyszał o „Pięknej Pipce".

Monologi wewnętrzne potrafią się odtwarzać bardzo szybko, a ten Vimesa przebiegał tak: Niech pomyślę. No jasne, z pewnością był jakiś kapitan, który miał żonę, prawdopodobnie noszącą od urodzenia imię Philippa, ale sam zwracał się do niej pieszczotliwie i jej imieniem nazwał swój statek, bo tak bardzo ją kochał. No i mamy rezultat. Nie ma co kombinować, wiadomo, że istnieje ograniczona liczba słów, sylab i głosek dostępnych językowi, a kto nie potrafi się z tym pogodzić, może w ogóle nie wstawać z łóżka.

I tak, kiedy mózg sklasyfikował już całą sprawę, Vimes rozluźnił klamry swojego odruchu głupiego zakłopotania na twarzy.

-Jestem ci wdzięczny za współpracę, Ted - rzekł. - Ale gdybyś wcześniej nam o tym powiedział, moglibyśmy dogonić ten przeklęty statek!

Flutter przyjrzał mu się ze zdumieniem.

- Dogonić „Pipkę"? Szanowny panie, nawet jednonogi kaleka sobie z tym poradzi. To przecież holownik, nie jacht regatowy! Nawet jeśli płynęła całą noc, nie dotarła daleko poza Zakole Fende- ra. Tam są przez cały czas zakręty, rozumie pan? Po mojemu nie da się przepłynąć choćby pół mili bez jakiegoś zakrętu! No i pełno tam głazów, poważnie. Zdradziecka Starucha zmusza do ostrych zygzaków, czasem to się nawet własny kilwater przecina.

Vimes pokiwał głową.

- Ostatnia sprawa, Ted. Przypomnij mi jeszcze raz... jak dokładnie wygląda pan Stratford?

- Och, wie pan, panie szanowny, on jest taki... średni. - Flutter nerwowo szukał w pamięci szczegółów, ale zrezygnował. - Prawdę mówiąc, panie szanowny, to on wygląda tak jakby podobnie do każdego innego, znaczy, dopóki się nie rozzłości. - Twarz Teda się rozjaśniła. - I wtedy właśnie, szanowny panie, wtedy wygląda jak Stratford.

Słodkowodni marynarze spotykani wszędzie na i wokół Równin Sto. Podobno są niezdolni do kłamstwa, chociaż ta akurat informacja została dostarczona przez samych Zoonów, stając się źródłem licznych filozoficznych dyskusji. Z całą pewnością wiadomo, że koncepcja kłamstwa jest dla nich tak trudna do zrozumienia, że ci nieliczni, którzy opanowali tę technikę, są powszechnie szanowani w społeczności Zoonów i otrzymują wysokie stanowiska.

Willikins siedział na ławeczce pod kasztanem, z dłońmi opartymi swobodnie na kolanach. Świetnie mu to wychodziło. Miał do odpoczywania talent, który dla Vimesa był całkiem niedostępny. Zapewne to jakaś szczególna umiejętność służby: jeśli nie masz nic do roboty, to nic nie rób. Chociaż w tej chwili akurat chętnie by trochę odpoczął. Być może dowody spływają sobie z prądem rzeki, ale jeśli nawet, to z taką prędkością, że można je prześcignąć nawet pieszo. Niestety, Sybil ma rację. W jego wieku człowiek musi zachowywać rozsądek. Trzeba czasem przystanąć, żeby złapać oddech, póki jeszcze się go ma.

Usiadł przy Willikinsie.

- Ciekawy dzień, Willikins - stwierdził.

- Rzeczywiście, komendancie, i muszę przyznać, że młody Upshot poradził sobie z sytuacją wyjątkowo sprawnie. Ma pan talent do inspirowania ludzi, jeśli wolno zauważyć, sir.

Przez chwilę trwało milczenie.

- No tak - zgodził się wreszcie Vimes, nie odwracając głowy. - Oczywiście, bardzo nam pomógł fakt, że jakiś dureń naprawdę wypuścił strzałę. Widać było, jak sobie wyobrażają, co może spotkać człowieka, jeśli należał do bandy, która zabiła miłą starszą panią. Z czegoś takiego nie da się łatwo wyplątać. Od razu zmiękli. A dla nas to był naprawdę szczęśliwy przypadek.

Pozwolił, by znów zapadło milczenie. W oddali szalała burza, ale w pobliżu, w ciepłym parnym powietrzu nieznane coś, co ćwierkało w zaroślach, nadal to robiło.

- Zastanawiam się jednak... - podjął, jak gdyby ta myśl dopiero teraz wpadła mu do głowy. - Gdyby ktoś z przodu tej grupy zwolnił cięciwę, na pewno bym coś zauważył, a gdyby z tyłu, musiałby być sprytny i mieć dobre oko, żeby wymierzyć przez bardzo wąski korytarz. To byłby naprawdę świetny strzał, Willikins.

Kamerdyner wciąż patrzył spokojnie przed siebie. Dyskretne zerknięcie Vimesa nie wykryło ani śladu wilgoci na czole tego dżentelmena dżentelmena.

- Przypuszczam, komendancie, że te wiejskie chłopaki świetnie potrafią strzelać w każdych warunkach.

Vimes klepnął go w plecy i zaśmiał się głośno.

- Zabawna historia, nie sądzisz? Znaczy, zwróciłeś uwagę na ich sprzęt? Marny towar, moim zdaniem, i raczej zaniedbany; coś takiego, co dziadek przywiózł do domu z jakiejś wojny. Tymczasem ta strzała... Paskudna zabawka, bełt robiony specjalnie do Pokojowca Mark IX Burleigha i Wręcemocnego. Pamiętasz ten model?

- Obawiam się, że musi pan odświeżyć mi pamięć, komendancie.

Vimes bawił się coraz lepiej.

- Ależ musisz pamiętać! Wyprodukowano tylko trzy sztuki, a dwie nadal znajdują się za magicznie wspomaganym ryglem w skarbcu firmy. Ten trzeci... na pewno sobie przypominasz... jest bezpiecznie zamknięty w tej małej skrytce, którą zrobiliśmy w zeszłym roku w piwnicach przy Alei Scoone'a. Ty i ja zalaliśmy ją cementem, kiedy Sybil z małym wyszli na spacer, i zasypaliśmy wszystko ziemią, tak że trzeba wiedzieć, gdzie jest, żeby ją znaleźć. Vetinari stwierdził, że ktoś, u kogoś znajdą tę broń, trafi na szubienicę, a Gildia Skrytobójców przekazała „Pulsowi", że szubienica będzie jak piknik w porównaniu z tym, co czeka kogoś, kogo oni przyłapią na posiadaniu czegoś takiego. No bo zastanów się chwilę: trudno nawet stwierdzić, że to kusza. Cicha, błyskawicznie się składa i mieści w kieszeni, jest łatwa do ukrycia i śmiertelnie groźna w rękach sprawnego strzelca, takiego jak ty czyja. - Vimes znów się roześmiał. - Nie bądź taki zdziwiony, Willikins, pamiętam, jak sprawnie posługiwałeś się na wojnie nawet standardowym łukiem wojskowym. Niebiosa tylko wiedzą, czego ktoś taki jak ty potrafiłby dokonać z tym nieszczęsnym pokojowcem. Zastanawiam się tylko, jak któryś z nich trafił tutaj, na wieś. Feeney skonfiskował przecież wszelką broń, jaką znalazł, ale może któryś z tych chłopców schował kuszę w bucie... Jak sądzisz?

Willikins odkaszlnął.

- No cóż, komendancie, jeśli mogę mówić swobodnie, to przypuszczam, że u Burleigha i Wręcemocnego pracuje wielu robotników, co jest ważnym czynnikiem. Oczywiście, dyrektorzy najsłynniejszego producenta broni na Równinach mogli też ukryć kilka pamiątek, zanim zakazano tego modelu, a kto wie, gdzie one trafiły. Żadne inne wyjaśnienie nie przychodzi mi do głowy.

- Oczywiście, możesz mieć rację - zgodził się Vimes. - I choć to przerażająca myśl, że jedna z tych kusz krąży gdzieś po okolicy, muszę przyznać, że idiota, który jej użył, pomógł nam wyjść z trudnej sytuacji. - Zastanowił się chwilę. - Dostałeś ostatnio podwyżkę, Willikins? - zapytał.

-Jestem całkowicie usatysfakcjonowany moim dotychczasowym wynagrodzeniem, sir.

- Zasłużyłeś na nią. Ale na wszelki wypadek, jak tylko wrócimy do domu, sprawdź w piwnicy, dobrze? Bo naturalnie, jeśli krąży po świecie więcej tych paskudnych zabawek, wolę mieć pewność, że też wciąż jedną mamy. - Willikins się odwrócił, ale Yimes mówił dalej: -Jeszczejedno, Willikins. Naprawdę miałeś piekielne szczęście, że Feeney nie potrafi dodać dwóch do dwóch.

Czyżby usłyszał najdelikatniejsze westchnienie ulgi? To chyba niemożliwe.

- Zaraz po powrocie załatwię tę sprawę, komendancie. I jestem pewien, że gdyby zechciał pan tam zejść trochę później i sprawdzić osobiście, przekona się pan, że pokojowiec spoczywa tam gdzie zawsze.

- Nie mam wątpliwości, że tak będzie, Willikins. Zastanawiam się jednak, czy pomożesz mi rozwiązać pewien problem. Muszę złapać „Piękną Pipkę". Oczywiście mówię o statku - dodał Vimes pospiesznie.

-Tak, sir, znam tę jednostkę. Proszę pamiętać, że przebywałem tu już od pewnego czasu, zanim zjawił się pan i lady Sybil. Przypadkiem znalazłem się na brzegu, kiedy płynęła w górę rzeki. Pamiętam, ludzie mi ją pokazywali. Jak zrozumiałem, płynęła do Nawisu, żeby wziąć ładunek, prawdopodobnie rudę żelazną sprowadzaną z krasnoludzich kopalni. Zresztą trochę mnie to zaskoczyło, jako że normalnie wytapiają metal przy kopalniach i eksportują go w sztabach, co jest metodą bardziej ekonomiczną, sir.

- Fascynujące - przyznał Vimes. - Ale myślę, że choćby płynęła bardzo wolno, powinienem ruszyć w pościg.

Feeney wyłonił się z domku.

- Słyszałem o... o statku, mój chłopcze - rzekł do niego Vimes. - Powinniśmy go ścigać, póki jeszcze jest widno.

Feeney zasalutował.

- Tak, pamiętam o tym, sir, ale co z moim więźniem? Znaczy, mama może przynosić mu jedzenie i opróżniać kubeł, nie pierwszy raz to na nią spadnie, ale nie chciałbym zostawiać jej samej w takiej chwili, jeśli pan rozumie.

Vimes kiwnął głową. W domu wystarczyło mu pstryknąć palcami, by jakiś strażnik natychmiast stał się osiągalny, ale teraz... Trudno, nie miał wyboru.

- Willikins!

- Tak, komendancie?

- Willikins, wbrew swoim przekonaniom, a zapewne i twoim, niniejszym mianuję cię funkcjonariuszem specjalnym i nakazuję, byś odprowadził więźnia do Dworu i tam trzymał go w zamknięciu.

Nawet armia musiałaby oszaleć, by szturmować Dwór z Sybil w środku. Ale w każdym razie, Willikins, nie znam nikogo, kto lepiej by się nadawał do ochrony mojej rodziny.

Willikins rozpromienił się i zasalutował.

- Tak jest, sir, rozkazy przyjęte i zrozumiane, sir. Może pan na mnie polegać, sir, tylko... eee... kiedy wrócimy do miasta, proszę nikomu nie mówić, że przez jakiś czas byłem gliną, dobrze? Mam przyjaciół, sir, bardzo bliskich przyjaciół, którzy znają mnie od dawna i obcięliby mi uszy, gdyby się dowiedzieli, że byłem gliną.

-Ależ skąd, daleki jestem od wybielania czyjegoś imienia wbrew jego woli. Czyli rozumiemy się? Będę wdzięczny, jeśli pohamujesz nadmierną żądzę przygód. Po prostu pilnuj więźnia i zadbaj, żeby nie spotkała go żadna krzywda. Jeśli wymagać to będzie, by jakaś rozsądnie ograniczona krzywda spotkała kogoś innego, z żalem zaakceptuję ten fakt.

Willikins zrobił poważną minę.

- Oczywiście, sir, wszystko jest całkowicie zrozumiałe. Mój grzebień nie opuści kieszeni.

Vimes westchnął.

- Bardzo wiele przedmiotów nosisz w kieszeniach, Willikins. Staraj się ograniczać ich wykorzystanie. A przy okazji, przekaż Sybil i Młodemu Samowi, że tatuś ściga złych ludzi i niedługo wróci.

Feeney spoglądał to na Vimesa, to na Willikinsa.

- Cieszę się, że to już załatwione, panowie - powiedział z nerwowym uśmiechem. - A teraz, jeśli jest pan gotów, komendancie, pójdziemy do stajni i wybierzemy sobie dwa konie.

Po czym ruszył energicznym krokiem do wioski, nie pozostawiając Vimesowi innych możliwości, niż podążyć za sobą.

- Konie? - powtórzył Vimes.

-Takjest, komendancie. Z tego, co wiemy, powinniśmy dogonić „Pipkę" w niecałą godzinę. Prawdę mówiąc, pewnie dalibyśmy radę wyprzedzić ją biegiem, ale lepiej się zabezpieczyć. Zwykle nie jeżdżę zbyt często, sir - dodał Feeney nieco zażenowany - ale postaram się nie okryć wstydem przed panem.

Vimes otworzył usta.

Vimes zamknął usta, powstrzymując słowa: Na bogów, wolałbym raczej dosiadać świni niż konia, jeśli ci to nie przeszkadza. Taka świnia tylko biegnie przed siebie. A koń? Na ogół nic nie mam do konia, aż nagle bardzo mocno mam na koniu całego siebie, potem wyskakuję w górę, tak że znowu nic nie mam do konia, ale wiem, że za pół sekundy wszystko to znowu się zacznie, i zanim ktoś zacznie mi tłumaczyć, że to w porządku podskakiwać do góry, kiedy koń się zniża, muszę zaznaczyć, że nigdy, absolutnie nigdy

nie wyszło mi to dobrze, bo albo jestem wtedy nad koniem i trochę z tyłu, albo jestem na koniu tak mocno, że cieszę się, że Sybil i ja postanowiliśmy mieć tylko jedno dziecko...

Jednakże Feeney był w towarzyskim, gadatliwym nastroju.

- Pewnie w dolinie Koom było dużo koni?

Vimes zastanawiał się chwilę.

- Prawdę mówiąc, mój chłopcze, trolle z nich nie korzystają, a krasnoludy podobno zjadają je dyskretnie.

- Do licha, to musiał być prawdziwy cios dla takiego urodzonego wojownika jak pan, sir.

Wojownika? - zdziwił się w duchu Vimes. Możliwe, kiedy nie widać żadnej alternatywy dla walki, ale do siedmiu piekieł, skąd ci przyszło do głowy, że dobrze się czuję, choćby patrząc na konie? I dlaczego ciągle idziemy w stronę jakiejś stodoły, na pewno pełnej tych nieszczęsnych bestii, tupiących kopytami, parskających, śliniących się i przewracających oczami w tył, jak to one robią? No więc to całkiem proste: bo za bardzo się boję, by powiedzieć Feeneyowi, że się boję. Oto historia mojego życia: jestem za bardzo tchórzliwy, żeby być tchórzem!

Tymczasem Feeney odepchnął ciężkie wrota, które - dla czułych uszu Vimesa - skrzypiały jak świeżo wzniesiona szubienica. Tak, to była stajnia. Vimesowi kolana zmiękły. I oczywiście jak zwykle kręcili się tu typowi stajenni: krzywonodzy, mający nie więcej niż jeden guzik przy surdutach, dość podobni do szczura w okolicach nosa i do architektonicznych łuków w okolicy nóg. Można by ich użyć do gry w krokieta. Każdy trzymał w zębach słomkę, prawdopodobnie tymi słomkami się żywili. Im właśnie bezradny Vimes został przedstawiony; wiedział, że słyszeli o nim jako sławnym i groźnym policjancie, jednak Feeney naszkicował jego portret jako człowieka, który zgodzi się dosiadać jedynie najszybszego wierzchowca, jakiego mają w tych boksach.

Wyprowadzono dwie groźnie wyglądające bestie, a Feeney wielkodusznie odstąpił Yimesowi tę większą.

- Proszę bardzo, sir - powiedział. - Znowu w siodle, co?

Wręczył mu wodze i zaczął targować się ze stajennymi o cenę
wynajmu. Vimes poczuł, że coś szarpie go za nogawkę, i spojrzał w dół, prosto na wyszczerzoną twarz specjalnego funkcjonariusza Smrodka.

- Duży kłopot, inny poo-lis-jant, kolego? - szepnął goblin. - Duży kłopot dla człowieka, co się boi konia. Jasna sprawa! Nienawidzi koń, umie wywąchać strach. Weź mnie, panie poo-lis-jant, ja załatwię. Nie ma sprawa. Potrzebujesz Smrodek i tak, tak? Spotykasz wystraszony goblin? Panika panika, panika. Ale Smrodek mówi zamknąć paszczę goblin, ten człowiek, wbrew pozory, nie jest za wielki dupek, na pewno!

Natrętny mały goblin zniżył głos jeszcze bardziej. Vimes ledwie mógł go zrozumieć.

- A Smrodek nigdy, nigdy nie powiedział o człowiek do prania koszul pana poo-lis-jant i jego bardzo kusej kuszy! Panie Vimes! Nie ma istot tak nędznych, by coś nie troszczyło się o nie, panie Vimes.

Te słowa trafiły Vimesa jak policzek. Czy ten mały łobuz naprawdę to powiedział? Słowa spadły w konwersację jakby z jakiegoś innego miejsca... bardzo innego.

Vimes popatrzył na Smrodka, który przyjaźnie kłapnął zębami i dramatycznie przesunął się pod koniem dokładnie w chwili, kiedy po drugiej stronie dziedzińca mózgowy trust debatujących ekspertów hippiki zakończył negocjacje z Feeneyem. Ten, który wyglądał na szefa, splunął na dłoń, a Feeney - wbrew wszelkim procedurom bezpieczeństwa i higieny - splunął na swoją; uścisnęli sobie ręce, pieniądze przeszły z ręki do ręki, a Vimes miał tylko nadzieję, że umyły ręce.

I wtedy, tuż przed nim i zapewne ku własnemu zdumieniu, koń uklęknął. Vimes oglądał coś takiego tylko w cyrku, a pozostali zachowywali się, jakby nie widzieli w ogóle.Smrodek zniknął magicznie, ale kiedy zdumione oczy patrzą, to -jak mówił szacowny filozof Ly Tin Weedle - trzeba albo coś zrobić, albo w ogólnym planie wyjść na durnia. Tak więc Vimes przerzucił nogę nad pochylonym końskim karkiem tak nonszalancko, jak tylko potrafił; wydał przy tym to dziwaczne cmoknięcie, jakie słyszał u stajennych, u których zastępowało każdy rozkaz. Koń wstał, unosząc Vimesa delikatnie jak kołyska, ku zdumieniu, a potem szaleńczemu entuzjazmowi krzywonogiej publiczności; klaskali w dłonie i powtarzali: Na bogów, sir, powinien pan pracować w cyrku! Równocześnie Feeney nie posiadał się z podziwu - niestety.

Wiatr wiał mocno, ale wciąż pozostało nieco dziennego światła. Vimes pozwoli! Feeneyowi prowadzić łagodnym kłusem, który istotnie okazał się łagodny.

- Zanosi się na deszcz, komendancie. Myślę, że pociągniemy kawałek powoli, aż miniemy Ścisk Dudziarza, potem ominiemy płycizny przy Szyi Johnsona, gdzie możemy pogalopować dookoła plantacji melonów, a wtedy powinniśmy już zobaczyć „Pipkę". Jeśli się pan zgodzi, sir...

Sam Vimes z poważną miną odczekał kilka sekund, by sprawić wrażenie, że ma jakieś pojęcie o miejscowej topografii. I powiedział:

- No, chyba tak, wydaje mi się, że tak będzie dobrze, Feeney.

Smrodek podciągnął się po końskiej grzywie, znowu wyszczerzył zęby i wystawił w górę duży kciuk, na szczęście własny.

Feeney mocniej ścisnął wodze.

- Dobrze, sir. A teraz powinniśmy już ruszać.

Vimes potrzebował chwili, by w pełni zrozumieć, co zaszło. Był tam Feeney, na koniu, nastąpiło obowiązkowe cmoknięcie, a potem brak Feeneya, brak konia, za to sporo kurzu w oddali i zgrzytliwy głos Smrodka, mówiący:

- Trzymaj się mocno, panie poo-lis-jant.

A potem horyzont skoczył do przodu.

Galop okazał się nie tak straszny jak kłus i Vimesowi udało się mniej więcej położyć na koniu, z nadzieją że ktoś wie, co się dzieje. Smrodek zdawał się panować nad sytuacją.

Droga była szeroka i pędzili po niej, wznosząc białe obłoki pyłu. A potem nagle galopowali w dół, gdy grunt po prawej stronie Vime- sa podniósł się szybko, a za drzewami ukazała się rzeka. Już wcześniej się przekonał, że jest to rzeka, która uważa, że nie musi się spieszyć. W końcu była zbudowana z wody, a panuje powszechna zgoda co do faktu, że woda posiada pamięć. Znała więc scenariusz: parowała, dryfowała nad światem w chmurze, dopóki wszystko nie było odpowiednio zorganizowane, potem spadała znowu na ziemię jako deszcz. To działo się przez cały czas. Nie warto się spieszyć. Od swego pierwszego plusku widziała już wszystko.

Pewnie dlatego rzeka płynęła meandrami. Nawet Ankh była szybsza - i chociaż cuchnęła jak ściek, nie falowała wolno tam i z powrotem, od jednego brzegu do drugiego, jak Zdradziecka Starucha, chyba niepewna tego całego cyklu obiegu wody. A skoro rzeka wiła się jak wąż, podobnie czyniły brzegi, które w zgodzie z ogólnie spokojnym i niespiesznym pejzażem porastała gęsta roślinność.

Mimo to Feeney utrzymywał tempo, a Vimes trzymał się z całej siły, zakładając, że konie prawdopodobnie nie wpadają z własnej woli do wody. Leżał niemal płasko, ponieważ coraz niższe gałęzie i splątane pędy groziły, że strzepną go z wierzchowca jak muchę.

A tak, jeszcze muchy. Brzegi rzeki żywiły ich całe miliony. Czuł, jak pełzają mu po włosach, dopóki nie zgarnie ich jakiś liść czy gałązka. Szansa wypatrzenia „Pięknej..." - wypatrzenia statku bez strącenia głowy z ramion wydawała się wyjątkowo nikła.

Ajednak, niespodziewanie, pojawiła się możliwość ulgi dla obolałego siedzenia Vimesa - piaszczysta ostroga z kilkoma porzuconymi na niej kłodami i Feeney ściągający wodze, by zatrzymać konia. Vimes w ostatniej chwili zdążył znów się wyprostować i obaj zsunęli się na ziemię.

- Brawo, komendancie! Musiał pan chyba urodzić się w siodle! Dobre wieści! Czuje pan?

Vimes niuchnął solidnie, wciągając do nosa stado much i ciężki zapach bydlęcej mierzwy.

- Długo się trzyma - zauważył Feeney. - To smród dwuwołowe- go statku. Czyszczą oborę bez zawijania do brzegu.

Vimes spojrzał na wzbierające wody.

- Nie dziwię się...

Może nadeszła odpowiednia chwila, pomyślał, żeby poważnie z dzieciakiem pogadać.

Odchrząknął i odruchowo patrząc pod nogi, spróbował uporządkować myśli. Wąska strużka wody przepłynęła po piasku, a konie poruszyły się niespokojnie.

- Feeney, nie wiem, w co się wpakujemy, kiedy dogonimy te barki. Rozumiesz? Nie wiem, czy zdołamy je zawrócić albo wyładować gobliny i dojść z nimi do domu po lądzie. Może będziemy nawet musieli płynąć razem z nimi aż do wybrzeża. Aleja dowodzę, jasne? Dowodzę, bo ludzie, którzy bardzo nie chcą widzieć mnie przed sobą, ani nawet żywego, to dla mnie żadna nowina.

- Tajest, sir - odparł Feeney. - Ale myślę...

Vimes nie pozwolił sobie przerwać.

- Nie mam pojęcia, co tam znajdziemy, ale podejrzewam, że ci, którzy próbują przejąć statek, nawet taką cuchnącą fabrykę gnoju jak „Pipka", prawdopodobnie od razu zostaną uznani przez załogę za piratów. I dlatego ja wydaję rozkazy, a ty masz robić dokładnie to, co ci powiem. Zgoda?

Przez moment zdawało się, że Feeney chce zaprotestować, ale tylko kiwnął głową, poklepał swego wierzchowca i czekał. Przy końskich kopytach plusnęła kolejna niewielka fala.

Nagłe milczenie kogoś tak zwykle gadatliwego trochę zbiło Vimesa z tropu.

- Czekasz na coś, Feeney? - zapytał.

Chłopak przytaknął.

- Nie chciałem panu przerywać, komendancie - rzekł. - Jak pan stwierdził, pan tu dowodzi. Ale czekałem, aż powie pan coś, co chciałbym usłyszeć.

- Tak? A co na przykład?

- No więc, sir, na początek chciałbym usłyszeć, że pora dosiąść koni i wynieść się stąd naprawdę szybko, bo woda się podnosi i niedługo zbudzą się aligatory.

Vimes się rozejrzał. Jakaś kłoda, którą poprzednio zlekceważył, teraz wypuściła nogi. W nieco powyżej sekundy już siedział w siodle i ściskał wodze w ręku.

- Uznam więc, że rozkaz został wydany, dobrze?! - krzyknął Feeney, pędząc za Vimesem.

Vimes nie próbował nawet zwalniać, dopóki nie uznał, że wjechał tak wysoko na brzeg, by nie być obiektem zainteresowania niczego, co żyje w wodzie. Dopiero wtedy zaczekał, aż Feeney go dogoni.

- No dobrze, starszy funkcjonariuszu Upshot, nadal ja dowodzę, ale skłonny jestem uszanować waszą wiedzę o warunkach lokalnych. Czy to was satysfakcjonuje? I skąd się bierze ta woda?

Z pewnością przybierała szybko. Kiedy tu dojechali, trudno było stwierdzić, że w ogóle się podnosi. Teraz niewielkie fale przelewały się jedna nad drugą, w dodatku zaczął padać drobny deszcz.

- To przez tę burzę, która nadciąga - odparł Feeney. - Ale proszę się nie martwić, sir. Jeśli nurt będzie za silny, „Pipka" gdzieś zacumuje. Wtedy możemy przeskoczyć na pokład.

TERRY PRATCHETT

Deszcz padał coraz gęściej.

- A co się stanie, jeśli postanowią płynąć? Do zachodu słońca już niedaleko.

- To żaden kłopot, komendancie, naprawdę! - wykrzyknął Feeney z tą swoją irytującą pogodą ducha. - Będziemy się trzymać traktu, woda nigdy nie sięgnęła tak wysoko. A na „Pipce" zapalą światła pozycyjne, takie specjalne czerwone lampki olejowe. Tak że proszę się nie martwić, sir, jeśli tylko jest na rzece, znajdziemy ją w taki czy inny sposób, sir, a czy wolno spytać, sir, jakie potem ma pan zamiary?

Vimes nie był pewien, ale żaden dowódca nie lubi się do tego przyznawać, więc odparował własnym pytaniem:

- Panie Upshot, według pana rejs po tej rzece to zwykły piknik! Proszę spojrzeć! Co się tam dzieje?

Wskazał na drugi brzeg, w miejsce, gdzie woda wirowała, bulgotała i podnosiła się niemal w oczach.

- Och, Zdradziecka Starucha zawsze niesie jakieś śmieci. Ale tak naprawdę trzeba uważać tylko wtedy, kiedy nastąpi pęknięcie cholery. A to się zdarza tylko w odpowiednich okolicznościach, sir, i z całą pewnością kapitan wyprowadzi „Pipkę" z zagrożenia, gdyby miało się trafić. Zresztą nie mógłby nawigować przy złej pogodzie nocą. Zdradziecka Starucha ma pełno przeszkód i piaskowych ławic. To by było samobójstwo, nawet dla pilota tak doświadczonego jak pan Sillitoe.

Jechali w milczeniu zakłócanym przeraźliwym chlupotem i bulgotem ciemnej wody. Na niebie pozostały resztki dziennego światła, które barwiło je na kolor brudnopomarańczowy; dodatkowo rozjaśniały je zygzaki błyskawic, a towarzyszyły im ostre trzaski piorunów. Wśród zagajników po obu stronach rzeki drzewa stawały w blasku, a czasem też w ogniu, co - zdaniem Vimesa - przynajmniej pomagało w nawigacji. Ubranie przesiąkało mu na deszczu. Głosem zdradzającym pewność, że nie spodoba mu się odpowiedź, zagaił:

- Tak całkiem bez związku, żeby zabić jakoś czas, wytłumacz mi, chłopcze, co dokładnie oznacza pęknięcie cholery.

Początkowo głos Feeneya zatonął w huku gromu, ale przy drugiej próbie poszło mu lepiej.

- To nieczęsto spotykane zjawisko, sir, wywoływane burzą uwięzioną w dolinie, kiedy niesione tą burzą rozmaite śmieci spiętrzą się w pewien szczególny sposób, sir...

Smrodek wyczołgał się z miejsca, o którym lepiej nie spekulować, i wspiął się na łeb konia. Jarzył się słabym, niebieskawym, trupim blaskiem. Vimes wyciągnął palec, by go dotknąć, i na dłoni zatańczył mu maleńki błękitny płomyk. Wiedział, co to takiego.

Technicznie biorąc, gwałtowna fala w korycie Zdradzieckiej Staruchy określana była w podręcznikach nawigacji jako pęknięcie bariery, ale że każdy, kto je przeżył, szybko uczył się przeklinać, z czasem nastąpiła subtelna zmiana nazwy.

- Ognie świętego Ungulanta - stwierdził głośno i pożałował, że sytuacja nie pozwala wykorzystać tego płomyka do zapalenia cygara, choćby nawet rzeczywiście był to oddech topielców. Czasami człowiek naprawdę potrzebuje tytoniu.

Feeney przyglądał się niebieskiej poświacie z wyrazem takiej zgrozy, że Vimes przez moment nie śmiał mu przeszkadzać. Zapytał jednak:

- I co się dzieje potem, mój chłopcze?

Kiedy Feeney się odwrócił, błyskawica, z idealnym wyczuciem dramatyzmu, rozświetliła mu twarz.

- No więc, komendancie, wszystkie te śmieci piętrzą się coraz wyżej i splątują, aż tworzą jedną zwartą masę, a rzeka wzbiera tak bardzo, że prędzej czy później musi pokonać opór tej naturalnej bariery, która potoczy się potem z nurtem, bezlitośnie spychając i przewracając wszystko na swojej drodze, aż do samego morza, sir. Dlatego nazywają tę rzekę Zdradziecką Staruchą.

- Rozumiem. Oczywiście, jestem tylko prostym człowiekiem z miasta, który nie zna się na takich sprawach, ale zakładam, że spiętrzone śmieci, toczące się z nurtem, spychające i przewracające wszystko na swojej drodze aż do samego morza, są ogólnie uznawane za coś złego?

Z tyłu rozległ się przeciągły trzask, gdy kolejne drzewo zostało trafione piorunem.

- Tak jest, sir. Opuścił pan słowo „bezlitośnie", sir - odparł niepewnie Feeney. - I naprawdę uważam, sir, że powinniśmy jak najszybciej dogonić „Pipkę".

- Chyba masz rację, chłopcze. Dlatego teraz sugerowałbym...

Cokolwiek właściwie robił Smrodek i czymkolwiek właściwie był, konie stawały się coraz bardziej płochliwe i coraz bardziej rosło ryzyko, że poniosą. W powietrzu było już tyle wody i pozostało tak mało światła, że różnicę między rzeką a brzegiem dało się ocenić, tylko sprawdzając, do czego człowiek wpada. Deszcz lał strumieniami ze wszystkich stron, także od dołu, a symfonię mrocznej destrukcji akcentowały odgłosy brzegów zsuwających się nieubłaganie do spienionej wody. Konie zdawały się rozgorączkowane, kierunki straciły znaczenie, podobnie jak ciepło, a świat stał się jedynie ciemnością, wodą, lodowatą rozpaczą i dwoma czerwonymi ślepiami.

Feeney zauważył je pierwszy, a potem Vimes pochwycił zapach. Był to gęsty, rozpaczliwy fetor naprawdę przestraszonego bydła, dostatecznie silny, by prześmierdzieć się przez chaos żywiołów. Zadziwiające, ale koła statku wciąż odpychały wodę, pozwalając na swego rodzaju ruch naprzód, mimo że płynąca za nim linia barek łamała się, plątała i ogólnie wywijała po rzece jak ogon rozzłoszczonego kota.

- Dlaczego gdzieś nie zacumowali?! - krzyknął Feeney w burzę.

Zabrzmiał w tym ton rozpaczy. Vimes zsunął się z siodła, sięgnął po lepkiego Smrodka, a potem klepnął konia w zad. Z pewnością sam będzie miał większe szanse niż z nim jako jeźdźcem.

I wtedy, przez moment, oczyma duszy Vimes zobaczył dolinę Koom. Niewiele brakowało, by zginął tamtego dnia, kiedy woda lała się ze zboczy, grzmiała w nieskończonych wapiennych grotach, tłukła nim o ściany, obijała o stropy i podłoża, aż wreszcie rzuciła go na niewielką piaszczystą ławicę w absolutnej ciemności. Ale ciemność była jego przyjaciółką - Vimes popłynął na fali tej ciemności, znalazł oświecenie i zrozumiał, że gniew i strach można przekuć w miecz, że pragnienie, by raz jeszcze przeczytać dziecku książeczkę, może się stać tarczą i zbroją dla obszarpanego, konającego rozbitka, który potem podawał rękę królom.

Po czymś takim co mogło być przerażającego w ratowaniu goblinów i kto wie ilu ludzi z rozkołysanego statku na czarnej, zdradliwej rzece w huczącej, zalewanej deszczem ciemności?
I już biegł po błotnistym, chlupoczącym brzegu, a woda wlewała mu się za kołnierz. Ale bieg nie wystarczał - trzeba było także myśleć. Przecież pilot tego statku musiał znać rzekę i musiał znać swój statek. W każdej chwili mógł zacumować do brzegu, tak? Nie zrobił tego, ale wyraźnie nie był głupi - bo chociaż Yimes poznał tę rzekę kilka godzin temu, był pewien, że żaden głupiec nie przetrwa na niej długo. Została stworzona jako pułapka na głupców.

Z drugiej strony, jeśli już ktoś nie był głupcem, to kariera pilota wołowego statku wydawała się kusząca: zyskiwał prestiż, szacunek, odpowiedzialność i stały dochód ze stałej pracy jako dodatek do zazdrości każdego chłopca na każdej przystani. Któregoś wieczoru Sybil opowiadała mu o takich pilotach z wyraźnym zachwytem w głosie. Dlaczego więc, przy tak dobrym stanowisku, człowiek prowadziłby cenny statek z cennym ładunkiem po rzece w noc obiecującą zniszczenie na każdym wężowym zakolu, kiedy zacumowanie na jakiś czas nie stanowi żadnej ujmy?

Pieniądze? Raczej nie, uznał Vimes. Nazywają tę rzekę Zdradziecką Staruchą, a przecież pieniądze na nic się nie przydadzą tym, którzy utoną w jej paskudnych błotnistych objęciach. I znał ten typ ludzi; byli zwykle dumni, samodzielni, praktycznie absolutnie nieprzekupni. Pilot zapewne nie naraziłby statku, nawet gdyby ktoś przystawił mu nóż do gardła... Ale tradycyjnie pływa z nim także rodzina; pilot zawsze pracuje w domu, prawda?

I co zrobiłby pilot w tak rozpaczliwej sytuacji? Co by zrobił, gdyby ktoś przystawił nóż do gardła jego żony albo dziecka? Nie miałby innego wyjścia, niż płynąć dalej, w nadziei że dzięki wieloletniemu doświadczeniu dotrze bezpiecznie do celu. Musi także mieć więcej niż jednego nieproszonego gościa, bo inaczej spróbowałby mocno wbić statek w mieliznę, a sam, przygotowany, napinając mięśnie, czekałby na zamieszanie, by skoczyć na przewróconego napastnika i udusić go gołymi rękami. Ten plan byłby jednak skuteczny, tylko gdyby tamten nie przyprowadził wspólnika. Bo wtedy pilot stałby przy kole sterowym, modlił się i miał nadzieję, choć w każdej chwili czekał na grzmot pęknięcia cholery.

Feeney pędził tuż za komendantem.

- Co zrobimy, sir? - wysapał. - Poważnie, jaki jest plan?

Vimes nie zwracał na niego uwagi. Ulewa, spieniona rzeka i przewrócone pnie zajmowały go w wystarczającym stopniu, ale starał się nie spuszczać wzroku z linii barek. W tej chwili dostrzegał rytm w ich wychylaniu się tam i z powrotem, choć bezustannie zakłócany przez spływające kłody albo wszelkie próby sterowania, jakie działy się na mostku. Za każdym razem, kiedy ostatnia barka uderzała o brzeg, następował moment, kiedy człowiek mógł przeskoczyć na pokład - o ile ten człowiek straciłby rozsądek.

Skoczył więc i uświadomił sobie, że ten skok wymusza kolejny. Pierwsze chybienie i wypadnięcie z rytmu oznaczało kąpiel w nurcie rzeki. Natomiast skacząc na następną barkę, huśtającą się i kołyszącą gwałtownie na falach, mógł tylko mieć nadzieję, że noga nie utknie mu między burtami, bo dwie ściskane jak sandwicz dwudziesto- pięciostopowe barki zrobiłyby mu coś więcej niż tylko sińca. Ale Smrodek przebiegł, skoczył i zawirował przed nim, a Vimes był dość bystry, by zrozumieć jego przekaz. Wylądował ciężko na sąsiedniej barce, podobnie jak - zaskakująco - Feeney, który roześmiał się nawet, choć trzeba było stać nie dalej niż o krok od niego, by to usłyszeć.

- Brawo, sir! Bawiliśmy się tak, kiedy byłem mały... Wszyscy chłopcy to robili. Najlepsze są te duże.

Po pierwszych dwóch skokach Vimes złapał oddech. „Piękna Pipka" była statkiem towarowym, dużym i powolnym, ale mogła wziąć dowolny ładunek. Na tych barkach może być cokolwiek, myślał, ale na razie nie ma zapachu goblinów, zostały jeszcze tylko dwie, a pogoda próbuje się jeszcze pogorszyć.

Wraz z tą myślą znowu pojawił się Smrodek, który wyraźnie potrafił przychodzić i odchodzić, choć nie był widziany, jak przychodzi albo odchodzi. I wciąż słabo się jarzył.

Vimes musiał przykucnąć, żeby cokolwiek do niego powiedzieć.

- Gdzie one są, Smrodku?

Goblin puścił bąka, prawdopodobnie tak jak to robi klaun, raczej dla zabawy niż ulżenia sobie. I wyraźnie zadowolony z efektu zachrzęścił:

- Barka numer jeden! Łatwo się dostać! Łatwo karmić!

Vimes ocenił dystans do barki zamocowanej zaraz za „Pipką".
Mają tam chyba jakiś pomost, jakiś sposób przejścia na barki, żeby załoga miała dostęp do ładunku?

Znowu obejrzał się na Feeneya, ociekającego wodą i oświetlonego kolejną błyskawicą.

-Jak myślisz, ilu ludzi załogi?

Nawet stojąc tak blisko, chłopak musiał krzyczeć.

- Pewnie dwóch ludzi, może jeden i chłopiec, na dole, w tym, co nazywają oborą! Do tego mechanik i szef załadunku albo oficer frachtowy. Czasami jeszcze kucharz, o ile żona kapitana sama nie chce się tym zajmować, chociaż zwykle chce, a do tego jeden czy dwóch chłopców, którzy uczą się fachu i pracują jako obserwatorzy i nadbrzeżne szczury.

- To wszyscy? Żadnych straży?

- Nie, sir, to przecież nie otwarte morze!

Dwie barki się zderzyły, wyrzucając w górę pióropusz wody, który ostatecznie wypełnił po brzegi buty Vimesa. Nie warto było jej wylewać.

- Mam dla ciebie złe wieści, mały - warknął wśród szumu ulewy. - Woda wzbiera coraz bardziej!

Przygotował się do skoku na następną rozkołysaną barkę. Gdzie są ci ludzie? - myślał. Przecież chyba nie każdy chce umrzeć?

Odczekał, aż pojawi się sąsiedni pokład, i już chciał skoczyć, kiedy padł na wznak i zdążył jeszcze zobaczyć, jak jego miecz koziołkuje złośliwie prosto we wzburzone fale. Zaklął, wstał i z trudem utrzymując równowagę, czekał na kolejną okazję, by cudem przeżyć. Tym razem mu się udało. Wylądował i niewiele brakowało, by spadł na plecy pomiędzy zderzające się burty, jednak zakołysał się niebezpiecznie i zamiast tego runął do przodu, przez plandekę, prosto na niewyraźną twarz, która krzyknęła:

- Proszę! Proszę mnie nie zabijać! Jestem tylko hodowcą wyrafinowanych kur! Nie mam żadnej broni! Nie lubię zabijać nawet kur!

Vimes wyhamował, obejmując tęgiego mężczyznę, który pewnie znów zacząłby krzyczeć, gdyby nie zatkał mu dłonią ust.

-Jestem z policji - syknął. - Przepraszam za niedogodności, ale kim pan jest, do demona, i co się tu dzieje? No dalej, nie ma czasu do stracenia!

Pchnął mężczyznę w głąb barki, w wilgotną ciemność, a łatwo rozpoznawalny zapach zdradził mu, że choć trudno określić, czy przerażony rozmówca myli się co do wyrafinowania, na pewno ma rację co do kur. A z gdaczącego, pierzastego mroku drucianych klatek za plecami kupca dochodził inny zapach, dowodzący, że spora liczba owych kur - które nawet w najlepszych chwilach nie są istotami o stoickim nastawieniu - teraz jest bardzo, ale to bardzo wystraszona.

- Z policji? - rzuciła niewyraźna sylwetka. - Tutaj? Kogo chcesz nabrać, koleś? Myślisz, że kim jesteś, jakimś komendantem Yimesem?

Barka podskoczyła na fali - zbłąkane jajko wyfrunęło z ciemności i rozbiło się Vimesowi na twarzy. Starł je, a przynajmniej roz- smarował trochę.

- Coś podobnego - powiedział. - Zawsze pan tak szczęśliwie trafia?

* * *

Jego nazwisko okazało się fałszem; w pełnej wersji brzmiało Chwała i Zbawienie Fałsz. Co nieuniknione, kiedy ktoś nosi takie fałszywe nazwisko, koniecznie usiłował tłumaczyć, skąd się wzięło, nawet kiedy wodnista śmierć patrzy mu nie tylko w oczy, ale też wszędzie indziej, nie wyłączając obu nogawek spodni.

- Widzi pan, moja rodzina pochodziła z Klatchu, gdzie nazywaliśmy się Thalassha, ale oczywiście po pewnym czasie ludzie zaczęli błędnie upraszczać wymowę i...

Vimes przerwał mu, uznając to za bardziej akceptowalną alternatywę dla uduszenia.

- Proszę, panie Fałsz... Czy może mi pan powiedzieć, co się działo na „Pipce"?

- Bogowie, to było straszne, naprawdę wyjątkowo straszne! Wybuchły jakieś wrzaski i wołania, i jestem pewien, że słyszałem krzyczącą kobietę! A teraz ciągle obijamy się chyba o brzeg! Do tego burza, drogi panie, i możemy pójść pod wodę w dwa machnięcia owczego ogona, jestem pewien!

- I nie poszedł pan sprawdzić, co się dzieje?

Pan Fałsz wyraźnie się zdziwił.

- Panie komendancie, zajmuję się hodowlą wyrafinowanych kur. Bardzo wyrafinowanych. Nie znam się na walce. Drób nigdy nie jest aż tak agresywny. Bardzo mi przykro, drogi panie, ale nie poszedłem zobaczyć, co się dzieje, bo bałem się, że zobaczę. Rozumie pan? Bo gdybym zobaczył, to wtedy tamci ludzie też by mnie zobaczyli, wie pan, a przyszło mi do głowy, że to tacy ludzie, którzy zostają żywi po tym, jak inni ludzie są już niekiedy martwi, a może nawet ciąży na tych ludziach odpowiedzialność za owe zgony, widzi pan, no więc postarałem się, żeby mnie nie widzieli. Poza tym nie mam broni, za to mam słabe płuca i drewnianą nogę. I chwilowo jeszcze żyję.

Rzeczywiście, uznał Vimes, jest w tym pewna trudna do zbicia logika.

- Proszę się nie martwić, panie Fałsz - powiedział. - Na pewno ma pan dość roboty przy swoich wyrafinowanych kurach. Czyli żadnej broni?

- Naprawdę mi przykro, że muszę pana rozczarować, komendancie. Jestem raczej słaby. Ledwie sobie poradziłem z wciąganiem na pokład mojej skrzynki z narzędziami.

Twarz Vimesa nie zmieniła wyrazu.

- Skrzynka? Ma pan skrzynkę z narzędziami?

Pan Fałsz przytrzymał się ściany, kiedy barka znowu w coś uderzyła.

- No tak, oczywiście. Jeśli zdołamy wypakować się w Quirmie, mam tam miejsce, które muszę przygotować na przyjęcie setki kurników, a w dzisiejszych czasach, jak człowiek chce mieć porządnie wykonaną robotę, musi sam się nią zająć.

- Rozmawia pan z ekspertem... - mruknął Vimes i obaj zatoczyli się po kolejnym wstrząsie. - Tak się zastanawiam, czy pozwoliłby mi pan zajrzeć do tych swoich narzędzi...

W symfonii świata są takie chwile, kiedy dźwiękowy kalejdoskop trzasków, gromów, wrzasków i burz nagle łączy się w jedno wspaniałe „alleluja!". I zawartość niewinnej skrzynki narzędziowej zwykłego hodowcy drobiu, gdzie nie znalazło się nic, co nie było zrobione ze zwyczajnego żelaza, stali i drewna, mimo to jaśniała w oczach komendanta Sama Vimesa niczym hufce niebieskie. Młotki drewniane i żelazne, piły, och... Nawet duże wygięte szydło! Co mógłby z taką zabawką osiągnąć Willikins... Al-le-lu-ja! A tutaj leży łom! Ten typ od wyrafinowanych kur słyszał krzyk kobiety... Vimes zważył łom w dłoni i poczuł, że pod stopami ma ulicę, która go wychowała.

Odwrócił się błyskawicznie, kiedy ktoś odsunął plandekę. Feeney zeskoczył na barkę w pióropuszu piany.

- Wiem, że nie dał mi pan znaku, komendancie, ale uznałem, że lepiej panu powiem. Woda opada.

Vimes zauważył, że pan Fałsz zamyka oczy i jęczy cicho. Zwrócił się do Feeneya.

- To chyba dobrze? - zapytał. - Z tą wodą? Ze opada?

- Nie, wcale nie! - zawołał chłopak. - Ciągle leje deszcz, a poziom wody się obniża, to znaczy, że gdzieś powyżej nas spiętrzyło się dość wyrwanych drzew, krzaków, mułu i innych śmieci, żeby powstała bariera, która rośnie i rośnie na boki, kiedy za nią zbiera się woda, sir. Rozumie pan, o co mi chodzi?

Vimes rozumiał.

- Pęknięcie cholery?

Feeney przytaknął.

- Zgadza się! Mamy wybór: woli pan zginąć na rzece czy pod nią? Jakie ma pan rozkazy, sir?

Jeszcze jedna kolizja wstrząsnęła barką, a Vimes wpatrywał się w ciemność. W tę straszną noc komuś udawało się nie dopuścić do zatonięcia statku. Kobieta krzyczała, a Vimes trzymał żelazny łom. Niemal z roztargnieniem sięgnął do otwartej skrzynki, wyjął ciężki młotek i wręczył go Feeneyowi.

- Trzymaj, chłopcze. Wiem, że masz swoje oficjalne drewno, ale sytuacja może się stać kontaktowa i osobista. Zanotuj to jako przerażającą algebrę konieczności i postaraj się mnie nie trafić.

- Co mamy zamiar zrobić, komendancie? - zapytał Feeney jeszcze bardziej rozgorączkowany.

A Vimes odpowiedział:

- Wszystko!

* * *

Wiatr wyszarpnął plandekę, kiedy tylko Vimes ją odchylił, i poniósł nad rzeką, pozostawiając wyrafinowanego hodowcę w nadziei i rozbitych jajkach. Oni dwaj wyszli w mrok. Cienie tańczyły w rytm błyskawic. Jak, u demona, pilot mógł w takich warunkach sterować? Lampy na dziobie? W taką noc nie

mogły przecież w niczym pomóc, pokazywały najwyżej ciemność. Ale choć przy każdym uderzeniu, każdym szarpnięciu pojawiało się podejrzenie, że „Pipka" ma poważne kłopoty, Vimes słyszał teraz chlupot kół łopatkowych - jak jeden stały, niezmienny motyw wśród kakofonii, regularny, dodający otuchy dźwięk. Statek wciąż sunął naprzód. Istniał w tym świecie jakiś porządek, ale jak pilot mógł zapanować nad chaosem? Jak mógł sterować, kiedy nie widział?

Feeney wyjaśnił szybko, a Vimes jeszcze szybciej wyraził absolutne niedowierzanie.

- To prawda, sir! Zna każdy zakręt rzeki, zna wiatr, wie, jak szybko płyniemy, ma chronograf i klepsydrę jako rezerwę. Robi skręt, kiedy trzeba go zrobić. Jasne, trochę ścina starą „Pipką" brzegi, ale łajba jest mocna.

Razem przeskoczyli na ostatnią barkę i znaleźli właz zamknięty na kłódkę -jednakże łom jest uniwersalnym wytrychem. I tam, pod klapą, były gobliny. Miały powiązane ręce i nogi, każdy z nich, i leżały poukładane jedne na drugich jak główki kapusty. Setki goblinów.

Wstrząśnięty Vimes rozejrzał się za Smrodkiem, który - jak się okazało - stał tuż za nim.

- No dobrze, przyjacielu, w twoje ręce. Rozetniemy im więzy, oczywiście, ale byłbym wdzięczny za zapewnienie, że banda wściekłych goblinów nie zacznie kręcić mi głową tam i z powrotem, żeby sprawdzić, w którą stronę łatwiej schodzi. Rozumiesz?

Smrodek, i tak już chudy jak szkielet, wydał się jeszcze chudszy, kiedy wzruszył ramionami. Wskazał jęczące stosy.

- Zbyt odrętwiali, zbyt zesztywniali, zbyt głodni, zbyt... - Spojrzał uważnie na goblina na samym dole i dotknął bezwładnej dłoni. - Zbyt martwi, żeby kogoś ścigać, panie poo-lis-jant. Ha! Ale potem dać jedzenie, dać wodę, wtedy będą ścigać! Och, będą ścigać jak demony, to pewne. Jak już z nimi pogadam, to pewne! Ale im powiem, ten poo-lis-jant, on wielki dupek, to prawda, ale dobry dupek. Powiem im, wy go stukniecie, to ja was stuknę, a to dlatego, że jestem teraz poo-lis-jant. Specjalny poo-lis-jant Smrodek!

Vimes uznał, że to najlepsza mowa pochwalna, na jaką w tych okolicznościach mógł liczyć.

Feeneyowi udało się podważyć wieko dużego metalowego cylindra, jednego z kilku przetaczających się po pokładzie. Natychmiast straszliwy smród w powietrzu podwoił swą intensywność. Chłopak cofnął się, zasłaniając dłonią usta. Za to Smrodek z aprobatą pociągnął nosem.

- Niech to licho! Indycze żołądki! Jedzenie dla bogów! Przeklęta mordercza podróż, ale katering w porządku.

Vimes przyjrzał mu się zaskoczony. No dobrze, pomyślał, kręci się koło ludzi, więc łapie różne słówka, ale to było podejrzanie zmyślne. Może panna Beedle udziela mu lekcji języka? A może to ten okultystyczny awanturnik, demony wiedzą skąd przybyły, robi sobie żarty z biednego gliny? Nie pierwszy raz zresztą.

Feeney już przecinał powrozy, a Vimes starał się przywrócić do życia tyle goblinów, ile tylko w pośpiechu zdoła. Nie było to zadanie dla kogoś troszczącego się o higienę czy choćby mającego pojęcie, co to słowo znaczy - chociaż godzina spędzona w burzy na nurcie Zdradzieckiej Staruchy i tak pozbawiała je sensu. Zatoczyli się, unieśli i znowu opadli, dotarli do przewróconej beczki z kawałkami martwych indyków, potykając się na śliskich deskach, wpadli na chlapiące wodą i już w połowie puste koryto, które Feeney znalazł i teraz napełniał prostą metodą, wystawiając wiadro na zewnątrz. Gobliny wracały do życia... w większości.

Barka znów uderzyła o brzeg i Vimes rozpaczliwie usiłował się czegoś chwycić między koziołkującymi goblinami. Połowa ładowni wypełniona była beczkami, które - jeśli poniuchać w pobliżu - z pewnością nie zawierały słodko pachnących róż. Zaryzykował wyjście na rozkołysany pokład.

- Nie wydaje mi się, żeby chodziło tu o krótką wyprawę nad morze - stwierdził, zwracając się do Feeneya. - Jest tu więcej beczek z indyczymi wnętrznościami, niż ci biedacy mogliby zjeść przez tydzień. Ktoś robił plany na długą trasę. Wielkie nieba!

Barka uderzyła w coś i sądząc po brzęku tłuczonego szkła, to coś zostało rozbite. Feeney wstał, trzymając się liny. Jedną ręką ścierał z płaszcza indycze żołądki.

- Rejs, sir - sprostował. - Nie trasę, sir. To wszystko nie byłoby potrzebne, gdyby podróżowali lądem. Podejrzewam, że gdzieś bardzo daleko.

- Myślisz, że chodzi o wakacje nad morzem, słońce, plaża i tak dalej?

- Nie, sir. A nawet gdyby, to by się goblinom nie spodobało, prawda? One lubią mrok.

Vimes klepnął go w ramię.

- No dobrze, starszy funkcjonariuszu Upshot, nie bijcie nikogo, kto się podda, ale jeśli człowiek rzuci broń, to uważajcie na niego, dopóki się nie upewnicie, że nie schował gdzieś jeszcze jednej. Jasne? W razie wątpliwości, Feeney, lepiej mu przyłóż. Wiesz, jak to zrobić, użyj tej sztuczki z Bang Ssak Chwyt Byk, co?

- Tak, sir, to przepis na pastę do butów, sir, ale będę to miał na uwadze.

Vimes zwrócił się do Smrodka, który wyglądał już na trochę grubszego niż zwykle.

- Nie mam bladego pojęcia, co się może zdarzyć. Widzę, że twoi kumple zaczynają wyglądać na żywych, więc macie taką samą szansę jak my wszyscy, możecie pływać albo tonąć. Nic więcej wam nie obiecam. Chodź, Feeney, ruszamy.

„Piękna Pipka" z bliska wydawała się ciemną masą pokrytą unoszonym w powietrzu zielskiem i gałęziami. Była cicha, jeśli nie liczyć burzy oraz stukotu i trzeszczenia mechanizmów.

- Dobrze, sir - odparł spokojnie Feeney. - Najlepiej wejść tam przez wrota dla bydła na rufie, sir, czy też, jak pan by powiedział, od tyłu. To nie jest trudny przeskok, zawsze mają tam dużo uchwytów, bo tamtędy wychodzi mistrz załadunku, żeby sprawdzić barki. Widzi pan te podwójne wrota z małą furtką w skrzydle? Tam wejdziemy. Pewnie wzdłuż bydlęcej rampy leży więcej towarów, bo mistrz załadunku nie marnuje miejsca na podłodze. Przejdziemy na śródokręcie...

- To pewnie znaczy „środek okrętu", czyli tego statku? - domyślił się Vimes.

- Tak, sir. - Feeney się uśmiechnął. - Proszę uważać, bo jest tam mnóstwo maszynerii. Zrozumie pan, o czym mówię, bo jest pan sprytny. Wystarczy jeden błędny krok, a wpadnie pan w przekładnię albo wyląduje na grzbiecie wołu, co nigdy nie jest przyjemne. Panuje tam hałas i smród, i jest niebezpiecznie, więc jeśli na pokładzie są bandyci, tam się ich raczej nie spodziewam.

A ja owszem, pomyślał Vimes. Nasz pan Stratford to właśnie typ szaleńca, który będzie kontynuował rejs w samobójczych okolicznościach. Dlaczego? Aby ładunek znalazł się daleko, zanim ktokolwiek się o nim dowie? Stratford pracuje dla lorda Rusta, a Rusto- wie wierzą, że świat należy do nich. Wywożą gdzieś gobliny, ale chcą je zachować przy życiu - po co?

Kolejne uderzenie sprowadziło go z powrotem do przerażającego tu i teraz.

- Spodziewam się, że ewentualni członkowie załogi są mocno pilnowani, żeby któryś nie wrzucił klucza w tryby - stwierdził.

- Bardzo rozsądne, sir, bardzo rozsądne. Na pewno będą tam jakieś światła dla bezpieczeństwa, ale nie za wiele i wszystkie za szkłem, z powodu... - Feeney się zawahał.

- Może zagrożenia pożarem? - podpowiedział Vimes. - Nie widziałem jeszcze mechanika, który nie leje smaru, gdzie tylko może.

- Och, tu nie chodzi o smar, sir, tylko o zwierzęta. Gaz się zbiera, sir, zbiera się cały czas. I kiedy szkło się stłucze, efekt jest niestety bardzo widowiskowy. Dwa lata temu „Wspaniałą Peggy" zdmuchnęło z rzeki właśnie z takiej przyczyny.

- Czyżby za często jadali Zwis Ssak Tłok Psiaka z rzepą?

- Nie, sir, nic mi o tym nie wiadomo, chociaż syntetyczna kuchnia Bhangbhangduc jest bardzo popularna na statkach, to prawda. W każdym razie dalej na pokładzie jest kajuta pilota, sypialnia załogi, a potem sterówka, która ma bardzo szerokie okna, co jest kolejnym powodem, by atakować od tyłu.

Na szczęście skok był krótki, a na końcu było się czego chwycić. Vimes nie obawiał się, że ktoś ich usłyszy. Pokład skrzypiał mu pod nogami, kiedy wsunął się do wnętrza „Pięknej Pipki" i skradał w stronę środka statku, czy jakie tam naprawdę było właściwe określenie, ale trzeszczał też cały kadłub, przez cały czas, i zgrzytał także. Panował taki hałas, że nieoczekiwana plama ciszy sama w sobie mogła zwrócić czyjąś uwagę.

A ja szukam tu kogoś, kto wygląda jak każdy, myślał Vimes, aż do chwili, kiedy zaczyna wyglądać jak brutalny morderca, którym jest. No cóż, to chyba dość proste...

Niejasno zdawał sobie sprawę z bliskości wielkich kół łopatkowych wirujących gorączkowo po obu stronach, łańcuchów przesuwających się nad głową, a teraz, tutaj, u szczytu schodów, stał ktoś, kto wyraźnie znalazł się nie tam, gdzie powinien...

Kobieta. I mała dziewczynka trzymająca się jej spódnicy. Obie były dość luźno przywiązane do skrzypiącej belki, pośrodku kręgu światła z małej lampki olejowej pod sufitem. A kawałek dalej siedział na stołku mężczyzna z kuszą na kolanach.

Tkwiła w tym pewna zagadka, ponieważ do obu nóg miał przywiązane sznurki. Jeden biegł po podłodze i znikał w dole, w tym, co było - sądząc po cieple, wiejskim fetorze i niekiedy pomruku niespokojnych kopytnych - tą oborą, którą Vimes przed chwilą mijał. Drugi sznurek prowadził gdzieś do przodu, w kierunku sterówki.

Kobieta przytuliła dziecko do siebie i bardzo powoli uniosła palec do warg. Vimes musiał mieć nadzieję, że mężczyzna z kuszą niczego nie spostrzegł - za to nie musiał mieć nadziei, że kobieta rozumie, iż przybył jej na ratunek, a nie by pogorszyć jej sytuację. Nie było to niezbędne, ale ucieszył się, że ma do czynienia z osobą bystrą. Uniósł rękę przed Feeneyem, ale chłopak był niewątpliwie materiałem na kapitana: zamarł w całkowitym bezruchu. Tak jak Vimes, stał się obserwatorem. A Vimes obserwował: pozwolił, by ciemność wezbrała i oceniła sytuację na własny, niezrównany sposób. Nie Przyzywająca Ciemność - szczerze na to liczył. Powinna to być jego własna, człowiecza ciemność i wewnętrzny wróg, który znał każdą jego myśl, który wiedział, że za każdym razem, kiedy Vimes wlecze jakiegoś okrutnego i pomysłowego zabójcę ku temu miłosierdziu lub sprawiedliwości, jaką w swej kapryśnej mądrości określa prawo, zawsze jest też inny Vimes, widmowy, i trzeba pohamować jego odruch, by na miejscu rozerwać kreaturę na strzępy. Niestety, za każdym razem było to trudniejsze i zastanawiał się, czy pewnego dnia ta ciemność nie wyrwie się i nie sięgnie po swe dziedzictwo, a on nawet się nie spostrzeże... Hamulce, łańcuchy, drzwi i zamki w jego głowie znikną nagle, a on nie będzie wiedział...

Teraz, gdy patrzył na przerażone dziecko, bał się, że ta chwila się zbliża. Zapewne tylko obecność Feeneya powstrzymywała ciemność, to straszliwe pragnienie, by pozbawić kata jego tradycyjnego dolara za zapadnię, trzech pensów za powróz i sześciu na piwo. Łatwo jest zabijać, to prawda, ale nie kiedy na człowieka patrzy dzielny młody policjant, który uważa go za dobrego faceta. W domu straż i rodzina otaczali Vimesa jak mur. Tutaj ten dobry był dobry, bo nie chciał, by ktoś zobaczył, że jest zły. I Vimes nie chciał się wstydzić. Nie chciał stać się ciemnością.

Kusza była wymierzona w dwie zakładniczki, a jej posiadacz z pewnością dostał polecenie, by strzelić, kiedy zaalarmuje go szarpnięcie sznurka. Czy to zrobi? Człowiek musi trochę pożyć, nim ciemność zacznie się w niego sączyć, chociaż zawsze trafi się jeden czy dwóch takich, którzy urodzili się jako chodząca ciemność i potrafią zabijać dla zabawy. Czy ten tutaj do nich należał? A nawet jeśli nie, czy wpadnie w panikę? Jak lekki spust ma ta kusza? Czy może się zwolnić od nagiego drgnięcia? Na zewnątrz szalała burza. Czy woda spływała w dół, czy nie, nie wydawało się specjalnie ważne, skoro dookoła i tak było jej pełno. No trudno, liczy się każda chwila...

Ostrożnie stawiając kroki, jak gdyby ktoś mógł je usłyszeć wśród huku piorunów i skrzypienia, Vimes podkradł się do strażnika, oburącz chwycił go za szyję i szarpnął w górę.

Strzała stuknęła o sufit.- Nie chcę, żeby ktoś ucierpiał. - Vimes starał się powiedzieć to przyjaźnie. - Jeśli myślisz, że zdążysz pociągnąć za sznurki, chłopcze, to pamiętaj, że szybciej zabraknie ci tchu niż mnie sił do ściskania. Starszy funkcjonariuszu Upshot, zabierzcie broń i związcie temu dżentelmenowi nogi. Kuszę możecie zatrzymać, wiem, że lubicie takie rzeczy.

Musiał mimowolnie zwolnić nacisk, bo jeniec wychrypiał:

- Nie chcę nikogo zabijać, proszę pana! Litości! Kazali mi strzelać, jeśli się zatrzymamy albo ktoś szarpnie za sznurek! Myśli pan, że bym to zrobił? Siedziałem tu tylko dlatego, że któryś z nich mógłby sprawdzić. Naprawdę, proszę pana, nie na taką pracę się godziłem. Tu jest Stratford, proszę pana, to kompletny wariat, proszę pana, krwawy morderca!

Rozległ się trzask i cały statek zadygotał. Może pilota zawiódł stoper.

-Jak się nazywasz?

- Eddie, proszę pana. Eddie Brassbound. Jestem zwykłym rzecznym szczurem, proszę pana.

Chłopak drżał cały. Vimes widział, jak trzęsą mu się ręce. Obejrzał się na kobietę z dzieckiem, podtrzymywane przez Feeneya. Uniósł palce do czoła i błysnął starannie ukrytą odznaką.

- Droga pani, jestem komendant Vimes ze Straży Miejskiej Ankh-Morpork. Czy ten człowiek w jakikolwiek sposób źle potraktował panią albo dziewczynkę?

Kobieta prawie się nie poruszyła. Przypominała mu młodszą Sybil, spokojną i opanowaną, bardziej skłonną do walki niż krzyku, ale czekającą z rozpoczęciem, dopóki nie będzie gotowa.

- Załatwili to bardzo szybko, komendancie, akurat kiedy kładłam Grace spać. Ci dranie weszli na pokład jako właściciele części ładunku i zachowywali się jak przyzwoici chłopcy, dopóki mój mąż nie

powiedział, że pogoda robi się paskudna. Byłam w mesie. Słyszałam krzyki, a potem ustawili nas tutaj. Osobiście, mój panie, uznałabym za przysługę, gdyby pozabijał pan wszystkich bez wyjątku, ale życie nie składa się z samych radości. Co do tego tutaj, to mógłby pewnie być mniej uprzejmy. Więc choć chciałabym, żeby go pan wyrzucił za burtę, nie protestowałabym zbytnio, gdyby odmówił pan przywiązania mu ciężarów do nóg.

- Nie potrzebowałby żadnych ciężarów - stwierdził Feeney ze śmiechem. - Rzeka wydaje przyjęcie i wszyscy jesteśmy gośćmi!

Całkiem nieźle pływam, a jednak nie odważyłbym się skoczyć w to, co jest za burtą.

Vimes przyciągnął do siebie Brassbounda i spojrzał mu w oczy.

- Nie - stwierdził po chwili. - Potrafię rozpoznać zabójcę. Co nie znaczy, że nie jesteś piratem, więc będziemy mieć na ciebie oko. Zaufam ci, ale niech cię chronią niebiosa, jeśli się pomyliłem. Możesz uczynić swe życie odrobinę łatwiejszym i może dłuższym, Brassbound, jeśli powiesz, ilu z tej wesołej zgrai opryszków jest na „Pipce".

- Nie wiem, proszę pana. Nie wiem, kto jeszcze żyje, rozumie pan.

Vimes spojrzał na kobietę w chwili, kiedy pokład zakołysał się gwałtownie. To było dziwne uczucie: przez moment miał wrażenie, że jest nieważki. Usłyszał odgłosy zamieszania za sobą, w oborze między wielkimi kołami łopatkowymi. Kiedy odzyskał równowagę, zwrócił się do kobiety.

-Jak rozumiem, jest pani panią Sillitoe?

- Tak, komendancie. - Kiwnęła głową, a dziewczynka mocniej się do niej przytuliła. - Wiem, że mój mąż wciąż żyje, ponieważ my również... w tej chwili.

Przerwała, kiedy następna fala uniosła cały statek; potem „Pipka" opadła z pluskiem i wibrującym w kręgosłupie uderzeniem. Po nim zabrzmiał przeciągły ryk wołu, który ma już dosyć, oraz początek krzyku człowieka.

Vimes, Feeney i Brassbound podnieśli się z podłogi. Pani Sillitoe i jej córka niewytłumaczalnie zachowały pozycję pionową, a pani Sillitoe uśmiechała się ponuro.

- Ten głos, który słyszeliśmy, to znak, że zginął jeden z piratów, co stwierdzam z najwyższą przyjemnością. To znaczy, że wszyscy inni w oborze żyją. Powiedzieć panu dlaczego? On prawie na pewno nie podskoczył! Te wznoszenia i opadania są dla mnie jak małe przełamania; gdzieś za nami przełamanie cholery staje się tak wielkie, że jego kawałki odrywają się i doganiają nas z wielką szybkością, a kiedy nas mijają, podnoszą poziom wody, która natychmiast opada jak kamień. I wtedy właśnie trzeba wiedzieć, jak tańczyć w tym rytmie. Bo jeśli ktoś nie tańczy w rytmie przełamania, to wkrótce zatańczy z samym diabłem. Jakiś człowiek zszedł tam z kuszą, kiedy zaczęła się walka. Sądząc po odgłosach, nie znał tańca. Pewnie Dziesięciogarncowy Charlie go załatwił, kiedy upadł, biedaczysko. Charlie to poskramiacz wołów. Kiedy już kogoś uderzy, nikt nie będzie musiał tego robić po raz drugi. - Pani Sillitoe mówiła rzeczowym tonem, choć nie bez satysfakcji. - Jeżeli ktoś chce kraść z naszego rzecznego statku, musi być przygotowany na znaczne niedogodności.

A ja myślałem, że to miasto jest twarde, pomyślał Vimes. Zauważył, że przezorny Feeney napiął zdobyczną kuszę.

- Zejdę na dół, żeby się upewnić - powiedział. - Pani Sillitoe, jak pani myśli, ile jeszcze jest tu piratów?

- Czterech weszło na pokład jako właściciele ładunku. - Zaczęła odliczać na palcach. - Man Harrison, mistrz załadunku, załatwił jednego, ale drugi dźgnął go nożem, drań. Wiem, że tylko jeden zszedł do obory, a drugi pomagał temu głupkowatemu łobuzowi powiązać sznurki, więc gdyby ktokolwiek próbował jeszcze jakichś sztuczek, to my byłyśmy zakładniczkami. Potem poszedł do sterówki. Powiedzieli mi, że nic nam nie grozi, o ile mój mąż dopłynie z ładunkiem do Quirmu. - Dziewczynka przylgnęła do jej sukni, a kobieta mówiła dalej z nieruchomą twarzą. - Osobiście w to nie wierzę, ale jak dotąd nie zranili mojego męża. Bo on liczy, przez cały czas przelicza. Mąż słucha Zdradzieckiej Staruchy i przypomina sobie. Próbuje przechytrzyć sześćdziesiąt mil morderczego nurtu! A jeśli zginie, rzeka wygra, gdziekolwiek byśmy byli...

- Feeney, trzymaj kuszę wymierzoną w tego dżentelmena, dobrze? - polecił Vimes. - I jeśli wykona jakikolwiek ruch, nie wyłączając próby wytarcia nosa, masz moją pełną zgodę, by trafić go tam, gdzie będzie to bardzo przykre.

Podszedł do schodów, odwrócił się jeszcze i podniósł palec.

- Zaraz wracam!

Po czym zszedł spiesznie na dół, do gorącego i hałaśliwego serca „Pięknej Pipki". Bilard, myślał. Zbijanie bil, dopóki nie ma się na końcu kija tej właściwej...

Poczuł nacisk na stopy, gdy statek się uniósł, i natychmiast podskoczył, by wylądować miękko, kiedy „Pipka" opadła w wodę.

Przed nim stanął mężczyzna, wobec którego nawet Willikins zastanowiłby się pewnie dwa razy.

- Pan Dziesięć Garnców? Pani Sillitoe mnie przysłała. Jestem komendant Yimes, Straż Miejska Ankh-Morpork.

A mężczyzna z twarzą jak u trolla i dopasowanym do niej ciałem odparł:

- Słyszałem o panu. Myślałem, że pan nie żyje.

- Zwykle tak wyglądam pod koniec rzecznych wycieczek, panie Garncowy. - Vimes wskazał ciało robiące wrażenie martwego, leżące na podłodze. - Co mu się stało?

- Tak se myślę, że nie żyje. - Dziesięć Garnców wyszczerzył zęby. - Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby ktoś się udławił własnym nosem.

Trudno było cokolwiek usłyszeć w oborze wśród niechętnych porykiwań wołów i groźnego stukania przeciążonych trybów.

- Miał kuszę? - spytał Vimes.

Dziesięć Garnców kiwnął głową i grubszymi od przegubów Vimesa palcami zdjął broń z gwoździa w ścianie.

- Bym z panem poszedł, ale nas trzech ledwie daje radę utrzymać wszystko tu na dole. - Splunął. - Po prawdzie to i tak nie ma nadziei, pęknięcie cholery jest tuż za nami! Zobaczymy się po drugiej stronie, glino!

Vimes skinął mu głową, przez chwilę oglądał kuszę, coś poprawił i z zadowoleniem wspiął się po schodach z powrotem. Spojrzał na te nieliczne osoby na pokładzie „Pięknej Pipki", które nie polewały wodą parujących grzbietów wołów ani nie usiłowały utrzymać statku w jednym kawałku i ponad nurtem. Wstrząsy stały się coraz częstsze, tego był pewien. Był też przekonany, że jeśli nastąpi dłuższa przerwa, cała cholerna bariera pęknie.

Wszyscy obecni w kajucie - z wyjątkiem Brassbounda, który się przewrócił - podskoczyli równocześnie, gdy kolejna fala uniosła statek.

Vimes podszedł do drżącego Brassbounda, który najwyraźniej uświadomił sobie, że ma największe szanse zostać nieszczęśliwym zwycięzcą turnieju „Kto pierwszy za burtę". Feeney jęknął, kiedy komendant wręczył młodemu człowiekowi zdobyczną kuszę.

- Mówiłem wam, starszy funkcjonariuszu, że umiem rozpoznać zabójcę. Potrzebuję wsparcia i jestem pewien, że nasz pan Brass- bound bardzo chciałby stanąć po dobrej stronie prawa, która to decyzja może sprawić, że lepiej zaprezentuje się w sądzie. Mam rację, panie Brassbound?

Odpowiedzią było energiczne kiwnięcie głową.- Ciebie wolę mieć tutaj, Feeney - dodał Vimes. - Zatroszczysz się o damy, dopóki się nie przekonam, kto jest na tej balii. W tej chwili nie mam pewności, kto jeszcze żyje, a kto zginął.

- „Pipka" nie jest balią, komendancie - wtrąciła surowo pani Sillitoe. - Ale ten jeden raz panu wybaczę.

Vimes zasalutował i znowu wszyscy podskoczyli, oprócz Brass- bounda, który przewrócił się jak głupek.

Vimes ruszył do schodów.

- Na górze z pilotem jest Stratford, tak? Panie Brassbound?

Napłynęła kolejna, tym razem większa fala i Brassbound łomotał ciężko.

- Słyszał o panu - zdołał powiedzieć. - Wie pan, jak to jest. Koniecznie chce dopłynąć do morza, zanim go pan dogoni. To morderca, zimnokrwisty morderca! Niech pan mu nie daje żadnej szansy, błagam dla dobra nas wszystkich, i niech pan załatwi to szybko, dla własnego. - Atmosfera była naelektryzowana, naprawdę naelek- tryzowana. Wszystko, co metalowe, dzwoniło i dygotało. - Mówią, że już niedługo woda przełamie barierę - dodał Brassbound.

- Dziękuję. Mówi pan jak rozsądny młody człowiek i na pewno powiem o tym władzom.

Zatroskana twarz Brassbounda rozpromieniła się w uśmiechu.

-Jest pan sławnym komendantem Vimesem... Cieszę się, że mogę stanąć za panem!

Do sterówki prowadziły długie schody. Pilot był królem i podróżował wysoko ponad rzeką, jak monarcha wszystkiego, co widzi, nawet jeśli - jak w tej chwili - deszcz bębnił w okna z kosztownego szkła. Vimes szybko wkroczył do wnętrza. Nie warto było krzyczeć, skoro burza i tak wszystko zagłuszała, ale potem chciał móc oświadczyć, że to powiedział:

- Komendant Vimes, Straż Miejska Ankh-Morpork! Ustawa o stanie wyższej konieczności!

Która nie istniała, ale poprzysiągł sobie, że wprowadzi ją, jak tylko wróci, choćby musiał prosić o wsparcie wszystkich swoich przyjaciół z całego świata. Przedstawiciel prawa w sytuacji najwyższego zagrożenia powinien mieć przynajmniej jakiś listek figowy, żeby wepchnąć go prawnikom do gardła.

Pan Sillitoe w czapce pilota stał przy sterze i nawet się nie odwrócił, za to młody człowiek zapatrzył się na Yimesa z absolutną zgrozą, taką, od której drżą kolana i moczą się spodnie. Jego miecz wylądował z brzękiem na podłodze.

Brassbound przeskakiwał z nogi na nogę.

- Lepiej niech pan go załatwi od razu, panie komendancie. Na pewno ma jeszcze coś w rękawie, pewna sprawa!

Vimes zignorował te sugestie i obszukał młodego człowieka, odbierając mu krótki nóż, taki, jaki mógł nosić rzeczny szczur. Wykorzystał go, by uciąć kawałek sznura i związać więźniowi ręce na plecach.

- No dobrze, panie Stratford, teraz zejdziemy na dół. Chociaż gdyby wcześniej zechciał pan wyskoczyć za burtę, nie będę pana powstrzymywał.

Dopiero wtedy więzień się odezwał.

- Nie jestem Stratford, proszę pana - zapewnił błagalnym tonem. - Jestem Ścisk Mclntyre. Stratford to ten, co stoi za panem z kuszą i w pana celuje.

Człowiek znany uprzednio jako Brassbound zachichotał cicho, kiedy Vimes się odwrócił.

- Coś takiego, kto by pomyślał, wielki komendant Vimes! Niech mnie demony porwą, jeśli nie jesteś pan głupi jak stos końskiej mierzwy! Potrafisz pan poznać oczy zabójcy, tak? No więc tak sobie myślę, że zabiłem jakieś szesnaście osób, bez goblinów, bo one się nie liczą. - Patrzył na Vimesa ponad kuszą i szczerzył zęby. - Może to moje chłopięce rysy? Jak pan myśli? A właściwie jaki nieszczęsny dureń przejmuje się goblinami, co? Pewnie, podobno umieją mówić, ale wiadomo, jak kłamią te małe bestie! - Czubek kuszy przesuwał się hipnotycznie w dłoniach Stratforda. - Ale jestem ciekawy. Znaczy, nie lubię pana i zastrzelę pana, to pewne jak zbawienie, tylko zrób mi pan uprzejmość i powiedz pan, co zobaczyłeś w moich oczach. Dobra?

Ścisk wykorzystał tę okazję i przerażony pobiegł do schodów. Vimes wzruszył ramionami.

- Zobaczyłem mordowaną dziewczynę z rasy goblinów. Jakich kłamstw mogła ci naopowiadać? Umiem poznać oczy zabójcy, to prawda, bo patrzyłem w takie oczy już wiele razy. A gdybym potrzebował przypomnienia, wystarczy mi popatrzeć w lustro przy goleniu. Tak, rozpoznałem pańskie oczy, a teraz jestem ciekaw, co chce pan zrobić dalej, panie Stratford. Chociaż kiedy się nad tym zastanawiam, widzę, że danie panu kuszy nie było najrozsądniejszym posunięciem. I może naprawdę jestem głupi, ponieważ daję panu możliwość poddania się tutaj i teraz, lecz ta okazja już się nie powtórzy.

Stratford przyglądał mu się z rozdziawionymi ustami.

- Do demona, komendancie, mam pana w garści, a pan mi proponuje, żebym się poddał? Przykro mi, glino, ale zobaczymy się w piekle!

W świecie pojawiło się miejsce, by kusza zaśpiewała, kiedy uśmiechnięty Stratford nacisnął spust. Niestety, wydała dźwięk przypominający stuk. Stratford popatrzył na nią zdumiony.

- Wyjąłem zawleczkę i wdeptałem ją w gnój - wyjaśnił Vimes. - A bez zawleczki nie da się strzelić. Spodziewam się, że masz przy sobie kilka noży, więc jeśli masz ochotę wywalczyć sobie przejście, jestem do usług. Chociaż po pierwsze, muszę cię uprzedzić, że ci się nie uda, po drugie, jeśli nawet pokonasz kogoś, kto dorastał na ulicach Ankh-Morpork, to na dole jest mężczyzna, który pięścią mógłby powalić słonia, i jeśli dźgniesz go nożem, tylko się zirytuje...

Tym razem fala była większa niż dotąd. Vimes uderzył głową o sufit sterówki, zanim wylądował przed Stratfordem i szybko kopnął go oficjalną metodą funkcjonariusza policji, a także w krocze.

- Dajże spokój, Stratford, całkiem nie dbasz o reputację? Przerażający morderca? Powinieneś spędzić trochę czasu w mieście, mój chłopcze, ja ci to załatwię.

Stratford upadł na wznak, a Vimes mówił dalej:

- Potem zawiśniesz, co jest słuszne i sprawiedliwe, ale nie martw się, pan Trooper wiąże elegancką pętlę, podobno prawie wcale nie boli. Coś ci teraz poradzę, żeby mocniej popłynęła adrenalina: wyobraź sobie, że jestem tą goblinką. Błagała o życie, Stratford, pamiętasz? Ja pamiętam. I ty też. Upadłeś przy pierwszym wstrząsie. Rzeczne szczury wiedzą, co się robi, a ty nie wiedziałeś. Uups!

Ostatnie słowo padło, gdyż Stratford rzeczywiście spróbował szczęścia z nożem. Vimes wykręcił mu rękę w przegubie i rzucił nóż na schody akurat w chwili, gdy szyby rozsypały się na kawałki, a konar - dłuższy od Vimesa - przebił się przez sterówkę, gubiąc liście i ciągnąc za sobą ulewny deszcz i ciemność.

Plamy światła obu lamp zniknęły nagle i okazało się, że Stratford również. Zapewne skoczył przez wybite okno, możliwe, że ku swej śmierci. Vimes wolałby „z pewnością", ale nie miał czasu, żeby się nim przejmować, bo nadeszła kolejna fala i woda chlusnęła przez pozbawione szyb okna. Szarpnął nieduże drzwiczki prowadzące na pokład pilota, a tam pan Sillitoe wygrzebywał się z naniesionego falą śmiecia.

- Straciłem rachubę - jęczał. - Straciłem rachubę!

Vimes podniósł go na nogi i pomógł usiąść w jego wielkim fotelu. Sillitoe bezsilnie uderzył pięściami o poręcze.

- I teraz jeszcze nic nie widzę w tym mroku! Nie mogę przeliczać, nie widzę, więc jak mam sterować? Nie przeżyjemy!

-Ja widzę, panie Sillitoe - oświadczył Vimes. - Co mam robić?

- Widzi pan?

Vimes spojrzał na morderczą rzekę.

-Jakaś ogromna wielka skała zbliża się od lewej strony. Powinna to robić? Wydaje się, że jest tam rozbity pomost!

- Na bogów! To Gała Bakera! Zaraz, niech złapię koło sterowe! Jak jest blisko?

-Jakieś dwadzieścia pięć sążni.

- I widzi pan w tym wszystkim? Niech mnie licho, drogi panie, musiałeś pan się urodzić w jaskini! To znaczy, że jesteśmy już niedaleko Quirmu, ciut poniżej dziewiętnastu mil. Myślisz pan, że mógłbyś stanąć na oku? Czy moja rodzina jest bezpieczna? Ten szczeniak groził, że ich skrzywdzi, jeśli nie doprowadzę „Pipki" zgodnie z planem!

Coś dużego i ciężkiego odbiło się od dachu i wirując, odleciało w mrok. Pilot mówił dalej:

- Gastryk Sillitoe, jestem zaszczycony, że mogę pana poznać, drogi panie. - Patrzył przed siebie. - Słyszałem o panu. Dolina Koom, zgadza się? Cieszę się, że mam pana na pokładzie.

- Ehm... Gastryk, całe drzewo płynie z prądem przy lewym brzegu, pięć sążni przed nami! Po prawej nic ciekawego.

Koło sterowe zakręciło się szybko.

-Jestem wdzięczny, drogi panie, i mam nadzieję, że pana nie urażę, jeśli powiem, że zwykle mówimy o bakburcie i sterburcie.

- Nie mam pojęcia, którą burtą się steruje. Masa czegoś, co wygląda na połamane belki, dwadzieścia sążni, raczej drobne kawałki. Widzę też słabe światło wysoko po naszej prawej, nie umiem powiedzieć, jak daleko.

Vimes schylił się i poszarpany konar odbił się od tylnej ściany sterówki. Obok niego pilot odezwał się takim tonem, jakby zaczynał panować nad sytuacją.

- W porządku, komendancie, to będzie Latarnia Jasksona, mile widziana. Teraz już znalazłem naszą pozycję i klepsydrę, która się nie rozbiła. Będę pańskim jeszcze większym dłużnikiem, jeśli zejdzie pan na dół i powie Dziesięciu Garncom, żeby odciął te barki. Na jednej z nich jest hodowca kur. Lepiej wziąć go na pokład, zanim rzeka przełamie barierę.

- I setka goblinów, Gastryk.

- Proszę się nimi nie przejmować. Gobliny to tylko gobliny.

Na chwilę Vimes spojrzał w ciemność i w ciemność wewnątrz
ciemności, a ona powiedziała do niego:

- Nieźle się bawisz, komendancie, prawda? Oto prawdziwy Sam Vimes, który jest Samem Vimesem w mroku, w deszczu, w niebezpieczeństwie, a ponieważ jesteś gliną, nie uwierzysz, że Stratford zginął, dopóki nie zobaczysz ciała. Wiesz o tym. Czasem trzeba się naprawdę napracować, żeby zabić niektóre

typy. Widziałeś, że ucieka z kabiny, ale na pokładzie pełno jest różnych lin i uchwytów, a drań był silny i zwinny. I wiesz tak dobrze jak to, że po nocy przychodzi dzień, że on wróci. Trudny wybór, komendancie; wszystkie figury stoją na planszy: gobliny do ratowania, morderca do schwytania, a przez cały czas, kiedy sobie przypomnisz, jest też żona i mały synek, którzy czekają na twój powrót.

- Zawsze pamiętam!

- Oczywiście, że tak, komendancie. Oczywiście. Ale znam cię i wiem, że cień przesłania czasem każde słońce. Mimo to ciemność zawsze będzie przy tobie, mój wierny przyjacielu.

A potem rzeczywistość albo powróciła, albo odpłynęła. Vimes powiedział:

- Zabierzemy gobliny na pokład, Gastryk, bo one... Tak, są dowodem w bardzo ważnym dochodzeniu!

Znów zahuśtał się pokład i tym razem Vimes wylądował na podłodze, trochę bardziej miękkiej niż zwykle ze względu na nierówny dywan liści i gałęzi. Wstał szybko.

- Dochodzenie, powiada pan? - zapytał Sillitoe. - Cóż, „Pipka" zawsze była przyjaciółką prawa, ale trzeba przyznać, drogi panie, że one śmierdzą jak piekielne otchłanie i taka jest prawda! I naprawdę wystraszą woły!

- Myślisz, Gastryk, że woły już nie są przerażone? Ehm, jakiś mały zator przed nami po prawej. Lewa strona czysta. - Vimes pociągnął nosem. - Możesz mi wierzyć, po zapachu sądząc, są bardzo zdenerwowane. Nie możemy się zatrzymać i zacumować przy brzegu?

Sillitoe zaśmiał się słabo.

- Mój panie, nie ma już takich brzegów, do których chciałbym przybić. Znam tę rzekę i wiem, że się gniewa, że nadchodzi pęknięcie cholery. Nie mogę zatrzymać statku, tak jak nie mogę zatrzymać burzy. Wybór jest prosty, komendancie: albo ścigamy się z rzeką, albo składamy ręce, modlimy się do bogów i umieramy już teraz. - Zasalutował. - Ale widzę, że jest pan człowiekiem, który robi to, co powinien, i na bogów, trudno to krytykować! To była robota prawdziwego mężczyzny, komendancie, i niech bogowie mają pana w opiece. Niech mają w opiece nas wszystkich.

Vimes zbiegł po schodach, po drodze złapał Feeneya i po rozkołysanej podłodze przetańczył do obory.

- Ruszaj się, chłopcze, czas odrzucić barki! Za bardzo nas ciągną. Panie Dziesięć Garnców, otwórzmy te wrota, co? Pan Sillitoe przekazał mi dowodzenie na dole! Jeśli ma pan coś przeciwko, niech pan mówi!

Potężny mężczyzna nie próbował nawet dyskutować i jednym pchnięciem otworzył wrota.

Vimes zaklął. Sillitoe miał rację. Ryk rozlegał się niezbyt daleko za nimi, a rzeka błyskawic i niebieskiego blasku sunęła przez dolinę jak fala przypływu. Przez chwilę patrzył jak zahipnotyzowany, ale zaraz się opanował.

- Feeney, zacznij przeprowadzać na pokład gobliny, a ja się zajmę naszym hodowcą! Ruda żelaza może sobie tonąć, jeśli o mnie chodzi.

W jaskrawym blasku błyskawic Vimes skoczył dwa razy i wylądował na barce, z której dochodziły piski przerażonych ptaków. Woda ściekała z niego strumieniami, kiedy odsunął plandekę.

- Panie Fałsz! - krzyknął. - Nie, niech pan nie łapie kurczaków! Lepszy jest hodowca bez kur niż cały ładunek kur bez hodowcy! Zresztą i tak chyba popłyną albo odlecą, albo coś!Przeprowadził wystraszonego Fałsza na sąsiednią barkę i odkrył, że wciąż tłoczą się na niej przestraszone gobliny. Feeney wyglądał z otwartych wrót na rufie „Pipki", a wśród ryku wody i syczącej piany Vimes słyszał jego wołanie:

- Pan Dziesięć Garnców, sir, mówi, że żadnych goblinów!

- No dobrze, chłopcze, miej oko na barkę goblinów, a ja przedyskutuję sprawę z panem Dziesięć Garnców.

Pchnął Fałsza na pokład „Pipki" i rozejrzał się za Dziesięcioma Garncami. Pokręcił głową. Jakim ten człowiek byłby świetnym gliną, gdyby prawidłowo pokierowali nim porządni ludzie... Westchnął.

- Panie Dziesięć Garnców, mówiłem, że pan Sillitoe dał mi carte blanche. Możemy omówić kwestię goblinów?

- Nie wiem o żadnej karcie i nie znam żadnej Blanche - burknął niechętnie olbrzym. - I żadne gobliny nie wejdą na mój pokład, jasne?

Z twarzą pokerzysty Vimes kiwnął głową i spojrzał na deski pokładu.

- To pańskie ostatnie słowo, panie Dziesięć Garnców?
- Tak jest, do demona!
- Dobrze więc. A to moje.

Dziesięć Garnców runął na wznak jak kłoda i zasnął jak kamień.

Ulica nigdy cię nie opuszcza...

A Uniwersytet Ulicy uczy, że walka jest nauką - nauką usuwania przeciwnika i powalania go twarzą ku ziemi z maksymalną szybkością i przy minimalnym wysiłku. Potem oczywiście pojawiało się wiele rozkosznych możliwości oraz wolny czas, by je rozważyć. Ale jeśli człowiek chciał walczyć czysto, a w każdym razie bardziej czysto, niż sugerowały inne uliczne opcje, musiał wiedzieć, jak uderzać, w co uderzać i pod jakim dokładnie kątem. Oczywiście, ulubiony kastet był dodatkiem opcjonalnym, choć użytecznym. Jednakże, myślał Vimes, usiłując przywrócić obieg krwi w zdrętwiałych palcach, na widok Dziesięciu Garnców prawdopodobnie każdy sąd by mu wybaczył nawet użycie młota.

Kastet nawet się nie wygiął. Dobra ankhmorporska robota. Wieś ma siłę, ale miasto ma technikę, pomyślał Vimes, wsuwając uliczną broń do kieszeni.

- No dobrze, Feeney, pakujemy ich tutaj. Poszukaj Smrodka, on chyba jest mózgiem tej ekipy.

Być może Smrodek rzeczywiście był mózgiem. Do samego końca Vimes nie był pewien, kim właściwie jest. Ale gobliny, ponaglane chrzęszczącymi okrzykami, skakały jak brzydkie gazele do wnętrza statku. Vimes raz jeszcze obejrzał się na ryczącą zgubę poza barkami i też przeskoczył. Pomógł Feeneyowi zatrzasnąć i zaryglować wrota.

To oznaczało, że pozostali bez dopływu świeżego powietrza i oba woły miały teraz pełne nozdrza odoru goblinów. Vimes uznał, że nie jest taki okropny, kiedy człowiek już się przyzwyczai, raczej alchemiczny niż gnijących odpadków. Jednak w oborze zapanował gwar, a statek szarpnął mocno, kiedy woły w swoim kołowrocie próbowały rzucić się do ucieczki.

Vimes nie zwracał uwagi na dygotanie kadłuba.

- Proszę odczepić barki, starszy funkcjonariuszu! - polecił. - Mam nadzieję, że wiecie jak.

Feeney przytaknął i otworzył klapę w podłodze. Trysnęła fontanna wodnego pyłu, która zniknęła zaraz, kiedy wsunął rękę do otworu.

- Trzeba parę razy przekręcić, zanim je odrzucimy, komendancie. Na pańskim miejscu złapałbym się czegoś, kiedy pójdzie ta z rudą!

Vimes przecisnął się między goblinami, ostrożnie wspiął się do sterówki i klepnął pilota w ramię.

- Lada chwila odrzucimy barki!

Sillitoe, z całej siły ściskający koło sterowe i wpatrujący się w mrok, skinął lekko głową. Nic cichszego od wrzasku nie byłoby teraz słyszalne. Wiatr i niesione przez niego gałęzie wybiły już wszystkie szyby.

Vimes wyjrzał przez tylne okno; zobaczył ogromną, sunącą falę zniszczenia, chaos oświetlanego błyskawicami drewna, błota i toczących się głazów. Przez moment zdawało mu się, że dostrzega nagą damę z białego marmuru wirującą wśród pływających śmieci i ściskającą swoją szarfę, jakby broniła przed potopem resztek swej skromności. Mrugnął tylko i zniknęła... Może ją sobie wyobraził.

- Mam nadzieję, że umie pan pływać! - zawołał.

I wtedy pęknięcie cholery ich dopadło, a zjawa zwana Stratfordem zanurkowała przez okno do wnętrza... i ku swemu bezbrzeżnemu zdumieniu została powstrzymana przez Yimesa.

- Brał mnie pan za dziecko, panie Stratford? Uważał pan, że nie myślę?

Stratford wyśliznął się z uścisku, odwrócił i wyprowadził cios, przed którym Vimes prawie zdążył się uchylić. Cios był mocny; Stratford potrafił walczyć i był... niech bogowie bronią... młodszy od Vimesa, o wiele młodszy.

Tak, można rozpoznać oczy mordercy, zwłaszcza po co najmniej trzech zbrodniach, które uszły mu na sucho. Takie oczy mają wyraz, jaki pewnie spotyka się u niektórych bogów. Jednak zabójca, kiedy próbuje zabić, zawsze jest skupiony, cały czas kalkuluje, sięgając do rezerw ohydnej siły. Gdyby odrąbać mu nogę, pewnie by nie zauważył, dopóki by się nie przewrócił. Sztuczki wtedy nie działają, a podłoga była śliska i zasypana śmieciami z połowy lasu. Uderzali i kopali, przetaczali się tam i z powrotem po wnętrzu sterówki. Stratford wygrywał. Kiedy ostatni raz Vimes coś jadł, napił się wody albo normalnie wyspał?

- Barki poszły! - rozległ się okrzyk z dołu.

„Piękna Pipka" stanęła dęba jak rumak pełnej krwi, rzucając obu walczących na podłogę, gdzie Vimes ledwie miał miejsce, żeby kopać i osłaniać się przed ciosami. Zalała ich woda wypełniająca kabinę do piersi i zredukowała odporność Vimesa niemal do zera. Stratford oburącz ściskał mu krtań. Świat stał się ciemnoniebieski i pełen dławiącej wody wlewającej się do uszu. Vimes próbował myśleć o Młodym Samie i Sybil, ale woda zmywała te wizje i porywała... I nagle ucisk zniknął, a ciało - uznając, że mózg w końcu zrobił sobie wolne - zamachało rękami i poderwało się w górę.

Stratford klęczał w wodzie, która odpływała szybko, co zapewne nie zaprzątało go w tej chwili, gdyż trzymał się za głowę i wrzeszczał. Wynikało to z faktu, że Smrodek leżał rozciągnięty na nim, kopał i drapał wszystko, co dało się kopnąć i podrapać, albo też - do wtóru pojedynczego długiego krzyku - pociągnąć.

Jego łaskawość diuk Ankh, przy asyście sir Samuela Vimesa i wspierany przez komendanta Vimesa, stanął na nogi, w ostatnim etapie korzystając też z pomocy klasowego dyżurnego Vimesa, po czym wszyscy zlali się w jednego człowieka, który rzucił się naprzód odrobinę za późno, by przeszkodzić Stratfordowi. Zabójca zerwał Smrodka - oraz sporą garść własnych włosów - z głowy i cisnął go na mokry pokład. Po czym nadepnął ciężko. Trudno się pomylić -już lecąc w powietrzu, Vimes słyszał trzask pękających kości, więc to, co trafiło Stratforda, było pełną mocą prawa i jego gniewem.

Ulica jest stara i chytra, ale też zawsze skora do nauki. Dlatego Vimes czuł, jak w locie prostują mu się nogi i cały majestat prawa trafił Stratforda tradycyjnie niepowstrzymanym „Jeden Człowiek On Góra Dół Bardzo Przykro". Nawet Vimes był zaskoczony i zastanowił się, czy potrafiłby powtórzyć to jeszcze raz.

-Jesteśmy na fali! - zawołał Gastryk. - Na niej, nie pod nią! Pojedziemy na niej aż do Quirmu, komendancie! Widzę światło przed nami! Chwała niebiosom!

Vimes stęknął i resztą sznura z kieszeni mocno owinął Stratforda, przywiązując go do wspornika.

- Dopłyniemy czy utoniemy, panie Stratford, zapłaci pan za wszystko, z nieba, z piekła czy z wody, to mnie nie obchodzi.

Statek zaskrzypiał i zaturkotał, gdy przerażone woły zdwoiły swe wysiłki, by uciec przed odorem goblinów tuż za nimi, pokład uniósł się wysoko i chociaż poetycko byłoby powiedzieć, że wody zalały oblicze ziemi, jednak w rzeczywistości zalały głównie oblicze Vimesa.

* * *

Vimes zbudził się w całkowitej ciemności, czując piasek pod policzkiem. Niektóre części jego ciała zgłosiły się na służbę, inne protestowały, tłumacząc, że mają usprawiedliwienie od matki. Po chwili pojawiły się drobne, ale uporczywe sugestie: szum fal, rozmowy i z jakiegoś powodu coś, co brzmiało jak trąbienie słonia. Wtedy zresztą ktoś wsadził mu palec do nosa i pociągnął mocno.

- Wstawamy, wstawamy, panie poo-lis-jant, bo inaczej pan największy naleśnik na świecie! Wstawamy! Ratować gobliny! Wielki bohater! Hurra! Wszyscy dostają brawo!

Głos był znajomy, ale nie mógł należeć do Smrodka, który został przecież całkiem pogruchotany. Mimo to Vimes spróbował się podnieść, co okazało się prawie niemożliwe ze względu na warstwę cuchnących rybą śmieci pokrywającą go niczym całun. Nie potrafił machnąć ręką nad sobą, żeby strącić to przeklęte coś, co nadal szarpało go za nozdrze. Zdołał jednak unieść się na tyle, by zdać sobie sprawę, że przygniata go masa odpadków.

Usłyszał odgłos podobny do dudnienia słoniowej nogi o ziemię i w stanie przyjemnego otępienia zastanowił się, co słoń robi nad morzem, a także jak bardzo rzeczony słoń będzie się przejmował ominięciem jeszcze jednego stosu wyrzuconych na brzeg śmieci. Ta myśl wykrystalizowała się akurat w chwili, kiedy szarpanie za nos ustało, a zgrzytliwy głos zawołał:

- Pora wstawać, panie Vimes, bo nadchodzi Jumbo!

Vimesowi udało się po mistrzowsku wykonać pompkę i sypiąc kawałkami drewna i pąklami, poderwać się dokładnie w momencie, kiedy stopa wielkości kosza na śmieci opadła na piasek w miejscu, gdzie przed chwilą leżała jego głowa.

- Hurra, nie ma płaskości dla komendanta Vimesa!

Vimes spojrzał w dół i o pół cala od niezwykłej wielkości paznokcia słonia - który, nawiasem mówiąc, miał wyraźnie zakłopotaną minę - zobaczył Smrodka podskakującego w podnieceniu na czubku

trąby. Inni ludzie też zauważyli Vimesa i spieszyli teraz ku niemu. Z obezwładniającą ulgą spostrzegł wśród nich charakterystyczne hełmy Straży Miejskiej Quirmu, które zawsze uważał za zbyt wymyślne i militarystyczne dla porządnych gliniarzy, ale teraz patrzył na nie jak na lśniące latarnie normalności.

- Komendancie! - odezwał się oficer w kapitańskim hełmie. - Nic się panu nie stało? Wszyscy myśleli, że fala pana zmyła.

Vimes próbował strzepnąć z podartej koszuli piasek i błoto.

- No... Chłopcy w Ankh-Morpork podarowali mi wiaderko i łopatkę na ten wakacyjny wyjazd, więc pomyślałem, że warto je wypróbować. Ale mniejsza o mnie. Co z „Pipką"? Co z ludźmi?

- Wszyscy cali, sir, o ile mogliśmy to stwierdzić. Parę guzów i sińców, oczywiście. To było zadziwiające, sir. Ludzie, którzy opiekują się słoniami w ąuirmskim zoo, wszystko widzieli. O świcie wyprowadzają zwierzęta na plażę, żeby mogły się wykąpać i trochę pobawić, zanim zejdą się tłumy, i jeden z nich mówi, że zobaczył „Pipkę", jak przepływa nad nabrzeżem na szczycie fali, sir, a potem tak jakby osiada na piasku. Zajrzałem do środka i moim zdaniem potrzebuje miesiąca w stoczni, a oba koła łopatkowe są połamane w drzazgi, ale na rzece będą o niej opowiadać jeszcze przez lata!Przez ten czas zakłopotany dozorca zoo odprowadził swego podopiecznego na bok, odsłaniając Vimesowi plażę pokrytą mokrymi śmieciami i - co zauważył z zaskakującą jego samego radością - sporą liczbą kur grzebiących pracowicie w poszukiwaniu robaków. Jedna z nich, nie zwracając uwagi na Vimesa, przez chwilę drapała jakiś wodorost, potem przysiadła, zrobiła zeza, gdaknęła raz czy dwa, po czym wstała, najwyraźniej z ulgą. Vimes zobaczył, że na piasku zostawiła jajko. A przynajmniej powinno to być jajko - tyle że kwadratowe.

Podniósł je i przyjrzał się kurom, wciąż w stanie umysłu zbliżonym do halucynacji.

- No tak, stanowczo jest wyrafinowane.

Niedaleko brzegu dwa woły stały zanurzone w morzu po szyję i być może jedynie pobudzona wyobraźnia zasugerowała Vimesowi, że woda wokół nich paruje.

Zjawiło się więcej ludzi, kury się rozbiegły, byli nawet Dziesięć Garnców i pani Sillitoe z córką, całkiem mokre i opatulone kocami, ale - co najważniejsze - całkiem żywe. Vimes, który zbyt długo wstrzymywał oddech, teraz odetchnął. I odetchnął jeszcze bardziej, kiedy Dziesięć Garnców klepnął go w plecy, a pani Sillitoe ucałowała.

- Co z Gastrykiem? - zapytał. - I gdzie jest Feeney?

- Cali i zdrowi, komendancie, jeśli mogę to ocenić - Pani Sillitoe się uśmiechnęła. - Trochę poobijani, ale to odeśpią. Żadnych poważnych urazów, tak przynajmniej uznał medyk. Na pewno niedługo dojdą do siebie. Dzięki panu.

Odsunęła się, kiedy quirmski strażnik wręczył Vimesowi parujący kubek. Kawa miała w sobie trochę piasku, ale jeszcze żadna zapiaszczona kawa nie smakowała mu tak bardzo.

- Można powiedzieć, że daliśmy radę wszystko tu pozałatwiać, sir. Dopilnowaliśmy nawet, żeby te piekielne gobliny złapały swój statek.

Nigdy jeszcze w historii parzenia kawy tak wiele nie zostało rozpryśnięte tak daleko na tak wielu. Vimes spojrzał poza fale przy- boju, gdzie w oddali znikał statek pod pełnymi żaglami.

- Sprowadźcie mi pełniącego obowiązki kapitana Haddocka! Natychmiast!

P.o. kapitana Haddock przybiegł sześć minut później i Vimes nie mógł nie zauważyć, że przy kąciku ust ma resztki śniadania.

- Nasze kontakty z kapitanem Fourierem są obecnie kordialne, prawda?

Haddock uśmiechnął się szeroko.

- Komendancie, kiedy już się tu zjawi, trudno będzie go powstrzymać przed ucałowaniem pana w oba policzki. Pani Sillitoe jest jego córką.

- Z przyjemnością udzieliłem im pomocy - rzucił Vimes i rozejrzał się z roztargnieniem. - Przekaż proszę tym dżentelmenom, że potrzebna mi szybka łódź, dość szybka, żeby doścignąć tamten statek, i sprawną załogę. Chcę ich dostać teraz, a póki czekam, prosiłbym, żeby ktoś przyniósł mi czystą koszulę i kanapkę z bekonem... bez *avec*.

- Mają tu bardzo szybki kuter, komendancie, do ścigania przemytników.

- Świetnie. I załatw mi kordelas, zawsze chciałem go wypróbować. - Vimes zastanowił się chwilę. - Niech będą jeszcze dwie dodatkowe kanapki z bekonem. I dużo kawy. 1 jeszcze jedną kanapkę. I jeszcze, Haddock, gdybyś zdołał gdzieś wygrzebać butelkę sławnego brązowego sosu Merkela i Stingbata, to

przysięgam, że jak tylko skończysz tu staż, awansuję cię na pełnego sierżanta. Bo każdy, kto potrafi znaleźć uczciwy, porządny ankhmorporski sos w Quirmie, ojczyźnie pięciuset odmian przeklętego majonezu, i to jeszcze tak, żeby mu nikt nie napluł w oko, ten człowiek zasługuje na to, żeby być sierżantem w dowolnej formacji policyjnej.

I wtedy to, co go podtrzymywało, odpłynęło nagle. Sam Vimes upadł wolno na wznak, śniąc o kanapkach z bekonem i brązowym sosie.

Funkcjonariusz Haddock, obecnie pełniący obowiązki kapitana, sam zgodziłby się na pewno, że nie jest najostrzejszym nożem w szufladzie, ale to niezwykłe, ile rzeczy można otworzyć tępym narzędziem. Pospieszył więc, by wykonać swoje ważne zadanie. A po drodze zatrzymał go jeden z quirmskich strażników.

- Hareng! - zawołał. - Znasz strażnika zwanego Petit Fou Arthur?

- Ciut Szalony Artur? Tak, to jeden z naszych.

- To lepiej chodź szybko, przyjacielu, bo jest teraz na naszym komisariacie. Silny maluch, co? Paru innych funkcjonariuszy śmiało się z niego, ale mam wrażenie, że zrozumieli już, jak bardzo zbłądzili. I to w bolesny sposób. Podobno przysłali go tutaj, żeby odszukał komendanta Vimesa.

* * *

Sam Vimes zbudził się ze świńskiego koszmaru i odkrył, że leży na stosie worków w jakimś portowym składzie. Został ostrożnie postawiony na nogi przez p.o. kapitana Haddocka i doprowadzony chwiejnie do prymitywnego stołu, za którym kucharz pochylał się nad skwierczącymi składnikami kilku kanapek z bekonem na ciepło.

- Trochę wrzeszczał, kiedy się upierałem, żeby nie dodawał majonezu - tłumaczył Haddock - ale w tej chwili tutaj wolno panu wszystko, komendancie. Mam też nieotwartą butelkę najlepszego sosu Merkela i Stingbata, sir, jedyną w mieście. Obawiam się, niestety, że będzie pan musiał jeść w drodze. Kucharz zapakuje te kanapki do kosza i doda gorącego węgla drzewnego, żeby były ciepłe. Nie ma czasu do stracenia, sir. Kuter odbija za dziesięć minut.

Przed nosem Vimesa znalazł się notes.

- Co to takiego?

- Pański podpis pod moim awansem na sierżanta, komendancie - odparł spokojnie Haddock. - Mam nadzieję, że nie ma mi pan za złe, ale przecież pan obiecał.

- Dobra robota - pochwalił go Vimes. - Zawsze trzeba wszystko zapisywać.

Odkąd okazało się, że haddock po iiberwaldzku jest nazwą pewnego gatunku ryby, przezwiskiem Haddocka stał się „Sztokfisz", bo policyjne umysły tak właśnie działają.

Haddock zrobił dumną minę.

- Zadbałem też, by na pokładzie znalazł się wybór kordelasów do obejrzenia, komendancie.

Vimes wciągnął czystą koszulę.

- Płyniesz ze mną, Sztokfisz - powiedział, kiedy jego głowa ukazała się nad kołnierzykiem. - O wiele lepiej niż ja znasz tutejsze układy. A przy okazji, co zrobiliście z więźniem?

- O jakiego więźnia panu chodzi, komendancie? - zapytał Haddock.

Yimesowi krew stężała w żyłach.

- Nigdzie na „Pipce" nie znaleźliście żadnych związanych ludzi?!

Teraz Haddock zrobił zmartwioną minę.

- Nie, sir, kiedy już tam dotarliśmy, nikogo nie było. Panował ogólny chaos, sir. Przykro mi, sir, ale nie wiedzieliśmy...

- Nie macie za co przepraszać. To ja przepraszam, że krzyknąłem. Ale skoro już quirmska policja uważa, że słońce świeci mi z tyłka, przekaż im, że powinni szukać młodego z wyglądu osobnika znanego pod nazwiskiem Stratford. Jest podwójnym zabójcą, co najmniej... okrutnym i teraz już z pewnością uzbrojonym. Powiedz, niech postawią straż przy statku i sprawdzą wszystkich rannych, tych chodzących

i tych leżących w izbie chorych. Dodatkowo powinni wysłać sekara do Pseudopolis Yard i zawiadomić, że komendant Vimes prosi, żeby jak najszybciej wysłać golemowym koniem dwóch funkcjonariuszy straży do Ramkinowego Dworu; mają ochraniać lady Sybil i Młodego Sama. Niech się biorą do roboty natychmiast. Wiem, że to nie są dobre wieści, ale Stratford jest szaleńcem. Muszą się spieszyć.

- Proszę wybaczyć, komendancie - wtrącił jeden z ąuirmskich strażników. - Całkiem dobrze mówimy tu po morporsku. Każdy tutaj nieźle zna morporski. Jeśli usłyszy pan nas rozmawiających po quirmsku, to dlatego, że chcemy, by pan nie zrozumiał. Podziwiamy pana, komendancie, wyślemy tego sekara, wszystko przeszukamy, aż znajdziemy pańskiego mordercę i zaopiekujemy się rannymi. A teraz niech pan już biegnie do portu. „Quirmska Królowa" to stara jednostka, o krok od zostania wrakiem. Nasz kuter powinien ją dogonić za parę godzin. Pójdziemy?

- Chodźmy, sir - zachęcił Haddock. - A Ciut Szalony Artur złoży raport po drodze.

- Ciut Szalony Artur?

- Tak, komendancie. Zrozumiałem, że poleciał do zagranicznych krain w związku z tą sprawą goblinów. Wrócił do Ankh-Mor- pork, a wtedy posłali go tutaj, do pana. Ma historię do opowiedzenia, i to ciekawą historię.

- Gdzie jest?

- W tej chwili powinni wypuszczać go z aresztu, sir. Zabawne nieporozumienie, nikt nie doznał większych szkód, wszystko zostanie wybaczone i wszystko się prawdopodobnie zagoi. Jestem pewien.

Vimes miał dość rozsądku, żeby nie drążyć tej kwestii.* * *

Oczywiście, choroba morska nie ułatwiała życia, ale objawy pojawiły się dopiero później, kiedy Ciut Szalony Artur zakończył już swoje pospieszne sprawozdanie.

- A co znalazłeś w pozostałych chatach? - spytał Vimes.

- Więcej goblinów, sir. Wszelkich możliwych rozmiarów. Maluchy też, sir. Większość martwych, reszta w bardzo złym stanie, moim zdaniem. Zrobiłem dla nich, co mogłem, sir. Prawdę mówiąc, byli dosyć ogłupiali tym wszystkim, ciut bidoki, ale mieli tam strawę i wodę, mniej więcej, a tamci dozorcy raczej nie ruszą się za szybko, rozumie pan, sir. - Skrzywił się. - Naprawdę dziwaczne są te gobli- ny - dodał. - Wypuściłem je, a one kręciły się tylko dookoła i nie wiedziały, co robić, u demona. Znaczy się, łojzicku, gdybym ja tam siedział, tobym wypruł jak strzała i chłystkom porządnie dokopał w rozkrok, póki jeszcze leżą. A co do tych ludzi, wiedziałem, że to pilna sprawa i zawsze mogę przylecieć z powrotem choćby jutro i przynajmniej nalać na nich trochę wody, ale sobie pomyślałem, że straż powinna wiedzieć, no to szybko wróciłem do Ankh-Mor- pork, tam mi powiedzieli, gdzie pan wyjechał na wakacje, a lady Sybil wytłumaczyła, że pan popłynął tą bagnistą rzeczułką, no to musiałem tylko lecieć sobie, aż doleciałem do Quirmu i znalazłem taki okropny wielki bałagan i od razu wiedziałem, że to ma coś wspólnego z panem, komendancie.

W tym momencie Ciut Szalony Artur się zawahał. Nigdy nie był całkiem pewien, co Vimes o nim myśli, biorąc pod uwagę, że wszystkich Feeglów uważał za utrapienie. Więc kiedy Vimes nie odpowiadał, Artur dodał jeszcze:

- Mam nadzieję, że zrobiłem to, co pan by zrobił, komendancie?

Vimes przyjrzał się Ciut Szalonemu Arturowi, jakby widział go pierwszy raz w życiu.

- Nie, funkcjonariuszu, nie postąpiliście tak, jak ja bym postąpił, i całe szczęście, bo inaczej stalibyście teraz przede mną oskarżeni o nadmierną brutalność w trakcie wykonywania obowiązków służbowych. A tak dostaniecie medal i pochwałę. W tej chwili ścigamy statek, który ma dostarczyć do tego paskudnego miejsca kolejne gobliny. I choć przypuszczam, że jesteście bardzo zmęczeni, funkcjonariuszu, pewnie zechcecie się zabrać na tę wycieczkę? A przy okazji, gratuluję wam, funkcjonariuszu; jak na kogoś wychowanego wśród gnomów, rzeczywiście opanowaliście te feeglowe sztuczki, co? Samotnie pobiliście dwunastu uzbrojonych mężczyzn?

- Ano tak, sir - przyznał dumnie Artur. - Ale to nie była równa walka, bo miałem nad nimi przewagę liczebną. Aha, jeszcze coś, sir. W niektórych chatach były różne takie niby alchemiczne rzeczy... Nie wim, co to takiego, ale może pana to zaciekawi.

- Słusznie - zgodził się Vimes. - A teraz może zejdziecie pod pokład, żeby trochę odpocząć?

- Ano, sir. Tylko chcę jak najszybciej wykonać zadanie dotyczące sierżanta Colona, który jest naprawdę w fatalnym stanie. - Artur zauważył tępy wyraz twarzy Vimesa. - Nie wiedział pan, sir? Dostał od kogoś jakąś goblinią błyskotkę, a ona rzuciła na niego dość paskudny wpływ. I teraz on po całych dniach wrzeszczy, krzyczy i jęczy jak goblin, w każdym razie tak mówi sierżant Tyłeczek. Przeniosła go do domu opieki.

- Sierżanta Colona?

- Ano, sir. A kapitan Angua uważa, że musimy znaleźć goblinią jaskinię, coby przełamać ten wpływ, wie pan. Brzmi to ciut dziwacznie jak dla mnie, ale połowa straży przeczesuje okolicę i szuka goblinów, tylko że nie mogą znaleźć ani jednego ciut bidoka, bo te ciut bestyjki nie będą się przecie ogłaszać, jeśli pan łapie, o co mi chodzi, sir.

- Sierżant Colon?

- Tak właśnie powiedziałem, sir.

Krew znowu napłynęła do twarzy Vimesa, a racjonalne myśli odnalazły drogę w jego mózgu.

- Może podróżować?

Ciut Szalony Artur wzruszył ramionami. „Quirmska Królowa" przed dziobem wydawała się trochę bliższa.

- W takim razie proszę was, funkcjonariuszu, wróćcie zaraz do sekara na quirmskiej komendzie i przekażcie naszym wiadomość, żeby wysłali Freda powozem do Ramkinowego Dworu, i to jak najszybciej, dobrze? I chyba lepiej niech Cudo się z nim zabierze.

A w myślach dodał: Fred Colon! Przecież on w sekrecie nienawidzi wszystkiego, co nie jest ludzkie... Zostawił tę myśl, ale zastanowił się jeszcze: Ciekawe, jakie by lepił urny.

Za jego plecami Ciut Szalony Artur zagwizdał dziwną nutę, a mewa, ciągnąca za kutrem z mglistą nadzieją na darmowy posiłek z rybich wnętrzności, poczuła ciężar na swoim grzbiecie i jakiś głos szepnął jej do ucha:

- Witaj, bestyjko, nazywam się Ciut Szalony Artur.

Vimes lubił stawiać stopy na czymś solidnym, takim jak jego buty, i lubił, kiedy buty zachowywały się podobnie. Żagle „Quirm- skiej Królowej" były już wyraźnie widoczne, a kuter opuścił bezpieczną redę portu i trafił w to, co zwykle określane jest jako umiarkowana fala. Natomiast komendant Vimes, diuk Ankh, sir Samuel Vimes i - nie najmniej ważny - dyżurny klasowy Vimes miał stanowczy zamiar zjeść swoje kanapki z bekonem i nie zwymiotować przed innymi strażnikami.

Udało mu się, choć sam nie wiedział jak. Zdawało mu się też, że w pewnym momencie dostrzegł wysoko w olinowaniu małego goblina szczerzącego do niego zęby. Uznał, że to z powodu kanapek, które mężnie usiłowały się wydostać, gdy on równie mężnieje powstrzymywał.

Stratford na pewno przedostał się na tę nieszczęsną łajbę, był tego pewien. Wściekle pewien. Przede wszystkim chce odebrać zapłatę, a nie chce zawisnąć.

Vimes się zawahał. Jaką pewność można mieć w tej kwestii? Ile byłby skłonny postawić na swoje przeczucie? Tu przecież chodzi o Stratforda. Stratford był sprytny i okrutny, więc człowiek obstawiał wszystkie wyjścia, choć przecież wiedział, że ktoś sprytny potrafi w pośpiechu znaleźć sobie jakieś całkiem nowe.

Tak więc wszyscy ci ludzie, którzy razem tworzyli Sama Vime- sa, krążyli tam i z powrotem po rufie, sterburcie czy stendze, czy jak tam się nazywało to przeklęte śliskie drewno, na którym stał, rozdarty między nadzieją, mdłościami, rozpaczą, zwątpieniem, mdłościami, dreszczem podniecenia w pościgu i mdłościami, gdy tymczasem kuter zdawał się trafiać w najtwardsze części każdej fali, sunąc naprzód w pogoni za „Quirmską Królową" i sprawiedliwością.

Podszedł porucznik i zasalutował dość sprężyście.

- Komendancie, kazał pan ścigać ten statek, ponieważ wiezie gobliny, ale nie znam żadnego prawa zakazującego zabierać gobliny dokądkolwiek.

- Powinno być takie prawo, bo z całą pewnością jest takie przestępstwo, rozumie pan? - Vimes poklepał porucznika po ramieniu. - Gratuluję. Ten pański kuter płynie szybciej od prawa. Ale prawo, poruczniku, na pewno nas dogoni. Gobliny umieją mówić, mają społeczności i słyszałem, jak jeden z nich grał taką muzykę, że nawet posąg z brązu zalałby się łzami. Nowoczesna procedura policyjna jest taka, iż jestem absolutnie pewien, że te gobliny zostały przemocą zabrane z domów, a statek, który ścigamy, zabiera je gdzieś, gdzie nie chcą się znaleźć. Ale jeśli źle się pan z tym czuje, poruczniku, niech

mi pan tylko pomoże się do nich dostać. Sam wszystko załatwię, zgoda? Poza tym uważam, że nasz morderca też może tam być. Ale to pańska decyzja, poruczniku. - Skinął głową w stronę dziobu. - Jesteśmy już tak blisko, że widzę twarze ich załogi. Może więc zdradzi mi pan swoje zamiary?

Trochę mu było żal chłopaka, ale nie za bardzo. Przyjął tę posadę, przyjął awans i pensję, zgadza się? Każdy glina wart swojej pałki przynajmniej obejrzałby „Królową", skoro już dotarli tak daleko. Prawda?

- Rozumiem, komendancie - rzekł porucznik. - Nie jestem pewien, na czym stoję, ale wywołamy „Królową" i poprosimy
0 zgodę na wejście na pokład.

- Nie! Nie poprosimy! Powie im pan, że mają się zatrzymać
1 czekać na kontrolę policji. A jeśli nie przejmuje się pan goblinami, to z całą pewnością ścigam teraz mordercę. Morderstwo to zbrodnia. Nie możemy jej lekceważyć.

Tymczasem „Quirmska Królowa" istotnie miała na pokładzie mordercę, a może i dwóch. I stanęła w dryfie. Nawet ku zaskoczeniu Vimesa podniosła białą flagę.

A jej kapitan czekał na pokładzie, kiedy kuter stanął przy burcie.

- Nie chcemy sprawiać kłopotów, panowie - oznajmił zrezygnowany. - Wiem, że wściekle głupio się zachowaliśmy. Mamy tego człowieka, którego szukacie, i zaraz go przyprowadzimy. Nie jesteśmy przecież piratami. Dzień dobry, poruczniku Perdix, przepraszam, że przez nas musiał się pan napracować.

Vimes zwrócił się do porucznika.

Albo na klifie, to bez znaczenia - przynajmniej w opinii szczura lądowego Vimesa.

- Zna pan kapitana?

- Oczywiście, komendancie. Kapitan Morderca jest powszechnie szanowany na tym wybrzeżu - potwierdził porucznik, gdy jego kuter delikatnie pocałował „Królową". - Przemytnicy, oczywiście, jak wszyscy tutaj. To jakby gra.

-Ale kapitan... Morderca?

Porucznik bez trudu przeskoczył na pokład „Królowej" i podał Vimesowi rękę.

- Mordercy to bardzo znana rodzina w tym regionie. Prawdę mówiąc, komendancie, mam wrażenie, że podoba im się takie nazwisko. Protestowaliby raczej przeciwko Przemytnikom, jak podejrzewam.

- Zaraz go tu przyprowadzimy, poruczniku - zapewnił kapitan.
- I nie jest zachwycony.

Vimes zmierzył go wzrokiem.

- Jestem komendant Vimes, Straż Miejska Ankh-Morpork - oświadczył. - W chwili obecnej prowadzę śledztwo w sprawie co najmniej dwóch morderstw.

Kapitan Morderca zamknął oczy i zasłonił dłonią usta, nim odezwał się głosem pełnym rozpaczliwej nadziei:

-Ale chyba nie... nie ten komendant Vimes?

- Kapitanie... Morderco, proszę mi przyprowadzić człowieka, którego ścigam, a przekona się pan, że jestem w przyjaznym nastroju. Rozumie pan, co mam na myśli?

Spod pokładu rozległy się krzyki i tupania oraz kilka odgłosów sugerujących, że ktoś został bardzo mocno kopnięty. W końcu jakiś mężczyzna z workiem na głowie został na wpół wypchnięty, na wpół wywleczony na pokład.

- Szczerze mówiąc, chętnie zobaczę, jak schodzi z mojego statku
- stwierdził kapitan i odwrócił się.

Vimes sprawdził, że marynarze mocno trzymają więźnia, i dopiero wtedy ściągnął mu worek z głowy. Przez chwilę patrzył prosto w przekrwione oczy, po czym odezwał się bardzo spokojnie:

- Poruczniku, zechce pan zająć „Quirmską Królową" oraz aresztować kapitana i pierwszego oficera pod zarzutem porwania i możliwego uprowadzenia pewnej liczby osób, w szczególności pana Jethro Jeffersona, a także goblinów w liczbie pięćdziesięciu lub więcej. Mogą też

pojawić się inne zarzuty.Nie można porwać goblinów! - zaprotestował kapitan Morderca. - Gobliny to ładunek!
Na razie Vimes pominął to milczeniem. Kapitan Morderca zostanie zorientowany w świecie komendanta Vimesa, kiedy komendant Vimes będzie miał na to ochotę.
Sugeruję też, by zamknąć kapitana i pierwszego oficera w karcerze,czy jak to się tutaj nazywa, bo kiedy obecnemu tu panu Jeffersonowi rozwiążemy ręce, pewnie zechce przyłożyć komuś tak, by tamten zobaczył wszystkie gwiazdy. Jestem pewien, że sprawę uda się wyjaśnić, ale ktoś ucierpi i jest kwestią wyboru, kto to będzie.
Zastanowił się.
Nie - uznał. - Najpierw porozmawiam z kapitanem w kapitańskiej kajucie. Sztokfisz, pójdziesz ze mną i będziesz robił notatki. Mnóstwo notatek. Miło znów pana widzieć, panie Jefferson. Poruczniku, o ile mi wiadomo, pan Jefferson nie popełnił żadnego wykroczenia, jedynie ma wybuchowy charakter. Ale choć jest człowiekiem, z którego odnalezienia bardzo się cieszę, nie jest tym człowiekiem, którego obecnie poszukuję.

* * *

Naprawdę dobrze się złożyło, jak uznał pełniący obowiązki kapitana Haddock, że miał w notesie jeszcze sporo wolnego miejsca...
Pozwoli pan, że podsumuję, kapitanie Morderco - rzekł po pewnym czasie Vimes, z roztargnieniem obracając się na kapitańskim fotelu; fotel skrzypiał. - Pewni ludzie, nieznani panu, których jednak postanowił pan traktować z szacunkiem, ponieważ znali właściwe hasło, to znaczy hasło, jakiego używa pan w kontaktach z przemytnikami, z którymi osiągnął pan coś, co można nazwać porozumieniem, doprowadzili do pana związanego i zakneblowanego człowieka i polecili zabrać rzeczonego człowieka do Howonda- landu, żeby, cytuję, „żeby sobie tam trochę posiedział"; zeznał pan również, że ci ludzie zapewnili, iż wszystko jest zgodne z prawem.
Obrotowy fotel skrzypnął kilka razy, kiedy Vimes zakręcił się dla większego efektu dramatycznego.
Kapitanie Morderco, jestem przedstawicielem prawa w Ankh- -Morpork. Być może jest pan świadom, że pewna liczba wpływowych
polityków na całym świecie wierzy moim ocenom, a musi pan wiedzieć, kapitanie Morderco, że nie znam takiego prawa, które uznawałoby porwania za legalne. Zwrócę się jednak do mojego kolegi i eksperta prawa Quirmu, czy zna jakiś lokalny dekret, który pozwala kogoś, kto nie popełnił żadnego przestępstwa, legalnie związać i zawlec na statek, by wysłać w jakieś podejrzane miejsce wbrew jego woli.

Obrotowy fotel dostał szansę na tylko jedno skrzypnięcie, nim porucznik Perdix odezwał się groźnym tonem:

- Komendancie Vimes, nie znam żadnej takiej zmiany w prawie, a zatem, kapitanie Morderco... - Porucznik położył dłoń na ramieniu kapitana „Królowej". - Aresztuję pana pod zarzutem porwania, pomocy i nakłaniania do porwania, spowodowania uszkodzeń ciała, potencjalnie ciężkich, oraz pod innymi zarzutami, jakie mogą być postawione w rezultacie dalszego śledztwa. Zaraz po powrocie do portu „Quirmska Królowa" będzie zatrzymana i... może pan być pewien... przeszukana po same nadburcia.

Vimes odwrócił się w fotelu tak, by jego twarz była ukryta przed załamanym kapitanem, za to doskonale widoczna dla porucznika. Mrugnął do niego i uzyskał w odpowiedzi leciutkie skinienie głowy.

Znowu odwrócił fotel.

- Pozbawienie niewinnego człowieka wolności, choćby na tydzień, kapitanie, to bardzo poważne przestępstwo. Jednakże, jak poinformował mnie porucznik, na całym wybrzeżu jest pan powszechnie szanowany i uważany za wzór obywatela. Osobiście nie podoba mi się taki świat, w którym zwykli ludzie, powodowani strachem czy nawet źle ulokowanym szacunkiem, lądują w więzieniu, kiedy wielcy podżegacze, choć nie sprawcy przestępstw, odchodzą całkiem wolni. Sądzę, że panu również taki świat się nie podoba, co?

Kapitan Morderca wpatrywał się w swoje marynarskie buty, jakby się spodziewał, że nagle eksplodują albo może zaczną śpiewać.

- Ma pan rację, komendancie - wymamrotał.

- Dziękuję, kapitanie. Jest pan człowiekiem światowym. W tej chwili potrzebuje pan przyjaciela, a ja potrzebuję nazwisk. Potrzebuję nazwisk ludzi, którzy wpakowali pana w to bagno. Otóż pan Jefferson, kowal, zapewnił mnie, że nie może uczciwie stwierdzić, by szczególnie źle traktowano go w czasie, kiedy przymusowo korzystał z pańskiej nielegalnej gościnności. Jak rozumiem, był przyzwoicie karmiony, dostawał piwo i dzienną kropelkę rumu, a nawet dostarczono mu kilka starych numerów magazynu „Panienki, Ploteczki i Podwiązki", żeby miał się czym zająć. On też chciałby poznać te nazwiska, kapitanie. I jeśli je uzyskamy, wszystkie spisane oficjalnie i pod przysięgą, może da się przekonać, by zapomnieć o swoim uwięzieniu w zamian za pewną kwotę do negocjacji oraz szansę starcia wręcz, jeden na jednego, wszystkie chwyty dozwolone, z pańskim pierwszym oficerem, którego opisał jako „worek gówna", a nie będę udawał, że rozumiem to marynarskie określenie. Ów człowiek jakoby dla przyjemności bił pana Jeffersona, kiedy ten protestował przeciwko swemu uwięzieniu, a więc pan Jefferson chciałby wyrównać rachunki.

Vimes wstał i rozprostował ramiona, jakby chciał się przeciągnąć.

- Oczywiście, kapitanie, to bardzo nieregulaminowe postępowanie, zwłaszcza że mamy tu naszego porucznika, ambitnego i kryształowo uczciwego. Podejrzewam jednak, że jeśli doprowadzi „Quirmską Królową" do portu, a pana postawi przed władzami z zarzutem przemytu, może uznać, że jego honor nie doznał uszczerbku. Dla pana będzie to zapewne cios, ale nawet w połowie nie tak bolesny jak postawienie przed sądem jako wspólnika porwania. Zgodzi się pan? - spytał uprzejmie. - Porucznik zyska pióro w swym *chapeau* i może rzuci jakiś *bon mot* w pańskiej sprawie, tak podejrzewam, ponieważ pan również jest zasadniczo uczciwym, a przede wszystkim współpracującym obywatelem.

Vimes mrugnął do porucznika Perdixa.

- Uczę tego młodego człowieka złych obyczajów, kapitanie, sugeruję więc, żeby traktował go pan jak przyjaciela, zwłaszcza gdyby kiedyś w przyszłości zadał panu kilka niewinnych pytań na temat transportu morskiego, towarów i podobnych kwestii. To już zależy od pana, kapitanie Morderco. Sądzę, że zna pan te nazwiska, przynajmniej ludzi, z którymi się pan kontaktuje, a także ich pracodawców. Chciałby mi pan coś powiedzieć?

Buty przesunęły się trochę.

- Proszę mnie posłuchać, komendancie. Nie chcę stać się wrogiem potężnych ludzi, jeśli pan rozumie, co mam na myśli.

Vimes pokiwał głową i schylił się tak, by spojrzeć rozmówcy w oczy.

- Oczywiście, doskonale rozumiem, kapitanie - powiedział cicho. - I właśnie dlatego powinien mi pan podać nazwiska. Nazwiska, kapitanie. Nazwiska. Ponieważ, kapitanie Morderco, rozumiem, że nie chce pan rozgniewać wpływowych ludzi, tylko że w tej chwili mam niejaką ochotę, by zaaresztować i zniszczyć pański statek, ponieważ handlował pan żywymi, oddychającymi, inteligentnymi i kreatywnymi, choć może trochę brudnymi świadomymi istotami. Uczciwie mówiąc, miałbym pewnie kłopoty, gdybym autoryzował takie działanie, ale kto wie? Świat może się zmienić całkiem szybko, a dla pana rzeczywiście się zmienia. - Klepnął kapitana w ramię. - Kapitanie Morderco, tu i teraz chciałbym, żeby uważał mnie pan za przyjaciela.

I Vimes słuchał - czerwone bile toczyły się po suknie, odbijały od kolorowych, a prawo było łamane hurtowo w celu przestrzegania prawa. Jak można to wytłumaczyć laikowi? Jak można to wytłumaczyć prawnikowi? Jak można to wytłumaczyć samemu sobie? Ale wszystko działo się szybko, więc człowiek mógł tylko trzymać się na wierzchu albo zginąć. Dlatego starał się jak mógł i tańczył do takiej muzyki, jaką ktokolwiek zechciał zagrać.

* * *

„Quirmska Królowa" weszła do portu owego dnia, dwa i pół miesiąca wcześniej, niż oczekiwano, ku zaniepokojeniu, przerażeniu, a niekiedy radości żon marynarzy. Kapitan portu zanotował ten fakt; zaintrygowało go również, że większa część załogi zaraz po zejściu z pokładu powędrowała wzdłuż szeregu zacumowanych jednostek do miejsca, gdzie wciągano już na pochylnię „Piękną Pipkę". Wokół statku - niczym kwoka pilnująca swego jedynego, ale gigantycznego kurczęcia - spacerował kapitan Sillitoe z ręką w gipsie. Rozpromienił się na widok Vimesa.

- Witam, sir. Muszę to panu przyznać, na mego halibuta, naprawdę muszę! Wykonał pan męską robotę, doprowadzając nas bezpiecznie do portu, sir! Nie zapomnę panu tego, tak samo jak moja żona i córka!

Vimes z nadzieją przyjrzał się „Pipce".

- Wygląda mi na solidnie poobijaną, kapitanie... Chodzi mi o statek, oczywiście, nie pańską żonę.

Zdawało się jednak, że kapitan postanowił nie tracić optymizmu.

- Straciliśmy dużą część przekładni kół łopatkowych, lecz i tak już dawno należało je wymienić. Ale, drogi komendancie, dopłynęliśmy na pękniętej cholerze i wszystkie dusze są bezpieczne. Co więcej... Do siedmiu piekieł, co one robią?

Vimes słyszał już ostre dźwięki piszczałki, ale musiał zniżyć wzrok, by zobaczyć gobliny w dużej liczbie maszerujące dziarsko po plaży. Na czele szedł Smrodek, w tej chwili wyglądający na jaskrawo-niebieskiego; grał na wyschniętej i pustej nodze kraba. Kiedy mijał Vimesa, przerwał na chwilę.

- Nie nadmorska skała dla goblinów! - powiedział. - Hurra! Znowu do domu, szybko, jak tylko mogą! A ci u góry, co patrzą, oni klaszczą! A taki, co chce zatrzymać, o tak, zatrzymać funkcjonariusza Smrodka i jego małych kolegów, przekona się, że Smrodek będzie jego największym koszmarem.

Vimes parsknął śmiechem.

- Co? O czym ty mówisz? Goblin z odznaką?

Musiał iść dość szybko, kiedy to mówił, gdyż Smrodek - co zrozumiałe - bardzo się starał, żeby wyprowadzić stąd gobliny jak najprędzej.

- Smrodek nie potrzebuje żadnych odznak, kolego poo-lis-jant! Smrodek najgorszy koszmar sam z siebie! Pamięta małego chłopca? Mały chłopiec otwiera książkę? I widzi złego goblina, a ja widzę paskudnego małego chłopca! Mamy szczęście, mały chłopcu, że obaj mieliśmy rację!

Vimes obserwował, jak odchodzą szybko, jak docierają do krzaków na granicy doków i znikają. Przez chwilę myślał, że nawet gdyby pognał za nimi i szukał śladów goblinów, nie znalazłby niczego.

Był zdumiony. Nie miało to większego znaczenia, w końcu zdumienie często jest losem gliniarza. Jego praca polegała na tym, żeby jakoś zrozumieć świat, ale zdarzały się chwile, kiedy byłby wdzięczny, gdyby świat chciał spotkać się z nim chociaż w połowie drogi.

- Dobrze się pan czuje, komendancie?

Vimes odwrócił się i spojrzał w poważną twarz porucznika Per- dixa.

- Prawdę mówiąc, nie jestem pewien, kiedy ostatni raz porządnie się wyspałem, ale przynajmniej potrafię utrzymać pozycję stojącą. Mam też wszystkie nazwiska i rysopisy.

Trzy nazwiska, w tym jedno... och, cóż to za nazwisko! To znaczy, jeśli zaufać słowom kogoś, komu odpowiada, że nazywają go kapitanem Mordercą. No ale ten człowiek miał już pięćdziesiątkę, a to niezbyt odpowiedni wiek, żeby rzucić wszystko, uciec i się ukrywać. Nie, Morderca nie sprawi kłopotów. Podobnie jak Jefferson, choć to zapalczywy idiota. To, co Jefferson podejrzewał, kapitan Morderca wiedział. A Vimes nie próbował nawet rozmawiać z pierwszym oficerem „Królowej", typem rzeczywiście wyglądającym bardzo nieprzyjemnie, z podbródkiem jak but rzeźnika. Zbliżał się właśnie rozkołysanym krokiem, a za nim dreptał pełen obaw kapitan Morderca.

Vimes podszedł do kowala.

- No więc tak, drogi panie: Morderca zapłaci, ile trzeba, żeby mógł zatrzymać statek i żeby porucznik był zadowolony. Zapiszmy to na konto doświadczenia, co?

- Został jeszcze ten przeklęty pierwszy oficer - odparł kowal. - Reszta załogi była całkiem uprzejma, ale tamten to wredny drań, co to lubi się znęcać.

- No cóż, właśnie jest tutaj, podobnie jak pan. Jeden na jednego, a ja zostanę, żeby dopilnować uczciwej walki. Mamy dzisiaj ciekawy dzień. Staramy się wypróbować inny rodzaj prawa: takiego, które działa szybko i nie przysparza zajęć prawnikom. Dalej więc. On wie, czego pan chce, i pan również, panie Jefferson.

Kolejni marynarze pojawiali się w pobliżu. Vimes przyglądał się ich twarzom - wszystkie prezentowały przeczucie człowieka pracy, że może się spodziewać solidnego pokazu zdrowej przemocy. Pierwszy oficer wyglądał na takiego, który często wykorzystuje swoje pięści i swój wybuchowy temperament. Zatem, uznał Vimes, wielu spośród załogi chętnie zobaczy, jak zostaje mu udzielona niewielka lekcja - a nawet całkiem solidna lekcja.

Gestem wezwał do siebie obu mężczyzn.

- Panowie, tu chodzi o urazę. Obaj znacie stawkę. Jeśli zobaczę nóż, niech bogowie mają w opiece tego, który go wyjmie. Nie będę tolerował morderców, oczywiście nie mówię o panu, kapitanie. I przed wami wszystkimi daję słowo, że przerwę walkę, kiedy uznam, że jeden z uczestników ma już wyraźnie dosyć. A teraz, panowie, w wasze ręce...

Odstąpił szybko.

Żaden z przeciwników się nie poruszył, tylko Jefferson spytał:

- Znasz zasady markiza Fantailera, opracowane dla właściwego prowadzenia starć na pięści?

Pierwszy oficer uśmiechnął się groźnie.

- Pewno.

Vimes nie widział, to znaczy - nie zdążył zobaczyć własnymi oczami, co się stało, zresztą pewnie nikt nie byłby w stanie. Jednak zgodzono się później, że Jefferson zakręcił się i jednym ciosem powalił marynarza na ziemię. Odgłos uderzającego o piasek ciężkiego ciała był jedynym dźwiękiem zakłócającym ciszę.

Po sekundzie Jethro, który masował sobie dłoń, by przywrócić obieg krwi, spojrzał na leżącego olbrzyma.

- A ja nie - powiedział. Obejrzał się na Vimesa. - Wie pan? Ten typ umyślnie sikał na gobliny w ładowni. Sukinsyn.

Vimes napiął mięśnie, na wypadek gdyby powalony oficer miał kolegów pozbawionych poczucia humoru, na szczęście jednak ze wszystkich stron rozległy się śmiechy. W końcu potężny mężczyzna padł na ziemię bardzo ciężko, każdy to widział, czysta sprawa.

- Brawo, panie Jefferson, uczciwa walka, nic nie można zarzucić. Może ci dżentelmeni zechcą zanieść pierwszego oficera na statek, żeby trochę poleżał.

Vimes wypowiedział te słowa tonem rozkazu, a marynarze natychmiast przystąpili do wykonywania, więc dodał pospiesznie:

-Jeśli nie ma pan nic przeciw temu, kapitanie Morderco. Nie? To dobrze. Teraz myślę, że pan i ja pójdziemy sobie, absolutnie przyjacielsko, razem z tym oto porucznikiem, na komendę quirmskiej straży, gdzie pozostała jeszcze drobna sprawa podpisania pańskich zeznań.

- Przypuszczam, że zechce pan wyruszyć stąd w niejakim pośpiechu, komendancie? - zapytał porucznik, kiedy szli powoli wzdłuż rue de Przebudzenie.

- Właściwie tak - zgodził się Vimes. - W zasadzie jestem na wakacjach. Zabiorę tylko Feeneya z lecznicy i spróbuję poszukać jakiegoś sposobu, żeby wrócić do Dworu.

Porucznik zdziwił się wyraźnie.

- I nie chce pan jak najszybciej ruszyć tropem mordercy, sir?

- Jego? Na pewno wkrótce się spotkamy, nie mam żadnych wątpliwości. Ale widzi pan, nawet on nie jest tak naprawdę zakończeniem śledztwa. Gracie tutaj w bilard?

- Cóż, nigdy się nie nauczyłem, ale znam zasady, jeśli o to pan pyta.

- Wie pan zatem, że ostatecznym celem gry jest strącenie czarnej, choć przedtem trzeba na stole trafić we wszystkie pozostałe kolory, a te czerwone trzeba uderzać i uderzać, niekiedy wykorzystując je do realizacji swojej strategii. No i teraz wiem, gdzie mogę znaleźć tę czarną, i czarna nie może uciec. A reszta? Kapitan uprzejmie podał nam nazwiska i rysopisy. Jeśli chcecie sami ich aresztować za pomoc i podżeganie do handlu istotami myślącymi, zostawię ten honor siłom policyjnym Quirmu.

Uśmiechnął się.

- Co do mnie, kiedy już odbiorę te protokoły, zamierzam wracać prosto do żony i syna, których przez ostatnie kilka dni haniebnie, nie, raczej rozpaczliwie zaniedbywałem. I wie pan co? Jak tylko tam dotrę, zamierzam wrócić z nimi tutaj! Zona chętnie odetchnie morskim powietrzem, a Młody Sam będzie zachwycony słoniami, naprawdę zachwycony!

Porucznik uśmiechnął się szeroko.

- Czy mogę zatem zaproponować, aby po kolacji wsiadł pan na nocny statek? To „Czarnooka Susan", szybka jak jej imienniczka, zgodnie z popularną legendą. Odpływa w górę rzeki za... niech sprawdzę... za trzy kwadranse. Naprawdę jest szybka. Niewiele bierze ładunku, więc ma wysokie przełożenie na kołach. Będzie pan w domu rankiem. Co pan na to? Zdąży pan się przygotować; jeśli podoba się panu ten pomysł, wyślę kogoś do kapitana „Susan" i poproszę, żeby bez pana nie odpływał.

-Jaką mamy prognozę pogody? - spytał Vimes.

- Czyste niebo, komendancie, a Zdradziecka Starucha gładka jak staw przy młynie. Do końca sezonu jest oczyszczona ze wszystkich głazów i innych przeszkód. Od teraz żegluga jest łatwa i gładka.

- Dobry wieczór, wasza łaskawość!

Głos wydawał się znajomy. Vimes zobaczył idącego bulwarem kogoś, kto na pierwszy rzut oka wyglądał jak mężczyzna ubrany w ogromną szarfę; dopiero dalsza dokładna obserwacja zdradziła, że jest to pustelnik z Dworu. Niezwykle czysta broda przylegała mu do ciała, podobnie jak dwie młode damy chichoczącej proweniencji.

Vimes przyjrzał mu się ze zdziwieniem.

- Stump? Co ty tutaj robisz?Spowodowało to kolejne chichoty.

-Jestem na wakacjach, wasza łaskawość! Tak, każdy powinien czasem wyjechać na wakacje!

Vimes poklepał pustelnika po ramieniu.

- Niech pan się dobrze bawi, panie Stump. I niech pan nie zapomina o pożywnych ziołach.

- Chyba będę ich potrzebował, wasza łaskawość...

* * *

Mówcie, co chcecie, myślał Vimes, ale wyżywienie w bufecie komendy straży w Quirmie jest doskonałe, nawet jeśli stosują ociu- pinę za dużo *avec; avec* do wszystkiego!

Vimes, dobrze nakarmiony i umyty, z pewnymi bardzo ważnymi dokumentami wsuniętymi pod świeżo wypraną i nienagannie wyprasowaną koszulę, szedł teraz ze starszym funkcjonariuszem Upshotem po nabrzeżu w stronę „Czarnookiej Susan". Porucznik i dwóch strażników odprowadziło go do kajuty, gdzie krasnolud z obsługi zaprezentował czystość łóżka i świeżość pościeli.

- Jesteśmy zaszczyceni, że będzie pan tutaj spał, sir. Przekona się pan, że rejs na „Susan" jest spokojny, choć zdarza się jej czasem trochę rzucać, całkiem jak imienniczce, ale nie ma co wspominać. Oczywiście, w kajucie obok przygotowaliśmy posłanie dla funkcjonariusza Upshota. A teraz zapewne chcielibyście, panowie, żeby „Susan" już odbiła?

Chcieli. „Susan" miała dwa woły, tak jak „Piękna Pipka", ale bez dużego ładunku i wioząc tylko jakichś dziesięciu pasażerów, sunęła pod prąd Zdradzieckiej Staruchy niczym ekspres. Koła łopatkowe, rzeczywiście na wysoko ustawionej przekładni, zostawiały za rufą długą linię spienionej wody.

- Co teraz będzie, komendancie? - zapytał Feeney, opierając się o reling. Obaj patrzyli, jak Quirm znika wolno za nimi. - To znaczy, co teraz zrobimy?

Vimes z wielką przyjemnością palił cygaro - wydawało się jakoś, że to najwłaściwszy na to czas i miejsce. Tabaka była niezła, owszem, ale dobre cygaro miało doświadczenie, mądrość i osobowość. Byłby nieszczęśliwy, gdyby to tutaj musiało zniknąć.

- Niczego nie muszę teraz robić. - Obejrzał się w stronę zachodzącego słońca.

Ostatnio zachodów słońca też raczej nie widuję, myślał. Głównie oglądam noce. I wcale nie muszę ścigać Stratforda. Znam go, jak znam siebie... Urwał tę myśl, przerażony implikacjami.

Widziałeś tych dwóch quirmskich strażników, którzy weszli na pokład? To był mój pomysł. Mają oczywiście dopilnować, żeby nic nam nie zakłóciło podróży. Załoga też jest uprzedzona, że morderca może spróbować dostać się na statek. Zdaniem - porucznika kapitan Harbinger ręczy za wszystkich swoich marynarzy, gdyż pracują dla niego lojalnie już od wielu lat. Osobiście dopilnuję, żeby zawsze dobrze zamknąć drzwi do swojej kajuty, i tobie sugeruję to samo, Feeney.

Zastanowił się.

- W centrum tej sprawy tkwi chciwość, chciwość i piekielne trucizny - podjął. - Obie zabijają, ale chciwość jest gorsza, o wiele gorsza. Wiesz, kiedy robię wykład dla młodych funkcjonariuszy, takich jak ty, uczę ich, że w sprawach pewnego typu mają podążać za pieniędzmi, że powinni pytać: „Kto na tym straci? Kto może na tym zarobić?". - Vimes z żalem cisnął niedopałek cygara do wody. -Ale czasami lepiej iść za arogancją... Trzeba szukać takich, którzy nie mogą uwierzyć, że prawo ich kiedyś dopadnie, za to są przekonani, że działają na podstawie swoich świętych przywilejów, których reszta z nas nie ma. Zadaniem przedstawiciela prawa jest wykazać im, że się mylą.

Słońce zachodziło powoli.

- Komendancie - rzekł z podziwem Feeney - ma pan w sobie coś takiego, co gdyby tylko dało się okiełznać, mogłoby samo obracać tymi kołami. Pamiętam też, jak gdzieś czytałem, że aresztowałby pan samych bogów, bo źle postępują.

Vimes pokręcił głową.

-Jestem pewien, że nigdy nic takiego nie mówiłem! Ale prawo jest porządkiem, a porządek jest prawem, one muszą być najważniejsze. Świat toczy się dzięki prawom, a bez porządku, mój chłopcze, jedna sekunda nie nastąpiłaby po drugiej.

Kręciło mu się w głowie. Brak snu potrafi zatruć umysł, pchnąć go w nieoczekiwanym kierunku.

- Odprowadzę pana do kajuty, komendancie. - Feeney położył dłoń na ramieniu Vimesa. - Ma pan za sobą bardzo długi dzień.

Vimes nie pamiętał, jak się rozebrał i położył do łóżka, a raczej na koi, ale najwyraźniej to zrobił, a sądząc po niewielkich drobinkach piany w malutkiej umywalce, umył też zęby. Spał snem umarłych, z wyjątkiem tego fragmentu, gdzie odpadają różne kawałki i człowiek rozsypuje się w pył, a wszystko, co zapamiętał, to chłodna ciemność oraz - unosząca się teraz ku powierzchni - pewność... że ktoś zostawił mu w ciemności wiadomość czekającą na powrót myśli. *On cię ściga, dyżurny klasowy Vimesie. Wiesz o tym, bo rozpoznałeś to, co zobaczyłeś w jego oczach. Znasz takich jak on-pragną umrzeć już w dniu, kiedy się urodzili, ale coś się w nich przekręca i zamiast*

Delikatny odgłos dzwonienia porcelanowej Filiżanki o porcelanowy spodeczek odpędza wszystkie demony, co jest faktem mało znanym.

tego zabijają. Znajdzie cię, i ja także. Mam nadzieję, że wszyscy troje spotkamy się w ciemności.

Wiadomość odpływała wolno, a Vimes wpatrywał się w ścianę naprzeciwko, w której, po lekkim stuknięciu, drzwi otworzyły się i odsłoniły stewarda niosącego to, co gwarantuje odstraszenie wszelkich koszmarów*, to znaczy filiżankę herbaty.

- Nie musi pan wstawać, komendancie - zapewnił uprzejmie steward. Wstawił filiżankę do niewielkiego zagłębienia, które jakaś przewidująca osoba zaprojektowała w malutkim stoliku, żeby wspomniana filiżanka nie ślizgała się dookoła. - Kapitan chciałby poinformować pana, że przybijamy za dwadzieścia minut. Oczywiście, będzie nam miło, jeśli zechce pan pozostać na pokładzie i skończyć śniadanie, gdy my tymczasem oczyścimy spływniki, weźmiemy świeże woły, a także, ma się rozumieć, przyjmiemy pocztę, żywność i kilku pasażerów. W mesie serwujemy dzisiaj... - W tym miejscu steward entuzjastycznie wyrecytował menu o proporcjach godnych żarłoka, kończąc tryumfalnym: - ...i kanapki z bekonem!

Vimes odkaszlnął.

- Pewnie nie macie musli, co? - spytał ponuro. W końcu od Sybil dzieliło go tylko dwadzieścia minut.

Steward zdumiał się wyraźnie.

- Nie, no oczywiście, mamy wszystkie składniki, ale nie wydał mi się pan miłośnikiem króliczej karmy...

Vimes znów pomyślał o Sybil.

- No cóż, dzisiaj chyba marszczę swój biały nosek...

Kajuta, choć luksusowa, nie była jednak przestronna. Vimes zdołał się jakoś ogolić brzytwą udostępnioną przez stewarda „z najlepszymi życzeniami od kapitana, komendancie", używając w tym celu przemyślnie umieszczonej umywalki, mydła, ściereczki i malutkiego ręcznika, które pomogły w wykonaniu ablucji nazywanych przez jego mamę „myciem tych części, które widać". Starał się jednak o nie zadbać, świadomy, że ten niewielki drewniany świat rozwieje się wkrótce, a on znajdzie się znowu w świecie Sama Vimesa, męża i ojca. Co pewien czas, szykując się na spotkanie z tym światem, zerkał na siebie w lusterku do golenia i powtarzał:

- Fred Colon!

Luksusowa kajuta okazała się doskonała, żeby w niej spać, choć tak mała, że nadawałaby się chyba tylko dla wymagającego trupa. W końcu jednak, kiedy każda część Vimesa, do której zdołał dosięgnąć,

została przyzwoicie, choć niezbyt metodycznie wyszorowana, a steward przyniósł mu godną pustelnika porcję owoców, orzechów i ziaren, rozejrzał się jeszcze, by sprawdzić, czy czegoś nie zapomniał. I zobaczył twarz w lusterku do golenia. Była to jego własna twarz, choć należy tu zaznaczyć, że fenomen ten w lusterkach do golenia nie jest aż tak niezwykły. I ten Vimes z lusterka powiedział:

- Wiesz, że on nie tylko chce cię zabić. To nie wystarczy takiemu sukinsynowi. On chce cię zniszczyć i zrobi wszystko, żeby to osiągnąć.

- Wiem - zgodził się Vimes. I dodał: - Nie jesteś demonem, co?

- Absolutnie nie - zapewniło odbicie. - Chociaż mogłem powstać jako połączenie twojej podświadomości oraz krótkotrwałego przypadku zatrucia musli, wywołanego fermentującymi rodzynkami. Uważaj, gdzie stawiasz kroki, komendancie. Pilnuj się ze wszystkich stron!

I twarz zniknęła.

Vimes odsunął się od lusterka i odwrócił powoli. To przecież musiała być moja twarz, powiedział sobie, bo jeśli nie, to musiałoby być odwrotnie, prawda?Zszedł po trapie do rzeczywistości i - jak się okazało - kaprala Nobby'ego Nobbsa, poza którym rzeczywistość nie staje się już dużo bardziej rzeczywista.

- Cieszę się, że pana widzę, panie Vimes! Słowo daję, zdrowo pan wygląda, sir! Wakacje dobrze panu robią! Ma pan jakieś bagaże?

Ostatnie pytanie padło w absolutnej pewności, że Vimes nie ma żadnego bagażu, ale dobre chęci zawsze warte są demonstracji.

- Wszystko w porządku? - zapytał Vimes, ignorując tę próbę.

Nobby podrapał się po nosie, z którego odpadł jakiś kawałek.

0 tak, pomyślał Vimes. Rzeczywiście wróciłem.

- No, te sprawy, które się zwykle dzieją, dzieją się dalej, ale mamy je pod kontrolą. Mogę zwrócić pańską uwagę na tamten wzgórek? Bardzo uważają, żeby nie zaszkodzić drzewom, a lady Sybil obiecała powolną śmierć każdemu, kto naruszy siedziby gobli- nów.

Zdziwiony Vimes rozejrzał się i zobaczył Szubieniczne Wzgórze.

- Na wszystkie demony! To wieża sekarowa, przeklęta wieża sekarowa! Sybil dostanie bibliotekarza!

- Prawdę mówiąc, panie Vimes, była cała za tym, kiedy już przeczytała list od kapitana Marchewy. On twierdzi, że to nie jest odpowiednia pora, by nie mieć z panem kontaktu. Wie pan dobrze, sir, jak bardzo jest przekonujący, dlatego przekonał sekarowców, żeby przyjechali tu szybciutko ze swoją tymczasową wieżą. Pracowali całą noc i podłączyli ją do Wielkiego Pnia, słodko i gładko!

Tym razem Nobby podłubał w nosie, przez moment przyglądał się zawartości, szukając czegoś ciekawego albo wartościowego, potem pstryknął ją w bok i mówił dalej:

- Tylko jeden problem, sir. „Puls Ankh-Morpork" chce zrobić z panem wywiad, żeby im pan wytłumaczył, jak pan został bohaterem i uratował czyjąś piękną pipkę...

Przerwali na chwilę i czekali, aż Feeney przestanie się krztusić ze śmiechu i odzyska oddech. Potem odezwał się Vimes:

- Kapralu Nobbs, to jest starszy funkcjonariusz Upshot. Nazywam go starszym funkcjonariuszem, bo jest jedynym przedstawicielem prawa w tej okolicy, to znaczy aż do teraz. To jego teren

1uszanujecie to, jasne? Kto jeszcze przyjechał z wami z Wędzarni?

- Sierżant Detrytus, panie Vimes, ale został we Dworze, gdzie z delikatną dyskrecją pilnuje lady Sybil i Młodego Sama.

Jakaś część Vimesa nieświadomie wstrzymywała oddech. Detrytus i Willikins? Razem mogą powstrzymać armię.

Otrząsnął się.

- Ale nie Fred Colon?

- Nie, panie Vimes, jak rozumiem, byliśmy już w drodze, kiedy przyszedł drugi sekar, ale myślę, że dotrze tutaj już niedługo.

- Dobrze więc, panowie. Teraz idę do domu - oznajmił Vimes. - Jeszcze jedno, panie Upshot. Kiedy płynie następny statek do Quirmu?

- Ma pan szczęście, sir - rozpromienił się Feeney. - „Roberta E. Biscuit" odbija jutro rano! Idealna jednostka dla tego, o co zapewne panu chodzi. Wielka i powolna, ale nie będzie to panu przeszkadzać, bo

mają tam kasyno i różne rozrywki. Mnóstwo turystów na pokładzie, lecz nie musi się pan martwić, sir, pańskie nazwisko jest już znane na rzece. Może mi pan wierzyć. Wystarczy jedno słowo, a kapitan „Biscuit" dopilnuje, żeby znalazł się dla pana królewski, przepraszam, komendancki apartament. Co pan na to?

Vimes już otwierał usta, by spytać, czy to bardzo kosztowne, ale zamknął je znowu, zakłopotany, kiedy uświadomił sobie, że za fortunę Ramkinów mógłby pewnie kupić wszystkie statki ze Zdradzieckiej Staruchy.

Feeney, jak dobry glina, którym się stawał, spostrzegł ten moment wahania.

- Na rzece nie potrzebuje pan pieniędzy, sir. Naprawdę. Wybawca „Pipki" nie będzie musiał płacić za swoje cygara ani za apartament nigdzie, na całej długości Zdradzieckiej Staruchy.

Nobby Nobbs stał niemal zgięty wpół ze śmiechu.

- Pipka!... - wykrztusił.

Vimes westchnął.

- Nobby, ona się nazywała Philippa, zdrobniale Pipka. Rozumiesz? - Na niektórych ludzi to nie działało. Nawet Vimes z trudem potrafił sam siebie przekonać. - Czekaj tu, Nobby, i jak tylko dojedzie dyliżans z Fredem, odpowiadasz za doprowadzenie go do jaskini goblinów na wzgórzu. Jasne?

- Tak, panie Yimes - odparł Nobby, wpatrując się w swoje buty.

- I jeśli zobaczysz goblina, który cuchnie jak latryna i jarzy się lekko na niebiesko, to on też jest gliną i naszym kolegą, więc o tym nie zapominaj.

* * *

Sybil była już w polowie drogi, kiedy Vimes wkroczył na aleję z drugiego końca. Młody Sam biegł przodem. Dopadł ojca, objął jego nogi.

- Tato! Wiem, jak się doi kozę, tato! Trzeba ją ciągnąć za cycki, tato, a one się tak wyginają!

Twarz Vimesowi nawet nie drgnęła, a chłopiec opowiadał dalej:

- I jeszcze się uczę robić ser! I mam już kupkę borsuka i trochę kupek łasic!

- Słowo daję, nie próżnowałeś. A od kogo znasz słowo „cycki"?

Młody Sam się rozpromienił.

- Od Willy'ego, co pasie krowy, tato!

Vimes pokiwał głową.

- Będziemy musieli później o tym pogadać, Sam, ale myślę, że najpierw zamienię słówko z Willym, co pasie krowy. - Podniósł syna na ręce, nie zważając na nagłe kłucie w krzyżu. - Mam nadzieję, że mycie rąk odegrało pewną rolę w tych wszystkich przygodach?

- Pilnuję tego - uspokoiła go Sybil, która dogoniła syna. - Słowo daję, Sam, wystarczy, że na moment spuszczę cię z oka, a znowu robisz z siebie bohatera! Poważnie, cała rzeka o tym opowiada! Walki na pokładzie? Morski pościg? Wielkie nieba, nie wiedziałam, gdzie oczy podziać, więc jeśli zechcesz na chwilę ostrożnie postawić nasze dziecko na ziemi, to skieruję je namiętnie w twoje.

Vimes po chwili znowu złapał oddech i spytał niechętnie:

- Tam stoi prawdziwa nieszczęsna wieża sekarowa, tak? A teraz, kiedy „Puls" dowiedział się jakoś o tym wszystkim, będą ze mnie robić jakiegoś herosa, durnie przeklęci!

Zaspokoiwszy siłę przyciągania, lady Sybil odpowiedziała spokojnie:

- Nie, Sam... No, może trochę, ale byłbyś zdumiony, jak szybko podróżują wieści po rzece. Podobno stałeś na dachu sterówki „Pięknej Pipki" i walczyłeś z mordercą, a on strzelił do ciebie z kuszy i strzała się odbiła! W jutrzejszej azecie mają zamieścić dużą artystyczną wizję tego zdarzenia. I znowu nie wiem, gdzie oczy podziać. - Sybil nie mogła się już powstrzymać i wybuchnęła śmiechem. - Słowo daję, Sam, dziś na kolację możesz dostać, co tylko zechcesz.

Vimes pochylił się i szepnął jej coś do ucha, przez co Sybil uderzyła go w dłoń.

- Później, może.

Ośmielony Vimes mówił dalej:

-Trudno nie zauważyć, że most jest poważnie uszkodzony.

- O tak, rzeczywiście. Burza była straszna. Fala porwała cały środkowy łuk i wszystkie trzy dysgracje. Pamiętam je z dzieciństwa. Mama zawsze zasłaniała mi oczy, kiedy przechodziłyśmy przez

most, więc oczywiście bardzo mnie zainteresowały, zwłaszcza że jedna z nich drapała się po pupie. - Uśmiechnęła się szerzej. - Ale nie martw się, Sam, nagie panienki nie są trudne do zdobycia.

Uśmiech żony niósł spokój, lecz w umyśle Vimesa raz jeszcze wypłynęło na powierzchnię maleńkie zdradzieckie podejrzenie. Sądziłjuż, że je zdusił, ale stale powracało.

- Sybil, omawiałaś plany wakacyjne z Vetinarim, prawda?

Zdziwiła się.

No tak, kochanie, oczywiście. W końcu formalnie jest twoim zwierzchnikiem. Tylko formalnie, ma się rozumieć. Zamieniłam z nim parę słów na ten temat podczas jakiegoś przyjęcia charytatywnego. Nie pamiętam już, co to dokładnie było, organizując

---

Trzy dysgracje były podobno córkami Ślepego Io (ale wszyscy wiedzą, jak ludzie plotkują). Były to Nudycja, Urodazja i Ponęcja.

- ich tak wiele. Ale nie robił żadnych trudności. Powiedział, że już najwyższy czas, byś porządnie wypoczął po swych mężnych działaniach.

Vimes miał dość rozsądku, żeby nie wypowiadać głośno słów, jakie cisnęły mu się na usta. Zapytał tylko ostrożnie:

- Ehm... Czyli tak naprawdę nie sugerował, byśmy przyjechali do Włości?

- Uczciwie ci powiem, Sam, że to było dość dawno, ale oboje chcieliśmy tylko twojego dobra, czego przecież ci nie muszę tłumaczyć. Ogólnie omówiliśmy tę sprawę i to właściwie wszystko.

Vimes zostawił tę kwestię. Niggy nie dowie się na pewno. A zresztą bila już wpadła.

* # *

Później Samuel Vimes, już w całości, wykąpał się w wielkiej łazience, z nosem tylko trochę wystającym nad powierzchnię wody, i wyszedł, czując się dokładnie takim samym człowiekiem, jakim był poprzednio, ale jednak znacznie czyściejszym. Podpisane protokoły zeznań spoczywały w skarbcu, a kiedy Ramkinowie projektowali skarbiec, to nie po to, żeby ktoś mógł tam zajrzeć w pośpiechu. Przede wszystkim potrzebował kombinacji otwierającej nieduży, ale niebezpiecznie skuteczny sejf, tylko po to, by wyjąć z niego klucz, który potem należało wsunąć do zamków ukrytych w trzech różnych zegarach we Dworze, przy czym każde użycie klucza uruchamiało sprężynowy mechanizm zegarowy. Sybil opowiadała, że do dziś z radością wspomina, jak jej dziadek biegał, jakby mu się tyłek palił - tak to określał - żeby dobiec z kluczem do ostatniego zamka, zanim zegar kontrolujący pierwszy zamek odliczy czas, a już z pewnością zanim spadną gilotyny. Co mamy, to nasze, myślał Vimes, kiedy sprawdzał ten system. Stanowczo mówili poważnie.

Zmienił ubrania na takie, które nie śmierdziały rybą. Co dalej?

* * *

Przyjemnie było znów się przespacerować z Młodym Samem. Ojciec ruszający na spokojną przechadzkę ze swoim chłopakiem, tak? Taki był ogólny obraz. Niestety, obraz ten zawierał odległą sylwetkę sierżanta Detrytusa, który wtapiał się w otoczenie - wyczyn, jakiego funkcjonariusz troll może dokonać, zwyczajnie zdejmując pancerz i wtykając geranium za ucho. Będąc skalno-kamiennej proweniencji, staje się wtedy praktycznie elementem pejzażu i nawet nie musi się starać. Zwykle funkcjonariusze trolle nosili superwielkie wersje regulaminowych półpancerzy, ponieważ duża część siły gliniarza bierze się z tego, że wygląda jak gliniarz*. Problemy bezpieczeństwa nie miały tu znaczenia; istniało wiele typów broni, które - umiejętnie zastosowane - potrafiły przebić stalowy pancerz, ale wszystko, co mogłyby zrobić nagiemu trollowi, to tylko go zdenerwować.

---

* A ściślej mówiąc, jak ktoś większy, niż jest w rzeczywistości, i kto może okazać się naprawdę bardzo nieprzyjemny, jeśli człowiek spróbuje go załatwić tylko dlatego, że sam pływa zanurzony w piwie po migdałki.

W tej chwili Detrytus bezskutecznie usiłował nie rzucać się w oczy. Był wielki, oczywiście, miał też przy sobie swojego piecmake- ra - wielobełtową kuszę, której pociski od prędkości rozgrzewały się do temperatury paleniska. Istnieją typy broni nazywane Zabawką Sobotniej Nocy, ale kusza Detrytusa dostarczyłaby zabawy na cały tydzień. Za to gdzieś, gdzie Vimes go nie widział - co oznaczało, że nikt inny też nie zobaczy - krył się Willikins. Taki był pełny obraz: tatuś zabierający syna na spacer w obecności dostatecznej siły ognia, żeby wybić pluton wojska. Sybil nalegała, a to kończyło dyskusję. Vimes mógł się znaleźć w niebezpieczeństwie, to inna sprawa, zresztą Sybil godziła się z tym od początku, ale Młody Sam? Nigdy!

Kiedy wspinali się na Szubieniczne Wzgórze, żeby obejrzeć nową wieżę sekarową, Vimes tłumaczył sobie, że Stratford nie użyje łuku. Łuk jest praktyczny, ale morderca, taki prawdziwy morderca, zechce być blisko, żeby widzieć. Kiedy Stratford zabił tę goblinkę, siekał ją długo, choć dawno była już martwa. Lubi zabawę. Chce, żeby Vimes wiedział, kto go zabija. Vimes uświadomił sobie, że zna takich morderców za dobrze, by zachować spokój umysłu.

Na wzgórzu spotkał ich uśmiechnięty Nobby, który zasalutował z pewną wariacją na temat sprężystości, ale też z pewnym skrępowaniem, ponieważ nie był sam. Obok siedziała młoda goblinka. Nobby pospiesznie usiłował ją odpędzić, a ona - z wyraźną niechęcią - wycofała się na minimalny bezpieczny dystans, wciąż spoglądając na kaprala z zachwytem.

Mimo trudnej sytuacji Vimes usiłował stłumić chęć, by się uśmiechnąć. Zdołał jakoś rzucić Nobby'emu surowe spojrzenie.

- Bratacie się z tubylcami, kapralu?

Młody Sam zbliżył się do gobliniej dziewczyny i wziął ją za rękę, co było zachowaniem, jakie zwykle stosował wobec każdej osoby płci żeńskiej, którą spotykał po raz pierwszy - ten zwyczaj zdaniem ojca w przyszłości może mu otworzyć wiele drzwi. Dziewczyna próbowała delikatnie cofnąć dłoń, ale Młody Sam był nieustępliwym trzymaczem.

Nobby był zażenowany.

- To nie ja się z nią bratam, panie Vimes, ale ona próbuje się zbratać ze mną. Wyszła z koszykiem takich małych grzybków i mi je dała, poważnie!

-Jesteś pewien, że nie były trujące?

Nobby zrobił minę tępaka.

- Nie wiem, panie Vimes. W każdym razie je zjadłem, bardzo smaczne, bardzo chrupkie, trochę orzechowe, można powiedzieć. A Fred już tu jest, sir. Ta młoda dama... - ku zdziwieniu oraz aprobacie Vimesa nie wziął słowa „dama" w cudzysłów - .. .podeszła prosto do niego i wyjęła mu z ręki tę dziwaczną błyszczącą urnę, co jest dziwne, bo nikt wcześniej nie mógł mu jej odebrać, i on od razu wrócił do siebie! Jest całkiem normalny! Chociaż trzeba będzie mu chyba przypominać o myciu, załatwianiu się tylko w wychodku i tak dalej.

Vimes skapitulował. Wiadomo, że każda organizacja musi mieć kręgosłup, więc można rozsądnie wnioskować, że powinna znaleźć się w niej osoba odpowiadająca częściom przeznaczanym zwykle na psią karmę. Jednakże Nobby był lojalny i miał szczęście, a policjant naprawdę potrzebuje szczęścia. Może właśnie teraz mu sprzyjało.

- Co ty tu właściwie robisz, Nobby?

Nobby spojrzał na komendanta jak na wariata i wskazał chwiejną tymczasową wieżę.

- Muszę sprawdzać wiadomości, panie Vimes. Ten młody Tony, który obsługuje tę wieżę sam jeden, tak jakby je drukuje, potem owija na kamieniu i one spadają, i właśnie...

Coś brzęknęło o hełm, Nobby zręcznie chwycił owinięty paskiem papieru kamień.

- Właśnie dlatego tu stoję, panie Vimes. - Odwinął papier i oznajmił: -Jeden dwuosobowy apartament i jeden jednoosobowy na „Robercie E. Biscuit", odbijającej jutro o dziewiątej wieczorem! Ma pan szczęście, panie Vimes. Sekary! Co byśmy bez nich robili?

- Cofnąć się! - krzyknął ktoś z góry. - Człowiek idzie!

Vimes zauważył, jak zadygotała cała konstrukcja, gdy młody
człowiek ostrożnie schodził z jednej belki na drugą, sprawdzając każdą, zanim oparł na niej swój ciężar. Zeskoczył z ostatnich kilku stóp, po czym wyciągnął rękę.

- Miło mi pana poznać, sir Samuelu. Przepraszam, trochę się trzęsie, ale w nocy jeszcze przy niej pracowaliśmy. Prawdziwie ekspresowa robota, można powiedzieć. Ale nie ma wyjścia, kiedy popędza lord Vetinari, taki los. Później zrobimy to porządnie, jeśli to panu nie przeszkadza. Podłączyliśmy ją do wieży z Wielkiego
Pnia, więc będą przerzucać wszystko, gdzie pan tylko zechce, plus prześlą sygnał do sekara na pańskim domu. Oczywiście, ktoś musi tu dyżurować, żeby utrzymać łącze, ale widzę, że nie będzie z tym problemu. - Młody człowiek zasalutował. - Życzę panu powodzenia, a teraz znikam, bo muszę coś zjeść i się umyć.

Hełm Nobby'ego brzęknął znowu i spadł kamyk owinięty papierową taśmą. Młody sekarowiec podniósł go z miną właściciela i przeczytał wiadomość.

- To tylko potwierdzenie zamknięcia serwisu, bo wcześniej zgłosiłem przerwę. Mój asystent to wydrukował. Właściwie nie musiał tego przekazywać, ale to bardzo sumienny maluch i przyznam, że nie widziałem jeszcze, by ktoś tak szybko się uczył. Wystarczy raz mu pokazać, jak się co robi, i gotowe! I można na nim polegać, małym demonie. A z tymi wielkimi dłońmi nie ma problemów z klawiaturą.

Pogwizdując cicho, młody człowiek ruszył w dół zbocza, a Vimes, niczym konik polny, skoczył do właściwych konkluzji.

- Smrodek! Złaź tu natychmiast, ty mały łobuzie! - krzyknął.

-Jużjestem, komendancie! - Mały goblin stał niemal między
butami Vimesa.

- Ty? Ty? Ty obsługujesz sekar? Umiesz czytać?

Smrodek rozłożył ręce z wielkimi dłońmi.

- Nie, ale umiem patrzeć, umiem pamiętać! Zielony człowiek mówi „Smrodku, to szpiczaste coś nazywa się A", a Smrodkowi nie trzeba powtarzać dwa razy. Potem on mówi: „A ta, popatrz, wygląda jak zadek, to B". Dobra zabawa! - Chrzęszczący głos zabrzmiał prosząco, lecz w taki sposób, że Vimesowi wydał się pełen cynicznej mądrości. - Goblin jest pożyteczny, goblinowi można ufać, goblin pomaga? Goblin nie ginie!

I zdawało się Vimesowi, że tylko on słyszy te słowa. Młody Sam podszedł, żeby wziąć Smrodka za rękę, ale zastanowił się i zrezygnował.

- Kim ty jesteś, Smrodek? - zapytał cicho Vimes.

- A kim ty jesteś, Samie Vimes? - Smrodek wyszczerzył zęby. - Wiś, Samie Vimes. Wiś razem albo wiś oddzielnie. Ale przede wszystkim trzymaj się mocno. I wiś, panie Vimes.

Vimes westchnął.

- Myślę, że to całkiem możliwe - mruknął ponuro.

Rozejrzał się i stwierdził, że jest przeszywany spojrzeniami Młodego Sama i Nobby'ego Nobbsa, natomiast młoda goblinka wpatruje się w małego kaprala, jakby widziała Adonisa.

Zakłopotany, wzruszył ramionami.

- Tak tylko pomyślałem.

* * *

Jakkolwiek by na to patrzeć, Fred Colon był jednym z najstarszych przyjaciół Vimesa - a trzeźwiąco działała myśl, że Nobby Nobbs także. Vimes znalazł sierżanta w połowie drogi w głąb jaskini goblinów. Wydawał się dziwnie zaróżowiony i zdezorientowany, jednak w całkiem dobrym humorze, może dlatego, że pałaszował pieczonego królika, jakby jutro miało nie nadejść - co najwyraźniej było prawdą w przypadku królika. Cudo obserwowała go z troską z pewnej odległości, a kiedy spostrzegła Vimesa, uśmiechnęła się i wystawiła kciuk do góry, co było pocieszające. Fred Colon spróbował zasalutować, lecz musiał chwilę nad tym pomyśleć.

- Przepraszam za to, panie Vimes, ale coś paskudnego mi się przydarzyło. Wszystko pamiętam trochę mgliste, tak po prawdzie, aż nagle znajduję się tutaj, między tymi ludźmi.

Vimes wstrzymał oddech, a Colon mówił dalej:

- Bardzo mili, bardzo pomocni, bardzo gościnni przy tym. Ciągle mi przynoszą różne grzyby, bardzo smaczne. Trochę brak im wyczucia w dziedzinie spodni, ale nie ma co narzekać. To skłania do myślenia; nie jestem pewien o czym, ale skłania.

Rozejrzał się z dziwnym lśnieniem w oczach.

- Miło tutaj, prawda? Miło i spokojnie, daleko od obłąkanych tłumów. Chętnie bym tu został na jakiś czas... Miło.

Sierżant Colon urwał, przerzucił przez ramię królicze kości i szybko sięgnął do stosu rozmaitych kamieni obok siebie. Podniósł jeden. Czy Vimes sobie to wyobraził, czy kamień rzeczywiście zamigotał przez moment, nim znowu stał się zwykłym kamieniem?

- Zostań, ile masz ochotę, Fred - powiedział Vimes. - Ja muszę jechać, ale Nobby będzie pod ręką i chyba prawie wszyscy ze straży, tak się przynajmniej wydaje. Zostań, jak długo zechcesz. - Obejrzał się na Cudo Tyłeczek. - Ale może nie za długo.

***

Więcej myśli pojawiało się kolejno, kiedy wraz z Młodym Samem ruszyli z powrotem ze wzgórza i przez wieś. Jiminy stanął w drzwiach swojego pubu i skinął Vimesowi głową - a gest ten był wielce znaczący. Myśl, która wtedy przemknęła Vimesowi przez głowę, mówiła, że bystry oberżysta wie, w którą stronę wieje wiatr, i odpowiednio ustawia żagle.

Nikt lepiej od niego nie wiedział, że nikt nie wie, skąd się biorą plotki i jak się rozprzestrzeniają, ale niewielka grupka, chociaż szli w niej również Nobby Nobbs i goblinka, ściągała uśmiechy i skinienia głową wszędzie tam, gdzie jeszcze tydzień temu mógłby liczyć na obojętne spojrzenia. Ponieważ brutalna prawda jest taka, że nikt nie chce wspierać przegrywającej strony.

Kiedy dotarli do Ramkinowego Dworu, Vimes znalazł Sybil w różanym ogrodzie. Najwyraźniej przycinała kwiaty, co trzeba robić, ponieważ jest to czynność z listy żądań do wykonania na wsi, czy człowiek je lubi, czy nie. Sybil spojrzała na męża i wróciła do swojego zajęcia.

- Niepokoiłeś ludzi, prawda, Sam? - spytała cicho. - Lady Rust wpadła bez zapowiedzi z towarzyską wizytą zaraz po twoim wyjściu.

Ciach! Ciach! - dźwięczał wściekle sekator.

- Wpuściłaś ją?

Ciach! Ciach!

- Oczywiście. Oczywiście. - I jeszcze jedno Ciach! Ciach! - Poczęstowałam herbatą i czekoladowymi ciasteczkami. Może i jest taką bladą, ignorancką suką, która używa tytułu, jaki jej się prawnie nie należy, ale nie należy zapominać o dobrych manierach. - Ciach! Ciach! Szast! - Ścięłam go tylko dlatego, że psuł mi tu symetrię, naprawdę. W każdym razie musiałam wysłuchać wykładu o utrzymaniu standardów i zwieraniu szeregów w obronie naszej kultury, znasz takie hasła, to zawsze jest kod.

Lady Sybil odstąpiła z sekatorem gotowym do akcji, patrząc na różane krzewy jak rewolucjonista, który z krwią na rękach szuka następnego arystokraty.

- Wiesz, co ta suka powiedziała? Powiedziała: „Moja droga, kogo interesuje, co się stanie z kilkoma trollami? Niech biorą te narkotyki, jeśli chcą, tak właśnie uważam". - Oczy Sybil zapłonęły gniewnie. - A ja pomyślałam o sierżancie Detrytusie, jak często ratował ci życie, a potem o młodym Cegle, tym trollu, którego adoptował. I tak się rozzłościłam, że o mało nie powiedziałam czegoś nie do powtórzenia! Oni uważają, że jestem taka sama jak oni! Przez całe lata radzili sobie jakoś i ani razu nie musieli myśleć inaczej niż zwykle, a teraz już nie potrafią!

Ciach! Ciach! Trach!

- Właśnie zabiłaś krzew róży, kochanie - zauważył Vimes, na którym zrobiło to wrażenie. Trzeba naprawdę nieźle chwycić, żeby przecisnąć te ostrza przez cal czegoś, co wyglądało jak małe drzewo.

- To była dzika róża, Sam, nic by z niej nie wyrosło.

- Ale chyba mogłaś dać jej szansę?

- Samie Vimes, jesteś dumny ze swojej ignorancji w temacie ogrodnictwa, więc nie próbuj teraz snuć jakichś hipotez społecznych wobec rozgniewanej kobiety trzymającej ostre narzędzie! Istnieje różnica między roślinami i ludźmi!

- Myślisz, że mąż ją przysłał? - Vimes cofnął się trochę. - Jest podejrzany, jak wiesz. Sądzę, że jeszcze dzisiaj uda się go powiązać z przemytem, handlem goblinami oraz z całą pewnością próbą wysłania Jethro Jeffersona za granicę, żeby usunąć go z drogi. Wiem, co się dzieje z goblinami posłanymi do Howondalandu, i to dla nich jest bardzo niezdrowe. Jefferson mi powiedział, że za wysiedleniem

miejscowych goblinów trzy lata temu stał Rust. Mam nadzieję, że szybko uzyskam potwierdzenie. Łącząc to wszystko, przynajmniej zetrę ten uśmieszek z jego arystokratycznej gęby.

Ptaki śpiewały, róże pompowały w powietrze swoje aromaty, a lady Sybil wrzuciła sekator do kieszeni fartucha.

- To bardzo skompromituje starego lorda Rusta...

- Myślisz, że o tym nie wiem? Staruszek próbował mnie ostrzec i zniechęcić, kiedy tylko tu przyjechaliśmy, co mniej więcej demonstruje jego talenty taktyczne. Muszę przyznać staremu draniowi, że jest człowiekiem honorowym, uczciwym i szczerym. Szkoda, że jest też uparty, głupi i niekompetentny. Ale masz rację, to go zrani, choć tą swoją niekompetencją doprowadził do śmierci tylu żołnierzy, że wstyd powinien już być jego drugą naturą, wręcz starym przyjacielem. - Westchnął. - Sybil, za każdym razem, kiedy muszę aresztować jakiegoś dupka, który uważał, że ujdzie mu na sucho jakieś oszustwo, wymuszenie czy szantaż, wiem, że prawdopodobnie rodzina wpadnie w kłopoty. Rozumiesz? Myślę
0 tym. To mnie prześladuje. Ale problem polega na tym, że ci idioci popełniają przestępstwa! W tej sprawie staram się oszczędzić paru fagasów, pod warunkiem że ich wdzięczność wyrazi się zeznaniami. Mogę trochę nagiąć prawo dla większego dobra, lecz dalej się nie posunę.

Sybil ze smutkiem pokiwała głową. I pociągnęła nosem.

- Czujesz dym?

Willikins, który cierpliwie czekał w pobliżu, odpowiedział:

- Kapral Nobbs i jego, ehm, młoda... dama odeszli między krzewy razem z Młodym Samem, wasza łaskawość. Sierżant Detry- tus towarzyszy im z tym, co nazwał, o ile pamiętam... - Willikins smakował to słowo jak toffi - ...dyskrecją.

Ostatnie zdanie potwierdzały same krzewy, ponieważ żaden z nich, choćby nie wiadomo jak duży, nie potrafiłby ukryć faktu, że
właśnie przeszedł przez niego troll.

* * *

Niewielkie ognisko płonęło pod krzakami, obserwowane obojętnie przez Detrytusa i Młodego Sama oraz niespokojnie przez kaprala Nobbsa, który przyglądał się, jak jego nowa młoda dama piecze coś na rożnie.

- Och, przygotowuje im ślimaki - stwierdziła Sybil z wyraźną aprobatą. - Bardzo zapobiegliwa młoda osoba.

- Ślimaki? - zdumiał się zaszokowany Vimes.

- To tradycyjne w tych okolicach, o ile mi wiadomo - odparła Sybil. - Mój ojciec z kolegami często je przygotowywali po różnych pijackich spotkaniach. Bardzo pożywne, zawierają wiele witamin
1 soli mineralnych, tak przynajmniej słyszałam. Podobno jeśli karmić je czosnkiem, mają smak czosnkowy.

Vimes wzruszył ramionami.

- Przypuszczam, że to lepsze niż ślimakowy.

Sybil odciągnęła Sama na bok.

- Wydaje mi się, że ta goblinia dziewczyna nazywa się Lśnienie Tęczy - poinformowała cicho. - Felicity twierdzi, że jest bardzo bystra.

- Nie sądzę, żeby cokolwiek osiągnęła u Nobby'ego - odparł Vimes. - Wciąż nie gaśnie w nim uczucie do Verity Pushpram. No wiesz, tej handlarki ryb.

- Zaręczyła się w zeszłym miesiącu - szepnęła Sybil. - Z chłopakiem, który buduje własną flotę rybacką.

Patrzyli jeszcze chwilę przez liście, po czym odeszli cicho.

- Przecież ona jest goblinem! - zaprotestował Vimes, kiedy oddalili się na bezpieczny dystans.

- A on jest Nobbym Nobbsem, Sam. Natomiast ona wydaje się całkiem atrakcyjna, w goblinim stylu. Nie sądzisz? A tak szczerze mówiąc, nie jestem pewna, czy nawet matka Nobby'ego wie, do jakiego gatunku należy jej syn. Naprawdę, Sam, to nie jest nasza sprawa.

-Ale co będzie,jeśli Młody Sam zje ślimaka?

- Biorąc pod uwagę, jakie rzeczy już jadł w swoim krótkim życiu, na twoim miejscu bym się nie przejmowała. Myślę, że dziewczyna wie, co robi. Dziewczyny zwykle wiedzą. Poza tym to kraina wapieni, nie ma tu nic trującego, co ślimaki mogłyby zjadać. Nie martw się, Sam.

- No tak, ale co będzie...

- Nie martw się, Sam.

- Tak, ale chodzi mi...

- Nie martw się, Sam! Przy Haku Lobbingu żyje pewien troll z pewnym krasnoludem i prowadzą wspólne gospodarstwo. Tak słyszałam. Życzę im wszystkiego najlepszego. To ich sprawa i stanowczo nie nasza.

- Tak, ale...

- Sam!

* * *Przez całe popołudnie Sam Vimes był niespokojny. Napisał meldunki i wszedł na wzgórze, by je wysłać. Gobliny siedziały teraz dookoła wieży i patrzyły na nią. Stuknął któregoś w ramię, wręczył mu wiadomość i patrzył, jak wspina się na wieżę, jakby była pozioma. Po kilku minutach goblin wrócił z trochę poplamionym potwierdzeniem nadania, które podał Vimesowi razem z kilkoma innymi wiadomościami, po czym usiadł, by znowu gapić się na wieżę.

Całe życie przeżyliście w jaskini i na wzgórzu wokół niej, myślał Vimes, a teraz ta magiczna rzecz, która wysyła słowa w świat, stanęła tuż przed waszym progiem. To musi budzić szacunek!

Potem otworzył dwie wiadomości, jakie do niego przyszły, starannie złożył papiery i zszedł ze wzgórza, oddychając spokojnie i pilnując, by nie krzyczeć z radości i nie boksować powietrza.

Kiedy dotarł do domu kobiety, która dla Młodego Sama zawsze już będzie panią od kupek, zatrzymał się, by posłuchać muzyki. Rozbrzmiewała i cichła, było kilka falstartów, ale w końcu z okna popłynął cudowny dźwięk. Dopiero wtedy Vimes ośmielił się zastukać do drzwi.

Pół godziny później, idąc miarowym krokiem zawodowego gliniarza, dotarł do celi nad rzeką. Na stołku przed wejściem siedział Jethro Jefferson. Miał odznakę. Feeney uczył się szybko. Posterunek na nabrzeżu dysponował tylko jedną odznaką, zrobioną z cienkiej blachy, więc kowal nosił na koszuli wycięte z tektury kółko ze starannie wypisanymi ręcznie słowami: „Funkcjonariusz Jefferson pracuje dla mnie. I uważajcie! Podpisano: Starszy funkcjonariusz Upshot".

Obok kowala stało puste krzesło wskazujące, że obsada posterunku została podwojona. Vimes usiadł na nim i odetchnął.

-Jak się panu podoba bycie gliną, panie Jefferson?

-Jeśli szuka pan Feeneya, komendancie, to ma przerwę obiadową. Ale skoro już pan zapytał, to nie powiem, że gliniarstwo mi pasuje, chociaż pewnie trzeba się do niego przyzwyczaić. Poza tym w kuźni jest teraz spokój, z przestępczością też. - Kowal uśmiechnął się szeroko. - Nikt nie chce, żebym to ja go ścigał. Ale słyszałem, że coś się dzieje... To prawda?

Vimes przytaknął.

- Kiedy zobaczy pan Feeneya, proszę mu przekazać, że komenda w Quirmie zgarnęła dwóch ludzi, którzy najwyraźniej sami przyznali się do porwania pana, oprócz innych występków. Jak rozumiem, posiadają też wiele innych informacji, które koniecznie chcą nam przekazać w zamian za pewną łaskawość...

- Dajcie mi pięć minut z nimi sam na sam - warknął Jefferson. -Już im pokażę, na czym polega łaskawość.

-Jesteś teraz policjantem, Jethro, więc nie wolno ci tak myśleć. Poza tym bile już się ustawiają...

Kowal zaśmiał się posępnie.

-Ja im te bile poustawiam... sam pan zobaczy, w jakich odstępach. Byłem dzieciakiem, kiedy wywieźli pierwszy transport, a ten przeklęty młody Rust był przy tym, popędzał wszystkich i nabijał się z tych biednych goblinów. Kiedy wybiegłem na drogę, żeby ich powstrzymać, któryś z jego fagasów solidnie mi przyłożył. To się zdarzyło zaraz po śmierci mojego ojca. Byłem wtedy dość naiwny i wydawało mi się, że niektórzy ludzie są lepsi ode mnie, uchylałem kapelusza przed jaśnie państwem i tak dalej. Później przejąłem kuźnię, a jeśli to człowieka nie zabije, to go wzmocni.

Mrugnął do Vimesa, a Vimes pomyślał: Nadasz się. Prawdopodobnie się nadasz. Masz w sobie ogień.

Poklepał się po koszuli i usłyszał uspokajający szelest dokumentów. Był raczej dumny z krótkiego dopisku na końcu sekarowej wiadomości - osobistej notki od komendanta z Quirmu. Brzmiała: „Kiedy się dowiedzieli, że ty zajmujesz się tą sprawą, Sam, zrobili się tak rozmowni, że zużyliśmy dwa ołówki".

Następnie Sam Vimes zajrzał do pubu w chwili, kiedy zaczynali się schodzić klienci. Usiadł w kącie, ściskając kufel soku z buraków z odrobiną chili, by popić przekąskę złożoną z marynowanego jajka i marynowanej cebulki ułożonych na talerzyku chrupek. Nie znał się na gastronomii, ale wiedział, co mu smakuje. I kiedy tak siedział, ludzie rozmawiali ze sobą i zerkali na niego, a potem jeden z nich podszedł wolno, oburącz ściskając przed sobą kapelusz, jakby ze skruchą.

- Nazywam się Hasty, jaśnie panie. William Hasty. Strzecharz po fachu.

Vimes przesunął nogi, żeby zrobić miejsce.

- Miło pana poznać, panie Hasty. Co mogę dla pana zrobić?

Pan Hasty obejrzał się na kolegów i otrzymał mieszany zestaw
machnięć rękami i chrapliwych szeptów, oznaczających mniej więcej „No gadaj!". Znowu odwrócił się do Vimesa i odchrząknął.

- No więc, drogi panie, oczywiście wiedzieliśmy o goblinach i nikomu się to specjalnie nie podobało. Znaczy, pewno, straszne z nich szkodniki, jak człowiek zapomni zamknąć klatki w kurniku i takie tam, ale... ale nie chcieliśmy, żeby zrobili coś takiego, bo to nie było... znaczy, nie było w porządku, nie w taki sposób, i niektórzy mówili, że jeszcze przez to ucierpimy, prędzej czy później, bo jak mogą coś takiego zrobić z goblinami, to sobie pomyślą, że mogą też z prawdziwymi ludźmi, a niektórzy mówili, że tak nie można! Jesteśmy zwykłymi ludźmi, panie, dzierżawcami i tym podobnie, nie jesteśmy wielcy, silni ani ważni, to kto by słuchał takich jak my? Znaczy się, co mogliśmy zrobić?

Głowy pochyliły się nieco, oddechy zostały wstrzymane, a Vimes przeżuł ostatnią zmoczoną octem chrupkę. Spojrzał w sufit.

- Wszyscy macie broń - powiedział. - Każdy z was. Macie wielką, niebezpieczną, śmiertelnie groźną broń. Mogliście zrobić coś. Mogliście zrobić wszystko. Ale nie zrobiliście nic i nie jestem pewien, czy na waszym miejscu bym postąpi! inaczej. Tak?

Hasty podniósł dłoń.

- Bardzo nam przykro, panie, to pewne. Ale my nie mamy broni.

- Coś podobnego... Rozejrzyjcie się. Jedną z tych rzeczy, które moglibyście zrobić, to pomyśleć. To by! ciężki dzień, panowie, i ciężki tydzień. Po prostu pamiętajcie, to wszystko. Pamiętajcie, na wypadek gdyby zdarzył się następny raz.

W ciszy Vimes podszedł do Jiminy'ego za barem. Zauważył nad nim plamę świeżej farby na ścianie i na moment pamięć wypełniła tę przestrzeń głową goblina - kolejny niewielki tryumf.

- Jiminy, przez resztę wieczoru ci panowie piją na mój koszt. Dopilnuj, żeby bezpiecznie wrócili do domów, nawet jeśli trzeba będzie użyć taczek. Rano przyślę Willikinsa, żeby uregulował rachunek.

W ciszy stukały jego buty, kiedy szedł do drzwi, a potem delikatnie je za sobą zamykał. Dwadzieścia sążni dalej uśmiechnął się,
słysząc pierwsze radosne okrzyki.

* * *

W przeciwieństwie do „Pięknej Pipki", „Roberta E. Biscuit" była statkiem, który lubił się puszyć. Wyglądał jak dekoracja na Strzeżenie Wiedźm, a na jednym z pokładów mała orkiestra starała się grać tak głośno jak wielka orkiestra. Na nabrzeżu czekał mężczyzna w czapce, jaką chciałby nosić każdy kapitan każdej floty.

- Witamy na pokładzie, wasza łaskawość, i oczywiście panią, lady Sybil. Jestem kapitan OTarrell, dowódca „Roberty". - Spojrzał z góry na Młodego Sama. - Chciałbyś stanąć przy sterze, młodzieńcze? Zapraszam. Założę się, że twój tatuś też ma ochotę posterować.

Mocno uścisnął dłoń Vimesa.

- Kapitan Sillitoe opowiadał o panu mnóstwo dobrego, sir. I ma nadzieję, że znowu kiedyś pana spotka. Ale tymczasem, sir, moim obowiązkiem jest uczynić pana Królem.

Myśli Sama Vimesa zderzały się ze sobą w pośpiechu, by pierwsze przedrzeć się do świadomości. Ale coś w słowie „król" wyraźnie im przeszkadzało.

- To znaczy Królem Rzeki, sir - wyjaśnił z uśmiechem kapitan. -To taki skromny tytuł, jaki nadajemy bohaterom, którzy zmierzyli się ze Zdradziecką Staruchą i zwyciężyli! Proszę pozwolić, że wręczę panu ten złotawy medal, sir. To skromny symbol, ale jeśli pokaże go pan komukolwiek na rzece, zabierze pana za darmo, sir, od gór do samego morza, jeśli będzie pan miał ochotę.

Oracja wzbudziła powszechny entuzjazm, tłum klaskał, a orkiestra zagrała dawny klasyk „Zdziwiony, co?". Bukiety kwiatów wzle- ciały w powietrze, po czym zostały starannie wyłapane, bo nie należy wspierać marnotrawstwa. Orkiestra grała, koła się kręciły, wzburzona woda pokrywała się pianą, a rodzina Vimesów wyruszała w cudowny wakacyjny rejs.

Młodemu Samowi pozwolono zostać wieczorem dłużej, żeby mógł zobaczyć tancerki, choć nie widział w tym sensu. Za to Vimes owszem. Był też iluzjonista i wszystkie inne rozrywki, którym ludzie oddają się w imię dobrej zabawy. Zresztą rzeczywiście się roześmiał, kiedy iluzjonista próbował wyjąć mu portfel, żeby wsunąć tam asa pik, i odkrył, że trzyma w ręku nóż, który Sam Vimes zabrał na wszelki wypadek. Bo kiedy człowiek niczego się nie spodziewa, wtedy właśnie powinien się spodziewać najgorszego.

Iluzjonista się nie spodziewał i wpatrywał się w Vimesa, wytrzeszczając oczy. Wreszcie wykrztusił:

- Na bogów, pan jest nim, prawda? Pan komendant Vimes!

I ku przerażeniu Vimesa zwrócił się do publiczności.

- Panie i panowie, wielkie brawa dla bohatera „Pięknej Pipki"!

W rezultacie Vimes musiał się ukłonić, więc oczywiście Młody Sam ukłonił się razem z nim, co spowodowało zwiększenie wilgoci wszystkich damskich oczu w całej restauracji. Następnie barman, który najwyraźniej nie znał programu, stworzył na poczekaniu Sama Vimesa, co do którego Sam udawał potem zażenowanie, kiedy stał się elementem repertuaru każdego lokalu z wyszynkiem na Równinach, oczywiście z wyjątkiem tych, gdzie klientela ma skłonność do otwierania butelek zębami. Prawdę mówiąc, ten zaszczyt tak go wzruszył, że aż wypił taki koktajl, a potem jeszcze drugi, jako że Sybil w tych okolicznościach nie mogła przecież protestować. Następnie siedział i podpisywał podstawki do piwa i jakieś karteczki oraz rozmawiał z ludźmi trochę głośniej niż normalnie, aż nawet barman uznał, że pora kończyć, a Sybil poholowała swego sennego męża do łóżka.

Po drodze do kabiny wyraźnie usłyszał, jak jedna z dam rzuca do drugiej zdawkową uwagę:

- Co to za nowy barman? Nie widziałam go jeszcze podczas tego rejsu.

* * *

„Roberta E. Biscuit" sunęła wolno przez noc, pozostawiając na wodzie krótkotrwały biały ślad za swą obfitą rufą. Jeden z wołów został odprowadzony do obory przy burcie, drugi miał utrzymywać sensowną prędkość. Wycieczkowy statek przebierał łopatkami w stronę świtu. Wszyscy prócz pilota i obserwatora już spali, pijani czy leżący z innych powodów. Barmana nigdzie nie było widać, ale w końcu barmani przychodzą i odchodzą - kto by zwracał uwagę na barmana? Za to w korytarzu kabin pasażerskich jakaś postać czaiła się w mroku. Nasłuchiwała szeptów, skrzypnięć i narastającego chrapania.

Rzeczywiście rozległo się chrapanie, o tak! Cień przesunął się mrocznym korytarzem; rzadkie zdradzieckie trzeszczenia ginęły w symfonii dźwięków wydawanych przez każdy drewniany statek w czasie rejsu. Były tam drzwi. Był w nich zamek, z rodzaju takich, które raczej udają chytrość i siłę, niż rzeczywiście je mają. Było ostrożne badanie. Był wytrych, delikatny ruch zawiasów, a potem znowu taki sam ruch, gdy drzwi zostały pchnięte i zamknięte od środka. Był uśmiech, tak nieprzyjemny, że mógłby niemal być widoczny w ciemności, zwłaszcza dla oczu wspomaganych przez tę ciemność, a więc był też krzyk, urwany natychmiast...

- Pozwól, że ci powiem, jak będzie - rzekł Sam Vimes, kiedy korytarz wypełniły nerwowe odgłosy. Pochylił się nad rozciągniętym na podłodze ciałem. - Zostaniesz humanitarnie skuty na pozostałą część rejsu i będziesz starannie pilnowany przez mojego kamerdynera Willikinsa, który oprócz przygotowywania świetnych koktajli nie jest też obciążony zasadami zachowania policjanta.

Przycisnął trochę mocniej i kontynuował swobodnie:

- Od czasu do czasu zmuszony jestem wyrzucić porządnego glinę za brutalność. Możesz być pewien, że ich zwalniam za to, co przeciętny przedstawiciel społeczeństwa mógłby zrobić, gdyby miał dość odwagi i gdyby zobaczył umierające dziecko albo szczątki starej kobiety. Zwykli obywatele uczyniliby to, by we własnych umysłach przywrócić równowagę grozy.

Często cudzymi.

Nacisnął znowu.

- Prawo często traktuje ich łagodnie, o ile w ogóle się nimi zajmuje, ale taki policjant to przedstawiciel prawa, a już na pewno nim jest, jeśli pracuje dla mnie. To znaczy, że jego praca kończy się na aresztowaniu, Stratford. Co więc mnie powstrzymuje przed wyciśnięciem resztek życia z mordercy, który włamał się do kajuty, gdzie spodziewał się znaleźć mojego syna, i to mając przy sobie tyle małych noży? Dlaczego przyduszam go tylko do utraty przytomności, chociaż gardzę sobą za każdy oddech, którego mu żałuję? No więc powiem ci, Stratford, że między tobą a nagłą śmiercią stoi teraz jedynie prawo, którego nie uznajesz. A teraz cię puszczę, bo jeszcze mógłbyś mi tu umrzeć, a tego nie chcę. Sugeruję jednak, żebyś nie próbował uciekać, gdyż Willikins nie czuje się związany tymi samymi regułami co ja, a także bywa wyjątkowo bezlitosny i bardzo lubi Młodego Sama, który śpi ze swoją mamą, co stwierdzam z satysfakcją. Rozumiesz? Wybrałeś pokój jednoosobowy, prawda? Ten, w którym powinien spać chłopiec. I masz szczęście, że taki ze mnie chytry drań, Stratford, bo gdybyś się włamał do apartamentu, gdzie moja żona... choć nigdy jej tego nie powiem... chrapie przynajmniej tak głośno jak dowolny mężczyzna, przekonałbyś się, że dysponuje znaczną ilością uzbrojenia. A znając temperament Ramkinów, całkiem prawdopodobnie potraktowałaby cię tak, że nawet Willikins by powiedział: „No, to już jednak przesada". Co mają, to ich, Stratford.

Vimes błyskawicznie zmienił chwyt.

- Musisz uważać mnie za skończonego durnia, Stratford. Pewien gość, podobno wielki myśliciel, powiedział kiedyś: „Poznaj siebie". No więc ja znam siebie, Stratford, co przyznaję z zażenowaniem, znam do samej głębi, a z tego powodu znam i ciebie, jak znam własną gębę w lustrze w łazience. Jesteś zwykłym brutalem, któremu brutalność przychodziła coraz łatwiej, aż w końcu uznałeś, że nikt inny nie jest realną osobą, nie taką jak ty, a kiedy człowiek uwierzy w coś takiego, żadna zbrodnia nie jest zbyt wielka. Nie ma takiej, której byś nie popełnił. Możesz rozważyć też fakt, że choć ty będziesz wisiał, to jestem praktycznie pewien, że twój pracodawca, lord Rust, najprawdopodobniej odejdzie wolno. Naprawdę sądziłeś, że będzie cię osłaniał?

Rozciągnięty Stratford wybełkotał coś.

- Bardzo pana przepraszam, panie Stratford, ale nie całkiem zrozumiałem.
- Świadek koronny! - wyrzucił z siebie Stratford.

Vimes pokręcił głową, chociaż Stratford nie mógł tego widzieć.

- Panie Stratford, cokolwiek pan powie, i tak będzie pan wisiał. Nie mam zamiaru się z panem targować. Z pewnością zdaje pan sobie sprawę z faktu, że nie ma pan nic do zaoferowania. To proste.

Stratford na podłodze warknął gniewnie.

- Niech go szlag! I tak wszystko powiem! Nie cierpię tego ośli- złego drania! Co chcesz, żebym powiedział?

Dobrze, że nie mógł zobaczyć twarzy Vimesa, który odparł tylko:

-Jednakżejestem pewien, że lord Vetinari z prawdziwą przyjemnością wysłucha wszystkiego, co ma pan do powiedzenia... Jest człowiekiem nieprzewidywalnym z natury, a z pewnością można wisieć i... wisieć.

Skulony na podłodze Stratford dyszał ciężko.

- Wszyscy pili ten piekielny koktajl, widziałem! Pan wypił trzy, a wszyscy mówią, że pan był pijakiem!

Zabrzmiał śmiech i otworzyły się drzwi, wpuszczając nieco świada.

-Jego łaskawość pił coś, co można nazwać Dziewiczym Samem Vimesem - oświadczył Willikins. - Bez urazy dla komendanta: imbir, chili, trochę soku z ogórka i dużo mleczka kokosowego.

- Bardzo smaczny - zapewnił Vimes. - Zabierz go stąd, Willikins, a gdyby czegoś próbował, to wiesz, co robić. Urodziłeś się, wiedząc, co robić.

Willikins dotknął palcem czoła.

- Dziękuję, komendancie - powiedział. - Doceniam ten komplement.

* *

I Sam Vimes mógł dokończyć swoje wakacje.

Oczywiście, życie nie składa się z samych przyjemności, nie z sekarami i z ludźmi, którzy wysyłają wiadomości w stylu: „Nie chciałbym przeszkadzać, ale to zajmie panu tylko chwilę...".

Bardzo wielu ludzi nie chciało przeszkadzać Samowi Vimeso- wi, ale najwyższym wysiłkiem woli zdołali jakoś pokonać tę niechęć i jednak to uczynić. Jedna z tych wiadomości - a ta nie zawierała żadnych przeprosin - pochodziła od Havelocka, lorda Vetinariego, i brzmiała: „Porozmawiamy o tym".

Tego ranka Vimes wynajął niedużą łódź wraz z kapitanem i spędził radosne chwile z Młodym Samem, zbierając ślimaki ze skał jednej z licznych wysepek przy quirmskim wybrzeżu. Potem nazbierali drewna wyrzuconego na brzeg przez fale, rozpalili ogień, upiekli je i zjedli, posługując się spinką. Ścigali się, kto pierwszy wydłu- bie śliski kęs ze skorupki. Oczywiście, mieli ciemny chleb, masło, jak również dużo soli i octu, dzięki czemu ślimaki smakowały solą i octem, a nie ślimakami, co byłoby katastrofą*.

Tymczasem, korzystając z tego, że chłopcy jej nie przeszkadzają, Sybil zmieniała świat na swój własny spokojny sposób. Usiadła przy stoliku w apartamencie i równym pochyłym pismem, którego nauczyła się jako dziewczyna, napisała mnóstwo sekarowych wiadomości. Jedna z nich przeznaczona była dla dyrektora Opery Królewskiej, dla której jej łaskawość była jednym z ważniejszych mecenasów; druga miała trafić do lorda Vetinariego, a trzy kolejne do sekretarza dolnego króla

---

Dla tych, którzy ich nie znają: te morskie ślimaki, zwane też pobrzeżkami, wraz z małżami sercówkami i trąbikami można uznać za smarki morza.

krasnoludów, sekretarza diamentowego króla trolli i sekretarza lady Margolotty z Uberwaldu, rządzącej tą częścią kraju, która znajduje się nad ziemią.

Na tym jednak nie skończyła. Ledwie wróciła pokojówka, która zaniosła pierwszy pakiet do wieży na szczycie wzgórza, natychmiast musiała biec znowu z całą resztą. Lady Sybil była entuzjastyczną pisarką listów i jeśli jakakolwiek licząca się na Równinach osoba nie dostała owego dnia wieści od jej łaskawości, to dlatego, że jej nazwisko wypadło z pięknie oprawionej i obsesyjnie uzupełnianej czarnej książeczki - która w rzeczywistości była bladoróżowa, z malutkimi haftowanymi kwiatkami i maleńką fiolką perfum. Mimo to jedyną porównywalną bronią w całej historii perswazji byłaby chyba balista.

Po południu lady Sybil wypiła herbatę z niektórymi ze swych przyjaciółek, dawnych uczennic Quirmskiej Pensji dla Młodych Panien, i miło spędziła czas, rozmawiając o cudzych dzieciach. Tymczasem, bezgłośnie popychany wiadomościami mknącymi nad ziemią z precyzją i szybkością, jakich nie wyobraziłby sobie żaden
mag, świat zaczął zmieniać zdanie.

* * *

Później Vimes zabrał Młodego Sama do zoo, gdzie spotkał się z dozorcami, z których praktycznie każdy znał kogoś na „Pięknej Pipce". Otwierali przed nimi wszystkie drzwi i prawie wszystkie klatki. Zjawił się nawet dyrektor, by zobaczyć tego radosnego sześciolatka, który na starej wadze do tabaki metodycznie ważył żyrafią kupkę, rozcinał ją dwoma starymi nożami kuchennymi i starannie robił notatki w zeszycie z obrazkiem goblina na okładce. Ale najważniejszym punktem wizyty było wypróżnienie słonia, którego Młody Sam nie mógł się doczekać. I właśnie kiedy ich grupa zbliżyła się do wybiegu, Jumbo się wykazał, a chłopiec był szczęśliwy jak - niemal dosłownie - prosię w deszcz. Nawet filatelista,

który w zaniedbanej kolekcji z wyprzedaży znajduje rzadki błękitny trójkątny z odwróconą głową, nie byłby chyba bardziej ucieszony od Młodego Sama, który podreptał na bok, dźwigając parujący kubeł.

Młody Sam zobaczył słonia.

Dyrektor stwierdził, że Młody Sam jest niezwykle utalentowany i zdradza naturalne zdolności w dyscyplinach filozofii naturalnej, na co ojciec Młodego Sama z mądrą miną pokiwał głową i miał nadzieję, że wszystko dobrze się skończy.

A wieczorem złożyli wizytę w lunaparku, gdzie Vimes zapłacił dolara za jazdę fikaną kolejką i dostał resztę z ćwiartki. Kiedy zaprotestował, mężczyzna zaczął przeklinać, spróbował go uderzyć i ze zdumieniem odkrył, że został pochwycony w stalowy uścisk i wśród wiwatującego tłumu doprowadzony do najbliższego quirm- skiego strażnika, który zasalutował i zapytał, czy Vimes mógłby mu się podpisać na hełmie. Był to drobiazg, ale Vimes zawsze powtarzał, że za drobnymi wykroczeniami często można znaleźć poważne przestępstwa. Wygrał też kokosa, co go niezwykle ucieszyło, a Młody Sam dostał podłużnego lizaka z wypisanym słowem QUIRM, którym zakleił sobie zęby - kolejne wydarzenie warte zapamiętania.

* * *

W nocy Vimes przez długi czas wsłuchiwał się w uderzenia fal przyboju.

- Nie śpisz, kochanie? - szepnął. A potem, ponieważ tak te sprawy są załatwiane, kiedy nie uzyskał odpowiedzi, podniósł nieco głos i powtórzył: - Nie śpisz, kochanie?

- Nie, Sam, teraz już nie.

Vimes wpatrywał się w sufit.

- Myślę, czy wszystko się uda.

- Oczywiście, że tak. Ludzie są pełni entuzjazmu, wiesz przecież. I są zaintrygowani. Pociągnęłam za więcej sznurków, niż jest w gorsecie słonia. Uda się. A co u ciebie?

Po suficie chodził gekon. W Ankh-Morpork się ich nie spotykało. Patrzył na Vimesa swymi oczami jak klejnoty.

- Hm, teraz to już mniej więcej standardowe procedury. - Vimes przekręcił się trochę i gekon uciekł w róg pokoju. - Ale trochę się martwię. Widzisz, niektóre moje działania mieściły się w granicach prawa, ale jedno czy dwa były raczej *ad hoc,* muszę wyznać.

- Ty tylko otwierałeś drogę, by prawo mogło wpłynąć, Sam. Cel uświęca środki.

- Obawiam się, że wielu złych ludzi używało tego stwierdzenia, żeby usprawiedliwić złe czyny.

Sybil ujęła pod kołdrą jego rękę.

- Ale to nie powód, żeby pewien dobry człowiek nie mógł go użyć, by usprawiedliwić coś dobrego. Nie martw się, Sam.

Kobieca logika, myślał Vimes; wszystko skończy się dobrze, ponieważ powinno się dobrze skończyć. Kłopot w tym, że rzeczywistość nigdy nie jest taka prosta i musi uwzględniać dokumentację.

Przez chwilę drzemał spokojnie, kiedy usłyszał szept Sybil:

- On nie ucieknie, Sam, prawda? Bo mówiłeś, że radzi sobie z zamkami...

- Tu, w Quirmie, mają w celach demonicznie dobre zamki, przez cały czas pilnuje go strażnik, a do Ankh-Morpork odwiozą go aresztanckim powozem ze zbrojną eskortą. Nie potrafię sobie wyobrazić okoliczności, które umożliwiłyby mu ucieczkę. W końcu quirmscy chłopcy chcą załatwić tę sprawę ściśle według przepisów. Założę się, że wypucują zbroje, żeby błyszczały jak srebro. Chcą zrobić na mnie wrażenie. Nie martw się, nie będzie żadnej wpadki.

Przez chwilę leżeli w milczeniu.

- Dyrektor zoo bardzo chwalił Młodego Sama - powiedział Vimes.

- Może będzie następnym Woolsthorpe'em - wymruczała sennie Sybil. - Ale tym razem z brakującym składnikiem zdrowego rozsądku.

- Nie wiem, kim będzie, ale wiem, że będzie w tym dobry.

- W takim razie będzie Samem Vimesem - odparła Sybil. - A teraz już śpijmy.

* * *

Następnego dnia rodzina ruszyła do domu. Oznacza to, że Sybil i Młody Sam ruszyli do domu w Ankh-Morpork ekspresowym dyliżansem - po dodatkowym krótkim postoju, podczas którego rosnąca kolekcja Młodego Sama została przeniesiona z wnętrza dyliżansu na dach, natomiast Vimes wrócił „Czarnooką Susan" do Dworu, gdyż pewne sprawy wymagały jeszcze załatwienia. Ponieważ był Królem Rzeki, pilot pozwolił mu sterować przez jakiś czas, choć obsesyjnie patrzył mu przez ramię, na wszelki wypadek. A Vimes miał świetną zabawę, co nie zdarzało się często. To niezwykłe uczucie: odkryć, że człowiek robi to, co zawsze chciał robić, chociaż do tej chwili w ogóle nie wiedział, że chce to robić ani nawet co to takiego. Jednak Sam Vimes na ten krótki czas stał się pilotem rzecznego statku i był szczęśliwy jak kot pełen miedziaków.

Tej nocy leżał samotny w Ramkinowym Dworze - oczywiście jeśli nie liczyć ponad setki służby - raz za razem odtwarzając w głowie wydarzenia minionego tygodnia, a zwłaszcza własne działania, które do nich prowadziły. Raz za razem bezlitośnie brał sam siebie w krzyżowy ogień pytań. Czy oszukiwał? Właściwie nie. Wprowadzał w błąd? Właściwie nie. Działał tak, jak powinien działać policjant? Tak, to było istotne pytanie, prawda?

Rankiem dwie młode pokojówki przyniosły mu śniadanie, a Vimes z rozbawieniem odkrył, że towarzyszy im lokaj jako przy- zwoitka. Uznał, że w pewnym sensie mu to pochlebia. Potem wyruszył na spacer po okolicy, słuchając wesołych nut wyśpiewywanych przez drozdy i tak dalej (nie pamiętał nazw pozostałych, ale były świetnymi śpiewakami). I kiedy szedł, czuł, że jest obserwowany z każdego domku i pola. Jedna czy dwie osoby podbiegły nawet, nerwowo uścisnęły mu dłoń i uciekły równie szybko. Vimesowi zdawało się, że świat wlecze się za nim.

Nerwowość wypełniała atmosferę tak mocno, aż miał wrażenie, że już wkrótce świat powinien stanąć i ile sił w płucach wykrzyknąć „BUUU!!!".

W rzeczywistości Vimes tylko czekał... Czekał na wieczór.

* * *

Karoce zaczęły przybywać przed gmach opery w Ankh- -Morpork dość wcześnie. Zapowiadało się wyjątkowe wydarzenie - podobno nie tylko miał przybyć Patrycjusz, ale miała mu towarzyszyć lady Margolotta, władająca Uberwaldem, plus ambasador krasnoludów i ciemnorubinowy wicekról trolli. Wicekról przybył do miasta z orszakiem prawie tylu dworzan, sekretarzy, gwardzistów, kucharzy i doradców, ilu przywiózł ze sobą ambasador krasnoludów.

Na swój mało wyrafinowany sposób obywatele Ankh-Morpork byli niezwykle wyrafinowani, więc na ulicach panowała większa niż zazwyczaj krzątanina. Coś takiego musiało być istotne. Ważne sprawy będą rozstrzygane przy kanapkach. Decyzje dotyczące losów milionów i tym podobnych spraw będą prawdopodobnie zapadać w jakimś kątku, a wskutek tego świat stanie się trochę inny, zobaczycie, czy nie...

Jeśli ktoś nie dysponował zaproszeniem ze złoconymi brzegami, ten wieczór nie nadawał się na modne spóźnienie do opery, chyba że chciałby potem modnie stać na modnych tyłach, całkiem niemodnie wyciągając szyję, żeby zobaczyć głowy innych ludzi.

* * *

Przed zachodem słońca Vimes pokręcił się chwilę przy celi, z przyjemnością odpowiadając na przyjazny salut pilota przepływającego stateczku. Potem ruszył aleją do pubu i zajął miejsce na ławie przed wejściem. Wyjął tabakierę, przyglądał jej się przez chwilę, po czym uznał, że przy takiej okazji Sybil pozwoliłaby mu chyba na cygaro.

Przez dym pierwszego, rozkosznego zaciągnięcia spoglądał na wiejską łąkę, a zwłaszcza na kolumnę tego, co wyglądało na połamane wiklinowe plecionki. W jakiś sposób, choć bezgłośnie, ta sterta zdawała się do niego przemawiać, wołać - tak samo jak wtedy, kiedy pierwszy raz ją zobaczył. Kilka razy jeszcze wypuścił dym i skierował się do drzwi pubu. Jiminy powitał go promiennym uśmiechem spod świeżo wymalowanego szyldu „Pod Herbem Komendanta", gdzie z satysfakcją wypijał kufel piwa, jaki każdy oberżysta wypija każdego dnia, kiedy czyści rury i krany. To stare piwo, oczywiście, ale czym tak naprawdę jest piwo, jeśli nie płynnym chlebem? A chleb nie może przecież zaszkodzić.

- Wygląda pan na zamyślonego, komendancie - stwierdził Jiminy. - Odrobinę melancholii, jeśli wolno spytać?

Vimes skinął głową w stronę chwiejnej sterty.

-Jak ważne jest to coś, przyjacielu?

Barman zerknął na stos plecionek, jakby zupełnie go nie obchodził.

- No wie pan, to tylko stare wiklinowe płotki, nic więcej. Rzucają je tam po dorocznym targu owiec, żeby nie przeszkadzały. Taka ciekawostka, można powiedzieć, ale nie za bardzo.

- Aha... - mruknął Vimes. Czyli nic ważnego. A jednak sterta przemawiała do niego.

Popatrzył jeszcze chwilę, po czym wszedł za Jiminym do wnętrza.

- Ile macie tu brandy?

- Zapotrzebowanie nie jest wielkie, ale powiedziałbym, że znajdę pięć czy sześć butelek i małą baryłkę.

Jiminy patrzył w skupieniu na Vimesa. Vimes znał takich jak on: z całą pewnością mieli dość doświadczenia, żeby zawsze stanąć po zwycięskiej stronie. Wypuścił obłok dymu.

- Niech pan ze dwie dla mnie odłoży, dobrze? I lepiej niech pan dopilnuje, żeby mieć wpiętą beczkę z dobrym piwem, bo niedługo będzie tu masa klientów.

Zostawił barmana krzątającego się przy ladzie, a sam wrócił na zewnątrz i patrzył przed siebie. Jego umysł wędrował... Oczywiście, że się uda, tłumaczył sobie. Wszyscy mają zegarki i wiedział, że je zsynchronizują, nawet jeśli nie wiedzą, jak się pisze „synchronizacja". To w końcu akcja jak każda inna, sam szkoliłem większość z nich i chyba wiedzą, że jeśli ktoś powie „Pan nie wie, kim ja jestem", należy mu odpowiedzieć: „Ależ wiem: kimś, kto ma przerąbane".

Uśmiechnął się lekko, kiedy sobie uświadomił, że wśród ściągniętych tu z miasta funkcjonariuszy były dwa trolle, dwa wampiry, wilkołak i krasnolud. Można by to uznać za symboliczne, pomyślał. Wyjął z kieszeni własny zegarek w chwili, kiedy zaczęli się pojawiać pierwsi tęskniący za wieczornym kufelkiem.

Mniej więcej... teraz.

* * *

Wokół gmachu opery powozy zablokowały wszystkie drogi, kiedy przyszli słuchacze z wyższych i niższych klas porzucali je i ruszali dalej pieszo, przebijając się przez tłum innych, próbujących dostać się na spektakl. Oczywiście pomagało, jeśli ktoś miał ze sobą orszak trolli albo krasnoludów.

* * *

Ankh-Morpork lubiło niespodzianki, pod warunkiem że nie wiązały się z podatkami. Kurtyna nie miała się podnieść jeszcze przez godzinę, ale kto by się tym przejmował, skoro najważniejsze było, aby tutaj być, a jeszcze ważniejsze - by być widzianym, że się jest, zwłaszcza przez ludzi, których samemu chciało się zobaczyć. Cokolwiek tu zaplanowano, miało stać się wydarzeniem, a człowiek był tam obecny i ludzie go widzieli, a to było ważne, a więc on także!

Ta noc warta będzie zapamiętania, nawet jeśli się okaże, że o samym spektaklu lepiej zapomnieć. Naprawdę bogaci czasem z próżności organizowali takie występy, ale ten akurat wydawał się szczególnie tajemniczy, więc może będzie zabawnie, jeśli wszystko się posypie.

Dzień z wolna zmieniał się w noc. Pub się wypełniał, podobnie jak goście, którzy od Jiminy'ego dowiedzieli się, że piją dzięki uprzejmości komendanta Vimesa - znowu. Jiminy zresztą obserwował go uważnie z otwartych drzwi, gdy cienie się wydłużały, a Vimes wciąż stał nieruchomo, tylko od czasu do czasu zerkał na zegarek. W końcu zjawił się chłopak, którego wszyscy znali jako młodego Feeneya, z ręką wciąż na temblaku, ale - jak zgodzili się wszyscy starsi pomiędzy sobą - teraz wyglądał jakby bardziej dojrzale. Towarzyszył mu Jefferson, kowal, którego nawet w najlepszych chwilach uważali za tykającą bombę, a teraz miał odznakę, całkiem jak Feeney. Ludzie wylegli z pubu, kiedy Vimes cicho rozmawiał z tymi dwoma. Zastanawiali się, czemu Jefferson przyniósł megafon, ale teraz wręczył go Vimesowi, a potem obaj z Feeneyem ruszyli do pubu, a tłum gości się rozstąpił, by ich przepuścić.

Vimes znów spojrzał na zegarek. Coraz więcej ludzi spieszyło na łąkę. Ci, którzy posiadali instynkt dramatyzmu, biegli do domów, by zawiadomić, że coś się dzieje, więc lepiej chodźcie zobaczyć! Mieszkańcy wsi lubili spektakle, czy nawet poważne katastrofy, całkiem jak mieszkańcy miast. Chętnie potem powtarzali „Byłem przy tym", nawet jeśli brzmiało to czasem „Zech przy tym był, a co".

Vimes po raz ostatni schował zegarek do kieszeni i uniósł megafon do ust.

- PANIE I PANOWIE!

Kowal wyklepał całkiem przyzwoitą tubę i głos niósł się wyraźnie nad łąką.

- Słyszałem powiedzenie, panie i panowie, że na końcu wszystkie grzechy zostają wybaczone. - A samym kącikiem ust, tak żeby tylko Feeney i kowal mogli usłyszeć, dodał: - Jeszcze zobaczymy. - Po czym kontynuował: - Zdarzyło się wiele złego. Wydano złe rozkazy. Posłuchano złych rozkazów. Ale to już się nie powtórzy... prawda, panie i panowie? Ponieważ musi działać prawo, a zanim prawo zadziała, musi dojść do przestępstwa!

Zapanowała absolutna cisza, kiedy wśród zmierzchu przeszedł przez łąkę do wiklinowej sterty, rozbił dwie butelki brandy, cofnął
się o kilka kroków i rzucił za nimi rozżarzony niedopałek cygara.

* *

W sali opery rozmowy przycichły, a potem zamilkły, gdy lady Sybil wyszła przed kurtynę. Była kobietą, jak to mówią, o obfitych kształtach, choć miała wrażenie, że niektóre były nawet bardziej niż obfite. Jednakże stacją było na najlepszych krawców, prezentowała też maniery i opanowanie będące symbolem jej klasy, a przynajmniej klasy, w której się urodziła. Kiedy więc stanęła na scenie, przed kurtyną, oklaski

---

Wiele lat wcześniej ktoś powiedział, że zobaczyć, jak wyścielane łono lady Sybil wznosi się i opada, to zrozumieć historię imperiów.

zabrzmiały i narastały wyraźnie. Gdy uznała, że trwają już dostatecznie długo, wykonała niewielki gest, który magicznie uciszył audytorium.

Miała głos idealnie nadający się na takie okazje. W jakiś sposób potrafiła wywołać u każdego wrażenie, że mówi właśnie do niego.

- Lordzie Patrycjuszu - powiedziała. - Lady Margolotto, wasza ekscelencjo wicekrólu i panowie ambasadorowie, panie i panowie, jestem wzruszona, że wszyscy postanowiliście zjawić się na tym wieczornym soiree, zwłaszcza że byłam trochę nieuprzejma i bardzo oszczędnie zdradzałam informacje.

Tu lady Sybil odetchnęła głęboko, wskutek czego kilku starszych dżentelmenów w przednich rzędach niemal się popłakało*.

- W ostatnim czasie miałam szczęście odkryć muzyka, a właściwie muzyczkę niemającą równych, więc bez dalszych wstępów dopuszczę was do tej cudownej tajemnicy. Jeffrey, możemy przygasić światła? Dobrze. Panie i panowie, mam zaszczyt przedstawić wam dzisiaj Łzy Grzybów, która wykona własną kompozycję „Serenada zmierzchu". Mam nadzieję, że wam się spodoba, chociaż właściwie jestem o tym przekonana.

Kurtyna się rozsunęła, a lady Sybil zajęła miejsce na krześle obok Łez Grzybów siedzącej posłusznie przy koncertowej harfie.

Mimo niewzruszonego z pozoru opanowania serce Sybil uderzało szybko jak obcasy tancerki flamenco. Przyćmione światło - to było ważne. Dziewczyna nie powinna widzieć tych tysięcy na miejscach dla publiczności. Sybil ujęła ją za rękę w obawie, że nagłe wystawienie na zmasowane spojrzenie Ankh-Morpork, tak daleko od domu, może wywrzeć jakieś straszliwe skutki - ale nic się nie stało. Dziewczyna zachowała dziwny spokój, jakby nie zdawała sobie sprawy, że powinna być onieśmielona. Uśmiechnęła się do Sybil tym swoim dziwnym uśmiechem i czekała, unosząc palce nad strunami.

Jedynym słyszalnym dźwiękiem był szeleszczący pomruk ludzi, pytających się nawzajem, kim jest ta dziwna, niewielka istota. Lady Sybil uśmiechnęła się dyskretnie. Zanim to zrozumieją, będzie już za późno.

Spojrzała na zegarek.

* * *

Płomienie wzniosły się tak wysoko nad posiadłościami Ram- kinów, że ich blask z pewnością widać było aż w Ankh-Morpork (można by się nawet założyć o garniec brandy i kawał turbota). Wiatr niemal całkiem ucichł i ognisko jaśniało niczym latarnia morska.

Vimes zwrócił się do zebranych wokół gapiów.

- Panie i panowie, obszar znany jako Włości znalazł się dzisiaj pod rządami prawa, a rozumiem przez to właściwe prawo, spisane tak, by każdy mógł je zobaczyć, a nawet zmienić, jeśli dostatecznie wielu ludzi się zgodzi. Starszy funkcjonariusz Upshot oraz funkcjonariusz Jefferson korzystają chwilowo ze wsparcia swoich kolegów ze Straży Miejskiej Ankh-Morpork, którzy chcą się upewnić, że ich koledzy cieszą się należnym szacunkiem. W tej chwili pewna liczba osób z Włości jest prowadzona tutaj z całą uprzejmością, choć być może ku ich przerażeniu. Niektórzy z nich to ludzie, którzy określają się jako wasi rajcy; zostaną poproszeni, by wyjaśnili prawnikowi, na jakiej zasadzie zajmują te stanowiska. Jeśli ktokolwiek z was chciałby zaprotestować, niech wystąpi i to zrobi. Prawo ma być dla ludzi, nie odwrotnie. Kiedy zacznie być odwrotnie, nie wahajcie się chwytać za broń, rozumiecie? Piwo nadal jest darmowe, ALE ZANIM SIĘ ZADEPCZECIE, JEST JESZCZE JEDNA SPRAWA!

Vimes znów musiał przytknąć megafon do ust, ponieważ wymienione jednym tchem słowa „piwo" i „darmowe" mają ożywcze działanie na słuchaczy.

- Panie i panowie, w tej chwili gobliny z Szubienicznego Wzgórza, jak również wszystkie gobliny w tej okolicy, znajdują się pod moją ochroną i pod ochroną prawa. Muszą też go przestrzegać i zadbam o to, żeby miały własną formację policyjną. Wydaje się, że są urodzonymi operatorami sekarów, więc jeśli zechcą, mogą uzyskiwać dochód z tej pracy. Sam zapłacę za to, żeby tę tymczasową wieżę sekarową zamienić na stałą konstrukcję. Przyniesie korzyści i wam, i im. Nie będą musiały kraść kur, bo będą mogły je od was kupować, jeśli jednak spróbują je podkradać, będzie to przestępstwo i tak zostanie potraktowane. Jedno prawo, panie i panowie... Takie samo dla wszystkich.

Odpowiedziały mu oklaski tak głośne, jak dowolne oklaski w pobliżu bezpłatnego alkoholu. Oczywiście, pewna ich część mogła wynikać z satysfakcji, że wreszcie jest na świecie jakaś sprawiedliwość, ale ogólnie zwycięstwo należało się prawdopodobnie alkoholowi. Nie trzeba być cynikiem, wystarczy, że rozumie się ludzi.

Vimes ruszył wolno w stronę jasno oświetlonego pubu, chociaż szanse dostania się do wnętrza były znikome. Natomiast szansa zdobycia uścisku panny Felicity Beedle wynosiła sto procent, ponieważ pisarka właśnie to uczyniła, obserwowana z zakłopotaniem przez kowala.

- Jest pan wielkim człowiekiem, komendancie - powiedziała. -Mam nadzieję, że wystawią panu pomnik.

- Oj, mam nadzieję, że nie! Człowiek dostaje pomnik dopiero wtedy, kiedy już umrze. - Roześmiała się, ale Yimes mówił dalej: - Proszę mnie posłuchać, panno Beedle. W tej chwili nie wiem, czy czeka mnie pomnik, czy wyrzucenie z pracy. Niektóre z moich metod były całkiem zgodne z prawem, podczas gdy inne wydają się nieco... dyskusyjne. Mam u siebie funkcjonariusza, który z liczbami potrafi zrobić to, co sierżant Detrytus z młotem, a teraz przegląda on księgi syna jednego z najbardziej wpływowych ludzi w Ankh-Morpork. Równocześnie doświadczeni funkcjonariusze policji odwiedzili domy wszystkich tutejszych rajców. Okażą im dokument z moją pieczęcią informujący, że nie są już członkami tej samozwańczej rady. Uprzedzą również, że mogą im być postawione dalsze zarzuty. Moje usprawiedliwienie tych działań powinno być skuteczne, ale to raczej kwestia tego, kto ma lepszych prawników. Przyszłość, panno Beedle, pozostaje raczej niepewna. Muszę jednak przyznać, że dzięki pani Młody Sam zostanie prawdopodobnie światowej klasy ekspertem od kupek. Oczywiście jego matka i ja jesteśmy bardzo dumni i mamy tylko nadzieję, że odkryje u siebie wyższe aspiracje.

W oddali turkotały już wozy i karety - odgłos gołębi wracających na domowe grzędy.

- Myślę, że niedługo będę musiał porozmawiać z wieloma osobami, panno Beedle, choć podejrzewam, że one wolałyby ze mną nie rozmawiać.

- Oczywiście, komendancie. Chcę tylko dodać, że gobliny wydają się bardzo przywiązane do pańskiego kaprala Nobbsa. Traktują go wręcz jak jednego ze swoich, a on chyba bardzo polubił Lśnienie Tęczy, podobnie jak ona jego. Może pana zaciekawi, że jego goblinie imię brzmi Puszczany Wiatr.

Nie uśmiechnęła się, więc Vimes odparł z powagą:

- Tak, bardzo celne. Zawsze uważałem go swego rodzaju ochraniacz przed przeciągami. Prawdę mówiąc, na wyraźną sugestię mojej żony na czas pobytu tutaj awansowałem go do stopnia sierżanta. Mam nadzieję, że pomoże goblinom zrozumieć korzyści ze stosowania prawa... Choć oczywiście może to poskutkować tym, że kury będą teraz kradzione bardziej fachowo.

- Och, żartowniś z pana, komendancie.

Vimes teraz nie zmienił wyrazu twarzy.

- Tak, prawda?

Zwrócił się do Jeffersona.

- Wiesz, wszystko byłoby o wiele łatwiejsze, gdybyś zaufał mi na początku.

Kowal wzruszył ramionami.

- Czemu miałbym panu ufać? Jest pan klasą posiadającą.

- A teraz mi ufasz?

Wzrok kowala pozostał nieruchomy przez czas dłuższy, niż Vimesowi odpowiadało, ale w końcu Jethro się uśmiechnął.

- Tak, na razie.

Na to istniała tylko jedna możliwa reakcja.

- Odpowiedź godna policjanta, a znam się na tym - stwierdził Vimes także z uśmiechem.

Kiedy panna Beedle z kowalem oddalili się wolno, za plecami Vimesa ktoś grzecznie odchrząknął. Vimes obejrzał się i rozpoznał zmartwione oblicze pułkownika.

- Ma pan chwilkę, komendancie?

Ojoj, pomyślał Vimes.

- Muszę najpierw zaznaczyć, komendancie, że zdecydowanie zgadzam się z tym, co pan tu robi, i niebiosa świadkiem, że należało to zrobić już dawno. - Pułkownik chrząknął znowu. - W tym miejscu nie znajdzie pan we mnie oponenta.

Vimes czekał spokojnie.

- Moja żona to dość niemądra kobieta - podjął pułkownik - która najwyraźniej wielbi różne tytuły i, jeśli mogę stwierdzić, mocno zadziera nosa. Jej ojciec był rybakiem, znakomitym rybakiem, ale wie pan co? Ona chyba prędzej by umarła, niż pozwoliła, żeby ktoś się o tym dowiedział.

Znowu urwał i w czerwonym blasku ognia Vimes widział lśnienie wilgoci na jego twarzy.

- Co się z nią stanie, komendancie? W tej chwili dwie uprzejme młode damy w mundurach Straży Miejskiej Ankh-Morpork pilnują jej w naszym domu. Nie wiem, czy to w czymkolwiek pomoże, ale kiedy przyszły ją aresztować, poczęstowała je herbatą. Rozumie pan, istnieje coś takiego jak dobre maniery. Czy trafi do więzienia?

Vimes miał ochotę zapytać: „A chciałby pan, żeby tam trafiła?", ale powstrzymał się z powodu łez starca.

- Charles, prawda?

Pułkownik zdziwił się wyraźnie.

- Właściwie, komendancie, to dla przyjaciół Chas.

- A należę do nich? - spytał Vimes. - Inni zdecydują, jakie podjąć działania. Ja tylko dopilnowałem, żeby nikt niechcący gdzieś nie wyjechał, zanim będę miał okazję z nim porozmawiać. Rozumie pan? Nie jestem sędzią i nie pozwolą mi zasiąść w ławie przysięgłych. Glinom nie wolno. W tej chwili nie jestem nawet pewien, jaka kara grozi za bycie głupim, próżnym i bezmyślnym, choć mam wrażenie, że gdyby zamykać w więzieniu każdą osobę winną tych wykroczeń, musielibyśmy ich zbudować jeszcze z pięćset.

Zastanowił się.

- Chciałbym, żeby mordercy, jeśli takich znajdę, byli uznani i potraktowani jak mordercy, a wystraszeni i bezmyślni wykonawcy poleceń również dostali, na co zasługują. Wyznam, że nie chciałbym żyć w świecie skończonych durniów. Osobiście nie zależy mi na posyłaniu pańskiej żony do

więzienia, choć podejrzewam, że gdyby trafiła na oddział kobiecy w Tantach, jej horyzonty zostałyby z pożytkiem poszerzone; spodziewam się też, że tak apodyktyczna dama by tam zaczęła rządzić już po paru tygodniach.

- Ciągle ją kocham - wyznał pułkownik. - Jesteśmy małżeństwem od pięćdziesięciu pięciu lat. Bardzo mi przykro, że miał pan kłopoty, i jak już powiedziałem, zazdroszczę panu pracy.

- Myślę, że chyba powinienem zazdrościć jej takiego małżonka - stwierdził Vimes. - Pułkowniku, będę zadowolony, jeśli prawda wyjdzie na jaw, w miarę możliwości na pierwszej stronie „Pulsu Ankh-Morpork", jeśli pan mnie rozumie.

- Absolutnie, komendancie.

Vimes spojrzał z góry na staruszka, który w tej chwili chyba odczuwał ulgę.

- To tylko moja opinia, ale sądzę, że lord Vetinari zechce zademonstrować swoje wsparcie i pewnie wymierzy kilka symbolicznych kar. Widzi pan, zbyt wiele jest szkieletów ukrytych w zbyt wielu szafach. Zbyt wiele spraw na tym świecie, które niekiedy wydarzyły się zbyt dawno. Co właściwie można zrobić, jeśli jakiś gliniarz je wygrzebuje? Nazywa się to *Realpolitik,* pułkowniku, podejrzewam więc, że nie na długo utraci pan towarzystwo żony. I jeśli dobrze to oceniam, znaczy to, że może pan jeść na kolację właściwie wszystko, na co ma pan ochotę, jeszcze przez mniej więcej tydzień.

Ta myśl wyraźnie poprawiła pułkownikowi nastrój.

- Wie pan, komendancie, jestem pewien, że jeśli potraktuję je z szacunkiem, to zapiekane krewetki mogą się okazać moimi serdecznymi przyjaciółmi.

Wyciągnął rękę. Vimes ją uścisnął.

- *Bon apetit* - powiedział.

* * *

Później podawano kilka różnych wyjaśnień faktu, że powóz aresztancki z Quirmu, przewożący bardzo ważnego więźnia, przewrócił się w środku nocy i stoczył z bardzo stromego zbocza, po drodze rozpadając się na kawałki. Można winić za to ciemność, można winić mgłę, można winić prędkość, a przede wszystkim można winić ekspresowy dyliżans pocztowy z Ankh- -Morpork, który na zakręcie doprowadził do kolizji. Zanim ranni znaleźli się w stanie umożliwiającym zrozumienie tego, co zaszło, brakowało jednego więźnia, który najwyraźniej wytrychem otworzył kajdany, natomiast przybył jeden strażnik z poderżniętym gardłem.

Było ciemno, było zimno, było mgliście, więc ocaleni kulili się razem i czekali na świt. W końcu jak można znaleźć człowieka po ciemku?

* * *

Stratford był szybki. Szybkość zawsze jest użyteczna, więc trzymał się ledwie widocznej drogi. Nie miało właściwie znaczenia, dokąd idzie - wiedział przecież, że nikt nigdy nie podał jego rysopisu, który by w czymkolwiek pomógł. To prawdziwy dar być kimś nieopisywalnym.

Po chwili ze zdziwieniem i radością usłyszał konia idącego truchtem drogą za nim. Jakiś dzielny wędrowiec, pomyślał, uśmiechnął się we mgle i czekał. Ku jego dalszemu zdziwieniu koń został zatrzymany w pewnej odległości, a jeździec zsunął się z siodła. Stratford z trudem dostrzegł jego sylwetkę w migotliwej, wilgotnej mgle.- Coś podobnego! Toż to słynny pan Stratford! - zabrzmiał uprzejmy głos, kiedy obcy zbliżał się coraz bardziej. - I może od razu uprzedzę, że jeśli wykona pan jakiś ruch, będzie pan tak martwy, że cmentarze zaczną oddawać bardziej żywych.

- Znam cię! Vimes cię za mną posłał?

- Ależ skąd, sir, nigdy w życiu! - obruszył się Willikins. - Komendant nie ma pojęcia, że tu jestem, sir, i nigdy się nie dowie. To pewne. Nie, sir, znalazłem się tutaj, prawdę mówiąc, z powodu zawodowej dumy. A przy okazji, sir, jeśli myśli pan, żeby mnie zabić i zabrać mojego konia, będę niezwykle wdzięczny, jeśli spróbuje pan od razu.

Stratford się zawahał. Ten głos prowokował wahanie. Był spokojny, przyjazny i... niepokojący.

Willikins podszedł bliżej, a w jego tonie zabrzmiała wesołość.

- Przyznam szczerze, sir, że sam trochę walczyłem, i kiedy usłyszałem, jak pan poharatał tę dziewczynę i w ogóle, to pomyślałem, wielkie nieba, tak pomyślałem. Więc gdy niedawno miałem dzień wolny... taki dzień wolny jest bardzo ważny dla człowieka pracy... wybrałem się do Nawisu i dowiedziałem się o panu kilku faktów, słowo daję, dowiedziałem się. Naprawdę przeraża pan ludzi, co?

Stratford wciąż się wahał. Ten człowiek miał szczery, miły głos, jak ktoś obcy, z kim prowadzi się pogawędkę w pubie, a Stratford był raczej przyzwyczajony do tego, że kiedy ludzie próbują z nim rozmawiać, stają się bardzo nerwowi.

- Weźmy mnie - ciągnął Willikins. - Ulica wychowała mnie do walki i walczę nieczysto, może pan na to liczyć. Stanę do walki z każdym, ale nigdy nie uderzyłem dziewczyny... No, oprócz Pokręconej Elsie, ale ona zawsze była chętna do takich zabaw; trzymała mnie za... nie mam zamiaru wspominać za co, a ręce miałem związane w więcej niż jednym znaczeniu, więc musiałem solidnie ją szturchnąć stopą. Piękne dni... Ale pan? Pan jest zwykłym zabójcą. Bezwartościowym. Dręczycielem. Ja walczę, ponieważ mogę zginąć, a ten drugi może zwyciężyć, albo obaj skończymy w rynsztoku, za słabi, żeby wyprowadzić jeszcze jeden cios, po czym prawdopodobnie, podpierając się nawzajem, pójdziemy do pubu na drinka i żeby się umyć.

Podszedł jeszcze o krok. Stratford o krok się cofnął.

- Natomiast pan, panie Stratford, chciał zabić synka komendanta Vimesa. A wie pan, co jest jeszcze gorsze? Tak myślę, że gdyby pan to zrobił, komendant by pana aresztował i zawlókł na najbliższy posterunek policji. Ale wewnątrz sam siebie by ciął malutkimi ostrzami, od góry do dołu. Robiłby to, bo ten nieszczęśnik boi się, że mógłby być taki zły jak pan, panie Stratford. - Willikins zaśmiał się głośno. - Tymczasem, panie Stratford, z mojego punktu widzenia on jest jak chłopak ze świątynnego chóru, naprawdę. Tylko że, widzi pan, musi być na tym świecie jakaś sprawiedliwość, niekoniecznie prawna sprawiedliwość, ale sprawiedliwa sprawiedliwość, i dlatego właśnie mam zamiar pana zabić. Chociaż, jako człowiek uczciwy, daję panu szansę, by pan zabił mnie pierwszy. To oznacza, że jeden albo drugi z nas zginie, czyli cokolwiek się zdarzy, świat stanie się lepszy, prawda? Może pan to nazwać... sprzątaniem. Wiem, że ma pan broń, ponieważ w przeciwnym razie by pan uciekł, dlatego podejrzewam, że zdobył pan miecz któregoś z tych biedaków z Quirmu, i mógłbym ręczyć, że w zamieszaniu prawdopodobnie go pan nim zabił.

- Owszem - przyznał Stratford. - A on był gliną, natomiast ty jesteś zwykłym kamerdynerem.

- Szczera prawda - zgodził się Willikins. - Jestem też dużo starszy od pana, cięższy od pana i wolniejszy od pana, choć nadal żwawy. Co ma pan do stracenia?

Tylko koń, parujący cierpliwie we mgle, widział, co zaszło potem, ale jako koń nie miał możliwości wyrażenia swojej opinii w tej kwestii. Gdyby jednak potrafił to uczynić, stwierdziłby, że jeden człowiek pobiegł w stronę drugiego człowieka, niosąc wielki metalowy kij, podczas gdy ten drugi człowiek całkiem spokojnie sięgnął do kieszeni na piersi. Później rozległ się straszny wrzask, odgłos bulgotania i cisza.

Willikins przeszedł chwiejnie na pobocze i nieco zdyszany usiadł na kamieniu. Stratford rzeczywiście był szybki, nie można zaprzeczyć. Willikins otarł rękawem czoło, wyjął paczkę papierosów i zapalił jednego, wpatrując się we mgłę. Potem wstał i zerknął na cień na drodze.

- Ale nie dość szybki - powiedział.

Potem, jako dobry obywatel, zawrócił, by sprawdzić, czy może w czymś pomóc pechowym dżentelmenom reprezentującym prawo, którzy najwyraźniej mieli kłopoty. Zawsze należy pomagać dżentelmenom reprezentującym prawo. Jaki byłby świat, gdyby nie oni?

Szef działu redakcji „Pulsu Ankh-Morpork" naprawdę nie znosił poezji. Był prostym człowiekiem i znaczną część swojej zawodowej kariery poświęcił na to, by nie dopuszczać jej na łamy pisma. Ale poeci to cwane bestie, zawsze gotowi ją przemycić, gdy redaktor na chwilę się odwróci. A dziś wieczorem, kiedy praca była już tak spóźniona, że chłopcy na dole wyrabiali nadgodziny, patrzył na recenzję dostarczoną osobiście przez Knatchbulla Harringtona, krytyka muzycznego.

Spojrzał na swojego zastępcę i z irytacją pomachał kartką.

- „Skądże napłynęła owa muzyka eteryczna?". Rozumiesz, o co mi chodzi? Co jest złego w „Skąd się bierze muzyka?". To zresztą i tak głupie zdanie otwierające. A właściwie co to znaczy „eteryczna"?

-Taka niby wietrzna... ale mogę się mylić.

Redaktor był załamany.

- Stanowczo poezja!

Ktoś zagrał jakąś muzykę, która okazała się bardzo dobra. Najwyraźniej wszyscy byli zachwyceni. Dlaczego ten dureń w tych swoich dość kobiecych fioletowych koszulach po prostu tego nie napisał? Przecież w tych dwóch zdaniach było wszystko, co czytelnik powinien wiedzieć, prawda?

Wyjął czerwony ołówek, ale kiedy już chciał dotknąć nim nieszczęsnego rękopisu, na metalowych schodach zabrzmiały kroki i do biura wpadł redaktor naczelny, pan de Worde. Wyglądał, jakby zobaczył ducha, a może jakby to duch jego zobaczył.

- Czy Harrington przysłał swój tekst? - zapytał nerwowo.

Redaktor zademonstrował mu kłopotliwy materiał.

- Tak, szefie. Kupa bzdur, moim zdaniem.

De Worde chwycił kartkę, przeczytał, poruszając wargami, i oddał redaktorowi.

- Nawet nie próbuj zmienić tu choćby jednego słowa! Na pierwszą stronę, Bugsy, i naprawdę mam nadzieję, że Otto zabrał tam ikonograf.

- Tak jest, szefie, ale, szefie...

- I żadnej dyskusji! - huknął de Worde. - A teraz przepraszam, będę u siebie w gabinecie.

Tupiąc głośno, wbiegł po schodach, a redaktor i jego zastępca raz jeszcze smętnie przeczytali recenzję Knatchbulla Harringtona. Zaczynała się tak:

> Skądże napłynęła owa muzyka eteryczna, z jakiej ukrytej groty czy tajemnej celi? Z jakiej mrocznej jaskini? Z jakiego okna raju? Patrzyliśmy na drobną figurkę w świetle reflektora, a muzyka spływała na nas, czasem kojąca, czasem błogosławiąca, czasem oskarżycielska. Każdy z nas musiał stanąć twarzą w twarz z upiorami, demonami i dawnymi wspomnieniami. Recital Łez Grzybów, młodej damy gobliniej proweniencji, trwał zaledwie pół godziny, a może raczej trwał całe życie, a potem dobiegł końca i zapadła cisza, która narastała i rozprzestrzeniała się, aż wreszcie eksplodowała. My, słuchający, powstaliśmy wszyscy, biliśmy brawo do bólu dłoni i łzy spływały nam po twarzach. Zostaliśmy zabrani do innego świata, a potem ściągnięci z powrotem jako inni ludzie, pełni tęsknoty za kolejną wyprawą do raju, niezależnie od tego, w jakim piekle mielibyśmy pokutować po drodze.

Główny redaktor i jego zastępca spoglądali na siebie z czymś, co Knatchbull nazwałby z pewnością „szaleńczym podejrzeniem". Aż wreszcie zastępca redaktora zaryzykował.

- Chyba mu się podobało - stwierdził.

* * *

Minęły trzy dni, dla Vimesa bardzo pracowite. Musiał wejść w rytm, chociaż tak naprawdę musiał raczej przejść z jednego rytmu w drugi, a oba nie były przesadnie rytmiczne. Tyle papierów do przeczytania! Tyle papierów do odłożenia na bok! Tyle papierów do przekazania komuś innemu! Tyle papierów do udawania, że wcale ich nie otrzymał i mogły je zjeść gargulce...

Natomiast dzisiaj w Podłużnym Gabinecie lord Vetinari bliski był wybuchu gniewu, choć trzeba było bardzo dobrze go znać, by to zauważyć.

Bębnił palcami po biurku.- Snarkenfaugister? Jestem pewien, że to wymyśliła!

Drumknott ostrożnie postawił na biurku filiżankę kawy.

- Niestety, panie, naprawdę istnieje takie słowo. W Nictofior- dzie oznacza wytwórcę niewielkich, lecz koniecznych przedmiotów, takich jak drzazgi do zapalania świec, bardzo małe klamerki do bielizny, do użytku pod dachem, albo o połowę krótsze patyczki do koreczków koktajlowych dla ludzi, którzy nie piją koktajli. Określenie to można uznać raczej za historyczne, gdyż w czasie dzisiejszych porannych badań odkryłem, że ostatni znany snarkenfaugister zmarł dwadzieścia siedem lat temu wskutek dziwacznego wypadku z temperówką. Prawdę rzekłszy, wnioskuję z tego, że pańska krzyżówkowa przeciwniczka sama pochodzi z Nicto- fiordu.

-Aha! Chyba trafiłeś! Te długie zimy, kiedy siedzą przy piecu! Co za przerażająca cierpliwość! Ale przecież ona prowadzi sklep dla zwierząt przy Błonnych Schodach! Psie obroże! Kocie chrupki! Chrząszcze! Co za przewrotność! Co za przebiegłość! Jakież słownictwo! Snarkenfaugister!

- Jest teraz główną układaczką krzyżówek dla „Pulsu", więc przypuszczam, że takie słowa to jej specjalność.

Vetinari się uspokoił.

-Jeden pionowo, jeden poziomo. Ona wygrała i stoi, a ja leżę. Na szczęście rzadko się irytuję, Drumknott. Moim atutem jest zwykle chłodna, choć cyniczna obojętność. Mogę zmieniać losy narodów, ale tutaj zostałem pokonany przez najwyraźniej niewinną damę, która układa krzyżówki!

Drumknott pokiwał głową.

- Rzeczywiście, ale trzymając się tego tematu, jeśli pozwoli mi pan go nieco rozwinąć, chciałbym przypomnieć, że w sąsiednim pokoju czeka komendant Vimes.

- Naprawdę? Wprowadź go, naturalnie.

Vimes wmaszerował, zasalutował prawie sprężyście i stanął na baczność.

- Ach, wasza łaskawość, jakże miło znów wreszcie pana zobaczyć. Jak minęły wakacje, poza bezprawnymi akcjami, działalnością *ad hoc,* walkami, pościgami zarówno po lądzie, jak i morzu, a także po wodzie słodkiej, nieautoryzowane wydatki oraz, oczywiście, puszczanie wiatrów na salonach ludzi potężnych?

- Drobny szczegół, wasza lordowska mość: nie puszczałem wiatrów, choć mogłem mimowolnie podłubać w nosie.

- Wymagania służby, jak przypuszczam - mruknął kwaśno Vetinari. - Vimes, z twojego powodu na moje biurko trafiła w ostatnich dniach znaczna liczba rozmaitych pism. W niektórych przypadkach piszący żądali twojej głowy na tacy, inni byli bardziej rozważni. A to dlatego, że wszyscy odczuwali śmiertelny strach przed więzienną celą. Ale chciałbym jedną sprawę wyjaśnić ponad wszelką wątpliwość: prawo nie może działać retrospektywnie. Gdyby mogło, nikt z nas nie byłby bezpieczny. Lord Rust junior mógł popełnić, a właściwie popełnił, wiele złych uczynków, ale sprzedawanie goblinów w niewolę w obecnym systemie prawnym nie może być jednym z nich. Podejrzewam jednak, że ostatnie rewelacje dotyczące jego ubocznej działalności bardzo znacząco nie poprawiły mu reputacji. Może o tym nie wiesz, Vimes, ale w towarzystwie coś takiego może być gorsze od więzienia, możliwe, że gorsze od wyroku śmierci. Miody Gravid jest teraz człowiekiem nieposiadającym wielu przyjaciół. Mam nadzieję, że sprawi ci to niejaką satysfakcję.

Vimes milczał, ale pomyślał: Bila wpadła.

Vetinari przyjrzał mu się posępnie.

- Mam tutaj elokwentne przesłanie od lorda Rusta seniora, w którym błaga on o życie, jeśli już nie o wolność swego syna, co do którego przyznaje, że honor rodu wdeptał w błoto. - Patrycjusz uniósł dłoń. - Jego lordowska mość jest już wiekowy, Vimes, więc jeśli twoja najbliższa uwaga miała wyrażać coś w sensie „nawet głębiej", to sugeruję, żebyś okazał nieco miłosierdzia. Lordowi bardzo zależy, by uniknąć skandalu. A co do innych kwestii, czy mogę poznać twoją opinię?

- Owszem. Skandal już się wydarzył, sir, i to niejeden raz - odparł chłodno Vimes. - Ten człowiek handlował żywymi, oddychającymi, myślącymi istotami. Wiele z nich zmarło!

- Raz jeszcze, Vimes, muszę ci przypomnieć, że prawo nie działa retrospektywnie.

- To możliwe. Ale co z dzieciakami trolli, które brały to świństwo? Zapyta pan diamentowego króla, czy one powinny być retrospektywne?

- Mogę cię zapewnić, Vimes, że prawo będzie przestrzegane, a skoro już pytasz, to w tej chwili muszę negocjować z królem, który żąda... ode mnie żąda, Vimes, ode mnie!... żeby przekazać im młodego lorda Rusta w celu przesłuchania w sprawie produkcji i dystrybucji absolutnie śmiertelnych trollowych narkotyków. Oczywiście, zgodnie z prawem trolli ten nędznik będzie skazany na śmierć, a ja ze smutkiem muszę stwierdzić, iż w obecnym złożonym świecie ludzkiej, trollowej i krasnoludziej polityki miałoby to długoterminowe reperkusje, przez co jest dla miasta dość nieszczęśliwą opcją. Muszę więc negocjować w tej sprawie i wierz mi, trzeba będzie bardzo wiele *quid* dla *pro quo.* A przecież jest dopiero dziewiąta trzydzieści rano.

Kostki palców Vimesa poczerwieniały.

- To są żywe istoty, które potrafią mówić i myśleć, mają pieśni i imiona, a on je traktował jak jakieś narzędzia jednorazowego użytku!

- Rzeczywiście, Vimes, ale jak już wspomniałem, gobliny zawsze były traktowane jak swego rodzaju robactwo. Jednakże Ankh-Mor- pork, królestwo dolnego króla, a także diamentowego króla,

Uber- wald, Lancre i wszystkie niezależne miasta na równinach wprowadzają właśnie prawo stwierdzające, że gobliny są od tej chwili uważane za istoty świadome, równe, choć nie identyczne, trollom, krasnoludom, ludziom, wilkołakom et cetera, et cetera, podległe temu, co nazwałbyś pewnie prawami zwyczajowymi, ale też przez nie chronione. To znaczy, że zabicie któregoś z nich zagrożone jest karą główną. Wygrał pan, komendancie, wygrał pan. Z powodu pieśni, komendancie. Och, oczywiście, także dzięki innym wysiłkom, ale pańska żona sprowadziła większość ambasadorów na ten spektakl, który, muszę to podkreślić, był czystą elokwencją. Jednak prawdę mówiąc, Vimes, czuję się zawstydzony. Człowiek całe życie intryguje, negocjuje, daje i bierze, smaruje skrzypiące koła i ogólnie robi, co może, by ten stary i poobijany świat nie rozpadł się na kawałki. A teraz, z powodu muzyki, Vimes, z powodu kawałka muzyki kilka bardzo potężnych krajów zgodziło się działać wspólnie, by rozwiązać problemy innego niezawisłego kraju i niemal niechcący jednym pociągnięciem zmienić niektóre zwierzęta w ludzi. Potrafisz to sobie wyobrazić, Vimes? W jakim świecie coś takiego mogłoby się zdarzyć? I wszystko z powodu jednej pieśni o zmierzchu, Vimes. Wszystko z powodu pieśni. Była zbudowana z dziwnie brzęczących tonów i niewiarygodnych kadencji, które jakoś odnalazły drogę do naszych dusz, przypominając niektórym z nas, że je mamy. Lady Sybil warta jest tuzina dyplomatów. Jest pan szczęśliwym człowiekiem, komendancie.

Vimes otworzył usta, by odpowiedzieć, ale Vetinari nie czekał.

-Ale też durniem, przeklętym i upartym durniem. Prawo musi się zacząć od przestępstwa? Rozumiem, lecz się nie godzę. - Vetinari podniósł list z blatu. - Lord Rust prosi, by jego syn otrzymał rozsądnie krótki wyrok, po czym zyska zgodę na emigrację do Czteriksów, gdzie zacznie nowe życie. Ponieważ człowiek ten zamieszany był w przemyt, grzywna będzie bardzo wysoka.

Uniósł rękę.

- Nie, proszę mnie wysłuchać, w końcu to ja tutaj jestem tyranem. - Vetinari osunął się na fotel i otarł czoło. - Poza tym już raz straciłem panowanie nad sobą z powodu całkiem nieszkodliwej i miłej starszej pani, która układa krzyżówki dla „Pulsu". W każdym razie, Vimes, lord Rust pisze o tobie jako człowieku honorowym i prawym, zadziwiająco czujnym i rzetelnym. Co więcej, wydziedzicza swojego syna, co oznacza, że po jego śmierci tytuł przejdzie na córkę Reginę, kobietę porywczą, o bardzo trudnym i wybuchowym temperamencie. A to, Vimes, rodzi dla mnie kolejny problem. Jego lordowska mość jest niezwykle wątłego zdrowia i szczerze wyznam, że czekałem już, aż będę mógł załatwiać sprawy z jego synem, który jest ignoranckim, aroganckim i nadętym idiotą. Ale jego siostra jest inteligentna! - Po czym, jakby do siebie, Vetinari dodał cicho: - Przynajmniej nie układa krzyżówek... A teraz może pan mówić, komendancie.

- Popełniono morderstwo - stwierdził ponuro Vimes.

Vetinari westchnął ciężko.

- Nie, Vimes! To był ubój! Nie rozumiesz? W owej chwili gobliny były robactwem i nie, nie krzycz na mnie! W tym momencie, właśnie teraz, w pałacach i kancelariach na całym świecie gobliny stają się ludźmi, takimi jak ty czyja, ale to było wtedy. I chciałbym, żebyś w pełni zdał sobie sprawę z faktu, że powód, dla którego Stratford trafiłby pod czułą opiekę pana Troopera, jest ten, że on i jego zbóje weszli na pokład „Wielkiej Pipki"... Tak, o co chodzi?

Vetinari obejrzał się, gdy Drumknott stuknął go w ramię i szepnął coś do ucha. Vetinari odchrząknął.

- Oczywiście chodziło mi o „Piękną Pipkę". - I nie do końca patrząc Vimesowi w oczy, mówił dalej: - Był to akt piractwa, a dobrzy ludzie z Quirmu, gdzie... rzeczona jednostka była zarejestrowana, wszyscy popierają wymierzanie za takie czyny kary śmierci. Zdaję sobie sprawę z jego licznych zbrodni, ale niestety, człowieka można powiesić tylko raz. Chociaż, jak się okazało, pan Stratford został śmiertelnie ranny w wypadku na drodze, trzy dni temu; wstrząs odrzucił go na sporą odległość od wraku powozu, z chirurgicznie poderżniętym gardłem. Wygodne, nie sądzi pan?

- Proszę nie patrzyć na mnie w ten sposób... sir!

- Wielkie nieba, Vimes, przecież cię nie oskarżam. Zastanawiałem się tylko, czy znasz może jeszcze jakieś osoby żywiące urazę do trupa?

- Nie, sir. - Vimes stanął na baczność.

- Wiesz, Vimes, czasem twoja twarz wydaje się tak drewniana, że można by z niej zrobić stół. Powiedz mi jedno: wydawałeś jakieś instrukcje?

Jak on to robi? - myślał Vimes. No jak?

- Nie wiem, o czym pan mówi, sir, ale jeśli to, co podejrzewam, jest prawdą, to odpowiedź brzmi: nie. Gdyby owej nocy miała miejsce jakaś nieczysta gra, to nie z mojego polecenia. Ja chciałem zobaczyć Stratforda na szubienicy. To jest legalne!

I pomyślał: Nigdy nie poruszę tego tematu z Willikinsem.

Vetinari uniósł brwi, a Vimes podjął:

-Jednakże ten nikczemny syn jego lordowskiej mości uzyskał zgodę, by wyjechać na długie wakacje, gdzie czeka słońce, morze, fale, piasek i wina w ekonomicznych cenach! - Uderzył pięścią w blat biurka, a Vetinari patrzył na nią znacząco, aż Vimes cofnął rękę. - I tak chce pan zostawić tę sprawę, sir?

- Znane są przypadki, jak to mówią, że lampart zmienia swoje cętki. Wszyscy żywimy nadzieję na niewielkie odkupienie, zasłużone czy nie. Będziemy mieć oko na tego młodego durnia, możesz być tego pewien.

-Ach, posyła pan za nim mrocznych referentów?

- Vimes, wszyscy wiedzą, że mroczni referenci to mit. Szczerze mówiąc, jakiś urzędas z naszej ambasady będzie zwracał uwagę na jego działania. I oto świat stał się lepszy, komendancie. Nie ma pan pojęcia, naprawdę nie ma pojęcia o wszystkich układach, strategiach i wszystkich niewidzialnych rozgrywkach, jakich niektórzy z nas używają, starając się, by taki już pozostał. Nie warto szukać perfekcji, ona nie istnieje. Możemy tylko do niej dążyć. Proszę to zrozumieć, komendancie, ponieważ z mojego punktu widzenia nie ma pan żadnej alternatywy. I proszę pamiętać, gdyż wydarzenia tego tygodnia będą pamiętane. Lordowi Rustowi może się to nie podobać, ale wieści niosą się szybko. Prawda będzie znana i trafi do podręczników historii. - Vetinari uśmiechnął się blado. - Trafi, dopilnuję tego. I w efekcie nieco lepszy niż do tej pory świat będzie kręcił się dalej.

Vetinari podniósł jakiś dokument i zdawało się, że zerknął na niego.

- Może pan iść, komendancie. Świadom faktu, że z wielu powodów panu zazdroszczę. Proszę przekazać małżonce wyrazy szacunku.

Vimes spojrzał na Drumknotta. Twarz sekretarza tak pieczołowicie nie zdradzała niczego, że zdradzała wszystko.

Vetinari przysunął sobie dokumenty i sięgnął po pióro.

- Niech mi pan nie pozwoli się zatrzymywać, komendancie.

* * *

Godzinę później Vetinari siedział przy biurku, składając palce w piramidkę, na pozór zatopiony w myślach. Wpatrywał się w sufit i ku zdumieniu Drumknotta od czasu do czasu machał dłonią, jakby dyrygował ukrytą orkiestrą. Drumknott wiedział, że nie należy mu przeszkadzać, w końcu jednak się ośmielił.

- To był niezwykły recital, prawda, panie?

Vetinari porzucił tę myślową dyrygenturę.

- Tak, rzeczywiście - przyznał pogodnie. - Podobno istnieją obrazy, które podążają za patrzącym wzrokiem po całym pokoju, który to fakt wydaje mi się wątpliwy. Ale zastanawiam się, czy jest muzyka, która potrafi zawsze podążać za człowiekiem. - Zdawało się, że powraca do rzeczywistości. - Ogólnie biorąc, dynastia Rustów, choć nie do końca obdarzona mózgami, zwykle jednak składa się z patriotów i ludzi honorowych. Mam rację?

Drumknott skrupulatnie i niepotrzebnie układał jakieś papiery.

- Tak jest w samej rzeczy - zgodził się. - Młody Gravid to pożałowania godny wyjątek.

- Sądzisz, że odkupienie nie jest dla niego możliwe?

- Może i jest. - Drumknott starannie złożył bibułę. - Arachne pracuje obecnie w Czteriksach jako archiwistka w naszej ambasadzie. Prosiła o to stanowisko, ponieważ niezwykle ją interesują jadowite pająki.

- No cóż, przypuszczam, że każda dziewczyna powinna mieć jakieś hobby - uznał Vetinari. - A dużo ich jest w Czteriksach?

- Jak rozumiem, roi się tam od nich i podobno Arachne ma już sporą kolekcję.

Vetinari milczał, ale siedział nieruchomo, z przymkniętymi oczami. Drumknott chrząknął dyskretnie.

- Mówią, że w końcu wszystkie grzechy zostają wybaczone.

Havelock, lord Vetinari, z pewną niechęcią oderwał się od wspomnień cudownej muzyki, którą chciałby usłyszeć znowu.

- Nie wszystkie, Drumknott, nie wszystkie.

* * *

Tej nocy w łóżku przy Alei Scoone'a, nasłuchując braku sów i lelków kozodojów, Vimes powiedział:

- Wiesz, kochanie, będę musiał wkrótce wrócić do Włości. Feeney to dobry chłopak, ale trzeba im tam porządnej komendy i odpowiedniego kierownictwa, a to nie oznacza jedynie Nobby'ego Nobbsa i Freda Colona.

Sybil przewróciła się na bok.

- Nie jestem pewna, Sam. Fred i Nobby nie są źli, tak ogólnie, więc może akurat kogoś takiego trzeba tam w tej chwili. To znaczy, wiesz, są gliniarzami, ale są też przeraźliwie powolni i zwykle dobrze jest mieć ich w pobliżu. W tej chwili masz tam dwóch młodych ludzi, pełnych energii i zapału, więc jeśli nie chcesz narobić zamętu w tej już nieco oszołomionej okolicy, może powinni ich wspierać ludzie powolni i spokojni? Nie sądzisz?

-Jak zawsze masz rację, kochanie.

- Poza tym widziałam Freda. Konieczność przemyślenia na nowo poglądów na świat wyraźnie trochę nim wstrząsnęła.

- Poradzi sobie - uznał Vimes. - Kiedy już przebijesz się przez głupiego Freda, wbrew wszelkim oczekiwaniom odkrywasz w głębi porządnego człowieka.

Sybil westchnęła.- Tak, Sam, ale ten porządny człowiek potrzebuje czasem urlopu w słońcu, z dala od dymu, brudu i tych okresów okropnej pogo- dy...

- Przecież one są najlepsze!

- Nie. Fred potrzebuje urlopu. Każdy potrzebuje urlopu, Sam, nawet ty.

- Właśnie z niego wróciłem, kochanie. Dziękuję.

- Nieprawda. Miałeś parę dni odpoczynku przerywanych walkami, powodziami, morderstwami i sama nie wiem czym jeszcze. Sprawdź swoje biurko, upewnij się, że wszyscy są należycie czujni, a później pojedziemy tam jeszcze na tydzień. Rozumiesz, Samie Yimes?Trzy miesiące później Sam Vimes znowu wybrał się na wakacje i tym razem pozwolono mu sterować „Czarnooką Susan" przez całą drogę aż do Quirmu. Prawie nie zahaczył o nic ważnego i był tak szczęśliwy, że musieli mu znaleźć jeszcze jednego kota pełnego miedziaków, żeby był tak szczęśliwy jak on.

Dziwił się, jak przyjemne mogą być wakacje, choć nie tak bardzo jak osiem miesięcy później, kiedy on i Sybil otrzymali zaproszenie na ślub panny Emily Gordon i najstarszego syna sir Abuthknotta Makewara, właściciela słynnej manufaktury garncarskiej Makewar, a przypadkiem także wynalazcy Orzechowych Chrupek Makewara, płatków śniadaniowych mistrzów, bez których cennego błonnika jelita Ankh-Morpork byłyby niezdrowo zaciśnięte. Vimesowie dali młodej parze w prezencie srebrny ogrzewacz jajek, ponieważ Sybil prezentowała pogląd, że nie można źle trafić z ogrzanym jajem.

Podczas ceremonii Vimes z satysfakcją zauważył, że jedna z sióstr Gordon ma na sobie piękny i nowiutki uniform pielęgniarki, trzy inne zaś noszą oszałamiające i - ku wielkiej wesołości Sybil - również skandaliczne kapelusze z linii Czepków Gordonów.

Hermiona, specjalistka od siekiery, przysłała przeprosiny. Według jej matki musiała zostać w lesie, gdzie walczyła z bardzo wielkim i bardzo kłopotliwym Pinusem. Vimes przyjął tę informację z osłupieniem, z którego otrząsnął się dopiero wtedy, gdy Sybil mu wytłumaczyła, że *Pinus strobus* to oficjalna nazwa pewnego gatunku sosny.Jednak pod koniec roku Vimes zdumiał się jeszcze bardziej, kiedy odkrył, że bestsellerowa powieść, która szturmem podbiła literackie kręgi Ankh-Morpork, dedykowana jest komendantowi Samuelowi Vimesowi.

Powieść nosiła tytuł „Duma i skrajne uprzedzenie".